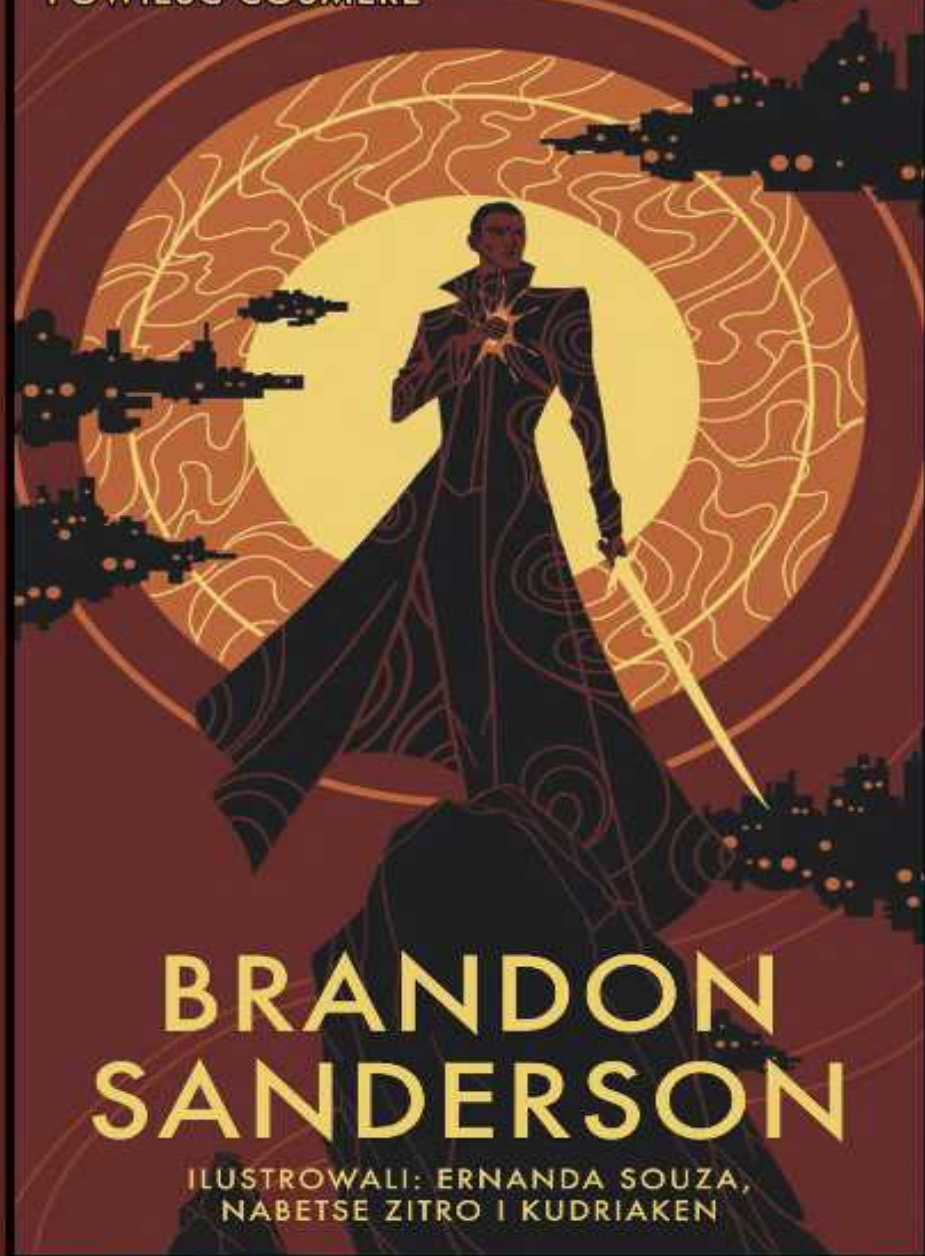


SŁONECZNY MAŻ

POWIEŚĆ COSMERE



BRANDON
SANDERSON

ILUSTROWALI: ERNANDA SOUZA,
NABETSE ZITRO I KUDRIAKEN

SŁONECZNY MAZ



POWIEŚĆ COSMERE

BRANDON
SANDERSON

ILUSTROWALI: ERNANDA SOUZA,
NABEŃSE ZITRO I KUDRIAKEN

PRZEŁOŻYŁA ANNA STUDNIAREK

Wydawnictwo
MAG

Spis treści

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Epilog

Postscriptum

Tytuł oryginału: *The Sunlit Man*

Copyright © 2023 by Dragonsteel, LLC

Brandon Sanderson®, Cosmere® and Dragonsteel® are registered trademarks of Dragonsteel, LLC

All rights reserved

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce i ilustracje wewnętrzne: Ernanda Souza, Nabetse Zitro i kudriaken

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-76-6

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wylączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

DEDYKOWANE WAM WSZYSTKIM,
FANOM COSMERE,
dzięki którym mogę spełniać marzenia



PODZIĘKOWANIA

Uff! Co za rok! To była niezła jazda, która wymagała mnóstwa pracy wielu zainteresowanych osób. Postaram się wymienić ich w tym dziale, ale na początku chciałem po prostu ogromnie wszystkim podziękować. Zredagowanie, zilustrowanie i dostarczenie książek czytelnikom było ogromnym wysiłkiem.

Redaktorem tej książki był Moshe Feder, mój długoletni współpracownik – i człowiek, który mnie odkrył. Byliśmy zachwyceni, że znów mogliśmy z nim współpracować, a ja cieszę się, że pomógł mi na kolejnym etapie podróży Nomada. Szczególne podziękowania kieruję do dr. Josepha Jensena za jego pomoc z astrofizyką, bo w tej kwestii ta książka to coś wyjątkowego. Jak również dziękuję ekipie Cosmere Arcanist – jesteście wielcy.

Reprezentuje mnie niezwykle zespół agencji JABberwocky, którym kieruje Joshua Bilmes. Dziękuję również Susan Velazquez i Christinie Zobel.

Ta książka jest inna od pozostałych tajnych projektów, bo mamy troje ilustratorów. Chcieliśmy sprawdzić nowych ludzi i znaleźliśmy osoby, które nadawały się do tej powieści. Dziękuję im wszystkim za niesamowite dzieła. Te projekty stały się naprawdę wyjątkowe dzięki ich udziałowi. Ernanda Souza zaprojektowała wyklejki, kolorowe ilustracje i grafiki koncepcyjne. Nabetsze Zitro stworzył rysunki w tekście – dołączył do nas ponownie po tym, jak przygotował niewiarygodne nowe plansze do wydania zbiorczego komiksu „Biały piasek”. Niesamowita okładka zaś to dzieło kudriaken.

Bill Wearne z American Print and Bindery czynił cuda z każdym z tajnych projektów. Doceniamy jego, drukarnię, introligatornię i wszystkich, którzy pomogli z wyprodukowaniem tej książki. Debi Bergerson odegrała kluczową rolę po stronie drukarni, a Chad Dillon dał z siebie wszystko, by zapewnić wysokiej jakości oprawę.

Przejdźmy teraz do Dragonsteel. Mam najlepszy zespół w branży, który wkłada mnóstwo pracy w te tajne projekty.

Isaac StÛart to nasz wiceprezes do spraw rozwoju artystycznego. Do jego zespołu należą Ben McSweeney (który włożył mnóstwo pracy koncepcyjnej, by ten projekt zachował spójność), Rachael Lynn Buchanan (która bardzo pomogła Isaacowi we współpracy z artystami, wybierała sceny do zilustrowania i pilnowała szczegółów), Jennifer Neal, Hayley Lazo, Priscilla Spencer i Anna Earley.

Poucządzający Peter Ahlstrom jest wiceprezesem działu wydawniczego. Do jego zespołu należą Karen Ahlstrom, Kristy S. Gilbert, Jennie Stevens (nasza redaktorka tej książki), Betsey Ahlstrom i Emily Shaw-Higham. Korektą zajmowała się Kristy Kugler.

Dział narracyjny składa się wyłącznie z Dana Wellsa, który również jest wiceprezesem. Ale żeby mu to wynagrodzić, pozwalamy mu wydawać polecenia Benowi.

Naszym dyrektorem do spraw operacyjnych jest Emily Sanderson, a w dziale tym pracują Matt „Matt” Hatch, Emma Tan-Stoker, Jane Horne, Kathleen Dorsey Sanderson, Makena Saluone, Hazel Cummings i Becky Wilson.

Adam Horne, znany również jako Wielki Mistrz Corgich, jest naszym wiceprezesem do spraw reklamy i marketingu. W jego zespole pracują Jeremy Palmer, Taylor D. Hatch i Octavia Escamilla.

Kara Stewart to nasza wiceprezeska do spraw realizacji zamówień i wydarzeń – to ona upewnia się, że wszyscy dostajecie swoje paczki. Do jej zespołu należą: Emma Tan-Stoker, Christi Jacobsen, Kellyn Neumann, Lex Willhite, Mem Grange, Michael Bateman, Joy Allen, Ally Reep, Richard Rubert, Katy Ives, Brett Moore, Dallin Holden, Daniel Phipps, Jacob Chrisman, Alex Lyon, Matt Hampton, Camilla Cutler, Quinton Martin, Esther Grange, Logan Reep, Laura Love-ridge, Amanda Butterfield, Gwen Hickman, Donald Mustard III, Zoe Hatch, Pablo Mooney, Bray-donn Moore, Avery Morgan, Nathan Mortensen, Christian Fairbanks, Dal Hill, George Kaler, Kathleen Barlow, Kaleigh Arnold, Kitty Allen, Rachel Jacobsen, Sydney Wilson, Katelyn Hatch i Judy Torsak.

Chciałbym podziękować Orianie Leckert z Kickstartera, jak również Annie Gallagher, Palmerowi Johnsonowi i McKynzee Wiggins (główna twórczyni przypinek) z BackerKit.

Do mojej grupy pisarskiej należeli: Emily Sanderson, Kathleen Dorsey Sanderson, Peter Ahlstrom, Karen Ahlstrom, Darci Stone, Eric James Stone, Alan Layton, Ethan Skarstedt, Ben Olsen i Dan Wells.

Czytelnikami alfa tej książki byli Karen Ahlstrom, Joy Allen, Christi Jacobsen, Brett Moore, Brad Neumann, Kellyn Neumann, Ally Reep, Emma Tan-Stoker, Sean VanBlack i Dan Wells.

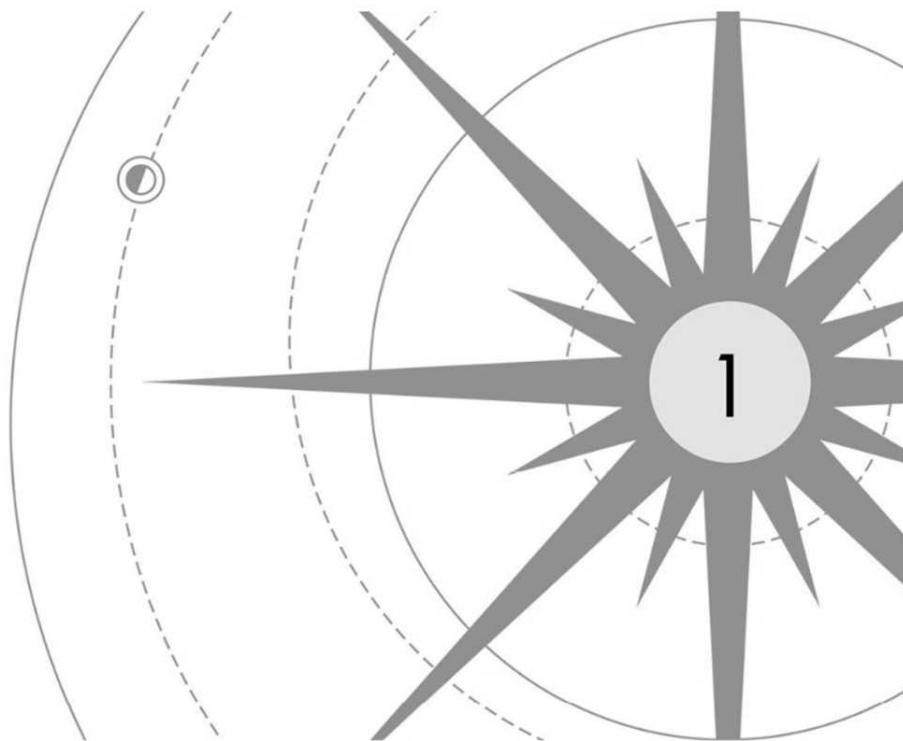
Czytelnikami beta byli Ravi Persaud, Ian McNatt, Brandon Cole, Shannon Nelson, Ben Marrow, Jennifer Neal, Poonam Desai, Chris McGrath, Sumejja Muratagić-Tadić, Kendra Alexander, Zenef Mark Lindberg, Paige Phillips, Rosemary Williams, Eric Lake, David Behrens, William Juan i Erika Kuta Marler. Na szczególne podziękowania zasługuje Mikah Kilgore, za informacje zwrotne na temat opisów ilustracji, które można znaleźć w ebooku i audiobooku.

Wśród czytelników gamma znajdowała się duża część czytelników beta, jak również Evgeni „Argent” Kirilov, Joshua Harkey, Ross Newberry, Tim Challener, Jessica Ashcraft, Ted Herman, Brian T. Hill, Rob West, Paige Vest, Gary Singer, Darci Cole, Kalyani Poluri, Jayden King, Ling-ting „Botanica” Xu, Glen Vogelaar, Bob Kluttz, Billy Todd, Megan Kanne, Eliyahu Berelowitz Levin, Aaron Ford, Jessie Lake i Sam Baskin.

Do zespołu Arcanist należą Eric Lake, Evgeni „Argent” Kirilov, Ben Marrow, David Behrens, Ian McNatt i Joshua Harkey.

Jako że to ostatni z tajnych projektów z Kickstartera, chciałem wykorzystać tę ostatnią okazję, by podziękować Wam wszystkim. Owszem, to ja napisałem te książki, ale to Wy stworzyliście wydarzenie, którym się stały. Dzięki Wam ten rok był wyjątkowy. Po przeczytaniu książki zajrzyjcie do Postscriptum, żeby dowiedzieć się więcej.

Brandon Sanderson



Nomad obudził się wśród skazanych na śmierć.

Zamrugał i zorientował się, że leży przyciśnięty prawym policzkiem do ziemi. Później skupił się na osoblwym widoku rośliny wyrastającej w przyspieszonym tempie na jego oczach. Śnił? Krucha siewka drżała i zwijała się, podnosząc się z gruntu. Wydawało się, że przeciąga się z radością, jej liście rozłożyły się jak ramiona po głębokim śnie. Ze środka wyłonił się pęd, smakujący powietrze jak język węża. Później wyciągnął się w lewo w stronę słabego blasku dochodzącego z tamtej strony.

Nomad jęknął i uniośł głowę, nie mógł myśleć i wszystko go bolało. Dokąd Przeskoczył tym razem? I czy znalazł się wystarczająco daleko, by ukryć się przed Nocną Brygadą?

Oczywiście, że nie. Przed nimi nie dało się ukryć. Nie mógł się zatrzymywać. Musiał...

Na burze. Dobrze mu się tu leżało. Nie mógłby choć przez chwilę odpocząć? Choć raz przestać uciekać?

Ktoś szarpnął go brutalnie i podniósł na kolana, wyrwijąc go z otępienia. Stał się bardziej świadomy otoczenia – krzyków, jęków. Dźwięków, na które nie zwracał uwagi, kiedy był półprzytomny po Przeskoku.

Tutejsi ludzie, włączając tego, który go złapał, nosili nietypowe ubrania. Długie spodnie z ciannymi mankietami, koszule z wysokimi kołnierzami kończącymi się pod brodą. Mężczyzna potrzęsął nim i mówił coś w języku, którego Nomad nie rozumiał.

- Thu... tłumaczenie? - wychrypiął Nomad.

„Przykro mi” powiedział głęboki, monotony głos w jego głowie. „Nie mamy na to dość Napełnienia”.

Racja. Ledwie sięgnął progu ostatniego Przeskoku, co oznaczało, że był właściwie wyczerpany. Jego umiejętności zależały od osiągnięcia lub utrzymania pewnych poziomów Napełnienia, mistycznego źródła mocy, dzięki któremu na większości z odwiedzonych przez niego planet działały się rzeczy niesamowite.

– Ile? – wychrypiął. – Ile nam zostało?

„Jakieś tysiąc pięćset JEO. Innymi słowy, niecałe osiem procent Przeskoku”.

Potępienie. Jak się obawiał, koszt przybycia tutaj go zrujnował. Dopóki zachowywał pewne określone poziomy, jego ciało było zdolne do rzeczy niezwykłych. Każda kosztowała odrobinę Napełnienia, ale ta cena była minimalna – póki trzymał się progów.

Kiedy miał ponad dwa tysiące Jednostek Ekwiwalentnych Oddechu, mógł majstrować przy Związku. Co pozwalało mu wykorzystać swoje umiejętności i Związać się z planetą, a wobec tego również posługiwać się miejscowym językiem. A to znaczyło, że Nomad nie mógł się porozumiewać z miejscowymi, dopóki nie znajdzie źródła mocy, którą mógłby wchłonać.

Skrzywił się, czując oddech krzyczącego mężczyzny, który miał na głowie kapelusz z szerokim rondem, zawiązany pod brodą, i grube rękawice. Panował półmrok, choć horyzont rozświetlała płonąca korona. Tuż przed świtem, jak domyślał się Nomad. I nawet w tym świetle na całym polu wyrastały siewki. Te rośliny... ich poruszenia przypominały mu dom, miejsce pozbawione gleby, ale z roślinami, które zachowywały się o wiele bardziej energicznie niż na innych światach.

Te jednak były inne. Nie uchylały się, żeby uniknąć nadeptnięcia. Te rośliny jedynie szybko rosły. Dlaczego?

W pobliżu osoby w długich białych płaszczach wbijały w ziemię kółki – a później inne przykuwały do nich ludzi, którzy nie mieli płaszczy. Do obu tych grup należały jednostki o różnych odcieniach skóry, natomiast wszyscy nosili podobne ubrania.

Nomad nie rozumiał słów, które wykrzykiwali, ale rozpoznawał zachowanie skazanych. Krzyki rozpaczy niektórych, błagalne tony innych, całkowita rezygnacja większości, kiedy przykuwano ich do ziemi.

To była egzekucja.

Mężczyzna trzymający Nomada znów na niego krzyknął i spojrzał nań ze złością wodnistymi białymi oczami. Nomad tylko pokręcił głową. Ten oddech mógłby zwarzyć kwiaty. Towarzysz mężczyzny – ubrany w jeden z tych długich białych płaszczy – wskazał Nomada i coś powiedział. Wkrótce dwaj mężczyźni podjęli decyzję. Jeden wyciągnął zza pasa kajdany i podszedł do Nomada, by go zakuć.

– Nie sądzę. – Nomad złapał mężczyznę za nadgarstek, przygotowując się, żeby go szarpnąć i przewrócić.

Ale jego mięśnie stężały – jak maszyna, której skończył się smar. Zesztywniał, a mężczyźni cofnęli się zaskoczeni jego nagłym wybuchem.

Mięśnie Nomada się rozluźniły. Przeciagnął ręce i poczuł nagły, ostry ból.

– Potępienie! – Jego Udręka robiła się coraz gorsza. Spojrzał na przestraszonych mężczyzn. Przynajmniej nie wyglądali na uzbrojonych.

Z tłumy wyłoniła się postać. Wszystkich innych spowijały ubrania – niezależnie od płci odsłaniali jedynie twarze. Ale ten nowo przybyły miał odkrytą pierś – był ubrany w prześwitującą szatę z rozcięciem z przodu – i grube czarne spodnie. Jako jedyny na polu nie nosił rękawiczek – za to jego przedramiona otaczały szerokie złociste bransolety.

Brakowało mu sporej części torsu.

Większość jego mięśni piersiowych i żeber oraz serce usunięto – wypalono, bo pozostałości skóry były zwęglone i poczerniałe. We wnętrzu jamy serce mężczyzny zastępował żarzący się węgiel. Kiedy wiatr go podsycał, pulsował czerwienią – podobnie jak to się działo z punkcikami szkarłatnego światła wśród popiołów. Skórę wokół otworu pokrywały czarne wypalone ślady, kilka z nich sięgnęło nawet twarzy mężczyzny – i w nich również czasami migotały znacznie mniejsze iskry. Wyglądało to tak, jakby mężczyznę przywiązano do silnika raketowego tuż przed uruchomieniem – a on nie tylko to przeżył, ale też ciągle płonął.

– Pewnie nie jesteście gośćmi, którzy dobrze się bawią, oglądając komiczne pomyłki popełniane przez kogoś, kto nie zna waszej kultury? – Nomad uniósł ręce, by pokazać, że nie jest groźny, ignorując instynkty, które podpowiadały mu... jak zawsze... że powinien uciekać.

Rozżarzony mężczyzna zdjął z pleców duży kij. Przypominał trochę policyjną pałkę, ale z nieco mniejszym naciskiem na unikanie śmiertelnych obrażeń.

– Tak myślałem. – Nomad się cofnął.

Kilku z przykutych ludzi przyglądało mu się z tą dziwną, choć znajomą nadzieją więźnia – cieszyło ich, że ktoś inny zwrócił na siebie uwagę.

Rozżarzony podszedł do niego, nadnaturalnie szybko, a płomień jego serca się rozjarzył. Był Napelniony. Cudownie.

Nomad z trudem uchylił się przed potężnym ciosem.

– Potrzebuję broni, Pom! – warknął Nomad.

„To ją przywołaj, mój drogi giermku” powiedział głos w jego głowie. „Ja cię nie powstrzymuję”.

Nomad chrząknął i zanurkował w kępę wysokiej trawy, która wyrosła w ciągu kilku minut od kiedy się obudził. Próbował sprawić, by pojawiła się broń, ale nic się nie stało.

„To twoja Udręka, wyjaśnia uprzejmie rycerz swojemu przeciętnie kompetentnemu giermkowi. Stała się na tyle silna, że odmawia ci broni”. Jak zwykle głos Poma brzmiał absolutnie monotonna. Był tego świadomy, więc dodawał komentarze.

Nomad znów uskokzył, kiedy rozżarzony opuścił pałkę i po raz kolejny minął go o włos, a ziemia aż zatrzęsa się od siły ciosu. Na burze. To światło robiło się coraz jaśniejsze. Przykrywało cały horyzont w sposób, który wydawał się zbyt równomierny. Jak... jak duże było słońce na tej planecie?

– Myślałem, że moje przysięgi wygrywają z tym aspektem Udręki! – krzyknął Nomad.

„Przepraszam, Nomadzie. Ale jakie przysięgi?”.

Rozżarzony przygotował się do zadania ciosu, a wtedy Nomad odetchnął głęboko, uchylił się przed atakiem i całym ciałem runął na przeciwnika. Jednakże w chwili, gdy się do tego przygotował, jego ciało ponownie stężało.

„Tak, rozumiem, zauważa rycerz swobodnym tonem. Twoja Udręka próbuje powstrzymać teraz nawet najdrobniejsze fizyczne starcia”.

Nie mógł nawet kogoś przewrócić? Robiło się źle. Rozżarzony uderzył Nomada w twarz i obalił go na ziemię. Nomadowi udało się przetoczyć i uchylić przed pałką, a po chwili podniósł się z jękiem.

Pałka znów opadła, a wtedy Nomad odruchowo uniósł obie ręce i ją złapał. Zatrzymał cios w miejscu.

Rozżarzony otworzył szerzej oczy. W pobliżu kilku więźniów zaczęło wykrzykiwać. Inni odwracali się w jego stronę. Najwyraźniej w tych okolicach ludzie nie byli przyzwyczajeni do tego, że ktoś mógł dorównać jednemu z tych Napętnionych wojowników. Rozżarzony wybałuszył oczy jeszcze bardziej, kiedy Nomad zacisnął zęby, zrobił krok do przodu i wytrącił go z równowagi, aż mężczyzna zatoczył się do tyłu.

Za dziwnym wojownikiem płonące światło zniekształcało stopiony horyzont i przyniosło ze sobą nagle uderzenie gorąca. Wokół nich rośliny, które urosły tak szybko, zaczynały więdnąć. Szeregi przykutych ludzi jęczały i krzyczały.

„Uciekaj!” – krzyczało coś we wnętrzu Nomada. „Uciekaj!”.

Tak postępował.

Ostatnimi czasy nie robił nic innego.

Kiedy odwrócił się do ucieczki, inny rozżarzony za jego plecami uniósł pałkę. Nomad próbował zatrzymać również ten cios, ale jego burzowe ciało stężało po raz kolejny.

– Daj spokój! – krzyknął, kiedy pałka uderzyła go w bok. Zatoczył się. Rozżarzony uderzył go pięścią w twarz.

Upadając, Nomad sapnął i jęknął. Poczul na skórze ziemię i kamyki. I gorąco. Straszliwe, oszalałające gorąco od strony horyzontu, wciąż narastające.

Obaj rozżarzeni odwrócili się i pierwszy wskazał ponad ramieniem Nomada. Dwaj spłoszeni oficerowie w białych płaszczach podeszli pospiesznie i – kiedy Nomad był oszołomiony z bólu i frustracji – skuli jego ręce. Wydawało się, że rozważali wbicie kołka w ziemię i przykucie go do niego, ale całkiem słusznie zgadywali, że mężczyzna, który złapał w locie pałkę Napętnionego wojownika, mógłby go wyrwać. Zamiast tego pociągnęli go do pierścienia przymocowanego do skały i tam go unieruchomili.

Nomad padł na kolana w szeregu więźniów, z czoła płynął mu pot, kiedy gorąco narastało. Instynkty kazały mu uciekać.

Jednakże inna część jego osoby... po prostu chciała, żeby wszystko się skończyło. Jak długo trwał pościg? Ile czasu minęło, od kiedy stał dumnie wyprostowany?

Może po prostu pozwolę, żeby to się skończyło, pomyślał. Cios łaski. Jak zadany śmiertelnie rannemu na polu bitwy.

Osunął się, ból w jego boku pulsował, choć wątpił, by coś było złamane. Jak długo utrzymywał około pięciu procent zdolności do Przeskoku – około tysiąca JEO – jego ciało było potężniejsze, bardziej wytrzymałe. Tam, gdzie inni łamali kości, on miał tylko sińce. Ogień, który innych palił, jego tylko osmalał.

„Uzdrowianie uruchomione, mówi bohater pewnym siebie głosem do upokorzonego lokaja. Masz poniżej dziesięciu procent zdolności do Przeskoku, więc twoje uzdrawianie nie będzie tak skuteczne jak zazwyczaj”.

Czasami zastanawiał się, czy jego wzmocnienia były błogosławieństwem, czy kolejnym elementem Udręki. Wraz z gorącym narastało też światło, stawało się oslepiające. Ten dym na horyzoncie... Czy to ziemia stawała w ogniu? Od światła słonecznego?

Potępienie. Samo Potępienie wstawało na horyzoncie.

„To światło” powiedział Pom. „Jest zbyt potężne, by było to zwykle światło słoneczne... przy najmniej jeśli chodzi o zamieszkane planety.”

– Myślisz, że światło jest Napełnione? – szepnął Nomad. – Jak na Taldainie?

„Wiarygodna teoria, mówi rycerz z zaciekawieniem.”

– Możesz je wchłonąć?

„Możliwe. Najpewniej wkrótce zobaczymy...”.

Gdyby udało mu się wchłonąć wystarczająco dużo, mógłby Przeskoczyć prosto z tej planety i jeszcze bardziej oddalić się od Nocnej Brygady. To by było miłe, czyż nie? Choć raz się wysforować? Mimo to coś w intensywności tego światła zniechęcało Nomada. Martwiło go. Wpatrywał się w nie, kiedy pobliscy oficerowie – w tym rozżarzeni – kończyli zakuwać więźniów. Później pobiegli do szeregu maszyn. Długie i wąskie miały po sześć siedzeń. Były otwarte, z szybą z przodu i urządzeniami sterującymi z przodu po lewej.

Wyglądały trochę jak... Sześciomiejscowe latające motocykle? Dziwna konstrukcja, ale nie wiedział, jak inaczej je nazwać. Wyglądało to tak, że każdy siadał okragim na osobnym siedzeniu – było nawet miejsce na nogę – ale wszystkie łączyły się ze sobą wzdłuż centralnego kadłuba. Całość nie miała zewnętrznych ścian i drzwi. W każdym razie nie zaskoczyło go, kiedy pod pierwszym z nich zapłonął ogień, który pozwolił mu wznieść się w powietrze na wysokość kilku stóp.

Jakie to miało znaczenie? Odwrócił się w stronę coraz silniejszego światła, a rośliny – jeszcze przed kilkoma minutami pełne życia – brązowały i więdły. Wydawało mu się, że w z pewnej odległości dobiega go ryk płomieni, gdy światło słońca przybliżało się jak front niegdyś znajomej burzy.

Wpatrując się w moc tego światła, zgadywał, że nie uda mu się go wchłonąć. Podobnie jak zwykły przewód i wtyczka nie poradziłyby sobie z surową mocą reaktora jądrowego. To było coś niewiarygodnego, siła, która go usmaży, zanim zdąży wykorzystać jej moc.

„Uch, Nomadzie” powiedział Pom swoim monotonnym głosem. „Mam przeczucie, że próba wchłonięcia i użycia Napełnienia z tego przypominałaby próbę wydobycia płatka śniegu z lawiny. Ja... sądzę, że nie powinniśmy pozwolić, by cię dotknęło”.

– Zabiję mnie, jeśli tak się stanie... – szepnął Nomad.

„Czy... tego pragniesz?”

Nie.

Nie, bo choć nienawidził sporej części swojego życia, nie chciał umierać. Nawet jeśli z każdym dniem coraz bardziej dziczał... cóż, dzikie istoty umiały walczyć o życie.

Nagle opanowała go gorączkowa desperacja. Zaczął ciągnąć i szarpać się w łańcuchach. Drugi z czterech latających motocykli odleciał, a on wiedział – oceniając prędkość zbliżającego się słonecznego światła – że były jego jedyną nadzieją na ucieczkę. Krzyczał ochryple, napierając na stal, rozciągając ją – ale nie mógł się uwolnić.

– Pom! – krzyknął. – Potrzebuję Ostrza! Przeobraż się!

„Nie ja to uniemożliwiam, Nomadzie”.

– To światło nas zabije.

„Cała kwestia w tym, że zabije ciebie, mój biedny lokaju. Ja już jestem martwy”.

Nomad ryknął, kiedy trzeci latający motocykl wystartował, choć ostatni miał pewne problemy. Może...

Chwileczkę.

– Mam zakaz korzystania z broni. A co z narzędziami?

„Dlaczego miałbyś mieć zakaz korzystania z nich?”.

Nomad był idiotą! Pomocnik był zmiennokształtnym metalowym narzędziem, które w tym przypadku mogło objawić się fizycznie jako łom. Powstało w jego dłoni jakby z białej mgiełki, wyłoniło się z niczego. Nomad zaczął nim o pierścień w skale, a później naparł na niego całym ciężarem ciała.

TRZASK.

Wyrwał się z szarpnięciem, wciąż był zakuty w kajdany, ale między nimi miał dwie stopy luźnego łańcucha. Podniósł się niezgrabnie i pobiegł w stronę ostatniego latającego motocykla, pod którym w końcu zapłonął ogień.

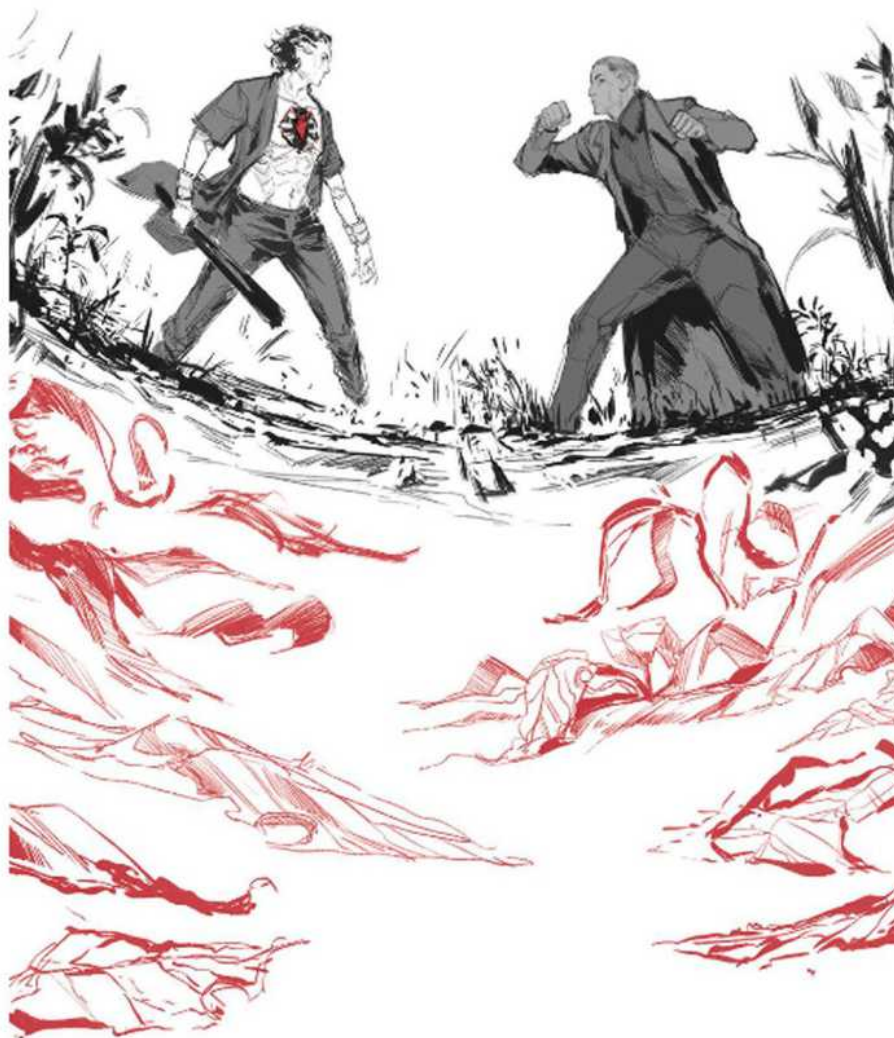
Przywołał Pomocnika jako hak z łańcuchem, którymi natychmiast rzucił w stronę motocykla. Uderzył w maszynę w chwili, kiedy się podniosła. Na rozkaz Nomada, kiedy Pomocnik się zaczepił, hak rozmył się na chwilę i zmienił w pierścień wokół występu na końcu pojazdu. Drugi koniec łańcucha zacisnął się wokół kajdan Nomada.

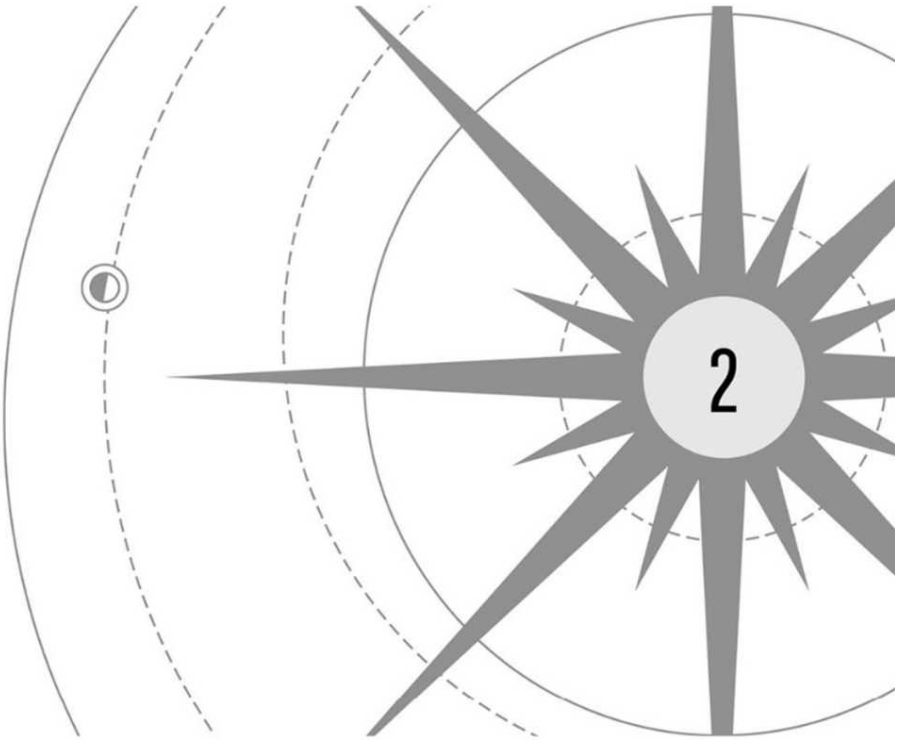
Dotarł do niego blask słońca. Niewiarygodne, intensywne, palące światło. Więźniowie z wrzaskiem stawali w płomieniach.

„Och, na burze, krzyczy rycerz.”

W tej właśnie chwili łańcuch się naciągnął. Nomad został gwałtownie wyrwany ze słońca, jego skórę przesywał ból, ubranie płonęło.

Został odciągnięty od pewnej śmierci. Ale nie miał pojęcia ku czemu.





Nomad uderzył bokiem w ziemię. Latający motocykl ciągnął go za sobą z przerażającą prędkością.

„Uruchomiono uzdrawianie” powiedział Pom. „Twoje ciało dostosowało się do niższego ciśnienia w miejscowym środowisku. Ale, Nomadzie, zostało ci tak mało Napełnienia. Spróbuj nie dać się za bardzo poturbować, dobrze?”.

W czasie, kiedy Pom to mówił, Nomad przebijał się przez bariery uschniętych roślin i co chwila uderzał o kamienie, a brud wnikał w jego skórę. Z drugiej strony Nomad był twardy. Podstawowy poziom Napełnienia go wzmacniał. Choć uzdrawianie zużywało Napełnienie szybciej niż inne zdolności, jak długo utrzymywał minimalny poziom podstawowy, nie potrzebował dużo uzdrawiania.

Nie był nieśmiertelny. Większość rozwiniętych broni od razu by go zabiła – na burze, nawet wiele z prymitywnych mogło go zabić, gdyby używano ich bez przerwy, zmuszając go do wyczerpania Napełnienia. Jednak podczas gdy ramiona zwykłego człowieka zostałyby wyrwane ze stawów – a jego skóra rozszarpana, bo resztki roślin przy takiej prędkości stawały się ostre jak brzytwy – on pozostał w jednym kawałku. I nawet udało mu się wyleczyć oparzenia.

„Zeszło do sześciu procent” poinformował go Pom. „Nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności. Ale... czułeś to gorąco? Było nierealne. Z całą pewnością jest w to zamieszane Napełnienie, ale nie udało mi się złapać ani trochę. Gdybym się otworzył, żeby je wchłonąć, zniszczyłyby mnie. Potrzebujemy bezpieczniejszego sposobu, by je zebrać”.

Nomad chrząknął, kiedy znów uderzył o ziemię. Z wysiłkiem udało mu się przekręcić, żeby większość dalszych uszkodzeń przyjmować na udo i bark. Choć wiatr zgasił jego płonące ubranie, impet, z jakim uderzał o różne rzeczy, rozszarpał resztki jego kurtki i koszuli.

Ale skóra wytrzymała. Nie przeszkadzał mu brutalny charakter ucieczki. To i tak lepsze niż pozostanie na słońcu.

Zamknął oczy, próbując pozbyć się większego bólu. Wspomnienia krzyków nieszczęsnych więźniów, kiedy uderzył w nich wschód słońca, w ciągu kilku sekund zmieniający ich w popiół. Był pewien, że niektórzy z nich wołali do niego, prosząc go o pomoc.

Niegdyś nie umiałby tego zignorować. Ale każdego dnia w cosmere umierały miliony, może miliardy ludzi. Nie mógł tego powstrzymać. Ledwie udawało mu się utrzymać przy życiu siebie.

I tak bolało. Nawet po latach męki nadal nie mógł patrzeć, jak ludzie umierają.

Przycisnął brodę do mostka, chroniąc twarz przed przeciągnięciem po nierównej powierzchni tego surowego świata. Widział, jak niebo ciemnieje. Prerażający blask słońca zniknął za horyzontem, jakby zapadł zmierzch, choć to Nomad się poruszał. Latający motocykl był na tyle szybki, że okrążył planetę przed wschodzącym słońcem, trzymając się poza zasięgiem jego palących szponów.

„Ta planeta musi powoli się obracać, mówi bohater do swojego nieprzewidywalnego lokaja. Zauważ, że te pojazdy bez trudu przeganiają słońce”.

Przed nimi, po drugiej stronie słońca, wschodził ogromny pierścień – szeroki łuk, który odbijał blask słońca.

Nomad nie mógł nacieszyć się powrotem do bezpiecznego półmroku. Kilku ludzi na motocyklu próbowało oderwać jego łańcuch, ale przy takiej prędkości – i z nim samym jako obciążeniem na końcu – byłoby to trudne, nawet gdyby nie zacisnął pierścienia. Zastanawiał się, czy może się zatrzymają, żeby się nim zająć, ale lecieli dalej za innymi motocyklami i nigdy nie wznosili się bardziej niż kilka stóp nad ziemię.

W końcu zwolnili i się zatrzymali. Nomad wylądował na wilgotnej ziemi – docenił uczucie, że dotyka czegoś miękkiego. Przetoczył się z jękiem. Jego spodnie były podarte, świeżo uzdrowioną skórę miał posiniaczoną, ręce wciąż skute. Po chwili cierpienia – w czasie której próbował docenić fakt, że przynajmniej nie dodawano do niej nowego bólu – odwrócił głowę, żeby sprawdzić, dlaczego się zatrzymali.

Nie widział powodu. Może chodziło o to, żeby kierowcy się rozejrzeli – bo po krótkiej rozmowie latające motocykle znów wystartowały. Tym razem wzniosły się wyżej, a Nomad wisiał. To było lepsze, bo przynajmniej w locie o nic nie uderzał. Założył, że wcześniej trzymali się nisko, bo woleli nie ryzykować, że wzniosą się za wysoko w blask słońca.

Lecieli około godziny, aż w końcu dotarli do czegoś interesującego – latającego miasta. Wyglądało jak ogromna płyta i poruszało się nad krajobrazem, unoszone przez płonące pod nim setki silników. Nomad odwiedzał wcześniej latające miasta, w tym jedno na planecie w pobliżu jego ojczystego świata, ale rzadko zdarzało mu się widzieć coś tak... prowizorycznego. Beładna zbieranina parterowych budynków, jak ogromny slums, jakimś cudem unosząca się nad ziemią – ale na wysokości zaledwie trzydziestu, może czterdziestu stóp. Zaiste, wydawało się, że nawet wzniesienie się na tak skromną wysokość było wysiłkiem dla silników miasta, które z trudem omijały przeszkody.

To nie była szybująca metropolia pełna technicznej chwały. To była rozpaczliwa próba przetrwania. Obejrzał się – blask na horyzoncie był już właściwie niewidzialny. Jednak Nomad wiedział, że słońce tam jest. Nieubłagane. Jak data egzekucji.

– Musicie utrzymać się przed nim, prawda? – szepnął. – Żyjecie w cieniach, bo tutejsze słońce by was zabiło.

Na burze. Całe społeczeństwo, które musiało się poruszać, żeby przegonić słońce? Implikacje tego faktu popychały jego umysł do działania, a stare wykszolenie – mężczyzny, którym kiedyś był – zaczęło przebijać się przez trupa, którym się stał. Dlaczego pogoda na tej planecie, nawet w ciemności, nie była burzliwa? Jeśli słońce przez cały czas przegrzewało jedną stronę, przetrwanie na drugiej byłoby niemożliwe. Fakt, że im się to udało, był oczywisty, musiał więc coś przegapić.

Czym się odżywiali? Jakie paliwo wykorzystywali w tych silnikach i jakim cudem mieli czas je wydobywać, skoro się poruszali? A skoro mowa o kopalniach, czemu nie mieszkali w jaskiniach? Wyraźnie mieli dość metalu. Wykorzystali go do przykucia tych biedaków do ziemi.

Zawsze był dociekliwy. Nawet po tym, jak został żołnierzem – ostentacyjnie odwróciwszy się od życia uczonego – zadawał pytania. Teraz dręczyły go, aż stanowczo je odpędził. Tylko jedno się liczyło. Czy źródło mocy tych silników wystarczy, by napędzić jego kolejny Przeskok i zabrać go z tej planety, zanim odnajdzie go Nocna Brygada?

Latający motocykl zaryczał, wznosząc się ku miastu. Wisiał za ostatnim z czterech, obciążając go, a silniki poniżej wyrzucały ogień w jego stronę i podgrzewały łańcuch. Całe szczęście Pomocnik mógł się tym zająć. Co ciekawe, ta niewielka różnica wysokości sprawiła, że Nomad poczuł nacisk w uszach.

Kiedy motocykle dotarły do poziomu miasta, nie zaparkowały w tradycyjny sposób. Skręciły w bok i przyczepiły się do skraju konstrukcji, a ich silniki pozostały włączone, dodając swoją moc do głównych silników.

Nomad wisiał na rękach i łańcuchu, jego ból zanikał, kiedy znów się uzdrawiał, choć to uzdrawianie było minimalne w stosunku do tego, czego potrzebował, by wrócić do siebie po kontakcie ze słońcem. Z tego miejsca widział nagie wzgórza i błotniste jamy poniżej, kojarzące mu się z bagnami i wrzosowiskami. Miasto pozostawiało za sobą szeroki ślad wypalonej, wysuszonej ziemi. Oczywiście dzięki takiej bliźnie latające motocykle nie miały problemów ze znalezieniem drogi do domu.

Zaskoczyło go, jak dobrze wszystko widział. Zamrugał, żeby pozbyć się potu i błotnistej wody, które wpadały mu do oczu, i znów podniósł wzrok na ten pierścień. Jak większość tego rodzaju ciał niebieskich, tak naprawdę składał się z większej liczby pierścieni. Jaskrawe, niebieskie i złote, okrążające planetę – wznoszące się wysoko w powietrze, sięgające jakby w nieskończoność. Skierowane w stronę słońca i przechylone pod niewielkim kątem, odbijały jego promienie na powierzchnię. Teraz, kiedy mógł się mu przyjrzeć, częściowo musiał przyznać, że to oszałamiający widok. Odwiedził dziesiątki planet i nigdy nie widział czegoś tak stoicko wspaniałego. Błoto i ogień poniżej, ale w powietrzu... to był majestat. To była planeta, która nosiła koronę.

Jego łańcuch zdrzął, kiedy ktoś zaczął ciągnąć go do góry. Wkrótce został złapany za ramiona i wciągnięty na metalową powierzchnię miasta, w wąską uliczkę między przysadzistymi budynkami. Wokół zebrała się grupka osób, którzy rozmawiali i wskazywały na niego.

Ignorując je, skupił się na pięciu charakterystycznych sylwetkach za nimi – ludziach z żarem w piersi.

Stali z pochylonymi głowami i zamkniętymi oczami – ich żar ostygł. Dwoje było kobietami, tak sądził, choć ogień, który pochłonął ich torsy nie pozostawił śladów piersi, jedynie szeroki na dwie dłonie otwór z kawałkami żeber wystającymi przez zwęgloną skórę. I żar w miejscu serca.

Reszta ludzi była ubrana tak, jak widział to na dole – wysokie kołnierze sięgające aż pod brodę, ubrania zakrywające całe ciała, rękawiczki. Niektórzy mieli na sobie białe płaszcze, oficjalne, otwarte z przodu, ale z emblematami na ramionach. Oficerowie lub urzędnicy. Pozostali nosili ubrania w przygaszonych kolorach i wyglądali na cywilów. Widział kilka kobiet w spodniach, choć większość preferowała długie, przypominające sukienki kurty ze spodniami widocznymi przez rozcięcie z przodu. Na głowach wielu z nich – zarówno mężczyzn, jak i kobiet – dostrzegł kapelusze z szerokim rondem. Czemu, skoro prawie nie było światła?

„Nie myśl o tym”, powiedział sam sobie. Czuł się wyczerpany. „A kogo to obchodzi? Nie spędzisz tu dość czasu, by dowiedzieć się czegokolwiek o ich kulturze”.

W jego otoczeniu przeważali ludzie albo bladzi, albo podobni do niego, o ciemnej karnacji. Tych o skórze w różnych pośrednich odcieniach było znacznie mniej. Wszyscy wkrótce się uciszyli, a później spuścili wzrok i się wycofali, rozstępując się przed jakimś nowo przybyłym. Nomad usiadł na piętach i oddychał głęboko. Przybysz okazał się wysokim mężczyzną w czarnym płaszczu – a jego oczy płonęły.

Żarzyły się ciemnoczerwono, jakby podświetlane od tyłu. Efekt przypominał Nomadowi coś z przeszłości, dawno temu – ale to nie były czerwone oczy zepsutej duszy, lecz raczej jakby wewnątrz mężczyzny coś płonęło. Krawędzie jego czarnego płaszcza również emanowały w podobnym czerwono-pomarańczowym odcieniu. Nomad pomyślał, że mężczyzna też ma żar w piersi, choć przykrywało ją cienkie ubranie. Wydawało się, że nie zagłębił się tak głęboko pod skórą jak u pozostałych, bo wciąż było widać zarys mięśni piersiowych.

Jego blask naśladowało wiele z budynków, krawędzie ścian wyglądały, jakby oświetlał je ogień. Jakby miasto niedawno spłonęło, a to były jego popioły.

Mężczyzna o świecących oczach uniósł dłoń w grubej rękawicy, by uciszyć tłum. Przyjrzał się Nomadowi, a później skinął na dwóch oficerów i warknął rozkazująco. Oficerowie potykali się o własne nogi, by wypełnić jego polecenie, i pospiesznie zdjęli kajdany Nomada.

Wycofali się nerwowo w chwili, kiedy kajdany spadły z jego rąk. Nomad podniósł się – na ten widok wielu cywilów westchnęło – ale nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów. Odetchnął głęboko, bo dręczący go ból złagodniał. Kazał Pomocnikowi, by pozostał na miejscu jako łańcuch – nie chciał, by uświadomili sobie, że ma dostęp do zmiennokształtnego narzędzia.

Mężczyzna o świecących oczach warknął coś do niego, głos miał szorstki.

Nomad pokręcił głową.

Świecące Oczy powtórzył pytanie, głośniejszym, wolniejszym, z większą złością.

– Nie znam waszego języka – powiedział chrapliwie Nomad. – Dajcie mi źródło energii, jak w silnikach tych motocykli. Jeśli je wchłonę, to powinno pomóc.

Zależało to od tego, czego używali jako paliwa – ale ponieważ utrzymywali całe miasto w powietrzu, wątpił, by to było konwencjonalne źródło. Idea napędzania takiego miasta węglem była śmieszna. Wykorzystywali jakiś Napełniony materiał, może ładowany na słońcu.

Ich przywódca, który w końcu uświadomił sobie, że Nomad nie zamierza odpowiedzieć, uniosł rękę w bok – i ostrożnie zdjął rękawiczkę, palec po palcu. Ludzie wzdychali, choć ukazał zwyczajną, nawet jeśli dość bladą, dłoń.

Mężczyzna podszedł do Nomada i złapał go za twarz.

Nic się nie stało.

Mężczyzna wydawał się tym zaskoczony. Zmienił uchwyt.

– Jeśli zamierzasz mnie pocałować, to odgryzę ci burzową wargę – mruknął Nomad.

Czuł się dobrze, mogąc tak żartować. Jego były mistrz byłby z niego dumny. W młodości Nomad zachowywał się stanowczo za poważnie i rzadko pozwalał sobie na wesołość. Głównie dlatego, że czuł się zbyt zawstydzony i przestraszony wizją, że powie coś żenującego.

Jeśli człowiek został wiele razy przeciągnięty po ziemi – pobity prawie na śmierć, do momentu, w którym nie pamiętał, jak się nazywa – cóż, to doskonale wpływało na poczucie humoru. Wtedy pozostawało już tylko śmiać się z żartu, jakim stało się jego życie.

Widzowie byli naprawdę zdziwieni faktem, że nic się nie stało, kiedy Świecące Oczy go dotknął. Mężczyzna jeszcze raz złapał Nomada za brodę, po czym puścił go, wytarł rękę o płaszcz i znów założył rękawiczkę, a jego oczy – jak blask ogniomchu – podświetlały z przodu rondo kapelusza i zbyt gładkie rysy twarzy. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat, ale trudno to było ocenić, bo jego skóry nie znaczyły żadne zmarszczki. Życie w ciągłym półmroku miało swoje zalety.

Jeden z oficerów, którzy zdjęli mu kajdany, podszedł bliżej i wskazał Nomada, mówiąc przyciszonym głosem. Na jego twarzy odmalował się wyraz niedowierzania i mężczyzna wskazał horyzont.

Inny z oficerów pokiwał głową, wpatrując się w Nomada.

– Sess Nassith Tor – szepnęła.

„Interesujące, mówi rycerz. Prawie to zrozumiałem. Bardzo przypomina inny język, z którym wciąż mam słaby Związek”.

– Jakieś pojęcie, który? – warknął Nomad.

„Nie. Ale... Myślę... Sess Nassith Tor... To znaczy coś w rodzaju... Ten, Który Uciekł Słońcu”.

Inni z tyłu powtarzali tę frazę, podjęli ją, aż Świecące Oczy ryknął na nich. Znów spojrzał na Nomada, po czym kopnął go w pierś. Bolało, szczególnie w stanie, w którym był teraz Nomad. Mężczyzna bez wątplenia musiał być Napełniony, żeby kopnąć tak mocno.

Nomad chrząknął i zgiał się wpół, z trudem łapiąc oddech. Mężczyzna podtrzymał go i uśmiechnął się, uświadamiając sobie, że Nomad nie zamierza odpowiedzieć ciosem na cios. Mężczyźnie się to podobało. Rzucił Nomadem w bok, po czym znów kopnął go w pierś i uśmiechnął się szerzej.

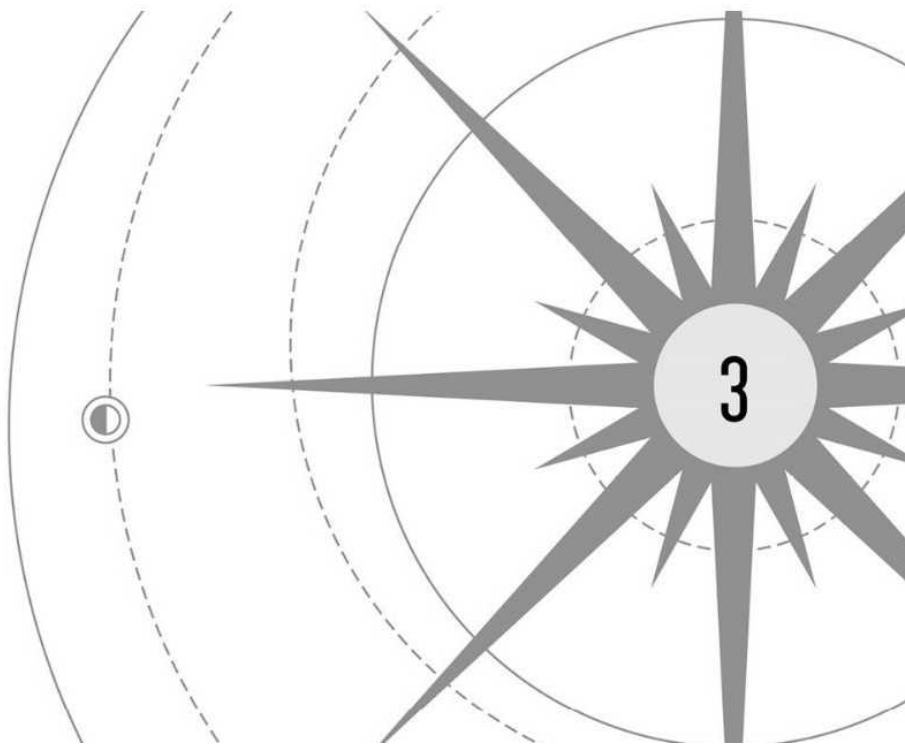
Nomad chętnie zerwałby mu uśmiech z tej twarzy, najlepiej z dołączoną skórą. Ale skoro próba obrony doprowadziłaby go do stężenia mięśni, najlepszym rozwiązaniem było udawanie pokornego.

Świecące Oczy wskazał Nomada.

– Kor Sess Nassith Tor – powiedział z szyderczym uśmiechem i kopnął Nomada raz jeszcze, na dokładkę.

Kilku oficerów podeszło bliżej i złapało go pod pachami, żeby go odciągnąć. Odkrył, że ma nadzieję na miłą celę – gdzieś, gdzie byłoby zimno i twardo, ale przynajmniej mógłby usnąć i na kilka godzin zapomnieć, kim jest.

Te skromne nadzieje zostały rozwiane, kiedy miasto zaczęło się rozpadać.



Wcześniej widział, jak latające motocykle zaczepiają się na krawędzi, dodając swoje silniki do miasta. Teraz z konsternacją uświadomił sobie, że każdy element platformy był podobny. To nie było jedno wielkie latające miasto, lecz setki połączonych statków.

Większość z nich była średnich rozmiarów – latający statek w wersji dom jednorodzinny. Niektóre, jeszcze mniejsze, przypominały holowniki, z szerokimi pokładami i kabiną na górze. Nieliczne, większe, dźwigały szerokie budynki, mogące służyć jako sale narad albo magazyny. Wszystkie otaczały szerokie, płaskie pokłady, które można było połączyć, by stworzyć ulice. W miarę jak kolejne statki odlatywały, na skrajach pokładów podnosiły się relingi, a ściany rozsuwały się, ukazując przednie szyby i kokpity.

Odnosił wrażenie, że to miasto nie zostało stworzone jako spójna całość, którą można było rozdzielić na elementy składowe, lecz raczej, że był to miazgmas pojedynczych pojazdów, mogących ze sobą współdziałać. To wyjaśniało eklektyczny charakter miasta. Przypominało karawanę, która mogła – dla wygody lub obrony – połączyć swoje fragmenty w tymczasowe miasto.

Zadziwiająco, że wszystko działało ze sobą tak dobrze. W odpowiedzi na okrzyki i polecenia, których Nomad nie rozumiał, wiele ze statków odleciało i zajęło się czymś. Kiedy Nomad przymrugnął powieki, zobaczył, że niektóre posypywały czymś ziemię.

Nasiona, uświadomił sobie. Rozsiewają nasiona. Kawalek układanki tego dziwnego świata znalazł się na swoim miejscu. Napelnione światło słońca wyjaśniało szybki wzrost roślin, które niemal błyskawicznie dojrzywały, kiedy wchłaniały potężny blask świtu. Już udowodnił, że nie

może samodzielnie pochłonąć tej energii, ale rośliny szeptały, że istniał sposób – nawet jeśli znajdował się poza jego zasięgiem.

Tak czy inaczej, to społeczeństwo zbierało plony każdego dnia. Musieli wysiać rośliny i zaledwie kilka godzin później je zebrać, po czym uciec w ciemność. Czy światło pierścieni wystarczyło, czy musieli podejść bliżej, ryzykować na krawędzi zabójczego światła słońca?

Musiał zatłuc swoją ciekawość.

Jest z ciebie, pomyślał, bardzo kiepski cynik.

Statek, na którym się znajdował, nie podążył za tymi prowadzącymi zasiew, lecz dołączył do innej grupy, która opadła na ziemię. Na niektórych wznosiły się piętrowe lub dwupiętrowe budynki, największe, jakie widział. Wylądowali w szerokim kręgu na błotnistej ziemi. Jego statek opadł i przyłączył się do innego, potężnego, z rzędami balkonów na froncie.

Świecące Oczy wszedł na jeden z nich i zajął miejsce. Nomad przyglądał się błotnistemu kręgowi, kiedy mniejsze statki zatrzymywały się jeden na drugim, tworząc wznoszącą się rzędami konstrukcję wysoką na cztery do pięciu statków. Spochmurniał, rozpoznawszy ten układ. To była arena. Podczas gdy rolnicy szli do pracy, uprzywilejowani zebrali się na pokładach swoich statków, by obejrzeć przedstawienie.

Jęknął, kiedy ci, którzy go pojмали, założyli mu parę szerokich złocistych bransolet na ramiona – wyglądały zupełnie jak te, które nosili rozżarzeni. Po tym, jak znalazły się na swoim miejscu, został zaciągnięty na pokład dziobowy statku. Kiedy spróbował stawić opór – i odruchowo się zamachnął – stężał. Później bez trudu zrzucili go jakieś dwanaście stóp w dół na śmierdzącą, błotnistą ziemię.

To nie była pierwsza arena, na której się znalazł, ale kiedy wy dobył twarz z blocka, uznał, że z całą pewnością jest najbrudniejsza. Kilka większych statków, przypominających kontenery, wylądowało i otworzyło przednie drzwi. Urzędnicy w białych płaszczach zmusili do wyjścia jakieś trzy dziesiątki ludzi w poszarpanych ubraniach i zapędzili ich do kręgu. Nomad westchnął i podniósł się, próbując zignorować smród blocka. Biorąc pod uwagę to, co przeszedł przez ostatnie tygodnie, uznał, że błoto pewnie robiło to samo.

Więźniowie zmuszeni do wejścia na arenę nie przypominali wojowników. Biedacy wyglądali na niemal równie obszarpanych i zużytych, jak on. Potykali się i przewracali, usiłując poruszać się w gęstej mazi, która brudziła ich ubrania.

Nie dostali broni. Raczej więc nie arena gladiatorów, pomyślał Nomad. Nie mieli tutaj walczyć... ale mogli umrzeć. I w rzeczy samej otworzyły się inne drzwi, przez które wyszła trójka rozżarzonych, z bronią w ręku. Z góry opadł statek – gorąco jego silników było nieprzyjemne – i upuścił kilka dużych metalowych skrzyń, które z chłupotem wylądowały w błocie. Przeszkody, różnych rozmiarów.

Rozżarzeni ruszyli biegiem. Tłum wiwatował. Bezbronni chłopcy rozproszyli się jak przerażone wieprze przed białogrzbietem.

Cudownie.

Nomad biegł przez błoto. Sięgało mu zaledwie do kostek, ale było zdradziecko śliskie i zadziwiająco mocno wciągało jego stopy. Prześlizgnął się w stronę jednej z większych skrzyń, wysokiej na osiem stóp, złapał ją czubkami palców i wciągnął się na górę.

Uznał, że jeśli uczyni się najtrudniejszym celem ze wszystkich, rozżarzeni najpierw zapolują na łatwiejszą zwierzynę. Dzięki temu mógłby zyskać trochę czasu, by wymyślić burzowy sposób na wydostanie się z tej sytuacji. Ale w chwili, kiedy wszedł na skrzynię, pojawiła się para rąk okrytych czarnymi rękawiczkami i ktoś wspiął się za nim.

W miejscu jej serca płonął żar, jasnozielone oczy wpatrywały się w niego, a jej wargi wygięły się w grymasie. Miała krótkie czarne włosy przetykane siwizną, a jej lewy policzek przecinała czarna żyła ze świecącą linią pośrodku.

Podczas gdy pozostali dwaj rozżarzeni nosili bicze, ta miała długą maczetę o paskudnym ostrzu. Dlaczego ruszyła za nim? Nomad spojrział w stronę tronu, z którego Świecące Oczy przyglądał się z zainteresowaniem.

„Myślisz, pyta rycerz swojego wiernego giermka, że on chce zobaczyć, co potrafisz?”.

– Nie – szepnęła Nomad, cofając się przed rozżarzoną. – Pamiętasz złość, którą okazał przywódca? Inni traktowali mnie z pewnym szacunkiem, bo udało mi się uciec przed słońcem. To go złościło.

To nie była próba. Świecące Oczy chciał, by Nomad zginął na widoku. Chciał, by został upokorzony i pokonany na oczach wszystkich.

Rozżarzona zamachnęła się w stronę Nomada, więc odwrócił się i zeskoczył z wielkiej skrzyni w stronę mniejszej. Tam celowo stoczył się w błoto, udał, że się potyka i próbuje znaleźć coś innego. Kiedy rozżarzona pobiegła w jego stronę, podniósł się z właśnie stworzonym łomem – celowo nie próbował uderzyć kobiety, lecz jedynie zablokować cios maczetą.

Jego ciało nie stężało. Dopóki skupiał się wyłącznie na obronie, wydawało się, że może stawić opór. Odepchnął rozżarzoną na bok, a ona straciła równowagę i się przewróciła. Po chwili się podniosła, twarz miała częściowo umazaną błotem i patrzyła na niego z wściekłością. Nie wyglądała na zaskoczoną nagłym pojawieniem się jego broni, a on swoim manewrem spróbował ukryć, skąd ją wziął. Miał nadzieję, że patrzący z góry uznają, że wydobył ją z blocka, że to był odpad pozostawiony przez inną przemierzającą te tereny grupę.

Kobieta warknęła i rzuciła się na niego. Za nim jedna z biednych chłopek została przyparta do muru. Jeden z rozżarzonych chwycił ją i jedną ręką wyrzucił w powietrze. Tłum wiwatował, a kobieta krzyczała przerażona, choć wydawało się, że nie stała jej się krzywda.

Nomad uchylił się raz, drugi, trzeci – o włos unikając ciosów maczety rozżarzonej, która poruszała się z nadnaturalną szybkością i zwinnością. Miał więcej problemów z błotem niż ona. Mimo że uciekał od wielu lat, gleba wciąż wydawała mu się nienaturalna. To było niewłaściwe nie czuć pod stopami stabilnego kamienia.

W chwili gdy pochwyciono drugą osobę, Nomad zablokował kolejny cios maczety – a później z trudem powstrzymał się przed uderzeniem kobiety. Na burze, trudno mu się było opanować. Ale nie mógł też ciągle robić uników. W końcu ci dwaj pozostali rozżarzeni po niego przyjdą.

Przy następnym zwarciu wyjątkowo mocno uderzył w maczetę kobiety i wytrącił jej broń ze spoconej ręki. Kiedy zawyla, odwrócił się i uciekł, zatykając łom za pas – ukradkiem stworzył niedużą pętelkę, by go zamocować. Nie oglądał się, żeby sprawdzić, czy za nim podążyła, tylko wskoczył na kilka mniejszych skrzyń, a później rzucił się w stronę największej, wysokiej na jakieś piętnaście stóp.

Ledwie złapał za krawędź i próbował się podciągnąć. Niestety, ręce miał śliskie od błota i zaczął się zsuwać.

Aż ktoś złapał go za nadgarstek. Na skrzyni stał już mężczyzna, jeden z chłopów – dość krępy, o bladej skórze, brązowych oczach, z dolkiem w brodzie. Mężczyzna szarpnął z determinacją i wyciągnął Nomada na górę.

Nomad skinął głową brudnemu mężczyźnie, który w odpowiedzi uśmiechnął się, ukazując braki w uzębieniu. Wskazał broń Nomada i zadał pytanie, a w jego głosie brzmiał niepewność.

„Coś o... zabijaniu przez ciebie?” – powiedział Pom. „Przepraszam. Ledwie to wszystko rozumiem. Musisz zdobyć trochę Napętnienia”.

– Przykro mi, przyjacielu. – Nomad zwrócił się do mężczyzny. – Nie rozumiem. Ale dziękuję.

Mężczyzna razem z nim obserwował arenę. Kolejna z więźniów sprawiała rozżarzonym pewne problemy, dobrze robiła uniki i kręciła się w błocie. Żeby ją złapać, potrzebni byli w końcu dwaj rozżarzeni.

Rozżarzona walcząca z Nomadem nadal ignorowała inną zwierzynę. Ostrożnie okrążyła dużą skrzynię, planując wejście. Kiedy złapano kolejną osobę, pozostali chłopci przestali uciekać, osunęli się na kolana lub opierali o ściany, dysząc z wyczerpania.

Tych, którzy zostali złapani, zapędzono w stronę innego statku. Krzyczeli i płakali – ale nie próbowali stawiać oporu. Interesujące. Ich zachowanie wskazywało Nomadowi, że...

– Ta banda, która została złapana na początku, to kolejna grupa skazanych, Pom. Zostaną wystawieni na słońce.

„Więc...” – powiedział Pom w jego głowie. „To jakaś skomplikowana odmiana zabawy w berka? Która decyduje, kto zostanie stracony jako następny?”.

– Tak się domyślam. Popatrz, jaką ulgę okazują ci, którzy nie zostali złapani.

„Ulga, tak, mówi rycerz z ponurą melancholią. Ale też... smutek”.

Pomocnik miał rację. Wielu z ocalałych patrzyło z bólem w oczach w stronę tych, których zabierano. Jeden z mężczyzn nawet osunął się błagalnie na kolana i krzyczał, wskazując na siebie, jakby proponował wymianę. Ci jeńcy znali się nawzajem. Zabrani byli przyjaciółmi, może członkami rodziny tych, którzy ocaleli.

Sojusznik Nomada zaczął schodzić ze skrzyni, ale walka się nie skończyła. Jeszcze nie. Choć dwaj pozostali rozżarzeni odeszli po tym, jak odprowadzili skazanych, trzecia – kobieta o siwych włosach – rzuciła się między skrzyniami w stronę Nomada.

Nie przestanie, dopóki go nie zabije, tego był pewien. Cóż. Czas zobaczyć, czy uda mu się oszukać Udrękę. Czekał w napięciu na zbliżającą się rozżarzoną.

„Nomadzie?” – spytał Pomocnik. „Co robisz?”.

– Jak ciężkim przedmiotem możesz się stać? Nie używając więcej naszych JEO?

„Każde moje przeobrażenie używa odrobinę Napętnienia, ale w większości wypadków to pomijalna ilość. Zakładam więc, że pytasz, czym się mogę stać, nie sięgając do naszych rezerw i nie zmniejszając ich znacząco. Przy takich ograniczeniach mogę stać się masą metalu ważącą około stu funtów. Czemu pytasz?”.

Nomad zaczekał, aż rozżarzona prawie do niego dotrze – skoczyła w stronę jego skrzyni z sąsiedniej. W tej właśnie chwili rzucił się w jej stronę. Uniósł Pomocnika nad głowę – martwiąc

się, że musi zdradzić swoją tajemnicę – i stworzył sztangę o maksymalnej wadze. Trzymał ją wyciągniętą przed sobą, jakby był gotów się nią zamachnąć.

W odpowiedzi Udręka wyczuła, że chce zrobić krzywdę. Jego ręce stężały. Ale rozżarzona i tak uderzyła prosto w kawał metalu i sapnęła, kiedy zderzyli się w powietrzu.

Zasadniczo był martwym balastem. Oboje uderzyli w błoto, a on wylądował na górze. Sztanga uderzyła w pierś kobiety, a łokieć Nomada zmiażdżył jej szyję. Połączony ciężar wbił ją w miękką ziemię.

Kiedy Nomad podniósł się z trudem, pozostała na ziemi – przytomna, ale ogłuszona. Jej żar zadrział jak oko mrugające z wyczerpania.

Ryki tłumu zmieniły się w martwą ciszę.

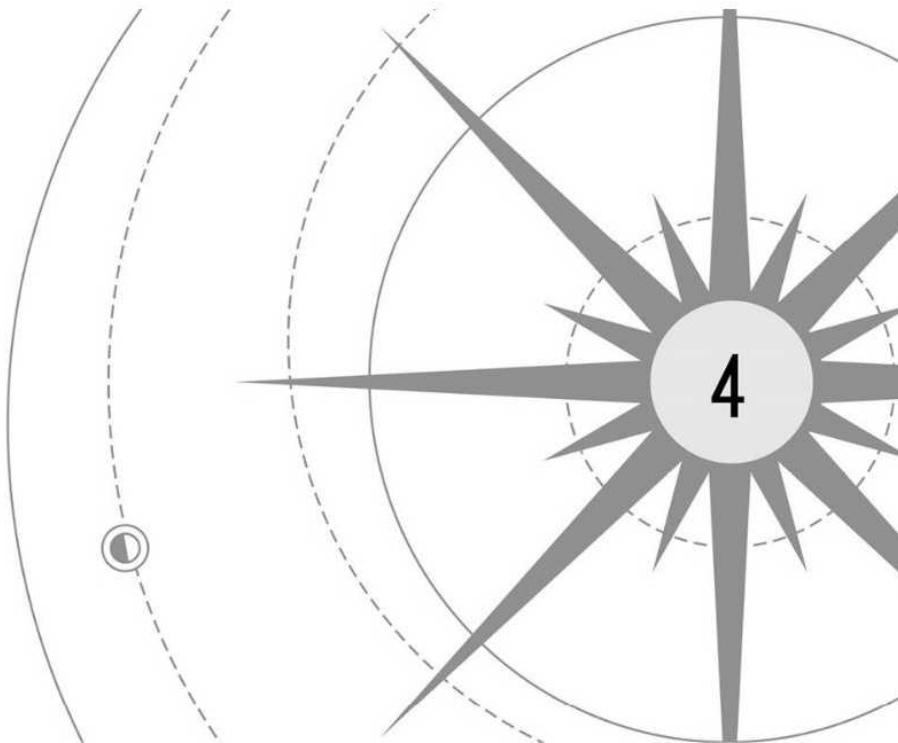
– Nie zdarza się często, co?! – krzyknął Nomad w stronę Świecących Oczu, który siedział na balkonie nad areną. – Że ktoś pokona twoich żołnierzy? Ale czemu miałyby tak się stać? To są Napełnieni wojownicy, a wystawiasz ich przeciwko bezbronnym chłopom!

Świecące Oczy, rzecz jasna, nie odpowiedział. Na burze, Nomad nienawidził dręczycieli. Zrobił krok do przodu, jakby chciał rzucić wyzwanie mężczyźnie. Wtedy jednak przeszło go zimno, zaczynające się od nadgarstków.

Spojrzał na bransolety, które mu założono. Wysysały z niego ciepło, zamrażając go i unieruchamiając mięśnie. Wypuścił powietrze i wokół jego ust pojawiła się chmurka pary. Spiorunował wzrokiem Świecące Oczy – który trzymał w ręku urządzenie z przyciskami.

– S-sukinsyn – powiedział Nomad, szczękając zębami. I padł nieprzytomny twarzą w błoto.





Kiedy Nomad obudził się tym razem, odkrył, że został przykuty do ściany. Nie... to była zewnętrzna strona przysadzistego statku, jednego z tych, które tworzyły arenę. Został przykuty do jego boku, rozkrzyżowany na płaskim kawałku metalu o wymiarach dziesięć na dziesięć stóp.

Wydawało mu się, że nie był długo nieprzytomny, choć nie mógł mieć pewności, bo nie widział słońca na niebie. Jedynie te malownicze, ogromne pierścienie.

Próbował się poruszyć, ale jego nadgarstki i kostki były mocno przyciśnięte do statku. Hałaśliwy tłum nie zniknął, choć pośrodku areny wylądował nieduży statek z podium otoczonym czterema zdobionymi kolumnami. Nie miał ścian i wydawało się, że służy jedynie jako mównica – przedni pokład statku zapewniał imponujące miejsce, z którego przywódca mógł przemawiać do swoich poddanych. Świecące Oczy stał na nim i zwracał się do tłumu, podsycając ich entuzjazm.

– Pomocniku – warknął Nomad. – Przegapiłem coś ważnego?

„Zabrali te skrzynie. Później przywiązali cię tutaj. Próbuję zrozumieć tę przemowę, ale wylałem tylko kilka słów. Część z tego odnosi się do ciebie. I... »przykładu«?”.

– Wspaniale. – Nomad szarpał się z łańcuchami.

„Wydaje mi się, że nie zorientowali się i nie widzieli, co zrobiłeś ze mną”, mówił dalej Pomocnik. „To znaczy ze sztangą. Kąt był niewłaściwy. Dlatego, kiedy wyjęli cię z błota, zmieniłem się

znowu w łom. Zbadali mnie i odrzucili na bok, zakładając, że nie jestem niczym ważnym. Wciąż leżę w błocie, na lewo od ciebie”.

To już coś. Nomad mógł przywołać broń w dowolnej chwili, sprawić, żeby zniknęła i pojawiła się ponownie w jego dłoniach. Więzy na jego nadgarstkach były ciasne, ale Pomocnik mógł przybierać różne dziwne kształty. Jeden z nich mógł zadziałać i uwolnić Nomada. Ale jeśli nie znajdował się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, nie było powodu, by ujawniać swoje zdolności. Na razie więc rozważał inne metody. Może gdyby złamał sobie kciuk, mógłby wysunąć rękę, a później go uzdrowić. Niestety, złamania uzdrawiał znacznie wolniej niż sińce.

Jego spojrzenie przyciągnęło poruszenie po lewej. Przekreślił głowę najdalej, jak mógł, i zobaczył obracające się czarne pudełko z migającym światełkiem. Kamera monitoringu? Przyglądała mu się przez chwilę i skierowała się w stronę podium.

Głos Świecących Oczu wzniósł się, kiedy mężczyzna wskazał Nomada. Potępienie. Nawet gdyby udało mu się uwolnić, nadal miał na sobie bransolety, które go zamroziły. I wciąż otaczali go wrogowie, z którymi nie mógł walczyć, i kamery, które mogły go śledzić. Co by mu dało uwolnienie ręki w takiej sytuacji?

„Tym razem chyba wpakowałeś się w prawdziwe tarapaty”, powiedział Pomocnik.

– Tak myślisz?

„Czy ja myślę? Nie jestem pewien. Zależy od twojej definicji”.

– Wiesz, bardziej cię lubiłem, kiedy byłeś żywy.

„A czyja to wina?”.

Nomad warknął i szarpnął się w łańcuchach. Przestał się jednak skupiać na swoim trudnym położeniu, kiedy grupa urzędników przyprowadziła kilku obszarpanych jeńców do statku-podium. Świecące Oczy łapał każde z nich po kolei za szyję, a oni jakby wiedli, ich skóra nabierała szarego odcienia. Kiedy odrzucał ich na bok, byli martwi, a żar w jego piersi płonął jaśniej.

Tłum wiwatował, a to wiwatowanie stało się jeszcze głośniejsze, kiedy do podium zaciągnięto kolejną więźniarkę. Towarzyszyli jej dwaj strażnicy w białych płaszczach, jeden niósł długą włócznię, a drugi trzymał karabin. Świecące Oczy nie złapał tej kobiety, lecz uniósł dłonie i pozwalał, by tłum krzyczał.

Nomad skupił wzrok na karabinie. To była pierwsza nowoczesna broń, którą tu zobaczył. Czy były rzadkością? Przyjrzał się uwięzionej i zorientował się, że to kobieta, która tak sprytnie unikała złapania. Ta, którą pojmało dopiero dwóch rozżarzonych.

– Ta kobieta... – powiedział Nomad. – Była jedną z lepiej walczących... a przynajmniej uchylających się... na arenie. Może, ponieważ dobrze walczyła, nagrodzą ją?

Świecące Oczy wskazał na kobietę i tłum zaryczał. Uderzył ją w ramię w sposób, który kojarzył się wręcz z gratulacjami. Ale wtedy kobieta zaczęła się szarpać jeszcze bardziej, a Nomad poczuł ściskanie w żołądku.

To nie mój problem, pomyślał.

Świecące Oczy machnął w bok i jeden ze strażników podał mu włócznię. Przywódca zdjął osłonę i okazało się, że sama włócznia miała na grocie świecący żar – tak jaskrawy, że zostawił powidoki w oczach Nomada.

Uwięziona kobieta krzyknęła.

Świecące Oczy wbił włócznię w jej pierś.

Nomad doskonale widział, co wydarzyło się później. Świecące Oczy wyrwał włócznię, pozostawiając żar. Urzędnicy rozbiegli się w panice, ale Świecące Oczy został i nie wyglądał na poruszonego. Udręczona kobieta osunęła się na kolana i krzyczała coraz głośniej, gdy gorąco zapłonęło w jej wnętrzu. Na zewnątrz wystrzeliły iskry i płomienie, jakby ktoś dorzucił do ogniska, a pojedyncze węgielki znaczyły skórę na jej ramionach i twarzy – zostawiały za sobą pasma, które wciąż emanowały blaskiem, nawet kiedy ogień w jej piersi przygasał.

Kobieta w końcu osunęła się na bok, ale nie zamknęła oczu. Leżała i patrzyła niewidzącym wzrokiem, a cichy płomień w jej piersi rozświetlał podium.

„Cóż”, odezwał się Pomocnik. „Pewnie wiemy już, skąd się biorą ci rozżarzeni ludzie”.

– Zgoda. – Nomadowi zrobiło się niedobrze. – Domyślam się, że wybiera najsprawniejszych jeńców, by zostali wyniesieni. W końcu ci, którymi się pożywił, byli słabsi.

„To być może trochę naciągane, ale logiczne”.

Nomad odetchnął głęboko.

– To może dać nam szansę. Myślisz, że udałoby nam się wchłonąć to, co daje moc tym włóczniom? Może uzyskać dość JEO, żeby uciec z tej planety?

„Nie, nie sądzę, by były dość silne, by napędzić Przeskok. Trudno ocenić bez dodatkowych informacji, ale domyślam się, że taka włócznia ma parę tysięcy JEO – dziesięć, najwyżej dwadzieścia procent mocy Przeskoku. Ale to więcej, niż potrzebowalbyś, by uzyskać Związek z tą planetą. W końcu rozumiałbyś, co mówią ludzie, i miałbyś rezerwy do uzdrawiania albo dodawania mi mocy”.

Kiedy strażnicy wrócili, żeby odciągnąć nową rozżarzoną, Świecące Oczy wrócił na podium i ktoś przyniósł mu dwie nowe włocznie. Świecące Oczy wziął jedną i zdjął osłonę, ukazując kolejny emanujący blaskiem grot – jak rozgrzany do białości metal, ale taki, który nigdy nie stygł. Tłum krzyczał i wiwatował jeszcze głośniej.

– Założę się, że użyje jednego z nich na mnie – powiedział Nomad. – Próbował mnie zabić, ale jego ludzie zawiedli. Teraz więc spróbuje czegoś innego.

„Ach, mówi bohater ze zrozumieniem. Tak, to rozsądne. Dlaczego nie martwi się, że zwróci się przeciwko niemu, kiedy dostaniesz moce?”.

– Podejrzewam, że polega na zamrażających bransoletach, żeby kontrolować pozostałych, a przed chwilą udowodnił, że na mnie działają.

„To się wydaje niebezpieczne”.

– Zgoda.

W tym przypadku sytuacja nie rozegrałaby się tak, jak spodziewał się Świecące Oczy. Gdyby dotknął Nomada czubkiem włóczni, on byłby w stanie wchłonąć jej moc. Był to jeden z nielicznych użytecznych aspektów Udręki. Nomad uzyskał niezwykłą zdolność metabolizowania niemal każdego rodzaju Napełnienia, choć czasem potrzebował do tego Pomocnika.

„W porządku. Ale czemu dwie włocznie?”.

– Ja będę ostatni. Wielkie zwieńczenie. Zakładam więc, że jest inny biedny jeńiec...

Urwał, kiedy na podium wciągnięto drugą osobę – szczerbatego mężczyznę, który wcześniej pomógł Nomadowi. Kiedy Nomad zobaczył biedaka, dotarło do niego, że to ma sens. Przed chwilą teoretyzował, że zmieniali najlepszych wojowników w rozżarzonych. Ten osobnik miał

może niewielką nadwagę, ale udało mu się uniknąć pojmania – a nawet pomógł Nomadowi, który był celem tamtych.

Dzięki swej determinacji mężczyzna zdobył straszliwą nagrodę. Tłum wiwatował, kiedy Świecące Oczy uniósł drugą włócznię. Biedny jeńiec krzyknął żałośnie i szarpał się ze strażnikami.

„Nie mój problem”, powiedział sobie Nomad i zamknął oczy.

Ale wciąż słyszał. I, z jakiegoś powodu, kiedy odciął światło – wewnątrz ciemności, którą sam stworzył – poczuł coś. Coś z osoby, którą kiedyś był.

Słowa niegdyś wypowiedziane. W chwili oszalałającej świetlistości.

Potępienie, pomyślał, kiedy przerażone krzyki mężczyzny wstrząsnęły nim do szpiku kości.

Nomad zmusił się do otwarcia oczu i wyrwał prawą rękę z kajdan. Jego nadnaturalna siła zmiażdżyła mu kciuk i zerwała skórę z boków dłoni. Uniósł krwawiącą rękę nad głowę i przywołał Pomocnika z błota.

Złapał za rękęjęść samymi palcami przyciśniętymi do dłoni i szarpnął rękę do przodu, rzucając Pomocnika, który zawirował w powietrzu – błyszczący i wspaniały. Pom uderzył w jedną z kolumn na podium tuż obok głowy Świecących Oczu – długi na sześć stóp, świetlisty miecz, najprawdziwsza z postaci Pomocnika. Wbił się głęboko w kolumnę i zawisł tam, drżąc.

Tłum ucichł.

„Hm”, powiedział Pomocnik w jego głowie. „Myślałem, że już nie możesz tego zrobić”.

Świadomie wycelował z dala od Świecących Oczu. Jeśli nikomu nie zagrażał, mógł uniknąć przebudzenia Udręki. Mimo wszystko minęło dużo czasu, od kiedy widział pełne Ostrze i mógł sięgnąć po nie w całej jego chwale. Jak miał nadzieję, to nagle pojawienie się oszołomiło Świecące Oczy. Wpatrywał się niepewnie w miecz i zapomniał o jeńcu. Szcherbaty mężczyzna cofnął się w uścisku strażników, ale jeszcze nie został dotknięty przez włócznię.

Nomad ponownie przywołał Pomocnika i próbował znów przywołać Ostrze. Nie udało mu się. Udręka raz popełniła błąd, ale teraz była czujna. Żadnych broni. Nomad uniósł Pomocnika wysoko w postaci długiego pręta. Jego kciuk przeszywał ból, ale bransoleta przytrzymała go u nasady, dzięki czemu mógł chwycić pręt zdrowymi palcami. Następnie stworzył klucz nastawny, a później łom.

Świecące Oczy wpatrywał się w broń jak urzeczony, a w jego szeroko otwartych oczach widać było pożądanie. Z włócznią w rękę zszedł z podwyższenia. Skupiony na Nomadzie.

– Dobrze – szepnął Nomad. Spojrzał w te świecące oczy, rzucając wyzwanie. – Dobrze. Chcesz tego. Chodź, spróbuj uczynić mnie jednym ze swoich niewolników. Później będziesz mógł mi wydać rozkaz, bym ci to oddał, prawda?

Mężczyzna zatrzymał się, zawahał, po czym uniósł włócznię przed sobą.

– Nie mam ochoty zostać dźgnięty, kiedy będę wchłaniał Napełnienie – powiedział Nomad do Pomocnika. – Chcesz się tym zająć?

„Tak. Nadaj mi postać naczynia – albo nawet zwykłej tarczy – na piersi, kiedy cię dźgnie, a ja wykorzystam energię”.

Świecące Oczy zawahał się kilka stóp od Nomada.

– No dalej! – krzyknął Nomad. – Dźgnij mnie!

Mężczyzna uniósł rozgrzany do białości grot włóczni na wysokość oka Nomada i zażądał czegoś.

- Nie mówię w twoim języku, idioto. Po prostu mnie dźgnij.

Mężczyzna wskazał ręce Nomada i znów się odezwał, bardziej surowo.

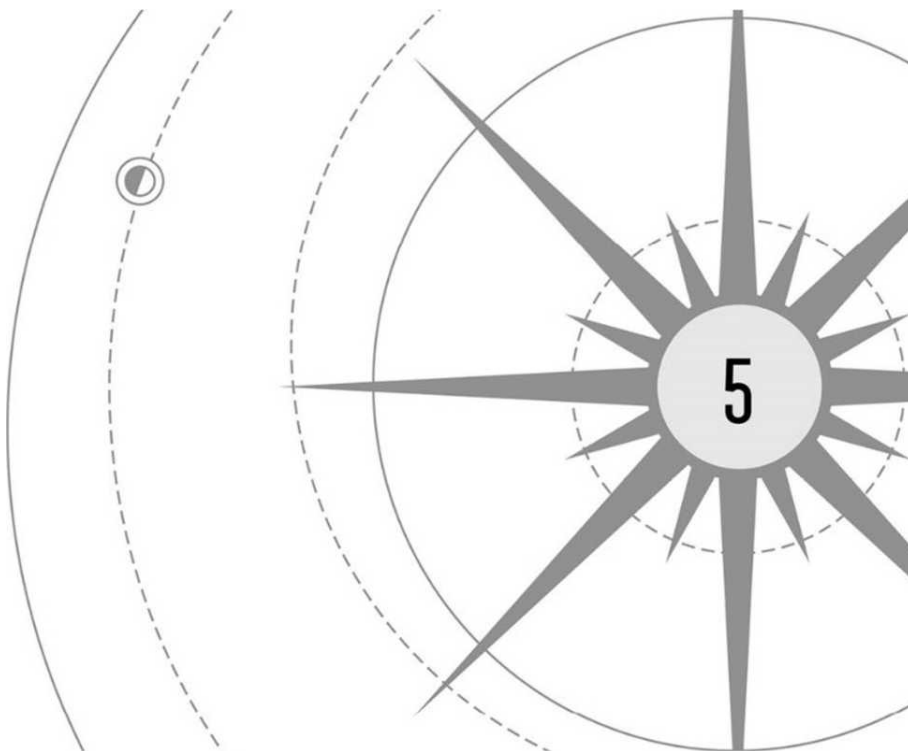
„Chce, żebyś mu pokazał, wyjaśnia rycerz swojemu czasem tępemu giermkowi, jak przywołujesz narzędzia”.

W zamian Nomad przywołał ślinę - doprawioną błotem, które wciąż miał na wargach - i dostarczył ją prosto w oko tego sukinsyna. Plwocina zasyczała, jak na rozgrzanej płycie, a mężczyzna cofnął się wściekły.

Wymierzył włócznię w pierś Nomada i zawarczał, a tłum wiwatował.

I się zaczyna, pomyślał Nomad.

W tej właśnie chwili jeden z pobliskich statków wybuchł.



Nomad krzyknął z frustracji, kiedy Świejące Oczy odwrócił się w stronę dźwięku, po czym zaczął wydawać rozkazy, a jednocześnie ruszył – dumny i niewzruszony – z powrotem w stronę podium.

Z nieba spadał ogień z broni – wystrzały charakterystycznego czerwono-białego gorąca. Świejące Oczy wykrzyknął coś innego, a rozżarzeni – dobre dwie setki – wybiegli na krawędzie statków. Nagle ich żar zaczął przygasać.

Ich bransolety się uruchomiły. Te na rękach Nomada również, ale w panice przywołał Pomocnika w bardzo specyficznym kształcie – dwie cienkie metalowe bransolety pod tymi na jego przedramionach, osłaniające skórę. Była to dziwna konstrukcja, a zazwyczaj, jeśli chciał podzielić Pomocnika na części, one musiały się stykać – więc te dziwaczne bransolety pod bransoletami były połączone prętem.

Ale zadziało i tym razem nie został zamrożony.

„Sprytnie, chwali rycerz swojego giermka z prawdziwym uznaniem. To dziwny kształt, nawet jak na ciebie.”

Pomocnik pozwalał mu stworzyć właściwie wszystko, o ile ten przedmiot mógł powstać z odpowiedniej ilości metalu. I o ile rozumiał konstrukcję na najbardziej podstawowym poziomie. Na przykład nie udało mu się stworzyć zegara do czasu, kiedy bardzo uważnie przyjrzał się schematowi budowy.

Pozostałości uczonego w jego wnętrzu szeptały, że zbyt prostacko podchodził do tej mocy – że gdyby poćwiczył, mógłby stworzyć o wiele wspanialsze rzeczy. Ale w jego życiu po prostu nie było dość czasu na nic poza ucieczką, a ciągła presja sprawiała, że nieraz trudno mu było wyobrazić sobie cokolwiek poza najbardziej oczywistymi rozwiązaniami.

Tak czy inaczej, bransolety bzycały, jakby były zirytowane, że niemożność dotknięcia jego skóry uczyniła je bezużytecznymi. Rozżarzeni nie mieli takiej ochrony – i padali jak niemowlęta w porze drzemki, tracili przytomność tam, gdzie stali, i przewracali się w błoto.

Świecące Oczy obrócił się gwałtownie, wyraźnie wstrząśnięty takim rozwojem sytuacji. Cokolwiek się z nimi stało, najpewniej były to działania atakującego wroga. W każdej innej sytuacji wyraz twarzy mężczyzny byłby komiczny, ale Nomad nie miał czasu go podziwiać, bo statek, do którego go przykuto, wznosił się powoli nad arenę. Kiedy dotarł na wysokość pięciu stóp, został trafiony z góry. Gwałtowny wybuch rozerwał pojazd, odrzucając część z Nomadem od reszty rozpadającej się jednostki.

Na plus, Nomad spadł na ziemię.

Na minus, dymiący, iskrzący kawałek statku spadł razem z nim. Nomad uderzył w ziemię tuż pod nim. Jego ciało zaprotestowało przeciwko takiemu brutalnemu traktowaniu i zaparło mu dech w piersi. Niezależnie od stopnia Napełnienia, gdyby nie wpadł w miękkie błocko, zostałby zmiążdżony.

A tak utknął w błotnistej ciemności, z góry przyciskał go potężny ciężar – jego kciuk wciąż powoli się goił – a na górze zaczęła się strzelanina.

I co jeszcze, pomyślał. Mógł właściwie bez końca wstrzymywać oddech – jego w wysokim stopniu Napełniona dusza odnawiała komórki prawie tak samo, jak tutejsze słońce przyspieszało wzrost roślin. Ale jego szanse na kradzież broni malały z każdą mijającą chwilą.

„Nomadzie, mówi bohater do swojego wyjątkowo leniwego lokaja, to nie czas na odpoczynek”.

Nomad wybulgotał zirytowaną odpowiedź w błoto.

„Tak, żartowałem”, powiedział Pomocnik. „Co jest dowodem na to, że śmierć nie pozbawiła mnie całkowicie poczucia humoru. Ale tak już poważnie, powinieneś spróbować się wydostać. Ten wschód słońca w końcu nadejdzie. Poczulem wcześniej jego energię. Jeśli złapie cię tutaj, wyparujesz. W tej chwili nie mam mocy, by ochronić cię przed taką siłą, a nie ma mowy, żebyśmy wchłonęli coś tak potężnego”.

Ziemią wstrząsnął wybuch, od którego uwięzione ciało Nomada zawibrowało. Lewą rękę wciąż miał przykuta do kawałka ściany nad sobą. Być może udałoby mu się uwolnić, ale przy okazji złamałby kciuk albo nadgarstek, co nie wydawało się dobrym pomysłem. Jego prawa ręka się goiła, ale wciąż była właściwie bezużyteczna.

Na szczęście czuł powietrze na nogach i nawet mógł nimi poruszyć. Kostki go bolały. Domyślił się, że więzy rozerwały się w wybuchu, a przyciskający go fragment wraku przykrywał jedynie górę ciała.

W porządku. Na początku próbował sobie wyobrazić Pomocnika jako nóż – ale to się nie udało, nawet jeśli Nomad upierał się, że tworzy narzędzie, nie broń. Potrzebował czegoś innego. Wrócił pamięcią do czasów, kiedy był ambitnym uczonym – wydawało się, że to było tak dawno temu – i wyobraził sobie lewarek do podnoszenia czegoś ciężkiego.

W im bardziej skomplikowany przedmiot miał się przeobrazić Pomocnik, tym dłużej to trwało – chyba że wielokrotnie stawał się tą samą rzeczą. Lewarek zajął sporo czasu i za pierwszym razem wyglądał niewłaściwie, więc Nomad musiał powtórzyć próbę. W końcu udało mu się sprawić, by Pomocnik pojawił się tuż obok jego prawej ręki we właściwym kształcie, a jego łapa znalazła się tuż pod krawędzią metalu.

Nomad nie miał dużego pola do manewru, ale udało mu się przenieść wolną rękę na specjalnie zaprojektowaną korbę i przekręcić ją kilka razy. To wystarczyło, by metal się uniósł.

„Kolejna sprytna adaptacja”, powiedział Pomocnik. „Cieszę się, że stary ty miał szansę zabyśnąć”.

Do środka wpłynęło świeże powietrze, kiedy powoli zmieniał kawał ściany w rodzaj altanki nad głową. Wreszcie mógł podciągnąć kolana pod brzuch.

I wtedy, z ogromnym wysiłkiem, który niemal zniweczyła śliskość błota, zaparł się nogami i przewrócił na plecy. To sprawiło, że metalowa ściana wylądowała w błocie z nim na wierzchu. Wciąż przykuty za jedną rękę wpatrywał się w górę.

Wokół kręciły się statki. Nie prowadzono ostrzału z blasterów, jak mu się wydawało – te statki nie miały broni pokładowej. Wybuchały bomby, a ostrzał, który widział, prowadzili ludzie trzymający w rękach karabiny. Te statki również nie mogły wznieść się wysoko – najwyżej pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt stóp. To nie były prawdziwe samoloty wojskowe, tylko raczej trochę dopakowane poduszki.

Wszędzie na arenie zaczynały kiełkować rośliny. Chwasty, ale zadziwiające, jak szybko ta jałowa jama błota stawała się polem jedynie dzięki światłu odbitemu od tych pierścieni.

– Światło pochodzące z pierścieni zawiera Napęlenie – powiedział Nomad. – Możemy je wchłonąć?

„Powoli, jak się wydaje. Nie ma go wiele. Dziesięć, może dwadzieścia JEO na godzinę?”.

Potępienie. Cóż, większość statków tworzących arenę wzniosła się w powietrze, a Świecących Oczu nigdzie nie było widać – choć wielu jego podwładnych z żarem w piersiach leżało w błocie. Nomad miał szansę uciec, może ukraść statek.

Spróbował zmienić Pomocnika w nożyce do metalu, ale w tej chwili nawet to za bardzo przypominało Udręce broń. Dlaczego pozwoliła mu stworzyć wtedy Ostrze, a teraz zakazywała nożyc do metalu? Spróbował z łomem, napał na niego, żeby oderwać się od ściany, ale przeszkadzał mu w tym złamany kciuk.

Kiedy Nomad ślizgał się w błocie, z góry opadł mniejszy, czteroosobowy latający motocykl, który silnikami wypalił rośliny. Zeskoczyły z niego dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna niósł karabin, ale żadne nie miało białego płaszcza mundurowego, które widział wcześniej u strażników. Wydawało się, że to napastnicy – ci, którzy zaatakowali Świecące Oczy. Czy mógł mieć nadzieję na sytuację z gatunku wróg mojego wroga?

– Ej! – krzyknął Nomad, kiedy przebiegali obok. – Ej!

Kobieta spojrzała na niego, ale mężczyzna go zignorował, wypatrując czegoś na ziemi. Obok przeleciał z rykiem statek, na jego wąskim pokładzie tłoczyli się ludzie w brudnych ubraniach. Odleciał.

To misja ratunkowa, uświadomił sobie Nomad. To byli jeńcy, których widział wcześniej.

– Ej! – zawołał głośniej. Uniósł łom i pomachał do nich. – Pomóżcie mi!

Dwoje ludzi odwróciło się od niego, a on za nic nie mógł się zorientować, czego szukali w tych chwastach. I wtedy w pobliżu ktoś usiadł – jeden z rozżarzonych. Wyglądał na ospałego, ale...

– Cokolwiek im zrobiliście, przestaje działać! – krzyknął Nomad.

Misja ratunkowa wciąż gorączkowo przeszukiwała rosnącą trawę, aż mężczyzna zawołał do kobiety, która do niego dołączyła, i razem wyciągnęli z trawy zabloconą postać.

To była rozżarzona, która wcześniej polowała na Nomada na arenie. Miała charakterystyczną siwiznę we włosach i jeden świecący ślad na policzku. Wyglądała na oszołomioną i zdezorientowaną, kiedy mężczyzna i kobieta ciągnęli ją w stronę swojego pojazdu. Przeszli obok Nomada.

– Niech was burza! – Nomad szarpał się w więzach. – Przynajmniej na mnie popatrzcie!

Nie zrobili tego, jedynie załadowali jeńca na latający motocykl i przykuli do jednego z dwóch siedzeń z tyłu. Nie ufali tej rozżarzonej. Może zabrali ją w celu wymiany jeńców albo dla okupu?

W porządku. Nomad musiał złamać drugą rękę, żeby się uwolnić. Ta, którą złamał wcześniej, była już prawie uzdrowiona. Próbował wyrwać uwięzioną dłoń i usłyszał – mimo bólu – trzask pękającej kości. Ale ręka się nie wysunęła. Potępienie! Te kajdany były ciasniejsze niż te na drugiej ręce i nawet po wylamaniu kciuka nie mógł się wyrwać.

„Nomadzie, masz niebezpiecznie niski poziom Napełnienia”, powiedział Pomocnik. „Jeśli będziesz potrzebował więcej uzdrawiania, zjedziesz poniżej pięciu procent. To cię osłabi i odbierze większość wzmocnień siły i wytrzymałości”.

Potępienie. Znow pomachał w stronę dwojga ludzi, ale wtedy mężczyzna nagle krzyknął, kiedy fala energii uderzyła go w ramię. Zatoczył się do tyłu, ale kolejny strzał wyparował jego głowę.

Ciało spadło między chwasty, a kobieta krzyknęła z bólu i w ostatniej chwili schowała się za motocyklem. Nad ich głowami opadał statek – ten z dużym podium z tyłu i czterema kolumnami po bokach.

Na jego krawędzi stał sam Świecące Oczy – jego twarz podświetlał wewnętrzny ogień – w dłoni trzymał karabin i celował. Znow wystrzelił do kobiety i zniszczył niewielki kawałek jej długiego, czteremiejscowego latającego motocykla.

Kuliła się w jego cieniu, zwrócona twarzą do Nomada. Udało jej się złapać broń zabitego towarzysza, ale kiedy wyłoniła się, żeby strzelić, Świecące Oczy prawie odstrzelił jej głowę. Jej z kolei udało się tylko kilka strzałów, które poleciały w bok i zupełnie niczego nie trafiły. Jej kolejny strzał był jeszcze gorszy.

– Potrzebujesz mojej pomocy. – Nomad wskazał łom. – No dalej.

Posłała mu spojrzenie.

– No dalej. – Ból zranionej ręki sprawił, że w oczach miał łzy. – No dalej!

Powiedziała coś niezrozumiałego. Kiedy zauważyła, że Nomad nie rozumie, uniosła karabin.

– Tak, umiem strzelać. – Pokiwał głową. – Celuję lepiej od ciebie.

„Kłamca”, powiedział Pomocnik.

– To nie kłamstwo. Dobrze strzelam.

„Stężejesz w chwili, kiedy dotkniesz karabinu”.

– Ona i tak tego nie rozumie. – Z przejęciem pokiwał głową w stronę kobiety.

Tymczasem za plecami niczego nierozumiejącej kobiety Świeące Oczy musiał zawrócić i zająć się innymi statkami, które mu zagrażały – zrzucały bomby na jego statek. W tym czasie kobieta w końcu podeszła do Nomada i wzięła łom. Napała na niego całym ciężarem, próbując przerwać łańcuch w miejscu, w którym kajdany przymocowano do ściany. Ruch ten szarpnął jego złamany kciuk i Nomad krzyknął.

Niestety, kajdany były z porządnego materiału. Zanim udało jej się go uwolnić, Świeące Oczy znów skupił na nich uwagę.

– Idź! – powiedział Nomad, wskazując mężczyźnie.

Kobieta domyśliła się, o co mu chodzi, i uciekła. Nomad obrócił się, odesłał Pomocnika i natychmiast przywołał go znowu jako tarczę na ramieniu. Ona przyjęła na siebie strzały Świeących Oczu. Nomad przykucnął, chroniąc się za tarczą, jedną rękę wciąż miał przykutą do ściany.

Kobieta kulila się za latającym motocyklem, a na jego górze rozżarzona jęknęła. Budziła się.

– Karabin. – Nomad wskazał ręką i pomachał.

Kobieta spojrzała na niego nieufnie i z wahaniem rzuciła mu broń, gdy z góry znów spadł na nich ogień. Nomad nie odważył się odesłać tarczy, ale mógł zmienić jej kształt – dodał długie kolce na dole, które wbił w ziemię i nie musiał już jej trzymać. Skulił się i jedną ręką niezręcznie przesunął karabin w stronę zamka.

„Rozwalisz sobie dłoń”, ostrzegł Pomocnik.

– E tam. Mam dwie.

Wystrzelił. Jak liczył, zamek się rozpadł i Nomad mógł wyciągnąć ranną rękę. Złapał za tarczę, podszedł do kobiety i skulił się obok niej.

„Uzdrowiam twój drugi złamany kciuk. I to by było tyle, jeżeli nie chcesz zejść poniżej pięciu procent”.

– Cudownie. – Przyjrzał się latającemu motocyklowi. – Jak trudno byłoby mi ukrąść to coś? Widziałeś, jak uruchamiają silniki?

„Jesteś nikczemny. Ta kobieta cię uratowała. Ukradłbyś jej statek?”.

– Zrobiła to pod przymusem. Jak uruchamiam silnik?

„Nie widziałem”.

A niech to. Cóż, musiał pozbyć się Świeących Oczu. Nomad ustawił się z karabinem obok siedzenia, do którego przykuto rozżarzoną. Spiorunowała go wzrokiem i warczała, gdy on z naciskiem powtarzał sobie, że nie zamierza strzelać do żadnej określonej osoby, tylko przypadkowo.

Działało, ale jedynie jeśli wycelował bardzo daleko. Pociski śmigały w powietrzu, co wystarczyło, by na chwilę skłonić Świeące Oczy do cofnięcia się. Kobieta, która uratowała Nomada, piorunowała go wzrokiem, krzyczała coś i machała rękami.

„Wierzę, że jest wściekła z powodu tego, jak źle celujesz”.

– Szanowna pani, to jest naprawdę kiepski dzień – powiedział Nomad. – Jeśli zamierzasz na mnie krzyczeć, może chociaż rób to odrobinę ciszej?

Zabrała mu karabin i zaczęła strzelać, powstrzymując Świeące Oczy. Później wskazała latający motocykl i się odezwała.

„Jak sądzę, proponuje, że cię zabierze, jeśli wykorzystasz tarczę, by osłaniać jej plecy, kiedy będzie leciała”.

To wystarczy. Potrząsnął ranną dłońią, czekając, aż uzdrawianie zadziała. Później przerwał i rozejrzał się po polu szybko rosnącej trawy. Podium stało dokładnie tam, prawda? Wydawało mu się, że widział coś w trawie w pobliżu. Ciało?

Potępienie. Nomad przeklął własną głupotę, osłonił się Pomocnikiem i pobiegł w tamtą stronę – ignorując okrzyki zaskoczenia kobiety. Tam, w błotnistej ziemi w pobliżu środka areny, znalazł szczerbatego mężczyznę. Niemal utonął w błocie, nogę miał wykręconą w niewłaściwą stronę, a jego twarz krwawiła – najpewniej został kopnięty, bez wątplenia przez jednego z żołnierzy, którzy go odrzucili, kiedy zaczęła się walka.

Biedak podniósł wzrok i zobaczył Nomada. I choć wokół spadały bomby, a ogień z karabinów wypalał ziemię i trawy w okolicy, w oczach mężczyzny coś zabłysło. Nadzieja.

Nomad złapał mężczyznę za ramię i szarpnął, wyrwał go z błota i zarzucił sobie na ramiona. Ponieważ nie mógł utrzymać Pomocnika ranną ręką, wypuścił tarczę i pobiegł przez pole bitwy, czując na barkach ciężar zapomnianych przysięg. Jakimś cudem udało mu się uniknąć postrzału, aż dotarł do latającego motocykla i rzucił mężczyznę na jedno z siedzeń. To z tyłu po lewej, obok rozżarzonej. Miał nadzieję, że jej kajdany wytrzymają.

Mężczyzna miał łzy w oczach. Wyszpeł kilka słów. Nomad nie musiał znać języka, by wyczuć w nich wdzięczność.

„To nie było dla ciebie typowe”, powiedział Pomocnik, kiedy Nomad przywołał go ponownie jako tarczę.

– Przypomina mi starego przyjaciela, nic więcej.

Nomad spojrział na kobietę, która wciąż chowała się za motocyklem, i wskazał tarczę.

Warknęła coś do niego, po czym uniosła trzy palce i zaczęła odliczać. Kiedy doszła do zera, wskoczył na latający motocykl i ukląkł pośrodku kadłuba, między siedzeniami. Kobieta zajęła miejsce prowadzącego, z przodu po lewej. Nomad powiększył tarczę, by objęła ich oboje. Nie mógł ochronić szczerbatego, ale miał nadzieję, że przeciwnicy skupią się na kierowcy.

Nomad przyglądał się uważnie, jak uruchamia maszynę. W przeciwieństwie do dużych statków, które służyły również jako budynki, te motocykle zaprojektowano wyłącznie jako pojazdy. Pociągnęła za dźwignię i nacisnęła przycisk, a później zawałała się i spojrzała w stronę bezgłowego trupa towarzysza.

– Leć!

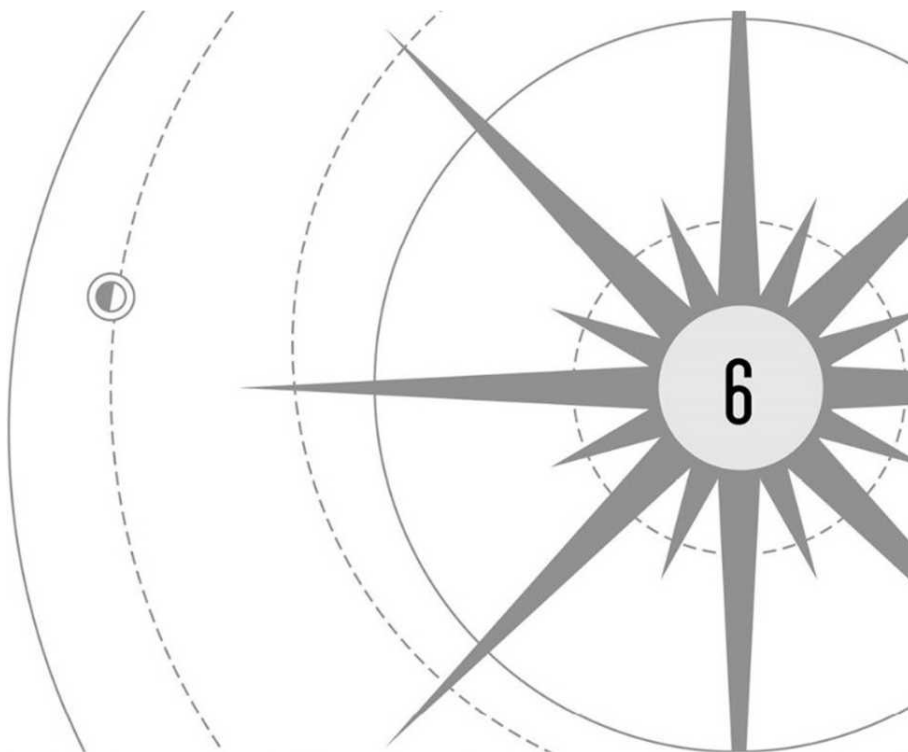
Nomad trącił ją, kiedy pociski uderzyły w jego tarczę. Kolejny wrogi statek ich zauważył i skrzył w ich stronę. Co gorsza, inni rozżarzeni podnosili się na polu trawy jak Przebudzone trupy. Kilko odwróciło się w ich stronę – zwłaszcza po tym, jak jedna z nich, przykuta do tylnego siedzenia, teraz już całkiem przytomna, zaczęła krzyczeć i wrzeszczeć.

W końcu kobieta wystartowała i poleciała tuż nad trawą, podążając za innymi z jej grupy, którzy – razem – uciekali z uratowanymi jeńcami. Nomad przez chwilę miał nadzieję, że udało im się uciec. Widział Świejące Oczy, który stał na swoim statku z podium i patrzył na nich.

Ale mężczyzna nie musiał osobiście ich gonić, bo po chwili kilka statków wylądowało, by zebrać ludzi z żarem w piersiach. Większość przyjaznych jednostek, które przypuściły atak,

znajdowała się daleko przed nimi, niemal poza zasięgiem wzroku. Pojazd Nomada był samotnym maruderem.

Naturalne więc było to, że statki z rozżarzonymi skupiły się na nim.



Nomad postukał prowadzącą w ramię i wskazał kciukiem za siebie. Szybko obejrzała się przez ramię, rzuciła coś, co brzmiało jak przekleństwo, i pochyliła się niżej nad kokpitem. Sięgnął po jej karabin, ale położyła na nim rękę i spiorunowała go wzrokiem.

Wspaniale. Mógłby kopnięciem zrzucić kobietę i przejąć pojazd – był względnie przekonany, że poradzi sobie z prowadzeniem. Ale wtedy zaczęli nabierać wysokości.

Coś, co wiązało się z oddaleniem od brudnej ziemi i wzniesieniem w niebo w stronę tych pierścieni... wpływało na niego. Wiatr na twarzy, krajobraz kurczący się poniżej. Przypominało mu to lepsze czasy. Czyste, rześkie powietrze działające jako środek udrażniający moralność.

Uśmiechnął się na tę myśl. Jego były mistrz doceniłby tę grę słów. I może rzadsze powietrze na górze coś w sobie miało. Może jednak był odrobinę chory od powietrza...

Nie. Stanowczo posunął się za daleko.

Mimo to trzymał tarczę na miejscu i nie próbował ukraść motocykla. Za to skupił się na wrogach za nimi. Tłoczyli się na dwóch smukłych barkach wojennych. Były długie i płaskie, z dużymi pokładami dziobowymi i nadbudówkami z tyłu. Jak latające motorówki, ale z kokpitem przesuniętym w stronę rufy, co dawało więcej miejsca z przodu. Na ich pokładach stali rozżarzeni i mocno trzymali się relingów. Wiatr podsycił ich żar, który stawał się jaśniejszy, jak reflektory. Ich postawa wskazywała na determinację, gorliwość.

I doganiaли ich. Jak ratownicy zamierzali przeprowadzić swój rajd, skoro latali gorszymi statkami? Z kabiny na pokładzie jednego z okrętów wojennych wyszedł strzelec wyborowy w białym

plaszczu i wycelował. Nomad uniósł Pomocnika jako tarczę i zauważył, że strzelec nie był jednym z rozżarzonych. Oni mieli tylko broń do walki wręcz.

Strzelec wystrzelił. Nie w stronę Nomada ani prowadzącej, lecz środkowego kadłuba między siedzeniami. Jak Nomad zauważył wcześniej, motocykl, na którym leciał, był dziwną konstrukcją. Miał długi środkowy rdzeń i cztery siedzenia po bokach – należało na nich usiąść okrakiem i złapać się za uchwyty z przodu, każde było też wyposażone w osłonę z przodu.

Wyglądało to tak... jakby cztery mniejsze motocykle przymocowano do większego kadłuba. Trzy z czterech miejsc zostały zajęte i choć Nomad miałby miejsce z przodu po prawej, zamiast tego trzymał się środka maszyny – jedną ręką kurczowo ścisnął zaimprovizowany uchwyt, a drugą trzymał tarczę, osłaniając plecy prowadzącej.

Strzał trafił około trzech stóp od Nomada, dalej wzdłuż kadłuba. Prowadząca zakłęła i oberwała się. Uczynił tarczę przezroczystą, żeby mogła się przyjrzeć – bo strzelec znów trafił w to samo miejsce i kawałek motocykla odpadł, odsłaniając fragment wewnętrznego mechanizmu, który świecił jasno.

Wyczuwając panikę prowadzącej, Nomad przesunął się wzdłuż kadłuba i zablokował kolejny strzał – który wybuchł fontanną iskier na jego tarczy. Ustawił się bezpośrednio za miejscem, w które celował strzelec wyborowy, i jedną ręką trzymał się śliskiego boku metalowej obudowy.

Dzięki temu mógł się przyjrzeć temu, w co celował wróg – niedużej klapie na kadłubie. Kiedy odpadła, ukazał się przedział, w którym znajdował się świecący odłamek skały... a może kawałek szkła? Był wielkości granatu i emanował tym samym czerwono-pomarańczowym blaskiem co silniki i wystrzały z karabinów.

– Źródło energii? – domyślił się Nomad, blokując kolejny strzał.

„Z niemal całkowitą pewnością, mówi rycerz z niemal całkowitą pewnością”.

– Myślisz, że to ma dość mocy, żebyśmy wydostali się z tej planety?

„Wątpię”.

– Jest dość silne, żeby umożliwić latanie tym statkom. To zużywa mnóstwo energii.

„Tak, i to słuszna uwaga, ale niektóre technologie na niektórych planetach z większą skutecznością niż inne przekształcają energię w Napędzenie i odwrotnie. A twoja własna skuteczność wchłaniania i wykorzystywania nie jest zbyt wysoka. Zgaduję, że potrzebowalbyś dwudziestu do trzydziestu takich, żeby uruchomić Przeskok, ale będziemy mogli dokładniej to ocenić, kiedy go wchłoniesz. Sugeruję, żebyś zrobił to dopiero po tym, jak wylądujemy. Chyba że wolałbyś, żeby to lądowanie było nieco bardziej gwałtowne niż zazwyczaj”.

– Przyjąłem do wiadomości.

Przed nim prowadząca jakimś sposobem pochyliła się jeszcze bardziej za niską przednią szybą i popchnęła dźwignię gazu najdalej, jak się dało. Szczerbaty mężczyzna, którego Nomad uratował, trzymał się mocno swojego siedzenia i patrzył szeroko otwartymi oczyma, a wiatr szarpał jego włosy.

Nomad spojrział przed nich z nadzieją, że zobaczą fortecę albo wsparcie pędzące w ich stronę. Tymczasem dostrzegł jedynie głęboką czerń. Wydawało się, że pierścienie planety porużyły się nad nimi na niebie. Ale tak naprawdę wcale się nie przesunęły – statek leciał tak szybko do przodu, że Nomad patrzył teraz na pierścienie pod innym kątem. Nie tylko wyprzedzili obrót planety, ale też zmienili położenie wobec ciał niebieskich.

Na burze. Nie lecieli aż tak szybko. Jak mała musiała być ta planeta, jeśli tak krótki lot pozwalał na tak szybkie jej okrążenie? Powinien to dostrzec, kiedy zobaczył linię horyzontu, i zwróciłby na to uwagę, gdyby nie był tak rozproszony. Ale ciążenie było względnie normalne, co oznaczało gęsty rdzeń, może bardziej niż naturalne dla...

Prześni, pomyślał. Mężczyzna, który dokonywał takich obliczeń... już nim nie jesteś.

Tak czy inaczej, szybko zbliżali się do cieni z przodu. Miejsca pod przytłaczającą osłoną chmur, gdzie brakowało nawet słonecznego światła odbitego od pierścieni.

Strzelec wyborowy wrócił do kajuty, ale wrogie statki ich doganiały – Nomad słyszał okrzyki rozżarzonych. Tłoczyli się na platformach z przodu, gotowi do skoku w chwili, kiedy ich statek zbliży się do motocykla Nomada.

„Więc, pyta rycerz, jak zamierzasz to przeżyć bez walki?”

– Mam nadzieję, że Udręka trochę się rozluźni. Może ulituje się nade mną?

„Powodzenia, odpowiada rycerz z mnóstwem smutnego sceptycyzmu”. Nomad tęsknił za dniami, kiedy w tym głosie była modulacja. Na początku ich związku Pomocnik niechętnie ukazywał swoją prawdziwą tożsamość, ale w czasie spędzonych razem dziesięcioleci jego ekspresyjność ciągle wzrastała. Aż do... tamtego dnia.

Nomad skupił się na zadaniu utrzymywania tarczy na miejscu. Przewroczysty metal pozwalał mu przyglądać się zbliżającym się rozżarzonym, kiedy czworo z nich przygotowywało się do skoku. Nawet gdyby mógł walczyć, miałby problem z poradeniem sobie z czwórką jednocześnie – szczególnie kiedy na drugim statku przygotowywało się czworo kolejnych.

Na szczęście miał jedną przewagę. Wszystko, co widział do tej pory, wskazywało, że te istoty nie spodziewały się, by ktokolwiek dorównywał im siłą. Dlatego Nomad odetchnął głęboko, wstał, pobiegł wzdłuż latającego motocykla i skoczył.

To było znajome.

Wiatr szarpiący resztki jego ubrania.

Niekończący się przestwór nad głową.

Ziemia poniżej, patrząca w górę, aspirująca.

Nomad i niebo w ostatnich czasach nie odzywali się do siebie. Ale przez jakiś czas w przeszłości byli ze sobą blisko i wciąż umiał się poruszać po jej mieszkaniu.

Czuł się... silniejszy. Choć wcześniej tego dnia z trudem udało mu się wskoczyć na tamtą skrzynię, tym razem poszybował.

Rozżarzeni patrzyli wstrząśnięci na dystans, który przebył. Poszybował nad ich głowami i uderzył w ścianę kajuty za nimi z siłą wystarczającą, by wstrząsnąć pojazdem. Zsunął się po niej na pokład z przodu statku, uśmiechnął szeroko i przywołał Pomocnika jako miecz...

Racja. Żadnych mieczy.

...przywołał Pomocnika jako bardzo duży klucz nastawny. Wymierzył go w czworo rozżarzonych i rzucił się na nich. Rozstąpili się przed nim i okrążyli go. On jednak się nie zamachnął. Obrócił się w stronę jednego z nich i zmienił Pomocnika w tarczę w chwili, kiedy zaatakowali. Zablockował cios i odrzucił rozżarzonego do tyłu, po czym zawirował, by przyjąć kolejne uderzenie.

Błyskawicznie reagował na każdy atak – choć posiadanie potężnej, przewroczystej, zmieniającej kształt tarczy bez wątplenia dawało mu przewagę. Musiał być ostrożny, żeby nie odpychać

ich zbyt agresywnie, co uruchomiłoby Udrękę.

„Nomadzie, ostrzega rycerz, sprawdź drugi statek”.

Spojrzał w bok i zobaczył, że druga jednostka prawie dogoniła latający motocykl. Jego szczyt przyjaciel osunął się na bok. Był przypięty, ale tracił przytomność z bólu. Uwięziona rozżarzona walczyła z kajdanami i wyla w stronę sojuszników, ale prowadząca – nisko pochylona – skupiała się na kierowaniu. Nie mogła użyć broni, bo musiała lawirować i odskakiwać, żeby utrzymać się z dala od wrogiego statku.

Bezskutecznie. Był szybszy i bardziej sterowny. Wkrótce będzie miała czworo wrogich żołnierzy pełną parą po kadłubie w jej stronę. Nomad zablokował jeszcze jeden cios, po czym odwrócił się, przecisnął między dwojgiem rozżarzonych i przeskoczył na drugi wrogi statek.

Znów chwila w powietrzu. Wspaniała.

Dotarł do celu, w ostatniej chwili złapał za pokład statku, spadł i zawisł obok jednostki. Zmienił Pomocnika w drabinę, zaczepioną o reling, i wspinał się po niej, by stawić czoło nowej grupie zaskoczonych rozżarzonych. Pilot, wstrząśnięty jego pojawieniem się, na chwilę utracił kontrolę nad statkiem, przez co platforma skręciła w stronę towarzysza. To sprawiło, że czworo rozżarzonych, którzy na nim przebywali – i skupiali się całkowicie na Nomadzie – przeskoczyło dzielącą ich odległość. I w ten sposób cała ósemka była gotowa walczyć z nim na jednym zatłoczonym pokładzie.

Doskonale.

W walce jeden przeciwko wielu chaos mu sprzyjał. Wyszkolony oddział żołnierzy bez trudu by go otoczył i przyszpilił, ale ci ludzie nie walczyli w sposób skoordynowany. Atakowali go pojedynczo, krzycząc ze złością. Byli szybcy i silni, ale ich zwyczajowa przewaga nad innymi sprawiła, że przyswoili sobie niewłaściwe lekcje. Myśleli, że nie muszą walczyć jako zespół. Widział to wiele razy.

Przetoczył się po pokładzie, zatrzymał z poślizgiem i podniósł z tarczą w rękę, blokując ciosy maczet i pałek, które do niego dotarły. Pozostali rozżarzeni potykali się albo zderzali ze sobą, tak bardzo chcieli go dopaść. Poderwał się na równe nogi, rzucił jednego mężczyznę na kilku innych i skoczył bliżej kokpitu na tyłach długiego pokładu.

Przez okno widział pilotkę w białym płaszczu, która przyglądała mu się z przerażoną miną. Nacisnęła przycisk i na jej okno nasunęła się osłona przeciwuderzeniowa, odcinając ją. Całe szczęście to nie pilotka go interesowała. Bo Nomad dostrzegł kłapę w pokładzie, podobną do tej, która została odstrzelona na latającym motocyklu.

Zmienił Pomocnika w łom i wbił go w zamek kłapy. Kłapa otworzyła się, ukazując źródło mocy.

„Ach... mówi rycerz z niechętnym podziwem”.

Ogniwo energetyczne w środku emanowało podobnym blaskiem, co grot włóczni, który tworzył rozżarzonych, ale światło nie było aż tak... gwałtowne. Nomad na wszelki wypadek zmienił Pomocnika w rękawicę i sięgnął do środka, po czym wyrwał ogniwo. Rozżarzeni próbowali rzucić się na niego, ale statek – pozbawiony mocy – zaczął spadać. Nomadowi udało się jeszcze odbić i skoczyć w stronę pierwszego okrętu wojennego.

Za jego plecami rozżarzeni spadali z wyciem. Nieszczęsny statek wbił się w ziemię poniżej w chwili, kiedy Nomad wylądował na jego towarzyszu.

„Powinieneś móc przenieść to źródło mocy bez uszczerbku dla siebie”, powiedział Pom. „Różni się w jakiś sposób od tych grotoń włócznie. Jest bardziej stabilne”.

Pokiwał głową i ujął jedną ręką źródło mocy, po czym odesłał rękawicę. Wychylił się za reling, a kiedy spojrział w dół, zobaczył, że rozżarzeni wydobywają się z błota. Ziemia sprawiała wrażenie równie mokrej, jak na arenie. Może w ciemności padał deszcz. Później, kiedy planeta obracała krajobraz w stronę słońca, odbite światło – i Napełnienie – pozwalało wyrastać roślinom. W końcu nadchodził wschód słońca, który wszystko wypalał.

Cóż za dziwne życie prowadzili ci ludzie, zawsze kilka godzin od całkowitego unicestwienia. Nic dziwnego, że nie ufali jednemu wielkiemu, niepodzielnemu statkowi. Dużo mniejszych silników zapewniało większą redundancję. Nie wspominając już o możliwości oddzielenia swojego domu od innych i wyruszenia w drogę, gdyby coś stało się ze wspólnotą.

Wydawało mu się, że widzi całą ósemkę rozżarzonych wydobywającą się z wraku poniżej. Potępienie. Te istoty trudno było zabić.

Uniosł tarczę i odwrócił się w stronę kokpitu tego statku, gdzie pilotowi towarzyszyła strzelczyni wyborowa. Oboje patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami przez szkło. Kobieta uniosła broń w jego stronę. I w panice wystrzeliła – robiąc otwory w szybie.

Wszystkie pociski odbiły się od jego tarczy. Później, co było do przewidzenia, próbowali podnieść własną tarczę. Dlatego wrzucił Pomocnika przez okno – wbijając go w mechanizm, co nie pozwoliło im zasłonić na wpół stopionego okna.

Nomad ruszył naprzód. Był całkowicie nieuzbrojony, oczywiście – i, co gorsza, całkowicie niezdolny, by zrobić krzywdę tej dwójce. Ale oni tego nie wiedzieli. Wskazał ich broń i wbił w nich wściekłe spojrzenie. Zauważył, że tutaj ludzie byli – przeciętnie – niżsi niż na jego ojczystym świecie. Często czuł się niski w porównaniu z potężnymi Alethyjczykami, ale tutaj to on był wysoki.

Zastraszona przez dziwnego mężczyznę trzymającego ogniwo paliwowe gołą ręką strzelczyni wypełniła polecenie Nomada. Opuściła broń, a później – w odpowiedzi na jego gest – wyrzuciła ją przez zniszczone okno. Cofnęła się i uniosła dłonie. Pilot stał za sterami, a kiedy Nomad sięgnął po broń, mężczyzna zrobił bezkłę.

Kiedy odzyskali pozycję pionową, strzelczyni leżała na podłodze kajuty. Pilot, przypięty pasami, został na swoim miejscu. Podobnie jak Nomad, bo Pomocnik przekształcił się w but magnetyczny wokół jednej z jego nóg. Serce waliło mu w piersi – nie był pewien, czy to się uda. Uśmiechnął się z ulgą, uniosł rdzeń energetyczny do twarzy i odetchnął.

Opanowanie tej sztuczki zajęło mu wiele miesięcy. Był pewien, że „odetchnięcie” miało charakter czysto psychologiczny, ale jakimś sposobem wszystko ułatwiało. Możliwość karmienia się Napełnieniem była pozostałością ciężaru, który niegdyś dźwigał, i który dał mu Udrukę.

Potrzebował źródła energii, która była potencjalna, nie kinetyczna. Naukowe określenia, w tym przypadku oznaczające, że był wyjątkowo skuteczny w wysysaniu baterii i innych stabilnych źródeł Napełnienia. Jednakże coś w rodzaju wiązki energii, jaką w niego wystrzelono albo – niestety – moc tego słońca nie zadziałałyby. Zbyt intensywne, zbyt kinetyczne. Było mu również burzowo trudno wydobyć Napełnienie z osoby lub innej istoty żywej, wymagało to bardzo wyjątkowych okoliczności.

W tym przypadku miał to, czego potrzebował – baterię. Bez trudu wchłonął Napełnienie tego fragmentu słońca – kuli stopionego światła, która jakimś cudem nie była ani odrobinę gorąca. Kiedy zabrał Napełnienie, cały rdzeń przygasł, opróżniony z energii. Po wyczerpaniu wyglądał jak ciemne szkło albo jeden z klejnotów z jego ojczystego światła, tyle że na powierzchni miał gładkie pofalowania i wybrzuszenia, jak stopione szkło albo żużel.

W jego głowie Pomocnik westchnął z zadowoleniem. „To się nada, mówi rycerz swojemu niemytemu towarzyszowi”.

– Ile uzyskaliśmy?

„Podskoczyliśmy ponad dziesięć procent. Nadal chcesz, żebym Związał cię z tą ziemią, żebyś mógł posługiwać się językiem?”.

– Absolutnie. Mam dość słuchania czystego bełkotu.

„W porządku. Daj mi kilka minut, a będzie zrobione”.

Nomad pokiwał głową. Wycelował w pilota i ukrył stężenie ramion, udając, że po prostu stoi nieruchomo gotów do strzału. Na ten widok pilot pobladł jeszcze bardziej. Nomad opuścił broń w chwili, kiedy jego mięśnie się rozluźniły, i wskazał w bok.

Pilot posłusznie zbliżył go do uciekającego latającego motocykla. Nomad pokiwał głową, a później wskazał pilota, a następnie teatralnym gestem do tyłu, jednocześnie robiąc najbardziej ponurą minę, jaką potrafił. Starał się, by implikacje były jasne „Lepiej, żebyś nas nie gonił”.

Nomad przeskoczył na latający motocykl. Wydawało się, że wrogi pilot zrozumiał jego rozkaz, bo natychmiast skręcił i uciekł w stronę innych statków, które podążały za nimi w pewnej odległości. Robiło się coraz ciemniej, a przed nimi padający deszcz jeszcze bardziej wszystko zasłaniał. Kiedy pospieszyli w jego stronę, ta ściana deszczu przypominała Nomadowi inną burzę w domu. Koszmarnie tęsknił za tym miejscem, ale nie mógł tam wrócić, bo nie chciał doprowadzić Nocnej Brygady do ludzi, którzy go kochali.

Szczerbaty mężczyzna patrzył na niego z podziwem. Kiedy odzyskał przytomność? Kobieta kierująca motocyklem obejrzała się na niego. I zawahała. Wybałuszyła oczy na widok jednego uciekającego statku i braku drugiego. Na burze. Nie patrzyła? Dopiero teraz się zorientowała, co zrobił? Jej mina świadczyła, że tak.

Westchnął. Zdążył się już przyzwyczaić do widoku obcych. Nie uważał ich za „dziecinnych” z powodu ich dziwnych oczu – właściwie nauczył się rozpoznawać niuanse niezliczonych narodowości. Znał Alethyjczyków o równie wielkich oczach, co Shinowie, spotkał też mieszkańców innych światów, mogących uchodzić za Vedeńczyków – nawet wśród populacji, której większość wyglądała inaczej.

Nadal jednak nie mógł przestać myśleć, że przypominali trochę owady, kiedy wyrażali zaskoczenie. Cóż, co kto lubi. Przeszedł do przodu na miejsce po jej prawej. Po drodze jednak zaczepił o coś nogą i upuścił karabin.

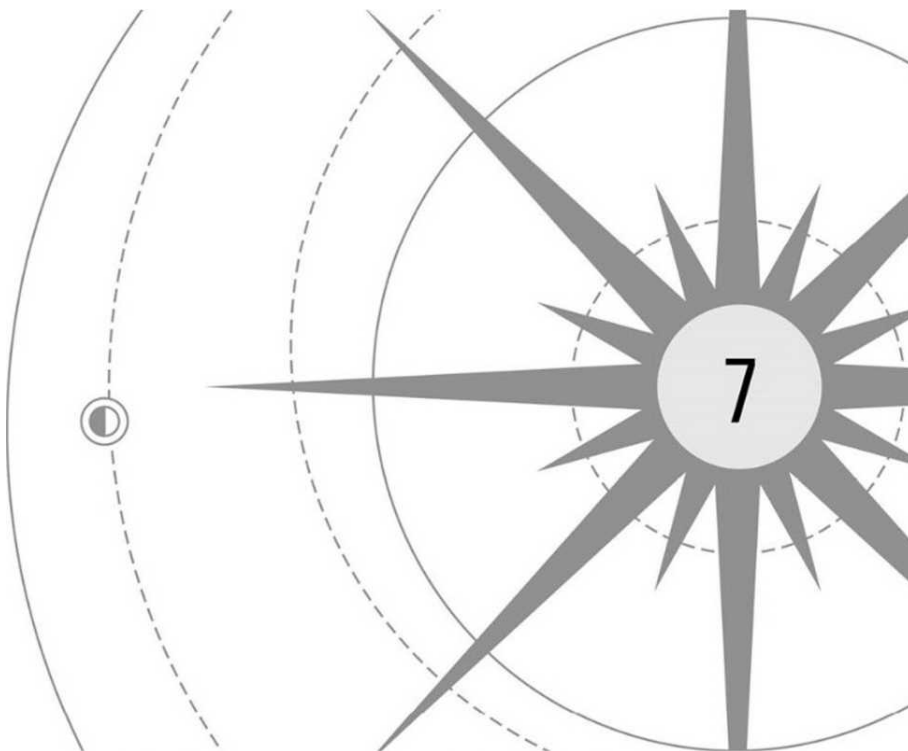
Wychylony sięgnął po niego, ale mu się to nie udało. Wzruszył ramionami.

Prowadząca coś do niego powiedziała, z wyraźną frustracją w głosie.

– Jasne. – Usiadł na miejscu obok niej. – Założę się, że jesteś zła, że zgubiłem karabin. Nie wydaje się, by było ich tu dużo. Cóż. – Westchnął i potrząsnął dłonią. Jego kciuk działał normalnie, ból ustąpił, a zadrapania na bokach dłoni się zagoiły. – Pewnie nie masz nic dobrego do wypicia?

Celowo powiedział to po alethyjsku, który nie był jego ojczystym językiem. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły go, by nie mówić w swoim języku, bo istniało ryzyko, że zacznie się posługiwać miejscowym dialektem. Tak działał Związek – Pomocnik sprawiał, że jego dusza myślała, że został wychowany na tej planecie, więc jej język przychodził mu równie naturalnie, jak jego własny. Ponieważ zwykle nie chciał, by ludzie słyszeli, co mówi do Pomocnika, przyzwyczaił się do mówienia po alethyjsku, jeśli nie chciał zostać zrozumiany.

Tak czy inaczej, prowadząca gapiła się na Nomada, kiedy wlecieli w ciemność tych dziwnych, przytłaczających chmur.



Tutejszy deszcz nie był aż tak intensywny jak burza w domu. Po prostu krótki opad zimnej wody. Trwał zaledwie minutę, choć wkrótce przeszli przez kolejny. Domyślał się, że te wszechobecne chmury oznaczały niemal bezustanne rozproszone przelotne deszcze w tej strefie ciemności.

- To miejsce jest dość spektakularne - powiedział do Pomocnika. - Słońce ciągle przesuwa się naprzód i wyparowuje to wszystko.

Spojrzał na tablicę rozdzielczą przed sobą, na której znajdował się również kompas. Zmusiło go to do zmiany sposobu, w jaki wszystko postrzegał.

- Tutaj słońce wschodzi na zachodzie, za naszymi plecami. Goni nas, wyparowuje wszystko na swojej drodze, błyskawicznie doprowadza wodę do stanu przegrzanej pary. Nie możemy wyruszyć zbyt daleko do przodu, bo znowu znajdziemy się w zasięgu słońca. Więc przed nami, na wschodzie, planeta obraca się i nagle zapada ciemność. Założę się, że ta burza tutaj jest tego skutkiem, powstaje o zachodzie słońca, kiedy cała przegrzana woda nagle stygnie.

„W rzeczy samej, odpowiada rycerz na dziwną gadaninę swojego giermka. Minęło wiele czasu od kiedy przebywaliśmy na planecie z ciągłą burzą. Przypomina ci dom?”

- Na wszystkie niewłaściwe sposoby. Pogoda nie ma sensu, jeśli wziąć pod uwagę gorąco po drugiej stronie. Nie jestem meteorologiem, ale instynkt podpowiada mi, że cała ta planeta powinna być jedną wielką nienadającą się do życia trąbą powietrzną.

Latający motocykl miał pulpit sterowniczy ze światełkami, które pokazywały prowadzącą, co robi, więc nie lecieli całkowicie na ślepo. Ale pojazd nie miał przednich świateł, a brak jakiegokolwiek dachu podpowiadał mu, że ludzie rzadko wlatywali nimi w ciemność.

To miało sens. Oddział tej kobiety zaatakował o wiele bardziej niebezpieczną grupę, by przeprowadzić misję ratunkową. Najwyraźniej dołączył do partyzantki – ukrywającej się w ciemności, w którą inni bali się wkroczyć. Może nieduży naród piratów?

Ale jak jej rodacy w ogóle zostali porwani? I jeśli regularnie robili takie rzeczy, dlaczego nie przerobili swoich statków, żeby móc latać w deszczu i nie moknąć?

Dlatego wycofał się ze swoich założeń, powrócił do tego, czego był pewien, i na tym się oparł. Myślał metodycznie, logicznie. Ta część jego osobowości pozostała – część, która domagała się dowodów i statystyk nawet kiedy przyjaciele się z niego śmiali. Po tych wszystkich latach wciąż był tą samą osobą. Podobnie jak bryła metalu teoretycznie wciąż była tą samą substancją nawet po tym, jak przekuto ją w toporzysko.

Nie są piratami, uznał. Są uchodźcami. Zostali zaatakowani przez tę większą grupę i się ukryli. Teraz odważyli się zaatakować, by ocalić przyjaciół.

Zaledwie robocza teoria, ale wydawała się właściwa. Nie mógł jedynie pojąć, dlaczego porwali rozżarzona. Może, żeby na niej eksperymentować albo...

Jestem idiotą, pomyślał, kiedy przyjrzał się prowadzącej i zauważył czarny warkocz przetykany siwizną, spoczywający na jej ramionach. Jej młodzieńcze rysy twarzy były podobne do kobiety przykutej z tyłu, obie miały jasnozielone oczy w odcieniu, który w jego ojczyźnie najpewniej oznaczałby przynależność do szlachetnie urodzonych.

Rozżarzona była członkiem rodziny. Najpewniej starszą siostrą, na co wskazywał ich wiek. Powinien dostrzec to wcześniej. Ci ludzie padli ofiarą ataku, w czasie którego pojmano jeńców, a niektórzy zostali poddani straszliwym torturom. Kobieta obok niego uratowała jedno z nich. To było niebezpieczne, o czym świadczył sposób, w jaki rozżarzona ciągle szarpała się i walczyła, a światło w jej piersi płonęło w mroku krwistą czerwinią.

Ale kim był, by to osądzać? Przybył tutaj, by ukraść statek, a później znaleźć źródło mocy dość silne, by wydostać go z tej planety. Choć uznał, że najpierw pozwoli, by prowadząca go nakarmiła i dała mu coś do picia w nagrodę za ocalenie jej skóry.

Wyczuł pojawienie się Związku, kiedy lecieli w ciemności. Ale potwierdzenie nadeszło, gdy kobieta odezwała się do radia.

– Promień? – powiedziała. – Tu zwiadowca, proszę o skoordynowanie sygnału.

– Rebeke? – spytał męski głos. – Rebeke Ocalenie, to ty?

– To ja, jeśli zechcesz mnie przyjąć. Kod wstępu to wdzięczność trzynaście.

– Dobrze słyszeć twój głos, dziewczyno – odparł mężczyzna, ale wycie wiatru prawie zagłuszyło jego słowa. – Czy Boskość jest z tobą?

Głos Rebeke załamał się, kiedy odpowiedziała.

– Nie. Zginął.

Cisza na linii. W końcu mężczyzna mówił dalej:

– Niech jego dusza znajdzie drogę do domu. Tak mi przykro.

– Mój brat podjął to ryzyko. – Lzy mieszały się z deszczem na jej policzkach. – Ja również.

Nomad popatrzył na nią ponad kadłubem. Ta Rebeke nagle wydała mu się młoda. Najwyżej dwadzieścia lat. Może to przez łzy.

– Zapale – powiedziała Rebeke. – Ja... przynoszę kogoś. Będę ogromnie wdzięczna, jeśli zechcesz zareagować wstrzemięźliwie.

– Kogoś? – spytał mężczyzna, Zapal. – Rebeke... czy to dlatego zostałeś z tyłu? Czy posłałeś po swoją siostrę, otwarcie sprzeciwiając się woli i decyzjom Większego Dobra?

– Tak – szepnęła Rebeke.

– Ona jest niebezpieczna! Jest jedną z nich.

– Istniejemy dzięki Elegii. – Głos Rebeke przybierał na sile. – Ona nas prowadziła. Ona nas inspirowała. Nie mogłam jej zostawić, Zapale. Nie stanowi dla nas niebezpieczeństwa, dopóki będzie związana. A może... może uda nam się jej pomóc...

– Porozmawiamy o tym, kiedy wrócisz. Otrzymałeś sygnał do Promienia. Ale, Rebeke... to było bardzo lekkomyślne z twojej strony.

– Wiem. – Spojrzała na Nomada, który ostentacyjnie siedział odchyłony do tyłu, z zamkniętymi oczami, i udawał, że nie rozumie. – Mam jeszcze kogoś... Jeńca?

– Brzmisz niepewnie.

– Uratowałam go przed Popielnym Królem. Ale coś z nim jest nie tak. Nie umie normalnie mówić. Myślę, że może być trochę ociężały umysłowo.

– Czy jest niebezpieczny?

– Może? Pomógł Thomosowi, którego nie zauważyłam w trawie. Powiedz jego rodzinie, że go mam. Ale wcześniej ten obcy udawał, że jest zabójcą, żebym go uwolniła, a później nie przydał się zbyt w walce.

Nie przydał się zbyt?

Nie przydał się zbyt?!

Pokonał dwa wrogie statki, choć nie mógł nawet walczyć. Zmusił się, żeby nie odpowiadać, ale... na Potępienie. Ona kłamała czy... Cóż, nie widziała go tam. Ale zauważyła, że trzymał karabin po tym, jak te dwa statki zniknęły. Jak go według niej zdobył?

„Zauważyłeś imiona? – pyta rycerz z zainteresowaniem”.

– Elegia – powiedział Nomad po alethyjsku. – Boskość. Zapal. Tak, zauważyłem. Myślisz...

„Trenowcy, odpowiada rycerz, względnie pewny swojej rozsądnej oceny sytuacji. Całe odłączenie ich kultury. Nie spodziewałem się tego. A ty?”.

– Nie, a powinienem. Ubrania są podobne. Zastanawiam się, jak dawno temu się oddzielili?

„Domyśliłeś się, że jeniec to siostra tej kobiety?”.

– To zauważyłem – odparł z namysłem. – Trenowcy. Czy oni nie... zostają, kiedy giną?

„We właściwych okolicznościach zmieniają się w cienie, wyjaśnia bohater swojemu tępemu lokajowi, który naprawdę powinien pamiętać, że raz prawie został pochłonięty przez jedno z nich”.

– Racja. Zielone oczy, później czerwone, kiedy chcą się pożywić. Całkowity brak wspomnień. Mam wrażenie, że już byśmy je zobaczyli. Cienie wychodzą w ciemności, a my od przybycia tutaj nie opuszczamy ciemności.

„Może ta grupa oddzieliła się, zanim dopadła ich śmierć Odprysku – i jej reperkusje”.

Nomad pokiwał z namysłem głową. Stale utrzymujące się chmury w tym rejonie – bez pierścieni na niebie, które pozwoliłyby mu orientować się w otoczeniu – robiły teraz wrażenie bardziej złowrogich. Jakby szybował w przestrzeni, a poniżej i powyżej nic nie było. Wieczna ciemność. Być może zamieszkała jedynie przez duchy zmarłych.

Ucieszył się więc, kiedy przed sobą zobaczył ogień – światło płonących silników pod miastem. W tym ciemnym, pełnym deszczu krajobrazie, wśród zastaniających wszystko przelotnych opadów i wysokich czarnych wzgórz, dostrzegli je dopiero, kiedy znaleźli się tuż przy nich. Miasto wydawało się mniejsze od tego, które pozostawili za sobą, i nie zostawiało tak dużych śladów na ziemi – a te, które zostawiło, pewnie szybko zmywał deszcz. Ogólnie rzecz biorąc, było niezłe ukryte, mimo tych płonących silników.

Rebeke podleciała motocyklem do aglomeracji i zamocowała go na skraju miasta – zwanego Promieniem, jak zakładał. Mimo nazwy panowała w nim imponująca ciemność. Dostrzegł kilka światełek, ale niewielkich i zawsze czerwonych. Silniki poniżej były zamaskowane tak długo, jak trzymali się nisko i pozwalali, by wzgórze i deszcz je osłaniały.

Nie umiał ocenić rozmiaru Promienia, choć łatwość, z jaką ich motocykl zadokował i stał się kolejnym elementem konstrukcji kazał mu sądzić, że miało taką samą architekturę jak platforma, na której był wcześniej. W padającym ukośnie drobnym deszczu czekało na nich kilka osób. Oświetlał ich blask ciemnoczerwonej latarni niesionej przez mężczyznę na czele, który był wysoki, surowy i ponury. Nomad natychmiast uznał, że to ten nazywany Zapalem, z którym Rebeke rozmawiała przez radio.

Był więc zaskoczony, kiedy głos Zapala opuścił usta bardzo niskiego mężczyzny stojącego z boku. Miał niecałe cztery stopy wzrostu i normalnych rozmiarów głowę, ale za to ręce i nogi krótsze niż u przeciętnego człowieka. Czy miał ciemnobrązowe, zupełnie jak Nomad.

– Rebeke – powiedział Zapal. – To, co zrobiłaś, było niebezpieczne.

– Bardziej niebezpieczne niż plan Elegii? – spytała. – Odzyskałeś to, Zapale?

Zamiast odpowiedzieć, wpatrzył się z namysłem w Nomada.

– To ten obcy? Jak się nazywa?

– Nie zostałam zaszczyczona tą informacją – wyjaśniła Rebeke. – Wydaje się, że nie rozumie słów, które wypowiadam. Jakby... nie znał języka.

Zapal zrobił kilka gestów, wskazał na uszy, a później klasnął w dłoń. Może myślał, że Nomad nie słyszy? To rozsądne założenie, uznał Nomad. Nikt inny na planecie nie spróbował tego podejścia.

Nomad odezwał się do niego po alethyjsku, udawał przy tym zdezorientowanego i dużo gestykułował.

Zapal i wysoki mężczyzna podeszli, by pomóc szczerbatemu mężczyźnie, Thomosowi. Biedak znów się osunął, był na wpół przytomny i mamrotał, a na siedzeniu utrzymywał go jedynie pas. Na rozkaz Zapala kilku innych zabrano go pospiesznie, pewnie, by uzyskać pomoc medyczną.

– Zajmijcie się nim – powiedział Nomad po alethyjsku.

– Co to za bełkot? – Wysoki mężczyzna uniósł latarnię. Był tak chudy i tykowany, że z uniesionym światłem trochę przypominał latarnię. Szczególnie w tym długim czarnym płaszczu przeddeszczowym.

- Często wydaje takie odgłosy - powiedziała Rebeke.

- Interesujące - odparł wysoki mężczyzna.

Zapał spojrział w stronę zadokowanego latającego motocykla i podszedł powoli. Dołączył do niego wysoki mężczyzna, podobnie jak Rebeke, i we trójkę stali i wpatrywali się w rozżarzoną przywiązaną z tyłu, która cały czas warczała.

- Elegio - powiedział Zapał. - Elegio, to my.

To wywołało jedynie dalsze warczenie. Zapał westchnął.

- Chodźcie. Musimy zwrócić się do Większego Dobra i błagać je w twoim imieniu. Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę, proszę, zajmij się nią najlepiej, jak się da.

Wysoki mężczyzna skinął głową.

Chwilczkę. On miał na imię Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę? To było najlepsze, jakie Nomad słyszał. Naprawdę powinien zrobić sobie spis imion z Trenu.

- Ach... - dodał Zapał. - Jeśli możesz, znajdź też kwatery dla gościa Rebeke, Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę. Jeśli to zadanie nie sprawi ci kłopotu, spraw, by oddano mu jeden ze statków bez lokalnej kontroli dostępu. Wygląda, jakby miał docenić kąpiel i łóżko.

Zapał i Rebeke ruszyli razem ulicą, mężczyzna włączył czerwoną latarkę, by oświetlić im drogę. Łóżko i kąpiel kusily, ale dowiedzenie się tego, co się tu działo, było jeszcze ważniejsze. Dlatego Nomad ruszył za nimi.

Naturalnie Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę w końcu podszedł pospiesznie, złapał go za rękę i łagodnie próbował odciągnąć. Nomad uśmiechnął się, zdjął jego dłoń i ruszył dalej. Kiedy mężczyzna próbował złapać go mocniej, Nomad wyrwał się z większą siłą.

Było to agresywne, owszem. Może wpakowałby się przez to w tarapaty. Może zaatakowałiby, a on miałby usprawiedliwienie, by ukraść latający motocykl. Pewnie powinien i tak to zrobić, ale... cóż, miał ochotę być miłośniwy. Dlatego po prostu pomaszerował za pozostałą dwójką, a za nim szedł zdenerwowany Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę.

Rebeke i Zapał weszli do budynku - statku z większą konstrukcją nad pokładem. Nomad wszedł za nimi, nie pozwalając, by drzwi się zamknęły. Zobaczył, że to słabo oświetlony, niewielki przedsiónek o prostych, czarnych ścianach. Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę w końcu wcisnął się za nim.

- Jestem ogromnie skruszony, Zapale - powiedział wysoki mężczyzna. - On po prostu... nie chciał pójść za mną.

- W takim razie może powinniśmy przedstawić go Więszemu Dobru - zaproponowała Rebeke. - Może byłoby stosowne, by go zobaczyły, istnieje bowiem szansa, że one wiedzą, jakiego rodzaju osobą jest.

- Uważam to za stosowne - odparł Zapał po krótkim namyśle. - Możesz powierzyć go nam, Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę.

- A jeśli on jest niebezpieczny? - szepnęła wysoki mężczyzna. - Rebeke powiedziała... że może być zabójcą.

- Te bransolety na jego nadgarstkach - powiedział Zapał. - Zakładam, że Popielny Król nie miał jeszcze szansy ich przeprogramować. Sądę, że nic nam nie będzie.

Nomad niemal zapomniał o bransoletach, które wciąż nosił. Udało mu się nie spojrzeć na nie, kiedy o nich wspomnieli. To właściwie potwierdziło jego wcześniejsze założenie, że tym

ludziom udało się wyłączyć rozżarzonych, wykorzystując jakąś lukę w systemie bransolet.

Adonalsium-Wreszcie-Wspomni-Naszą-Dolę w końcu wyszedł, by zająć się zakutą w kajdany kobietą, Elegią, a Rebeke otworzyła drzwi na drugim końcu przedsiionka i zaprowadziła ich do w końcu jasno oświetlonego korytarza. Kontrast na chwilę go oślepił, choć elektryczne światła na suficie były względnie przygaszone.

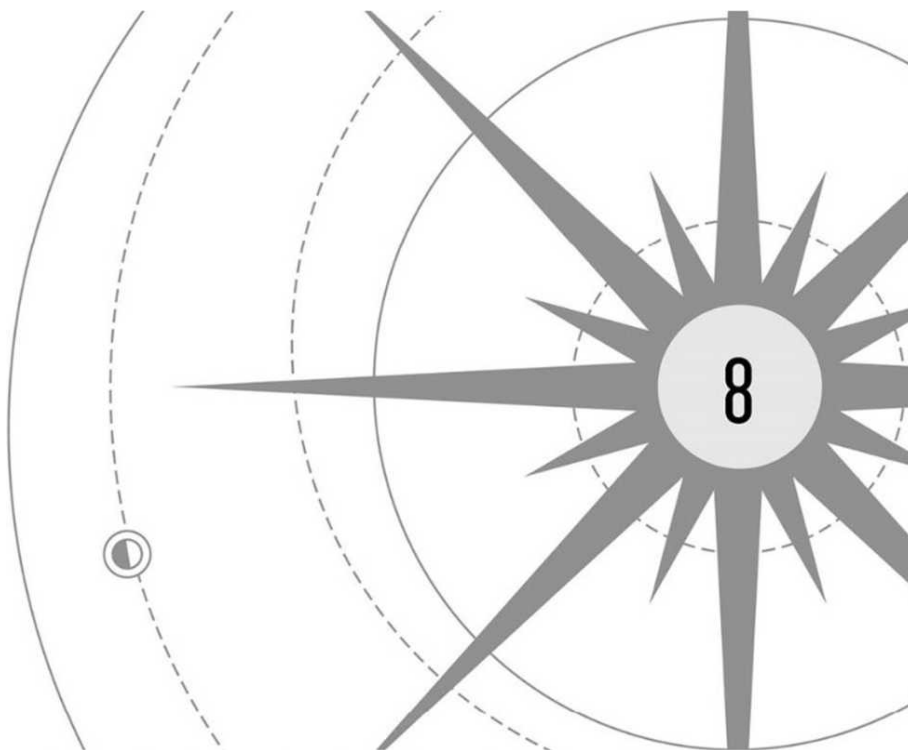
Rzecz jasna, nie było okien. Tamten nieduży przedsiionek był służą świetlną. Mającą zapobiec wylewaniu się światła z budynku na ulicę, dzięki czemu mogli się poruszać niewidzialni w ciemności. Szybkie spojrzenie pokazało mu, że ściana i drzwi oddzielające ich od służu świetlnej powstały z mniej solidnego materiału przypominającego drewno, a podłoga i sufit były metalowe. Ten przedsiionek niedawno dodano.

Tak, to z niemal całkowitą pewnością byli ludzie, którzy dopiero niedawno uciekli i ukrywali się w tej głębszej ciemności pod chmurami.

Razem z pozostałą dwójką ruszył korytarzem i nie przegapił tego, że Zapal cały czas miał na niego oko – trzymał rękę w kieszeni, być może gotów przejąć kontrolę nad bransoletami i znów zamrozić Nomada. Zaprowadzili go do pomieszczenia na końcu korytarza, a on wszedł, nie mogąc się doczekać spotkania z tymi, które nazywali Większym Dobrem.

Okazało się, że to trzy starsze kobiety.





Stare kobiety? To nie było aż tak ekscytujące, jak się spodziewał. Ale, hej, może jedna z nich tak naprawdę była smokiem?

Zachowanie pozostałych wskazywało, że te trzy kobiety trzymają władzę, choć nie miały na sobie niczego królewskiego – jedynie proste czarne sukienki, rękawiczki jak wszyscy pozostali, i kapelusze, nawet w pomieszczeniu. Ta mocno zbudowana była blada, a pozostałe dwie miały bardziej znajomy, ciemniejszy odcień skóry.

Trzy panie siedziały przy stole i przyjmowały raport od przysadzistego mężczyzny o ciemnobrązowych oczach i czarnej brodzie, która po przycięciu mogłaby zostać doskonałą rzeźbą ogrodową. Nomad miał krewniaka w ojczyźnie, z wyglądu bardzo przypominającego tego osobnika. Mężczyzna miał osmalone ramię, wypalona dziura w kurtce odsłaniała powierzchowną ranę. Kolejny uczestnik wypadu.

– Pewności – powiedziała Rebeke do najwyższej z kobiet. Miała niebieskie oczy. – Współczucie. – Ta była najniższa i najbardziej delikatna z wyglądu, z jasnobrązowymi oczami. – Kontemplacja. – Ta była najbardziej masywna, blada, ale z czarnymi włosami, w sposób oczywisty farbowanymi, upiętymi na czubku głowy. Jej szarozielone oczy miały ten sam odcień, co chusta, którą nosiła. – Odzyskałam siostrę – mówiła dalej, kiedy już skinęła każdej z szacunkiem.

– Tak nas poinformowano. – Kontemplacja podrapała się po brodzie. – Jak mniemam, usłyszałaś, że masz nie być zuchwałą.

– Owszem.

- I utraciłaś brata – dodała Pewność. – Jedno z rodzeństwa poświęcone, by ocalić drugie?

- Nie mogliśmy... – zaczęła Rebeke, ale niska kobieta, którą nazywali Współczuciem, wstała. Niepewnym krokiem podeszła i objęła Rebeke.

Rebeke opuściła głowę, aż luźne kosmyki włosów opadły jej na twarz, i trzymała się.

Zapadła cisza. Pewnie to było podnoszące na duchu albo coś. Nomada bardziej zainteresował czajnik z herbatą na stole. Wziął krzesło i podciągnął je bliżej, a później się napił. Woda z jego przemoczonego ubrania kapała na podłogę.

Herbata była zimna. Ale poza tym niezła. Może trochę za słodka.

Wszyscy w pomieszczeniu gapili się na niego, więc odchylił się do tyłu i oparł nogi na stole.

Brodacz je zepchnął.

- Co to za osoba, która ma tak koszarne maniery? – spytał.

Mężczyzna urwał, kiedy Nomad wstał. Ponownie, choć w ojczyźnie uważano go za niskiego, tu był o dobre pół stopy wyższy od wszystkich w pomieszczeniu. Przez porwane ubranie bez wąpienia widzieli jego mięśnie – które sam sobie wyrobił, nie wynikały z jego Napełnienia.

Brodacz przyjrzał mu się uważnie, po czym cofnął się i pozwolił Nomadowi usiąść. Ostentacyjnie znów położył nogi na stole, aż zabrzęczały filizanki trzech starych kobiet.

- Zanim posłaliśmy Thomosa do uzdrowicieli... – Zapał przyciągnął sobie krzesło – ... wymamrotał coś gorączkowo. Że widział, jak ten mężczyzna dotknął promieni słońca i przeżył.

Thomos to widział, tak? Nomad niemal zapomniał o chwili, w której poczuł na sobie słońce, ale został z niego wyciągnięty. Może więźniowie byli zmuszeni oglądać egzekucje. Nomad uznał, że wciąż miał zbyt dobre zdanie na temat Świecących Oczu. To było wyjątkowe okrucieństwo.

- Słoneczny – powiedziała Kontemplacja. – Słoneczny Mąż.

- Jeśli Większe Dobro pozwoli, nie zgadzam się. – Rebeke też zajęła miejsce przy coraz bardziej zatłoczonym stole. – Przyjmijcie, proszę, to spostrzeżenie: gdyby był Słonecznym, pomagałby nam, a nie zachowywał się... tak.

- Mówi bełkotliwie – dodał Zapał. – Jak dziecko jeszcze nieodstawione od piersi.

- Naprawdę? – powiedziała Kontemplacja. – Interesujące, interesujące.

- Jeśli nie macie nic przeciwko, pomyślałam, że być może wam uda się ocenić, z jakim rodzajem człowieka mamy do czynienia – przyznała Rebeke. – I, jeśli mam być szczerą... on z uporem podążał tu za nami. Pewnie musielibyśmy go zamrozić, żeby zmusić do odejścia.

- Może to zabójca! – Brodacz pochylił się. – Nasz własny zabójca! Widzieliście, jak spiorunował mnie wzrokiem?

To... nie była reakcja, jakiej Nomad spodziewał się po tym mężczyźnie. On się uśmiechał, pełen przejęcia.

Rebeke pokręciła głową.

- Gdyby był zabójcą, chyba bym o tym wiedziała, Jeffreyu Jeffreyu.

Jeffrey Jeffrey? Nomadowi to również się spodobało.

- Hej, Pom – powiedział po alethyjsku. – Co ty...

Och, zaraz. Racja. Pomocnika tu nie było.

Wszyscy gapili się na niego.

- Co za dziwne słowa – powiedziała Współczucie. – Poddam wam pod rozwagę tę myśl: czy sądzicie, że pochodzi z dalekiego północnego komentarza? Oni mówią w sposób, który sprawia,

że kobieta musi się czasem skupić, żeby zrozumieć.

– Jeśli pozwolisz, że się z tobą nie zgodzę, Współczucie... – sprzeciwiła się Kontemplacja. – Nie sądzę, by to był jedynie akcent. Nie, zupełnie nie. Tak czy inaczej, mamy pilniejsze sprawy. Zapale, czy mogę otrzymać błogosławieństwo obejrzenia przedmiotu, który odzyskała twoja drużyna?

Niski mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś zawiniętego w chusteczkę. Na zewnątrz zerwał się wiatr, a deszcz dudnił wściekle o metalowy dach i ściany. Stukanie w sklepienie było jak nerwowe palce na dzwonku, żądające obsłużenia. Wszyscy to jednak zignorowali, kiedy Zapal odwinął metalowy dysk wielkości dłoni mężczyzny, z dziwnym symbolem z przodu. Nomad umiał go odczytać, ale absolutnie nie spodziewał się go na tej planecie. Na burze.

Co tu robili Scadrianie?

– Jest prawdziwy... – Kontemplacja położyła na nim palce, dotykając wyżłobień w metalu.

– Jeśli was nie urażę, pozwólcie, że będę mówić otwarcie – powiedziała Pewność. – Czy wiemy, że to jest prawdziwe? – Wysoka kobieta wzięła dysk. – To może być replika. Albo legendy mogą być fałszywe.

– Jeśli nie uznacie tego za zbyt zuchwałe z mojej strony, pozwolę sobie się nie zgodzić – odparł Zapal. – Nie jest fałszywy. Dlaczego Popielny Król miałby sądzić, że ktokolwiek go ukradnie? Nieliczni wiedzą o jego ukochanym projekcie.

– To był plan mojej siostry – powiedziała Rebeke. – To nasza droga do wolności. Nasza jedyna droga. Zapale... udało ci się!

Interesujące. Nomad dodał dwa do dwóch. To nie była jedynie misja ratunkowa – w rzeczy samej, ratunek mógł w założeniu ukrywać bardziej interesujący skok – kradzież tego przedmiotu, który – o czym wiedział z całkowitą pewnością – był scadriańskim kluczem autoryzacyjnym. Rzecz jasna, oni odrzucali plastikowe karty. Metal był ich fetyszem.

Ten dysk otwierał gdzieś jakieś drzwi. A ludzie przy stole o tym wiedzieli, nawet jeśli nie rozumieli do końca, co robili.

– Ale czy uda nam się nim posłużyć? – spytała Współczucie. – Czy znajdziemy drogę do środka, przez starożytną barierę?

– Nie wiemy nawet, czy legendy są prawdziwe – zauważyła Pewność. – Tak, Popielny Król w nie wierzy. Ale pozwolę sobie zaproponować przeciwne zdanie: jaki mamy dowód, że te mityczne łądy pod ziemią istnieją? Miejsce nietknięte przez słońce? Mówię z pełnym przekonaniem: nie poprowadzę tych ludzi z pewnością bez dowodów.

– Czasami nie da się znaleźć dowodów – powiedziała Kontemplacja. – Proponuję, byśmy, przez jakiś czas, kierowali się samą wiarą. Elegia, nasza wybrana Gwiazda Przewodnia, wierzyła. Jest tą, której Większe Dobro zaufało, by pokierowała nami w ciemności. Taki był jej cel, mnie to wystarczy.

– Te słowa brzmią trudno i dziwnie w twoich ustach, Kontemplacjo – powiedziała Pewność. – Co się stało z twoim powołaniem, nauką i rozumem?

Kontemplacja wzięła dysk i trzymała go z szacunkiem, a na jej twarzy – choć postarzałej – malowała się radość, jej oczy płonęły ogniem nowej wiedzy. Niektórzy mogliby postrzegać jej poparbowane na czarno włosy jako oznakę próżności, ale Nomad rozpoznawał w nich symbol panowania nad sobą. Wiedziała, jak lubi wyglądać. I nie obchodziło jej, że inni dostrzegali

sztuczność. Ponieważ wyrażała samą siebie, sztuczne stawało się bardziej autentyczne od oryginału.

- Nawet w nauce wiara odgrywa swoją rolę - powiedziała Kontemplacja. - Każdy przeprowadzony eksperyment, każdy kolejny krok na drodze wiedzy, zaczyna się od wyruszenia w mrok. Nie wiecie, co znajdziecie i czy w ogóle coś znajdziecie. Kieruje nami wiara... wiara w odpowiedzi, które muszą istnieć.

Spojrzała na pozostałych w pomieszczeniu, ominęła wzrokiem Nomada, ale uwzględniła Rebeke, Zapała i Jeffreya Jeffreya. Szacunek, który im okazywała, udawadniał, że w tym społeczeństwie przywódcy nie byli wyjątkowo ważni - liczyli się wszyscy.

- To szalona nadzieja, te opowieści o krainie nietkniętej słońcem - przyznała Kontemplacja. - Ale musimy zadać sobie pytanie. Jak długo przeżyjemy w ciemności? Elegia miała rację, że nas tu przeniosła, ale to był akt desperacji. I przez ten cały czas nasi ludzie więdną. Nie możemy uprawiać pożywienia. Każdego dnia, kiedy odważamy się wyruszyć w krainy świtu, tracimy kolejne statki i robotników.

- Pozwólcie, że przedstawię wam tę ponurą prawdę: zginiemy tutaj. Jednak bez wątplenia jeśli powrócimy do wcześniejszego korytarza, zostaniemy pochłonięci przez Popielnego Króla. Brak nam znajomości sztuki wojennej i zabijania, by z nim walczyć, nie obdarzono nas takimi brutalnymi i cielesnymi instynktami.

- Przedstawię kolejne spostrzeżenie: on nigdy nie da się zaskoczyć tak jak dzisiaj. Jego zabójcy będą stali w gotowości, przygotowani na dalsze wrogie akty. Popielny Król nigdy więcej nie pozwoli na sprytnie zhakowanie ich bransolet, a jego ludzie nigdy nie pozwolą sobie na takie rozproszenie igrzyskami, że utracą czujność.

- Dziś odnieśliśmy największe zwycięstwo jako mieszkańcy Promienia. Ale pozwolę sobie powiedzieć, że, w porównaniu z tym szczytem od dziś zaczniemy gasnąć. Bez rozwiązania zginiemy. Dlatego więc pytam: Pewności, czy odrobina wiary, odrobina czasu poświęconego na poszukiwania legendarnej nagrody nie są warte szansy na uniknięcie naszego losu? - Obróciła dysk w dłoniach. - Zaufaliśmy Elegii, gdy zaprowadziła nas tutaj. Powinniśmy znów jej zaufać i znaleźć to Schronienie.

- Powinniśmy, co jest naszym obowiązkiem wynikającym z naszych obecnych osiągnięć, wypróbować ten klucz - powiedziała Współczucie. - A drużynie Zapała należy się pochwała za ich gotowość, by to dla nas ukraść.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że Popielny Król będzie nas gonił z powodu tego symbolu - ostrzegła Pewność.

- Jeśli pozwolisz, że ci się sprzeciwię, i tak by nas gonił - powiedziała cicho Współczucie. - Ogromnie pragnie nas zniszczyć. A dzisiejsze wydarzenia jedynie wzmocnią to poczucie celu. On musi nas teraz zniszczyć, by jego poddani nie zaczęli kwestionować, jak daleko sięga jego władza.

Nomad z zainteresowaniem słuchał tej wymiany zdań. Tak, rozumieli, czym jest klucz. Ale nie znali prawdy na temat tego, co znajdują, kiedy go użyją. Był pewien, że nawet gdyby otworzyli jakieś drzwi tym kluczem... nie znaleźliby mitycznego „schronienia”. To było nowoczesne urządzenie, noszone przez scadrialskich badaczy, które pozwalało ich zlokalizować i dawało im prawo powrotu do jednego z ich niewielkich badawczych statków kosmicznych.

Rozmowa trwała, a coraz silniejsze wiatry szarpały miastem. Wspomnieli o „wielkim wirze”, przez co rozumiał burzę, podobną do arcyburzy, która podążała za słońcem po zmierzchu. Czyli dobrze się domyślał – ta warstwa chmur była następstwem zachodu słońca, a samemu zachodowi słońca towarzyszyła jakaś straszliwa burza.

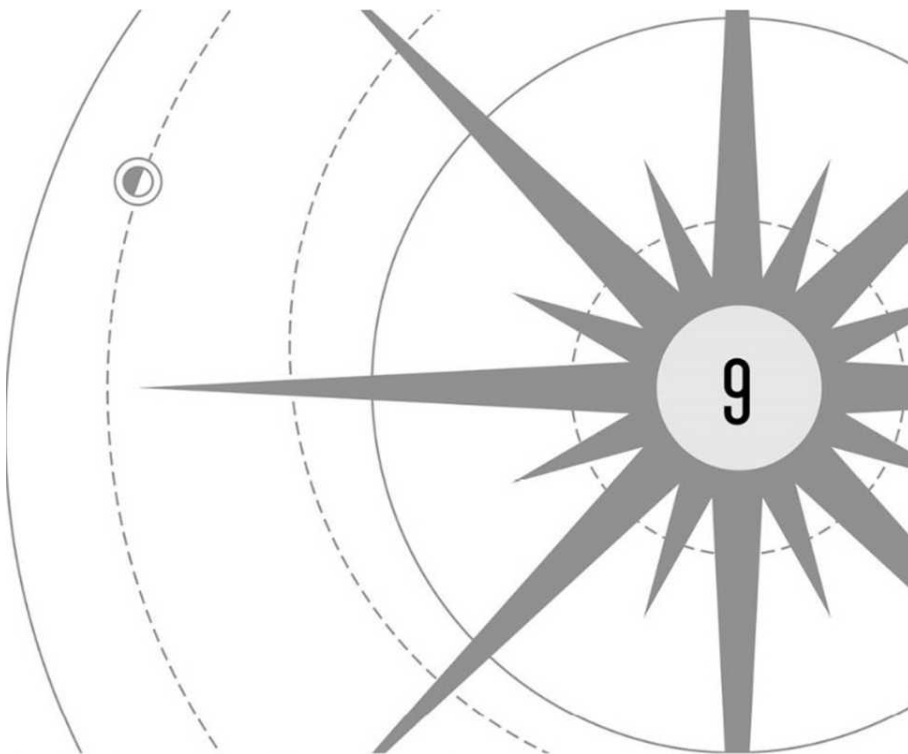
Wyobrażał sobie to miejsce jako planetę o pięciu fazach. Pierwsza: ziemie, które mijali, gdzie rośliny wyrastały w odbitych promieniach słońca. Druga: nieprzerwana warstwa chmur, gdzie padał deszcz. Trzecia: wir o zachodzie słońca, gdzie światło znikало, pozostawiając cyklon zrodzony ze zmian ciśnienia i wilgotności. Czwarta: przegrzany krajobraz, gdzie władało słońce. Wreszcie świt, gdzie mężczyzn i kobiety pozostawiano na śmierć.

Jakże to dziwne, że znalazł ziemie, gdzie ludzie, zamiast uciekać przed burzą, łapali ją za ogon i ukrywali się na skraju jej płaszcza.

Tak czy inaczej, wcześniejszy brak grzeczności Nomada – jego barbarzyńskie wepchnięcie się do tego pokoju – nagle wydały się zawstydzające. Tak, nie był już tym mężczyzną, co kiedyś, przesadnie przejmującym się konwenansami i porządkiem. Wiedział, że podobnie jak nastolatek, który po raz pierwszy opuścił dom, często posuwał się zbyt daleko, próbując udowodnić swoją wartość. Wciąż buntował się przeciwko mężczyźnie, którym kiedyś był, i w swoim egoizmie stał się mężczyzną, który miotał się jak ślepy chull.

Nomad zdjął buty ze stołu, czując odrazę do samego siebie, której – co zadziwiające – nawet on sam nie mógł zrzucić na okoliczności. Nie tym razem. Wstał i – zaskakując zebranych – podszedł do drzwi i wyszedł. Przez korytarz, przez służę świetlną.

W burzę.



Wychodzenie w burzę nie było czymś, co ludzie robili na ojczystym świecie Nomada. Jednak wystarczająco dużo podróżował po cosmere, by wiedzieć, że nawet gwałtowne burze na innych planetach były niczym w porównaniu z tymi na Rosharze.

I rzeczywiście, choć wiatr go szarpał, nie podnosił go nad ziemię. Deszcz uderzał w niego, ale nie groził mu zerwaniem skóry. Błyskawice przecinały niebo, ale nie uderzały tak często i tak blisko, by ich zabójcze dotknięcie wydawało się nieuniknione. Żałował, że nie ma na sobie czegoś więcej niż te łachmany, ukradzione z planety jaskiń, którą odwiedził wcześniej. Nie chroniły przed zimnem. Ale też większość chłodu, który czuł, pochodziła z jego wnętrza.

Ruszył smętną uliczką, metal pod jego podeszwami był śliski. Przynajmniej jego buty wytrzymały. Nauczył się tego już dawno w czasie wędrówki: można oszczędzać na koszuli, jeśli inaczej się nie da, ale nigdy na obuwiu. Ruszył mniej więcej w stronę skraju miasta, choć musiał iść powoli i czekać, aż błyskawice rozświetlą mu drogę.

Słabe światła, które widział wcześniej, zniknęły. Ludzie przebywali zamknięci wewnątrz, chowając się przed deszczem. To było uniwersalne. Czy znajdowali się na planecie, na której deszcz robił wgniecenia w metalowych płytach, czy takiej, na której tylko lekko śąpił, ludzie uciekali przed burzą. Może nie lubili wspomnienia, że niezależnie od wspaniałości ich miast byli jedynie pyłkami w obliczu potężnych ogólnoplanetarnych typów pogody.

Przybył tu z nadzieją, że w deszczu poczuje się lepiej. Że uderzenia kropli będą jak objęcia starego przyjaciela – że wycie wiatru będzie brzmiało jak rozmowy mężczyzn jedzących

potrawkę przy ognisku. Ale tego dnia te wspomnienia rysowały się ostro w jego umyśle. Wiatr przypominał mu, kim był – mężczyzną, który wolałby umrzeć, zanim potraktowałby ludzi w taki sposób, jak zrobił to dzisiaj.

Nie, burza nie była dla niego schronieniem. Niezależnie od tego, jak bardzo lubił deszcz – jak bardzo wydawał mu się właściwy – wspomnienia były zbyt bolesne.

W końcu wrócił do miejsca, w którym zostawili latający motocykl przymocowany na skraju miasta i wspomagający je swoim silnikiem. To było odważne, utrzymywać wszystkich w powietrzu w czasie burzy z piorunami. Jednak powietrze nie wydawało się tak naelektryzowane jak w innych burzach – między uderzeniami piorunów były długie przerwy.

W blasku chmur zobaczył, że rozżarzoną usunięto z więzów na tylnym siedzeniu. A sam motocykl został sprytnie przerobiony, nad każdym siedzeniem umieszczono płyty, które chroniły skórzane siedzenia przed deszczem i sprawiały, że pojazd pasował do powierzchni miasta. Ze złożonymi szybami i płytami na miejscu przerosnięty latający motocykl przypominał gruby metalowy prostokąt zamocowany na skraju Promienia. Podobnie jak narzędzie wielofunkcyjne przed wyjęciem elementów składowych mogło wyglądać jak pudełko.

To sprawiło, że poczuł niepokój, kiedy podpełzł do skraju motocykla – pilnując, by wiatr nie zmiótł go w mrok. Następnie sięgnął na sam dół pojazdu. Ku jego uldze ukryty tam karabin wciąż na niego czekał. Specjalnie się potknął, żeby Rebeke uznała go za niezgrabnego, i udał, że przypadkiem upuścił broń – a następnie wykorzystał Pomocnika w postaci wyspecjalizowanego uchwytu, by zamocować ją pod motocyklem.

Mechanizm, który stworzył z Pomocnika, by utrzymać karabin na miejscu, zniknął. Nomad uniósł broń ręką śliską od deszczu.

„I tak oto, mówi rycerz dramatycznym tonem, jego sprytny plan został w pełni zrealizowany. I z jakiegoś powodu jego tępy giermek jest teraz uzbrojony w broń, z której nie może strzelać”.

– Rozbroiliby mnie po przybyciu.

„Ponownie... cóż za sprytny plan... zdobyć broń, której człowiek nie może używać. Wymagało to jedynie porzucenia mnie samotnie na deszczu, żeby mnie przemoczył – a później zrobiłeś to samo ze sobą, jeśli oceniać po twoim wyglądzie”.

– Pryszyć mi się przydał.

Nomad wytarł wodę z twarzy, po czym przeciągnął palcami po meszku na głowie. Błysk słońca wypalił mu włosy. Słoneczny Mąż. Potrząsnął ręką i, wciąż klęcząc na latającym motocyklu, zaczął obmacywać płyty przykrywające siedzenia. Czy potrafił je zdjąć?

Czy tego chciał?

Błyskawice zostawiały powidoki mężczyzny, którym kiedyś był. Mężczyzny, którym – jeśli miał być całkiem szczerzy – nie chciał znów się stać. Naiwny. Za bardzo przejmujący się zasadami i liczbami. Uwięziony przez odpowiedzialność w sposób, który powoli dusił go lękiem, jakby jego duszę otaczał drut kolczasty.

Nie podobało mu się, kim się stał. Ale nie tęsknił też za tym, kim był – nie tak naprawdę. Żył, wzrastał, upadł i... cóż, zmienił się.

Musiła istnieć trzecia możliwość. Sposób, by nie stawiać swojego dawnego życia na piedestale, ale nie być też uosobieniem śmiecia.

Gdyby wsiadł na ten motocykl i zniknął w ciemności? Co by mu to dało? Tutaj miał ludzi, którzy wydawali się – w niewielkim stopniu – gotowi mu zaufać i przyjąć go. Może dlatego, że byli zdesperowani. Pewnie dlatego, że nie dał im większego wyboru.

Poza tym jednak miał wrażenie, że nie mieli doświadczenia w walce i zabijaniu. Owszem, przeprowadzili zuchwałą akcję ratunkową i jeszcze bardziej zuchwałą kradzież. To im się chwaliło. Ale widział przerażenie, z jakim jeńcy reagowali na rozżarzonych – i podobnie sposób, w jaki wszyscy traktowali jego. To nie była grupa przyzwyczajona do przemocy.

W wielu miejscach walka o przetrwanie budziła w ludziach najbardziej brutalne instynkty. Jednak w tej grupie zobaczył coś wyjątkowego. Czy to możliwe, że bycie zmuszonym do ciągłego poruszania się – bycie zmuszonym do współpracy, by przetrwać – stworzyło z nich społeczeństwo, które nie miało czasu, by zabijać się nawzajem? Że być może ta planeta stworzyła ludzi, którzy nie byli słabi – to słońce z pewnością nie tolerowało słabości – ale którzy również cenili życie?

Jeśli chciał zdobyć źródło mocy wystarczająco silne, by zabrać go z tego świata, potrzebował sojuszników. A miał przecucie, że Popielny Król się nim nie okaże.

Odszedł od motocykla i oparł karabin na ramieniu. I wtedy coś poczuł. Szarpanie we wnętrzu. Rodzaj... dziwnego ciepła. Wydawało się, że burza słabnie, deszcz przestaje padać.

Potępienie. To nie było możliwe. Nie na tym świecie. To była zwyczajna nawałnica, nie mityczna burza z jego ojczyzny. W ciemności zwyczajnej burzy nie działy się takie rzeczy jak tam...

„Ej, pyta rycerz niepewnie, co robimy? Nomadzie? Jaki jest nasz kolejny krok?”

Zobaczył światło po swojej lewej. Dalej wzdłuż skraju miasta. Przyciągany przez nie, jak zmęczony wędrowiec przez pachnący dym z ogniska, zaczął iść. To... tam ktoś stał, prawda? Trzymał w ręce coś, co świeciło, kulę. Miał na sobie mundur i stał odwrócony plecami do Nomada, wpatrując się w ciemność.

Na burze. To niemożliwe. Niemożliwe.

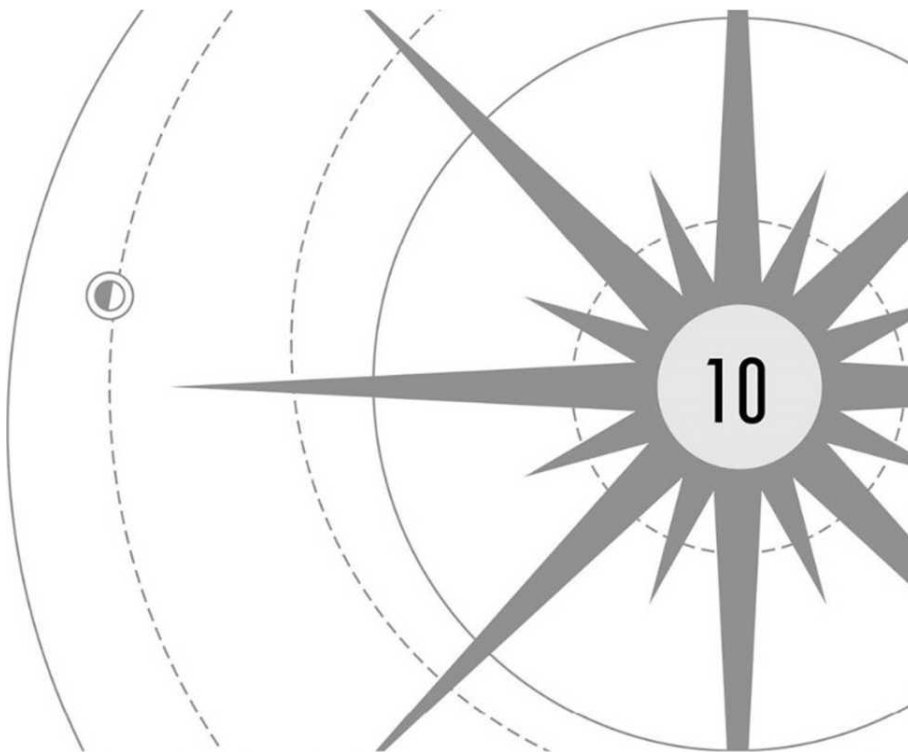
Ignorując kolejną prośbę Pomocnika o wyjaśnienia, Nomad ruszył naprzód. Przeważony tym, co mógł znaleźć. Zaniepokojony, że popada w obłąd. Jednak musiał wiedzieć. Czy to...?

– Kal? – spytał w burzę.

Postać się odwróciła, ukazując twarz o ostrych rysach i uśmiech, który aż prosił się o cios w zęby.

– Ech, Potępienie – westchnął Nomad. – Trefnisiu? Do diabła, co ty tu robisz?





Co takiego? – Trefniś otrzepał niebieski mundur... który nie był mokry od deszczu. – Mistrz nie może od czasu do czasu zajrzeć do swojego ulubionego ucznia?

Emanował słabym blaskiem, widocznym nawet w ciemności, a jego materia falowała pod wpływem deszczu. Jakby był odbiciem w kałuży. To była iluzja, ale dlaczego teraz? Jak on...

– Pomocniku? – spytał ostro Nomad. – Czy wzmocniłeś mój Związek z Trefnisiem, kiedy niedawno majstrowałeś przy mojej duszy?

„Ponieważ jestem martwy, odpowiada rycerz z prychnięciem, tak naprawdę nie muszę się przejmować, czy jesteś na mnie zły”.

Och, na burzę. To się właśnie stało. Teraz, kiedy osiągnęli odpowiedni próg, Pomocnik sięgnął w dal i pozwolił Trefnisiowi stworzyć Związek z Nomadem.

– No tak... – Trefniś obrzucił go spojrzeniem. – To... interesujący strój.

– Takie są efekty, kiedy słońce podpala ci ubranie, a później latający motocykl ciągnie cię za sobą przez dobre pół godziny.

– Szykowne – stwierdził Trefniś.

– Nie mam dla ciebie czasu, Trefnisiu. Nocna Brygada gdzieś się tam kryje. Polują na mnie. Z powodu tego, co mi zrobiłeś.

– Być może ocaliłeś cosmere.

– Z całą pewnością nie ocaliłem cosmere – warknął Nomad. Znalazł w kieszeni kamyczek i rzucił go przez głowę Trefnisia. Obraz zafalował i znów powrócił. – Ale mogłem ocalić ciebie.

- Żadna różnica.

- Wcale nie. Naprawdę wcale nie. - Podeszedł bliżej do projekcji Trefnisia. - Jeśli mnie złapią, uda im się połączyć Odprysk Świtu z tobą. A wtedy zaczną gonić ciebie.

Trefniś nie zareagował. Założył ręce za plecami i wyprostował się - sztuczka, mająca na celu przekonanie widowni, że mówi o czymś bardzo ważnym. Nomad przed laty nauczył się jej od niego.

- Ostatnio było ci ciężko - powiedział Trefniś. - Prawda, uczniu?

- Nie jestem twoim uczniem. I nie udawaj, że się przejmujesz. Nic nie zrobiłeś, kiedy przed laty moi przyjaciele i ja ginęliśmy od strzał. Wtedy trafiłem do Potępienia, a ty siedziałeś i grałeś na flecie. Nie waz się sugerować, że teraz się mną przejmujesz! Jestem dla ciebie kolejnym narzędziem.

- Nigdy nie miałem szansy przeprosić za... wydarzenia w Alethkarze.

- Cóż, najwyraźniej nie miałeś okazji. Po tym, jak wielokrotnie rozmawiałeś z moim przełożonym i prosiłeś go, żeby przekazywał mi wiadomości. Po tym, jak przez lata mieszkaliśmy w tym samym mieście, a ty nawet do mnie nie zajrzałeś. Zostawiłeś mnie, żebym zgnął. I to cię gnębiło, prawda? Nie dlatego, że się przejmujesz. Ale dlatego, że ktoś wiedział, kim naprawdę jesteś, a później miał czelność nie umrzeć, co ułatwiłoby ci życie.

Na te słowa Trefniś spuścił głowę. Hm. Rzadko dawało się go dźgnąć nożem, by zabolalo. To wymagało znajomości. I prawdy. Dwóch rzeczy, których Trefniś z takim mistrzostwem unikał.

- Był sobie kiedyś chłopiec, który wpatrywał się w gwiazdy i zastanawiał się... - zaczął mówić Trefniś.

Nomad ostentacyjnie odwrócił się i odszedł. Usłyszał stanowczo zbyt wiele opowieści tego mężczyzny, by mieć ochotę na kolejną.

- Ja byłem tym chłopcem - powiedział za jego plecami Trefniś. - Kiedy byłem mały. Na Yolemie. Zanim to wszystko się zaczęło... zanim Bóg umarł i światy zaczęły się kończyć. Ja... ja byłem tym chłopcem.

Nomad znieruchomiał i obejrzał się przez ramię. Deszcz zmienił się w mżawkę, ale jej kropelki wciąż rozpraszały sylwetkę Trefnisia.

Rzadko mówił o swojej przeszłości. O... tamtych dniach dawno temu. Twierdził, że nie pamięta zbyt wiele ze swojego dzieciństwa - czasu spędzonego w krainie smoków i drzew białych jak kość.

- Kłamiesz?! - zawołał do niego Nomad. - Czy to wymysł? Idealny haczyk, żeby mnie ściągnąć?

- Żadnych kłamstw, nie teraz. - Trefniś wpatrzył się w niebo. - Pamiętam... siedziałem na dachu. Patrzyłem w górę i zastanawiałem się, czym są gwiazdy. Założyłem, że nigdy się tego nie dowiem. Filozofowie z miasteczka kłócili się o to, aż ochrypli, jak to mieli w zwyczaju. Mów, aż stracisz głos, a później miej nadzieję, że ktoś postawi ci coś do picia, żeby słowa znów popłynęły. - Uśmiechnął się do Nomada, jego oczy zamigotały. - A jednak oto jestem. Milenia później. Kroczę między gwiazdami, poznaję każdą z nich. W końcu dostałem odpowiedzi. Jednak... przypuszczam, że w tej chwili zobaczyłeś więcej cosmere niż ja.

- Czyli to błogosławieństwo? - Nomad wskazał na siebie. - Ta Udręka, którą mi dałeś?

- Każda Udręka nim jest, nawet moja.

- Cudownie. To bardzo pocieszające. Dzięki za rozmowę, Trefnisiu. - Nomad ruszył dalej. Kiedy szedł, Trefniś pojawił się dalej na skraju przed nim i odwrócił się, żeby odprowadzić go wzrokiem.

- Zawsze chciałeś poznać odpowiedzi - powiedział Trefniś. - Dlatego cię przyjąłem. Myślałem, że uda ci się je znaleźć, wydobyć, zapisać i skatalogować świat. Byłeś tak pewny, że znajdziesz każdą, jeśli tylko się postarasz...

- Tak, byłem idiotą, wielkie dzięki. Doceniam przypomnienie.

Trefniś, rzecz jasna, pojawił się znów przed nim - choć przygasał, jego sylwetka stawała się przezroczysta. Niewielki wybuch Związku, który Pomocnik wykorzystał, by umożliwić to spotkanie, na szczęście się wyczerpywał.

- To dobry odruch szukać odpowiedzi - stwierdził Trefniś. - Pragnąc ich.

- One nie istnieją. - Nomad westchnął i spojrzał na Trefnisią. - Pytań jest zbyt wiele. Szukanie jakichkolwiek wyjaśnień to szaleństwo.

- W pierwszej kwestii masz rację. To zadziwiające, jeśli uświadomić sobie, że odkryłem tajemnice samych gwiazd. Ale później znalazłem pełno pytań, które były jeszcze bardziej zgubne. Pytań, na które, owszem, nie ma odpowiedzi. A w każdym razie dobrych. - Spojrzał Nomadowi w oczy. - Ale uświadomienie sobie tego zmieniło mnie, uczniu. To nie...

- To nie odpowiedzi, lecz same pytania - przerwał mu Nomad. - Tak, bla, bla, bla. Słyszałem to. Wiesz, ile razy to słyszałem?

- A rozumiesz?

- Tak mi się wydawało. A później moje przysięgi się skończyły i zrozumiałem, że cele są naprawdę ważne, Trefnisiu. Naprawdę. Niezależnie od tego, co mówimy.

- Nikt nigdy nie sugerował, że są bez znaczenia. I nie sądzę, byś rozumiał. Bo gdyby tak było, uświadomiłbyś sobie, że czasami zadawanie pytań wystarczy. Bo musi wystarczyć. Bo czasami nie ma nic innego.

Nomad patrzył mu w oczy. Gotował się, z przyczyn, których nie umiał wyjaśnić. Czuł irytację, choć to oczywiście było normalne, jeśli chodziło o Trefnisią.

- Nie wróć do tego, kim byłem. Nie chcę wrócić. Nie uciekam przed nim. On mnie nie obchodzi.

- Wiem - powiedział cicho Trefniś. I nachylił się. - Popełniłem błąd. Zrobiłem w tamtej sytuacji to, co uważałem za najlepsze, z nadzieją, że to zapobiegnie katastrofie. Zniszczyłem ci życie i popełniłem błąd. Przepraszam.

Jakże... dziwnie było usłyszeć go, kiedy mówił tak bezpośrednio, tak otwarcie. Tak szczerze. Całkowicie szczerze. Niech go burze, jak mógł ciągle zaskakiwać Nomada, nawet po tak długim czasie?

Nomad odwrócił się, by odejść, ale zatrzymał się i czekał na ostatnie słowo. Trefniś zawsze miał ostatnie słowo. Tym razem jednak mężczyzna jedynie posłał Nomadowi błady, pełen smutku uśmiech, i rozpląnął się. Być może wiedział, że nie ma już nic więcej do powiedzenia, więc umilkł. Jeśli tak, najprawdopodobniej zdarzyło się to po raz pierwszy w życiu Trefnisią.

Nomad westchnął. Spodziewał się jakiegoś żartu Pomocnika, ale spren również milczał. Zwykle to robił, kiedy Trefniś był w okolicy - wiedział, że Nomad często czuł się atakowany z dwóch stron w takich sytuacjach.

- Potępienie - powiedział Nomad. - Musimy opuścić tę planetę. A ja wiem, jak możemy to zrobić.

„Jak? - pyta rycerz, zastanawiając się, czy jego giermek przegapił cały sens ważnej rozmowy”.

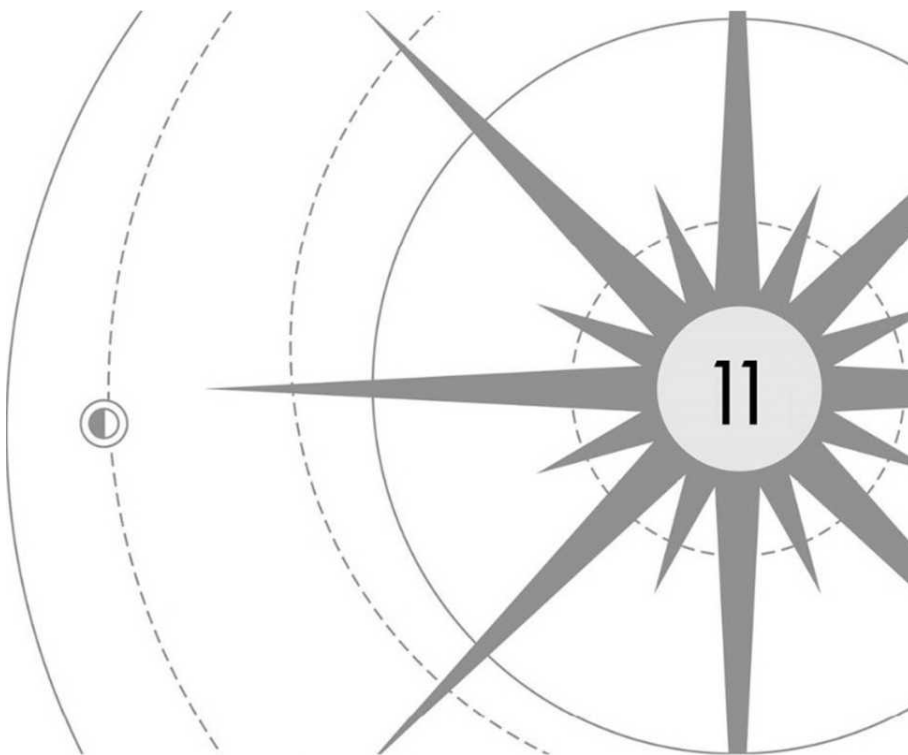
- Ludzie kierujący tym miejscem znaleźli dysk dostępowy, który wygląda bardzo znajomo. Ma na sobie scadriańskie pismo. I mogę się założyć, że jeśli na tej planecie jest źródło mocy dość silne, by pozwolić mi opuścić ten świat, to będzie z nimi.

„Ach... To co robimy?”.

Nomad wrócił do budynku, który opuścił. Rozpoznał go bez trudu, bo przypadkiem nie domknął drzwi. Wszedł do środka, ociekając wodą, z karabinem pod pachą. Wpadł do pomieszczenia, w którym ludzie wciąż się naradzali, a jego przybycie sprawiło, że cofnęli się zaskoczeni i przestraszeni. Żadne z nich nie sięgnęło jednak po broń.

Jasne, byli skazani na zagładę. Ale może ich pragnienia pokrywały się z jego. Zdjął ze stołu dysk dostępowy, uniósł go i odezwał się w ich języku - doskonale, bez akcentu.

- Wiem, co to jest. To klucz do dużych metalowych drzwi, najpewniej gdzieś zagrzebanych, prawda? Na których jest podobne pismo? - Rzucił klucz na stół, a ten odbił się od blatu i zagrzechał o drewno. - Ja też się tam wybieram. Może pomożemy sobie nawzajem.



Kontemplacja poderwała się na równe nogi i wymierzyła w niego palec.

- Wiedziałam! Wiedziałam! Twoje rysy, ten bełkot, który wypowiadałeś. Jesteś za dziwny, żeby pochodzić z innego korytarza. Jesteś jednym z nich. Słoneczny Mąż.

- Legenda. - Pewność skrzyżowała kościste ręce na piersi.

- Podobnie jak nasze wyjście z Piekla - stwierdziła Kontemplacja. - Oba są tak daleką przeszłością, że nawet Chór nie pamięta dat.

- Ktoś mi wyjaśni, kim jest Słoneczny Mąż? - Nomad zmarszczył czoło.

Wbijał wzrok w Zapała, który jako jedyny w pomieszczeniu nie podskoczył na jego widok. Niski mężczyzna trzymał rękę w kieszeni, najpewniej na urządzeniu, które mogło zamrozić Nomada.

- Przyjmij, proszę, to wyjaśnienie - powiedziała Współczucie swoim cichym, łamiącym się głosem. - Dawno temu żyli ludzie, którzy mogli przetrwać w blasku słońca. Ludzie, którzy mogli je wchłonąć, zamiast zostać przez nie zniszczeni. Ludzie, którzy mogli je wykorzystać. Udało im się zostać w jednym miejscu na dość długo, by wybudować miasto pod ziemią. To Słoneczni... ci, którzy mogli przetrwać w słońcu.

- Dotknęły mnie promienie słońca, owszem - przyznał Nomad. - Ale prawie mnie zniszczyły.

- Dotknąłeś promieni słońca i nie zostałeś od razu zabity? - szepnął Jeffrey Jeffrey, wpatrując się w Nomada wielkimi oczami. - To prawda?

- Przez zaledwie kilka sekund! - powiedział Nomad.

- Słoneczny - szepnęła Współczucie.

- Z całym szacunkiem i uważnością uważam całą tę historię za fantazję dla dzieci, nie fakt dla dorosłych - powiedziała Pewność. - Gdyby ci ludzie zeszedli pod ziemię, błoto by ich zadusiło.

- Nie - sprzeciwiła się Kontemplacja. - Są miejsca, gdzie ziemia jest czystą skałą. Mogą być w niej otwory, jak tunele lawowe.

- Skała topi się w słońcu - zauważył Zapał.

- Skały Słonecznych Ludzi nie - mówiła dalej Kontemplacja. - Są głębokie. Popielny Król w to wierzy, dlatego spędził wiele lat, próbując znaleźć sposób przejścia przez te drzwi. A ten mężczyzna tutaj, on przybył ze Skalnego Schronienia!

- Mylicie się - powiedział Nomad. Kiedy wtargnął do środka, spodziewał się okrzyków sprzeciwu, może walki. Nie... tego, czymkolwiek było. - Ale nie obchodzi mnie szczególnie, w co wierzycie. Wiecie, gdzie są te drzwi? Te, które otwiera ten dysk?

- Mamy pewien pomysł - powiedziała cicho Współczucie. Najdrobniejsza i najstarsza z kobiet przyjrzała mu się i uśmiechnęła. - To był plan Elegii, naszej Gwiazdy Przewodniej. Ukraść klucz Popielnego Króla i zorientować się, jak go użyć, by uzyskać dostęp do ukrytych krain spokoju pod ziemią.

- Jedyny sposób, w jaki możemy przed nim uciec. - Zapał chrząknął. - Jest teraz najpotężniejszym mężem na świecie. Kontroluje korytarz na równiku, gdzie jest najwięcej zasobów. Słychać wszystkich pozostałych coraz bliżej biegunów, gdzie nawet potknięcie grozi śmiercią...

Nomad zapamiętał te informacje.

- Cóż, ja też chcę znaleźć te drzwi. Pomogę wam się tam dostać.

„A zamierzasz im powiedzieć? - pyta ostro bohater, tonem pełnym znaczenia. Zamierzasz ich ostrzec, co znajdują w środku? Nie schronienie dla outsiderów, ale niewielką instalację obcych, najpewniej służącą do monitorowania Napełnienia, które emituje to słońce?”

- Nie nasz problem - powiedział Nomad po alethyjsku. - Ci ludzie chcą znaleźć te drzwi. Ja chcę znaleźć te drzwi. Pomogę im tam dotrzeć. I na tym się kończy nasza odpowiedzialność wobec nich.

„To bezwzględne”.

Ale Pomocnik nie naciskał go bardziej. Równie dobrze jak Nomad wiedział, że dotarcie do instalacji było ich największą szansą na wydostanie się z tej planety.

- Znajduję tego męża interesującym - powiedział Zapał. - Przyjmijemy jego propozycję? Może mógłby pomóc.

- Co możesz dla nas zrobić, obcy? - spytała Pewność. - Jaką pomoc proponujesz?

- Po pierwsze, umiem to przeczytać. - Wskazał dysk. - Należał do osoby imieniem Haridan, porucznika. To jego odznaka autoryzacyjna, która pozwalała mu otworzyć drzwi. Będę mógł przeczytać również to, co jest na drzwiach, a jeśli w środku są ludzie, mogę się z nimi porozumieć.

- Słoneczny - szepnęła Kontemplacja.

- Pozwolę sobie zaproponować, że powinniśmy przyjąć jego pomoc - powiedział Zapał. - Musimy znaleźć to miejsce i uciec do niego! Czyż nie byłoby przyjemnością dla nas i wszystkich

naszych rodaków modlić się o bezpieczeństwo biednego Popielnego Króla, kiedy zamkniemy przed nim i jego sługusami dokładnie te drzwi, przez które przez lata próbował wejść?

– Adonalsium pobłogosławi nas w tym przedsięwzięciu, jestem tego pewna – powiedziała Współczucie. – To może w końcu doprowadzić do prawdziwego odpoczynku dla naszych rodaków. Koniec polegania na słonecznych sercach do napędzania naszych miast. Koniec uciekania przed wschodem słońca. Koniec... strat.

– Adonalsium, co? – powiedział Nomad. – Tak na marginesie, jakim cudem banda Trenowców oddaje cześć bogu ojcu z zupełnie innej planety?

– Poznaliśmy go przed naszym wyjściem – powiedziała Pewność. – Byliśmy tymi, którzy uwierzyli w słowa naszej pierwszej Gwiazdy Przewodniej. Żyliśmy w Piekło, a nasza wiara zaprowadziła nas do nowej krainy.

– Takiej, która bez ustanku płonie? – spytał Nomad.

– Adonalsium wreszcie wspomni naszą dolę... – stwierdziła Kontemplacja.

„Cyniczny giermek mądrze postanawia nie wyjaśnić tym ludziom, że ich bóg pechowo umarł jakieś dziesięć tysięcy lat wcześniej. Taka mała sugestia”.

Nomad ugryzł się w język.

– Może Adonalsium przypomniał sobie o nas – powiedział Zapał. – Może dlatego Słoneczny Mąż tu jest.

– Nazywajcie mnie Nomadem, jeśli musicie mnie jakoś nazywać – wtrącił.

Ledwie to zauważyli.

– Jeśli uda mu się przeprowadzić nas przez drzwi... – Jeffrey Jeffrey spojrzął na niego. – Czy umiesz uruchomić ten dysk? Otworzyć drzwi? Popielny Król próbował od lat i nigdy mu się to nie udało. Umie znaleźć drzwi, ale nie potrafi wejść do środka.

Umiał?

– Mam niemal sto procent pewności, że uda mi się otworzyć te drzwi. Nie jestem z tego miejsca poza, jak myślicie, ale... znam ludzi w środku. A przynajmniej niektórych. Mówię ich językiem.

Kontemplacja spojrzała mu w oczy. Rozumiała, w przeciwieństwie do pozostałych, kwestię różnych języków. Wierzyła. Patrząc w te stare oczy, tak pełne nadziei, poczuł, że się potyka. Jego dawna tożsamość powraca w niewielkim stopniu.

– Posłuchaj – powiedział do niej. – Ja... wątpię, żebyście znaleźli za tymi drzwiami to, czego szukacie. To... nie jest schronienie, jakiego pragniecie.

– Wiesz to? – spytała. – Jesteś pewien?

– Nie – przyznał.

To mogła być duża instalacja. Na burze, mogła nawet zostać porzucona. To wydawało się bardzo mało prawdopodobne. Najpewniej był to statek badawczy, pełen uczonych prowadzących badania nad promieniowaniem tego słońca. Takie statki były małe. Ledwie dość miejsca dla dwóch tuzinów naukowców.

– Nie – powtórzył. – Nie jestem pewien. Ale... mam z tym sporo doświadczenia. Nie sądzę, by klucz był waszym wybawieniem.

Zebrani popatrzeli po sobie.

- I tak musimy spróbować, czyż nie? – powiedziała Pewność. Zaskoczyły go te słowa z jej ust, bo pamiętał jej wcześniejsze sprzeciwy. – To naprawdę jest nasza jedyna nadzieja?

- Nasze zapasy mocy się kurczą – stwierdził Jeffrey Jeffrey. – A Popielny Król jest rozwścieczony. Nie, nie pożyjemy dużo dłużej. To nasza jedyna nadzieja.

Inni pokiwali głowami. Na burze. Cóż, Nomad próbował. Odezwał się. To wystarczy.

Zrobi swoje. Doprowadzi ich do tych drzwi i otworzy je dla nich. Później... cóż, zostaną sami ze sobą. A on nie będzie czuł się winny. Nie odpowiadał za to, że postanowili związać swoje nadzieje z czymś niemożliwym.

- Musimy spytać ludzi, zanim podejmiemy ostateczną decyzję – odezwała się cicho Współczucie. – Jeśli pozostali wyrażą zgodę, proszę o to.

- Zgadzam się z tym, pełnym mądrości – powiedziała Kontemplacja. – W Promieniu nie ma tyranów, tylko rodzina. Przedstawimy to ludziom i pozwolimy im zdecydować, czy powinniśmy zaryzykować możliwą nagrodę w postaci wejścia do Schronienia, czy powinniśmy się poddać Popielnemu Królowi. Podejrzewam, że obecność tego obcego pomoże im wybrać to pierwsze.

- Doskonale – stwierdził Nomad. – Potrzebuję czegoś do zjedzenia, co nie jest błotem. Czegoś do wypicia, co nie pada mi na głowę. Czegoś do ubrania, co nie wisi w strzępach. Uznajcie, że to moje wynagrodzenie za przetłumaczenie dysku.

- A czy życzysz sobie wynagrodzenie za pomoc w dotarciu do drzwi? – spytała Rebeke.

- Chcę się dostać do Schronienia. Oraz chcę, żebyście zdjęli te bransolety z moich rąk.

- Nie mamy kluczy... – zaczął Zapał.

Nomad spiorunował go wzrokiem.

- Zhakowaliście system Popielnego Króla i uśpiliście jego rozżarzonych ludzi...

- Nazywają się Zwęglonymi – wtrąciła Rebeke.

- ...kimkolwiek są, pozbawiliście ich wszystkich przytomności. Oczywiście, że możecie je ze mnie zdjąć.

Zapał odwrócił wzrok.

- Musimy jeszcze omówić to, że udawałeś nieumiejętność mówienia, by nas szpiegować – odezwała się Pewność.

- Nie ma czegoś takiego jak zbyt ostrożność, kiedy spotyka się kogoś nowego – powiedział Nomad. – Co, Rebeke?

Popatrzyła na niego ze złością.

Uśmiechnął się i puścił do niej oko. Następnie wyciągnął ręce.

- To jak je zdejmę?

- Pójdę po dostrajacz. – Zapał westchnął. – Z waszym błogosławieństwem, Większe Dobro.

Trzy kobiety pokiwały głowami. Niski mężczyzna wyslizgnął się, a Nomad usiadł wygodnie na krześle przy stole. Odchylił je do tyłu, aż oparło się o ścianę, ale tym razem nie oparł nóg na stole. W końcu czuł o wiele większy szacunek.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, Nomadzie, chciałabym spytać o ducha, który ci towarzyszy – powiedziała do niego Pewność. – Rebeke mówi nam, że możesz materializować przedmioty na życzenie.

- Tak to można określić. Ale sposób, w jaki to robię, to moja tajemnica. Przepraszam.

Porzuciły temat, co go zaskoczyło. Skąd wiedziały, że Pomocnik to duch? I dlaczego nie nacięły bardziej? Jednym, co zauważył, dokądkolwiek trafił, była uniwersalna fascynacja Pomocnikiem. Ludzie często traktowali jego zdolności jako oznakę boskości, a przynajmniej wyjątkowej łaski u istot boskich.

Tutaj pozwolili mu to zbyć jednym zdaniem? Jakie to dziwne. Przeszli do innych tematów – zastanawiali się, jak zgromadzą ludzi i jak znajdą wejście do obiektu – Skalnego Schronienia, tak je nazywali. Najwyraźniej zlokalizowanie go nie było takie łatwe.

Rebeke nie uczestniczyła w rozmowie, zajęła się dolewaniem innym herbaty. Interesujące. Na zewnątrz, kiedy uciekali, robiła wrażenie zdesperowanej buntowniczkii. Teraz postrzegął ją inaczej. Młoda kobieta w mokrej sukience, kapelusz zgubiła w czasie walki. Ochlapana błotem, którego nie zmył deszcz, przygarbione ramiona, pochylona sylwetka. Dużo dziś przeszła.

Dlaczego trzymali ją tutaj, choć powinna – całkiem słusznie – kierować się do łóżka, a przynajmniej zmienić ubranie? Może to miało coś wspólnego z jej siostrą. Czy nie mówili, że kobieta – teraz przeobrażona w jedno z tych Zwęglonych – stworzyła to miasto i wymyśliła ich plan ucieczki do Schronienia? W jakiej pozycji stawało to Rebeke?

Jego brat dziś umarł, przypomniał sobie. Patrzyła, jak jego głowa wyparowuje, kiedy ratowała ich siostrę. Tak, ta obojętna mina, te mechaniczne ruchy. Rebeke była w szoku. Wiedział, jakie to uczucie. Działała dalej wyłącznie dzięki czystej sile woli i próbowała czymś się zająć. Bo gdyby przestała, gdyby rzeczywiście poszła się położyć, wiedziała, co by się stało.

Musiałyby stawić temu czoło.

– Pom – odezwał się po alethyjsku, kiedy czekali. – Porozmawiamy o tym, że sprzeciwiłeś się moim wyraźnym rozkazom i skontaktowałeś się z Trefniem?

„Rycerz przestępuje niezręcznie z nogi na nogę, słysząc podchwytliwe pytanie giermka”, powiedział Pom. „Próbuje odpowiedzieć z pewnością siebie, ale zdradza go nerwowość w głosie”.

– Na co liczyłeś? Myślałeś, że Trefniś wpadnie tutaj, podeprze mnie jedną ze swoich umoralniających historyjek, a ja znów zacznę pogwizdywać?

„Pamiętam... objawienia w świetle. Przeobrażenie”.

– To były rzadkie dni. – Nomad przesunął karabin na ramieniu. – Większość zmian nie dzieje się w postaci objawienia w świetle, Pom. Większość zmian to powolne, bezustanne osuwanie się w stronę jamy. Podobnie jak się starzejemy, krok po kroku wlecemy się w stronę grobu.

„Ty już się nie starzejesz”.

– Moje ciało być może nie, ale dusza z całą pewnością – szepnął. – Okrąża tę jamę od lat. Krok po kroku, Pom. Zużywamy się. Ideały są jak rzeźby na wietrze. Wydają się takie trwałe, ale tak naprawdę erozja jest subtelna, lecz nieustanna.

Inni nadal się naradzali.

– To będzie niebezpieczne, Większe Dobro – mówił Jeffrey Jeffrey. – Pozwólcie, że przedstawię ten fakt: trzeba będzie rozłożyć całe miasto i zabrać je ze sobą, by byli gotowi, kiedy poszukiwacze zlokalizują wejście.

– Postawimy to jasno w naszych wyjaśnieniach – powiedziała Współczucie. – Dziękuję, Jeffreyu Jeffreyu, za twoją szczerą ocenę sytuacji. Ale w tym musimy pokładać nadzieję. Kontem-

placja ma rację. Nie przetrwamy w takiej formie. Nasze słoneczne serca umierają, a zasoby się kurczą.

– Albo musimy uzyskać dostęp do tego Schronienia, albo zginąć od brutalności Popielnego Króla – powiedziała Kontemplacja. – On nie przyjmie naszej kapitulacji, a ludzie to wiedzą.

– Wyobraźcie sobie miejsce poza jego wpływami – dodała Współczucie. – Miejsce, gdzie możemy udowodnić, że nasza droga jest lepsza, że nie potrzebujemy jego tyranii albo fałszywej „jedności” do przetrwania. Gdyby misja Zapala się nie powiodła, być może musielibyśmy zaakceptować gorsze opcje. Ale z tym kluczem mamy szansę.

Pewność, wysoka i imponująca, odwróciła się od stołu.

– Co pobudziło moją pamięć. Nie omówiliśmy jeszcze kary stosownej dla tej, która nie była posłuszna naszym ścisłym rozkazom i w ten sposób stanęła po stronie chaosu i niebezpieczeństwa, ściągając je na wszystkich, którzy jej towarzyszyli.

Rebeke, która w milczeniu sprzątała płytkę grzewczą i filiżanki, zeszywniała. Spojrzała znów w stronę stołu i spuściła wzrok.

– Ej, może dacie dziewczynie spokój – powiedział Nomad w ich języku. – Bez niej nie mielibyście mnie.

– To nie twoja sprawa, obcy – odparła Pewność.

– Jeśli jeszcze nie zauważyliście, tak naprawdę nie obchodzi mnie, co waszym zdaniem jest moją sprawą, a co nie. – Nomad wstał, kiedy Zapal wrócił z jakimś sprzętem. Położył karabin na stole i wyciągnął rękę.

Zapal spojrział w stronę Większego Dobra – kobiety pokiwały głowami – i wziął się do pracy nad bransoletami.

– Powtarzacie, że różnicie się od Popielnego Króla – kontynuował Nomad. – Że opieracie się jego tyranii. Wydaje mi się, że jeśli próbujecie stworzyć miejsce inne od tego, którym rządzi ten gość, powinniście unikać karania osoby, która chciała dobrze.

Pierwsza bransoleta się rozpięła. Zapal odłożył ją z trzaskiem na stół i zajął się drugą.

– Dziękuję za wykład, młody człowieku – powiedziała Pewność oschłym tonem. – Może w swoim czasie zrozumiesz, że potrzebna jest równowaga. Tyrania jest koszmarna, ale nie należy odrzucać wszelkich autorytetów. Młodzi często mają problem z koncepcją umiarkowania.

– Ile mam według was lat? – spytał Nomad z rozbawieniem.

– Pod dwudziestkę? – powiedziała Pewność.

– Nie, więcej – sprzeciwiła się Kontemplacja. – Dwadzieścia kilka.

Na burze. Wiedział, że wygląda znacznie młodziej bez siwizny we włosach, ale dwadzieścia kilka? Miał trzydzieści osiem lat, kiedy czas w końcu przestał podążać jego śladem, a dusza ugięła się pod wpływem Odprysku Świtu – i to zgodnie z rachubą jego planety, której lata były dłuższe niż większości.

Jasne, on mógłby mieć problem z oszacowaniem ich wieku, bo żyli przez cały czas w ciemności. Ale mimo wszystko.

– Doświadczyłem w życiu więcej, niż mogłybyście się spodziewać, oceniając po moim wyglądzie. I, jeśli mogę być brutalny, widziałem wielu tyranów rządzących w imię tego, co ludzie

nazywali „większym dobrem”. Nazwy się nie liczą. Nie chcecie być uznawani za tyranów? To tak się zachowujcie.

Druga bransoleta się rozpięła. Nomad podziękował skinieniem głowy Zapałowi, który się cofnął, patrząc na niego z ukosa – jakby się bał, że natychmiast złapie za karabin i zacznie strzelać. Nomad częściowo miał ochotę tak właśnie zrobić – wystrzelić kilka pocisków w sufit, choćby po to, by wstrząsnąć tymi ludźmi. Potrząsnąć nimi. Ale Pom zmyłby mu za to głowę.

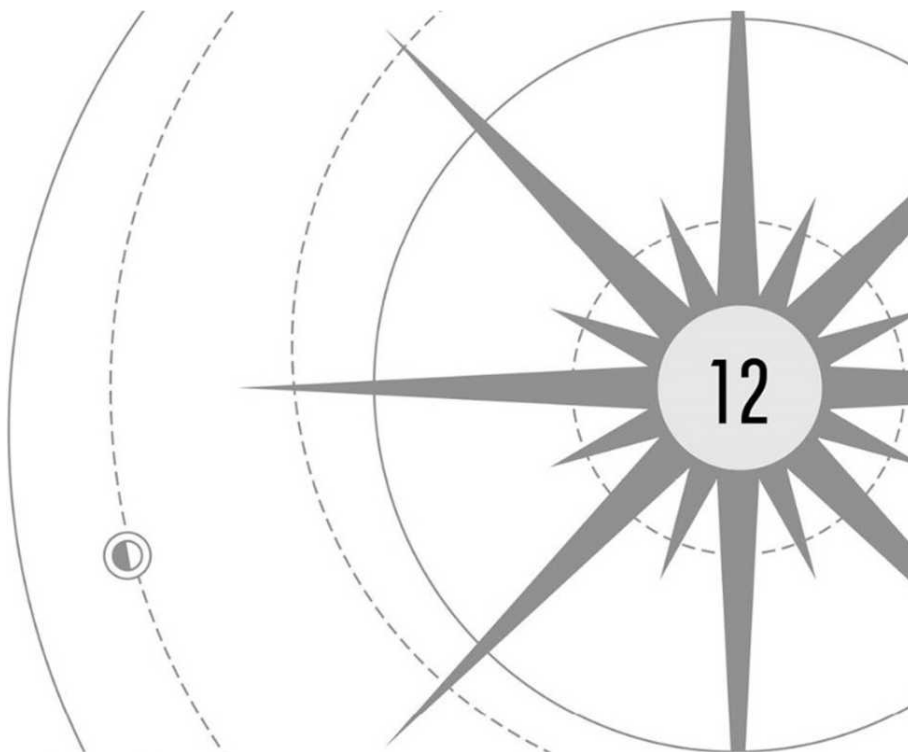
Dlatego tylko zarzucił broń na ramię.

- Jedzenie. Ubranie. Łóżko. W tej kolejności.
- Rebeke może wypełnić to zadanie – powiedziała Współczucie. – Jako część kary.
- Umiesz latać, obcy? – spytała Kontemplacja.

Nomad zamarł. Popatrzył na trzy kobiety, w głowie miał mętlik i przepełniały go emocje – aż uświadomił sobie, że chodziło im o latanie statkiem.

- Pewnie sobie z tym poradzę, jeśli ktoś objaśni mi sterowanie. Latałem podobnymi pojazdami. Czemu pytacie?

- Bo wkrótce dotrzemy do rejonu, w którym znajduje się wejście do Schronienia – wyjaśniła Kontemplacja. - Będziemy musiały przedstawić naszą sprawę ludziom i szybko podjąć decyzję. A później będziemy musieli rozdzielić miasto i zacząć szukać wejścia. A ja chciałabym wiedzieć...



Czy potrzebujesz niańki?”

Zadowolony z siebie ton głosu Kontemplacji wciąż odbijał się echem w głowie Nomada, kiedy trzy godziny później on i Rebeke wypadli spod chmur i znaleźli się z powrotem w blasku pierścieni. Wcześniej światło wydawało mu się słabe, teraz jednak miał wrażenie, że jest jasno... coś, nie jak za dnia. Może w nocy z największymi księżycami.

Znów znaleźli się na poczwórnym motocyklu Rebeke. Ponieważ to ona go uratowała, inni chętnie wyznaczyli jej rolę jego niańki. Nie był pewien, co ona o tym myślała. Powiedziała tylko kilka słów, kiedy znalazła mu miejsce, w którym mógł odpocząć, i zorganizowała ubranie. Martwił się, że będą mieli problem ze znalezieniem czegoś, co będzie na niego pasowało, ale miejscowe szwaczki pracowały wyjątkowo sprawnie. Może tak się działo w społeczeństwie, które bez ustanku uciekało przed przegrzaną śmiercią.

Dlatego teraz miał na sobie długi brązowy płaszcz z głębokimi kieszeniami, jak preferował. Był to drugi, który mu zaproponowali – pierwszy za bardzo przypominał mundur. Wciąż czuł wstyd na myśl o tym, jak warknął na Rebeke. Ten był całkiem ładny. Minęło kilka światów od kiedy udało mu się znaleźć coś, co było w jego guście. Pod spodem miał grube spodnie i cienką koszulę.

Kiedy wyłonili się z ciemności na dużym latającym motocyklu, podążyła za nimi niewielka flota statków. On i Rebeke, jak również inni zwiadowcy na motocyklach, wylecieli jako pierwsi, by się upewnić, że w okolicy nie ma Popielnego Króla. Kiedy potwierdzili, że jest czysto, przybyła reszta Promienia.

Jak się okazało, Promień składał się z około stu pięćdziesięciu mieszkańców – i około trzydziestu statków. Większość z tych statków, podobnie jak w większym mieście – nazywanym Jednością, jak się dowiedział – przypominała raczej trzmielę niż szerszenie. Ale wszystkie latały, i to nieźle.

Wciąż zadziwiało go, że całe miasta mogły się po prostu rozdzielić na rozkaz. Powiedziały sobie, że widział już dziesiątki planet i powinien być zbyt zblazowany, by zdumiewać się każdą ciekawostką. Jednak prawda była taka, że każda z nich miała coś takiego – jakieś fascynujące dziwactwo, które sprawiało, że miał ochotę zostać dłużej, badać, poznawać.

Oczywiście, gdyby to zrobił, Nocna Brygada by go zabrała – a wszystko po to, by znaleźć kolejne ogniwo w łańcuchu prowadzącym do ich łupu. Był pewien, że sposób, w jaki by go potraktowali, byłby bardzo pouczający. Jego wnętrzności po raz pierwszy ujrzałyby światło.

Aby o tym nie myśleć, skupił się na rozglądaniu się po okolicy. Wcześniej zauważył błoto – pozostałości burzy przechodzącej w mrok. Ziemia była tu zasadniczo szarą mazią, bez śladu roślin i życia – ale to nie znaczyło, że była nudna czy płaska.

Zaimprovizowane rzeki już wryły sobie kanały w błocie, erodowały glebę, tworzyły sieci. Wszystko to sprawiało wrażenie estuarium, gdzie rzeka spotykała się z oceanem. Tyle że bez oceanu. Ale były jeziora. Płytkie zbiorniki wody, odbijające pierścienie w uderzającym, kolorowym odzwierciedleniu.

Krajobraz był dziwacznie różnorodny. Wyobrażał sobie to miejsce jako jedno wielkie solnisko albo błotnistą jamę, ale mijali strome wzgórza i wijące się doliny, w których płynęła woda. Wśród nich wznosiły się dziwne formacje skalne, bardzo poszarpane i przebite otworami. Minęli równinę, na której były ich setki, jak rzeźby stworzone przez szaleńca.

„Co o nich sądzisz, pyta rozmyślnie poważny rycerz, odrobinę niepewnie”.

– Wiesz, mistrz Trefniś zawsze powtarzał, że powinienem unikać nadmiaru przysłówków w opisach.

„A jak w takim razie mam wyrażać uczucia? – pyta jeszcze bardziej niepewnie.”

– Przez kontekst. Ton głosu.

„Ton głosu, mówi beznamiętnie”, powiedział beznamiętnie. „Mam dokładnie jeden ton, Nomadzie. Wiesz, bycie martwym ma swoje koszty”.

– Niestety, milczenie nie jest jednym z nich.

„Formacje skalne, Nomadzie, mówi z narastającą irytacją. Czym są?”.

– Są dziwne. I tyle.

Normalnie tego rodzaju formacje skalne powstawały w wyniku długotrwałego wietrzenia. Ale gdyby tak było, miałyby gładkie boki, nie tak poszarpane, trochę jak kratery, jak...

Jak stopiony kamień, który nagle zamarzl, uświadomił sobie, w trakcie wyrwania się z ziemi. Jak wybuch wulkanu, nagle uderzony zimnym deszczem i unieruchomiony. Takie odnosił wrażenie.

– Ej – odezwał się, przechodząc na miejscowy język. Pomachał do Rebeke, która siedziała na miejscu kierowcy po jego lewej. – Te formacje skalne. Tworzą je promienie słońca? Przegrzewają grunt i doprowadzają do wybuchu magmy?

– Tak się domyślamy. – Przekrzykiwała szum powietrza. – Nadejście Niebieskiego Tyrana sprawia ziemi wielkie cierpienie. Każdego dnia wszystko się topi lub rozpada, a kiedy znów

przelatujemy, nic nie jest takie jak wcześniej.

– Chwileczkę. Nic nie jest takie jak wcześniej?

– Nic. Choć pozostają pewne ogólne cechy, na przykład na południu są wyżyny, indywidualne cechy znikają z dnia na dzień. Tych wzgórz nie było tu poprzednim razem. Wszystko zostało ukształtowane na nowo. Chór opowiada nam o starym świecie. Cichej ziemi, gdzie krajobraz drzemał i nie przeobrażał się każdego dnia. Ale to miejsce było też Piekłem, więc...

– Byłem tam – odrzyknął. – Dobre jedzenie, ale duchy są męczące. Nie dziwię się, że wasi przodkowie chcieli się wydostać.

Popatrzyła na niego znacząco.

– Nie kłam.

– Skłamałem?

– Nie byłeś w Piekło! – krzyknęła.

Wzruszył ramionami. Przeszedł wiele rodzajów piekła, choć jedynie planeta Tren rzeczywiście nosiła taką nazwę. Ale kogo obchodzi, czy mu wierzyła, czy nie?

„Ta magma. Jak się zorientowałeś, że o to chodzi? – wtrąca rycerz”.

– Na formacjach nie ma śladów erozji – wyjaśnił po alethyjsku. – To ma sens, że ten krajobraz jest poddawany działaniu skrajnych sił. To zadziwiające. Jak pierwotna planeta, która wciąż się formuje.

Jak by to było żyć w miejscu, w którym nie można tworzyć map? W krainie pozbawionej znajomych punktów orientacyjnych? Nic stałego oprócz tego, co nosiło się ze sobą? W tych warunkach też szukałby spokojnej jaskini, w której mógłby zamieszkać. Ale wyjaśniało również, dlaczego nie było ich wiele.

Jeśli powierzchnia każdego dnia była podgrzewana do takiego stopnia, że pękała i wystrzeliwały z niej stopione skały... cóż, to nie sprzyjało obecności stabilnych, możliwych do zamieszkania jaskiń. Ponownie, wątpił, by Schronienie było jaskinią.

Poza tym coś podpowiadało mu, że coś tu się zgadza. Że brakuje mu elementu układanki. Przegrzane światło mogło sprawić, by skały wypływały na powierzchnię, ale wybuchy? Nie był ekspertem, ale odnosił wrażenie, że zwykle powodowało je coś odwrotnego. Gorąco poniżej, a chłód powyżej – ze szczodrym dodatkiem aktywności tektonicznej, która tworzyła nowe ścieżki, przez które ciepło mogło uciekać.

Do tego w światło Napelnione w tak dużym stopniu zasadniczo uniemożliwiłoby dotarcie do układu statkiem kosmicznym. Miał jednak dowód, że byli tu Scadrianie. Co się właściwie działo z mechaniką tej planety?

– Zakładam, że niestabilny krajobraz jest powodem, dla którego musimy szukać wejścia do Schronienia – powiedział do Rebeke.

– Tak. – Wskazała pobliską grupę pięciu statków o okrągłych, płaskich podstawach. Przesuwały się nisko nad ziemią, poruszając się razem w przemyślany sposób. – Wykorzystujemy statki poszukiwacze, które wyczuwają źródła energii pod ziemią. Od czasu do czasu w trakcie regularnych poszukiwań Popielny Król znajdował drzwi. Miał obsesję na ich punkcie i na punkcie opowieści o Schronieniu. Jeszcze się wzmogła, kiedy dostał klucz. Pochodził z ciała, które znalazł jeden z jego zwiadowców, obcego, który utonął w lawinie błota.

Nomad pokiwał z namysłem głową. Te poszukiwacze były wielkimi maszynami, choć wykonywały tak proste zadanie jak wyczuwanie Napełnienia – ale też nie każdy miał dość szczęścia, by wśród personelu mieć Szperacza.

– Byliście jego poddanyami? – spytał ją ponad szumem powietrza. – Popielnego Króla? Zanim się oderwaliście i ukryliście w ciemności?

– Zasadniczo. – Zwolniła, by napić się z manierki. Później mówiła dalej, ale nie musiała już krzyczeć. – On „strzeże prawa”. Ma wpływy właściwie w każdym nadającym się do życia korytarzu i włączył wszystkie większe lub bardziej znaczące miasta do Jedności. W przypadku mniejszych miast, takich jak nasze, wysyłał kilku urzędników, by go reprezentowali. Jak również kilku Zwęglonych, gotowych wymuszać wypełnianie jego rozkazów. Żyliśmy z tym. Przez lata... właściwie od kiedy pamiętam... żyliśmy pod jego butem. Aż zaczął zmieniać retorykę, robił się bardziej agresywny, twierdził, że jego przeznaczeniem jest zjednoczyć wszystkich ludzi w jednym mieście. I wtedy...

Spojrzała w bok, kiedy obok przeleciał statek. Umieścili tam Elegię, jej siostrę. Rodzaj zaimprovizowanego więzienia. Nomad był zaskoczony, że nie mieli prawdziwego.

– Elegia – powiedziała Rebeke – zawsze miała takie wspaniałe marzenia. Potrafiła przekonać każdego do wszystkiego, jeśli tylko sama gorąco w to wierzyła. Miałam nadzieję, że uda nam się... coś dla niej zrobić. Kiedy wcześniej ją zamykaliśmy, nakrzyczała na mnie. To był jej głos, ale w jej oczach nie pozostało nic z niej. Ja... – Przygarbiła się i zwiesiła głowę.

Na burze, ta dziewczyna potrzebowała snu i czasu na przeżywanie żałoby, nie kolejnej misji. Ale słońce nie czekało. Jego harmonogram ich ograniczał. Może uda jej się odpocząć, kiedy otworzą drzwi...

Ale oczywiście, że nie. Bo drzwi nie doprowadzą do schronienia. Przygotował się.

– Popielny Król. On będzie was tu szukał?

– On zawsze nas szuka. Jednak Zapal zastąpił klucz, który ukradł, falsyfikatem. Więc, z błogostwem Adonalsium, Popielny Król nie wie jeszcze, co zrobiliśmy. Wysłała patroli, by nas znaleźli, ale tylko regularne. A być może dziś będziemy mieli szczęście... bo on rzadko patroluje ten region.

– Dlaczego?

– Bo jego miasto, Jedność, i tak tędy przeleci, kiedy skończą żniwa. Czemu mielibyśmy być tak głupi i wylecieć mu naprzeciwko? Jego zwiadowcy zazwyczaj przeszukują najdalsze krawędzie tego korytarza i te w pobliżu, zakładając, że nas tam znajdują, kiedy sami będziemy próbowali zbierać plony.

Umilkli.

– Nie możecie uciec do innego korytarza? – spytał Nomad. – Powiedziałaś, że są miejsca, na które nie ma wpływu?

– Ma wpływ na wszystko, ale są miejsca, które go nie obchodzą... bo nie nadają się do zamieszkania. – Wskazała na północ. – Leć w tamtą stronę przez około godzinę, i to wszystko jest jego terytorium, aż dotrzesz do martwego pasma, gdzie nie rośnie żywność. Wygnanie tam jest wyrokiem śmierci.

Odwróciła się i wskazała na południe.

- Południowe pasmo niedyś nadawało się do zamieszkania, ale w ciągu ostatnich kilku lat wyrósł tam łańcuch górski. Robi się coraz wyższy. Jak mówiłam, choć pojedyncze elementy znikają, niektóre większe się utrzymują. Ciągłe mamy nadzieję, że ten łańcuch górski się stopi, ale tak się nie stało, więc wszyscy ludzie z tego korytarza musieli przenieść się na północ, przez co te korytarze zrobiły się zatłoczone. Co daje Popielnemu Królowi większe wpływy, by ich łatwiej uciskać.

- Chwileczkę. Dlaczego łańcuch górski to taka wielka sprawa? Przelećcie nad nim.

- Nie możemy wznieść się na taką wysokość. Statki tego nie potrafią. A sięga tak daleko, że jeśli spróbujesz go ominąć, nieuchronnie utkniesz w jakiejś dolinie i zginiesz. Więc ukrywamy się w ciemności i unikamy jego patroli.

Nomad uznał to za interesujące. Ich technologia... coś w niej go dziwiło. Nie było to jednak niezwykle doświadczenie. Im dłużej podróżował, tym bardziej do niego docierało, że technika nie rozwijała się liniowo. Planety często miały bardzo rozwiniętą wiedzę w jednym aspekcie, ale kompletnie nie miały pojęcia o innym. Natknął się na społeczeństwo zdolne do skomplikowanych obliczeń matematycznych i doskonale rozumiejące architekturę – ale pozbawione idei koła, bo mieszkali w gęstej dżungli, gdzie jego wynalezienie nie miało tak dużego sensu jak w miejscach, gdzie było dużo płaskiej ziemi i proste drogi.

„Czyli, rozważa rycerz, żyli pod władzą Popielnego Króla. Muszę przyznać, że to brzmi źle. Ale czy naprawdę mogło być gorsze niż reszta życia na tej planecie? Czy jego rządy były tak straszliwe, że zamieszkanie w nieprzeniknionej ciemności było lepsze?”

To zależało. Doświadczenie podpowiadało Nomadowi, że ludzie nie buntowali się, kiedy życie było absolutnie koszmarne. Działo się tak, kiedy życie poprawiało się w stopniu, który dawał ludziom czas na myślenie, na zastanawianie się. Zdolność do wyobrażania sobie.

Może więc miejscowa sytuacja niedawno rozwinęła się na tyle, że ludzie zaczęli się zastanawiać, czy potrzebowali dyktatora.

- Popielny Król – powiedział Nomad. – On nakładał na was podatki? Jak wysokie?

- Bardzo – odparła cicho. – Losowanie odbywało się raz na obrót.

Losowanie?

Cóż, było to jedno z tych słów, którego znaczenie zmieniało się zależnie od kontekstu. Przypomniał sobie doświadczenia z Jedności, przygotował się najgorsze.

- Losowanie... ludzi?

Pokiwała głową.

- A czego innego?

- A co z nimi robi?

Zmarszczyła czoło i przyjrzała mu się. Po chwili zmrużyła oczy.

- Ty... nie wiesz?

Pokręcił głową.

- To prawda? – szepnęła. – Że jest miejsce, gdzie nie używają słonecznych serc?

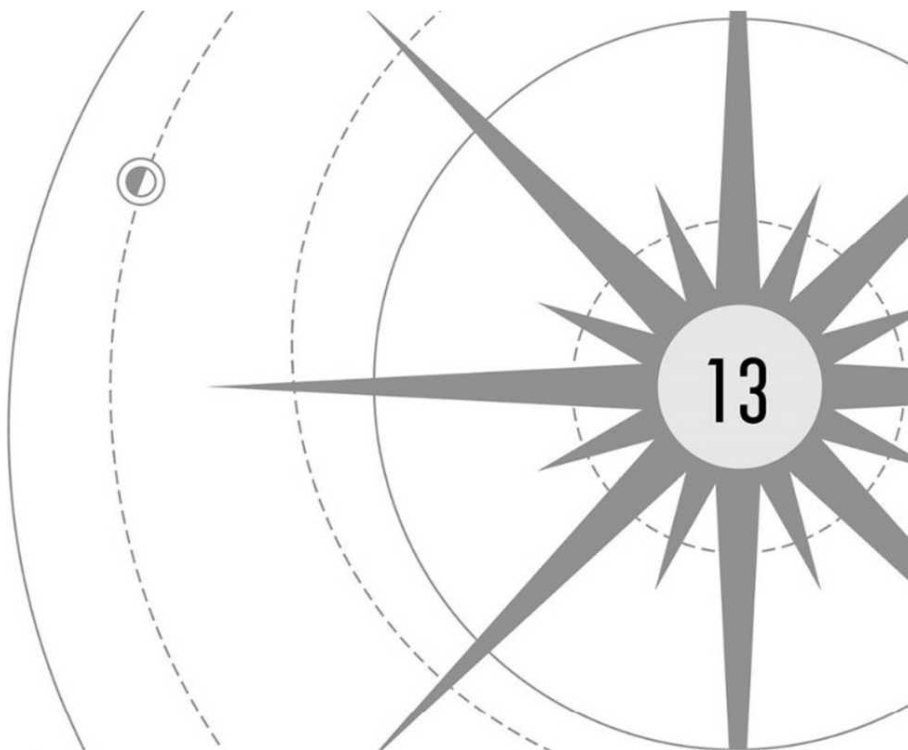
- Źródła energii? – Postukał w obudowę motocykla. – To znaczy wszyscy, których miałem okazję poznać, korzystają z takiego lub innego źródła energii, ale takich nigdy nie widziałem. Skąd je bierzecie? Czy to... – Urwał.

Słoneczne serca.

Losowanie.

- Ludzie? - spytał. - Te źródła mocy były kiedyś ludźmi?

- To tutaj... - położyła dłoń na obudowie - ...było moją matką. Dwa tygodnie temu. Zostawiliśmy ją dla słońca, a przy następnym obrocie zabraliśmy jej słoneczne serce. Ciało wyparowało od gorąca, a jej dusza skondensowała się w tym kamieniu.



Na burze.
Na burze.

Nagle jego doświadczenie z momentu przybycia nabrało jeszcze bardziej złowieszczy charakteru. To właśnie robił Popielny Król. O to chodziło w tej dziwnej grze w berka – o wybór kolejnych ludzi, którzy zostaną złożeni w ofierze słońcu. Nie w jakiś prymitywny, pogański sposób – lecz nowoczesnie. Było to równie koszarne, ale bardziej ekonomiczne.

„To straszliwe, wykrzykuje bohater, napełniając swoje słowa odrazą”.

Nie było to zupełnie niespotykane. Nomad nie odwiedził Nalthis – miejsce wydawało się przyjemne, a Nocna Brygada zwykle nie miała problemów z odnalezieniem przyjemnych miejsc – ale oni zajmowali się kupowaniem, sprzedawaniem i wymianianiem fragmentów ludzkich dusz, jakby to były klejnoty. JEO jako jednostka miary opierały się na tym systemie – choć tu przynajmniej transakcja nie kosztowała nikogo życia.

– Dłatego nie ma tu żadnych duchów – powiedział cicho po alethyjsku. – Trenowcy, oni mają to widmowe echo w swoich duszach. Rodzaj dymnego cienia, który pozostaje po ich śmierci. Tutaj nie ma na to szans. Ich dusze zostają skondensowane, stopione, zmienione w...

Ogniwo energetyczne. Jedno z nich pochłonął, by stworzyć Związek z tą planetą. Kolejne wydarzenie, które z perspektywy nabrało makabrycznego charakteru. Pomacał kieszeń, w której ukrył wyczerpany rdzeń, kiedy się przebrał.

„Jedna dusza, nawet z dołączonym cieniem, nie wystarczyłaby, żebyśmy pochłonęli ponad tysiąc JEO Napełnienia”, powiedział Pom. „Musi więc istnieć jakaś inna moc napełniająca kamień, jak Burzowe Światło na Rosharze. Promienie słońca muszą być Napełnione, jak się domyślaliśmy. One doładują pozostałości duszy, kiedy człowiek ginie”.

To było jedynym, co miało sens, bo nie udałoby im się zasilac całych miast samymi duszami. Zbyt szybko zabrakłoby im ludzi. Mimo to implikacje sprawiły, że poczuł mdłości.

– Twoja reakcja – powiedziała Rebeke. – Jest szczerą, prawda? Nie miałeś pojęcia, czym są słoneczne serca.

– Owszem.

– W takim razie rzeczywiście jest nadzieja. Prawdziwa nadzieja. Lepsze życie, niż spodziewała się Elegia.

– Wasze miasto... wciąż korzysta z takich ofiar?

– A co innego mielibyśmy zrobić? Nie możemy uciekać przed słońcem bez energii. W przeciwnieństwie do loterii Popielnego Króla, zawsze korzystaliśmy z tych, którzy sami się zgłosili. Starzy, chorzy. – W zamyśleniu pogłaskała obudowę słonecznego serca. – Matka umierała. Może zostało jej kilka miesięcy życia, może dni, może lata. Ale my mieliśmy trzy zużyte słoneczne serca i statki, które nie mogły latać. Więc... – Odetchnęła głęboko.

– Więc zostawiacie ludzi na śmierć. Oni stają się tymi... źródłami energii. Jak ich potem znajdujecie?

– Statki poszukiwacze. Dlatego je mamy. Słoneczne serca z jakiegoś powodu unoszą się w górnej warstwie magmy. Można je znaleźć mniej więcej w tym samym miejscu, w którym zostawiło się ludzi, choć często trzeba ich wydobyć ze skał. – Jej dłoń znieruchomiała. – Mój brat umieścił słoneczne serce matki tutaj, w naszym motocyklu, bym mogła je mieć blisko siebie. Teraz on... on odszedł i matka, a nawet Elegia...

„Ten burzowy świat, mówi rycerz, z trudem łapiąc oddech. Co wskazuje na przerażenie, nie na ekscytację, bo to określenie wykorzystuje się na dwa sposoby. Na wypadek gdybyś się zastanawiał”.

– Kiedy mnie pojмали, Popielny Król zdjął rękawiczkę i złapał mnie za twarz – powiedział Nomad. – Czego się spodziewał. Do tego nie doszło.

Te słowa wyrwały Rebeke z melancholii i sprawiły, że znów się na niego zapatrzyła. Spojrzała na jego dłoń. Bez rękawiczek. Z wyraźnym zaciekawieniem zdjęła rękawiczkę z prawej dłoni, ale się zawahała.

– Mogę? – spytała.

Wzruszył ramionami. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego nadgarstka.

– Nic – powiedziała oszołomionym głosem.

– A co miało się stać?

– Powinnaś móc zaczerpnąć twojego ciepła. Odrobinę twojej duszy. Ponieważ to ja nawiązałam kontakt, powinnaś móc wydobyć je z twojego ciała, schładzając cię... tak działają bransolety. Ale one na ciebie wpłynęły, prawda?

– Niestety. To, co czerpicie, nazywamy Napełnieniem. To inny rodzaj energii, a jego czerpanie ochładza. Ale to jedynie efekt uboczny. Ze względu na swoje pochodzenie macie interesujący rodzaj Napełnienia... ja zresztą też, ale mój ma inny charakter.

- Dlaczego działają na ciebie bransolety, ale mój dotyk nie?

Trudno powiedzieć. Choć kiedyś przeprowadziłby badania nad czymś takim, minęło wiele lat, od kiedy się nad tym zastanawiał. A różnorodne niuanse Napełnienia bywały kłopotliwe nawet dla ekspertów.

- Napełnienie jest kapryśne. Posługiwanie się nim wymaga określonych rzeczy... Intencji, Rozkazów, znajomości. Najprawdopodobniej bransolety były wystarczająco brutalne, żeby przebić się przez moją ochronę, ale twój dotyk taki nie jest.

Cofnęła dłoń, zarumieniła się i szybko włożyła znów rękawiczkę.

- Robienie tego nie jest typowe.

- Co? Dotykanie innych?

Pokiwała głową wyraźnie zażenowana.

- Normalnie zdarza się przypadkiem.

- Widziałem, jak Popielny Król robi to świadomie. Zabijał ludzi na arenie, pochłaniając ich Napełnienie.

- Tak - szepnęła. - On może czerpać ciepło szybko, mocno, przemocą. Może nakarmić się ludzką istotą i pozostawić martwą łuskę. On... przez te lata pożywił się tysiącami ludzi.

„A niech to”, powiedział Pom. „Tysiącami? Uważaj na niego, Nomadzie. Jeśli jest tak wysoko Napełniony... może być naprawdę niebezpieczny”.

- Tak czy inaczej, każdy dotyk może doprowadzić do czerpania lub dawania ciepła... - mówiła dalej Rebeke. - Nawet zwykłego człowieka i nawet niezamierzenie. Rzadko jednak bywa to niebezpieczne.

- Chwileczkę. Jeśli się dotykacie, zaczynacie czerpać Napełnienie od siebie nawzajem?

- Istnieją modlitwy, które to formalizują. Ale... owszem, przedłużony dotyk może doprowadzić do rozpoczęcia tego procesu. Przypadek. Albo... intymność.

- Zamrażacie siebie nawzajem w czasie seksu?

„To coś nowego, mówi bohater do swojego przesadnie bezpośredniego lokaja. Z pewnością nie miałem tego na liście specyficznych cech kultury, na które spodziewałem się natrafić na tym świecie”.

Rebeke poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Tak naprawdę to przekazujemy ciepło w obu kierunkach. To... Chyba nie muszę ci tego wyjaśniać.

- W porządku.

Zamyślił się. Ci ludzie mieli naturalną, biologiczną zdolność wysysania Napełnienia z siebie nawzajem. Niemal wszystko miało jakiś Napełniony element, ale skrajne doświadczenia - a dokładniej dziwne rzeczy, które mógł zrobić, i dziwne rzeczy, które mu zrobiono - były bardzo głęboko powiązane z naturą Napełnienia.

To obejmowało jego Udrękę. Miała komponent fizyczny. Komponent umysłowy. Ale prawdziwe kajdany były duchowe - Napełnienie. Może więc...

W jego głowie pojawił się zaczątek planu. Sposób, by potencjalnie uniknąć dolegliwości. A w najgorszym wypadku złagodzić jej objawy.

„Nomadzie, wtrąca rycerz - najpewniej przerywając rozważania na temat jego niewiarygodnej natury - widzę coś. Statek dwadzieścia stopni po twojej prawej. Bardzo odległy”.

Nomad skupił się na kierunku, który wskazał mu Pomocnik. Choć Pom nie miał fizycznego kształtu, jeśli Nomad nie przywołał go jako przedmiotu, spren mógł wykorzystywać ciało Nomada, by doświadczać świata. Pom pełnił straż, nawet jeśli Nomad tego nie robił.

Nomad go zauważył – nieduży statek, odległy, ale zbliżający się.

– Zwiadowca – powiedział do Rebeke. – Wydaje mi się, że nas obserwuje. Powinnaś ostrzec pozostałych.

Rebeke podażyła za jego spojrzeniem i zakłęła cicho. Przerzuciła przełącznik z boku siedzenia, a wtedy kadłub po lewej Nomada rozłożył się. Siedzenie Rebeke i metal wokół niego oddzieliły się od głównego nadwozia motocykla. Fragmenty z przodu i z boków złożyły się jednocześnie, tworząc jej własny jednoosobowy latający motocykl, smukły i sprawny.

Jak się domyślał, ten czteroosobowy pojazd mógł odrzucić cztery części z siedzeniami. Nie był to jeden wielki latający motocykl, ale raczej transporter dla czterech mniejszych.

– Jestem pod wrażeniem. Czy wszystko na tej planecie może się podzielić na mniejsze, wciąż działające fragmenty? Jeśli się nim rozbijemy, to czy rozpadnie się na setkę jeszcze mniejszych motocykli?

– Skontaktuj się z pozostałymi, by ich ostrzec. – Pochyliła się gotowa ruszyć za zwiadowcą.

– Nie kieruj się prosto w jego stronę! – krzyknął Nomad. – On obserwuje. Widzisz, jak opadł bliżej gruntu, żeby trudniej go było zauważyć? Pewnie składa raporty przez radio. Założę się, że zwiadowca myśli, że przytapał nas na zasiewach. Jeśli rzucisz się z wrzaskiem w jego stronę, zwiadowca będzie miał pewność, że został zauważony.

Zawahała się, dostrzegając mądrość jego słów.

– Nie może składać raportów – stwierdziła. – Mamy tu całe nasze miasto, w tym zagłuszacze radia. To zakłóca ich sygnały.

Nomad znów poczuł się zaskoczony ich różnorodnymi technologiami. Z drugiej strony, może w rzeczywistości nie używali fal radiowych, a jego umysł zinterpretował to w taki sposób dla wygody. To mógł być jakiś rodzaj komunikacji opartej na Związku, jeśli energii dostarczały mu te słoneczne serca.

– W takim razie jest jeszcze ważniejsze, by zwiadowca nie dowiedział się, że został dostrzeżony – powiedział. – Chodź. Pokażę ci.

Odwrócił się i spojrzał w dół – tam sięgnęła, by odłączyć swój motocykl. Znalazł rączkę, niemal przylegającą do boku pojazdu. Kiedy Rebeke skinęła głową, przekreślił ją i jego motocykl odłączył się od centralnego kadłuba.

Powstały w efekcie jednomiejscowy pojazd znacznie bardziej przypominał motocykle, na których latał na innych światach. Zbliżył się do kobiety.

– Nie robią się mniejsze – zauważyła. – Te nie mają nawet własnych słonecznych serc, tylko baterię, która wytrzyma około godziny, zanim znów będziesz musiał podłączyć się do głównego pojazdu, żeby ją naładować.

– Świetnie. Podążaj za mną.

Skierował swój motocykl mniej więcej w stronę odległego zwiadowcy. Następnie zrobił dużą pętlę, jakby zamierzał sprawdzić poszukiwacze.

Podążyła za nim, a kiedy mijali punkt znajdujący się najbliżej wciąż odległego zwiadowcy, podleciała do Nomada.

- Teraz? - spytała z przejęciem.

- Nie. Robimy jeszcze jedną pętlę. Udajemy, że to coś, co robimy rutynowo. Ale tym razem pętla będzie większa.

Pokiwała głową, uważnie obserwując zwiadowcę.

- Nie wpakowałaś się ostatnio w tarapaty, kiedy wyszłaś poza swoje rozkazy? Znów na ciebie nakrzyczą?

- Taki już jest mój los, pozwolę sobie powiedzieć. Powinam się przejmować?

Uśmiechnął się.

- Nie wiem, czemu miałabyś.

Nagle zrobiła niepewną minę.

- Ja... pozwolę sobie zwrócić uwagę, że zwiadowca może być Zwęglonym. Co zrobimy wtedy?

- Zapytamy go, czy ma ochotę na herbatkę. A jak myślisz? Zabijemy sukinsyna, nim on zabije nas.

Pochylił się i przyjrzał jej uważnie. Była przejęta. Może to była lekkomyślność kogoś, kto nie miał już po co żyć. Może pragnienie zemsty. Najpewniej po prostu chciała zrobić coś, cokolwiek, by nie myśleć o stracie. Był w takiej sytuacji. Zbyt wiele razy.

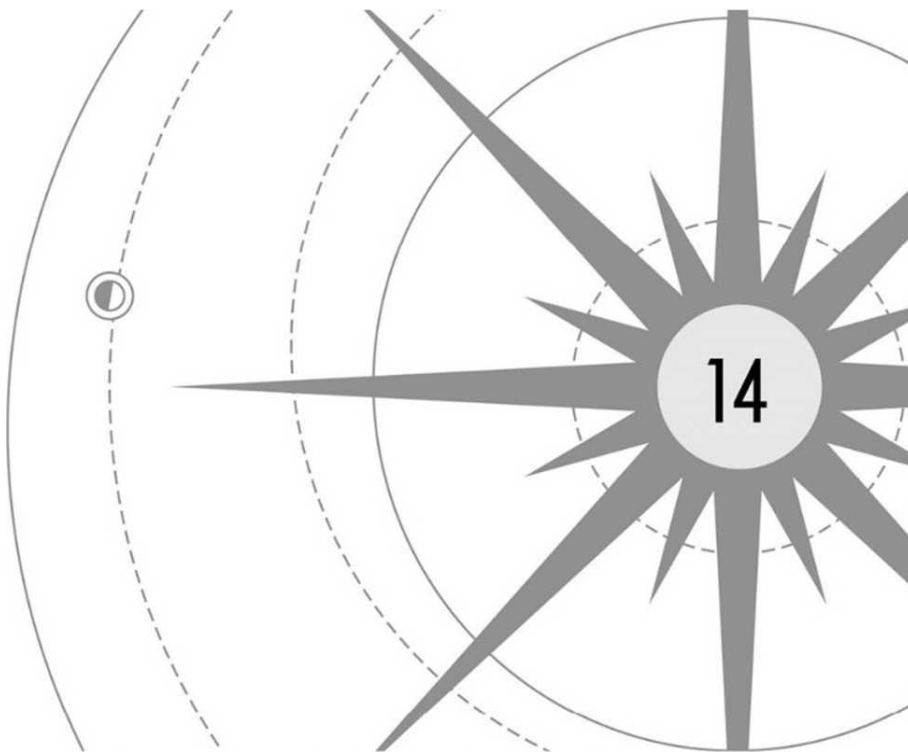
„Jest coś dziwnego w sposobie, w jaki zachowują się ci ludzie, myśli na głos rycerz. Zakładam, że to zauważyłaś”.

- Tak - powiedział po alethyjsku. - Mają w sobie dziwną nieśmiałość. Nawet strzelcy wyborowi nie robią wrażeń żołnierzy... wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby się okazało, że w rzeczywistości to myśliwi. - W końcu używali określenia „zabójca”, jakby to było rozgraniczenie. Jakby niektórzy ludzie byli do tego zdolni, a inni nie.

Tak czy inaczej, wyczuwał w Rebece głód. Pragnienie, by działać, by odpowiedzieć ciosem na cios. Poprowadził ją kolejnym szerokim łukiem, tym razem bliżej lokalizacji zwiadowcy. Urządzenia motocykla były zadziwiająco intuicyjne. Przypuszczał, że miało to sens - jeśli całe społeczeństwo było uzależnione od ciągłego unoszenia się w powietrzu, kierowanie statkami musiało być proste.

Zwiadowca ukrył się obok formacji skalnej, przypominającej wielką falę magmy, która zastygła w miejscu. Byli teraz znacznie bliżej, ale nadal dzieliła ich pewna odległość - równa tej, którą już przebyli. Gdyby zbliżyli się jeszcze bardziej, wzbudziliby podejrzenia.

- W porządku - powiedział Nomad do Rebeke. - Teraz!



Razem odskoczyli w bok, maksymalnie przyspieszając motocykle, i popędzili prosto w stronę zwiadowcy.

Natychmiast ich zobaczył. Chudy mężczyzna w białym płaszczu z czerwonymi pasami zawrócił motocykl i zaczął uciekać. Trzymał się blisko ziemi i po chwili wjechał w coś, co wyglądało na dużą jaskinię lawową. Było to niebezpieczne, ale zmniejszało szanse na to, że ktoś postrzeli go z góry albo z tyłu.

Nomad skierował się w dół, by podążyć za nim, a Rebeke dołączyła do niego. Na jej twarzy malowało się napięcie, a wiatr szarpał czarno-srebrne kosmyki jej włosów. Nomad pozwolił sobie na uśmiech. Dobrze się czuł w powietrzu. W ruchu. Po chwili wpadli do jaskini lawowej – dużego, okrągłego tunelu w skałach. Przerwanego w wielu miejscach, otwartego, wijącego się. Ostre zakręty wymagały ostrożnych ruchów, żeby nie wbić się w ścianę.

„Pamiętasz, zauważyła rycerz, przewracając oczami, kiedy się poznaliśmy? Powiedziałeś mi, że jesteś »tym rozsądnym«, który »nie rzuca się prosto w pierwszą walkę, jaka się nadarzy«”.

– Nie – powiedział. – Nie brzmi jak coś, co mógłbym powiedzieć.

„Aha, a co się stało z chęcią przyczajenia się? Wyboru łatwej ścieżki? Czy to brzmi jak obecny ty?”

– Próbuję utrzymać tę dziewczynę przy życiu.

„To wyjątkowo mało cyniczne jak na ciebie”.

– Ech, nudzi mi się.

Nomad przejechał kolejny zakręt, ledwie widział zwiadowcę w tunelu, który między zawalonymi fragmentami był tak ciemny, że jedynie blask silnika wskazywał ich cel.

Po chwili usłyszeli głos dochodzący przez radio.

– Co wy robicie? – spytała Kontemplacja, ledwie słyszalna ponad szumem powietrza.

– Coś sprawdzamy – odparł, naciskając na przycisk rozmowy. – Zwiadowca, tak myślimy.

– Słoneczny Mężu, jesteś potrzebny, by otworzyć drzwi – zauważyła Kontemplacja.

– Znaleźliście je już?

– Nie. Tym razem krajobraz jest wyjątkowo trudny.

– Cóż, nie będziemy mieli szansy, jeśli przybędzie Popielny Król. Lepiej więc, jeśli powstrzymamy tego zwiadowcę, zanim złoży raport.

– A jeśli zginiesz? Obiecałeś, że uruchomisz klucz... bez ciebie nie dostaniemy się do środka.

– Jeśli zginę, to wszystko przestanie być moim problemem, czyż nie?

– Lekkomyślni głupcy – mruknęła. – Jeśli zechcesz... w co wątpię... przestań zachęcać Rebeke. Jest jedynym, co pozostało z jej rodziny, i chciałabym zobaczyć ją bezpieczną w Schronieniu, zanim nadejdzie mój czas.

Kiedy zrozumiał, o co jej chodzi, odczuł to jak uderzenie pięścią w brzuch – jej czas, by zginąć w promieniach słońca, by stać się ogniwem energetycznym dla rodaków. Z tym społeczeństwem dużo było nie w porządku. Ale człowiek musiał robić to, co konieczne, by przetrwać – Nomad rozumiał to lepiej niż inni.

Na razie zignorował radio, pochylił się i cieszył pościgiem. Zwiadowca dobrze latał i trzymał się przed nimi w tunelu – ale żadne z nich nie leciało z pełną prędkością. Zakręty były zbyt ostre.

Niestety, zwiadowca nie musiał uciec. Wystarczyło, że zbliży się wystarczająco do domu, by zwrócić na siebie uwagę. Dlatego Nomad musiał zrobić coś głupiego.

– Wyleć na zewnątrz przez następny otwór w sklepieniu, Rebeke – powiedział przez radio. – Ja zamierzam trochę przyspieszyć.

– Co takiego?!

Nomad mocno nacisnął pedał gazu pod lewą stopą i wyleciał do przodu. Nie mógł bezpośrednio zaatakować tego gościa, nawet gdyby udało mu się zbliżyć. Musiał usiąść mu na ogonie i mieć nadzieję, że mężczyzna zrobi coś lekkomyślnego.

Po chwili jaskinia lawowa wypłuła ich do kanionu. Nomad lawirował przezeń, a jednocześnie zauważył, że kamienne ściany wypełniały otwory, które powstały, kiedy ze stygnącej magmy wydobywał się gaz. Mógł sobie wyobrazić, że całe to miejsce powstało, kiedy na płynącą lawę spadł deszcz – skały tężały pośród wybuchów pary, gdy gorąco i zimno zderzały się ze sobą.

Zwiadowca obejrzał się przez ramię, ukazując twarz z długimi wąsami. Następnie nagle przyspieszył – gorączkowo omijając ciasny zakręt. Nomad podążył za nim. Starał się znaleźć na tyle blisko, by dosłownie dyszeć mężczyźnie w kark. I rzeczywiście, kiedy dotarli do kolejnej części kanionu, zwiadowca znów obejrzał się przez ramię – i był wyraźnie zaskoczony tym, jak blisko niego dotarł Nomad. Przyspieszył, choć ten odcinek był jeszcze większy i pełen poszarpanych okluzji lawowych.

Z płonącymi silnikami i ich rykiem odbijającym się echem w tunelu, prześlizgiwali się w cieniach wysokich szczytów, które na przemian to zasłaniały, to ukrywały pierścienie.

„Rycerz zastanawia się, z coraz większą niepewnością, czy jego wierny sługa ma jakiegokolwiek burzowe pojęcie, co robi. Wie, co robi, prawda? Kiedy wdał się w pościg za kimś, kto mieszka na planecie pełnej doskonałych pilotów?”

Mogą być doskonałymi pilotami, ale Nomad miał wielkie doświadczenie w byciu celem pościgu. Choć wątpił, by był równie dobrym pilotem, jak jego cel, zwiadowca poruszał się coraz bardziej przypadkowo. Zbyt ostro ścinał zakręty, przyspieszał na łukach zamiast na prostych. Ciągłe oglądał się przez ramię.

Jakie to znajome uczucie. Tak wiele razy Nocna Brygada prawie go dopadła. Miał ich tuż za plecami, widzieli go w celownikach. Nomad znał tę panikę, ten nagły przypływ adrenaliny. Niebezpieczeństwo z przodu nagle wydawało się trywialne w porównaniu z tym za plecami. Człowiek skupiał się na nim, podejmując coraz większe ryzyko.

Historia jego życia.

Zwiadowca wiedział, jak to jest uciekać przed słońcem. Ono również wyruszało w pościg – ale w powolny, nieunikniony, przytłaczający sposób. Nie było szybkie ani bezpośrednie. Nie tak jak teraz. Nomad podjechał odrobinę za blisko do formacji skalnej, poczuł, jak przelatuje ze światłem obok jego głowy. Przy tych prędkościach niewielki błąd w kalkulacjach doprowadziłby do wielkiego wybuchu.

Niestety, kiedy Nomad miał już niemal pewność, że zwycięży, wypadli na otwartą przestrzeń. Ten bardziej płaski teren, otoczony płaskowyżami i szczytami, był zasadniczo dnem dużego krateru. To pozwoliło zwiadowcy przyspieszyć do maksimum. Ich motocykle miały podobną prędkość, więc Nomad trzymał się blisko – ale niewiele mógł zrobić, gdyby dogonił mężczyznę. Musiał...

Z ziemi w pobliżu wystrzeliła lava. Gejzer jaskrawego pomarańczowo-czerwonego gorąca spryskał okolicę ogniem, popiołem i sadzą. Iskry przeleciały nad motocyklem Nomada i wciąż płonęły, choć wiatr powinien je ugasić.

„Potępienie, wykrzykuje rycerz. Głosem pełnym emocji. Tych z rodzaju zaskoczenia”.

Zwiadowca pewnie powinien wznieść się wyżej, by uniknąć wybuchów. Ale wydawało się, że nie myśli jasno. Tymczasem skręcił, próbując zbliżyć się do stromych ścian krateru – może myślał, że ziemia będzie tam bardziej stabilna.

Kolejny fragment skał wybuchł, wyrzucając w powietrze rozpalone odłamki. Spadały wokół motocykli, uderzały o ziemię i wybuchały jak fajerwerki. Przeklinając pod nosem, Nomad prze-rwał bezpośredni pościg, kiedy tuż przed nim spod ziemi wyrwała się cała ściana ognia – fala szkarłatnej skały, która zaraz opadła. Częściowo natychmiast poczerniała i spłynęła jak wosk. Inne fragmenty wciąż emanowały blaskiem, jak gorąco samego życia.

Objechał przeszkodę, a podskakujący grunt ledwie ostrzegł go przed kolejną erupcją. Udało mu się ją ominąć. Niechętnie podniósł się wyżej, wysoko na niebo, by ominąć niebezpieczny region. Tam wrócił do pościgu, ale zwiadowca był daleko przed nim. Za daleko. Prawie dotarł na drugą stronę krateru. Gdzie...

Strumień światła z góry zrzucił mężczyznę z motocykla. Ciało opadło, a maszyna pokoziołkowała po ziemi wśród chmury pyłu.

Nomad podniósł wzrok i na pewnej odległości przed sobą zobaczył Rebeke na motocyklu. Opierała karabin o ramię. Racja. Kazał jej pojechać przodem, prawda?

Zatrzymał się obok niej i oddychał głęboko, z bijącym sercem. Co wywołało te gejzery magmy? Znajdowali się zasadniczo najdalej od słońca, jak się dało. To powinien być rejon najbardziej stabilny tektonicznie na planecie, choć może ona nie była wcale stabilna. Skrajna konwekcja albo siły pływowe mogły doprowadzić do wszelkiego rodzaju problemów z pękającą skorupą i...

Nie. Przestań.

Koniec z tym.

Otarł czoło, kiedy na dole wybuchł kolejny gejzer.

- Twoja planeta jest dość emocjonalna, czyż nie? - zwrócił się do dziewczyny. - Nigdy wcześniej nie spotkałem takiej, o której mógłbym powiedzieć, że dostaje ataków złości.

Ledwie go słuchała. Wpatrywała się z góry w leżącego zwiadowcę.

- Rebeke?

- Ja... - Spojrzała na niego. - Zastrzeliłam go.

- Na burze. To był twój pierwszy raz?

Pokiwała głową.

- Strzelałam wcześniej. Do ludzi. Ale nigdy nie trafiłam. - Widocznie zadrżała. - Jestem myśliwą. Wszyscy z nas, którzy umieją strzelać, są myśliwymi. Tak zdobywamy mięso. Ale strzelać do ludzi... To znaczy ludzie Popielnego Króla to robią, ale zawsze wydawało mi się to takie... koszmarnie.

„I znów masz rację, mówi mu rycerz. W kwestii myśliwych. Jak ty to robisz?”

Całe życie zwracania uwagi na innych.

- Nie czuję się inaczej, ale czuję, że powinnam - powiedziała Rebeke. - Czy to ma sens?

Nomad wzruszył ramionami.

- Mój pierwszy raz był włócznią. Musiałem walczyć dalej, nie miałem nawet czasu zrobić sobie przerwy, kiedy jego krew spływała po moich palcach. - Pokręcił głową. - Tamtej nocy, przy potrawce, miałem wrażenie, że to dziwaczny dzień szkolenia. Ledwie pamiętałem tamtą chwilę.

Pokiwała głową.

„Wydaje się pocieszona, zauważa rycerz, choć giermek nie powiedział zasadniczo nic pomocnego”.

- Świadomość, że nie jest dziwna, jest pomocna - wyjaśnił po alethyjsku. - Świadomość, że inni czuli się podobnie. Czasami to jedyne, co jest pomocne.

- Dlaczego to robisz? - spytała Rebeke. - Czasami bełkoczesz?

- To mój ojczysty język. W innych miejscach, Rebeke, ludzie posługują się wszelkiego rodzaju słowami, których byś nie rozpoznała.

- Ale dlaczego mówisz w nim teraz? Kiedy nikt cię nie rozumie?

- Modłę się - wybrał kłamstwo, które mogło do niej przemówić - do jednego ze starożytnych bogów mojej krainy.

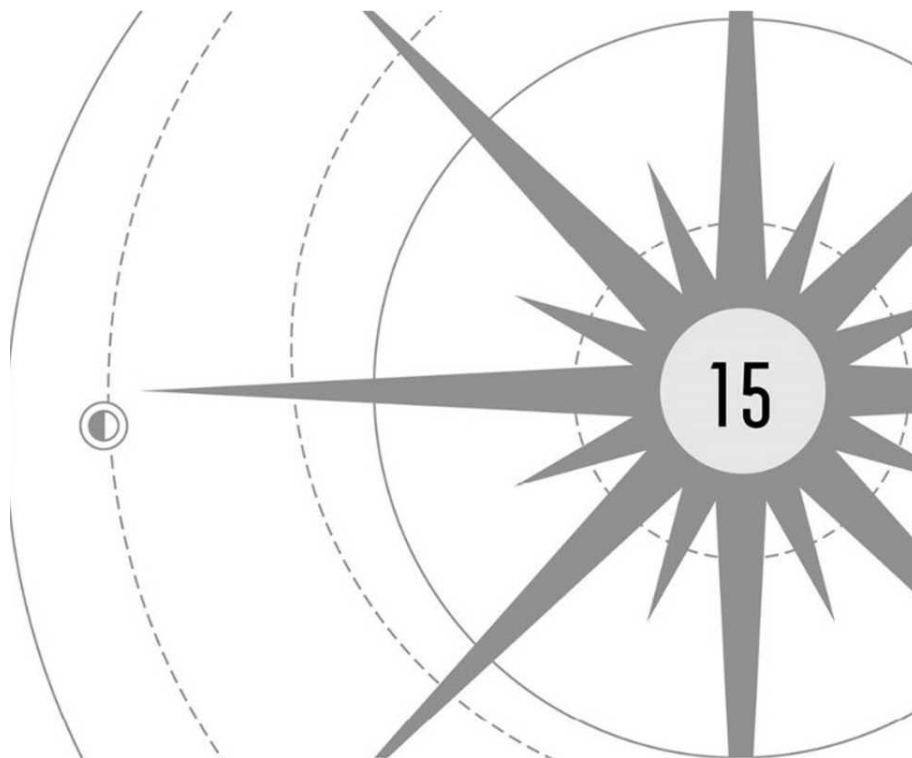
„Proszę, nie, mówi rycerz. Nie jestem bogiem. Pracuję na swoje utrzymanie”.

Nomad upewnił się, że jego motocyklowi została jeszcze energia na powrót, i skinął w stronę miejsca wypadku.

- Chodź. Sprawdzimy go.

- Po co? - spytała Rebeke. - On nie żyje.

- Lekcja numer jeden, jak być zabójcą, Rebeke. Zawsze się upewnij.



Rebeke ostentacyjnie nie patrzyła na trupa. Nomad rozważał zmuszenie jej do tego. Nie ma sensu, by udawała, że nie zastrzeliła tego gościa. Jeśli naprawdę chciała chronić swoich towarzyszy, to nie będzie ostatni człowiek, którego będzie musiała zabić.

Dał sobie spokój. Wyszkolenie jej nie było jego zadaniem. Zamiast tego pobieżnie przyjrzał się trupowi – a kiedy znalazł w jego kieszeni podniszczony rysunek, bez wątpienia stworzony przez dziecko, schował go z powrotem, nie wspominając o nim Rebeke.

Kłęczała obok resztek motocykla zwiadowcy.

– Możemy go wykorzystać. – Podeszła do własnego pojazdu, uniosła siodełko i wyciągnęła ukrytą pod nim linkę holowniczą. – Nawet jeśli nie da się go naprawić, wykorzystywanie złomu jest łatwiejsze niż zbieranie metalu z pól żelaza.

– Pola żelaza? – Nomad przykucnął.

– Miejsca, gdzie za każdym obrotem powierzchnię przykrywa stopiony metal. – Ruszyła z powrotem. – Jeden korytarz na północ. Wkradamy się tam w porze ciemności i odrywamy trochę przed przybyciem sił Popielnego Króla.

– I wykorzystujecie go w jaki sposób? – Zmarszczył czoło. – Macie na statkach pełne fabryki?

– Fabryki? – Przechyliła głowę. – Rzecz jasna, wykorzystujemy Chór. Duchy, takie jak ten, który podąża za tobą, tworzą przedmioty, których potrzebujemy.

„Ach, wzdycha rycerz. To brzmi interesująco”.

- Nie próbuj mnie podpuszczać - mruknął po alethyjsku, po czym wrócił do języka dziewczyny. - Wyślij kogoś innego, żeby to odzyskał, Rebeke. Co to za migające światełko na tablicy motocykla?

Zakłęta cicho i opuściła linkę holowniczą. Znów uklęka i postukała w niewielki wyświetlacz, zielony na czarnym tle, który popękał, ale wciąż migał.

- Co to? - spytał.

- Pokazuje przychodzący sygnał radiowy. Głośnik jest zniszczony, więc nie słyszymy, co mówią. Ale...

- Ale ktoś komunikował się z tym gościem, kiedy zginął. Co znaczy, że zanim umarł, znaleźliśmy się poza zasięgiem waszych blokad sygnału. Potępienie. Pewnie nawiązał kontakt w chwili, kiedy to było możliwe.

- Sama tak bym zrobiła - zauważyła Rebeke.

- To znaczy, że wiedzą, że on zginął i coś go zabiło. Albo ktoś.

- A jeśli przyślą więcej oddziałów? Jeśli przyślą Zwęglonych? A jeśli ściagną całe miasto?

Nomad wstał i otrząpał ręce.

- Z pewnością znasz już odpowiedź na to pytanie.

Ruszył w stronę motocykla. Rozgrywający się przed nim barwny pokaz wybuchającej ziemi ucihł, pozostawiając po sobie krater wypełniony otworami i stertami czarnych skał magmowych.

- Nomadzie! - zawołała za nim. - Nie chcę tego. Być zabójcą. Być jak... jak ty.

Obejrzał się. Na końcu języka miał gładką odpowiedź.

„Nomadzie, ona cierpi”, przypomniał mu Pomocnik. „Proszę”.

Zawahał się. Rebeke trzymała linkę holowniczą, którą wzięła z motocykla, i starannie unikała trupa wzrokiem. Wbijiała spojrzenie w ziemię. Oczywiście, że to zauważył. Prędzej słońce zaświeci w czasie Płaczu, niż Pomocnik odczyta ludzkie uczucia lepiej od niego. Empatia, cóż... powinien czuć się zawstydzony, że istota, która była jednocześnie martwa oraz nieludzka, radziła sobie z tym lepiej od niego.

- Wiem - powiedział do Rebeke, rezygnując z wcześniejszej odpowiedzi. - Pamiętaj o tym. To może ci pomóc.

Pokiwała głową. Żeby dać jej chwilę dla siebie, wrócił do motocykla i skontaktował się z Kontemplacją. Może powinien odezwać się do wszystkich trzech z Większego Dobra, ale ich zasady się dla niego nie liczyły, a on lubił Kontemplację. Przejrzała go na wylot.

- Hej - powiedział. - Mamy zwiadowcę, ale wydaje się prawdopodobne, że zdażył skontaktować się ze swoimi przez radio. Być może towarzystwo jest już w drodze. Jak idą poszukiwania?

- Koszmarne - odparła Kontemplacja. - Wydaje się, że nic tu nie ma, choć jesteśmy we właściwym miejscu.

- Jak możecie to ocenić? - spytał z zainteresowaniem.

- Astronawigacja. Pomagają nam pierścienie i gwiazdy. To te świecące rzeczy...

- Nie trzeba, wiem, czym są gwiazdy.

- Wołałam się upewnić. Cóż, one mówią nam z dużą dokładnością, gdzie na planecie się znajdujemy. Korytarz, w którym się znajdujemy, można ocenić bardzo łatwo. Z długością geograficzną jest trudniej. Potrzebujemy...

- Dokładnych zegarów. Tego też jestem świadom.

- Dziwne, że wiesz tak dużo o świecie na powierzchni, skoro przeżyłeś życie pod nią.

- Zadawaj sobie dalej takie pytania, Kontemplacyj, a może w końcu zrozumiesz, że poczyniłaś błędne założenia, jeśli o mnie chodzi. Tak czy inaczej, nie zostało nam dużo czasu.

- Powtarzamy nasze poszukiwania. Otwór może być tym razem zagrzebany głęboko, co utrudniłoby nam odczyty. Mimo wszystko powinniśmy go znaleźć. Na tej długości Popielny Król zatrzymywał się za każdym razem, żeby sprawdzić klucz. Niektórzy z jego ludzi widzieli otwór, Nomadzie. Jest realny. Jednak nasze poszukiwacze nie mogą go odnaleźć.

- Czego od nas oczekujesz?

- Pozwolisz, żebym wydawała ci polecenia? – spytała Kontemplacja.

- Zależy, jak bardzo głupie będą.

Chrząknęła.

- Jeśli pozwolisz, chciałabym udzielić ci następującej wskazówki: zostańcie tam przez chwilę i zobaczcie, czy ktoś przybędzie, żeby sprawdzić, co stało się ze zwiadowcą. Być może wysłał jedynie niedużą grupę, żeby to zbadała.

- Jeśli w tym rejonie są drzwi, to Popielny Król mógł się domyślić, co robimy. Mógł się zorientować, że podmieniliście klucze.

- Jeśli mieliśmy tak wielkiego pecha, spodziewajcie się całej armii. W takiej sytuacji, jeśli nie macz nic przeciwko temu, ostrzeżcie nas, proszę.

Rozsądna sugestia.

- Zrobimy to.

- Raduje mnie, że zgodziłeś się postąpić zgodnie z moimi wskazówkami. Czy zwiadowca miał słoneczne serce w pojeździe?

Nomad spojrział na Rebeke, która właśnie to sprawdzała. W odpowiedzi na jego pytanie popatrzyła na niego i pokręciła głową.

- Wygląda na to, że korzystał z baterii – powiedział Kontemplacji.

- Na cienie – mruknęła. – Przydałoby nam się.

- Waszym statkiem kończy się moc?

- Postanowiliśmy nie tworzyć nowych słonecznych serc, choć zaczyna nam brakować energii. Podjęliśmy decyzję, by spróbować zrealizować plan Elegii i dostać się do Schronienia. Nasze dotychczasowe porażki sprawiły, że cierpimy na niedobór zasobów. Ich pozyskanie wiąże się ze straszliwym kosztem...

- Wiem.

- Miałam być następna – powiedziała. – Podobnie jak moje siostry z Większego Dobra. Trzy inne miały zająć nasze miejsce. Czuję... ciężar poczucia winy, że nie odeszłam, kiedy nadszedł mój czas. Jednak nasi ludzie potrzebują przywódców. Niestety, jeśli nie znajdziemy wejścia... nie mamy dość mocy, by wytrzymać kolejny obrót.

Potępienie.

- To lepiej znajdźcie to wejście.

Skinął na Rebeke, która odłożyła linkę holowniczą i wsiała na motocykl.

Zostawili wrak i odlecieli, po czym natychmiast ukryli się za naturalnymi blankami na skraju krateru. Daleko po lewej Nomada na niebie pojawił się blask przedświt. Bardzo słaby – na innej

planecie nie nazwałby tego nawet półmrokiem. Ale na innych planetach wschód słońca nie był tak zabójczy, a półmrok nigdy nie wydawał mu się tak złowrogi jak tutaj.

Wyłączyli motocykle, by zachować energię, i pełnili straż – ignorując światło majaczące po lewej. Skały tutaj były czarne i szkliste. Może obsydian. Kojarzyło mu się to z innym miejscem, innym światem, który kiedyś odwiedził. Miejscem, w którym spotkał Pomocnika.

Rebeke wyciągnęła chleb i kielbasę, pokroiła je i zrobiła kanapkę, wykorzystując smarowidło, które wyglądało jak oliwa z ziołami. Nie miała masła, co pewnie było logiczne. Nie wiedział, na co polowali jako źródło mięsa, ale na tych latających statkach nie było miejsca dla żywego inwentarza.

– Kontemplacja myli się co do ciebie, prawda? – Rebeke podała mu jedzenie, które przyjął. – Myślisz, że pochodzisz z jakiegoś dziwnego miejsca pod ziemią, ale ja myślę, że to coś bardziej normalnego.

– A gdzie to jest, według ciebie?

Uniosła brodę w stronę gwiazd.

– Inny świat jest bardziej normalny?

– My przybyliśmy z innego świata – powiedziała między kęsami. Dziwne, że nawet do jedzenia nie zdejmowali rękawiczek. – Zostaliśmy wypędzeni przez starożytną moc zwaną Złem.

– Wciąż tam jest. Na waszym ojcystym świecie. Widziałem ją. To znaczy jej przejawy.

Dzikie, nieposkromione Napełnienie, które ożyło z własną obcą wolą – tworzące postacie wielkości góry o niemożliwych, niepokojących rysach i niepojętych motywacjach. Tren nie był miejscem, które odwiedzało się dla odpoczynku.

Ta uwaga w końcu wytrąciła Rebeke z równowagi. Dziewczyna prawie upuściła kanapkę, kiedy ją wypowiedział.

– Co dziwne, Chór... który przechowuje naszą historię... nie twierdzi, że odeszliśmy z powodu Zła – mówiła dalej. – Nie, oni mówią, że chodziło o kłótnie. Walki wewnętrzne pośród naszych rodaków. Konflikty, nienawiść. Moi przodkowie chcieli przed tym uciec, bo było to groźniejsze od samego Zła. Nasz lud zniszczyły niesnaski. W czasie naszej ucieczki przed Złem doszło do dalszych sprzeczek. Moja grupa... my posłuchaliśmy nauk pewnego mężczyzny, sługi Adonalsium i pierwszej Gwiazdy Przewodniej. Wyruszyliśmy razem z nim ku nowej ziemi. Wybraliśmy to.

Nomad chrząknął i odgryzł kęs kanapki, która okazała się koszmarnie mdła. Dużo by dał za choćby szczyptę chili. Na połowie planet, jakie odwiedzał, ludzie jedli rzeczy, które nie miały więcej smaku niż czysta woda. Na burze, w domu nawet chleb był lepiej przyprawiony niż ta kielbasa.

Ale wciąż było to jedzenie i zmusił się do spożycia go. Napełnienie mogło utrzymać go przy życiu, ale ponieważ miał zaledwie dziesięć procent zdolności do Przeskoku, wolał nie marnować go na zwykły metabolizm.

– Mieliśmy tu być wolni. – Rebeke nadal wpatrywała się w horyzont. – Od siebie nawzajem. Często zastanawiam się, czy pierwszy Gwiazda Przewodnia nie zaprowadził nas tutaj, żebyśmy musieli cały czas uciekać, żebyśmy mieli na czym się skupić. Słońce, które niszczy, jak samo Zło, i ciągle nas ściga. Aż do tej pory powstrzymywało nas przed zwróceniem się przeciwko sobie nawzajem.

- Przez ten cały czas żyliście bez przemocy?

- Mieliśmy przemoc. Zbrodnie w afekcie. Kłótnie. Ale nie było zabójców. Nie wyszkolonych. To był wynalazek Popielnego Króla.

„Zadziwiająco, mówi rycerz. Nie umiem ocenić, czy są naiwni, czy imponujący”.

- Zabijanie nie leży w ludzkiej naturze, Pom - szepnął po alethyjsku. - Trzeba zostać do tego wyszkolonym. A przynajmniej, żeby być skutecznym.

Z tego, co słyszał, na tej planecie żyło nawet pięćdziesiąt różnych grup, poruszających się równolegle w tych „korytarzach”. Dostyc duża populacja, by zachęcać do wymiany i zapobiegać chowowi wsobnemu, ale była to również sytuacja, która aż prosiła się o pojawienie się tyraństwa. Ograniczone zasoby. Wiele małych populacji nieprzyzwyczajonych do współpracy.

Z tego punktu widzenia to było zadziwiające, że Popielny Król pojawił się po tak długim czasie. Nomad nie był etnografem. Mimo wszelkich nacisków ze strony mistrza Nomad zawsze interesował się inżynierią, naturą Napełnienia i mechanizmami, które można stworzyć z jego zastosowaniem. Mimo to uczył się od Trefnisa o naturze opowieści i ludziach, którzy je snuli. Wiedział więc, że opowieści tych ludzi musiały być fascynujące. Na tyle, że częściowo miał ochotę zostać i je poznać.

Ale na horyzoncie zawsze wisiała pogoń. Odpędzała wszystkie inne myśli, jak drapieżnik pustoszący niegdyś spokojne stado.

Nie mógł zwlekać.

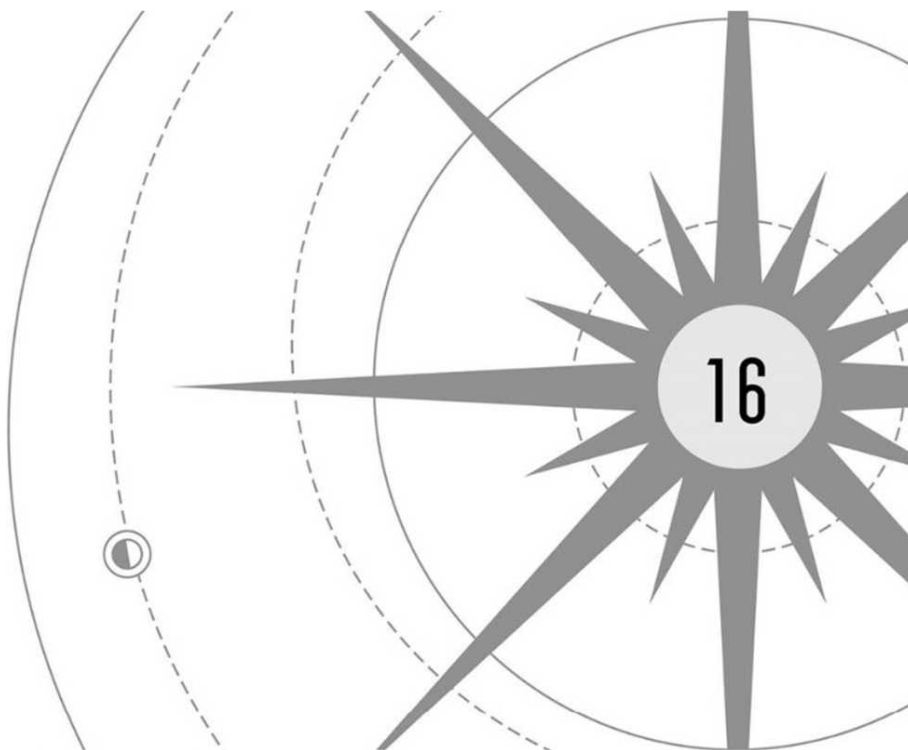
Musiał się wydostać.

Dlatego przyglądał się uważnie, zamiast spytać o dalsze informacje. I dobrze, że to zrobił, bo wkrótce dostrzegł statek, który przyszedł sprawdzić zabitego zwiadowcę. Samotna jednostka, większa od innych - rozmiarów niedużego autobusu. Jej zdobione ściany emanowały złocistym blaskiem w świetle pierścieni.

Rebeke sapnęła, kiedy ją wskazał.

- To statek samego Popielnego Króla!





Statek samego Popielnego Króla?
Samotny?

Potępienie. Co tu się działo?

– Dlaczego przybył sam? – Dezorientacja Rebeke odzwierciedlała jego własną. – To nie ma sensu.

Nomad zmarszczył czoło jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, jak mężczyzna we własnej osobie wychodzi na pokład, ręce trzyma za plecami, a jego oczy płoną w półmroku. Statek zatrzymał się na niebie i zawisł w powietrzu, a Popielny Król stał na dziobie. To było oczywiste zaproszenie.

– On przybył tu z mojego powodu – stwierdził Nomad.

– Co? Skąd on w ogóle wie, że tu jesteś?

– Zależy od tego, ile zdążył przekazać zwiadowca.

„Nomadzie, mówi rycerz strwożliwie, o czym ty myślisz?”

– Strwożliwie? To w ogóle jest słowo?

„Nie tak naprawdę. Och, zamierzasz zrobić coś głupiego, prawda?”

– Nie mogę przestać się ruszać. Jeśli się zatrzymam, zginę. – Przeszedł na miejscowy język. – Rebeke, zamierzam wznieść się wyżej. Udawaj, że cię tu nie ma. Ale jeśli sprawy pójdą źle, spróbuj zapewnić mi wsparcie.

– Uch... – mruknęła młoda kobieta. – Skąd będę wiedziała, że sprawy poszły źle?

– Najpewniej wylecę przez jedno z tych okien. Jeśli będę miał szczęście, zrobię to z własnej woli. – Odetchnął głęboko, wyciągnął motocykl spod nawisu, uruchomił silnik i z rykiem wznosił się w niebo.

Luksusowy statek Popielnego Króla wisiał na takiej wysokości, że motocykl z trudem mógł go dosięgnąć. Pojazd Nomada z wysiłkiem wznosił się w stronę dziobu, a mężczyzna znów zauważył, że dość szybko poczuł ucisk w uszach, kiedy wspinał się do góry.

Popielny Król miał na sobie koszulę ze stójką i długi płaszcz, rozświetlone łagodnym blaskiem, do tego starannie wypastowane buty i czarne skórzane rękawiczki. Uśmiechnął się, a jego oczy świeciły podobnie jak żar w piersi.

Odwrócił się i wskazał miejsce dokowania z boku pokładu. Ten pojazd miał kształt statku wypływającego na morze, z wąskimi pokładami rozszerzającymi się w pobliżu dziobu, kokpitem i ładownią wewnątrz kadłuba. Od chwili przybycia tutaj Nomad nie widział zbyt wiele drewna, a ta jednostka była nim ozdobiona – jak również złoceniami, które musiały bardzo błyszczeć przy lepszym oświetleniu. Miejsce dokowania było prostokątem wyciętym w pokładzie, do którego mógł się dopasować mniejszy pojazd.

Nomad ostrożnie podleciał bliżej – ale nie zadokował do końca. Zostawił motocykl z uruchomionym silnikiem i wyszedł na pokład. Znajdująca się w kabinie dwójka Zwęglonych – ich żar był doskonale widoczny wśród cieni – podeszła bliżej. Król odesłał ich jednak machnięciem ręki. Drugą dłoń wyciągnął w zachęającym geście w stronę Nomada.

„Ostatnim razem, zauważyła rycerz, zamknął nas i próbował napiętnować. Skąd ta zmiana zachowania?”

Popielny Król przywołał gestem służącego w białej marynarce, który niósł stertę... dużych kawałków papieru? Tak, sztywny papier – właściwie tektura – z rysunkami i...

– Och – powiedział Nomad w ich języku, kiedy mężczyzna drżącymi rękami uniósł pierwszy, ukazujący Popielnego Króla i Nomada. – Nie będziecie już ich potrzebować. Zrozumiałem wasz język.

– Ty... go rozumiałeś? – powtórzył Popielny Król. Na burze, te oczy były niepokojące. Przypominały Nomadowi ludzi, którym kiedyś ufał, których kiedyś kochał. – W ciągu niecałego dnia?

– Szybko się uczę. Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– Proszę cię. – Na twarzy Popielnego Króla pojawił się uśmiezek. – Ktoś zabił jednego z moich najlepszych zwiadowców? To było oczywiste. Czy zechciałbyś dołączyć do mnie w środku? Żadnych sztuczek, obiecuję.

– Przysięga? – spytał z zaciekawieniem Nomad. – Złożona tak łatwo? Powiedz mi, o co w tym chodzi, a ja się zastanowię.

– Nasze pierwsze spotkanie było niefortunne.

„Delikatnie powiedziane, zauważyła bohater”.

– Ale uświadomiłem sobie, że popełniłem błąd – mówił dalej Popielny Król. – Ogromnie ucieszyłoby mnie, gdybyś został jednym z moich Zwęglonych, ale istnieje inny sposób, byś mi służył. Chciałbym cię zatrudnić.

– Zatrudnić – powtórzył Nomad beznamiętnie.

– Tak. – Popielny Król ruszył energicznym krokiem w stronę kajuty. – Tak robią na twojej planecie, prawda? Tym miejscu, z którego pochodzisz, krainie burz i skał? Zatrudniają ludzi jako

żołnierzy?

On wiedział?

Skąd on wiedział?

Nomad po raz pierwszy poczuł się szczerze zainteresowany tym mężczyzną. Zorientował się, że idzie za Popielnym Królem do kabiny. Za drzwiami z przodu znajdowało się stanowisko pilota. Na biurku stał nieduży szereg ekranów, a każdy pokazywał migoczącą scenę ze statku Popielnego Króla pod innym kątem. Nomad niemal zapomniał o kamerze monitoringu, którą widział, kiedy uwięziono go na arenie, ale oto był dowód na ścisłą kontrolę Popielnego Króla nad swoimi poddanymi. Jeden z poruszających się obrazów pokazywał ziemię pod statkiem w tak dużym zbliżeniu, że Nomad widział resztki motocykla zwiadowcy. Miał nadzieję, że z tego miejsca nie mogli dostrzec Rebeke. Zmusił się do odwrócenia wzroku, zanim ktokolwiek zauważy, na co patrzył.

Większość przestrzeni wypełniały eleganckie drewno, barek i kilka wygodnych foteli. Popielny Król wypędził kilkoro Zwęglonych, którzy nawiedzali pomieszczenie. Podszedł i nalał sobie drinka.

- Napijesz się? - Uniósł kubek. Pociągnął łyk, by udowodnić, że trunek nie był zatruty, choć ciału Nomada było Napełnione w takim stopniu, że poradziłoby sobie ze zwyczajną trucizną.

Przyjął napitek, uśmiechnął się na myśl o kodeksie, którego niegdyś przestrzegał, i wypił całość jednym haustem. Dobry był. Nie spodziewałby się tego na planecie pełnej religijnych gości, ale z drugiej strony najlepszą gorzałę na jego własnej planecie pędzili bardzo wierzący ludzie, więc co on tam wiedział?

- Pierwszy człowiek z innego świata, którego zabiłem, był słaby - powiedział Popielny Król. - Pulchny, z dziwnymi długimi brwiami. Próbował negocjować uwolnienie za pomocą jakiegoś urzędnika, które sprawiało, że jego słowa działały w naszym języku. Nie wiedziałem, kim jest. Wydawało mi się, że lepiej go zabić, bo myślałem, że może być demonem. W jego rzeczach znalazłem książki. - Wyjął tom z regału obok barku i go uniósł.

Był to jeden z przewodników ze Srebrnoświatła, dość przestarzały - pierwotnie tworzyli je z dużym wysiłkiem ludzie wyruszający na trudne wyprawy, by odwiedzać różne planety. Pojawienie się podróży kosmicznych wszystko ułatwiło i Nomad miał wrażenie, że przez swobodę podróżowania między światami coś zostało utracone.

Ten stary tom był książką przeglądową, opowiadającą o wielu różnych planetach. Po trochu o każdej. Interesujące. Napisano ją po thayneńsku, co - w połączeniu z brwiami mężczyzny, do którego należała - wskazywało, że jej poprzedni właściciel pochodził z ojczyzny Nomada.

- Urządzenie tłumaczące pozwoliło mi przeczytać tę książkę - wyjaśnił Popielny Król. - Tłumacz w końcu się poddał, ale do tego czasu zdążyłem już zamówić pisemne tłumaczenia. Książka opowiada o wszelkiego rodzaju ludziach z wszelkiego rodzaju miejsc wśród gwiazd. Ale myślę, że ten fragment jest o tobie, czyż nie? Rosharianie. Wysocy ludzie o charakterystycznych rysach twarzy, jak na ilustracji. Wojowniczy, skrajnie agresywni, niebezpieczni.

- Uogólnienie - stwierdził Nomad.

- A w twoim przypadku?

- W miarę prawdziwe. Zaskakuje mnie, że zaprosiłeś mnie do środka. Większy zasięg moich rąk sprawia, że w walce wręcz mam przewagę.

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jesteś zabójcą. Powiedz mi, na waszym świecie też ich macie? Królów, wodzów, cesarzy?

– Aż za wielu. I co z tego?

Popielny Król zamknął książkę i oparł na niej palce.

– Zawsze czułem, że mam coś więcej do zrobienia. Większe przeznaczenie. Z pewnością moim celem nie była nieskończona ucieczka przed światłem. Byłem ważny. Dzięki tej książce dowiedziałem się, co mam robić, człowieku spoza świata. – Spojrzała na Nomada, a jego oczy świeciły jasno. – Moim przeznaczeniem było zjednoczyć wszystkich moich rodaków.

Cóż, Nomad słyszał to już wcześniej. Uśmiechnął się, a później się roześmiał. Częściowo dlatego, że wiedział, że ten dźwięk rozziłości Popielnego Króla. Ale przede wszystkim dlatego, że nawet tutaj go to dopadło. W młodości przechodził z królewskich rąk do królewskich rąk, przehandlowywany między tyranami jak monety w kieszeni. Aż niewola przygięła go do ziemi, a braterstwo w końcu pozwoliło mu poszybować.

Ale, na burzę... Nawet tutaj, tak wiele światów dalej, go to dogoniło. Pościg zupełnie inny niż Nocnej Brygady.

Popielny Król spochmurniał.

– Przepraszam. Po prostu dostrzegłem ironię tej sytuacji. Proszę. Kontynuuj swój megalomański bełkot.

Król podszedł do jednej ze swoich szafek, z której wyjął bardzo małe słoneczne serce. Ledwie świeciło.

– Wiesz, co to jest? To jedyne pozostałości twojego rodaka, tego, który odwiedził naszą planetę, tego, którego zabiłem. Z waszych ludzi są kiepskie słoneczne serca, człowieku spoza świata.

– Zaskakuje mnie, że w ogóle coś uzyskałeś. Mężczyzna, którego zabiłeś, pewnie miał Oddech. I nie był moim rodakiem. Pochodził z zupełnie innego kraju.

– Twoja planeta nie powinna mieć różnych krajów. Powinniście ją w całości podbić i zjednoczyć.

– Podbój nie usuwa krajów. Usuwa linie na mapie. Jedność wymaga czegoś innego.

Popielny Król zawarczał cicho, trzymając w dłoni malutkie słoneczne serce.

– Na podstawie tego, co czytałem, wydawało mi się, że docenisz to, co tu buduję. Wydawało mi się, że odnajdziesz smak domu.

– To nie ten smak. Następnym razem spróbuj dodać trochę curry. Jego smak jest o wiele przyjemniejszy niż tyranii. Mniej fiołkowy.

Popielny Król dopił drinka i odłożył słoneczne serce na miejsce. Okrążył pomieszczenie i przeszedł za jednym ze Zwęglonych – którego złapał za gardło. Ścisnął, a biedny mężczyzna nie próbował się bronić.

– Jestem najpotężniejszym mężczyzną na Kantyku, człowieku spoza świata. – Nadal ścisnął. – Widzisz, że oni nie mogą mi się sprzeciwić ani stawiać oporu? Że mi służą, niezależnie od tego, jak ich traktuję? Mam nad nimi absolutną władzę. – Uśmiechnął się. – Kiedyś, zanim sięgnąłem po swoje przeznaczenie, byłem tym, który prowadził więźniów na egzekucję. Tam uświadomiłem sobie, że prawdziwą władzą nie jest umiejętność zabijania, ale umiejętność kontrolowania zabójców.

„Cóż, to normalny i rozsądny sposób myślenia, zauważy rycerz z sarkazmem. Jestem pewien, że to absolutnie najlepiej przystosowany człowiek na planecie, co?”

Nomad nic nie powiedział. Żałował, że tego rodzaju podejście nie jest radsze. Widywał je u strażników, wartowników, żołnierzy. Widział to w oczach każdego, kogo ekscytowała władza nad innymi. Im silniejszą osobą mogli pomiatać, tym bardziej ich to upajało.

Ten mężczyzna być może nie był błyskotliwy ani sprytny, choć uważał się za takiego. Tak naprawdę nie musiał nawet być niebezpieczny. Bo miał siłę, a siła – w rękach głupca – mogła zmiążyć każdego, bystrogo czy nie. Tego rodzaju osobnicy zawsze ciążyli ku pozycjom władzy. W czasie, kiedy Nomad pełnił funkcję dowódcy, musiał się nauczyć, jak ich rozpoznawać. Jeśli się tego nie zrobiło, cóż... takie były efekty. Oni się plenili jak stado szczurów.

Najgorszy rodzaj dręczyciela. Wielu w głębi duszy się bało i dlatego atakowali. Tym można było w końcu pomóc. Ale ten rodzaj człowieka...

Cóż, to było orzeźwiający. Stawiał czoło stanowczo zbyt wielu wrogom, którzy w kieszeniach trzymali rysunki otrzymane od dzieci. Zabił stanowczo zbyt wielu ludzi, którzy na to nie zasłużyli. Ale oto był mężczyzna, którego Nomad mógłby przebić rozgrzanym pogrzebaczem i byłoby mu przykro jedynie z powodu pogrzebacza.

– Czego chcesz, człowieku spoza świata? – Popielny Król w końcu wypuścił Zwęglonego, który osunął się na kolana i z trudem łapał oddech. Dobrze wiedzieć, że dało się ich udusić. Nie na wszystkie Napełnione istoty to działało.

– Jestem prostym człowiekiem. – Nomad dolał sobie trunku, nie pytając o zgodę. – Uciekam. Chcę się jedynie utrzymać jak najdalej od ludzi, którzy mnie gonią.

Popielny Król odwrócił się w stronę przodu kajuty i otwartych drzwi kokpitu, przez które widać było przednią szybę – a za nią horyzont, gdzie światło robiło się coraz jaśniejsze.

– To zrozumiałe – powiedział Popielny Król. – Mogę ochronić cię przed tymi, którzy cię gonią.

Tym razem Nomad niemal zakrztusił się drinkiem, kiedy zawył ze śmiechu.

– Jasne, pewnie. Powodzenia.

– Przestań się ze mnie śmiać.

– Nie martw się. – Nomad pomachał rękami i dopił trunek. – Wolno mi śmiać się z królów. Mam gdzieś kartę od mojego mistrza, która daje mi to prawo.

Pokręcił głową. Potępienie, to był dobry alkohol. Niemal coś poczuł, bardzo, ale to bardzo słabiotkie upojenie, a przebicie się przez mechanizmy ochronne jego ciała było niezwykle trudne.

Do środka wszedł urzędnik, który szepnął coś do Popielnego Króla, i humor mężczyzny wyraźnie się poprawił. Po chwili na pokład weszło dwóch kolejnych, ciągnąc za sobą Rebeke. Była zakneblowana, a kosmyki włosów wysunęły się z jej warkocza, kiedy się szarpała, rozglądając się gorączkowo.

Nomad gwałtownie opuścił szklaneczkę na blat.

Popielny Król, który błędnie zinterpretował ten ruch, uśmiechnął się szerzej. Wysunął pistolet z kabury na biodrze i wycelował w młodą kobietę.

„Och, mówi rycerz, aż do tej pory myślałem, że może być rzeczywiście bystry”.

- Współczucie? - Popielny Król zwrócił się do Nomada. - Ze strony kogoś takiego jak ty? Spodziewałem się więcej po mężczyźnie z twojego świata. Po wszystkim, co przeczytałem, spodziewałem się, że będziesz bezwzględny.

Nomad westchnął.

Urzędnik wciąż szeptał do Popielnego Króla, a Nomad wylał słowa „całe miasto” i „poszukiwacze”. Popielny Król znów zmarszczył czoło i myślał przez chwilę - wyraźnie świadomy, w jakiej okolicy się znajdowali. Przeniósł wzrok na sejf na ścianie, w którym najpewniej trzymał swój klucz, ten zastąpiony podróbką w czasie ataku z zaskoczenia.

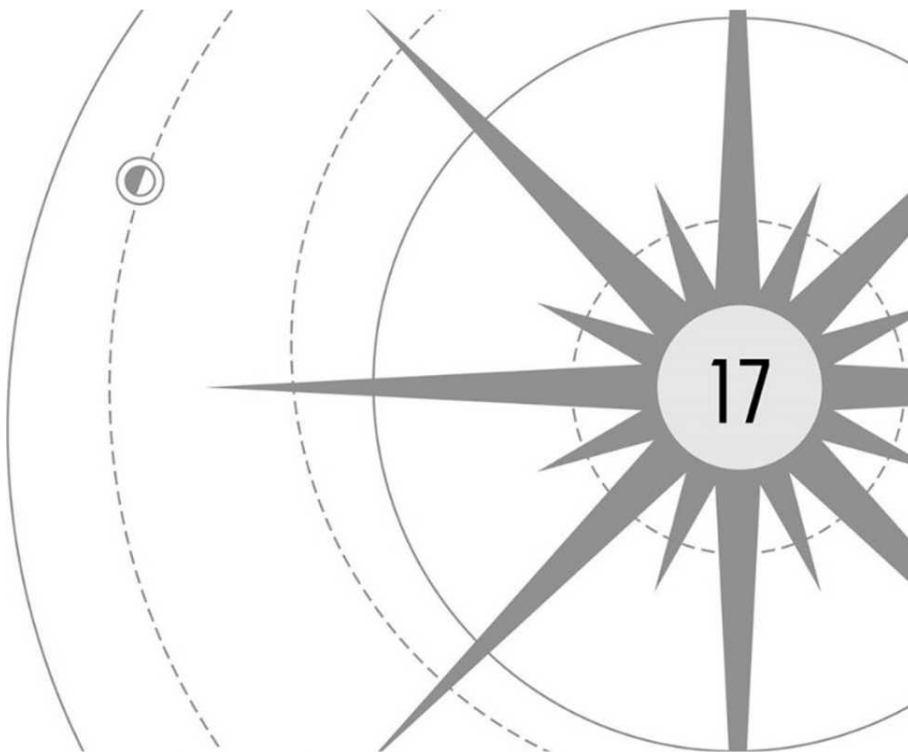
Zaczął składać elementy układanki. Potępienie.

- Powinieneś czytać dalej. - Nomad znów przyciągnął uwagę mężczyzny. - To nie współczucie mną kieruje, Popielny Głupcze. Ani bezwzględność. - Zrobił krok do przodu, zbliżając się do Popielnego Króla i bliżej linii wzroku łączącej mężczyznę z Rebeke. - Naprawdę chcę się tylko wydostać. Ale jest coś, co musisz wiedzieć o moich rodakach. Obiecałeś mi, że nie będzie żadnych sztuczek. A nigdy nie powinieneś łamać przysięgi złożonej mieszkańcowi Rosharu.

Nomad rzucił się w bok, kiedy król znów się skupił i wycelował w Rebeke. W tej samej chwili Nomad zmienił Pomocnika w metalową kulę w dłoni.

Popielny Król wystrzelił.

A kula rzucona przez Nomada zbiła promień w powietrzu, zmieniając go w fontannę iskier.



Nomad tak naprawdę nie był szybszy od większości pocisków.

Takie sztuczki zazwyczaj mu nie wychodziły. Zależało to od tego, jak dobrze udawało mu się ustawić i jak szybko był gotów do rzutu, zanim pociągnięto za spust. Raz poświęcił całe tygodnie na odbijanie kul i udawało mu się raz na dziesięć przypadków.

Na szczęście dla Rebeke dziś był w szczytowej formie.

Jeśli mu się udało, była to imponująca sztuczka. Zwłaszcza tutaj, kiedy pocisk energii wybuchł jak świetlisty fajerwerk, w fontannie iskier.

– Idiota – powiedział Nomad i znów przywołał Pomocnika do ręki w postaci prostej metalowej sfery. – Rozważyłem twoją propozycję... aż dałeś mi powód, bym zapragnął cię zabić.

Obecni w pomieszczeniu zagapili się na niego. Ta chwila oszołomionego niedowierzania dała mu szansę, by skoczyć i złapać Rebeke. Dwójka Zwęglonych natychmiast zablokowała wyjścia po obu stronach, więc wepchnął ją przez drzwi do kabiny pilota.

Nim Nomad zdążył ruszyć za nią, jeden ze Zwęglonych rzucił się na niego całym ciałem i pchnął go na ścianę, przy której stała gabłota ze skarbami Popielnego Króla – łącznie z małym słonecznym sercem – aż jej zawartość się zakołysała. Nomad odwrócił się i spojrzał na tego Zwęglonego: jego twarz znaczyły długie czerwone pasma, jakby ktoś przesunął po skórze rozgrzanym pogrzebaczem.

Zwęglony wyszczerzył zęby i się cofnął. Nomad odruchowo uniósł pięści – i wbrew woli zamarł. To pozwoliło przeciwnikowi zadać mu trzy ciosy i bez trudu powalić go na ziemię.

Nomad uderzył o metalową podłogę i jęknął cicho. Ale to nie był czas na odpoczynek.

Wydawało się, że nigdy nie ma na to czasu. Podciągnął stopy i poderwał się na równe nogi, mijając Zwęglonych, którzy próbowali przycisnąć go do ziemi. Szybko dotarł do niedużego kokpitu, gdzie znajdowała się Rebeke.

Natychmiast zatrzasnęła drzwi i zmienił Pomocnika w blokadę. Kiedy wepchnął go na miejsce, zaciski z boku rozmyły się i zaczęły o futrynę. Dwaj Zwęgleni spróbowali popchnąć drzwi, ale odkryli, że są całkowicie zablokowane. Choć było mało prawdopodobne, by drewno wytrzymało długo, bo ludzie po drugiej stronie byli uzbrojeni.

Rebeke przyłgnęła plecami do tablicy sterowniczej.

– Czy ty przed chwilą strąciłeś pocisk w locie? – spytała.

Nomad złapał metalowy stołek pilota i rzucił nim w przednią szybę, która popękała. Szkło, wbrew wielu opowieściom jego mistrza, było wytrzymałe. Ale szyba zagrzechotała w ramie. Wystarczy.

– Nomadzie? – spytała, kiedy znów rzucił stołkiem, który tym razem się odbił. Później musieli się skulić, kiedy przez drzwi zaczęły przebijać się pociski.

– Tak, strąciłem pocisk – powiedział. – Udaje mi się to raz na dziesięć prób. Bądź gotowa pobiec do mojego motocykla.

– Raz na dziesięć? – Pobladła.

– Na szczęście ty byłaś tym jednym razem. Uważaj!

Przez drzwi wpadł kolejny pocisk. Zakładali, że Nomadowi jakimś cudem udało się zablokować zasuwę, i próbowali odstrzelić klamkę.

Nomad wskoczył na tablicę sterowniczą i uderzył barkiem o szybę, całkowicie wypychając ją z ramy. Wypadli razem na zewnątrz, Nomad przetoczył się i pobiegł przez pokład. Rebeke zaplanowała nad sobą i wygramoliła się za nim.

Ku swej wielkiej uldze znalazł motocykl tam, gdzie go zostawił. Owszem, zadokowali go i otoczyli łańcuchem, ale nie uszkodzili. Pomocnik, w postaci łomu, pozwolił mu wyrwać łańcuch z miejsca, w którym przymocowano go do pokładu. Rebeke usiadła przy kierownicy i odłączyła pojazd od statku. Nomad wskoczył na miejsce za nią.

Popielny Król wyszedł z kabiny z pistoletem w rękę, i bez chwili wahania zaczął strzelać – a Nomad zablokował pociski tarczą. Chwilę później Rebeke zanurkowała w stronę ziemi, niemal zrzucając go, kiedy nagle przyspieszyła. Udało mu się utrzymać – mocno ścisnął kolana i objął dziewczynę jedną ręką w pasie, a drugą podtrzymywał tarczę, którą odbił kilka kolejnych pocisków.

– Zrobi się niezręcznie, jeśli zaczną strzelać do motocykla, a nie do mnie – zauważył po althyjsku. – Możesz się trochę powiększyć i osłonić całość?

„Masz niecałe dziesięć procent mocy Przeskoku, ostrzega bohater. Żeby urosnąć, będę musiał zabrać część tego. Jeśli spadniemy poniżej dziesięciu procent, nie będziesz mógł tworzyć nowych Związków, ale wcześniejsze nadal utrzymasz”.

– Zrób to.

Nomad poczuł, że Pomocnik robi się cięższy w jego ręce – karmi się Napełnieniem, które zgromadzili. Rozrósł się do średnicy około pięciu stóp, co pozwoliło zablokować kolejne strzały. Powiększenie nie było stałe i przez cały czas trwania wypijało Napełnienie Nomada.

Rebeke nadal nurkowała i zorientował się, że kieruje się w stronę drugiego motocykla. W błasku pierścienia widział jego kawałek wystający spod kamiennego nawisu. Najwyraźniej ci, którzy ją złapali, zostawili go.

– Rebeke! – krzyknął. – Musimy uciekać!

– To jedne z nielicznych zestawów motocykli, które mamy! – odrzyknęła, przekręcając głowę, żeby mógł ją usłyszeć ponad szumem wiatru. – Nie porzucę go.

Nomad uniósł wzrok. Popielny Król pojawił się na skraju pokładu, jego płonące oczy były jak węgle w sercu ogniska. W rękę trzymał coś jeszcze. Klucz?

Falszywy klucz. Cisnął nim i pistoletem o pokład z wyraźną wściekłością, a później wyciągnął rękę w bok i ktoś podał mu karabin. Wycelował i kolejne pociski uderzały w tarczę.

– Rebeke! – krzyknął. – Może wam brakować motocykli, ale jeśli zatrzymasz się na dole, on zestrzeli nas z góry. Rozumiesz?

Minęła chwila, motocykl wciąż opadał w stronę ziemi. Później, z wyraźną frustracją, dziewczyna wyrównała lot i popędziła nad ziemią – porzucając drugi motocykl. Popielny Król już nie strzelał. Nomadowi wydało się wręcz, że mężczyzna wrócił do kabiny, choć przy tak dużej odległości nie mógł być pewien.

„On się domyślił, zgaduje rycerz, że Promieniowcy zastąpili jego klucz i szukają wejścia”.

– Tak myślisz? – mruknął Nomad po alethyjsku, odsyłając pochłaniającą Napełnienie tarczę, i zawołał do Rebeke: – Zamieńmy się!

– Co?

Znaleźli się poza zasięgiem broni, więc zmusił ją, żeby zwolniła i pozwoliła mu zająć miejsce kierowcy. W motocyklu było bardzo mało miejsca, a kiedy przeniósł ją na tył, odmówiła trzymania go w pasie.

Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

– My się nie... dotykamy. To nie jest dla nas komfortowe.

– Nawet przez ubrania? – spytał.

Odwróciła wzrok.

– To się wydaje dziwne...

– Jasne, nieważne. Nie obchodzi mnie to. – Unieruchomił ją w miejscu za nogi, za pomocą zaimprowowanej wersji blokady drzwi Pomocnika. Następnie wystrzelił w stronę głównego zgromadzenia Promieniowców i uruchomił radio.

– Kontemplacja, mamy problem – powiedział.

– Niestety, ja również mam wieści o podobnej naturze – odparła. – Dwa razy sprawdziliśmy ten rejon i nic nie znaleźliśmy.

– Okłamywał was w kwestii lokalizacji drzwi. Ukrywał ją, ostentacyjnie zatrzymując się w tym rejonie.

– Jak wyjaśniłam wcześniej, niektórzy z nas je widzieli.

– A jak dokładne są ich wspomnienia precyzyjnej lokalizacji? Zapamiętali pozycje gwiazd? Na tym świecie nie ma stałych punktów orientacyjnych. Więc...

– Więc ci, którzy widzieli drzwi, mogli się znajdować w zupełnie innej lokalizacji. I muszę uznać za rozsądne założenie, że współrzędne, na których polegaliśmy, były kłamstwem mającym na celu wprowadzenie ludzi w błąd, gdyby doszło do takiej właśnie sytuacji.

- Dokładnie. - Pochylił się nisko dla ochrony przed wiatrem. - Właśnie sobie z nim porozmawiałem. Jest tyranem, ale na szczęście dla nas jest głupim tyranem... jego ego jest większe od mózgu.

- Wybacz mi, proszę, ale... rozmawiałeś z nim?

- Tak. Długa historia.

„Wcale nie, zauważyła rycerz. On się zatrzymał w okolicy. Ty do niego podleciałeś”.

- To nie jest ta długa część - powiedział po alethyjsku. - Długą częścią byłoby wyjaśnienie, dlaczego do niego podleciałem. - Wrócił do miejscowego języka. - Kontemplacja, on wie. Domyślił się, że podmienili klucze.

- Nie chciałabym cię przesadnie urazić, Słoneczny... ale czy przypadkiem nie dałeś mu tego do zrozumienia?

- Możesz tak myśleć, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, ale on nie potrzebował mojej pomocy. Patrzyłem, jak dodaje do siebie elementy układanki... wystarczyły mu informacje, że Promień przeszukuje tę okolicę i że sprowadziliście wszystkich z miasta. On nie jest tak bystry, jak wydawało mi się wcześniej, ale nawet on umiał dodać dwa do dwóch.

Kontemplacja milczała.

- Posłuchaj, on gromadzi siły i wkrótce do was dotrze - powiedział Nomad. - Czas się wycofać i zniknąć w ciemności.

- Jeśli się wycofamy, wszyscy będziemy martwi, zanim uda nam się powrócić na tę pozycję.

- Jeśli się nie wycofacie, będziecie martwi znacznie wcześniej.

Westchnęła.

- Ja po prostu... jestem już tak zmęczona uciekaniem...

- Szanowna pani, nie masz nawet pojęcia, jak dobrze to rozumiem.

- Porozmawiam z resztą Większego Dobra i podejmiemy decyzję. Mam nadzieję, że wciąż towarzyszy ci młoda Rebeke.

- Mam ją. Jest trochę wzburzona, bo kazałem jej porzucić motocykl, ale jest w jednym kawałku... i bez żadnych dodatkowych otworów.

- Dobrze. Ona nie jest naszą Gwiazdą Przewodnią, ale po odejściu rodzeństwa stała się symbolem dla naszego ludu. Pozwolę sobie na prośbę: postaraj się dopilnować, by nie umarła. A przynajmniej nie przed nami wszystkimi.

Rozłączyła się i Nomad zaczął się martwić, że nie posłuchają jego ostrzeżenia. Na szczęście, nim zdążył do nich dotrzeć, zorganizowali się tak, jak sobie życzył, i wracali w stronę ciemności - która znacznie się odsunęła. Horyzont zaczynał jaśnieć. Do wschodu słońca pozostała pewnie jeszcze godzina, ale i tak zanurkował, by znaleźć się głębiej w cieniu planety.

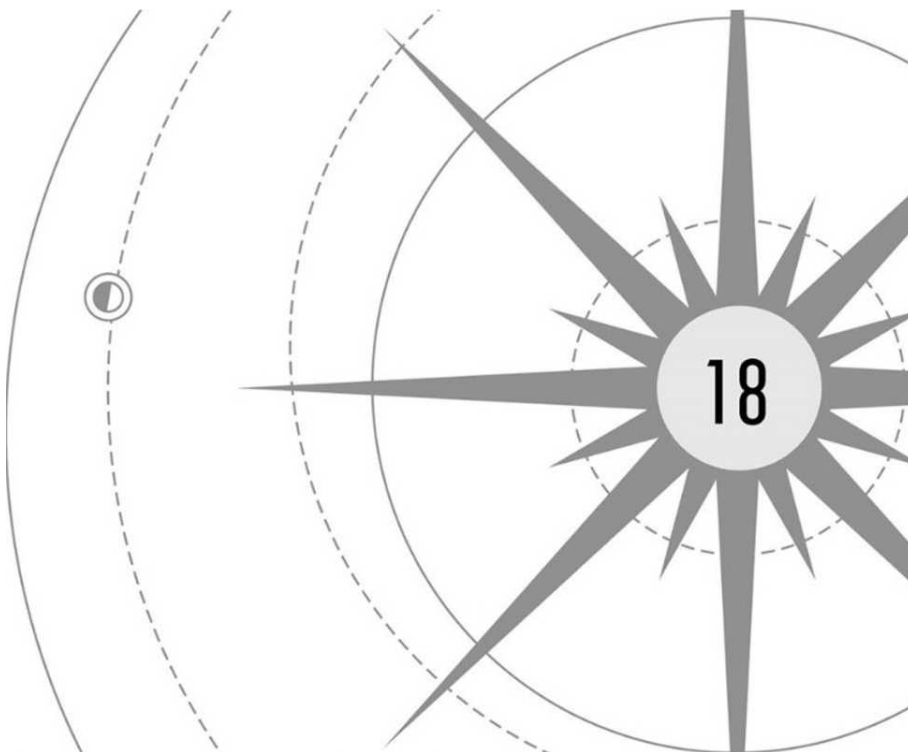
Na dole rosły rośliny. Nie tak szybko jak na skraju świtu, ale ich wzrost był widoczny. Krajobraz, który zostawił za sobą, był jałowy, pełen błota i rozpadlin. Ten aż kipiał od życia, właściwie każdą powierzchnię porastały mchy, trawa falowała na wietrze, widział nawet niewielkie zagajniki, gałęzie drzew wznosiły się w stronę pierścieni. Wydawało się, że to zupełnie inne miejsce - punkty orientacyjne, które zauważył przed odejściem, ginęły teraz wśród listowia.

Jak nasiona przeżywały katastrofalne gorąco dnia? Na burze. Rośliny na tym świecie musiały być czymś niezwykłym. A zwierzęta? Przelatując obok, zaskoczył gromadkę istot podobnych do

gazeli, które przerwały pasienie się i pobiegły w stronę ciemności. Ich oczy emanowały słabym złocistym blaskiem. Były w jakiś sposób Napelnione.

Znalazł centralny kadłub poczwórnego motocykla tam, gdzie go zostawili, pozostałe silniki utrzymywały go w powietrzu. Zamocował mniejszy pojazd na swoim miejscu, uwolnił Rebeke, która przejęła kierowanie, i dołączyli do pozostałych statków, oddalających się od słońca w bezustannej wędrówce.

Nomad przez jakiś czas myślał, że udało im się uciec. A później dotarli na skraj chmur, gdzie nie sięgały nawet odbite promienie słońca – i zobaczył coś w ciemności. Liczne płonące czerwone światła. Kilka sekund później ze środka wypadły dziesiątki wrogich statków i ruszyły do ataku.



Szukali nas – stwierdziła Rebeke. – Kiedy my byliśmy tutaj, oni byli tam i polowali na Promień! Miała rację. Statki wylaniające się z ciemności zaczęły w zaskoczeniu skręcać na boki. Dostali rozkazy, by polecieć z powrotem i zatrzymać Promień, ale nie spodziewali się, że wpadną na niego tak szybko. Przez kilka minut panował chaos. Obie grupy rozdzieliły się i kłębiły. Żołądek Nomada próbował wcisnąć się do jego przelyku, kiedy Rebeke zanurkowała w stronę ziemi. Z radia dobiegały gorączkowe pytania i rozkazy.

– Na wschód! – przeciął te dźwięki głos Kontemplacji. – Zbierzcie się na wschodzie. Zniknijcie w ciemności i podążajcie za Promieniem!

Rebeke skręciła w tamtą stronę, ich silniki spaliły pas roślin na popiół, który uderzył w nogi Nomada. Mężczyzna wyciągnął szyję, spodziewając się, że na górze dostrzeże wystrzały. Ale prawie ich nie było. Jedynie od czasu do czasu pocisk wypuszczony przez strzelca wyborowego.

Przypomniał sobie, że na statkach nie mieli zamontowanych karabinów. Zobaczył za to, jak para wrogich jednostek podlatuje do pomalowanego w niebieskie pasy statku Promieniowców i zaczepia się o niego z dwóch stron, jakby dokowali. Ze statków Popielnego Króla zeskoczyli żołnierze, którzy wbiegli do kokpitu Promieniowców.

Zanim Nomad znalazł swoją Udrękę, żył na świecie bez broni palnej. Tam angażowali się w bardziej osobisty, brutalny rodzaj walki – taki, w czasie którego człowiek musiał patrzeć, jak drugi gość umiera, szukając jednocześnie najbardziej skutecznego sposobu, by pozbawić jego ciała krwi.

Ten konflikt przypominał bardziej walki morskie na jego ojczystym świecie – żadnych dział, żadnej artylerii, tylko taranowanie i abordaż. Było to uciążliwe, ale tutaj miało sens, bo zdobycie statku było jedną z najbardziej konstruktywnych rzeczy, jakie można było zrobić – jednocześnie zmniejszało się siły wroga i powiększało swoje. W dodatku siła wojskowa Popielnego Króla opierała się na Zwęglonych, którzy byli najbardziej skuteczni w walce wręcz.

„Nomadzie, mów rycerz, spojrzysz w górę, pięćdziesiąt stopni w lewo”.

Kiedy to zrobił, zobaczył statek podskakujący w powietrzu, atakowany przez dużą jednostkę wroga, która się z nim połączyła – a ten wrogi statek z pełną prędkością oddalał się od mroku. Podobnie jak wiele statków Promienia, ten pojmany bardziej przypominał latający dom niż okręt wojenny i nie radził sobie z większą siłą wroga. Był odholowywany.

„To ten, na którym spotkaliśmy Większe Dobro, zauważa rycerz, dostrzegając niepewny brak zrozumienia giermka”.

– Potępienie. Pewien jesteś?

„Niestety tak”.

– Ci ludzie pewnie nie wiedzą, że członków sztabu dowodzenia należy umieszczać na różnych jednostkach?

„Wydaje się, że to coś, czego można się nauczyć jedynie z bolesnego doświadczenia...”.

Westchnął. Rebeke krążyła i lawirowała. Wrogie statki ich ignorowały, interesował ich większy łup, na którym przebywało więcej ludzi.

„I?”

– Zastanawiam się, czy nie jest za późno, żeby wrócić do Popielnego Króla i przyjąć jego propozycję – powiedział Nomad.

„Piorunuję cię teraz wzrokiem”.

– Nie masz oczu.

„I dlatego właśnie muszę to wyjaśnić”.

Nomad znów westchnął, po czym postukał Rebeke w ramię i wskazał wspomniany statek. W chwili gdy spojrzała, na jego pokład wskoczyło dwoje Zwęglonych, ich luźne szaty falowały, kiedy szybowali. Wiatr zagłuszył kolejne słowa Rebeke, ale na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Zabierz mnie bliżej! – krzyknął Nomad. – I bądź gotowa mnie zabrać, gdybym tego potrzebował. Tym razem spróbuj nie dać się złapać!

Pokiwała głową i zrobiła kolejny manewr, od którego zabolowały go kości. Niestety, na drodze stanął im uciekający statek Promieniowców. Wiele z nich całkiem niezłe unikało pojmania – to było coś, w czym mieli doświadczenie. Ale Rebeke i tak musiała skrócić ostro w lewo, a później w prawo, żeby znów skierować się w stronę statku Większego Dobra.

Dostrzegł kolejną jednostkę zbliżającą się do nich od prawej – między nimi a statkiem dowodzenia.

– To twoja wina, Pom – mruknął.

Rebeke za późno zorientowała się, że idą kursem na zderzenie i skrzyła w bok. Wykorzystał impet, by wyskoczyć z motocykla, i mocno uderzył w statek kierujący się w ich stronę.

Dostrzegł zdezorientowanych ludzi w kokpicie, kiedy przetaczał się po pokładzie, a później z trudem stanął na nogach i rzucił się w przestrzeń. Niemal minął bok statku Większego Dobra,

który ciągnięto w przeciwną stronę. Wciągnął się na pokład, szeroki na może dziesięć stóp.

Wroga jednostka wciąż była zadokowana po przeciwnej stronie i wykorzystywała napęd statku dowodzenia. Kierowała nią jedna z urzędniczek w białych płaszczach. Na jego widok kobieta otworzyła szerzej oczy i gorączkowo sięgnęła po broń.

Jej brak przygotowania dawał mu szansę, więc rzucił się przez pokład i spróbował obalić ją na ziemię – ale, oczywiście, Udręka uznała, że to będzie za łatwe. Unieruchomiła jego mięśnie, a on – co było zdecydowanie żenujące – potknął się i poleciał na pokład.

– To burzowo irytujące – mruknął.

W ostatniej chwili unióśł Poma jako tarczę, by zablokować strzałę.

„Nie miałeś jakiegos pomysłu, jak sobie z tym poradzić?”

– Tak, ale zorganizowanie tego zajmie trochę czasu.

Cofnął się przed ostrzałem. W końcu udało mu się znaleźć na wysokości przedniej szyby statku dowodzenia – ale zasłaniała ją tarcza ochronna. Kiedy kobieta zatrzymała się, żeby przeładować broń, zmienił Pomocnika w łom, napał na niego i jednym ruchem zerwał tarczę. Metalowa płyta uderzyła z brzękiem o pokład. Następnie rzucił się barkiem na szybę.

I odbił się.

– Co ci ludzie mają z tymi oknami! – powiedział i tym razem rzucił w nie Pomocnikiem w postaci dużego ciężarka.

„Nie wiem, odpowiada rycerz, bez trudu przebijając się przez szybę. To musi być twój problem”.

Nomad chrząknął, kiedy kule uderzyły w ścianę obok niego, a później rzucił się na drugą stronę, przetoczył i podniósł, poza zasięgiem wzroku strzelczyni. Wewnątrz dwoje Zwęglonych, których widział wcześniej, terroryzowało trzy kobiety z Większego Dobra, ukrywające się z tyłu pomieszczenia, za przewróconym stołem. Widział, jak wystawiają posiwiałe głowy, kiedy stanął teatralnie obok zbitej szyby. I żałował, że nie ma pojęcia, co zrobić.

Przynajmniej Zwęgleni skupili teraz uwagę na nich. Szli razem, uzbrojeni w pałki. Na szczęście Popielny Król brał ludzi do niewoli, by wykorzystywać ich do tworzenia słonecznych serc, co wyjaśniało obecność pałek zamiast mieczy.

Niestety było ich dwoje i byli szybcy. Spadli na niego, zadając ciosy i walcząc, zmuszając go do blokowania ich tarczą. Nie mógł nawet doprowadzić do tego, by się cofnęli, bo jego głupia dusza natychmiast by go zamroziła, przeszedł zatem do całkowitej obrony – a to nigdy nie był dobry sposób, by zwyciężyć w walce. Musiał ignorować sytuacje, kiedy odsłaniali się w ataku, i nie mógł ukarać ich gorączkowego gradu ciosów, który w normalnej sytuacji uczyniłby ich podatnymi na kontratak.

Zamiast tego przyjmował uderzenia na ramię, później na bok, a później na głowę – od tego piekielnego ciosu zatoczył się do kąta i zrobiło mu się ciemno przed oczami.

„Rycerz ma nadzieję, że jego otoczony giermek ma plan”.

– Mam go – mruknął, blokując kolejną serię ciosów, a później z trudem wydostał się z kąta, by nie przyparli go do muru. – Wskoczę znów przez okno. Może Promieniowcy tak naprawdę wcale nie potrzebują pomocy tych staruszek.

„Oczywiście, mówi rycerz. Zostaw ich bez przywódców i bez zasobów. To się na pewno uda”.

Dwójka Zwęglonych – napędzało ich Napełnienie, więc nie potrzebowali chwili przerwy na oddech – zepchnęła go do przeciwnego rogu i zasypywała ciosami.

„Nomadzie?”. Głos Pomocnika brzmiał równie monotonna jak zawsze. Nie umiał inaczej. Jednak Nomadowi wydawało się, że wyczuwa troskę przyjaciela, o czym świadczył brak złośliwego komentarza. „To będzie wymagało mnóstwa uzdrawiania. Z trudem utrzymuję twoje ciało w ruchu...”.

Chwilę później drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka weszła wroga pilotka – kobieta w białym płaszczu – by pomóc Zwęglonym. Broń trzymała w gotowości. Tak. To się nada.

Nomad przyjął kolejny paskudny cios na ramię, kiedy wydostawał się z kąta. W ten sposób jednak się odsłonił i jedno ze Zwęglonych rzuciło się na niego od tyłu, popychając go na pilotkę. To nie była jego wina, więc zderzenie sprawiło, że kobieta poleciała na ziemię – a Udręce spodobało się, kiedy kopnięciem odepchnął jej broń. Nie była potrzebna.

Od tej pory pilnował, by skupiać na sobie uwagę Zwęglonych, uśmiechał się do nich wyzywająco – ale jednocześnie chwiał się, kusząc ich swoją słabością. W odpowiedzi podwoili wysiłki i uderzali go, omijając jego tarczę – co nie było trudne w walce dwoje na jednego. Zadali mu serię ciosów, która zmusiła go do opuszczenia tarczy i odsłonięcia twarzy...

Głowa jednego ze Zwęglonych wybuchła.

Drugi zamarł i odwrócił się, a wtedy Kontemplacja – stojąca przed stołem – wystrzeliła całą serię w jego pierś. Ruszyła naprzód, pofarbowane na czarno włosy opadały wokół jej krępej sylwetki, i strzelała, aż drugi Zwęglony upadł na ziemię jako sterta dymiących węgielków i spalonego ciała.

Nomad osunął się na kolana i z trudem łapał oddech, kiedy Kontemplacja wycelowała w pilotkę, która w odpowiedzi uniosła ręce.

– Cieszę się, że umiesz strzelać – mruknął Nomad.

– W młodości polowałam – odparła stara kobieta. – Od lat nie miałam broni w ręku. Dlaczego kopnąłeś ją do mnie, zamiast samemu ją wziąć?

– Osobiste wyzwanie. – Opadł na ziemię i zacisnął powieki, gdy poczuł skumulowany ból obrażeń. – Nienawidzę brać całej chwały na siebie. Może jedno z was mogłoby tam wyjść i wyłączyć statek, który ciągnie nas w niewłaściwą stronę?

Dalszą część przegapił. Nie stracił całkowicie przytomności, ale wycofał się w głąb siebie, kiedy jego ciało się uzdrawiało. Wyczuwał, że spełnili jego prośbę, bo statek znów ruszył we właściwą stronę. Przeczłogał się w kąt i tam w ciszy wracał do zdrowia.

Przez następną godzinę słuchał, jak Pewność – ta wysoka i chuda – kieruje ucieczką przez radio. Pomocnik go uzdrowił, ale ostrzegł go cicho, że zostało mu niecałe dziewięć procent zdolności do Przeskoku.

W pewnej chwili dołączyła do nich Rebeke. Światło wpadające przez zniszczone okno pociemniało, kiedy uciekali.

Znosił ból z zamkniętymi oczami. Jego ciało dużo mogło wytrzymać, dzięki darom Udręki. Ale nawet on od czasu do czasu potrzebował chwili oddechu. Szczególnie po tym, jak zniósł pobicie, które dla innych byłoby zabójcze.

Mimo to skupiał się na tyle, że usłyszał troskę w głosie Pewności, kiedy kierowała pozostałymi. Wydawało się, że wielu Promieniowców uciekło – a sam Promień mógł wszystkim kiero-

wać. Ale goniły ich i nękały siły Popielnego Króla, które zmusiły ich do zejścia z kursu, którym zamierzali się poruszać.

Z tego, co słyszał, zostali zmuszeni, by skierować się na południe, do zupełnie innego „korytarza”. O ile dobrze go rozumiał, tak miejscowi mówili o określonych szerokościach geograficznych. Każde pasmo szerokości było korytarzem i żadne nie miało cech szczególnych, które pozwalałyby je odróżnić – ale udanie się zbyt daleko na północ lub na południe było niebezpieczne.

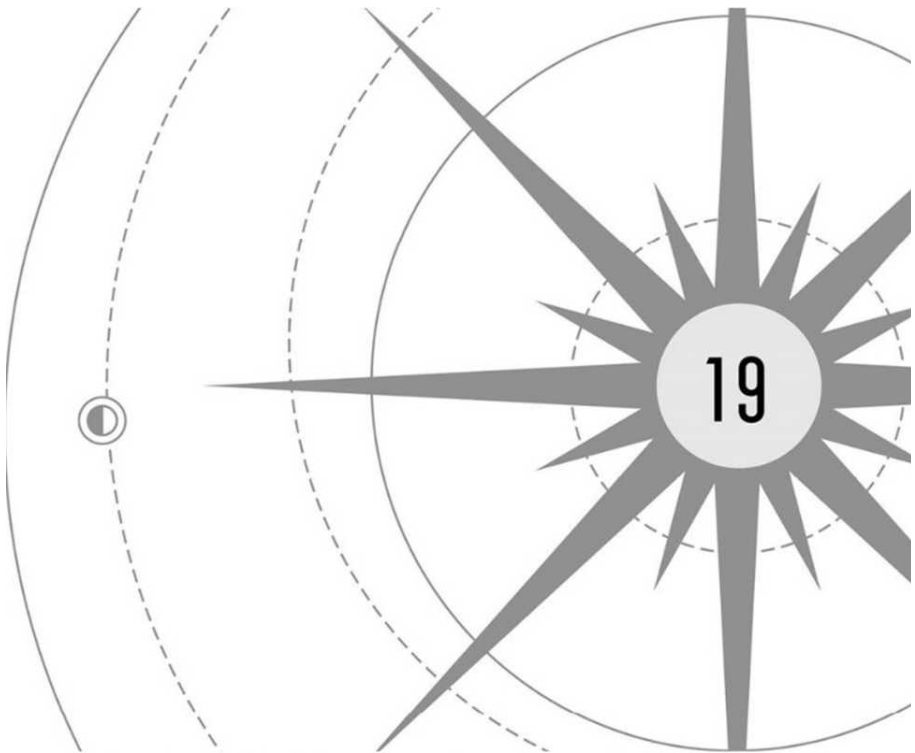
Cóż, przynajmniej uciekli. Przynajmniej żyli. Kogo obchodziło, że znaleźli się w innym korytarzu? To nie mogło być aż tak złe. Prawda?











Nie przeszkadzały mu w leżeniu na podłodze – kiedy odtwarzały Promień i przyjmowały raporty o ofiarach. Pojmano piętnaścioro ludzi. Dziesięć procent ich populacji zostało porwane i czekało ich porzucenie na słońcu.

W końcu przybyli kolejni urzędnicy. Znał trzy członkinie Większego Dobra, jak również Zapala – niskiego mężczyznę, który był, na ile Nomad umiał to ocenić, ich odpowiednikiem dowódcy polowego lub osoby planującej misje specjalne. Przybył również Jeffrey Jeffrey – mężczyzna z krzaczastą czarną brodą. Jako swego rodzaju zarządca miasta lub administrator pełnił swoją funkcję we współpracy z różnymi wcieleniami Większego Dobra, zapewniając ciągłość trójce przywódców, która zwykle składała się z trzech starych mężczyzn lub kobiet na kilka miesięcy przed przeobrażeniem w źródła energii.

Dołączyło do nich pięć osób, których nie znał. Zebrali się, by ocenić sytuację po katastrofalnie nieudanej próbie odnalezienia legendarnego Schronienia.

Pomocnik uznał to za ogromnie śmieszne, że zostawili Nomada. Leżącego na podłodze, drzemiącego. Jakby był śpiącym smokiem, zbyt niebezpiecznym, by zakłócić mu spokój.

„Popatrz, jak ustawili krzesła! – wykrzykuje bohater. Popatrz, Nomadzie. Nie odważyli się cofnąć, żeby cię nie trącić. Dlaczego nie zorganizują spotkania w innym miejscu? Albo... no wiesz... nie przeniosą cię do łóżka?”

Nomad pewnie miał jedną ze swoich min. Tę, która mówiła: „Nie dotykaj mnie. Rozważam, kogo teraz zamordować, i czekam na ochotników”.

W końcu grupa zaczęła omawiać prawdziwy problem.

– Jesteśmy martwi. – Pewność wstała, by przemówić. Rozpoznawał najwyższą z Większego Dobra po głosie i mógł sobie wyobrazić, jak chuda kobieta piorunuje ich wzrokiem. – Czas pogodzić się z Adonalsium.

– Proszę o wybaczenie obcesowości, ale masz być tą optymistyczną! – odezwał się mężczyzna, którego Nomad nie poznał wcześniej. – Daj nam nadzieję, jeśli tylko zechcesz.

– Moim tytułem jest Pewność. Moim obowiązkiem jest z całej siły wyrażać na głos to, o czym wiem, że jest prawdą. Moim obowiązkiem nie jest kłamać. Nie widzę wyjścia.

– Zostaliśmy zepchnięci do korytarza, w którym nie da się przetrwać – zgodziła się cicho Współczucie. – W tym rejonie góry pojawiają się od pięciu lat. Wkrótce natrafimy na wysokości. Poza tym nie mamy dość ciepła w naszych słonecznych sercach, by latać dużo dłużej. Podzieliliśmy je, podzieliliśmy się nimi i ograniczyliśmy wykorzystanie najbardziej, jak się da.

– Nawet gdybyśmy zebrali się wszyscy na kilku statkach, nie przetrwamy kolejnego obrotu – dodała Pewność. – Zbyt wiele czasu minęło od ostatniego zbioru. Po tym, jak zostaliśmy przepędzeni w czasie jednej próby, a z kolejnej zrezygnowaliśmy, działamy na zimnych duszach.

– Musimy... poddać się Popielnemu Królowi? – spytał cicho Jeffrey Jeffrey.

Zapał uderzył pięścią w stół.

– Wolę raczej zginąć zimną śmiercią i zostawić duszę, by rozświetlała jedynie błoto, niż oddać siebie jemu. Nasze dusze jeszcze umocnią jego tyranie.

– To co? – spytała Współczucie.

Wszyscy zwrócili się w stronę Kontemplacji. Nomad uniósł powiekę, by jej się przyjrzeć. Bez kapelusza, z włosami upiętymi w czarny kok, wyróżniała się nawet w pomieszczeniu pełnym ludzi w podobnych ubraniach.

– Kontemplacja? – spytała znów Współczucie. – Z pewnością masz plan?

– Ja... nie umiem wymyślić planu – przyznała Kontemplacja. – Poza śmiercią z dumą i świadomością, że oddzieliliśmy się od tego potwora i walczyliśmy z nimi aż do końca. Elegia byłaby... dumna, że się nie poddaliśmy.

Zapadła cisza. Nomad uznał, że to pora na jego wejście. No, jego już-tu-bycie. Zaplanował jedną z wielkich przemów swojego mistrza, takich, które naprawdę poruszały ludzi. Ale zanim zdążył się podnieść i ją wygłosić, zebrani zaczęli wstawać.

– Kontynuujemy – powiedział jeden.

– Kontynuujemy – odparło drugie.

Nomad usiadł i patrzył, jak wstają, czerpiąc siłę od siebie nawzajem. Uświadomił sobie, że nie potrzebują jego przemówienia. Ta grupa była twarda jak skorupa. Nie potrzebowali czegoś, co by ich zmobilizowało, dodało energii. A tego dnia... nie potrzebowali nawet żołnierza.

Potrzebowali kogoś, kim był kiedyś. Potrzebowali kogoś, kto rozwiązywał problemy.

Na burze. Czy mógł być dla nich tym mężczyzną? Czy to miało znaczenie? Nawet gdyby jakimś sposobem znalazł dla nich wejście... to by ich nie ocaliło. Mimo to odkrył, że ich opór jest bardziej upajający niż trunek Popielnego Króla. A jeśli coś pozostało z mężczyzny, którym kiedyś był, to ogromna odraza wobec dręczycieli – szczególnie tych, którzy na ofiary wybierali bezbronych.

Dlatego wstał i dołączył do nich. Odwrócili się, popatrzyli na niego i rozstąpili się, by mógł podejść do stołu Większego Dobra. Tam przycisnął dłonie do blatu.

- Ten sukсын - powiedział - złamał przysięgę, którą mi złożył.

Trójka zagapiła się na niego.

- ...I co z tego? - spytała Kontemplacja. - Jest mordercą i tyranem. Oczywiście, że jest też krzywoprzysięcą.

- Cała reszta tak naprawdę mnie nie obchodzi. Ale Popielny Król dotknął mnie osobiście... więc go zabiję. Przed odejściem najchętniej zniszczyłbym też jego królestwo... taki prezent na pożegnanie.

- Z przyjemnością dalibyśmy ci szansę - powiedziała Pewność. - Ale chyba nie rozumiesz powagi naszej sytuacji. Zostaliśmy wypchnięci do niemożliwego korytarza... takiego, w którym blokady uniemożliwiają poruszanie.

- Znow wylecimy na zewnątrz. Ukryjemy się w ciemności.

- Wysłaliśmy zwiadowców - odezwał się Zapał za jego plecami. - Popielny Król rozmieścił strażników i zwiadowców wzdłuż całej naszej północnej flanki... Musiał wezwać wszystkich swoich poddanych, by przysłali mu statki! Jeśli spróbujemy wrócić na północ, pochwyci nas.

- Jesteśmy tu uwięzieni - szepnęła Współczucie. - Wrogowie na północy, a góry na południu i wschodzie.

- Góry? - Nomad zmarszczył czoło. - Rebeke coś o tym wspominała... ale przypomnijcie mi. Wydawało mi się, że każdy obrót zmienia krajobraz. Jak to możliwe, że są góry?

- Niektóre większe cechy zostają - wyjaśnił Zapał. - Na biegunach zawsze są góry i tych terenów nie można przebyć. Czasami tworzą się w innych miejscach... a te w tym rejonie istnieją tu od lat. - Spojrzał na pozostałych i jego głos przycichł. - Kiedy wzniosły się po raz pierwszy, całe dwa miasta zostały zniszczone. Przeprowadzałem zwiad i kilka razy próbowałem się przez nie przedostać, bezskutecznie. Pierwotnie Elegia sądziła, że może gdyby udało nam się uczynić ten korytarz możliwym do przebycia, uciekliśmy Popielnemu Królowi.

- Góry rzeczywiście topią się i zmieniają - dodała Kontemplacja. - Ale pozwól, że przedstawię ci tę prawdę, Słoneczny Mężu. Coś w jądrze naszej planety tworzy tu wyżyny, które są całkowicie nie do przebycia.

- Mamy przecież latające statki - zauważył Nomad. - Moglibyśmy przelecieć nad nimi.

- Och, nad nimi! - Zapał uderzył się w czoło. - Dlaczego o tym nie pomyślałem?

- Pozwolę sobie udzielić ci wyjaśnienia, by nie trzymać cię w niewiedzy - powiedziała Kontemplacja. - Nasze silniki przestają działać, jeśli wzniesiemy się zbyt wysoko. Ryczą i próbują... a później gasną. Poza tym ludzie tracą przytomność, jeśli spędzają więcej niż kilka minut na wysokości.

- Chwileczkę, jak wysokie są te góry?

- Wysokie - stwierdził Zapał. - Co najmniej tysiąc stóp.

Tysiąc stóp? Pojedynczy tysiąc?

Z początku zakładał, że jego Związek przestał działać i niepoprawnie zinterpretował te słowa. Tym ludziom krzyżowały plany „góry”, które w jego ojczyźnie zostałyby uznane co najwyżej za wzgórza? Mieszkał tam kiedyś w mieście na wysokości ponad piętnastu tysięcy stóp.

A jednak nie nazwałby ich głupcami. Naiwnymi, może, ale nie idiotami...

„Zgubiłem się, mówi rycerz z nutą konsternacji, proporcjonalną do jego poważnej, godnej inteligencji. Czy ja to dobrze rozumiem? Co się dzieje?”

– Matematyka – uświadomił sobie Nomad. – Matematyka się dzieje. – Przeszedł na ich język. – Niech ktoś przyniesie mi kartkę i coś do pisania.

Kiedy się opierali, piorunował ich wzrokiem, aż ktoś, kto robił notatki, zaproponował swoje wyposażenie. Jedna z kobiet przyniosła mu krzesło, a on usiadł i rozmasował czoło. Ostatnimi czasy pisanie przychodziło mu łatwo – aż dziwnie się czuł z myślą, że niektórzy w jego ojczyźnie uważali to kiedyś za niestosowne.

Naszkiwował kilka równań, sięgając bardzo, ale to bardzo głęboko – do osoby, którą kiedyś był. Rozważył sposób, w jaki działały latające motocykle, wyobraził sobie ich silniki. Domyślał się, że mechanizm silnika jakimś sposobem wykorzystywał Napełnienie z tych słonecznych serc, by gwałtownie podgrzać powietrze, a później wyrzucał je tymi dyszami na spodzie, co zapewniało ciąg pionowy. Zasadniczo, ich pojazdy opierały się na skierowanych w dół silnikach odrzutowych zamiast na sile nośnej skrzydeł.

– Czynniki robocze – mruknął. – Na tym polega problem. Na tej wysokości powietrze robi się za rzadkie i nie może już służyć jako czynnik roboczy dla silników waszych statków. Zadziwiająca...

Ludzie zbierali się powoli wokół niego i jeśli byli wstrząśnięci na widok skomplikowanych obliczeń matematycznych, będących dziełem ich „Słonecznego Męża”, zabójcy cierpko nastawionego do świata... cóż, on nie miał do nich ani trochę pretensji.

– Co to wszystko znaczy? – spytała cicho Kontemplacja, kiedy pisał.

– Wasza planeta jest naprawdę mała. To znaczy niemal komicznie mała. Ile właściwie trwa jeden obrót?

– Około dwudziestu godzin – odpowiedziała Kontemplacja.

– Hm. Dajcie mi zegar.

Przynieśli go, a on – wykorzystując własne wewnętrzne poczucie czasu – dokonał przybliżonych szacunków. Ich godziny były o połowę krótsze niż jego. Biorąc to pod uwagę... tak, na tym mógł się oprzeć.

Domyślał się, że ich dzień trwa dziesięć standardowych godzin galaktycznych. Planeta była mała i obracała się na tyle powoli, że ludzie nadążali za nią w zwykłych samolotach. Spodziewał się, że można by oblecieć ją całą dookoła w ciągu czterech godzin. Tyle że to było niemożliwe. Trzeba było zaczekać, aż planeta się obróci, bo gdyby ktoś poleciał za daleko do przodu, wpadłby prosto w słońce.

Kiedy to przeliczył – wykorzystując inne dane pomiarowe, o które spytał pozostałych – doszedł do średnicy planety. A to sprawiło, że zaczęły się pojawiać kolejne odpowiedzi. Z początku dał się oszukać, bo ciążenie wydawało się podobne do tego, które pamiętał z ojczystego świata. Niższe niż na większości światów, ale wciąż w normalnym zakresie. Mógłby to sprawdzić, upuszczając kilka przedmiotów. Tak czy inaczej, to pierwsze instynktowne wrażenie wzbudziło w nim fałszywe przekonanie, że rozumiał fizykę tego świata. W rzeczywistości bardzo się mylił.

– Większość światów z tego rodzaju ciążeniem – wyjaśnił – jest o wiele większa. Wy macie w rdzeniu coś gęstego ... powiedziałbym, że Napełnionego, bo nie ma naturalnych pierwiast-

ków, które mogłyby odpowiadać za takie przyciąganie grawitacyjne, nie, jeśli planeta ma się przy tym nadawać do życia. Do tego wydaje się, że wasza atmosfera rzadnie niepokojąco szybko. Z moich szacunków wynika, że na wysokości tysiąca stóp jesteście już w strefie śmierci. Nic dziwnego, że wasze statki unoszą się na wysokości zaledwie trzydziestu do czterdziestu stóp.

Popatrzył na krąg bezmyślnych twarzy.

„Unoszę rękę, mówi rycerz. Nie widzisz tego, ale ja tak. Wywołam mnie”.

– Dobrze... – powiedział Nomad po alethyjsku.

„Panie profesorze, czy mógłbym pójść na lekcję plastyki?”

– Pomocniku, jesteś dosłownie żyjącym przejawem sił fizycznych, dzielącym istotę z koncepcjami ciężenia i sił międzyosiowych. Powinieneś się na tym znać.

„No jasne. A ponieważ wy jesteście stworzeni z mięsa i różnych dziwnych płynów, każdy człowiek rodzi się z kompletną wiedzą na temat anatomii naczelnych”.

– Cóż, i tak dobrze by było, gdybyś bardziej się skupił – powiedział Nomad, choć musiał przyznać, że poczuł się z tym głupio.

Gdyby sam bardziej się skupił, wcześniej by się zorientował. Zakrzywienie tej planety, niskie ciśnienie na poziomym gruncie... wyraźnie wskazywały na rozmiar planety.

Przeszedł na lokalny język.

– Posłuchajcie. To oczywiste, że wasze silniki poddają się, kiedy próbujecie przebyć góry. One działają na zasadzie wyporu powietrza.

– Jeśli pozwolisz, bym ci się sprzeciwiła... – powiedziała Kontemplacja. – One latają, wykorzystując słoneczne serca.

– I tak, i nie. Latacie, wykorzystując silniki, dla których źródłem energii są słoneczne serca. Moglibyście wykorzystywać węgiel i nadal unosić się w powietrzu, gdyby jakimś sposobem udało wam się zrównoważyć masę tak dużego paleniska i ciężkiego paliwa. Ale tym, co sprawia, że takie statki się poruszają, jest nie paliwo, tylko czynnik roboczy. No wiecie, to, co wyrzucacie na zewnątrz, żeby uzyskać ciąg. W tym przypadku powietrze? Nie?

Patrzyli na niego bez zrozumienia.

– Jak możecie latać tak rozwiniętymi statkami i nie mieć pojęcia o podstawowych zasadach inżynierii lotniczej? Dynamiki płynów? Zasadzie akcji i reakcji?

Kolejne spojrzenia bez zrozumienia. Poza jedną kobietą z boku. Kilkoro popatrzyło na nią. Mechaniczka albo inżynierka, jak się domyślał. Była ubrana jak pozostali, ale na rękawiczkach miała płamy smaru.

– Mogę zrozumieć część z tego, Słoneczny. – Wpatrzyła się w liczby, które zapisał. – Ale musisz zrozumieć. Jesteśmy uchodźcami wśród uchodźców. Popielny Król ma uczonych, którzy być może zrozumieliby, co mówisz, ale nawet oni skupiają się na tym, by miasta się poruszały. Nie mamy czasu, zasobów, życia, które moglibyśmy zmarnować na teoretyzowanie. Wykorzystujemy to, co działa. Umiemy sprawić, by działało jak najdłużej, umiemy odtwarzać, ale... – Wzruszyła ramionami. – Nie możemy sobie pozwolić na wzniosłe idee, kiedy na horyzoncie mający śmiertelność.

Szanował to. Na burze, sam to czuł. Ile czasu miał na marzenia, od kiedy zaczął uciekać?

– Wszystko to... – Pewność wskazała machnięciem ręki na równania, które wypisał – ... potwierdza to, co już wiedzieliśmy... Że jeśli wzniesiemy się zbyt wysoko, silniki przestaną dzia-

łać, a my się udusimy?

„Powinieneś jej powiedzieć, wtrąca rycerz, że o to zasadniczo chodzi w matematyce. O wyjaśnianie rzeczy, które wszyscy już wiedzą”.

Czasami żałował, że nie związał się z Zagadkowym.

– W rzeczy samej, to mówi nam to, co wiemy, Pewności – zgodził się. – Ale, co bardziej przydatne, mówi nam, dlaczego. A to pierwszy krok do rozwiązania każdego problemu.

– A ty możesz rozwiązać ten? – spytała Kontemplacja. – W niecałe dziesięć godzin? Bo wtedy natkniesz się na te wyżyny.

Dziesięć z ich godzin. Czy mógł rozwiązać taki problem w tym czasie?

Niemożliwe.

– Jak najbardziej. Będę potrzebował kilku rzeczy, przede wszystkim dostępu do urządzeń wytwórczych, które macie. Rebeke powiedziała, że możecie tworzyć nowe części statków z surowców?

– Tak – powiedział Jeffrey Jeffrey.

– Dobrze. Będę potrzebował dostępu do nich, cichego pokoju, pewnych narzędzi i... Zwęglonej, którą pojaliśmy. Siostry Rebeke. Do pewnych ważnych testów.

Nie zadawali pytań. Dobrze. Nadal pracował nad sposobem ucieczki przed Udręką i potrzebował kogoś, na kim mógłby wypróbować swoje teorie. Inteligentni naukowcy nie eksperymentowali na sobie.

– Zaczekaj – odezwała się Pewność. – Nawet jeśli stanie się cud i przedostaniemy się nad górami, nadal jesteśmy martwi. Co z naszymi coraz mniejszymi zasobami energii?

– Znajdziemy sposób, by zdobyć więcej.

– A Popielny Król? – spytała ostro. – Przytłaczające siły, którym stawiamy czoło? Fakt, że każdego dnia tracimy ludzi w jego atakach? Jaki jest nasz cel tutaj? Co próbujesz osiągnąć, poza zabiciem go? Jaki jest nasz ostateczny cel?

– To zależy od was. Ja chcę znaleźć te drzwi. Zrobię, co mogę, żeby przeprowadzić was ponad tymi górami, a później zdobyć energię, żebyście przetrwali kolejny dzień. Później wrócimy w tę okolicę i znów możemy przeprowadzić poszukiwania. – Wzruszył ramionami.

– Znowu to? – spytała Pewność. – Sam powiedziałaś, że te drzwi nam nie pomogą.

– Ja... – Urwał.

Słuszna uwaga.

– Spokojnie, Pewności – odezwała się Współczucie.

Stara kobieta o hebanowej skórze i mocno pofalowanych siwych włosach wydawała się taka krucha. Potrzebowała pomocy w chodzeniu, a jej głos drżał, kiedy mówiła. A jednak miała w sobie siłę. Siłę kogoś, kto ugiął się przed upływem czasu, ale jeszcze mu się nie poddał. Siłę, którą rozumiał i szanował.

– Przed chwilą potwierdziliśmy, że wolimy zginać niż wrócić do Popielnego Króla – kontynuowała Współczucie. – Czy to nie daje nam choć odrobinę większej nadziei? Nasi przodkowie przybyli na te ziemie i przetrwali wbrew zdrowemu rozsądkowi i prawdopodobieństwu. Czy nie jesteśmy im winni tego, by spróbować przetrwać w każdy sposób, jaki potrafimy sobie wyobrazić, nawet jeśli szansa jest mała?

– Przeszukaliśmy cały rejon i nie znaleźliśmy drzwi – zauważyła Pewność.

- Są w pobliżu miejsca, gdzie szukaliśmy - powiedziała Współczucie. - Muszą być. Dowiemy się gdzie i tam poszukamy.

- A jeśli Schronienie naprawdę jest mitem? - spytała Pewność. - Jeśli nie jest prawdziwe i nigdy nie było, jak sugeruje ten mąż?

Wszyscy milczeli.

- Potrzebujemy cudu - szepnął po chwili Zapał i wstał. - A ja żyję dla nich, Większe Dobro. Nawet bez gór... nawet gdybyśmy mieli słoneczne serca... bez marzeń nasza droga byłaby drogą śmierci. Bez marzeń, on w końcu nas znuży i zniszczy, niezależnie od tego, co zrobimy. Więc tak, wolę zaufać mitowi, Pewności. Zamiast po prostu zatrzymać się i przyjąć słońce.

Inni pokiwali głowami, a Nomad poczuł ściskanie w żołądku. Spuścił wzrok. Wcześniej ich pewność siebie dodawała mu energii, ale teraz miał wrażenie, że go potępia. Jego i fałszywą szansę, jaką oznaczała jego obecność.

Spróbuj uwierzyć, pomyślał, jak robią to oni. Spróbuj przynajmniej udawać, że jest dla nich nadzieja. Kto wie? Już wcześniej się myliłeś.

- Zrobimy to - obiecał im, podnosząc wzrok. - Przebędziemy góry i oblecimy całą tę przekłętą planetę. Wrócimy do miejsca, gdzie zaczęliśmy. I tym razem otworzymy te drzwi. To lepsze niż położyć się i czekać na śmierć.

- Owszem - zgodziła się Kontemplacja. - Czy to dlatego nadal uciekasz?

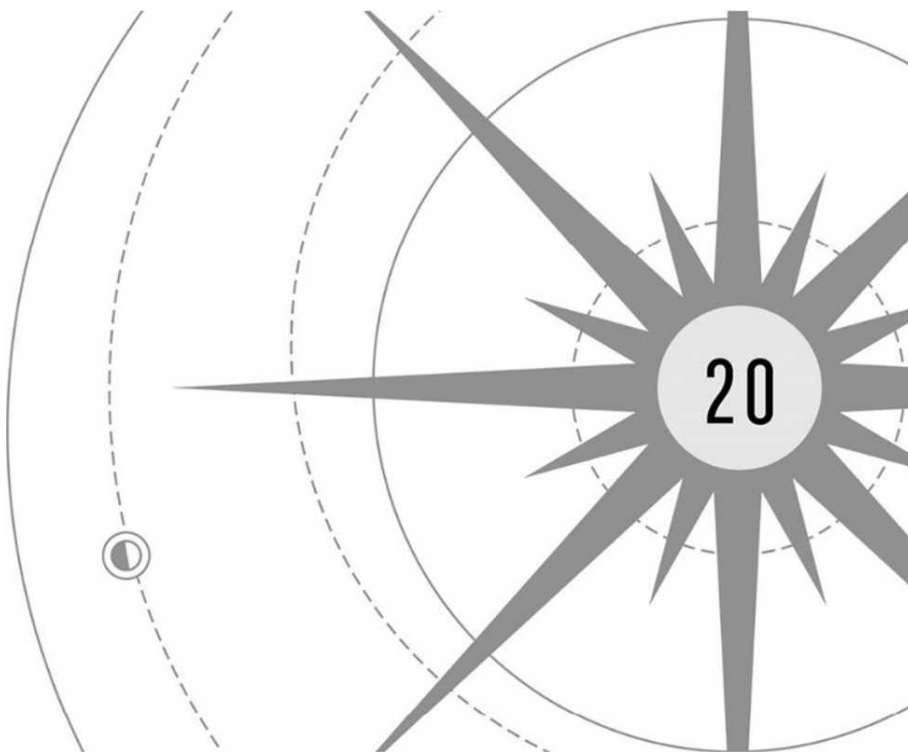
- Jak na razie.

Pewność usiadła i pokiwała głową. A on uświadomił sobie, że być może odgrywała rolę. Wyrażała swoje prawdziwe uczucia, owszem, ale również przedstawiła argument, który należało wysunąć - by ktoś mógł mu zaprzeczyć. Zmuszała ich do szukania rozwiązania, wyrażając na głos obawy, które wszyscy mieli, nadając im kształt i pozwalając, by zostały zneutralizowane.

- Zrobimy to - szepnęła Współczucie. - Dla naszych dzieci. Dla naszych rodzin. Dla nas.

Doskonale. Teraz musiał tylko na nowo opracować podstawy ich inżynierii lotniczej - przerebobić silniki całego miasta, by działały właściwie w próżni - i to w ciągu kilku godzin.

Wolałby raczej znów dać się pobić, bo to zadanie wymagało jego starego wcielenia. Tego, które tak wiele razy zawiodło.



Dali mu nieduży pokój w pobliżu centrum miasta. Nomadowi pomieszczenie wydawało się... przyjemnie małe. Jak warsztat, ze ścianą do mocowania notatek nad prostym biurkiem, i rozkładanym łóżkiem w kącie. Choć nie nazwałby go luksusowym, było przytulne, co Nomadowi się podobało.

Wkrótce przynieśli mu niewielki silnik, wyjęty z jednego z latających motocykli, i umieścili na blacie roboczym. Urządzenie miało wielkość sporego melona. Później przyprowadzili Elegię, ciągnąc ją za ręce, które miała skute w nadgarstkach.

Nie widział Zwęglonej od czasu, kiedy pomógł ją „uratować” w trakcie pierwszej ucieczki. Tak bardzo się szarpała, że sześciu mężczyzn miało problem, by przykuć ją do ściany. Nomad usiadł przy biurku i przyjrzał jej się uważnie. Wyglądała na trzydzieści kilka lat. Krótko przycięte srebrno-czarne włosy, na lewym policzku świecący ślad żaru. Podobnie jak siostra, miała jasnozielone oczy. Mógł im się uważnie przyjrzeć, kiedy walczyła z mężczyznami, którzy ją uwięzili.

Mężczyźni w końcu wyszli, niektórzy rozmasowywali sińce pozostawione przez jej łokcie i kolana. Nawet zakuta w kajdany ta kobieta była niebezpieczna. Jej żar – świecący w spopielonej jamie piersi, gdzie powinno znajdować się serce – rozjarzył się gwałtownie, kiedy szarpała się w łańcuchach. Gdyby nie była tak Napelniona – moc wzmacniała jej skórę i mięśnie – zrobiłaby sobie krzywdę, próbując tak gorączkowo się uwolnić.

– To był kiedyś jej pokój – powiedziała stojąca w drzwiach Kontemplacja. – Miałam nadzieję, że może obudzi w niej jakieś wspomnienia...

Opór Elegii wskazywał, że do niczego takiego nie doszło. Mimo to sam fakt, że to był jej dom, wskazywał, że polubiłby tę kobietę, gdyby nie została spalona, a z jej duszy zostały tylko popioły.

- Z czego od niej chcesz? - spytała Kontemplacja.

- Muszę zrozumieć wasze źródła energii. Te słoneczne serca... one nie przypominają niczego, co widziałem na innych planetach. - Skinął na Elegię. - Ona ma jedno w swojej piersi. Chcę przeprowadzić kilka prób.

- Zrobią jej krzywdę?

- Niczego nie mogę obiecywać. Ale nie spodziewam się tego.

Kontemplacja pokiwała z namysłem głową. Ciemne włosy upięła w wysoki kok, który sprawiał, że sprawiała wrażenie wyższej, niż była w rzeczywistości.

- Są wśród nas ludzie, którzy byliby na ciebie bardzo źli, gdyby Elegii przytrafiło się coś złego - powiedziała w końcu.

Skinął głową.

- Ty się do nich nie zaliczasz?

- Dobrze znałam Elegię. Rozmawiałam z nią wielokrotnie w czasie, gdy podsycala płomienie naszego buntu. Kiedy zostałam powołana do Większego Dobra, głosowałam, by mianowano ją naszą Gwiazdą Przewodnią. To stanowisko oznacza kogoś, kto ustala kurs miasta. Dla nas to było coś więcej, osoba, która tworzy plany. My jesteśmy przywódcami miasta, ale ona była jego sercem. Realizowaliśmy jej wizję. - Skinęła na kobietę przykutą do ściany. - To coś nie jest Elegią. Nie możesz zrobić jej krzywdy, Słoneczny. Ona już jest martwa.

Następnie Kontemplacja podeszła do niego, zdjęła rękawiczkę i uniosła dłoń spodem do przodu. Wyraźnie czegoś od niego oczekiwała. Z wahaniem uniośł rękę - ale jej nie dotknął.

- Niczego nie czerpiesz? - spytała.

- Powiedziano mi, że czerpanie ciepła od innych jest nieuprzejme.

- O ile nie zostanie wcześniej zaproponowane. - Kontemplacja skinęła w stronę swojej dłoni.

- Dla nas to akt wdzięczności, Słoneczny. W ten sposób okazujemy wrażliwość i gotowość do zaufania. Uratowałeś mi życie, za cenę wielkiego bólu i ryzyka. Dziękuję.

Usłyszawszy te wyjaśnienia, przycisnął dłoń do jej dłoni.

- Twój Oddech do mnie - szepnął.

Sięgnął po Rozkaz, żeby sprawdzić, czy uda mu się zaczerpnąć jej ciepła. Oczywiście nie udało się. Ale warto było spróbować, a poza tym ta ceremonia coś dla niej znaczyła.

W oczach kobiety pojawiły się łzy.

- Kiedy wpadłeś przez to okno, rozumiałam, że nim jesteś. Słonecznym Mężem z opowieści. Rozumiałam to ponownie, kiedy dałeś nam nadzieję na kontynuowanie naszej wiekuiestej pielgrzymki.

- Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz, Kontemplacjo. Naprawdę nim nie jestem. Ale na razie, jeśli to pomoże utrzymać was wszystkich w ruchu, możesz nazywać mnie, jak tylko burzowo chcesz.

Starsza kobieta się uśmiechnęła.

- Cieszę się, że miałam okazję cię spotkać.

Odeszła, zostawiając go sam na sam ze świecącą wariatką. Cóż, i jeszcze częściowo sprawnym sumieniem.

„Naprawdę myślisz, że ci się to uda? – pyta bohater z powątpiewaniem, ale i zaciekawieniem”.

Nomad usiadł przy biurku, ale wciąż przyglądał się Elegii, która przestała się szarpać i skuliła się na piorunowaniu go wzrokiem.

– Myślę – powiedział do Pomocnika – że nie mam wyboru. Na szczęście oni rozwiązali najtrudniejszy problem.

„Naprawdę?”

Otworzył pusty notatnik.

– Pewnie. Mają kompaktowe, potężne, odnawialne źródło energii. Coś, o czym większość rozwijających się społeczeństw może tylko marzyć. To jest trudne. W podróżowaniu problemem zawsze są źródła zasilania. Tworzenie energii, cóż, jej uwalnianie, jest proste. Wystarczy, że rzucisz zapalkę na stertę wysuszonego drewna i to zobaczysz. Ale ujarzmienie jej? Uczynienie jej przenośną? To jest problem.

„Jeśli to takie łatwe, to co się dzieje, kiedy trafiają w te góry?” – zapytał Pomocnik, kiedy Nomad zaczął pisać i rysować. „Dlaczego ich silniki przestają działać?”

– Silniki nie przestają działać. Nadal uwalniają energię, ale nie mogą nic z nią zrobić. Większość konwencjonalnych sposobów podróżowania opiera się na podstawowej zasadzie akcji i reakcji. Od silników odrzutowych po powozy konne, chodzi o podstawowe zasady dynamiki.

„A silnik odrzutowy wymaga powietrza, by mieć ciąg?”

– Tak. To bardziej skomplikowane, ale zasadniczo silnik odrzutowy działa, wypychając powietrze przez wąską dyszę. W większości przypadków to rozgrzane powietrze, które przeszło przez turbinę, a powstający wtedy ciąg porusza statek. Powietrze wylatujące z tyłu silnika.

„Czyli... nie ma powietrza... nie ma ciągu?”

– Zgadza się. – Wskazał niewielki silnik. – Przypuszczam, że te tutaj z boku to wloty powietrza. Wciągają go bardzo dużo, później słoneczne serce podgrzewa je w tej konstrukcji tutaj, to jakiś rodzaj sprężarki, może nawet generuje plazmę, co byłoby naprawdę szaleństwem. Popatrz na to. Widzisz te dysze tutaj? Tędy wylatuje rozgrzane powietrze, a może nawet Napełnienie zmienione w czystą energię. Stąd się biorą unoszenie i ognisty blask, który widzimy.

„A co z lotami kosmicznymi, gdzie nie ma powietrza? Jak to robią inne statki?”

To było coś względnie nowego. Cóż, sama wiedza była stara, choć zależało to od tego, które części cosmere się odwiedziło. Ale poważniejsze eksperymenty zaczęły się około stu lat temu. Po co z takim wysiłkiem wędrować przez pustą przestrzeń, skoro istniały łatwiejsze sposoby na poruszanie się między planetami?

Problem polegał na tym, że większość z nich była powolna i zwykle wymagała miesięcy, a czasem nawet lat maszerowania przez inny wymiar. Dało się tam również latać, ale można było wyjść jedynie w określonych punktach. Szybsze sposoby, dzięki którym można było dotrzeć zasadniczo wszędzie, dopiero zaczynały się rozwijać, ale były na swój sposób proporcjonalnie o wiele trudniejsze. Albo też miały burzowo koszmarnie efekty uboczne. Jego osobiste doświadczenia to potwierdzały.

Mimo wszystko coraz więcej ludzi w cosmere zaczynało pojmować trudne, ale realne metody, które pozostawały poza ich zasięgiem do czasu, aż naukowa praktyka dogoniła teoretyczne rozmyślenia.

- Aby latać w kosmosie, musisz zabrać ze sobą swój własny czynnik roboczy – odpowiedział na pytanie Poma. – W silniku raketowym często miesza się paliwo i utleniacz... ale sedno jest takie, że ich masa jest wypychana z dużą prędkością z tyłu silnika. Masa i energia wyrzucane do tyłu sprawiają, że ty sam lecisz do przodu. Te silniki oparte na słonecznych sercach nie zabierają ze sobą paliwa.

„W takim razie zrobmy to”.

- Ile skroplonego tlenu masz pod ręką? A może paliwo lotnicze? Paliwo raketowe nie występuje zbyt często, Pom. Wątpię, byśmy coś zorganizowali w tak krótkim czasie, nie słyszałem też o żadnych źródłach zefirowego eteru na tej planecie. A ty?

„Więc... jesteśmy zgubieni?”.

- Nie. – Zaczął rysować schemat. – Mają mnóstwo jednej rzeczy: wody. Właśnie w tej chwili wali w dach. Poza tym, jak już powiedziałem, rozwiązali najtrudniejszy problem: wyjątkowo skondensowane, bogate w energię paliwo. Może podgrzewać rzeczy bez udziału tlenu. Jeśli więc uda się nam uruchomić kocioł i sprawić, by dołem wylatywały strumienie pary...

„Chwileczkę. Zamierzasz napędzać podróże kosmiczne silnikiem parowym?”.

- Pewnie tak. Choć określiłbym to raczej jako lot w górnych warstwach atmosfery, nie lot kosmiczny. W każdym razie byłbyś zaskoczony, usłyszawszy, jak wiele nowoczesnych źródeł energii opiera się na tej samej zasadzie. Problem z tradycyjnymi silnikami parowymi, cóż, tymi wielkimi, zawsze polegał na tym, że paliwo ma dużą objętość i jest ciężkie. To mało praktyczne, poza wielkimi silnikami na torach, które mają duży uciąż. Ale mówię ci, tak działa każdy ruch.

„Cały ruch? – pyta z wahaniem rycerz. A kiedy w przeszłości razem lataliśmy?”.

Nomad zamarł. To było inne. Oczywiście, źle się wyraził. Nie każdy ruch wynikał ze wspomnianych czynników. Istniały inne rodzaje, jak prawo powszechnego ciężenia. Jedno ciało do drugiego. Siły, które utrzymywały spójność całej materii, na poziomie osi.

- To było coś innego – przyznał.

„Uwielbiałem to”, powiedział Pom. „Zanim...”.

Nomad westchnął i zacisnął powieki.

„To nie twoja wina”.

- Powiedziałem tak Hoidowi. I związałem się z tobą.

„Nie wiedziałeś, do czego to doprowadzi, jedno i drugie”.

- Pozwoliłem, by Odprysk Świtu nas pochłoniął, Pomocniku. Pozwoliłem, by się tobą karmił.

„Trochę ocaliłem. Ten kawałek swojego umysłu. Ostatni fragment mojej duszy”.

Trefniś był równie winny jak Nomad. Rzekomo zrobił to dla ocalenia cosmere. Trefniś poprosił go, by przyjął coś zwanego Odpryskiem Świtu, studnię niewyobrażalnego Napełnienia zaprojektowaną jako broń.

Nomad nie znał szczegółów. Jedyne to, że efektem próby pomocy był martwy przyjaciel – zredukowany do głosu w jego głowie – i całe armie, które próbowały go złapać. Przyjął tę straszliwą broń, by ją ukryć, a ta moc wypaczyła jego duszę. Co gorsza, nie wiedział, nie uświadamiał sobie, że związanie się z Pomocnikiem doprowadzi do takiej tragedii.

Całe lata przeżyli razem z czyhającą w ukryciu możliwością. Później, w chwili potrzeby, nieświadomie sięgnął do pierwszego źródła energii, do którego miał dostęp. Odprysk Świtu znalazł Pomocnika, stworzonego z Napełnienia.

Zmienił samą istotę Poma w energię, która dawała Nomadowi jego zdolności.

Odprysk Świtu – broń – chronił sam siebie. Niezależnie od ceny. Niezależnie od tego, kogo zabił. Nomad zdążył powstrzymać się w ostatnim momencie, zanim w chwili wielkiej mocy spalił całą duszę Pomocnika.

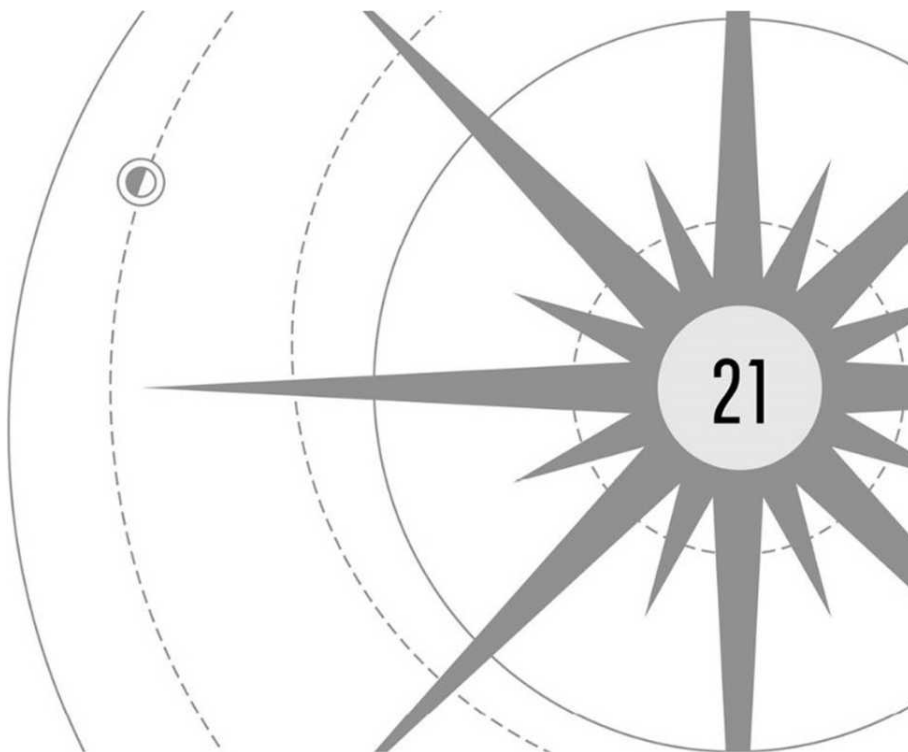
„To nie czas na żale, beszta go łagodnie rycerz. Masz wielkie problemy do rozwiązania”.

Nie mylił się. Nomad otworzył oczy, sięgnął do kieszeni i wyciągnął opróżnione słoneczne serce, które zostało po tym, jak pochłonął Napelnienie. W dotyku przypominało szkło – nieduża cylindryczna bryła dymnego kwarcu wysoka na osiem cali, o średnicy kilku cali. Jej powierzchnię znaczyły wybrzuszenia i swego rodzaju ziarno, jak stopiony wosk. Było przypadkowe, rzecz jasna, ale mógł przysiąc, że jeden fragment wyglądał jak krzycząca twarz...

Rebeke powiedziała, że to coś napędzało statek przez wiele miesięcy. Tego rodzaju moc nie była częścią większości duszy, nawet Trenowców. Działo się coś innego. Moc zaczerpnięto z innego miejsca, a dusza służyła jako swego rodzaju ziarno krystalizacji lub zaczyn. Ale dlaczego rosharańskie słoneczne serce, które pokazał mu Popielny Król, było takie małe? Dlaczego nie zadziało jako podobne ziarno?

Wpatrywał się w notatniki i czuł narastające przerażenie. Przed takimi rzeczami uciekał, nawet nim zaczął się właściwy pościg. Porażki, które owijały się wokół jego serca jak drut kolczasty, sięgające do czasów dzieciństwa. Ale mógł albo to zrobić, albo poczołgać się z powrotem do Popielnego Króla i przyjąć jego propozycję zatrudnienia. Nomad zamierzał rozważyć to tylko, jeśli sama Nocna Brygada zapuka do jego drzwi. Dlatego zaakceptował swój los.

I zaczął rysować diagramy.



Dwie godziny później miał w pełni rozrysowany schemat, choć nie wiedział, czy zadziała. Plan zakładał, że nie będą produkować nowych silników, ale zmodyfikują te, które mają, by przyjmowały wodę, zmieniały ją w przegrzaną parę i to ją wykorzystywały jako czynnik roboczy.

To była czysta prowizorka. Mógł mieć jedynie nadzieję, że zadziała. Wiedział, że musi wprowadzić pewne zmiany, ale jego mózg zaczynał popadać w odrętwienie. Potrzebował przerwy, przynajmniej od tego problemu.

Na razie ignorował łóżko, choć był bardzo zmęczony. Na ile umiał to ocenić, mieszkańcy Promienia nie kładli się regularnie spać – wydawało się wręcz, że cała planeta żyje według dziwnego systemu „rób sobie godzinną drzemkę, kiedy masz na to ochotę”. Rebeke była zaskoczona jego wyjaśnieniem, że tam, skąd pochodził, ludzie zwykle spali w tym samym czasie – i przespali około ośmiu godzin.

Tak czy inaczej, nie chciał jeszcze się położyć. Umył się w miednicy, którą mu dostarczyli, i przejrzał się w niedużym lusterku. Na brodzie miał cień zarostu, a jego włosy w pełni odrosły – ciało, jak zawsze, w końcu zaczęło wyglądać tak jak wtedy, kiedy przed laty przyjął Odprysk Świtu. Rzucił lusterko na bok, obciągnął zapinaną na guziki koszulę, którą mu dali, i przysunął krzesło do Elegii, wciąż przykutej łańcuchami do ściany.

„To nie tylko ja mam jakiś problem? – pyta rycerz. To jest dziwaczne, że masz tu kobietę przykuta łańcuchami do ściany, prawda?”

– Przyznam, że to dziwaczne.

„I chcesz z nią... co właściwie zrobić?”

– Myślę, że jej stan i mój mogą być podobne. – Spojrzał zmrużonymi oczami na Elegię. – Kiedy przyjąłem od Trefnisia Odprysk Świtu, on stworzył moją Udrękę. Zbyt wiele Napełnienia, przyjętego zbyt szybko, wypaczyło moją istotę.

„Dlaczego nie wypaczyło Trefnisia?”

– Myślę, że jego też. On po prostu dobrze to ukrywa. Tak czy inaczej, kiedy oddałem Odprysk Świtu, sam pozostałem przemieniony. Ze swego rodzaju tkanką bliznowatą na duszy. Tym jest Udręka. Ten dziwny Związek ze wszystkimi miejscami jednocześnie, zdolność karmienia się Napełnieniem, zdolność do Przeskoku z miejsca na miejsce... ale jednocześnie przekleństwo uniemożliwiające odpowiadanie ciosem na cios. Odpryski Świtu to jedna z pierwotnych mocy stworzenia, a ten, który przyjęliśmy, jest diametralnym przeciwieństwem koncepcji przemocy i krzywdy. Tkanka bliznowata w mojej duszy ma tę samą Intencję, te same wymagania, co jej gospodarz: że mam być niezdolny do skrzywdzenia kogokolwiek z jakiegokolwiek powodu.

„To ironia losu, wiesz, mówi bohater. Ze względu na sposób, w jaki wykorzystano Odpryski Świtu...”

– By zabić Boga. Tak, wiem. – Usiadł wygodniej, z namysłem, i wpatrzył się we wściekle spojrzenie Elegii. – Ona ma coś podobnego, tak się domyślam. Zgorzel duszy. Ogień Popielnego Króla wypalił jej wspomnienia i osobowość, ale to nie powód, by stała się tak gwałtowna, tak rozwścieczona. Nie mam pojęcia, jak on kontroluje istoty takie jak ona. To musi mieć coś wspólnego z jakimś rodzajem Związku lub... no cóż, tkanką bliznowatą.

„Na duszy. Która sprawia, że ona robi się gwałtowna, a ty wręcz przeciwnie”.

– Zasadniczo tak.

„Ale kiedy wypełniałeś swoje przysięgi, twoja naturalna potrzeba, by postępować zgodnie z nimi, przebijała się przez tkankę bliznowatą”.

– Owszem, przez jakiś czas. Ale teraz mam wrażenie, że blizna robi się coraz gorsza, Pom. Muszę zrobić coś, żeby powstrzymać ten rozrost albo, jeszcze lepiej, cofnąć go. Na tyle, bym mógł walczyć, ale nie aż tak bardzo, bym nie mógł Przeskoczyć z tej planety.

Idealnie byłoby, gdyby w końcu udało mu się pozbyć go w całości, przeciąć uporczywy Związek z Odpryskiem Świtu. Dopóki zachowywał ten Związek, był połączony z osobą, do której teraz należał Odprysk Świtu. A jak długo mógł zlokalizować jedną z najpotężniejszych broni w całym cosmere, był poszukiwany.

To był zbyt wielki problem, by rozwiązać go teraz. Na razie wystarczy mu dowolna terapia, która złagodzi objawy. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł się bronić następnym razem, kiedy jakiś Zwęglony spróbuje go zabić.

Znów wyjął opróżnione słoneczne serce i obrócił je w palcach.

– Ci ludzie mogą przekazywać sobie nawzajem Napełnienie poprzez dotyk. A ich bardzo Napełnione dusze stają się tymi źródłami energii, jeśli wystarczająco długo padają na nie promienie słońca. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć sposób, by ściągnąć odrobinę mojej duszy do tego opróżnionego słonecznego serca, a wraz z nią część tkanki bliznowatej. Nadażasz?

„W pewnym stopniu. To będzie jak przebicie czyraka”.

– Tak, ale mniej obrzydliwe.

„Wszystko w śmiertelnikach jest obrzydliwe. Ale spuszczenie twojej duszy... czy to nie będzie, no wiesz, bolało?”

– Nie, jeśli to będzie bardzo niewielki fragment. Poza tym ona odróżnie, podobnie jak blizna. Ludzkie dusze są wytrzymałe, Pom. Regenerują się, tak samo jak nasze ciała.

W przypadku istot takich jak Pomocnik wyglądało to inaczej. Jego esencja została wypalona w tragedii, pozostawiając jedynie tę ostatnią, ograniczoną resztkę.

„Czyli... zamierzasz wykorzystać ten kamień, żeby spróbować spuścić chorobę duszy, która sprawia, że Elegia zachowuje się z taką wściekłością. Jeśli to się uda, wypróbujesz to na sobie z nadzieją, że w ten sposób uleczysz własną chorobę duszy. To tak w skrócie?”

– W rzeczy samej.

„Rebeke pewnie by się nie spodobało, że w taki sposób eksperymentujesz na jej siostrze”.

– Pewnie nie.

„Może dlatego ukrywa się za twoimi drzwiami, co? I podsłuchuje?”

Zawahał się.

– Naprawdę?

„Ach! Nie zauważyłeś? To znaczy ktoś tam wydaje ciche odgłosy. Przyznam, że jedynie się domyślam, że to ona. Choć jestem potężny, na liście zdolności nie mam jasnowidzenia. Ale wydaje się prawdopodobne, że to ona, bo ta osoba przyciska się do drzwi... jakby próbowała coś usłyszeć”.

Tak, Pomocnik pewnie miał rację.

„Naprawdę myślałem, że zauważyłeś, mówi wyniośle rycerz, inaczej bym coś powiedział”.

– Nie kłam. – Uśmiechnął się. – Lubisz się popisywać.

„Uwielbiam się popisywać, wykrzykuje rycerz. To takie przyjemne uczucie. Dlaczego dla ludzi to tabu?”

– Dla ludzi wszystkie przyjemne rzeczy to tabu.

Nomad wciąż bawił się opróżnionym słonecznym sercem. Jeśli miał rację, to wszyscy na tym świecie mieli ten sam dziwny Związek ze sobą nawzajem, co pozwalało im przenosić części siebie. A to opróżnione źródło energii kiedyś zawierało wydestylowaną wersję czyjejś duszy, więc też powinno zadziałać, prawda?

Kiedy spróbował dotknąć Elegii przedmiotem, nic się nie wydarzyło. Nawet kiedy zacisnął zęby, wyciągnął rękę i dotknął nim jej żaru. Zaczęła krzyczeć, a Nomad usłyszał łoskot za drzwiami, kiedy Rebeke się poruszyła.

Cofnął się i zrobił notatkę w książce. Tak naprawdę nie spodziewał się, że to będzie takie proste.

Napełnienie reagowało na ludzkie myśli. Formalnie nie było energią ani materią – ale mogło stać się jednym lub drugim. Napełnienie, energia i materia były jednością, zgodnie z Drugim Prawem Khriss. Nie dało się go stworzyć ani zniszczyć, mogło jedynie zmieniać stany.

Jednakże Napełnienie reagowało inaczej od energii i materii. Można mu było wydawać Rozkazy. A dokładniej, stan umysłu, który osiągało się poprzez wypowiadanie tych Rozkazów, pozwalał narzucić mu swoją wolę. To było częścią wspólną różnych odmian i wariacji na temat mocy w całym cosmere. Rozkazy, przysięgi, inkantacje... dowolny sposób, by skupić wolę, Intencję, i przekazać je Napełnieniu.

Podobnie jak Rozkaz, który wypróbował wcześniej z Kontemplacją, pochodzący z planety Nalthis i sprawiający, że Napełnienie przepływało między ciałami.

Tego dnia wypróbował niemal wszystkie, które znał, w różnych stylach, gdy przyciskał słoneczne serce do odsłoniętego ramienia Elegii i rozkazywał mu, by wyssało jej ciepło. Nic się nie stało, a każda porażka była frustrująca, bo sugerowała, że tak naprawdę nie wiedział, co robi.

Opadł na krzesło i postukał głową w oparciu. Wewnątrz Elegii z pewnością była zamknięta moc, czyniąca ją silniejszą, szybszą, bardziej wytrzymałą. Jak do niej dotrzeć? Po chwili namysłu uznał, że pewnie nie zna właściwych Rozkazów. Istniały sposoby wykorzystujące tony i wibracje, które być może zadziałałyby, ale nie miał sprzętu – a wiedział, że na tej planecie przynajmniej ciepło przechodziło naturalnie między ludźmi. To było jego najsensowniejszą wskazówką w kwestii przekazywania Napełnienia.

Jeśli ta teoria w ogóle miała sens – czego nie mógł być pewien – sukces wymagał wykorzystania miejscowych sposobów, w jakie tutejsi mieszkańcy przywoływali swoją moc. Potrzebował więc czegoś znajomego dla tych ludzi, ich sposobu porządkowania myśli i woli. Ale jaka była ta miejscowa odmiana? Nie myśli, ale...

W chwili gdy przyszło mu to na myśl, uznał, że to oczywiste.

– Rebeke! – krzyknął w ich języku. – Przyjdiesz tu na chwilę? Muszę cię o coś spytać.

Odgłosy za drzwiami ucichły. Po chwili zawstydzona Rebeke otworzyła drzwi i weszła do środka.

„Udawaj, mówi rycerz, że mam teraz bardzo zadowoloną z siebie minę”.

Rebeke spojrzała na siostrę i wydawało się, że poczuła ulgę, kiedy zobaczyła, że nic jej się nie stało. Następnie odwróciła się do Nomada i wyraźnie czekała na zruganie, czego jednak nie zrobił. Gdyby znajdował się w jej sytuacji, też by pewnie podsłuchiwał.

Nomad wskazał Elegię.

– Nie wspominałaś przypadkiem, że wasi rodacy mają jakiś rodzaj rytualnej modlitwy, którą odmawiają, zanim podzieli się ciepłem z inną osobą albo, co ważniejsze, zanim go zaczerpną?

– Jest... kilka. Dlaczego pytasz?

– Powiedz mi, w jakich sytuacjach.

– Cóż, jest taka wypowiedana przez męża i żonę przed... chwilami intymności.

„Niech mnie. Rytualne modlitwy przed seksem. To brzmi... ciekawie?”.

– Coś jeszcze?

– Modlitwa przed pierwszym dotknięciem ukochanej osoby. Modlitwa dziękczynna, zanim zaproponujesz ciepło komuś, kto cię ochronił albo ci pomógł. Modlitwa w obecności kogoś umierającego, by zabrać jego ciepło, zanim całkiem zniknie...

Wyprostował się na krześle.

– Robimy to jedynie, jeśli ktoś z całą pewnością umiera! – wykrzyknęła. – I tylko dla kogoś, kto rozpaczliwie potrzebuje ciepła, by pomóc mu w walce z chorobą lub słabością!

„To urocze, mówi rycerz. Ona myśli, że przejmujesz się ich normami społecznymi. Jakie to rozczulające”.

– Powiedz mi ją.

– Yyy... Błogosławiony Adonalsium, przyjmij tę duszę i wynagródź ją za ciepło, które oddała. Odważny na progu śmierci, oddaj mi swoje umierające ciepło, bym mógł pobłogosławić tych,

którzy wciąż żyją.

Doskonale. Wymuszone usunięcie Napełnienia, zrytualizowane, z oficjalnym Rozkazem. Wziął słoneczne serce ze stołu i przycisnął je do ramienia Elegii, co wywołało kolejne warknięcie. Powtórzył słowa dokładnie tak, jak wypowiedziała je Rebeke.

Nic się nie stało.

– Próbujesz przenieść jej ciepło do słonecznego serca? – spytała Rebeke. – To nie zadziała tak, jak myślisz. Próbowaliśmy. I choć możemy przechować trochę ciepła w wyczerpanym słonecznym sercu, mocy jest za mało, by napędzać statek.

„Potwierdzenie, myśli na głos rycerz, że ich dusze nie są dość potężne, by samodzielnie tworzyć słoneczne serca. To nie tylko zagęszczona dusza – bombardowanie promieniami słońca jest niezbędne, by ją turbodoładować, tworząc źródło energii”.

– Jak to robicie? – spytał ją Nomad. – Przekazujecie ciepło do słonecznego serca?

– Nie jestem pewna. Rzadko się to wykorzystuje.

Pomyślał przez chwilę i znów spróbował, zmieniając słowa.

– Odważny na progu śmierci, oddaj temu słonecznemu sercu swoje ciepło, by mogło pobłogosławić tych, którzy wciąż żyją...

Nie. Znów nic się nie stało.

– Dlaczego próbujesz to zrobić? – spytała Rebeke. – Nie rozumiem. Nie ma sensu przynosić ciepła do słonecznego serca. Ono nie żyje, więc nie może docenić daru.

– Na skalę cosmere byłabyś zaskoczona, jak szerokie są definicje słów „żywy” i „martwy”. Tak czy inaczej, muszę wiedzieć, jak przenieść odrobinę duszy kogoś do słonecznego serca.

– Dlaczego? Co próbujesz osiągnąć?

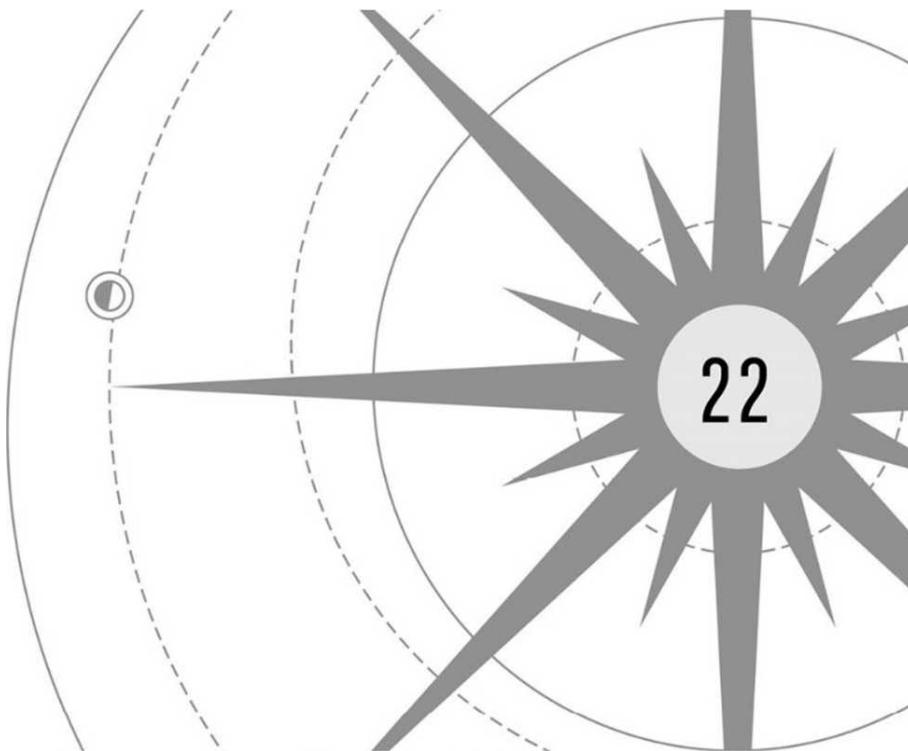
– Badam naturę waszych źródeł energii. – Niestety zabrnął w ślepy zaułek. A byli kilka godzin bliżej do śmierci na zboczach zbliżającej się góry. Podniósł notatniki z diagramami ze stołu. – Muszę wybudować prototyp mojego silnika. Szybko. Powiedziałaś mi, że twoi rodacy mogą wytwarzać części.

– Nie możemy wytworzyć ich dla ciebie. Ale nasi przodkowie mogą.

Zawahał się.

– Czyli... chwileczkę. Już tego nie potraficie?

– Nie, nigdy nie potrafiliśmy. Ale nasi przodkowie tak. – Popatrzyła na niego. – Chyba pora przedstawić cię duchom.



Trzymali je na największym statku Promienia, cylindrycznej jednostce, która służyła jako jego centrum. Nomad dowiedział się, że Promień nie zawsze składał się w ten sam sposób – statki łączyły się ze sobą w sposób organiczny. Metalowe płyty umieszczane nad otworami sprawiały, że sprawiał wrażenie bardziej spójnego, niż był w rzeczywistości.

Przestrzegano jednak pewnych ogólnych zasad. Większe statki w środku. Mniejsze i szybsze na zewnątrz. I ta konstrukcja w samym centrum. Uznał ją za dużą salę spotkań, ale kiedy weszli do środka, uświadomił sobie, że to coś zupełnie innego – przestrzeń dla zmarłych.

Układem przypominała akwarium. Większość pomieszczenia zajmował ogromny szklany walec, wysoki na dwadzieścia stóp i dwa razy szerszy, a wokół pozostał jedynie wąski krąg umożliwiający obserwację. Centralną kolumnę wypełniał dym. Kłębiąca się biała mgła, jak...

Sączące się dusze, pomyślał i podszedł do szkła, trzymając ręce w kieszeniach długiego płaszcza z brązowej skóry. Towarzyszyli mu Rebeke i Zapał – który uzyskał pozwolenie od Większego Dobra, by wprowadzić go na tę poświęconą ziemię. Na stojaku na jednej ze ścian, naprzeciwko dużego akwarium, leżały wyczerpane słoneczne serca.

– Próbowaliście kiedyś wystawić je z powrotem na działanie słońca? – spytał, spoglądając na dziesiątki pozbawionych życia słonecznych serc.

– Oczywiście, że tak – odparła Rebeke. – Nie ładują się ponownie. W większości przypadków nawet nie możemy ich znów odnaleźć, ale te nieliczne, które odzyskaliśmy, były równie matowe jak wtedy, kiedy je zostawiliśmy.

Potępienie. Ale to miało sens. Oczywiście, że spróbowali – najpewniej była to jedna z pierwszych rzeczy, które wypróbowali. Spojrzał znów na akwarium – nazywali tę przestrzeń Relikwiarzem. Uznał tę nazwę za dziwnie niestosowną. To nie były relikwie. Określenia tego zwykle używano w odniesieniu do ciał lub części ciał świętych osób, których dusze odeszły. To w założeniu było coś odwrotnego.

Z początku ich nie dostrzegł. Widział jedynie kłębiącą się mgłę. Była jasna i olśniewająca, ale gęsta. Jeśli wewnątrz tej komory istnieli zmarli, nie mógł....

Z mgły powstała postać, która przycisnęła się do szkła, jej oczy świeciły czerwonym blaskiem, a dłonie – powstałe z dymu – uderzyły w barierę. Miała wychudzoną twarz z opadającą szczęką i zapadniętymi policzkami.

Nomad wbrew sobie odskoczył. Choć się tego spodziewał, widok cienia wzbudził w nim niepokój. Kiedy przebywał na Trenie, te istoty były niewiarygodnie niebezpieczne. Społeczeństwo dostosowało się do ich istnienia i żyło zgodnie ze ścisłymi zasadami, by nie wzbudzać ich złości. Kiedy oczy robiły się czerwone, te istoty były śmiertelnie niebezpieczne i chciały zabijać. Jednak tutaj mieszkańcy Promienia trzymali je jak... Zwierzątka domowe?

– Uciekliśmy przed Złem – wyszeptał duch. Jego głos brzmiał jak szelest papieru. Inny pojawił się nad jego ramieniem, jedynie niejasny zarys osoby o czerwonych oczach. – Później uciekliśmy z Trenu. Jesteśmy waszym Chórem. Pamiętamy. Przybyliśmy tutaj, do krainy pierścieni zmierzchu, by uczynić ją naszym światem. Nie zapominajcie. Adonalsium w końcu się o nas upomni. Żyćcie. I pamiętajcie.

„Cóż, mówi rycerz, przynajmniej wiemy, jak przez pokolenia zachowali swoją wiedzę w pierwotnym kształcie”.

– Na waszym ojczystym świecie te istoty zabijają ludzi – zauważył Nomad.

– Zabiłyby nas, gdybyśmy weszli do Relikwiarza – powiedział Zapał.

– Czy są samoświadome? – spytał Nomad.

– Żywią niepokój w tej kwestii. Czasami odpowiadają na nasze pytania. Przy innych okazjach nie udzielają odpowiedzi, jedynie recytują.

– Ale zwykle mówią tylko o przeszłości – powiedziała Rebeke. Podeszła do niego i wpatrywała się uważnie przez szkło. – O legendach, historii. Właściwie nic o sobie. Każdy członek mógłby zostać zastąpiony przez innego. Nie wiemy, czy pamiętają swoje życie jako jednostek. Są jak... żyjące podręczniki historii.

– Dla bardzo szerokiej definicji słowa „żyjący” – dodał Zapał.

Nomad pokiwał z namysłem głową.

– To o wiele więcej, niżbym się po nich spodziewał po tym, jak poznałem cienie Trenu.

– Byliśmy pierwszymi, którzy umarli na Kantyku – szepnął do niego cień. – Pierwszymi, którzy żyli na tej ziemi i wymyślili, jak latać... w oparciu o statki, które nas tu zabrały. Ale później umarliśmy i powstaliśmy jako cienie. Pamiętając.

– Cienie nie pamiętają – odezwał się inny. – Nie jesteśmy cieniami. Jesteśmy Chórem ludzi.

– Ale pozostali muszą zostać oddani słońcu – Kolejny przycisnął się do szkła. – To ziemia słońca.

– Jeśli tego nie zrobicie, cienie opanują ten świat – powiedział pierwszy. – Taka mała planeta. Wezmą wszystko. Rozszarpia was i zniszczą.

– Jak my byśmy to zrobili gdybyśmy mogli – dodał inny. – Posmakować ciało żyjących. Wypić ich ciepło.

– Takie słodkie – stwierdził inny.

– Takie słodkie – zgodził się pierwszy.

– Oni... robią też to – dodał Zapał. – Opowiadają o zabijaniu nas. To dość niepokojące.

„Do jakże pobudzających miejsc mnie zabierasz, Nomadzie”.

– Tam! – Rebeke pokazała palcem. – Tam, to on.

– Nie wiesz tego, Rebeke – powiedział łagodnie Zapał.

– O co chodzi? – Nomad zauważył, że stała blisko szkła i wpatrywała się we mgłę. – On? – Po chwili się zorientował. – Twój brat?

– Widziałam wśród nich jego twarz.

– Myślmy, że być może ludzie, którzy umierają i nie zostają oddani słońcu, są przyciągani przez Chór. Mówią, że ci, którzy umierają i nie zmieniają się w słoneczne serca, stają się cieniami, ale my nie doświadczamy tego często. Miast tego czasami po śmierci widzimy gromadzącą się mgłę, która przenosi się do Relikwiarza.

– To był on. – Rebeke wyraźnie próbowała przekonać samą siebie. – Choć mówił jak inni, jakby tam był od początku...

Nomad nie miał powodu, by się tym przejmować.

– Co to ma wspólnego z projektami silnika?

– Pokaż im diagramy – polecił Zapał.

– Duchy są inżynierami – rzekł Nomad beznamiętnym tonem.

– Nie. One są... Cóż, zobaczysz.

Nomad westchnął i przycisnął swoje projekty do szkła. Wokół zgromadziły się czerwone oczy, twarze się tłoczyły, usta poruszały, kiedy szeptały – ale nie powiedziały nic zrozumiałego. Przyjrzały się wszystkim siedmiu kartkom, jedna po drugiej, kiedy je uniósł. Później znów rozplynęły się we mgłę.

Zapał machnął w bok, do pełniącego straż mężczyzny. Robotnik? Strażnik? Kapłan? Połączenie wszystkich trzech? Uruchomił jakieś urządzenie i wyciągnął z magazynu kawał nieobrobionego metalu. Bryła była szeroka i płaska, z przylepioną od spodu ziemią. Wyglądała, jakby zebrała się na powierzchni gruntu, kiedy była płynna, i tam stwardniała.

Za nią podążyły kolejne. Trochę miedzi, tak sądził, i różne inne metale – podczas gdy ten pierwszy, największy fragment składał się głównie z żelaza. Wszystko to trafiło we mgłę od góry i Nomad uświadomił sobie, że ta przestrzeń nie miała pokrywy. Wewnątrz mgła kłębiła się i stała się jaśniejsza.

– Co oni robią? – spytał cicho Rebeke.

– Budują twoją maszynę.

– Ale jak?

– Nie wiemy. Dostarczamy zasobów. Pokazujemy dokładne instrukcje i dostajemy to, co chcemy.

– Kiedy tworzymy nową osadę, zawsze bierzemy trochę dymu. Nie jesteśmy pewni, jak bardzo możemy go podzielić, ale aż do tej pory działało. Można go przenosić w specjalnych urzą-

dzeniach. Zabraliśmy trochę z Jedności, jak również stary pojemnik, który został po wchłonięciu mniejszej społeczności.

- Ile zajmie wytworzenie? - spytał Nomad. Jeśli coś budowali, dlaczego w środku panowała taka cisza?

- To zależy - odparł Nomad. - Coś takiego zajmie niecałą godzinę. Ale jeśli to coś, co stworzyli już wcześniej, idzie im szybciej.

Niecała godzina, by wytworzyć skomplikowaną maszynę. Nie zamierzał narzekać - choć nawet jeśli to prawda, terminy będą bardzo napięte.

„Myślę, że oni budują to tak, jak ja buduję rzeczy z siebie”, powiedział Pomocnik. „Widziałeś to wcześniej. Używasz tego każdego dnia, Nomadzie”.

- Ty nie absorbujesz surowców i nie wypuwasz trwałych urządzeń.

„Tak, ale czy to nie jest tak naprawdę bardziej rozsądne niż to, co my robimy?”.

Cóż... może i tak. Tak bardzo przyzwyczał się do Pomocnika, że czasem zapominał, jak niewyukty był spren, który wykorzystywał jedynie odrobinę Napełnienia Nomada, by się objawić. Z drugiej strony to wyjaśniało, dlaczego tak niewielu na tej planecie robiło wrażenie zaskoczonych zdolnościami Pomocnika. Przypuszczał, że jeśli całe społeczeństwo opierało się na magicznych mgłach objawiających przedmioty na życzenie, Pom doskonale pasował.

- Chciałbyś coś zjeść, kiedy czekamy, Słoneczny? - spytał Zapał.

- Pewnie. Im bardziej pikantne tym lepiej.

- Pikantne? - spytał Zapał, jakby nie znał tego słowa.

Nomad westchnął.

- Przynies mi cokolwiek.

Zapał skinął głową i zostawił Nomada i Rebeke, którzy stali przed szkłem i patrzyli na kłębiące się w środku mgły. Ktoś gdzieś w cosmere byłby tym pewnie zafascynowany. Cienie z Trenu, które miały pewną samoświadomość? I które mogły zmieniać strukturę metalu, jakby był Napełnieniem do ukształtowania? Może to dlatego Scadrianie tu byli, w swojej tajnej stacji badawczej pod ziemią.

Myślenie o tym, rzecz jasna, przypomniało mu, jak wiele miał jeszcze do zrobienia. Nawet gdyby zmodyfikowany silnik zadziałał - co było niemożliwe, nie przy pierwszej próbie - musiał wymyślić sposób, by zapewnić tym ludziom dość energii do przetrwania obrotu. A nawet gdyby to im się udało, musieli wymyślić, jak znaleźć drogę do scadriańskiej bazy. Jak to zrobić? Najpewniej jedynymi, którzy naprawdę znali jej lokalizację, byli jej mieszkańcy.

Nie. Popielny Król wie... pomyślał. To jak wydestaniemy z niego informacje...

- Nie lubisz tego, prawda? - spytała Rebeke.

Zmarszczył czoło, bo nie nadążał za nią.

- Tego, że nazywają cię Słonecznym. Skrzywiłeś się, kiedy Zapał wypowiedział to imię. A wcześniej prosiłeś, żebyśmy nazywali cię Nomadem.

- Nie, nie podoba mi się Słoneczny. Masz rację.

- Dlaczego? To tytuł honorowy, oznaka wielkiego szacunku.

- Każdy Napełniony do takiego stopnia jak ja mógłby przeżyć kilka sekund w słońcu. Nawet jeśli to tytuł honorowy, co rozumiem, wątpię, by cokolwiek znaczył. Lubię zasługiwać na swoje tytuły, a wydaje mi się, że w tym przypadku nie zrobiłem niczego szczególnie interesującego.

Powoli pokiwała głową.

- Ale wcześniej powiedziałaś Kontemplacji, że nie masz nic przeciwko, by tak się do ciebie zwracała. Dlaczego tak powiedziałaś, jeśli to ci przeszkadza?

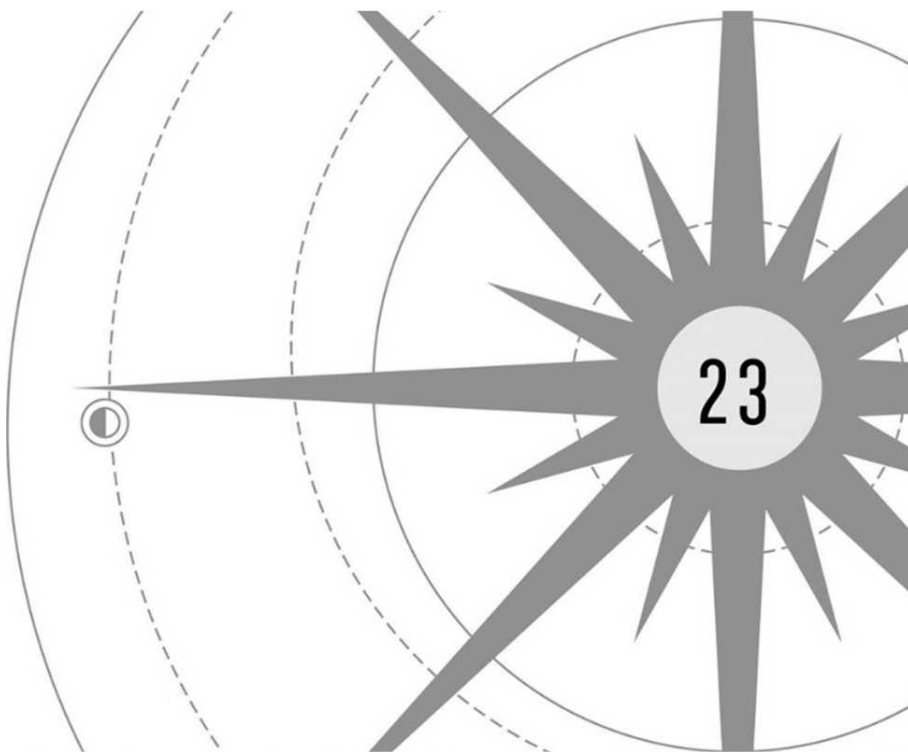
- Bo czasami nie chodzi o ciebie osobiście. Czasami chodzi o bycie symbolem. Czasami przyjmuje się imię, które się dostało, bo to inspiruje ludzi. Widziałem, jak to się dzieje. Nie sądziłem, że przytrafi się mnie.

Zapał wrócił z przekąskami i czekali dalej. W końcu, po jakichś czterdziestu pięciu minutach blask za szkłem przygasł. Robotnik wykorzystał prosty żuraw, by wydobyć z mgły zrealizowany projekt Nomada - części do zmodyfikowania ich silników.

- Co teraz? - spytała Rebeke z wyraźną ekscytacją.

- Teraz zainstalujemy to na silniku i będziemy patrzeć, jak wybucha.





To był piękny wybuch. Rozświetlił ciemność pomarańczowo-żółtym blaskiem, gdy obudowa silnika nie wytrzymała. Najpewniej nie dopilnował, by była dość gruba – to go wcześniej niepokoiło.

Stali na krawędzi lecącego Promienia i wpatrywali się w ciemność. Z pewną pomocą zamontował części na niedużym silniku latającego motocykla, a później wykorzystał inny motocykl, by wyprowadzić go na zewnątrz i przetestować. U uruchomili prototypowy silnik na odległość za pomocą pilota. Poszybował w górę, a później...

Blask jego niepowodzenia zalał grupę i sprawił, że kilka osób podskoczyło, choć Nomad ostrzegął, że powinni się tego spodziewać.

– Stało się – powiedziała Współczucie. Krucha kobieta dostała krzesło, z którego oglądała eksperyment. – Nasza śmierć została przypieczętowana.

– Bynajmniej – sprzeciwił się Nomad. – Powiedziałem wam, że wybuchnie.

– Jeśli przymocujemy je do naszych statków, przymocujemy się do bomb!

– Nie będziemy wykorzystywać tych silników. Po pierwszym zawsze należy się spodziewać niepowodzenia. Teraz powtarzamy. Budujemy kolejny prototyp, ulepszony, i patrzmy, co się z nim dzieje. I tak dalej.

– I tak dalej? – Kontemplacja założyła ręce na piersi. Jej blada skóra, oświetlona jedynie blaskiem silników lecących statków, wydawała się wręcz widmowa. – Jak długo twoim zdaniem zajmie „i tak dalej”?

Musiał przyznać, że to było słuszne pytanie. Już poświęcił ponad trzy z ich godzin na tę pracę, przez co zostało im niecałe siedem, zanim dotrą do wyżyn. Jak szybko mógł przejrzeć i poprawić ten projekt? Jak szybko mógł przeprowadzić dość eksperymentów, by znaleźć silnik, który działał? Mistrzowi inżynierowi z pewnością by się to udało.

W tej kwestii jednak miał braki. Nie była to fałszywa skromność – zawsze interesowały go tego rodzaju rzeczy, ale wybrał ścieżkę żołnierza. Cóż, został na nią popchnięty, a później postanowił ruszyć nią dalej.

Większość tego, co wiedział o inżynierii, pochodziło z pierwszych kilku lat wygnania, kiedy trafił do grupy uczonych i naprawę miał szansę czegoś się nauczyć. Na szczęście mógł liczyć na pomoc. W pobliżu szczypta kobieta, która kierowała w Promieniu naprawami i inżynierią, zebrała swój zespół i wszyscy przeglądali diagramy. Podszedł do nich. Stali na samym skraju Promienia, za nimi rozciągała się ciemność. Przykucnął, a główna inżynierka spojrzała na niego. Ze względu na śniadą cerę i długie czarne włosy mogłaby prawie uchodzić za Alethyjkę – gdyby nie jej uderzająco charakterystyczne imię z Trenu, które poznał w czasie wytwarzania części: Powaga Boska.

– To jest genialne – szepnęła, trzymając dłoń na diagramach.

– Dzięki – odparł. – Ale wydaje mi się, że obudowa kotła była za cienka.

Powaga Boska pokiwała głową.

– Lament też tak sądzi, ale ja myślę, że to kwestia uszczeltek tutaj i tutaj. Jeśli wprowadzimy niewielkie usprawnienia, wydaje mi się, że to zadziała.

– Czynniki robocze szybko się wyczerpie – ostrzegł inny z inżynierów. – Mamy trzy duże zbiorniki wody do podlewania upraw, ale to nie wystarczy, by unieść całe miasto.

– A jeśli zredukujemy liczbę statków? – spytał Nomad. – Skurczymy Promień do kluczowych jednostek?

Inżynierowie popatrzyli po sobie.

– Może się uda – powiedziała Powaga Boska. – Ale nawet jeśli to zrobimy, wątpię, byśmy mogli długo lecieć. Może... dwie godziny? Zależnie od tego, jak bardzo uda się nam ograniczyć ciężar miasta?

– Czy to wystarczy? – spytał Nomad. – Musimy tylko przelecieć nad szczytami i zacząć opadać po drugiej stronie.

– Powinno. Powinno. I tak będziemy na granicy...

– Myślisz, że możecie to usprawnić? – Wskazał papiery. – Poprawić? Nie mamy dużo czasu.

– Możemy spróbować. – Brzmiała niepewnie, ale już robiła notatki na diagramach.

„To dogodne, zauważyła rycerz, patrząc, jak naprawiają koszmarną pierwszą próbę Nomada”.

– Nie dogodne. Spodziewane. Utrzymanie takiego miasta w powietrzu wymaga dużo wiedzy i umiejętności. Ta banda jest o wiele bardziej kompetentna, niż sądzą. Po prostu trzeba ich było popchnąć. Mój projekt to dziewięćdziesiąt procent tego, czego potrzebują. Ja miałem natchnienie, teraz ich doświadczenie może wypełnić luki w mojej wiedzy praktycznej.

W przeciwieństwie do większości pozostałych, inżynierowie wydawali się bardzo zainteresowani tym, że od czasu do czasu odzywał się w obcym języku. Aby odwrócić ich uwagę, pochylił się bliżej.

– Zakładam, że macie brygady robotników? Ludzi, którzy dbają o utrzymanie miasta?

- Mam piętnastu porządných ludzi, którzy się tym zajmują - odparła Powaga Boska. - Dlaczego pytasz?

- Bo kiedy twoi najlepsi inżynierowie będą pracować nad silnikami, pozostali muszą zrobić coś innego: uszczelnić kilka z największych przestrzeni mieszkalnych.

Piątka inżynierów zmarszczyła czoła, a on sobie uświadomił, że mimo całego doświadczenia w lataniu niezbyt dobrze rozumieli, co wydarzy się na szczycie tych gór.

- Udajemy się do miejsca, gdzie powietrze jest bardzo rzadkie - wyjaśnił. - Właściwie go tam nie ma. Nie ma powietrza. Nie ma oddychania. Całe szczęście nie spędzimy tam dużo czasu. Wasze statki mają grube metalowe kadłuby i jeśli je uszczelnimy, najpewniej utrzymają ciśnienie.

- Możemy to zrobić - odparła. - Ale nie udusimy się?

- To tylko kilka godzin. I musimy zaspokoić potrzeby zaledwie stu trzydziestu pięciu osób. Wybierzemy dziesięć największych statków pod względem objętości, podzielimy ludzi i umieścimy ich w środku. Złączymy te statki, a ja nimi pokieruję. Ja nie muszę oddychać.

Powaga Boska zamruwała.

- Ty... co?

- Nie muszę oddychać. Taka specyficzna cecha mojego pochodzenia. To znaczy lubię oddychać. To jest normalne, pozwala mi rozmawiać. W miarę możliwości lepiej wykorzystywać naturalne procesy do natleniania krwi. Ale zasadniczo tego nie potrzebuję. I bez większych problemów znoszę próżnię. Robię to od dziesięcioleci.

Oczywiście kilkoro z nich zaczęło mamrotać na temat mocy Słonecznego Męża. Wątpił, by ich tradycje rzeczywiście przypisywały takie szczególne moce bohaterowi - tego rodzaju legendy zwykle bywały niejasne. Za dużo miejsc je miało. A zbyt wiele z nich, ku jego konsternacji, zostało stworzonych - celowo lub przypadkiem - przez jego mistrza. Trefniś zwykle sprawiał... że ludzie gadali.

Tak czy inaczej, Nomad pozwolił inżynierom czynić założenia. Wyjaśnienie natury wysoko Napełnionego ciała i sposobów, w jakie Duchowy wzorzec i Kognitywna percepcja mogły utrzymać stan ciała w obliczu skrajnych warunków, wydawało się teraz marnowaniem czasu.

- Wyślę ludzi, żeby się tym zajęli - powiedziała Powaga Boska. - Jak mówiłam, nie sądzę, że to będzie problem. Przygotujemy te nowe silniki, jak również dziesięć statków z hermetycznymi pomieszczeniami, a później umocujemy zmodyfikowane statki wokół centrum z Chórem, a ty pokierujesz nimi z głównego pokładu. Zrobimy to wszystko, ale... z całym szacunkiem pozwalam sobie poprosić, byś ty powiedział Większemu Dobru o konieczności porzucenia większości naszych statków.

W odpowiedzi skinął ponuro głową, zaciskając usta. Musieli zostawić większość Promienia. Dopilnuje, by przywódczyni miasta zrozumiała.

- Koszmarna wymiana - mruknął.

Zostawił ich ze schematami i pobiegł do pozostałych. Większe Dobro rozmawiały z Zapalem i kilkorgiem asystentów. Rebeke kręciła się na obrzeżach, niepewna, czy jest mile widziana.

Wszyscy odwrócili się do Nomada, kiedy podszedł bliżej, i wyglądali, jakby zaciskali zęby. Oni też wiedzieli, prawda?

- Musimy porzucić większość Promienia. - Wyraźnie potrzebowali, by ktoś wypowiedział to na głos. - Inżynierowie wybiorą dziesięć waszych największych statków, pod względem przetrzeźnienia mieszkalnej, i je przygotują. Resztę zostawiamy.

- Aby zostały pochłonięte przez słońce. - Współczucie zwiesiła głowę. - Nasze wspaniałe miasto wolności, wizja Elegii...

- To będzie cud, jeśli uda nam się zapewnić bezpieczeństwo nawet tej części miasta. Dobrze o tym wiesz. A jeśli znajdziemy Schronienie, i tak porzucicie Promień.

- To nie znaczy, że nie będzie bolało - wtrąciła Pewność.

- Jak znajdziemy wejście do Schronienia? - spytała Kontemplacja. - Jeśli zabierzemy tylko największe statki, to porzucimy poszukiwacze, a to oznacza brak urządzeń detekcyjnych.

- W takim razie zabierzmy jednego poszukiwacza - zaproponował Nomad. - Na wszelki wypadek.

- Możemy porzucić sprzęt rolniczy - powiedziała Kontemplacja. - Zbieracze, które zbierają metal ze stopionych pól...

- Będziemy mieli sale spotkań - dodała Współczucie. - Jadalnie, ładownie i miejsca kultu. I tyle. Jeśli nie znajdziemy wejścia, będziemy skazani na zagładę.

- I tak byliśmy skazani na zagładę - zauważyła Pewność. - Wybraliśmy to, bo dawało nam niewielką szansę. - Wpatrzyła się w Nomada. - Znajdziesz te drzwi? Wymyśliłeś jak?

- Zrobię to - obiecał. - Musicie liczyć, że coś wymyślę.

- Bardzo na ciebie liczymy. - Pewność zaplotła ręce na piersi.

- Ja też wolałbym nie polegać aż tak bardzo na mnie - zgodził się. - Ale w tej chwili nie macie większego wyboru. I tak to jest. - Wzruszył ramionami.

„Podobno dobrze sobie radzisz w kontaktach z ludźmi? - pyta rycerz. Wydaje się, że dość często o tym zapominasz”.

Cóż, miał rację, więc o co chodzi? Poza tym instykt podpowiadał mu, że ci ludzie potrzebowali szczerości. Pomocnik być może tego nie dostrzegał, ale to właśnie oznaczało bycie „dobrym” w kontaktach z ludźmi. W tej sytuacji. To był trudny czas dla szorstkich ludzi żyjących na brutalnym świecie. Nie chcieli różowych okularów.

Pokiwali głowami i wysłali kogoś, by poinformował inżynierów, że zgodzili się na jego plan. Odwrócił się, ale wtedy Pewność zwróciła się w jego stronę.

- Słoneczny. Chcę, żebyś wiedział, że jesteś doceniany.

Zawahał się. Nie spodziewał się tego. Wysoka kobieta o surowych rysach najbardziej opierała się jego pomysłom.

- Wiemy... - powiedziała, a pozostałe dwie pokiwały głowami - ...że najpewniej dostałeś propozycję od Popielnego Króla. On tak postępuje. Lubi mieć władzę nad ludźmi i zrobi wszystko, co konieczne, by osiągnąć ten cel: nawet im zapłaci, choć tego nie znosi. Mogłeś związać swój los z nim. Nie zrobiłeś tego.

- Złamał przysięgę.

- Tak czy inaczej, jesteśmy ci wdzięczni. Nie uważaj mojego sceptycyzmu za wrogość. Doceniamy cię. A jeśli uda się nam przebyć te góry i odnaleźć Schronienie, jako pierwsza w podziękowaniu zaproponuję ci swoje ciepło.

Pokiwał głową i odrobina prawdziwej wdzięczności – szczerego, realnego uczucia – przebiła się przez okrywającą go patynę cynizmu i wyczerpania. Miło było być docenianym.

– Nie potrzebuję ciepła, które mi proponujesz. Ale może mogłabyś mi coś powiedzieć. Rebeke mówi, że jest sposób, by oddać ciepło do słonecznego serca, jakby to była osoba?

– Tak. Ale to bezużyteczne. Ledwie ładuje słoneczne serce... osoba mogłaby oddać mu całą swoją duszę, a statek unosiłby się w powietrzu przez bardzo krótki czas.

„Bo oni mają tylko jedno JEO Napęlnienia”, powiedział Pomocnik. „Tak, interesujące”.

– I tak muszę to wiedzieć. Do eksperymentów. Spróbowałem wcześniej ze słonecznym sercem i nic się nie wydarzyło.

– Czy było to opróżnione słoneczne serce? – zapytała Kontemplacja.

– No tak.

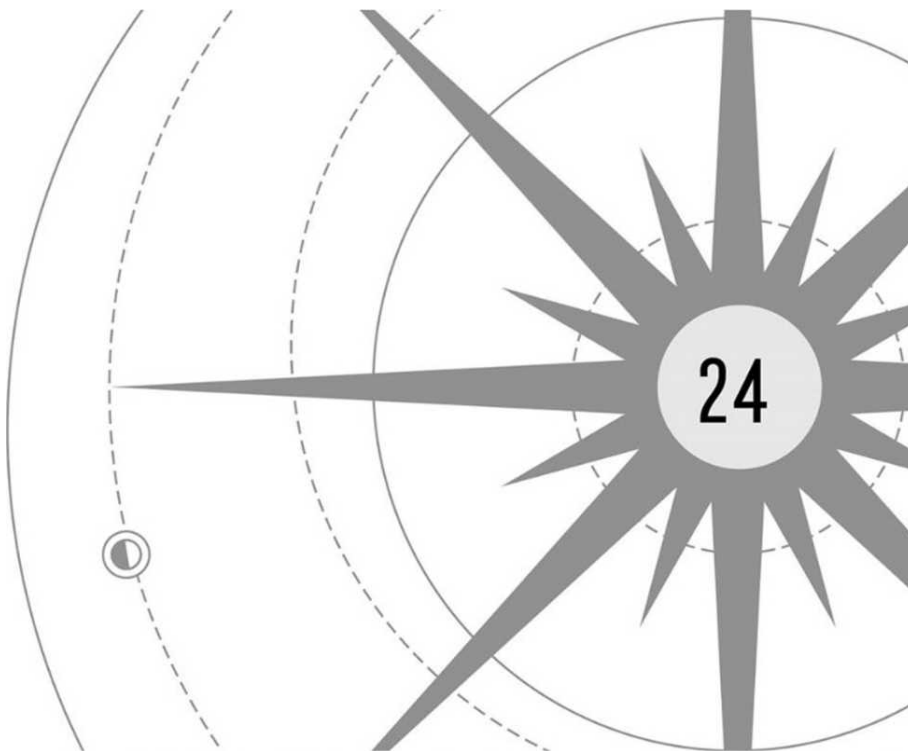
– To nie zadziała. Nie możesz oddać duszy trupowi. Potrzebujesz kogoś żyjącego. Albo...

– Naładowanego słonecznego serca. – Uderzył się dłonią w czoło. – Potępienie. To oczywiste.

Istniały sposoby przeniesienia Napęlnienia w przedmioty nieożywione, ale zwykle były znacznie trudniejsze. I o wiele bardziej niebezpieczne.

Napęlnienie uważało słoneczne serca za żywe. A w każdym razie te naładowane. Na burze. Był idiotą.

Musiał znów spróbować z Elegią.



Zostawił ich, by rozdzielili ludzi do wybranych budynków, a sam poszedł sprawdzić swoją nową wiedzę. Zamierzali zebrać słoneczne serca z innych statków i porzucić ich kadłuby. Zgodnie z jego propozycją zachowali jeden statek zwiadu z urządzeniem poszukiwawczym – wybrali ten, na którym mieszkał, a który wcześniej należał do Elegii – i latające motocykle.

Odbiegł, Rebeke deptała mu po piętach. Zanim udali się do jego kwatery, poprosił Rebeke o pozwolenie, a później zatrzymał się obok jej motocykla i wyciągnął słoneczne serce.

„Hm...”, powiedział Pom. „Szacuję, że jest w nim jakieś dwieście JEO. O wiele mniej niż w pełnym statku. Mimo to na wielu planetach byłoby to bogactwo Napełnienia. Dość, by osiągnąć Drugie Wywyższenie, a tu wykorzystują je do poruszania się”.

– Za wysoką cenę. – Nomad ruszył w stronę swojej kwatery, a Rebeke nadal szła za nim.

„Nawet na bardzo Napełnionych światach dusza osoby to nie więcej niż trzy JEO. Masz rację, że to Napełnienie skądś się bierze. Utrzymywanie tego miasta w locie, choć jest o wiele mniejsze od Jedności, musi wymagać słonecznych serc wartych dziesiątki tysięcy”.

Rozważył to. Rozważył to ponownie, po czym ruszył dalej zgodnie z pierwotnym planem. Elegia nadal była przykuta do ściany – i tak, to było dziwne i niezręczne. Niech Ojciec Burz ma nad nim litość, jeśli jego mistrz kiedykolwiek dowie się o tej sytuacji. Radość Trefnisia z powodu potencjalnych żartów – w większości związanych z metodami, jakimi Nomad utrzymywał kobiety u swojego boku – mogłaby zapewnić oświetlenie niedużemu miastu.

Nomad uniósł słoneczne serce, które emanowało głębokim czerwonym blaskiem. Rozkazy, z których korzystał, wymagały ludzi – albo rzeczy – które miały w sobie życie. Zasadniczo wcześniej próbował nauczyć martwego psa nowych sztuczek. Tym razem uniósł żyjące słoneczne serce do Elegii.

Świeciło blaskiem duszy, która je stworzyła. A kiedy wypowiedział słowa modlitwy, które nauczyła go Rebeke, dusza ich matki wiedziała, co robić. Zaczepnęła trochę życia z Elegii w postaci świetlistego dymu emanującego czerwonym blaskiem.

Doskonale. Coś osiągnęli. Uśmiechnął się, cofnął i wyjął kolejny notatnik.

– Nadal nie rozumiem, jaki to ma sens – powiedziała Rebeke, kiedy Elegia jak zwykle zaczęła warczeć.

– Wysłuchaj mnie. Powiedz mi jedno. W tych słonecznych sercach, które tworzą Zwęglonych, jest coś innego, prawda? Tymi tutaj posługujecie się bez problemów, ale jeśli dotkniecie jednego z tamtych, wypalają ciała i tworzą potwora. Dlaczego?

– My... nie wiemy – przyznała Rebeke. – Masz rację, że Popielny Król ma dostęp do dziwnych słonecznych serc ze straszliwymi mocami. Nazywamy je popielnymi sercami. Emanują ostrzejszym blaskiem i pochłaniają każdego, kto ich dotyka. Nie wiemy, skąd je wziął, ale to one dały mu władzę. Po pierwsze, to, które dało mu zdolność karmienia się tysiącami dusz. Po drugie, te, za pomocą których tworzy swoich Zwęglonych, by mu służyli.

„Chodzi tu o coś ze Związkiem, tak podejrzewam”, powiedział Pomocnik. „Jeśli spojrzeć na jego popielne serce i te Zwęglonych, jego świeci nawet jaśniej. I wydaje się, że oni reagują na jego mentalne rozkazy. Zauważyłeś?”

Nie, ale ufał Pomowi, który dostrzegał takie rzeczy.

– Nadal chcę wiedzieć, co robisz mojej siostrze. I dlaczego to robisz.

– Uczę się. – Nomad zrobił kilka notatek. – Nie zrobiłem jej nic szkodliwego, jedynie wyssałem odrobinę jej Napełnienia. Ale to nie wystarczy. Inaczej te bransolety by wystarczyły. Albo, na burze, wystarczyłoby, gdyby jedno z was jej dotknęło. Muszę dotrzeć do rdzenia duszy i usunąć osad, który otacza ją jak zgorzel...

– Po co? Ledwie rozumiem, co mówisz, ale nie pojmuję, jak to pomoże nam budować silniki.

Zignorował ją. Jeśli miał zrozumieć, jak wykorzystać ten proces, by usunąć Udrękę ze swojej duszy, potrzebował mocniejszego transferu. Może musiał przycisnąć słoneczne serce do jej skóry? Kiedy Popielny Król tworzył jednego ze swoich wojowników, głęboko wbijał popielne serce.

Uniósł słoneczne serce w pobliże popielnego serca w piersi Elegii i odkrył, że jej miało ciemniejszy odcień.

– Pomocniku... – Podszedł najbliżej, jak się odważył, by mu się przyjrzeć. – To nie jest anty-Napełnienie, prawda?

„Nie robi takiego wrażenia”, odparł Pomocnik. „Ale nie radzę sobie najlepiej z dostrzeganiem go”.

– Wydaje się zepsute... jakby nałożono na nie jakąś... membranę albo werniks. Jak skórka owocu. – Po chwili zastanowienia powiedział do Rebeke: – To bardzo ważne, byśmy oboje zrozumieli, że moje następne działanie nie ma na celu zrobienia jej krzywdy w żaden sposób.

- To zabrzmiało złowroźnie. - Rebeke zrobiła krok w jego stronę. - Dlaczego powiedziałaś to w taki sposób?

- Bo muszę w to uwierzyć. - Uniósł świecące słoneczne serce... a później dotknął nim popielnego serca Elegii i wypowiedział stosowną modlitwę. - Odważna na progu śmierci, oddaj temu słonecznemu sercu swoje umierające ciepło, by mogło pobłogosławić tych, którzy wciąż żyją.

Elegia zaczęła krzyczeć. Rebeke złapała go za ramię, próbując odciągnąć. Naparła nań całym ciężarem, który nie był zbyt wielki, ze względu na jej drobną sylwetkę. Nomad pozostał nieruchomy i patrzył, jak ciemność na popielnym sercu Elegii odpływa.

Podobnie - jak miał nadzieję - zrobi to zgorzel na jego własnej duszy. Udało się. W końcu Rebeke złapała go za rękę i zawisła, cała jej wysoka na pięć stóp sylwetka szarpała jego mięśnie. To wystarczyło, żeby się ugiął i został zmuszony, by cofnąć się i odepchnąć Rebeke.

- Mówiłem ci, że nie zamierzam zrobić jej krzywdy! - warknął.

- Zamierzone czy nie, to właśnie zrobiłeś! - krzyknęła Rebeke. - Ona jest bezbronna. Chcę, żebyś oddał ją pod opiekę naszych władz. Nie pozwolę, by była twoim pionkiem.

Znów zrobił krok w stronę Elegii, ale Rebeke gorączkowo rzuciła się między nich. I wtedy nagle zza ich pleców dobiegł nowy głos.

- Kim jesteście? - spytała Elegia, jej głos brzmiał chrapliwie, a słowa były urywane... jakby pochodziły z silnika, którego od dawna nie smarowano. - Puśćcie mnie.

Rebeke zamarła, a później odwróciła się i westchnęła. Elegia skrzywiła się i potrząsnęła skutymi rękami, ale w jej ruchach nie było wcześniejszej szaleńczej zajadłości. Co ważniejsze, umiała mówić. Nigdy wcześniej nie słyszał, by jedno z tych Zwęglonych się odezwało. Jej popielne serce wciąż świeciło, ale czystszy, jaśniejszy światłem. Jak magma w sercu krateru.

- Puśćcie mnie! - powiedziała głośnie.

- Elegio? - Rebeke zrobiła krok do przodu i wyciągnęła palce w rękawicze.

- Puśćcie. MNIE.

- Cóż... - Nomad rzucił świecące słoneczne serce na stół. - To się udało. - Zaczął robić notatki.

- Próbowałeś ją uzdrowić? - Rebeke odwróciła się znów do niego. - Dlaczego tak nie powiedziałaś?

Uzdrowić ją. Racja. Cóż, taki był efekt uboczny. Po chwili wahania powiedział:

- Nie wiedziałem, czy to się uda, a nie chciałem ci dawać fałszywej nadziei.

Na burze, młoda kobieta zaczęła płakać. Złapała go za rękę i z trudem zdjęła rękawiczkę, by w podziękowaniu przycisnąć skórę do jego skóry.

- Zasużyłeś dziś na ciepło - szepnęła. - A ja źle cię oceniłam. Jesteś wspaniałym, naprawdę wspaniałym człowiekiem. Dziękuję.

„Urocze, mówi rycerz. Ile czasu minęło od kiedy ktoś patrzył na ciebie z prawdziwym podziwem?”.

Czy to miało znaczenie? Odepchnął ją stanowczo. Pozwoliła mu i spojrzała na Elegię, która przyglądała im się ze zmarszczonym czołem.

- Powiedźcie mi, kim jesteście - zażądała. - I dlaczego jestem zakuta w łańcuchy. Co się stało z głosem?

- Głosem? - Nomad podszedł bliżej.

– Tym, który wydaje rozkazy, w mojej głowie. Przed chwilą wszystko było takie jasne. Teraz... teraz jestem zdezorientowana. Przywróćcie głos!

– Popielny Król – mruknął Nomad. – Jak podejrzewales, może ich kontrolować. Poprzez bezpośredni Związek.

„Jej dusza jest straszliwie naruszona, zauważa bohater. To zwykle ułatwia kontrolowanie umysłu lub przeniknięcie do niego, prawda?”

– Owszem. – Zepsute słoneczne serca dawały Popielnemu Królowi jakiś rodzaj panowania nad Zwęglonymi... ale Nomad usunął tę kontrolę, co pozwoliło na ujawnienie naturalnej osobowości Elegii.

– To jej głos, ale ona mnie nie rozpoznaje – powiedziała Rebeke. – Jak sprawimy, żeby sobie przypomniiała?

Nomad nie miał dobrej odpowiedzi. Widział wcześniej takie przypadki. Wspomnienia Elegii niemal z całkowitą pewnością zostały wypalone w procesie, który skaził jej duszę. To nie był przypadek niewielkiej dezorientacji po uderzeniu się w głowę. Jej dusza została dosłownie rozszarpana, jej umysł był zniewolony.

Doświadczenie podpowiadało mu, że drogą naprzód było nie odzyskanie jej wspomnień, ale pomoc w stworzeniu nowych. Zmrużył oczy, kiedy szarpała się w ciężkich kajdanach, wciąż nadnaturalnie silna.

– Napełnienie popielnego serca zostaje. Ono pochodzi ze źródła, nie z mazi, którą odessaliśmy. Na burze. Ona pewnie czuje je we wnętrzu, ono ją popycha.

Ludzkie ciało, napełnione tak wielką mocą, byłoby jak naelektryzowane, pełne potrzeby, by się poruszać, by działać. Człowiek czułby niemal nieodpartą potrzebę wykorzystania tej energii, zaspokojenia jej żądań, by stała się kinetyczna. W jego przypadku popychało go to do ciągłego ruchu, unikania snu, nieustannej ucieczki. U Elegii miała wyraźnie bardziej agresywną naturę.

Rozgorączkowany sposób, w jaki działali ci Zwęgleni, zawsze atakowali i radowali się walką... to nie musiał być rozkaz Popielnego Króla. On pewnie jedynie popychał ich w określoną stronę, pilnował, by działali dla niego, ukierunkowywał ich gwałtowną energię.

Nomad zrobił kolejne notatki. Jak mógł to zastosować do mazi w swojej duszy? Może stworzyć nóż ze słonecznego serca i dźgnąć się nim? To mogło zadziałać, ale bał się problemu ze Związkiem. Ci ludzie mogli dzielić się mocą i duszami ze względu na to, skąd pochodzili.

Mimo to był to kolejny logiczny krok. Pożyczył nóż od Rebeke, która próbowała skłonić Elegię, by z nią porozmawiała. Udało mu się odciąć kawałek słonecznego serca – słyszał, jak opisywali taki krok. Mniej przypominało szkło, a bardziej żywicę. Nowy fragment wciąż emanował tym samym żyjącym blaskiem.

Ustawił nóż, by wbić go we własną skórę. Zrobił niewielkie nacięcie na lewym ramieniu, po czym wcisnął w nie kawałek słonecznego serca. Dla wielu użytkowników Napełnienia dotykanie krwi było koniecznością. Połknięcie kawałka mogłoby zadziałać, ale chciał mieć pewność – poza tym to byłoby łatwiej cofnąć, gdyby coś poszło nie tak.

„Yyy, Nomadzie, mówi rycerz z wahaniem. To się wydaje trochę głupie”.

– I?

„I może tego nie rób? Zrób zamiast tego coś, co nie jest głupie?”.

- Muszę spróbować, Pom. Nocna Brygada może się pojawić w każdej chwili, a ja muszę być zdolny do walki, jeśli do tego dojdzie.

„Mimo wszystko. Jesteś pewien, że chcesz być tak lekkomyślny?”

- A dlaczego miałbyś sądzić, że zrobię cokolwiek innego?

„Rycerz wzdycha głęboko, ale musi pogodzić się z prawdą. Nomad jest przynajmniej konsekwentny w swojej głupocie”.

Nomad zrobił niewielkie nacięcie w przedramieniu. Zacisnął pięść i wbił kawałek słonecznego serca w ranę. Wypowiedział modlitwę, z odpowiednią Intencją, która zadziałała na Elegię – po czym przycisnął kawałek materiału do rany, żeby zatamować krwawienie.

Nic się nie stało. Znowu wypowiedział słowa, próbując zachować odpowiednie nastawienie. Wypowiadał je jeszcze kilka razy, z niewielkimi zmianami, wykorzystując wariacje na temat przysięg ze swojej ojczyzny, a później inne przekazujące Napełnienie inkantacje, które znał.

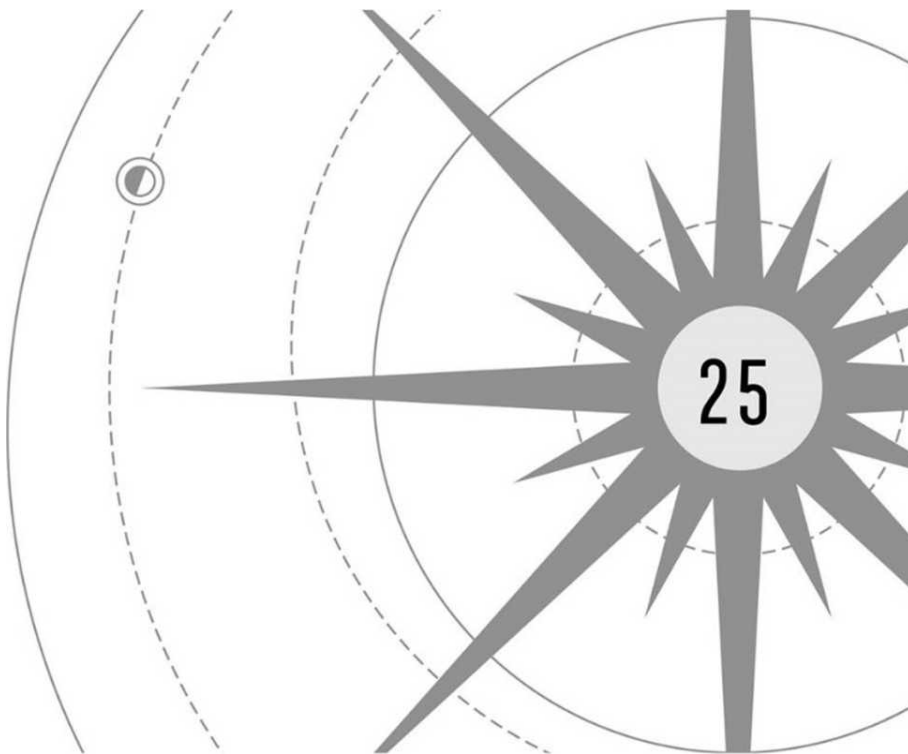
Nic się nie działo. Dzielenie się Napełnieniem było o wiele trudniejsze, kiedy nie miało się Związku z mocą albo ludźmi, którzy ją stworzyli. Może na tym polegał problem. Albo może działo się, ale on nie czuł żadnego...

Trzask.

Podniósł wzrok z westchnieniem i zobaczył, że Rebeke otwiera kajdany na nogach siostry. Te na rękach już wisały luźno.

Potępienie.

Elegia spojrzała mu w oczy i skoczyła na niego z wściekłym wyciem.



Rebeke krzyknęła, kiedy Zwęglona odepchnęła stół na bok i rzuciła się Nomadowi do gardła. Uniósł ręce i złapał ją za nadgarstki, zanim jej paznokcie wbiły się w jego ciało, ale impet sprawił, że oboje polecieli na podłogę.

Chrząknął i przetoczył ich na bok, próbując odzyskać przewagę. To powinno być łatwe. Wiele lat uczył się zapasów, a ona walczyła gorączkowo, bez żadnych umiejętności, z szeroko otwartymi oczami i zaciśniętymi zębami. Ale za każdym razem, kiedy był blisko założenia jej chwytu, wykorzystywała czystą siłę, by wyrwać się z jego uścisku.

Odkrył, że walczy o zachowanie panowania nad sytuacją. Kobieta poruszała się w niespodziewany sposób, zadawała ciosy kolanami i gryzła go. W końcu spróbował uderzyć ją w twarz, żeby ją ogłuszyć, ale tak bezpośredni atak sprawił, że jego ciało znieruchomiało i wypuścił ją wbrew woli.

Błyskawicznie złapała go za głowę i uderzyła jego czaszką o stalową podłogę, aż zrobiło mu się ciemno przed oczami. Na szczęście jego uzdrawianie szybko zwalczyło oszołomienie i udało mu się znów złapać ją za ręce, choć kierował się bardziej dotykiem niż wzrokiem.

Elegia była tak skupiona na biciu go, że nie zauważyła, kiedy przywołał Pomocnika jako kajdany i łańcuch, a później je zatrzasnął. Podczas gdy Rebeke – za późno – próbowała powstrzymać siostrę, to odwrócenie uwagi pozwoliło mu się przetoczyć i znów przykuć Elegię do ściany. Kiedy ruszyła w jego stronę, kazał Pomocnikowi skrócić łańcuch, a później w końcu odpędził poza jej zasięg.

Z jękiem położył się na ziemi, a świat wokół się kołysał.

„Pozostało nieco ponad osiem procent zdolności Przeskoku”, szepnął Pomocnik, kiedy jego wzrok i głowa się uzdrawiały. Nomad nie znosił tego rodzaju komentarzy. Nie cierpiał czuć się jak maszyna ze źródłem energii. Życie było o wiele bardziej... intensywne, kiedy po prostu wciągał moc i wyczuwał ogólne wrażenia tego, co mu pozostało.

Usiadł oparty plecami o ścianę. Rebeke uklękła obok niego z przerażoną miną. Jej siostra nie została całkowicie unieruchomiona. Nie była już przykuta za ręce i nogi do ściany, jedynie za nadgarstki, z prawie dwiema stopami luzu.

Nie wykorzystywała go, lecz kuciała na palcach stóp, jak dzika bestia, warczała i wpatrywała się w niego z wściekłością.

- Przepraszam - szepnęła Rebeke. - Myślałam... Wydawało mi się, że ona wraca do siebie, i pomyślałam... ja...

- Jasne. Następnym razem, kiedy zrobisz coś tak szalonego, mogłabyś przynajmniej dać mi znać z wyprzedzeniem, żebym mógł zacząć uciekać.

„Wszystko w porządku?” - spytał Pom. Jego głos brzmiał beznamiętnie jak zawsze, ale sposób, w jaki zadał to pytanie - bez pretensjonalności i afektacji - wskazywał na szczerą troskę.

Nomad rozmasował głowę.

- Tak - mruknął. - Tak sędzę.

- Elegio. - Rebeke wstała. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Zakuliście mnie - syknęła Zwęglona.

- Rozkuwaliśmy cię! - powiedziała Rebeke.

- Ja walczę - stwierdziła po prostu Elegia. - To robię.

- Jestem twoją siostrą! Ten mężczyzna pomógł ocalić cię przed naszymi wrogami. Jesteś w domu. Już nie musisz walczyć.

Elegia nie odpowiedziała, więc Rebeke odwróciła się do Nomada.

- Nie została w pełni uzdrowiona! Zrób to, co wcześniej, tylko bardziej.

- Nie pomoże - odparł. - Jeszcze więcej może ją zabić. Wyssałem tę część, która pozwałała Popielnemu Królowi ją kontrolować. To, co widzisz teraz, jest tym, co pozostało z twojej siostry.

Nomad podszedł do biurka i wyciął fragment słonecznego serca z ramienia, które już się uzdrowiło, po czym wytarł krew. Ale był bardziej sfrustrowany niż wcześniej. Znieruchomiał w czasie walki - dowód, że proces nie zadziałał na niego tak jak na Elegię.

To co mógł zrobić? Czy istniała ścieżka naprzód?

Rebeke stała przy ścianie i płakała cicho. Lepiej dać jej coś do roboty, więc poprosił ją, by poszła po Zapała, który mógł aktywować bransolety na rękach Elegii. To by ją zamroziło i pozwoliło znów w pełni unieruchomić.

Kiedy Rebeke odbiegła, odetchnął kilka razy. Następnie, żeby nie marnować czasu, zaczął szkicować kolejne diagramy. Odkrył, że jeśli szybko przeskakuje między problemami, pracuje lepiej. Trochę tu, trochę tam, zawsze próbował zrobić jakieś postępy w czymś. W tym przypadku miał kilka pomysłów, jak poradzić sobie z siłami Popielnego Króla po przelecaniu nad górą.

- Czy to naprawdę moja siostra? - spytała Elegia za jego plecami.

Spojrzał w jej stronę. Usiadła, a zakute w kajdany ręce uniosła nad głową. Wydawała się... zmęczona. Wyczerpana. Znał to uczucie.

- Tak. Miałaś też brata. Zginął, próbując cię uratować.

- Przed czym?

- Ten głos w twojej głowie? – Nomad zrobił kolejne notatki. – To Popielny Król. Zabrał cię, włożył to popielne serce w twoją pierś i wypalił twoje poprzednie życie.

- Czemu miałabym ci wierzyć?

- A czemu nie?

- Może chcesz mnie kontrolować.

- Już pozwaliałaś na to głosowi. Dlaczego więc obchodzi cię, czy my cię kontrolujemy? Dlaczego cię obchodzi, czy cię okłamujemy?

Zamilkła i pozwoliła mu pracować.

- Nie pasuję tutaj – powiedziała w końcu Elegia. – Czuję, że to prawda. Ta druga, ona czegoś ode mnie oczekuje. Ale ja nie jestem tą osobą, którą ona widzi, kiedy patrzy na mnie.

- Jaką osobą jesteś?

- Taką, która stoi w ogniu – powiedziała cicho Elegia. – Płonie walką. Ja... nie umiem tego wyjaśnić.

- Całe twoje ciało wydaje się czujne, napięte, na skraju paniki. Coś w twoim wnętrzu szaleje, jak burza, popycha cię do poruszania się. Do działania. Siedzenie nieruchomo to męka. Musisz się poruszać, walczyć, uciekać albo miotać.

- ...Tak.

Podniósł wzrok znad notatek i spojrzał jej w oczy.

- Masz rację. Nie jesteś osobą, za którą ona cię uważa. Pewnie już nigdy nie będziesz tą osobą. Będziecie musiały znaleźć nowy sposób, obie.

- Uwolnij mnie.

Uniósł brew.

- Znów mnie zaatakujesz?

- Najpewniej – przyznała. – Ale ty też to czujesz. Opisałeś to. Moglibyśmy walczyć. Ty i ja. Poruszać się. Żyć.

- Nie jestem zainteresowany. Dzięki.

„Ona jest urocza, mówi rycerz”.

Rebeke wkrótce wróciła z Zapalem. Za pomocą jego urzędzenia pozbawili Elegię przytomności i znów zakuli ją w kajdany. Zapal przyglądał się z zainteresowaniem, kiedy Nomad odsyłał Pomocnika.

- Jak kontrolujesz ten cień? – spytał. – Nie powinien próbować cię zabić?

- Pomocnik odrobinę różni się od waszych cieni – wyjaśnił. – Nie atakuje świecącymi oczami czy morderczym dotykiem. Używa sarkazmu, a to o wiele bardziej bolesne.

„Przepraszam, wtrąca bohater bez najmniejszego śladu sarkazmu. Ja stwierdzam fakty. To, jak je przyjmujesz, zależy wyłącznie od ciebie”.

Zapal wskazał Elegię.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym zabrał ją z powrotem do więzienia?

- On jej pomaga – wyjaśniła Rebeke. – Zapale, ona się do nas odezwała, jak ci powiedziałam.

- Nigdy nie słyszałem, by jakiś Zwęglony to zrobił – przyznał Zapał. – W porządku. Zostawię to tutaj. – Położył urządzenie kontrolne na biurku.

- Doceniam to.

- Co to? – Zapał wskazał notatki. Pochylił się. – Karabiny? Na statkach? – Zagwizdał cicho, kiedy dostrzegł skalę.

Nomad pokiwał głową.

- Mam nieco większe doświadczenie z bronią niż z kotłami.

- Czy one muszą być takie duże? – spytała Rebeke.

- Wybraliśmy największe, najobszerniejsze statki, by wznieść się nad górami – wyjaśnił Nomad. – Potrzebujemy ich, by pomieścić was wszystkich. Ale to znaczy, że kiedy wyłonimy się z ciemności i spróbujemy otworzyć drogę do Schronienia, będziemy łatwym łupem dla Popielnego Króla.

- Chyba że... – zaczął Zapał.

- Chyba że będziemy mieli porządną broń. I zaatakujemy go czymś, czego nie widział nigdy wcześniej. – Uniósł notatnik. – Jeśli wasi przodkowie naprawdę mogą stworzyć wszystko, jeśli tylko dostaną surowce i diagramy, to nie widzę żadnego powodu, dlaczego nie moglibyśmy zaszaleć z rozmiarami. Powinny działać ze słonecznymi sercami jako źródłem energii. – Zamknął notatnik. – Ale na razie nie mają znaczenia. Jeśli nie przelecimy nad tymi górami, nic innego nie będzie się liczyło.

- Jakie mamy szanse? – spytał Zapał. – Gdybyś miał zgadywać?

- Nie mam pojęcia. Ale większe niż zero, które mielibyśmy, gdybyśmy przestali się poruszać.

Dalszą dyskusję przerwał dźwięk odbijający się echem w mieście. Róg. To było niezwykle, bo Promieniowcy zwykle starali się, by ich latające miasto było ciche i niewidzialne.

Popatrzył na pozostałą dwójkę.

- Wezwanie do zgromadzenia się – wyjaśnił Zapał, wsłuchując się w rogi, których dźwięki niosły ze sobą wiadomość. – Ludzie zostali już ostrzeżeni, że mają zgromadzić niezbędne ubrania i przedmioty w jednej torbie na każdego i zostawić resztę. To ostatnie ostrzeżenie. Zaczynamy odrzucać inne statki, by zachować energię.

- Już? Wasi ludzie szybko działają.

W chwili gdy to powiedział, wiedział już, że odsłonił się...

„Rany, naprawdę tak sądzisz? Rycerz znacząco przewraca oczami... tymi, które absolutnie miałby, gdyby Nomad go nie zabił. Szybko działają? Naprawdę? Ludzie, którzy przez całe życie uciekają przed słońcem, zawsze o krok od wyparowania w fali płonącego światła? Działają szybko? Niech to diabli. Kto by pomyślał?”

- Naprawdę nie uważasz, że to sarkazm? – zapytał Nomad po alethyjsku.

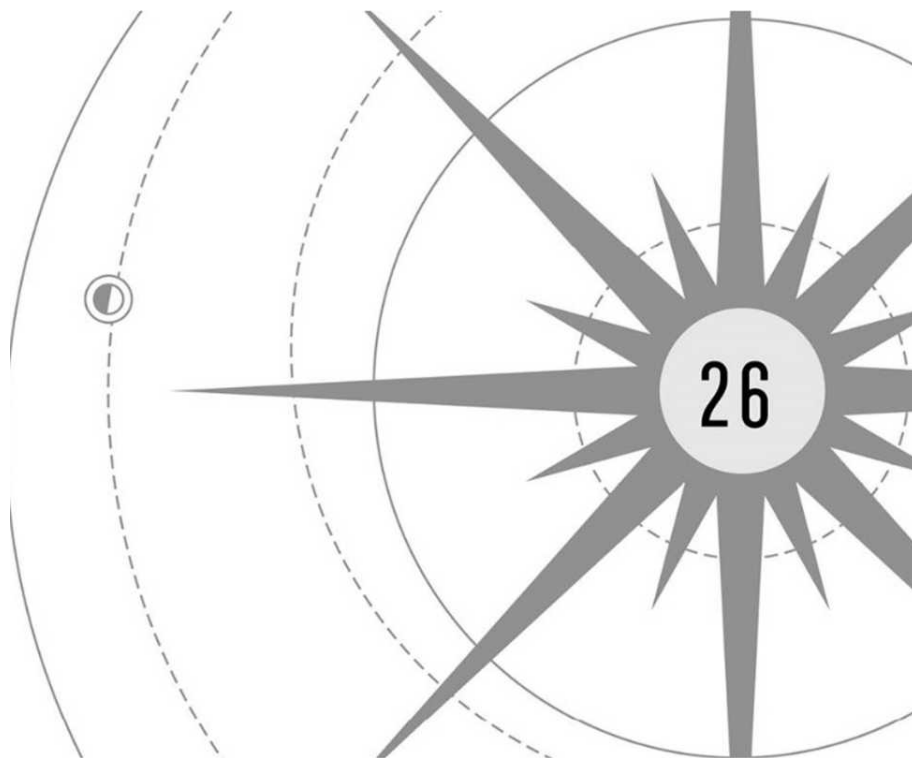
„Po prostu mówię wyjątkowo jasno”.

- Sądzę, że może posuwasz się trochę za daleko.

„Cóż, ty nie masz lokaja, który lubi się dźgać odłamkami nieznanymi źródłami energii dla zabawy. Wiesz, z taką osobą trzeba postępować w sposób przemyślany”.

Nomad chrząknął i wsunął notatnik do kieszeni płaszcza.

- Chodź – powiedział do Rebeke. – Chcę zajrzeć do inżynierów i zobaczyć, jak ich nowa wersja wybucha.



Jak się okazało, nieduża ekipa inżynierów z Promienia składała się z przesadnie ambitnych osobników. Nie stworzyli jednego prototypu, ale trzy, z których każdy wykorzystywał części jego projektu, by zmodyfikować niewielki silnik.

Jedynie dwa z nich wybuchły. Trzeci poszybował wysoko w powietrze i był widoczny jedynie jako migoczące światełko w ciemności – co pozwoliło kilku osobom na czteromiejscowych motocyklach wylecieć z siatkami i złapać go, kiedy zaczął spadać.

Wznoszenie się sprawiło zebrany tłum w oszołomieniu. Większość mieszkańców Promienia zgromadziła się, by obserwować próbę w trakcie ewakuacji ze swoich domów na większe statki.

– Wzniósł się tak wysoko – powiedział jedno z nich. – Znacznie wyżej niż zwykły statek...

– To się może udać – dodał inny. – To się rzeczywiście może udać!

„Masz mnóstwo szczęścia, mówi bohater, że jeden z nich poleciał”.

– Zgoda – szepnęła Nomad. Gdyby wszystkie trzy próby wybuchły, mógłby stawiać czoło zamieszkom.

Inżynierowie zebrali się wokół niego, kiedy silnik wrócił na pokład. Patrzyli na niego jak dzieci czekające na pochwałę. Na burze, zawsze się czuł dziwnie w takich sytuacjach. Mimo to nauczono go właściwych słów.

– Doskonała robota. Właśnie uratowaliście miasto. – Wskazał silnik. – Leciał wyżej i szybciej, niż myśleliście, co?

– Miał się unosić – powiedziała Powaga Boska. – Tak w każdym razie opisywał to twój projekt. Zadział aż za dobrze, szybując w niebo. Na jego podstawie oprzemy kolejny projekt. Ale chciałam porozmawiać z tobą o jeszcze jednej kwestii.

Wskazała na kilka dużych statków w pobliżu centrum miasta. Nad każdym z nich górowała konstrukcja wysoka na dwa piętra. Zbiorniki wody. Przypominały pomieszczenie Chóru, ale o bardziej industrialnym charakterze. Ludzie przechodzili na inne statki, które wybrano do przelotu, w tym na centralny. Ale nie na te trzy.

– Powinno być w nich wystarczająco dużo wody, żebyśmy przelecieli nad górami, a następnie kontrolowali opadanie – powiedziała. – Umieścimy je na obrzeżach miasta, bez mieszkańców, żebyś mógł odrzucić całe statki w chwili, kiedy je opróżnisz. Ale mieliśmy nadzieję na jakąś pomoc w kwestii tego, jak je izolować i ogrzać. Przed zimnem, tak? Szybko się rozbijemy, jeśli nasz czynnik roboczy zamrznie w chwili, kiedy wyjdziemy poza atmosferę.

– Nie wiecie zbyt wiele o przestrzeni i próżni, prawda? – domyślił się.

– No, nie, na cienie. A czemu mielibyśmy?

– Nie musicie ich izolować dla ochrony przed zimnem. Ale rzeczywiście zainstalujcie kilka radiatorów, szczególnie na przewodach w pobliżu silników. Nie powinno być problemów, bo będziemy wydzielać ciepło w ogromnych ilościach. Zasadniczo taki jest sens tego wszystkiego. Ale i tak trochę martwię się o te przewody.

– Ciepło – powiedziała beznamiętnie. – Martwisz się, że będzie za dużo ciepła? Na takiej wysokości?

– Zaufaj mi. Jeśli znajdziemy się w prawdziwej próżni, do czego może nie dojść, jedynym sposobem na obniżenie temperatury będzie wyrzucanie materii lub promieniowanie podczerwone, które jest wyjątkowo powolne. Tam nie ma konwekcji. Nie ma powietrza, które przewodziłoby ciepło. Zaproponowałbym kilka żeber, jak najbardziej odsłoniętych, żeby odprowadzały ciepło. Ale przypuszczam, że to nie będzie miało znaczenia.

Pokiwała głową, gotowa uwierzyć mu na słowo, i poszła z pozostałymi, by stworzyć nowe projekty. Kiedy tak stał i obserwował ludzi kierowanych na pokłady różnych statków, z zaskoczeniem dostrzegł przerwę w chmurach nad głową – podobno rzadkość po tej stronie wschodu słońca – która sprawiła, że na miasto znów padł blask pierścieni. Rozświetlały krajobraz składający się z rozszarpanych, przecinanych wąwozami wyżyn. Deszczówka spływała po skalistych wzgórzach tysiącami malutkich wodospadów.

„To niesamowity widok, mówi rycerz z podziwem. Tylko woda i skały, ale na taką skalę, że są piękne. Oszałamiające. Dlaczego właściwie mamy dość odwiedzania różnych światów?”

– Bo pogoń depcze nam po piętach?

„Racja, oczywiście. Ale... naprawdę chciałbym, żebyśmy mogli się częściej zatrzymywać i podziwiać widoki”.

Podziwianie widoków było dla kogoś, kto nie miał lufy przy głowie.

Po jego prawej jeden ze statków oderwał się od głównej masy miasta i spadł. Rozbił się na ziemi poniżej, przerywając bieg wodospadów. Ekipa robocza, która zabrała słoneczne serce z pokładu, ruszyła dalej. Weszli do następnego w zewnętrznym kręgu, wkrótce również i on odłączył się i spadł. Następnie trzeci. Były to nieożywione masy metalu, jednak w tej sytuacji sprawiały wrażenie osamotnionych, wręcz tragicznych. Nagrobki miasta, którego już nie było.

Dołączyła do niego Kontemplacja. Szła o lasce i miała mokre włosy – mimo kapelusza o szerokim rondzie, który na nich zamocowała. Co zaskakujące, osłoniła oczy przed światłem pierścieni. Jakby nawet ten słaby blask jej przeszkadzał.

– Jesteśmy niepokojąco blisko tych gór, Słoneczny – powiedziała. – Przynajmniej wydaje się, że ten twój silnik działa.

– Wciąż powinniśmy przeprowadzić próbę. Kiedy zbliżymy się do szczytów, powinniśmy wziąć jeden statek i wznieść się nim na odpowiednią wysokość, żeby się upewnić, że silnik działa zgodnie z planem.

– Moglibyśmy wykorzystać ten przeznaczony dla ciebie. – Skinęła w bok, a wtedy dostrzegł swój dom na Promieniu, statek z kilkoma niewielkimi pomieszczeniami, szerokim pokładem i bulwiastą kabiną z tyłu. – To był statek Elegii, nazywał się *Ścigający świt*. Wzmocniła go, żeby móc wlecieć w wielki wir na skraju nocy, jak najbliżej słońca.

– Dlaczego miałyby to zrobić?

– To był jeden z jej pomysłów na przetrwanie. Popielny Król zostawia ludzi, by zginęli w blasku słońca, a później wysłał grupę statków na patrol na skraju wielkiego wiru, by wydobyły te słoneczne serca z ziemi w chwili, gdy będzie to bezpieczne. Elegia zastanawiała się, czy istnieje jakiś sposób na przebycie samego wielkiego wiru, granicy między deszczem a słońcem, i zdobycie ich przed Popielnym Królem. – Kontemplacja pokręciła głową. – Okazało się to niemożliwe. Nawet gdyby udało nam się stworzyć statek, który by to przetrwał, nie dałoby się go opuścić, żeby zabrać słoneczne serca.

– Im więcej słyszę o Elegii, tym bardziej mi się podoba – zauważył.

– Z powodu nieudanych pomysłów.

– Nieudane pomysły prowadzą do udanych, Kontemplajo. To jedyne, co do tego prowadzi.

Pokiwała z namysłem głową i spojrzała wzdłuż zbczy, w stronę wielkiego wiru. Miejsca, które nie znajdowało się w promieniach słońca, ale musiało sobie radzić ze skutkami jego przejścia. Wciąż nie rozumiał do końca mechaniki tego miejsca. Dlaczego nawałnica nie prowadziła do typów pogody, które uniemożliwiałyby życie na planecie. Dlaczego promienie słońca w ogóle tak bardzo paliły.

– Elegia zawsze szukała światła – zauważyła Kontemplacja. – Aż pewnego dnia Popielny Król wbił je prosto w jej pierś...

Kolejny statek spadł, dołączając do śladu zmiażdżonych jednostek, który pozostawili za sobą.

– Wiesz, w mojej ojczyźnie mamy opowieść o kimś, kto za bardzo zbliżył się do słońca – powiedział. – To popularny temat w różnych kulturach i na różnych światach. Nigdy nie kończy się dobrze.

– Jeśli w taki sposób starałeś się mnie uspokoić... – Kontemplacja trzymała dłonie na lasce – ...to ci się nie udało. Bo to właśnie zasadniczo zrobimy za kilka krótkich godzin. Ale... jak brzmi ta opowieść, do której się odnosisz?

Zawahał się.

„Dalej, szepcze rycerz, już dobrze. Chcę ją usłyszeć. Ustąp odrobinę”.

– Przybyli ze wschodu – powiedział Nomad w miejscowym języku, by Kontemplacja mogła go zrozumieć. – Olbrzymi, w pancierzach wykutych z metali z największych głębin. Horda

śmierci i zniszczenia, która pożerała ziemię, pochłaniała wioski jak chmara owadów spadająca na pole. Rozrywali. Miażdżyli.

Moi przodkowie walczyli z nimi, bo co innego mogli zrobić? Poddać się mocy pragnącej jedynie pochłonąć ich i cywilizację, którą reprezentowali? Czekaliśmy w szeregach, każdy z nas był mniejszy od napastników, ale byliśmy silni w jedności. Mury honoru i wyszkolenia, jedyny możliwy sposób, by powstrzymać falę zniszczenia. Sami nazywali siebie Alethyjczykami, ale my zwaliśmy ich Tagarut. To znaczy niszczyciele. Ci, którzy pozostawiają tylko śmierć.

Wydarzyło się to w czasie czwartej inwazji za panowania naszej dynastii Ulutu, tak dawno, że uczeni nie umieją się zgodzić co do dat, ale generalnie przyjmuje się, że wydarzyło się to w czasach naszego piętnastego cesarza. Tagarut znów przybyli, bo byli jak sama burza. Regularni. Co pokolenie. Kolejny wódz. Kolejna inwazja.

– Olbrzymi, powiadasz? – Kontemplacja spojrzała na niego. – W porównaniu z tobą?

– Tak – szepnęła, gdy spadała kolejna część miasta. – Stałem pośród nich. Niektórych nazywałem przyjaciółmi. Są bliżej nieba niż ktokolwiek, kogo znam, Kontemplacjo.

– Jak można się zaprzyjaźnić z czymś tak straszliwym?

Uśmiechnął się.

– Wedle legend do zmiany doszło w czasie tej ostatniej inwazji za dynastii Ulutu. Niszczyciele mieli już dość porażek w walce z naszymi armiami, więc postanowili wypróbować nową taktykę. Postanowili podbić słońce.

„Cóż za wzniosłe miejsce” myśleli. „Musi być pełne bogactw, by świecić tak jasno”. Tagarut znaleźli najwyższą górę i zaczęli budować rusztowanie. Sprowadzili swoje największe maszyny wojenne, swoje wieże do zdobywania miast, swoje sznury i swoich Odpryskowych. I wspięli się do samego słońca, zdecydowani zniszczyć ludzi, którzy tam mieszkali, splądrować ich krainę.

– Wspięli się do słońca. Więc to fantastyczna opowieść. – Wydawała się rozczarowana.

– W większości opowieści prawda miesza się z fantazją, Kontemplacjo. Szczególnie w tych starych. Nie można porzucić fantazji, nie odbierając wartości prawdzie. Ale w tej opowieści, owszem, centralna idea to fantazja... dotarli bowiem do słońca i nie mogli się doczekać, aż znajdą broń i narzędzia, które będą mogli wykorzystać, by przejąć władzę nad moją ojczyzną. Ale promienie słońca były zbyt jasne. Bogactwa ze skarbcza samego Wszechmocnego emanowały potężnym gorącym. Tagarut nie mogli zabrać ze sobą znalezionych klejnotów, bo świeciły tak jasno, że niszczyły ludzi. Dumni olbrzymi, straszliwi wojownicy, zostali zmuszeni do ucieczki – pokonani nie przez włócznie czy tarcze, ale przez skarb, którego szukali. Powiada się, że tamtego dnia ich oczy zostały wybielone przez intensywne światło, jak glina, którą zbyt długo wypalano. Zamiast zwykłego ciemnego brązu, wielu Alethyjczyków ma oczy niebieskie jak woda albo w innych jasnych odcieniach. Światło niebios – gdzie sam Yaezir zasiada na swoim tronie – zniszczyło ich zdolność do postrzegania tak, jak zwykli ludzie. Choć widzą teraz spłowiwały świat, również bogactwa utraciły dla nich swój blask. Po tej stracie Tagarut zaczęli się zachowywać jak ludzie. Już nie pożydali jedynie skarbów, za to nauczyli się mówić. Nie pisać, ale mimo to odrobinę się ucywilizowali. I dlatego, aż po dziś dzień, oczy ich przywódców są jasne. I dlatego w końcu można porozmawiać z jednym z nich... zamiast od razu uciekać w panice.

Spojrzał na Kontemplację i zobaczył jej uśmiech. Patrzyła przed siebie i obserwowała, jak jej miasto rozpada się na kawałki, ideał porzucony jak tak wiele innych, z konieczności.

- Nie spodziewałam się, że odkryję w tobie bazarza, Słoneczny.
- Nie spodziewałem się, że się nim stanę.
- Jeśli wolno mi spytać, czy to już koniec? Gdzie jest morał?
- Nie ma go. To jedynie fantastyczna historyjka.
- Ciekawe. Nasze opowieści nigdy takie nie są. Zawsze jest jakiś przekaz. Zwykle dość niezręczny, jeśli pozwolisz mi na taką bezpośredniość. Z jakiegoś powodu w wielu z nich pojawiają się dzieci, które zostają zjedzone przez cienie.

- Mój mistrz lubi tego rodzaju opowieści. Takie z pointą. Doszło do tego, że kłamie i mówi ludziom, że nic z tego, co opowiada, nie ma sensu, a wszystko po to, by go nie porzucili i nie ignorowali jego nauczania. Ale ja odkryłem, że wolę te, które są po prostu... opowieściami. I nie mają żadnej pointy poza tym, że są interesujące.

Kontemplacja pokiwała głową, kiedy budynek, w którym ją spotkał, który był jej domem na Promieniu, oderwał się i spadł.

- Z radością przeżyłabym resztę swoich dni w miejscu, w którym moglibyśmy sobie pozwolić na opowiadanie takich historii - wyszeptła. - W miejscu, gdzie nie trzeba uciekać. W miejscu pokoju i... fantazji.

- Rozumiem.

Kontemplacja i Nomad zostali zmuszeni do wycofania się ze swojego skraju miasta, bo te statki miały zostać odrzucone jako następne. Wmieszali się między licznych ludzi, którzy stali bliżej środka i przyglądali się rozkrwawianiu ich miasta - kawałki odcinane jak palce, usuwane, by uratować rękę przed gangreną.

Obok niego dziecko trzymające matkę za rękę wskazało niebo.

- Popatrz, mamusiu. Nowa gwiazda.

- Skąd wiesz, Deborah-James? - spytała matka.

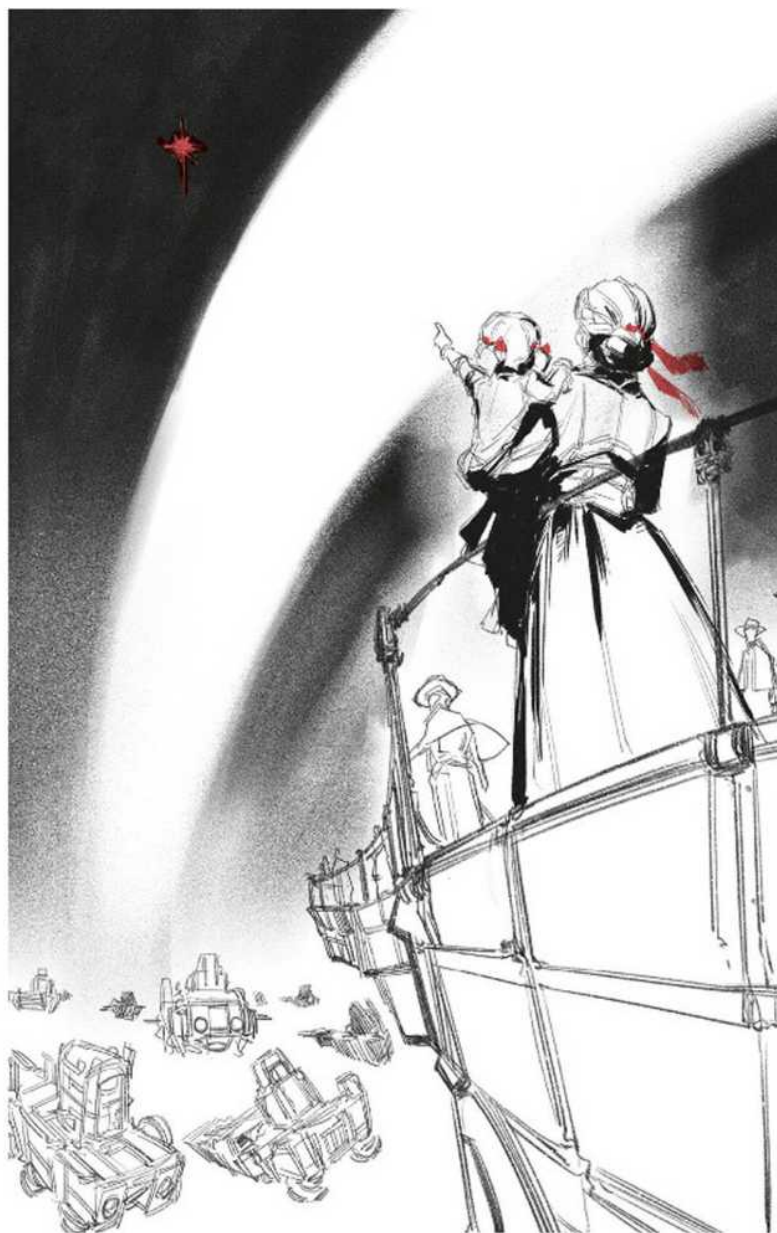
- Uczymy się w szkole o gwiazdach - wyjaśniła dziewczynka. - Żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteście. Popatrz, jest nowa.

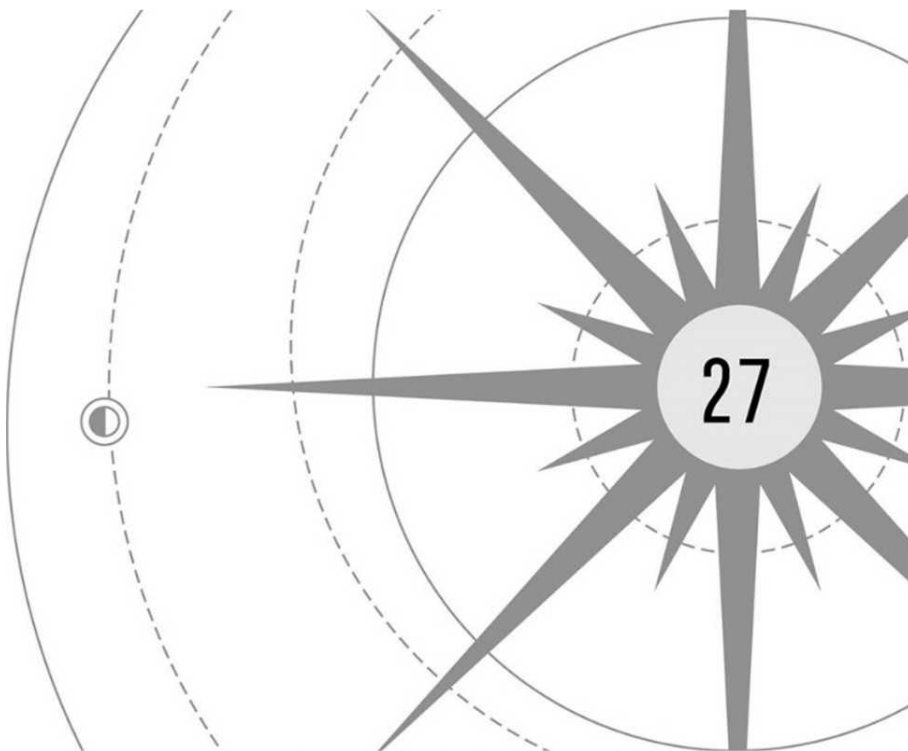
Nomad zamarł, odwrócił się i wpatrzył w niebo. Odnalazł ją niemal od razu, na górze i po prawej, w pobliżu pierścieni. Świeciła jasno odbitym blaskiem słońca.

„Na burze, szepce rycerz. Koniec imprezy”.

- Hm. - Kontemplacja podążyła za jego spojrzeniem. - To rzeczywiście nowa gwiazda. Albo... może nowa część pierścienia? Dobry znak. Może znak, że Adonalsium błogosławi naszą podróż?

- Nie - sprzeciwił się Nomad. - To nie jest nowa gwiazda ani asteroida, Kontemplacjo. To potężny okręt wojenny na niskiej orbicie wokół planety. Nazywają się Nocną Brygadą. Właściwie to wasi dalecy krewni. Przybyli tu, by mnie zabić.





Mają statek do podróżowania między gwiazdami? – Odwróciła się do niego i w końcu wydawało się, że zobaczyła go takim, jakim był w rzeczywistości.

– Tak. Te statki robią się coraz powszechniejsze.

– To może... może moglibyśmy poprosić ich o pomoc przeciwko Popielnemu Królowi? Albo znaleźć miejsce na ich statku, albo... Patrzysz na mnie z miną, która świadczy, że powiedziałam coś szalonego.

– Nocna Brygada dowodzi armiami umarłych. To w dużej części najemnicy, znani ze swojej brutalnej skuteczności. To jedyna znana mi armia, która zmusza cię do walki po śmierci. Nie współczują miejscowym ich problemów. Łagodnie mówią.

– Rozumiem. To co robimy?

– Wracajcie pod osłonę chmur. – Ruszył w stronę środka Promienia. – Lećcie w zaciemnieniu, w czym jesteście bardzo dobrzy. Oni nie będą od razu wiedzieli, gdzie jestem, i trochę potrwa, zanim rozejrzą się po planecie. Miałem nadzieję, że dotarcie za mną do tego układu zajmie im dłużej, ale wciąż mamy czas.

– Dobrze. – Kontemplacja z trudem za nim nadążała. – Ale pozwól, że ci przypomnę: jesteś świadom ograniczonej natury tego czasu, prawda? Z przerażającą prędkością zbliżamy się do gór.

– Prawie trzymamy się harmonogramu. Mamy dwie godziny na wyprodukowanie i instalację.

– Niewiarygodna prędkość.

- Ale do zrobienia, skoro mamy działający prototyp silnika. Nie musimy wymieniać większości waszego sprzętu, bo zaprojektowałem to, by działało z waszą konstrukcją statków. Najtrudniejsze będzie umieszczenie kotłów na swoim miejscu, ale to najprostsza część do wytworzenia... i powinno pójść szybko.

- Następną godziną albo dwie w górę zbrocza - mówiła dalej Kontemplacja.

- Ponownie, do zrobienia.

- Owszem, ale im wyżej się wzniesiesz, tym bliżej wschodu słońca się znajdziesz. I tym większe prawdopodobieństwo, że to nas zabije. - Wskazała horyzont. - W tym momencie igramy z ryzykiem wzniesienia się tak wysoko, że cień planety nie będzie nas już chronił.

To była prawda. Ale powinno się udać. Jeśli będą trzymali się harmonogramu. Jeśli nic się nie popsuje.

Zignorował część umysłu, która szeptała, że coś zawsze się popsuło.

Znalazł inżynierów - którzy rozstawili się pod namiotem na pokładzie, bo wszystkie budynki były albo zrzućane, albo pełne ludzi.

- Mamy mało czasu - powiedział im Nomad. - Musimy zacząć wytwarzać kotły.

- Nie jesteśmy gotowi - stwierdziła Powaga Boska. - Potrzebujemy kolejnej wersji.

- Nie ma dość czasu. Zamiast nowego silnika możemy zmodyfikować ten, o którym wiemy, że działa.

Przywołał Pomocnika jako zgrubny model statku, a później odwrócił go do góry dnem. Jego modyfikacje umieszczały kocioł w pobliżu silnika, zawieszony pod dnem statku. Był to jedyny sposób, by zainstalować go szybko, bo górna część tych jednostek była przestrzenią mieszkalną, a nie mieli czasu się przebijać.

Zbiorniki wody znajdowały się na wierzchu tych statków, więc jego projekt obejmował duże przewody prowadzące do kotłów, które podgrzewały wodę do przegrzanej pary z wykorzystaniem słonecznych serc, a później wtryskiwały ją do silnika. Ten, zmodyfikowany zgodnie z jego diagramami, wyrzucał parę i ciepło dołem, generując ciąg. Nie był to najbardziej efektywny silnik w historii, ale skoncentrowane źródło mocy sprawiało, że mógł działać.

- Popatrzcie - wskazał przewód doprowadzający wodę. - Umieście tu ogranicznik. Mniej wody dopływającej oznacza mniej wody wypływającej, a przez to mniejszy ciąg. Niech będzie regulowany i podłączony do układu sterowania statku, a będziemy mogli zwiększać lub zmniejszać ciąg zależnie od potrzeby.

Powaga Boska spojrzała na jego projekt i uderzyła się dłonią w czoło.

- Racja. Oczywiście. Co za proste rozwiązanie.

To było stare powiedzenie inżynierów. Po co tworzyć nowy projekt, jeśli można było załatać stary model? To prowadziło do poprawek działających tylko na krótką metę, ale nie potrzebowali nic więcej.

- Musimy przeprowadzić więcej prób - wtrącił inny inżynier. - A przynajmniej próbę obciążeniową! Nie wiemy, czy ten projekt wytrzyma dłużej niż pięć minut spalania!

- Zamontujcie to na moim latającym motocyklu. Wylecę nim nad górę, przeprowadzę próbę obciążeniową i upewnię się, że działa. Pod moją nieobecność zainstalujcie te modyfikacje na pozostałych statkach. Nie zapominajcie o ciągu poziomym, musimy lecieć do przodu, nie tylko do góry.

Zostawił ich, kiedy zaczęli się naradzać, i wrócił do Kontemplacji, która wpatrywała się w niebo i to jasne światło okrętu wojennego. Zastanawiał się, jak bardzo obciążone były ich osłony, skoro wytrzymały moc promieniowania tego słońca. Wydawało mu się, że to, co wtedy poczuł, powinno przebić się przez większość osłon. Znów z tyłu głowy czuł niepokój, że coś się nie zgrywa.

– Jak niebezpieczni są? – spytała.

– Nie znam bardziej niebezpiecznej siły. Zdarzało im się pustoszyć całe planety. Na szczęście Nocna Brygada nie płąduje bezmyślnie. To siły działające precyzyjnie i zrobią wszystko, czego wymaga ich kontrakt... a w tym przypadku cel.

– W takim razie... mogliby zniszczyć nas wszystkich.

– Gdyby zechcieli. Ale widzisz... zniszczenie planety? To wymaga wysiłku, Kontemplacja. Wysiłku, za który nikt im nie zapłaci. Was powinni zostawić w spokoju. – Zawahał się i spojrzał w stronę centrum. – Mam nadzieję, że nie będą chcieli waszych cieni. Oni mają upodobanie do duchów.

Spojrzała na niego, blada, zmartwiona.

– Jaki rodzaj najemników ma taką kontrolę nad cieniami, że używa ich jako żołnierzy?

– Jeśli się zbliżą, odejdę. Tak będzie dla was lepiej. Powiedzcie Nocnej Brygadzie wszystko... wszystko o mnie, wszystko, co wam każą. Nie próbujcie niczego ukrywać. Udawanie głupich nie sprawi, że odejdą. Zróbcie wszystko, co wam każą, sprawcie, by łatwiej było im zostawić was przy życiu niż zabić. To jedyny sposób, by uciec przed nimi ze wszystkimi kończynami... i całą duszą.

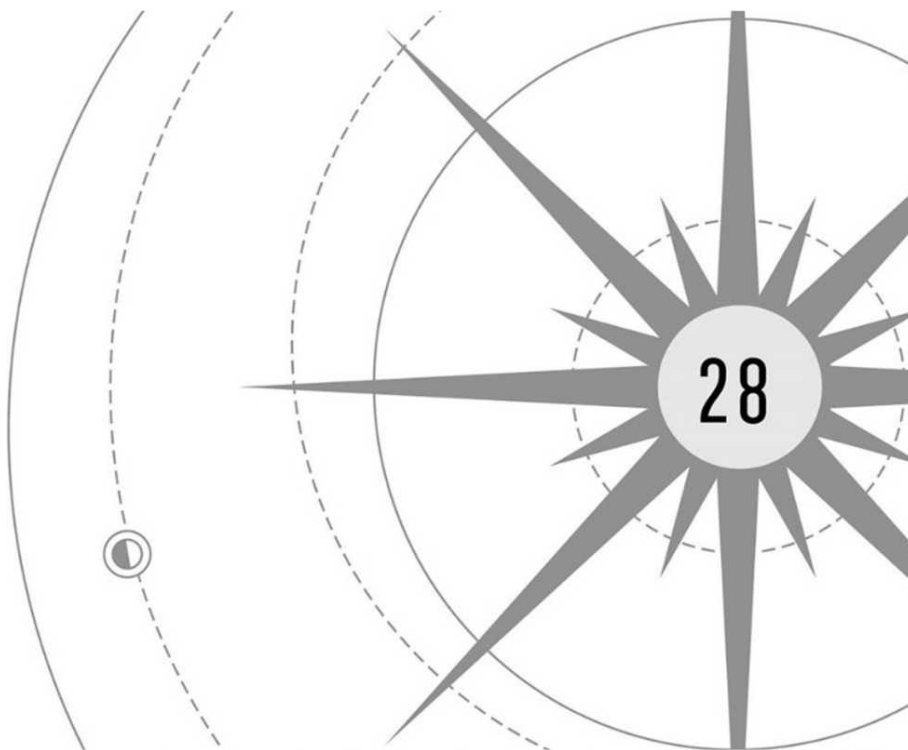
Pokiwała głową.

– Powiem pozostałym. Niech Adonalsium, czy inny bóg, któremu oddajesz cześć, pobłogosławi twój lot, Słoneczny.

– Wystarczy mi, by choć raz żaden bóg nie próbował aktywnie pokrzyżować moich planów.

Wydawała się zaniepokojona tym stwierdzeniem – i powinna.

Pracował gorączkowo z inżynierami. I już po krótkim czasie popędził w mrok na niedużym latającym motocyklu napędzanym baterią.



Potężne reflektory z przodu motocykla sprawiały, że widział, dokąd leci. Jałowe, skaliste zbocze góry, poznaczone otworami w miejscach, z których wydostały się uwiecznione gazy. Powierzchnie były gładkie, wręcz szkliste, a poszarpane krawędzie niezerodowane i ostre jak brzytwa.

Kiedy się wznosił, uświadomił sobie, że po raz pierwszy na tej planecie jest naprawdę sam. Nawet kiedy pracował nad diagramami, w pomieszczeniu była Elegia. Teraz byli tylko on, Pomocnik i ciemność. Osłonięty przed światłem słońca przez tarczę, która – z definicji – miała rozmiar planety. Skierował motocykl w górę zbocza i wkrótce natrafił na śnieg. Mechanizmy ochronne jego ciała zaczęły już działać, ogrzewając go od środka, więc nie zauważył temperatury powietrza. Śnieg był pierwszą wskazówką, że zaczęli się wznosić na niebezpieczną wysokość.

„No tak, mówi rycerz, czy to dobra chwila, by spytać, co zamierzasz zrobić, jeśli to się uda? Jak znajdziemy ukryte Schronienie? Wcześniej poświęciliśmy na to prawie cały dzień, a wtedy Popielny Król nie wiedział, co robimy. Teraz będzie to o wiele trudniejsze”.

– Być może. – Przed twarzą Nomada pojawiła się chmurka oddechu. – A może nie. Miasta trzymają się tu ściśle określonych szerokości geograficznych. Potwierdziłem to z ich nawigatorami. Popielny Król lata Jednością wokół planety po linii prostej.

„No i?”.

– No i to znacznie zawęży obszar, który musimy przeszukać – powiedział Nomad.

„Przepraszam, mój posłuszny lokaju, mówi rycerz. Nadal nie nadążam za twoją rozproszoną logiką. Czy to wysokość ci zaszkodziła?”

– Dobrze, pozwól, że wyjaśnię to w taki sposób. – Nomad ominął dużą formację skalną. – Popielny Król nie robił regularnych wypadów, nie latał gdzieś, by badać wejście. Ktoś by to zauważył, gdyby za każdym obrotem tajemniczo opuszczał miasto. Wiemy jednak, że Popielny Król od lat próbuje dostać się do Schronienia. Wszyscy się zgadzają, że to jego obsesja, a nie-liczni nawet widzieli drzwi. Musiał więc badać je w czasie ich normalnej wędrówki, podczas jednego z regularnych postojów na uprawę plonów.

Ponieważ Jedność zawsze leci wzdłuż linii prostej wokół planety, wejście znajduje się gdzieś na tej określonej szerokości. Na trasie miasta. W miejscu, gdzie może od czasu do czasu wylądować ze swoimi najbliższymi i najbardziej zaufanymi urzędnikami, podczas gdy wszyscy inni uprawiają rolę.

„Racja. Więc... to nadal ogromny obszar. Gdzieś na długiej linii wokół planety? Owszem, to niewielka planeta, ale to i tak za duży teren do przeszukania w czasie pościgu. Musimy wiedzieć, gdzie na tej linii znajduje się wejście.”

– Właściwie nie musimy tego wiedzieć. Nie w tej chwili. Bo Popielny Król to wie.

„Niestety, myśli rycerz, mój pozbawiony snu giermek w końcu stracił rozum i gada bzdury”.

– Zaufaj mi w tej kwestii. Znalezienie Schronienia nie będzie trudne. Ani jego otwarcie. To będą dwa najłatwiejsze elementy naszego zadania.

„To w takim razie co jest trudne?”

Nomad nie odpowiedział. Pochylił się nad motocyklem i sprawdził czas. Zgodnie z szacunkami wszystkich powinien być w połowie wznoszenia. I rzeczywiście, jego prędkość spadała w miarę, jak konwencjonalny silnik powoli tracił zdolność napędową. Kiedy opadł niżej, pozostawił za sobą ślad stopionego lodu, ale zaczął z uruchomieniem nowego silnika. Musiał dotrzeć jak najdalej na konwencjonalnym, by oszczędzać czynnik roboczy nowego.

„Więc... założmy, że przelecimy nad górą, myśli głośno rycerz. Jakimś cudem nie zużyjemy całej energii Promienia. Ty uczynisz cuda, które zaplanowałeś, zlokalizujemy drzwi i otworzymy je. I co wtedy? Co się stanie, kiedy Rebeke i pozostali odkryją, że brama, którą próbował otworzyć Popielny Król, nie prowadzi do jakiejś mitycznej, idyllicznej jaskini i utopii życia bez słońca? Co się stanie, kiedy odkryją, że prowadzi do niewielkiej placówki badawczej ludzi spoza świata?”

– Gratulacje. Zidentyfikowałeś trudność.

„Ach. Racja”.

– Powiedziałem, że wprowadzę przywódców Promienia przez te drzwi. Taka była moja przysięga. Nie powiedziałem, że rozwiążę ich problemy z Popielnym Królem albo ich większy problem, smutny fakt, że jest mało prawdopodobne, by na ich planecie było jakiegokolwiek prawdziwe schronienie przed słońcem. Ostrzegałem ich. I tak się zdecydowali. Więc to nie mój problem.

„Nie jest ci smutno z tego powodu”.

– Nie mogę pomóc każdemu. Ledwie radzę sobie ze swoimi własnymi problemami. Muszę ruszać naprzód.

„Tak, ale... czy nie ma innego sposobu? Nie możemy zrobić więcej?”

Kiedyś, zamiast pytać, Pomocnik zrobiłby mu wykład. Od tamtego czasu obaj dużo przeszli. Nomad nie widział w tych słowach potępienia. Jedynie smutek.

Nie odpowiedział, bo naprawdę zaczynało brakować powietrza i wątpił, by udało mu się wystarczająco napełnić płuca. Wypuścił oddech i pozwolił, by jego ciało zrobiło to, co robiło, chroniąc go niewielką banieczką niewidzialnego ciśnienia, co było resztką jego starych mocy. Zużywał Napełnienie, ale nie tracił go zbyt wiele.

Pod nim silnik rzeził, ale motocykl z trudem utrzymywał się w powietrzu – i zaledwie czołgał się w górę zbocza. Dlatego Nomad uruchomił nowy silnik – a właściwie uzupełnienie starego systemu.

Zadziałł doskonale, wypuszczając strumień przegrzanej pary i wznosząc go dobre dziesięć stóp nad zamarznęty krajobraz. Znalazł się ponad trwałą osłoną chmur, więc dobrze widział gwiazdy. Poświęcił chwilę na podziwianie pierścieni – które, o ile dobrze pamiętał, były kolejnym dziwactwem. Nieliczne inne planety z pierścieniami, które odwiedził, miały je na równiku, ale nie ta. Dziwne pierścienie, dziwne ciążenie, dziwne promienie słońca. Co za osobliwa planeta.

Niestety, pierścienie przypomniały mu o statku, który właśnie pojawił się na górze. Nie mógł myśleć o tym, jak blisko była Nocna Brygada. Skupił się na drodze.

Jego wzrok się przystosował, więc przygasił reflektory. Śnieg też zniknął – nie było dość atmosfery. Teraz był tylko on. I szare skały, jak rampa prowadząca do samego cosmere. Te rozrzucone szczyty nie były wysokie, około tysiąca stóp, mimo stromych zboczy. Ale nawet jeśli ten szczyt był względnie niski, nie znaczyło to, że nie warto było się na niego wspiąć, i nadal poczuł dumę, kiedy zbliżał się do wierzchołka.

Na samym szczycie wyłączył silnik i opadł łagodnie. Jego stopy bezgłośnie dotknęły kamienia. Nie było tu dość atmosfery, by przenosić fale dźwiękowe. Cieszył się chwilą zaparkowany na szczycie świata. Obserwował zakrzywienie niewielkiej planety i spoglądał nad kłębiącymi się chmurami. Słońce wciąż znajdowało się w pewnej odległości, nie podświetlało nawet horyzontu.

Po obu jego bokach wznosiły się wyższe góry. Nie widział niższej przełęczy, przez którą mogłoby się prześlizgnąć miasto. Uciekinierzy musieli wspiąć się na samą górę. Po drugiej stronie zbocze było jeszcze bardziej strome, opadało w dół w sposób, który w normalnym łańcuchu górskim byłby nieprawdopodobny. Erozja poniżej w krótkim czasie zawałiłaby tę wyższą część. Ale tutaj szczyty musiały wytrzymać tylko dzień, by się odrodzić.

Znowu zwrócił się w stronę gwiazd. Zawsze wydawały mu się przyjazne. Pełne opowieści. Jak wiele z tych gwiazd już odwiedził? Zaledwie ułamek, a jednak cosmere zaczęło wydawać mu się małe. Instynktownie próbował odnaleźć Bliznę Talna, ale plama czerwieni nie była widoczna pod tym kątem.

„Pamiętasz, pyta rycerz, kiedy po raz pierwszy zorientowałeś się, że goni cię Nocna Brygada?”

Nomad posłał przez więź irytację.

„Ach, racja, uświadamia sobie rycerz. Tak wysoko nie możesz mówić. Jakie to wyjątkowe... jakie urocze. Ja mogę mówić, a ty nie możesz mi przerwać? Wiesz, jak na zwykłego lokaja, z pewnością zawłaszczasz sobie dużą część okazji do mówienia”.

Więcej irytacji. Tak dużo irytacji.

„Cudownie! Cóż, założę, że pamiętasz. To nie jest coś, co łatwo zapomnieć. Podszedłeś do nich i zasadniczo się im poddałeś”.

Nomad doszedł do błędnego wniosku, że nie będą nim zainteresowani, bo już nie miał Odprysku Świtu. Myślał, że wyjaśni nieporozumienie, a oni ruszą w dalszą drogę. Na burze, był głupcem. Podobne nastawienie sprawiło, że wylądował w armii na Rosharze i dźwigał maszyny oblężnicze.

„Czy kiedykolwiek tęsknisz za tym, jaki byłeś wtedy?”.

Obojętność. Nie, ta naiwność tak wiele razy prawie doprowadziła go do śmierci. W przypadku Nocnej Brygady zupełnie przegapił zagrożenie. Wkrótce dowiedział się, że dzięki swoim wypaczonym sztukom mogli go zabić i stworzyć z jego duszy kolec, który doprowadziłby ich do osoby, której dał Odprysk Świtu. Dla nich Nomad był kluczowym ogniwem bardzo ważnego łańcucha. I był znacznie bardziej przydatny martwy niż żywy.

„Tak, myślałem, że nie będziesz chciał wrócić do tego, kim byłeś. I wiesz co, ja też nie tęsknię za tymi dniami”.

To go zaskoczyło i wysłało to uczucie. Był przekonany, że Pomocnik żałuje tego, czym się stał.

„Czymże jest życie, jeśli nie wzrostem? Nie lubię osoby, którą byłem na Rosharze, zanim się poznaliśmy. Lubię zmiany, Nomadzie. Mój rodzaj był zbyt statyczny przez zbyt długi czas, szczególnie my, arcyspreny. A czasami sposób, w jaki mówisz, każe mi sądzić, że wierzysz – albo możesz udawać – że jesteś teraz zupełnie inną osobą. Ale to nieprawda. Wciąż jesteś tamtym mężczyzną. Zdolność, byś stał się tym, czym się stałeś, zawsze tam była. To pewnie brzmi przygnębiająco albo negatywnie, ale nie o to mi chodzi. Jeśli udajemy, że codziennie jesteśmy kimś nowym, co nam to daje? Sugeruje, że nie możemy tak naprawdę się zmienić. Że się nie uczymy. Po prostu zmieniamy się w inną istotę. Czy to ma sens?”.

Ledwie.

„Chcę po prostu powiedzieć... Cieszę się, że tu jestem. Oglądam z tobą to wszystko. Nawet mimo ceny cieszę się, że tu jestem”.

Coś w tych słowach sprawiło, że Nomad poczuł ucisk w swoim wnętrzu. Pomocnik był ledwie obecny, pozostał jedynie fragment istoty, którą był wcześniej, tak błyskotliwej i kompetentnej. Jaki rodzaj uszkodzonej jednostki cieszyłby się, że przeszedł przez to wszystko?

Ale z drugiej strony widok ze szczytu świata... patrzenie ponad niekończącymi się chmurami, z gwiazdami nad głową...

Na burze. Nomad nie mógł być dumny z tego, kim był teraz. Był mężczyzną, który nie mógł nawet wrócić do domu – nie z powodu armii, która go goniła, ale ponieważ... ponieważ nie byłby w stanie stawić czoła swoim przyjaciołom jako osoba, którą się stał.

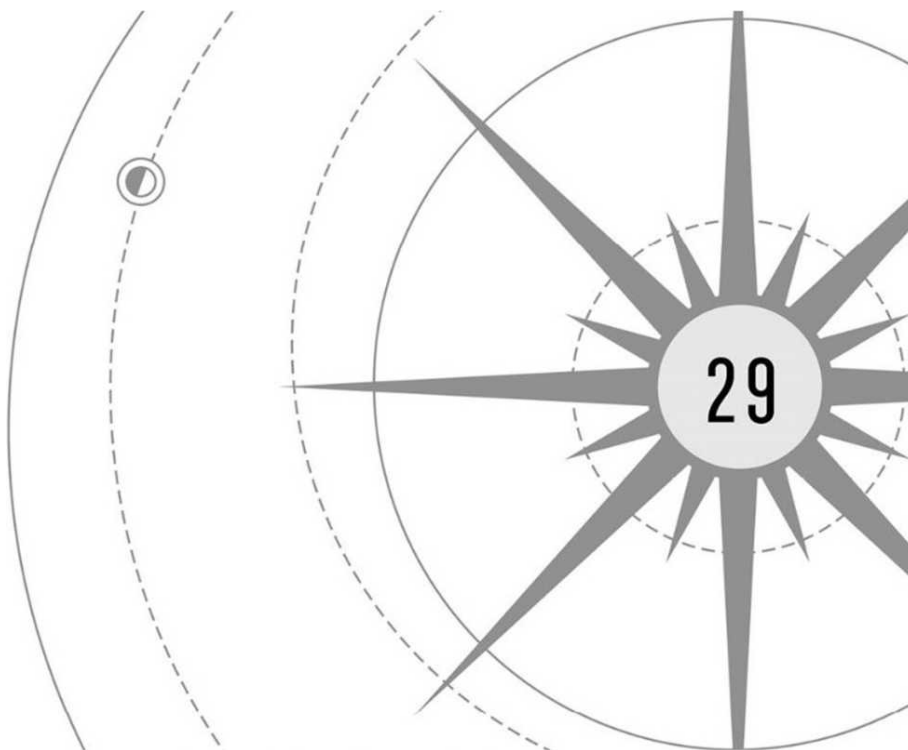
Nie, nie był kimś innym. W rzeczy samej, wciąż był sobą. I to właśnie sprawiało, że to wszystko było bolesne.

Pomocnik zawsze był spostrzegawczy. Ale również często źle rozumiał ludzi. I to z pewnością właśnie przydarzyło mu się teraz z Nomadem.

Znów uruchomił silnik parowy, zawrócił i zjechał z powrotem do atmosfery, gdzie mógł wrócić do typowej konfiguracji silnika.

Kiedy dotarł do Promienia, byli gotowi, porzucili nadmiarowy ciężar, a nowe elementy silników trafiły na swoje miejsca. Znów miał wrócić na górę, tym razem ze stu trzydziestoma pię-

cioma osobami, które wierzyły, że nie skaże ich na cichą śmierć.



Przepustnica jest tutaj. – Jeffrey Jeffrey podrapał się po brodzie. Idąc wzdłuż tablicy sterowniczej, wyjaśniał wszystko Nomadowi. – A to tutaj pozwoli ci obrócić miasto. Mamy tylko jeden silnik sterujący, który pozwoli ci poruszać się w poziomie. Inżynierowie twierdzą, że to powinno wystarczyć.

– Nie lecimy daleko do przodu – zgodził się Nomad. – Największą odległość musimy przebyć w pionie.

Stali w kabinie jego statku, mniejszym pomieszczeniu obok głównej komory, w której wcześniej prowadził badania. Umieścili jego pojazd w dziwnym miejscu – zamocowany bezpośrednio na centrum, nad Chórem. Pod jego stopami, pod metalem, tym cieniom towarzyszyły teraz dziesiątki ludzi ściśniętych w przestrzeni otaczającej Relikwiarz.

Przez przednią szybę widział opuszczone, zredukowane wcielenie Promienia. Zaledwie dwańście statków, umieszczonych w kręgu wokół centrum – trzy z nich były wielkimi zbiornikami wody na samym skraju. W czasie, kiedy je łączono, wyobrażał sobie latający dysk, ale „dysk” błędnie kojarzył się z kształtem zbyt eleganckim, zbyt gładkim, zbyt celowym. Nie, to kojarzyło się bardziej z latającą barką, składającą się z niezgrabnych statków przypominających magazyny.

Miała w przybliżeniu okrągły kształt, ze środkowym wybrzuszeniem wyższym o kondygnację od pozostałych. A on znajdował się na samym szczycie, o ile można tak to było nazwać. Jeffrey Jeffrey pokazał mu, jak mógł obrócić swój statek w miejscu, co było użyteczne. Dzięki temu

mógł przekreślić przednią szybę do tyłu, by przyrzeć się horyzontowi, albo wpatrywać się przed siebie, w stronę gór. Nieduży biało-zielony ekran radaru pokazywał ich bliskość do wzniesienia.

- Te urządzenia umożliwiając odrzucenie statków z wodą po tym, jak zostaną opróżnione. - Jeffrey Jeffrey wskazał tablicę sterowniczą, która wyglądała na niedawno zamontowaną. - To powinno być wszystko.

- A to tutaj? - Wskazał grupę przyrządów po lewej stronie tablicy.

- One kierują urządzeniem poszukiwawczym pod twoim statkiem. Teraz nie są ważne.

Racja. Elegia, zanim stała się Zwęgloną, była badaczką. Kobieta, która przesuwiała granice, społecznie i fizycznie. Wyruszyła, by ukryć się w cieniu, a całe miasto polegało na niej. Jej statek był poszukiwaczem, który miał pozwolić jej odnaleźć ślady Napełnienia w wielkim wirze między słońcem a ciemną krainą, przez którą teraz lecieli.

- Dziękuję - powiedział Nomad. - Powinieneś teraz pójść i znaleźć sobie bezpieczne miejsce.

- Mogę zostać - zaproponował Jeffrey Jeffrey. - Mieliśmy czas, więc uszczelniliśmy również twoje pomieszczenie, na ile mogliśmy. Będzie bardziej przeciekać, bo twoje drzwi muszą łatwo się otwierać. Ale powinno wystarczyć powietrza na cały lot...

- Zbyt niebezpieczne. Ja sobie poradzę.

- A ona?

Jeffrey Jeffrey skinął w stronę głównego pomieszczenia statku, gdzie Elegia wciąż była przykuta do ściany. Przynajmniej teraz mogła usiąść w kącie, zamiast stać przyciśnięta płasko do ściany.

Nie było dla niej innego miejsca. Odrzucili statek, który pełnił również funkcję więzienia. A nie podobał mu się pomysł umieszczenia jej w jednym pomieszczeniu z niewinnymi ludźmi.

- Nic jej tam nie będzie - stwierdził Nomad. - Napełnienie najpewniej pozwoli jej przeżyć jakiś czas bez tlenu, jeśli do tego dojdzie.

- W porządku.

Jeffrey Jeffrey jeszcze przez chwilę wyglądał przez szybę - wszystkie okna na pozostałych statkach zasłonięto stałą, starannie przyspawaną, z obawy, że uszczelki w rogach szyb nie utrzymają powietrza. Dla Jeffreya Jeffreya było to ostatnie spojrzenie na świat zewnętrzny do czasu, kiedy - jak mieli nadzieję - wylądują po drugiej stronie gór.

- Oby towarzyszyło ci szczęście Adonalsium - powiedział mężczyzna do Nomada. - I... obyś zawsze przegonił słońce. W całkowicie dosłowny i bezpośredni sposób, Słoneczny.

Wyszedł, a po kilku sekundach Nomad zobaczył, jak wchodzi do innego statku. Drzwi się zamknęły, ale mieli trzymać otwarte dopływy powietrza do czasu, aż Nomad poinformuje ich, że muszą wszystko zabezpieczyć.

Miasto stało się miastem duchów. Czarnym, skulonym zbiorowiskiem budynków, rozjaśnionym jedynie oświetleniem awaryjnym. Zamieszkanym jedynie przez milczących i martwych.

Stanął przed tablicą sterowniczą i skierował Promień w górę. Ciemność sprawiała, że nie widział szczytów, ale informacje z radaru wystarczały do nawigacji. Zasadniczo przede wszystkim się wznosił. Nie musiał trzymać się blisko zbocza.

„To się wydaje... nudniejsze, niż powinno”.

- I dobrze. - Nomad wpatrywał się we wskaźnik przepustnicy. Wciąż lecieli na zwykłych silnikach działających prawie z pełną mocą. - Chcemy, żeby to było jak najnudniejsze.

„Od jak dawna, pyta rycerz, nie dowodziłeś tak dużą grupą ludzi?”

– Dowodzę? Nie mów tak. Ja pilotuję statek.

„Jesteś za niego odpowiedzialny, co czyni cię kapitanem tego statku. To pozycja dowódcy”.

– Nie to samo.

„Wiesz, to, co się stało, to nie twoja wina. W większości nie miałeś wpływu na tamte wydarzenia”.

– Nigdy nie mówiłem, że miałem.

„Wciąż dźwigasz ten ciężar”.

– Nie jest wielki.

„A jednak ciągle unikaszk sytuacjami, w których musiałbyś znów kierować ludźmi”.

– Tak jest najlepiej dla wszystkich. – Skierował statek odrobinę dalej na wschód, w górę zbocza, z dala od słońca. Wciąż się wznosili.

Czekał, jaką kwestię podniesie teraz Pomocnik.

Tymczasem usłyszał głos dobiegający z tyłu.

– Ty też masz kogoś w głowie, prawda? – spytała Elegia.

Obejrzał się na nią przez ramię. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, nadgarstki miała skute i przymocowane do ściany. Jej popielne serce emanowało łagodnym czerwono-pomarańczowym blaskiem.

– Widzę to w tobie – mówiła dalej. – Inni twierdzą, że się modlisz. Ale to nieprawda. Mówisz do kogoś w swojej głowie. Słyszysz go, tak jak ja kiedyś.

– Owszem – zgodził się Nomad. – To coś podobnego.

– Czy ten głos mówi ci, kogo masz zabić?

– Parę razy zasugerował, żebym skoczył z urwiska – powiedział Nomad z uśmiechem. Kobieta wyraźnie nie zrozumiała żartu. – Nie, Elegio. Głos jest moim przyjacielem. To narzędzie, które czasem przywołuję? To jego ciało.

– Dlaczego jest też w twojej głowie?

– To skomplikowane. Ostatnimi czasy nazywa mnie swoim giermkim albo lokajem. – Na widok jej zdezorientowanej miny tłumaczył dalej. – Pomocnik, to znaczy mój przyjaciel, ma ciało, ale nie panuje nad nim... bezpośrednio. Dlatego siedzi w moim umyśle, jak pasażer. Żartuje więc, że jestem jego lokajem, kimś dźwigającym jego palankin, tak można by to określić, który przynosi go tam, dokąd on chce się dostać.

„Jesteś wyjątkowo mało efektywny, muszę powiedzieć. Rzadko robisz to, co ci każe. Może powinniśmy ci załatwić jedno z tych popielnych serc. Wtedy może byłbyś bardziej podatny”.

– Dlaczego nie walczysz? – spytała Elegia.

– Z kim?

– Ze wszystkimi. Głos mnie powstrzymywał, przez większość czasu, a później wypuszczał, kiedy trzeba było z kimś walczyć. Teraz... chcę walczyć ze wszystkimi. Powiedziałeś, że to czujesz. Widzę, że to czujesz. Więc dlaczego nie walczysz?

– Wybieram, kiedy walczę.

Na zewnątrz powietrze rzedło. Nie musiał sprawdzać pomiarów ciśnienia, bo silniki wyraźnie rzeziły. Wydał polecenie i ludzie uszczelnili kajuty, zamykając dopływy powietrza.

Od tej chwili miał około dwóch godzin, nim zacznie im brakować tlenu.

– Nie rozumiem – powiedziała Elegia. – Wybierasz, kiedy walczysz? Jak?

„Nie możesz po prostu jej wyjaśnić, że jest coś więcej niż tylko walka? – pyta bohater”.

Mógłby. Ale jeśli mistrz czegoś naprawdę go nauczył, to prowadzenia rozmowy. Wciąż przychodziło mu to tak samo naturalnie, jak postawy z włócznią.

– Nie chcę walczyć z ludźmi tutaj – wyjaśnił Nomad. – Po pierwsze, to żadne wyzwanie. Po drugie, niczego od nich nie chcę.

– Ja chcę od nich walki. Gdybyś mnie uwolnił, nie miałabym wyboru. Walczyłabym z tobą. Walczyłabym ze wszystkimi na tym statku.

– A później co?

– A później... – Urwała.

– A później umarłabyś tutaj, na zimnie. Samotna. Cudownie. Co zyskałaś? Co osiągnęłaś?

– Ja...

– Będziesz musiała znaleźć coś innego w życiu, Elegio.

– Coś... innego...

– Powód. Cel. Kiedy już to będziesz miała, będziesz wiedziała, kiedy walczyć i dlaczego. Będziesz walczyła o coś. – Znów spojrzał jej w oczy. – Nie uda ci się odzyskać tego, kim byłaś kiedyś. Jestem niemal całkowicie przekonany, że ona odeszła, jak księga spalona na popiół. Ale nie możesz też być wyłącznie tym, kim jesteś teraz. Jeśli wciąż się będziesz tak zachowywać, zginiesz. Najpewniej szybko. Będziesz wyła z wściekłości do słońca, nieusatsfakcjonowana, bo walka była krótka i bezsensowna. Ale ten ogień w twoim wnętrzu też nie odejdzie. Znajdź więc coś, czym się przejmiesz, powód, by nad nim zapanować. To moja rada.

– W takim razie jaki jest twój cel? Dlaczego ty żyjesz?

Potępienie. Wszedł prosto w pułapkę. Może jednak nie przetrwał lekcji Trefnisia tak dobrze, jak mu się wydawało.

– Kiedyś żyłem dla przyjaciół – powiedział cicho Nomad. – Ale te dni minęły. Później żyłem, by chronić cosmere... przez jakiś czas powierzono mi jedną z jego najbardziej niebezpiecznych tajemnic. Teraz... teraz żyję, by uciekać.

Zmarszczyła czoło.

– I to jest... satysfakcjonujące. Dlaczego?

– Nie jest – przyznał. – Pewnie sam wciąż próbuję przyswoić tę lekcję.

– I dlatego rozumiesz. – Oparła się wygodniej i zamknęła oczy. – Pojmuję. Tak, pojmuję. Dziękuję.

Burzowa kobieta. Miał wrażenie, że przed tym wszystkim najpewniej była oburzająco przekonana o własnej nieomyślności. Jej wspomnienia nie ocalały, ale część z tego nastawienia tak.

„Jestem zażenowany, przyznaje rycerz, że ona znacznie lepiej wykonuje moje zadanie, niż mi to ostatnio wychodziło”.

– Twoje zadanie – powiedział po alethyjsku. – Od kiedy to twoim zadaniem było prawienie mi kazań?

„Od zawsze, Nomadzie. Wiem, że lata temu wyrzuciłeś swoje sumienie, choć nigdy nie miałem okazji jej poznać. Tak czy inaczej, zostało wolne stanowisko, więc sam się na nie mianowa-

łem. Spytałbym, jak sobie radzę, ale... cóż, jesteś wyraźnym dowodem na to, że nadal jestem początkujący”.

Nomad chrząknął, uśmiechnął się wbrew sobie i sprawdził wysokość. Ledwie się teraz poruszali. Dlatego odetchnął głęboko i uruchomił nowe silniki. Całe miasto szarpnęło się, jakby uderzył je ogromny młot. Po czym znów ruszyło w górę.

Wypuścił powietrze i przez jakiś czas on, Elegia i Pomocnik lecieli w ciszy. Czuł dziwny spokój. Wciąż uciekał, rzecz jasna, wciąż był ścigany. Mógł jednak udawać, że to chwila ciszy i nie musi robić nic poza wznoszeniem się. Po półgodzinie zorientował się jednak, że ich wysokość nie zgadza się z jego obliczeniami.

Poruszali się wolniej, niż się spodziewał. Dał pełną moc i choć zaczęli poruszać się z nieco większą prędkością, to przyspieszenie nie trwało długo.

Wokół nich znikwały chmury i zobaczyli przed sobą zbocze gór skąpane w blasku pierścienia.

„Czy my w ogóle się poruszamy?”

– Tak, ale powoli. – Sprawdził inne odczyty.

Bezgłośnie zachęcał statek do wznoszenia się. I on to robił, coraz wolniej. Gdzieś popełnił błąd w obliczeniach. Teoretycznie z każdą chwilą powinni poruszać się coraz szybciej, bo spalali coraz więcej wody i wyrzucali ją ze statku. Tymczasem zwalniali. Nie bardzo gwałtownie, ale wystarczająco, by wątpił, czy uda im się przelecieć nad szczytem, zanim skończy im się woda.

„Nomadzie?” – spytał Pomocnik. „Co się stało?”

– Nie wiem – przyznał i sprawdził sterowanie przepustnicą, by się upewnić, że się nie zablokowało albo coś w tym rodzaju. – To może być jedna z dziesiątek rzeczy. Może uszczelki, które wykorzystaliśmy, nie działają przy skrajnie niskim ciśnieniu i zaczynają przeciekać. Może ta metoda przeciąża silniki i sprawia, że się przegrzewają. Zwykle odkrywa się takie przypadki dzięki próbom obciążeniowym i kolejnym prototypom. Ale... my nie mieliśmy na to czasu.

Spojrzał na złowrogi horyzont za plecami. Pojawiły się na nim pierwsze ślady światła, słońce wypęzało ze swojego leża i było głodne.

W tej chwili poczuł się jak najgorszy z dziesięciu głupców. Poprowadził tych ludzi na śmierć i nie wiedział nawet, gdzie popełnił błąd w obliczeniach. Z bolesnego doświadczenia w inżynierii wiedział, że tego rodzaju drobne problemy były bardzo liczne – a kiedy jeden z nich pojawił się w czasie początkowych prób, zwykle trzeba było sprawdzić wrak, żeby się zorientować, co poszło nie tak...

Nagle zalała go fala ulgi, kiedy przypomniał sobie, że mieli zabezpieczenia na taki wypadek. Wyciągnął rękę i nacisnął guzik, by zrzucić pierwszy pusty statek z wodą. Pojazd spadł, koziółkując, a większe zbiorowisko statków szarpnęło się, kiedy nagle straciło część masy. Żyroskopy Promienia zareagowały na nagłą zmianę kształtu i ciężaru, utrzymując ich w poziomie, gdy ich prędkość się zwiększyła.

Nie dość szybko. Sprawdził poziom wody i odkrył, że drugi statek również zasadniczo był pusty. Nacisnął guzik, żeby go odrzucić.

Nic się nie stało.

Nacisnął raz jeszcze.

„Nomadzie?”

- Mechanizm uwalniający na drugim statku się zaciął. - Wyrzał przez szybę i zobaczył, że pojazd nadal jest na swoim miejscu. - Musimy natychmiast go odrzucić i mieć nadzieję, że to zmniejszy masę na tyle, byśmy przyspieszyli.

„W porządku. Ale... jak? Umiesz obejść system?”.

Nomad odetchnął głęboko.

- Nie. Będziemy musieli wyjść na zewnątrz i zrobić to ręcznie.



To może być dla ciebie niebezpieczne – powiedział do Elegii, przechodząc przez główną kabinę. – Przepraszam. Spróbuję szybko zamknąć drzwi i nie stracić za dużo twojego powietrza.

– Dlaczego się przejmujesz... mną? – Zmarszczyła czoło.

Zatrzymał się przy drzwiach.

– Istoty ludzkie mają naturalne poczucie przyzwoitości, Elegio. Twoje mogło zostać wypalone. Trochę znam to uczucie, ale powinniśmy być inni.

– Mówiłeś, że kiedyś żyłeś dla przyjaciół. Walczyłeś za nich. Z powodu przyzwoitości?

– Tego i wielu innych rzeczy. Pom, tam nie będę w stanie mówić. Musisz postarać się interpretować moje emocje.

„Zrozumiano, wierny lokaju”.

Niegdyś łącząca ich więź pozwalała Nomadowi przekazywać swoje myśli bezpośrednio do Pomocnika. Ta umiejętność, podobnie jak wiele innych, którymi byli obdarzeni, zniknęła, kiedy Pomocnik w większości umarł.

Nomad otworzył drzwi. To oczywiście doprowadziło do gwałtownej dekompresji – ale był przygotowany. Długi płaszcz łopotał wokół niego, kiedy wyskoczył, a później naparł na drzwi, zatrzasnął je i zablokował zamek. Nie był pewien, ile powietrza zachował dla Elegii. Miał nadzieję, że – w połączeniu z jej naturalnym Napełnieniem – wystarczy dużo.

Na razie musiał się przejmować całym miastem. Podbiegł na bok statku i dotarł do pustej jednostki z wodą. Powolna, ciężka, przeznaczona do poruszania się nad polami i podlewania upraw – teraz wisiała przechylona, jak balast. Od razu dostrzegł problem.

Lód. Wznosili się przez ten sam śnieg, który zauważył w czasie samotnego lotu – ale spędzili w nim znacznie więcej czasu. Pokład pokrywała warstwa lodu, a mechanizmy łączące statki wyraźnie nie zostały zaprojektowane do działania w tak zimnym środowisku. Zamarzły i wiele nie rozłączyło się po uruchomieniu.

Przywołał Pomocnika jako łom i znalazł jeden, który się nie odblokował, wbił Poma i naparł na niego. Z niejakim wysiłkiem otworzył ten zamek i kolejny.

Statek nie spadł, choć wszystkie mechanizmy na pokładzie zostały rozdzielone. Na burze. Zamki pod pokładem, które łączyły go z resztą miasta, też musiały zamarznąć.

„To... źle, prawda?”

Było tylko jedno rozwiązanie. Musiał znaleźć sposób, by otworzyć blokady na spodniej stronie Promienia. W locie. Odesłał Pomocnika i podbiegł do motocykla na skraju miastatku. Nie uzupełnili wody. Potępienie.

„Potępienie”, powiedział Pomocnik. „Co robimy?”

Podniósł siedzenie motocykla i wyciągnął linkę holowniczą, którą widział wcześniej w rękach Rebeke. Przerzucił zwój metalicznej liny przez ramię, przywołał Pomocnika jako hak i łańcuch, po czym podszedł do krawędzi. Stał w miejscu, które nie było częścią statku z wodą, na wypadek gdyby się oderwał. Spojrzał z góry na zbocze skąpane w blasku pierścienia.

„Ojej, mówi rycerz monotonnym, pozbawionym radości głosem. To będzie niezła zabawa”.

Zaczepił Pomocnika w wybranym miejscu, po czym zeskoczył ze statku i opadał, aż znalazł uchwyt dla rąk. Złapał za metal i zmienił postać Pomocnika, tym razem z gałką zamiast haka. Wcisnął ją w pobliską szczelinę w metalu i ukształtował Pomocnika w taki sposób, że idealnie się w nią wpasował i nie mógł się wyrwać.

To zapewniło Nomadowi bezpieczne zakotwiczenie, dzięki któremu mógł przesuwać się dalej, aż zawisł tuż pod Promieniem. Spojrzał wzdłuż spodniej części złożonego z elementów statku. Ośiem silników odrzutowych rozmieszczono w tej samej odległości wokół większego pod centrum. Dziesiąty statek wykorzystywano do ruchu w poziomie, jego silnik był przechylony i wypuszczał parę w stronę horyzontu.

Kiedy Nomad nacisnął przycisk odłączenia, silnik statku z wodą się wyłączył. W ten sposób jednostka stała się jeszcze większym obciążeniem, bo nie dodawała ciągu. Wisiał tam przez chwilę, patrzył między jaskrawymi czerwono-pomarańczowymi silnikami wyrzucającymi strumienie przegrzanej pary i rozmyślał nad starannym wyważeniem mocy, niezbędnym, by wszystkie silniki działały razem. Zbyt duża moc z jednej strony przewróciłaby miasto, ale maszynieria Promienia instynktownie ją równoważyła. Kiedy Nomad o to spytał, Zapal wspominał, że Chór pomagał w jakiś sposób.

Mieli jakąś częściowo Przebudzoną maszynę różnicową, która wykonywała wszystkie te obliczenia? Stworzoną przez cienie? To by było...

Otrząsnął się. To nie była pora na takie myśli. Jeśli nie pozbędzie się tego balastu, całe miasto wbije się w górę – i utkną tam do chwili, gdy zaleje ich fala promieniowania słonecznego, które stopi miasto-statek w stertę żużlu.

Musiał dotrzeć do tych zamków, co oznaczało przejście po dnie Promienia, aż dotrze do właściwej lokalizacji. Było względnie płaskie, ale miało wystarczająco dużo zakamarków, w których mógł zaczepić hak Pomocnika. Jednak poruszając się na dole, musiał zbliżyć się niebezpiecznie blisko przynajmniej do jednego z tych parzących strumieni.

Przynajmniej ich ryk go nie ogłuszał. W rzadkim powietrzu był prawie niesłyszalny. Prawie próżnia powinna również zapewnić mu izolację od najgorszego gorąca, o ile uniknie bezpośredniego kontaktu, co było kolejnym niewielkim pocieszeniem. Chwycił krawędź dna Promienia, odesłał Pomocnika i zawisł na jednej ręce – przez kilka przerażających chwil – na wysokości kilkuset stóp.

W tym momencie mieszkańcom Promienia zaczynało się kręcić w głowach z braku tlenu. Niektórzy mogli już tracić przytomność. Gdyby więc spadł, nigdy by się nie obudzili. A jego długa ucieczka zostałaby zakończona nie przez Nocną Brygadę, a przez mordercze światło dnia.

Nadał Pomocnikowi postać łańcucha z hakami na obu końcach, po czym zamachnął się pod statkiem i zaczepił Pomocnika o zawór. Następnie złapał drugi koniec łańcucha, rozkołysał się na jednej ręce i zaczepił ten hak w innym miejscu. Za każdym razem, kiedy się poruszał, sprawiał, że koniec się rozmywał, a później odtwarzał, zaczepiony o jakieś wgłębienie na dnie statku.

Wszystko to działo się w niesamowitej ciszy. Napętnienie pomagało jego ciału radzić sobie z niskim ciśnieniem i brakiem tlenu. Nie mógłby robić tego bez końca, bo jego zapasy w końcu by się wyczerpały. Utrzymywało go przy życiu i dodawało sił mięśniom, które dzięki

temu się nie męczyły. Przesuwając się ręka za ręką, powoli wyminął najbliższy z odrzutów – oślepiającą kolumnę przegrzanej pary i światła, gwałtowną i potężną, którą w próżni wyczuwał jako promieniowanie podczerwone.

Fakt, że wyczuwał cokolwiek z tego silnika, świadczył o tym, jak dużo energii wylewało się na zewnątrz. Ominął go i dotarł do miejsca, w którym statek-balast łączył się z resztą Promienia. Zawisł tam, żeby zebrać myśli.

Kiedyś w takich chwilach trudno mu było odruchowo nie łapać powietrza, ale szkolenie często wymagało od niego wstrzymywania oddechu. Moc, która karmiła go w młodości, uciekała z wypuszczanym powietrzem, więc nauczył się je zatrzymywać, nawet w chaosie walki.

Znów ruszył naprzód, wpatrując się w pierwszą blokadę tuż przed sobą. Odczepił hak w lewej ręce i wyrzucił go – ale hak w prawej nie był zamocowany tak dobrze, jak sądził. Prerażenie przeszło go do szpiku kości, kiedy poczuł, jak się zsuwa. Na burze! W panice złapał łańcuch obiema rękami, kiedy ten się naprężył.

Szarpnął się i mocno ścisnął kruchy łańcuch, a pot na jego skórze natychmiast parował w niskim ciśnieniu. Łańcuch zazgrzytał o stal nad jego głową, ześlizgnął się i znów zablokował – ale to drugie szarpnięcie sprawiło, że opadł jeszcze odrobinę i jego palce ledwie ścisnęły koniec łańcucha.

„Potępienie”, rzekł Pomocnik. „Nomadzie. Trzymaj się. Proszę”.

Nomad próbował ustabilizować hak, mentalnie rozkazując mu się powiększyć – ale wcześniej popełnił błąd, umieszczając go na niewielkim występie, wokół którego Pomocnik nie mógł dobrze się zacisnąć.

Poniżej zbocze góry zbliżało się coraz bardziej. A na horyzoncie dostrzegł blask przedświt.

„Nomadzie”, powiedział Pomocnik. „To może być czas na coś drastycznego. Ja... mam jeszcze resztki siły. Mógłbyś znów polecieć. Tylko odrobinę, ale może dosyć, by...”.

Nie. NIE! – pomyślał z naciskiem.

Obaj znali tę prawdę, ale nie wypowiadali jej na głos. W przeszłości spalił Pomocnika w chwili mocy, nieświadomy tego, co robił – do czego był zdolny. Jego ciało szukało energii, gdziekolwiek się dało, a jego przyjaciel – stworzony z czystej energii – był zbyt dogodnym źródłem.

Przez te wszystkie lata Pomocnik istniał jako resztki tego, kim był kiedyś. Ale pozostał najważniejszy fragment – osobowość i umysł Pomocnika. Paliwo, gdyby było konieczne.

Nigdy, pomyślał Nomad.

„Nie pozwolę ci umrzeć”, powiedział Pomocnik. „Nie pozwolę, by miasto się rozbiło. Gdybyś mógł polecieć...”.

W odpowiedzi Nomad zaczął się wspinać. Ręka za ręką, z determinacją, gorączkowo. Z popękanyimi, suchymi dłońmi, drżący na myśl o... o ponownym...

Pomocnik zamilkł, ale Nomad wiedział, co zrobiłby jego przyjaciel, gdyby łańcuch znów się ześlizgnął. Niewypowiedziana groza.

NIGDY WIĘCEJ, pomyślał Nomad, kiedy dotarł do dna statku i wbił drugi koniec łańcucha w bardziej bezpieczne miejsce. Wisiał tam i choć pot na jego twarzy błyskawicznie zniknął, czuł

dotyk chłodu.

„Dziękuję”, powiedział Pomocnik. „Że się przejmujesz”.

Nomad próbował wystać wrażenie złości – nalegania, by Pomocnik nigdy więcej nie podnosił tego tematu. Znów się zakołysał, by dotrzeć do zamka, a później rozwinął linkę holowniczą. Wydawało się, że wszystkie cztery blokady na dole zamarzyły. Miał nadzieję, że nie będzie musiał otworzyć ich, zanim ciężar statku złamie pozostałe.

„Co teraz? – pyta bohater z wahaniem”.

W odpowiedzi Nomad wykorzystał linkę holowniczą, by się przywiązać. Dał jej trochę luzu, więc zawisł cztery stopy pod statkiem. A później zmienił Pomocnika w duży metalowy pręt z płaskim końcem.

Nomad wbił płaski koniec w zamek i napał całym ciężarem na pręt. Fizyczna postać Pomocnika była dosłownie boska – i nie łamała się ani nie zgięła w żadnych okolicznościach. Ale inżynierowie z Promienia porządnie wykonali swoją robotę, a to nie był dobry kąt do otwarcia mechanizmu.

Co gorsza, tarcie działało przeciwko niemu. Na górze zamki otworzyły się łatwo, ale dlatego, że oddzielający się statek opadał pod kątem, co pomagało rozdzielić ich elementy. Ten sam kąt ścisnął te blokady, utrudniając ich rozsuniecie.

„Nomadzie. Góra”.

Nie musiał patrzeć. Tak, byli blisko – i dryfowali coraz bliżej. Kilkadziesiąt jardów od zderzenia. Poruszali się powoli, ale nieubłaganie. Napał mocniej, ale nic się nie stało. A on martwił się, że znów popełnił błąd w obliczeniach. Te statki, kiedy się łączyły, najpewniej miały mechanizmy w kadłubach – nie tylko na górze i na dole. Zamki, które próbował otworzyć teraz, nie musiały nawet być najważniejszym, co utrzymywało je razem. Były zbyt delikatne.

Mogły tam być wzmacniane zaciski lub mechanizmy łączące, których nie widział. Jeśli tak...

Znów spróbował, ustawiając długi łom pod innym kątem. Nic. Potrzebował czegoś lepszego.

Na burze. Ludzie. Potrzebowali go.

Ale on nie mógł... nie mógł stworzyć broni. On...

„Nie broń”, szeptał Pomocnik. „Kolejne narzędzie. By ochronić miasto, Nomadzie”.

Koniec łomu się wystrzył.

W tej sekundzie trzymał w rękach coś, czego nie miał od dłuższego czasu. Symbol z przeszłości Nomada. Narzędzie wojownika, z którym ćwiczył w tajemnicy, a później pokazywał w chwale. Na tyle ostre, że przecinało metal. Wbił je w górę szpary i przeciął zamek, a później coś nad nim, sztabę albo inny mechanizm łączący statki.

To wystarczyło. Statek szarpnął się, oderwał i rozbił na jałowej ziemi poniżej, koziółkując w dół zbocza i rozrywając skały. Nomad wisiał, kiedy Promień się trząsł, jego podstawowy silnik ryczał i wyrzucał gorąco w kolumnie światła i wściekłości. Poczul, że statek wznosi się szybciej, choć z tego miejsca było to niemal niewidoczne.

Nomad z bijącym sercem odwiązał się i z użyciem Pomocnika dotarł na krawędź statku. Po chwili wspiął się na metalowy pokład. Stał wyprostowany i spoglądał w stronę tego przerażają-

cego horyzontu. Promienie słońca próbowały się uwolnić, kiedy statek wznosił się na ich spotkanie. Wyżej. Wyżej.

Prawa strona statku zazgrzytała o skały, aż zadrżała cała konstrukcja. Nomad osunął się na kolana, ale wciąż patrzył na wschód w stronę tego straszliwego światła.

Zgrzytanie ustąpiło, kiedy statek w końcu, o włos, przeleciał nad szczytem góry.

„Udało nam się, raduje się rycerz. Nomadzie, udało nam się. Ale nadal się wznosimy”.

Na burze. Nomad odwrócił się i pobiegł w stronę kabiny, przerażony, że znaleźli się tak blisko celu, ale ostatecznie wzniesli się tak wysoko, że...

Kiedy statek wyszedł z cienia planety, zalały go promienie słońca. Spokojne, ciepłe, zwyczajne promienie słońca.

Co, do diabła?

Stał tam przez dłuższą chwilę, zawieszony nad szczytem góry, ale nic nie stało się jemu ani Promieniowi. Wcześniej zauważył, że statek Nocnej Brygady zbliżył się, a jego osłony to wytrzymały. Co się działo? Dlaczego unosili się w świetle i nie zostali zniszczeni?

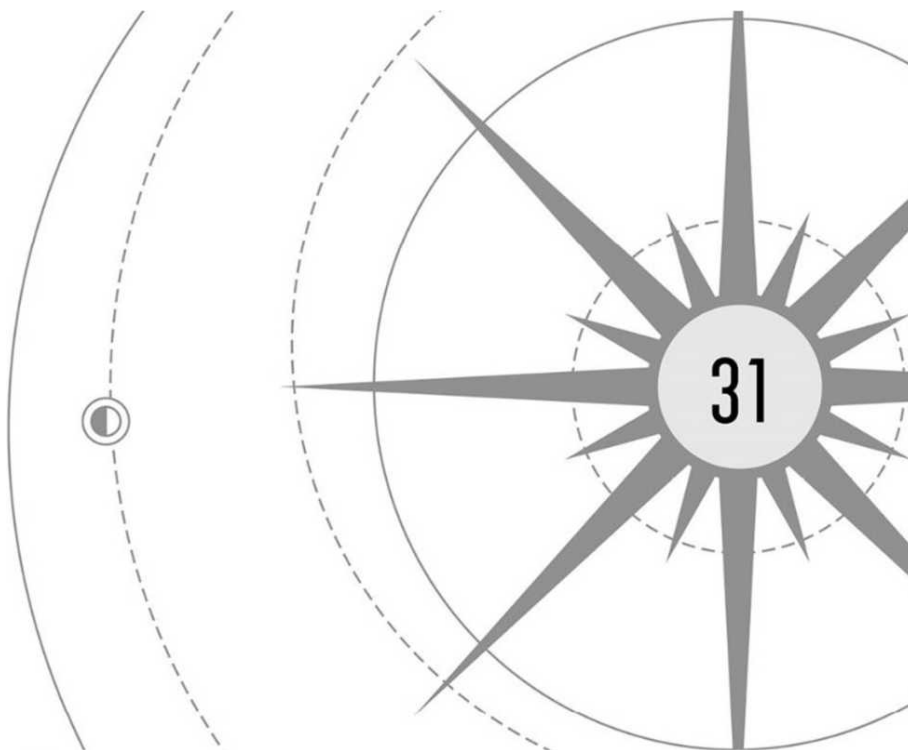
Potępienie. Nie znosił działań, mając tak mało informacji. Gdyby promieniowanie słońca miało wyjątkowo dużą moc, zerwałoby atmosferę tej planety, tak w każdym razie mu się wydawało. I dlaczego na biegunach zawsze były góry? Czy planeta, która ciągle się topiła, nie powinna być kulą? A może naturalnie była owalem, a siła ciężenia ściągała więcej powietrza bliżej równika, przez co wydawało się, że na biegunach były góry, choć w rzeczywistości były to krawędzie owalu wystające poza atmosferę? Czy to w ogóle było możliwe?

Kiedy tak się zastanawiał, Promień przestał wibrować.

Zmarszczył czoło w tej dziwnej ciszy. Silniki przestały działać. Co to znaczyło? Dlaczego...

Skończyła im się woda. Nie było już czynnika roboczego.

Żołądek podjechał mu do gardła i poczuł, jak cały kompleks Promienia zaczyna opadać po drugiej stronie gór – bez silników, które by to spowalniały.



Było źle.

Było również wspaniale, bo statkowi udało się przelecieć nad szczytem góry, zanim zabrakło mu wody. Dlatego w miarę jak spadali, ukrywali się w cieniu góry.

Nie był jednak przygotowany na niekontrolowane spadanie. Na burze. Woda skończyła im się znacznie wcześniej, niż zaplanował. Wszystko, co robił razem z inżynierami, wymagało mnóstwa zgadywania. Jeśli się nad tym zastanowić, mieli szczęście, że poszło aż tak dobrze.

W coraz większych ciemnościach przeszedł przez pokład. Przynajmniej tutaj nie mógł się martwić, że zrzuci go wiatr. Spadał z taką samą prędkością, co statek, a choć czasami musiał używać Pomocnika, żeby się złapać, w końcu udało mu się dotrzeć do centrum i wspiąć do drzwi *Ściągającego świt*.

Spodziewał się, że po drodze w dół uderzą w zbocze, ale jak na razie nic. Strone, przypominające ścianę krateru urwisko po tej stronie było niewielkim błogosławieństwem. Wciągnął się przez drzwi i zobaczył Elegię leżącą w kącie, nieprzytomną – miał nadzieję, że tylko nieprzytomną. Pod jego nieobecność kabina całkowicie się rozhermetyzowała.

Przeciągnął się przez pomieszczenie. Spadali swobodnie i ciążenie przez najbliższe kilka chwil zupełnie nie miało znaczenia. Silniki. Musiał uruchomić zwykłe silniki. Przez wciąż otwarte drzwi zaczynał słyszeć świst wiatru. Kiedy znajdą się w bardziej gęstym powietrzu, zwykłe silniki powinny znów zadziałać.

Ale kiedy dotarł do tablicy sterowniczej, odkrył, że zgasły. Kiedy skończyła się woda – która służyła również jako chłodzenie – wyłączyły się.

Na burze. Spojrzał na przycisk, o którym Jeffrey Jeffrey wspomniał w przelocie, a który służył do ponownego uruchomienia systemu. Wszystko sprowadzało się do tego? Po wszystkich jego wysiłkach chodziło o naciśnięcie przycisku?

To i czekanie.

Silniki się nie uruchomią, jeśli naciśnie go zbyt szybko. Na burze, mogą w ogóle się nie uruchomić. Wyczerpanie chłodzenia, kiedy były przegrzane w próżni... coś takiego całkowicie niszczyło maszynę.

Zapanował nad pokusą, by wielokrotnie wcisnąć przycisk. Na całej tablicy migotały światełka sygnalizujące przegrzanie. Powietrze. Potrzebowali powietrza. Ono schłodzi silniki w czasie spadania. Pozwoli, by ciepło się rozproszyło.

„Nomadzie, pyta rycerz z wyraźnym wahaniem, co robisz? Naciśnij przycisk”.

Czekał, przyglądając się wskaźnikom, z nogami zaczepionymi pod krzesłem, żeby zostać na miejscu. Próbował wyjaśnić, ale wciąż było za mało powietrza. Więc czekał. Z bólem czekał.

„Nomadzie, naprawdę sądzę, że powinieneś nacisnąć ten głupi przycisk”.

Za oknem widział, jak ciemny kształt góry porusza się coraz szybciej i szybciej, gdy ich spadanie przyspieszało. Na zewnątrz świstało powietrze.

„Nomadzie. Proszę”.

Odetchnął głęboko prawdziwym powietrzem – i się odezwał.

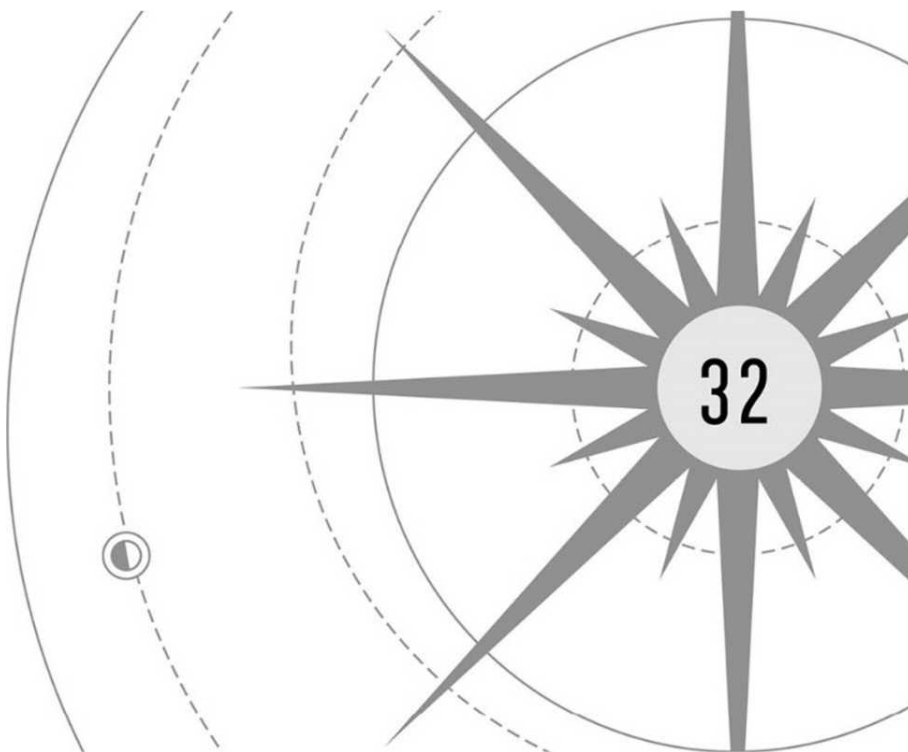
– Jeszcze nie.

„To kiedy?”

Przez kilka sekund patrzył, jak wskaźniki na zegarach pełzną z czerwieni w stronę pomarańczowego. W chwili gdy dotknęły tej linii, uderzył w przycisk.

Cztery z pozostałych dziesięciu silników uruchomiły się. Z szarpnięciem, od którego zabolowały zęby, próbowały zwolnić statek.

I wtedy Promień uderzył o ziemię.



Nacisnął przycisk awaryjnego otwierania, odblokowujący drzwi wszystkich pomieszczeń, w których przebywali mieszkańcy Promienia. Mogli otworzyć je od środka, ale istniała duża szansa, że wielu z nich było nieprzytomnych. Zależało to od tego, jak hermetyczne były pomieszczenia i jak bardzo ludzie wewnątrz hiperwentylowali. Jedną z wielkich ironii losu było to, że ludzie, którym zaczynało brakować powietrza, często martwili się tak bardzo, że zużywali je szybciej.

Kiedy to zrobił, sprawdził stan Elegii. Wciąż żyła. A w każdym razie popielne serce nadal świeciło, wydawało mu się też, że kobieta oddycha. Oczywiście nie słyszał bicia serca. Nie wiedział do końca, jak to dla niej działało – istniały różne sposoby, w jakie Napełnione ciało pilnowało, by jego komórki pozostawały odżywione.

Czas zobaczyć, jak bardzo uszkodziły się statki. Zatoczył się do drzwi, ale natychmiast uświadomił sobie zagrożenie, o którym nie pomyślał wcześniej. Stał na szczycie pomieszczenia, w którym przebywały skrajnie chwiejne, bezcielesne Napełnione istoty. Duchy. Cienie. Jakkolwiek je nazwać, były jednymi z najbardziej niebezpiecznych stworzeń w cosmere.

Właśnie rozbił ich pomieszczenie o ziemię, a później bez namysłu nacisnął przycisk otwierający drzwi. Zawahał się na progu swojego statku, zastanawiając się, czy będzie miał czas go odłączyć i odlecieć, zanim przyjdą po niego, wygłodniałe, z czerwonymi oczami.

Na szczęście zobaczył kilka sylwetek niepewnie wylaniających się z centralnego statku poniżej. Nie wyglądali, jakby zostali pożarci. Zszedł i wyminął tych, którzy postanowili szybko usiąść

na pokładzie. W środku przestrzeń dla duchów wyglądała na nieuszkodzoną, nie widział nawet pęknięcia. Rozsądnie stworzyli ją ze swojego najmocniejszego materiału.

Upewnił się, że wszystkie inne drzwi się otworzyły, i odkrył, że dwa z dziesięciu statków bardzo przeciekały. Ludzie w środku byli w gorszym stanie niż inni, ale nie było zabitych – jedynie kilku nieprzytomnych, mnóstwo guzów, trochę połamanych kończyn. Zgodnie z jego sugestią Większe Dobro rozdzielono między trzy różne statki i wszystkie przetrwały lądowanie właściwie bez szwanku.

Rebeke wyłoniła się z innego statku, pomagając starszemu mężczyźnie, którego Nomad nie znał. Mężczyzna podniósł wzrok na gwiazdy i zaczął wypowiadać cichą modlitwę dziękczynną, a w oczach miał łzy. Zauważywszy Nomada, Rebeke podeszła do niego. Wciąż wyglądała na oszłomioną.

– Udało się – szepnęła. – Ja... wątpiłam w ciebie. Myślałam, że to się nie uda. Dlaczego nie wierzyłam?

– Bo jesteś bystra – odparł Nomad. – To był szalony plan.

– To był twój plan.

– A ja wiem najlepiej, jak ryzykowne bywają moje pomysły. Jestem zaskoczony, że oboje teraz tu stoimy.

„Rycerz nie rozumie, dlaczego Rebeke ma wściekłą minę. W końcu dokładnie takie głupoty Nomad gada przez cały czas”.

– Cóż – powiedziała Rebeke w końcu. – Żyjemy.

– Zgoda. – Spojrzał na gromadzącą się grupę obolałych, częściowo podduszonych, emocjonalnie zmaltretowanych ludzi. – Na razie. Znajdźmy inżynierów. Chcemy się dowiedzieć, jak bardzo uszkodziłem wasze miasto.

– Chcesz wiedzieć, jak źle to wygląda? – spytała Powaga Boska. – Pozwolę sobie powiedzieć, że jesteśmy gdzieś pomiędzy „Na cienie, jaki bałagan” a „Nie miałam pojęcia, że ta część może odpaść!”.

Stali w sali otaczającej wypełnioną mgłą przestrzeń dla Chóru, która na szczęście pozostała nietknięta. Ten sam zespół, co zawsze. Jeffrey Jeffrey, Zapał, Rebeke i Większe Dobro. Współczucie siedziała na ziemi, owinięta kocem, a reszta stała.

Po tym, jak porzucili budynek, który wcześniej wykorzystywali jako salę narad, z jakiegoś szalonego powodu wybrali ten. Być może postrzegano go jako oficjalny albo coś w tym rodzaju. Albo może była to pierwsza sala, którą ewakuowano po upadku.

– Za pozwoleniem, Powago Boska, powiedz nam to otwarcie – poprosiła Pewność. – Jak poważna jest nasza sytuacja?

– Sześć silników całkowicie się zablokowało i będą potrzebować wymiany wtryskiwaczy. Błoto wbite we wszystkie zwrócone w dół dysze. Zmiażdżone wloty na trzech złączach, do tego zderzenie uszkodziło część blokad. Sugeruję, byśmy od tej pory lecieli osobno, bo nie mogę zagwarantować, że całość zachowa integralność.

– Nie jest... aż tak źle – skomentował Jeffrey Jeffrey. – Prawda?

- To zależy. - Powaga Boska rozłożyła szeroko ręce. - Mój zespół może to naprawić. Może nawet uda się nam to zrobić przed wschodem słońca.

- Mamy dodatkowy czas - zgodziła się Kontemplacja. - Ze względu na góry. Choć będziemy potrzebowali korytarza cienia chroniącego przed słońcem, żeby uciec, więc nie możemy się tu ukrywać bez końca.

- Dwie i pół godziny, może odrobinę więcej - stwierdził Zapał. - Tak powiedzieli mi nawigatorzy. Dłużej, a będziemy musieli przebyć pole ognia, by wrócić do zmroku.

Dwie i pół ich godzin. Te góry były wyjątkowo wysokie jak na rozmiar tej planety, rzucając całkiem sporo cienia, który chronił Promień. Szczególnie jeśli wziąć pod uwagę powolne obroty planety, nie dziwiło go, skąd się wzięło tak dużo czasu.

Wciąż było to przerażająco mało czasu na rozwiązanie ich problemów.

- Już zatrudniłam Chór do wytwarzania części - powiedziała Powaga Boska. I rzeczywiście, ze środka przestrzeni dochodziły ciche odgłosy. Co bardziej niepokojące, Nomad był przekonany, że słyszał, jak ktoś szeptem powtarza jej słowa za każdym razem, kiedy się odzywała. - I w pozostałym czasie może uda mi się sprawić, by statki nadawały się do lotu. Tyle że one się nie ruszą, nawet kiedy zostaną naprawione.

- Słoneczne serca - domyślił się Nomad. - Skończyła się nam energia.

- Silniki płonęły goręcej, ale mniej efektywnie, niż mieliśmy nadzieję. - Pokiwała głową. - Niemal nic nam nie zostało. To cud, że wylądowaliśmy... odpaliły się jedynie cztery silniki, a z tych, które tego nie zrobiły, część miała wyczerpane słoneczne serca.

- Czyli zostaliśmy zatrzymani - powiedziała Współczucie. - Zamrożeni.

Wydawało się, że to słowo ma dla nich większą wagę, obciąża je kontekst, którego Nomad mógł się tylko domyślać. To był świat, w którym zamrożenie, zatrzymanie, oznaczało śmierć.

- Musimy ukraść trochę dusz. - Zapał stanowczo pokiwał głową. - Jeśli nikt z was nie ma nic przeciwko, zgromadzę zespół. Czy mamy dość mocy, by polecieć jednym statkiem na wypad, a później wrócić?

- Tak - powiedziała Powaga Boska. - Ale... kogo zamierzasz okraść?

- Nie możesz udać się na południe, Zapale - zauważył Jeffrey Jeffrey. - Chyba że spróbujemy przebyć jeszcze wyższe góry.

- Na północy jest Popielny Król - powiedziała cicho Rebeke ze swojego miejsca na skraju kręgu. Jakby nie była pewna, czy jest mile widziana.

- On ma mnóstwo słonecznych serc - stwierdził Nomad. - Po tym, jak nakarmił słońce waszymi pojmanymi przyjaciółmi. Czy one nie pojawią się wkrótce? Słoneczne serca, które zostały stworzone, kiedy po raz pierwszy stanąłem w promieniach słońca?

- Po raz pierwszy? - powtórzyła Rebeke.

Nomad uniósł głowę.

- Tam, na górze, promienie słońca dotknęły mnie na pokładzie Promienia, ale nic nie zrobiły. Wciąż staram się zrozumieć, dlaczego...

Wszyscy patrzyli na niego z podziwem.

- Nie chodziło o to, że jestem Słoneczny. Statek też się nie stopił.

To nie wpłynęło na ich oszołomione miny. Jakby sądzili, że ochronił cały statek - jakby miał moc jakimś sposobem osłonić ich przed promieniami słońca.

„Wiesz, mówi rycerz z oschłym rozbawieniem, zawsze narzekasz na legendy, których jesteś źródłem. A później mówisz takie rzeczy...”

– Tak czy inaczej... – Nomad postanowił przejść dalej – ...Popielny Król stworzył wczoraj dużą grupę nowych słonecznych serc... a miejsce, w którym to zrobił, powinno być tuż przed nami.

– Dusze naszych przyjaciół, pozostawionych w słońcu. – Zapał z powagą skinął głową. – Znamy długość. Jeśli wykorzystamy poszukiwacza, znajdziemy je.

– Popielny Król zawsze strzeże granicy między wielkim wirem a cieniem – zauważyła Pewność. – Nie chce, by ktoś inny zabrał stamtąd słoneczne serca.

– Wyjaśnijcie mi to raz jeszcze. – Nomad zmarszczył czoło, próbując stworzyć sobie obraz w umyśle. – Dzienna strona planety to palące gorąco i stopione skały. Rozumiem to. Ale jest też... burza, którą nazywacie wielkim wirem. Czy to burza bardziej gwałtowna niż ta, przez którą przelecieliśmy w ciemności?

– Tak – szepnęła Współczucie. – Wielki wir podąża za zachodem słońca, kiedy planeta wchodzi w noc. To szalejąca nawałnica o ogromnej gwałtowności. Kiedy ziemia w końcu stygnie i burza się rozprasza, zaczyna się cień... osłona chmur, w której możemy się ukryć. Na tej linii są zbierane słoneczne serca.

– Czyli możemy go tam napaść – stwierdził Nomad. – Zaatakować punkt zbioru i ukraść kilka. Jak to daleko?

– Dla szybkiego statku? – spytał Zapał. – Lot od prawie świtu do wielkiego wiru może trwać zaledwie godzinę.

Nomada znów uderzyło, jak malutka jest ta planeta. Zgodnie z jego szybkimi obliczeniami najwyżej dwieście mil średnicy. Niesamowite.

– Czyli jest szansa. Mamy dwie i pół godziny. Wlatujemy, kradniemy słoneczne serca, wracamy tutaj.

– To się nie uda. – Pewność zaplotła kościste ręce na piersi. – Niedawno go napadliśmy. Nie da się znów zaskoczyć.

– Być może – powiedział Zapał. – Ale pozwolę sobie zaproponować kontrargument. On nie mógł się spodziewać, że przeżyjemy przelot nad górami, prawda? Zakłada więc, że zostaliśmy zniszczeni, a on odniósł zwycięstwo. Może uda się nam ukraść statek zwiadowczy z Jedności, by nikt się nie zorientował, że to my, i podlecieć dość blisko, by ukraść kilka słonecznych serc z jego jednostek.

– Ukraść jeden z jego statków? – spytała Kontemplacja. – W tym czasie? Tak, twoje słowa mają swoją wartość, a on może zakładać, że zginęliśmy. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, byśmy ukradli statek i zrealizowali taki plan w czasie, który mamy. Zgadzam się z Pewnością, Zapał. Mieliliśmy tygodnie na zaplanowanie poprzedniego wypadu i błogosławieństwo twojego urzędowania, które potrafiło zamrozić jego Zwęglonych.

– Zrobisz to – obiecał Zapał. – Proszę. Pozwólcie mi spróbować ocalić naszych rodaków.

– Albo możemy wypróbować coś innego. – Nomad wskazał kciukiem w górę. – To *Ścigający świt* Elegii, prawda? Wzmacniany poszukiwacz?

– I co z tego? – spytała Kontemplacja.

- I, jak wyjaśniłaś, Popielny Król zawsze zbiera słoneczne serca po przejściu wiru. A gdybyśmy nie czekali? Gdybyśmy polecili przed nim i ukradli je z ziemi, zanim do nich dotrze? Wewnątrz burzy?

Wszyscy zagapili się na niego.

„Jasne, mówi rycerz, to niezła zabawa. Podoba mi się sposób, w jaki sprawiasz, że topią się im mózgi. Jest uroczy”.

- Przeżyć wielki wir? - wyrzuciła z siebie Pewność. - To niemożliwe.

- Nikt nie wchodzi w wir - dodała Kontemplacja. - To szaleństwo.

- To samo mówią o burzy na moim ojczystym świecie. Ale ja znam kogoś, kto to przeżył, a później zainspirował cały szereg nas, by zrobić to samo. - Wskazał znów statek Elegii. - Powie dzieliście mi, że został wzmocniony, by wlecieć w wir.

- Nigdy nie udało mu się wlecieć w pełni w wir! - powiedziała Powaga Boska. - Pomagałam go wzmacniać, ale czujniki za każdym razem mówiły jej, że zginie. Zawsze się wycofywała.

- Nigdy tak naprawdę nie wleciała w wielki wir? - spytał Nomad.

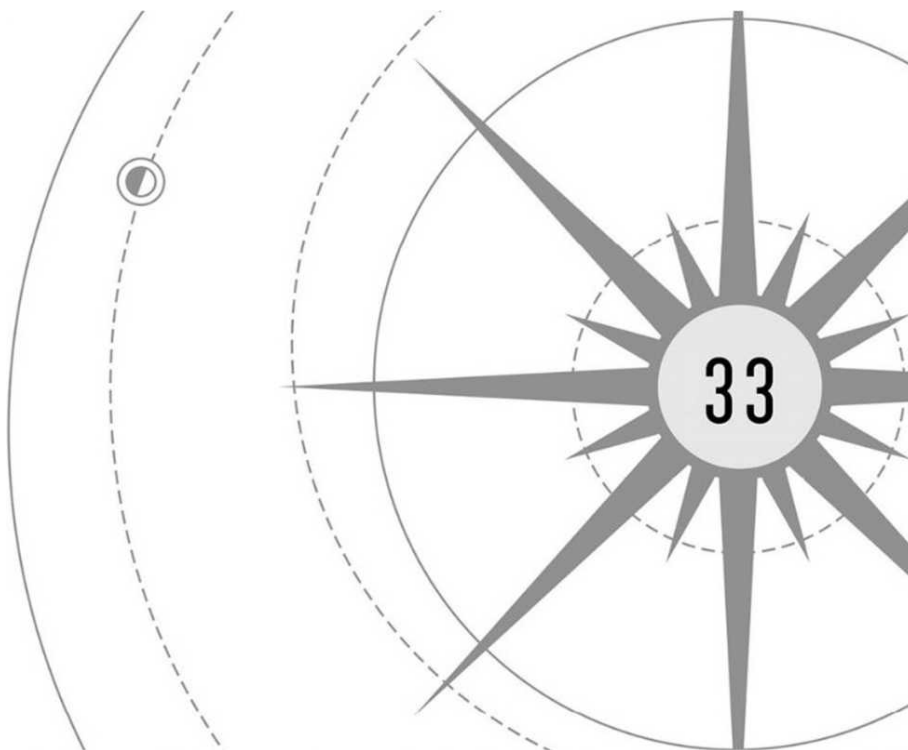
- Nie - odparła Rebeke. - Bo nie jest szalona.

Nomad wskazał na boki, szerokim gestem obejmując cały statek pod nimi. Ten, który właśnie przeleciał nad górą.

- To dzień na szaleństwo, ludzie. Dzień na ryzyko.

Wszyscy milczeli.

- Wchodzę w to - powiedział Zapał. - Zróbmy to, Słoneczny. Okradnijmy samo słońce.



Wylecieli w ciągu niecałych dziesięciu minut – tyle czasu potrzebowali na odłączenie statku Elegii i zebranie ekipy Zapała. Czoro ludzi wyglądało na twardszych niż pozostali Promieniowcy, których poznał – mieli grube rękawice robocze, kombinezony z szorstkiej tkaniny i długie płaszcze. Kiedy się odzywali, w ich języku było zdecydowanie mniej słodczy, a więcej ostrości.

Zaczynał uważać tych ludzi za monolit, ale to nigdy nie była prawda. Nawet dwoje rodzeństwa na różne sposoby odzwierciedlało swoją kulturę i wychowanie.

Nomad powierzył Rebeke pilotowanie i podnieśli się, prześlizgując się nad błotnistą ziemią. Pozostawili Promień – to, co z niego pozostało – skulony w cieniu góry, bezradny przed nadchodzącym słońcem. Nomad żałował, że *Ścigający świt* nie był bardziej dynamiczny – i mniej przypominał bulwiastego insekta.

– Upewnijmy się, że dobrze to rozumiem – odezwał się jeden z członków ekipy Zapała, masywny mężczyzna ubrany w tak dużo skóry, że Nomad zastanawiał się, czy upolował wszystkie zwierzęta z jednego z korytarzy, by stworzyć ten strój. – Wlatujemy w sam błogosławiony wir.

– W rzeczy samej. – Zapał stał na jednym z siedzeń przy ścianie, oparty o nią plecami, z rękami założonymi na piersiach.

– A później... – mówił dalej mężczyzna – ...wyjdziemy ze statku, cały czas w wielkim wirze, nie zapominajmy o tym, i znajdziemy błogosławione słoneczne serca?

- Aha - zgodził się Zapał. - To znaczy ty wyjdiesz ze statku, żeby je zebrać, Wytrzymały. Ja będę prowadzić działania z wygodnej kabiny, pewnie pogryzając przy tym ciasteczka. Och, zrzuciliśmy też cały sprzęt do zbierania, więc będziesz musiał je wykopywać ręcznie.

Cała grupa się roześmiała. Na ile Nomad umiał to ocenić, tak prowadzili działania - Zapał organizował i kierował ekipą, ale to pozostali wykonywali większość pracy w terenie.

- Ty błogosławiony głupcze - stwierdził Wytrzymały. - Wszyscy jesteście grupą błogosławionych głupców.

„Chwileczkę, mówi rycerz. Czy ten gość używa słowa »błogosławiony« jako... jako przekleństwa?».

- To konserwatywna, religijna społeczność - powiedział Nomad po alethyjsku. Później, zanim ktokolwiek z pozostałych zdołał się wtrącić, odezwał się w ich języku. - To ja wyjdę w burzę, nie wy. Zabraliśmy was, bo Zapał upierał się, że mam was tu mieć jako wsparcie.

Cała czwórka patrzyła na niego, a później wszyscy jednocześnie pokiwali głowami.

- Cóż, mnie to wystarczy. - Wytrzymały usiadł wygodniej. - Obudźcie mnie, kiedy dotrzemy na miejsce.

- Będziesz wiedział - powiedział Zapał z uśmiechem. - Och, będziesz wiedział. - Spojrzał na Nomada. - Wspieramy cię, Słoneczny. Wystarczy mi, że ty sądzisz, że to się uda.

- Doceniam to. - Nomad pokiwał głową.

W kącie Elegia w końcu zaczęła się ruszać. Zabrali ją, bo - podobnie jak wcześniej - tak naprawdę nie mieli gdzie jej umieścić. Pewnie mogli przykuć ją w dowolnym miejscu na pokładzie Promienia, ale w gorączce przygotowań do lotu tak naprawdę po prostu o tym nie pomyślał.

Zamrugała i otworzyła oczy, po czym cofnęła się w kąt i wpatrywała się z pierwotną dezorientacją na zebraną grupę. Aż jej spojrzenie padło na Nomada. Kiedy go rozpoznała, wyraźnie się rozluźniła.

Odwrócił się i wszedł do kabiny z Rebeke, bo wołał patrzeć przed siebie. Zawsze uciekał. Zawsze rozglądał się za kolejną rozpadliną, którą będzie musiał przeskoczyć.

„Martwisz się, zastanawia się bohater, jak bardzo tamci ludzie ci ufają?».

- Nie, jeśli sprawia to, że wszyscy możemy ruszyć dalej - odparł Nomad.

„Ale czy oni by ci powiedzieli, gdyby to był koszmarny pomysł?».

- Powiedzieli mi.

„Ale i tak się zgodzili».

- Bo to się uda.

Nomad usiadł na miejscu drugiego pilota obok Rebeke. Na tablicy przed nią leżał mały, emanujący blaskiem odłamek słonecznego serca. Nie miał zbyt wielkiego ładunku, ale ten widok i tak go zaskoczył. Wydawało mu się, że zebrali wszystkie i umieścili w tym statku jako źródło napędu.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi pójść z tobą - powiedziała. - Pozostali zawsze traktują mnie jako coś w rodzaju... pamiątki czy figuranta albo...

- Maskotki.

- Nie znam tego słowa.

- Coś w rodzaju amuletu przynoszącego szczęście.

- Bo słuchali mojej siostry, ich wielkiej Gwiazdy Przewodniej, a w mniejszym stopniu mojego brata. - Jej głos załamał się nieco, kiedy o nim wspomniała. - Ale mnie nie słuchają.
- Jesteś młoda. Ludzie nie doceniają młodych.
- Czy możesz... - Odetchnęła głęboko, przygotowując się, i oparła dłonie w rękawiczkach na tablicy. - Czy możesz nauczyć mnie, jak być zabójcą?
- Ostatnimi czasy sam nie jestem w tym zbyt dobry.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Widziałam, jak stawiasz opór. Wiem, że jesteś zabójcą.
- Uśmiechnął się. Jeśli myślała, że ta skorupa tego, kim był kiedyś, była zabójcą...
- Nie mam czasu cię uczyć, Rebeke. Gdybym miał kilka tygodni, może udałoby mi się pokazać ci trochę umiejętności bojowych. Ale to jedynie nauka walki. Nauka zabijania... to coś zupełnie innego.
- Różnią się od siebie?
- Jedna wymaga umiejętności. Druga...
- Braku sumienia? - spytała cicho.
- Istnienie sumienia sprawia, że to wszystko jest trudne. W szkoleniu do walki chodzi o przygotowanie do działania bez względu na sumienie... zwykle poprzez liczne powtórzenia. Sprawiamy, że ciało wie, co robić, zanim zdążysz się aktywnie zastanowić, co to znaczy. Albo ile będzie cię to kosztować.
- To brzmi koszmarnie - szepnęła.
- Sama spytałaś.
- Mocniej ścisnęła koło i wpatrzyła się przed siebie - choć przed nimi zrobiło się ciemno. Znałszy się pod osłoną chmur i deszcz rozbił ją się o przednią szybę.
- Nie musisz być zabójczynią, by ludzie zaczęli cię szanować, Rebeke.
- W takim razie jak?
- Kieruj się instynktem. Rób, co trzeba zrobić. Dojdiesz do tego.
- Kiedy?
- Nie umiem ocenić. Ale nie bądź taka niecierpliwa. Z dowodzeniem innymi wiążą się ciężary, o których nie pomyślałaś. Mogę ci to zagwarantować.
- Spojrzała na niego.
- To się przytrafiło tobie?
- Powiedzmy, że przywództwo mi nie pasowało.
- „To nieprawda, Nomadzie. Byłeś dobrym przywódcą”.
- Pom, „dobry” to za mało. Życie, podobnie jak pomiary w nauce, często zależy całkowicie od punktu odniesienia. - Aby poprawić nastrój Rebeke, wrócił do jej języka. - Myślę, że Elegii się poprawia.
- Przypomniała sobie coś? - spytała dziewczyna z przejęciem.
- Nie. Ale wcześniej wydawała się nie aż tak zajadła, jakby nie miała już ochoty wszystkich pozabijać. Zanim przelecieliśmy nad górą, porozmawialiśmy. Wydaje mi się, że do niej dotarłem.
- Dziękuję, że się nią przejmujesz.

- Współczuję porzuconym żołnierzom. Bo sam jestem jednym z nich. - Wskazał odłamek słonecznego serca, fragment wielkości małego palca. - Co to?

Spojrzała na niego.

- Dusza matki - wyjaśniła cicho. - Główny rdzeń został prawie całkiem opróżniony w czasie ucieczki. Powaga Boska odcięła mi ten kawałek, bo myślała, że w trakcie tej misji mogą chcieć go mieć blisko przy sobie.

- A chcesz?

- Sama nie wiem. Zaczynam się zastanawiać, czy nie skupiam się za bardzo na martwych, a za mało na żywych.

„Dziwne słowa, zauważa rycerz, w ustach kobiety żyjącej w społeczeństwie, dla którego martwi są źródłem energii”.

Nomad zdjął go z tablicy. Wciąż potrzebował sposobu na dostrzeżenie swojej duszy, sprawienie, by mógł walczyć - naprawdę walczyć - gdyby okazało się to konieczne.

- Będziesz miała coś przeciwko, jeśli go zabiorę?

- Proszę. Myślałam, że jeśli będę miała blisko jej słoneczne serce, poczuję ją. Ale nigdy tak się nie stało.

Zastanowił się nad tym, obracając w palcach odłamek słonecznego serca. Później usiadł wygodniej i zamknął oczy.

- Jestem idiotą - mruknął.

„Już dobrze, dobrze, mówi rycerz. Nie jesteś idiotą, Nomadzie. Idiota to ktoś, komu brakuje wiedzy lub zdolności. Ty jesteś kimś innym: osobą z wiedzą lub zdolnościami, która źle je wykorzystuje. To czyni cię głupcem”.

- A tę definicję masz od...

„Trefnisia, rzecz jasna”.

- Oczywiście.

„To w jakiej kwestii jesteś głupcem?”.

- Te słoneczne serca... - postukał paznokciem w odłamek - ...zadziały na Elegię, bo wszystkich na tej planecie łączy Związek. Nie wiem jak ani dlaczego, ale ich dusze postrzegają siebie nawzajem jako jedno i to samo. Mogą się dzielić ze sobą ciepłem. Stało się to ważnym elementem ich kultury. Ale nie mogli zrobić tego z mną, nawet kiedy chciałem. Więc...

„Więc to słoneczne serce nie może zaczerpnąć siły z twojej duszy, bo pochodzi z tej planety, a ty nie”.

- Dokładnie. Językowy Związek nie wystarczy. Potrzebowałbym czegoś więcej, żeby do tego sięgnąć. - Mógł się nakarmić ich mocą, podobnie jak niemal wszystkimi rodzajami Napełnienia. Ale słoneczne serca nie pozwalały mu włożyć niczego z powrotem, przebić swojej duszy, bo nie akceptowały go jako jednego z nich.

„W takim razie jest dla ciebie bezużyteczne?”.

- Może mógłbym się do niego włamać za pomocą rzadkich urządzeń. Do których nie mam tu dostępu. - Z westchnieniem podniósł się z krzesła.

Był tak blisko ucieczki przed Udręką choćby w małym zakresie. Kiedy uświadomił sobie, że to niemożliwe, czuł się, jakby uderzył w ścianę.

Chciał się ruszać. Fizycznie, nie tylko w pojeździe. Wszedł do pomieszczenia na tyłach, ale nie było tam dużo miejsca do krążenia. Zapal i jego ekipa – poza Wytrzymałym, który drzemał przy ścianie – siedzieli razem, pogryzali racje i się śmiali.

„Jak oni są zdolni do takiej radości? – zastanawia się rycerz. Znajdują się na samym skraju zniszczenia”.

– Zawsze żyli na skraju zniszczenia – odparł Nomad. – Pewnie nauczyli się znajdować szczęście w chwilach między katastrofami.

„W takim razie... co jest z tobą nie w porządku? Dlaczego ty tego nie potrafisz?”.

Pomocnik zadał to pytanie bez złośliwości. Nomad znał go wystarczająco dobrze, by to wiedzieć, nawet bez tonu głosu. I tak odebrał to jak cios nożem w brzuch.

Zamknął oczy, by nie widzieć roześmianych ludzi, i usiadł na ławce pod ścianą.

– Oni też mnie znają – szepnęła Elegia.

Spojrzał w stronę miejsca, gdzie siedziała, wciąż w łańcuchach. Wiedział, że wcześniej kilka kobiet pomogło jej z potrzebami fizjologicznymi, ale poczuł ukłucie wstydu na widok otartej skóry wokół kajdan i tego, że jej ubranie – ta długa luźna szata i spodnie – nie zostało zmienione od czasu, kiedy wyciągnęli ją z błota.

Skupiała się na Zapale i jego ekipie, spojrzenie miała... niepewne? Trudno było zinterpretować wyraz jej twarzy.

– Ciągłe patrzą w moją stronę, jakby spodziewali się dostrzec coś znajomego – kontynuowała. – Jakby... nie wiem. Kiedyś miałam słowa do opisu takich rzeczy. Już nie.

– Oni cię znali. Wszyscy w Promieniu cię znali.

– Nie pamiętam ich, a oni wszyscy pamiętają mnie. Tak... pamiętają mnie, ale mnie nie znają. Już nie.

– Niektórzy uznaliby to za wyzwajające. Jesteś całkowicie wolna od tego, kim byłaś kiedyś, Elegio. Możesz uczynić z siebie, cokolwiek zechcesz. Wielu chętnie porzuciłoby ciężar swojej przeszłości.

– Ty?

– Nie. Ja nie. – Popatrzył na sufit, żałując, że nie widzi gwiazd. – Nie bardzo podoba mi się to, kim jestem, ale cenię to, czego się o sobie dowiedziałem. To pozwala mi wierzyć w pewne prawdy.

– Ja nie wiem, w co ufać czy wierzyć. Głos w mojej głowie był taki pewny siebie...

– Myślisz, że on cię znał? Za kim podążysz, Elegio? Za osobą, która każe ci zabijać? Czy osobą, którą kiedyś byłaś?

– Nie znam tej osoby.

Skinął w stronę pozostałych.

– Ta osoba, którą kiedyś byłaś, ona zainspirowała to wszystko. Wszystko, co ci ludzie zrobili, by się uwolnić? To była ona, stara Elegia. – Wzruszył ramionami. – Nie możesz być nią, ale możesz zaufać, że ona wiedziała, co robi. Ze względu na ideały i społeczność, którą pomogła stworzyć.

Osunęła się na ziemię i spuściła wzrok.

– Głos może wrócić – powiedziała. – Czuję, że narasta, szepce na skraju mojego umysłu. Znów może zepsuć moje serce.

- Wtedy użyj tego. - Wyjął odłamek słonecznego serca, który dała mu Rebeke. Wcisnął go w jej skute palce. - Zatrzymaj go. Jeśli głos powróci, wypowiedz słowa: „Odważna na progę śmierci, oddaj temu słonecznemu sercu moje ciepło, by mogło pobłogosławić tych, którzy wciąż żyją”.

Cicho powtórzyła słowa.

- Dlaczego te słowa?

- To wysze odrobinę twojej duszy i umieści ją w słonecznym sercu. Niestety, nie dość, by stanowiąła źródło energii, ale twoja dusza naturalnie porzuci fragmenty, które są mniej... mniej tobą, tak myślę. Tak czy inaczej, to powinno pomóc ci zachować zdrowe zmysły. Tak pomogłem sprawić, byś odzyskała świadomość.

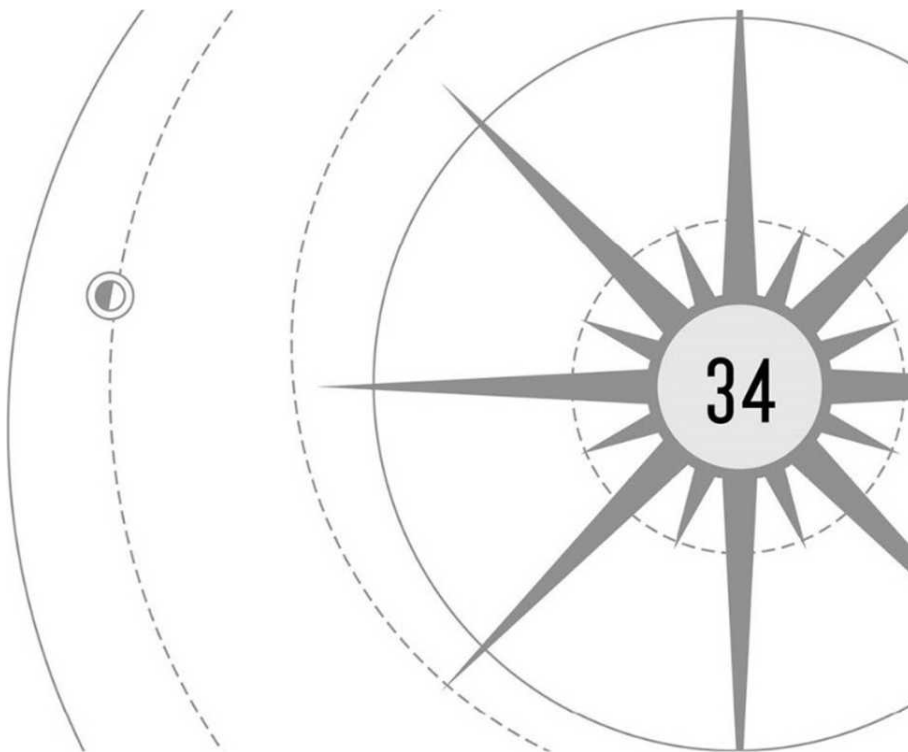
Skinął głową i zdjął kajdany z jej jednej ręki. Spojrzała na niego wygłodniałym wzrokiem, w jej oczach wciąż czaiła się jakaś dzikość. Uśmiechnął się do niej, ale ostentacyjnie nie uwolnił drugiej ręki. W tej chwili nie czuł się swobodnie, dając jej więcej niż jedną wolną rękę.

Zostawił ją wpatrzoną w odłamek duszy matki. Mógł jedynie mieć nadzieję, że nie dał jej w ten sposób mocy, której potrzebowała, by się wzmocnić, uwolnić się i go zniszczyć. Na burze, wydawało mu się, że przestał już ufać ludziom, którzy byli tak niebezpieczni.

Odszedł wypełniony przerażeniem. Ale - w czym był coraz lepszy - na razie to zignorował. Zamiast tego wrócił do kabiny, bo usłyszał dudnienie gromu.

Kiedy tam przybył, ujrzał przez szybę wielki wir, który wylaniał się z ciemności przed nimi.

Płonął.



Nagła jasność sprawiła, że zamrugał, z oczu popłynęły mu łzy. Ciągle zapominał, że Promieniowcy bardzo przygaszali światła, nawet w pomieszczeniach.

Z początku krajobraz przed nim wyglądał jak masa falującego pomarańczowego i żółtego – jak abstrakcyjny obraz, w których lubowali się mieszkańcy Nalthis. Powoli, kiedy jego wzrok się przyzwyczaił, dostrzegł niuanse. Większość rozpalonych elementów znajdowała się poniżej, ale wiry płomienia wznosiły się z ziemi w kłębiących się, ognistych trąbach powietrznych. Blask emanował głównie ze środka tych cyklonów, ale tam, gdzie uderzały w chmury, jaskrawe rozbłyśki rozświetlały niebo.

– Płonie? – spytał Nomad. – Dlaczego on płonie?

– To wielki wir za zachodem słońca! – Zapał wcisnął się za nim do kabiny. – Powiedziałeś, że kiedyś byłeś w jednym z nich.

– Burze nie powinny płonąć! – wykrzyknął Nomad. – Są mokre! Pełne wiatru i deszczu.

– Ty zaproponowałeś ten plan. – Rebeke zmarszczyła czoło. – I nie wiedziałeś, że będą płonąć?

Zagapił się na pożar. Wciąż znajdowali się po ciemnej stronie planety, w nocy, ale niebezpiecznie blisko dnia – tyle że teraz po tej stronie zachodu słońca. Może to powinno mu podpowiedzieć, na co natrafi, ale, na burze. Słyszał dziesiątki różnych opisów piekła z dziesiątków różnych kultur i mitów. Potępienie jego własnej planety było zimnym miejscem, ale tak wiele

innych opowiadało o wiecznym ogniu. Miejscu, w którym płomienie batożyły duszę, a gorąco wytapiało tłuszcz spod skóry.

Nigdy nie sądził, że ujrzy takie miejsce. Statek zakręcił i poleciał wzdłuż krawędzi, pod niewielkim kątem, by podążać za burzą – która cofała się przed nimi, goniąc zachodzące słońce. Przynajmniej na poziomie ziemi nie było zbyt wielu otwartych kominów magmowych. W rzeczy samej, coś dostrzegł. Ziemia stygła z niezwykłą prędkością. Niemal jak...

– Coś wysysa ciepło – szepnął. – Podobnie jak wasze ciała mogą je czerpać od siebie nawzajem...

Popatrzyli na niego bez wyrazu, ale to wydawało się prawdopodobnym wyjaśnieniem. Coś w rdzeniu tej planety było dziwne. Sprawiał, że siła ciężenia była znacznie wyższa, niż powinna przy takich rozmiarach – zatem był albo niewiarygodnie gęsty, albo niewiarygodnie napęczniały. Podejrzywał na drugie. A teraz ten rdzeń wysysał ciepło, schładzając ziemię.

To nienaturalnie szybkie chłodzenie sprawiało, że krajobraz pękał i się rozpadał. Wypuszczając...

– Gazy – domyślił się. – Palne gazy, efekt uboczny promieni słońca spadających na ziemię. Ale jak... Normalnie metan jest skutkiem rozkładu, do którego tu z pewnością nie dochodzi...

– Zbliżamy się do granicy korytarza. – Rebeke postukała w kilka tarcz, które pokazywały ich pozycję. – Mamy dobry czas. Promieniowi zostało około godziny i czterdziestu pięciu minut, zanim dotrze do niego słońce.

Nomad pokiwał głową i sprawdził czas.

– Wkrótce napotkamy zwiadowców Popielnego Króla – mówiła dalej. – Chyba że schowamy się w burzy. Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

– Statek to wytrzyma? – spytał, kiedy obok nich wzniósł się cyklon ognia... wir dymu i popiołu zsunął się z góry, a później stanął w płomieniach.

– Może? – powiedział Zapał. – Ma tyle izolacji, ile tylko udało nam się wcisnąć, i pewne mechanizmy chłodzące. To plus pancierz... Może?

– Zegar tyka – powiedział Nomad, a Zapał przytaknął. Dla Nomada zegar zawsze tykał. – Skieruj nas do środka.

Rebeke przerzuciła przełącznik – unosząc grubą tarczę do osłony przedniej szyby. Leciła na przyrządach, z czym Nomad nigdy sobie dobrze nie radził. O wiele bardziej wolał lecieć z wiatrem we włosach i przepustnicą w rękę.

Jak głupiec spodziewał się burzy jak w domu. Ciemności pełnej chaosu, od czasu do czasu przecinanej błyskawicami. Spodziewał się deszczu – który zawsze przypominał mu Roshar, w najlepszy sposób. W odgłosie wody uderzającej o metal albo skały było coś uspokajającego – miał pierwotny, rytmiczny charakter. Dźwięk bijącego serca świata, przyspieszonego z ekscytacji.

Jego przyjaciele z tamtych czasów kochali wiatr, a on nie mógł mieć do nich o to pretensji. Jednak dla Nomada ulubionym przejawem burzy był deszcz. Uwielbiał wychodzić na niego i czuć, jak obmywa go do czysta.

Zakładał, że jeśli pada, przetrwa każdą burzę. Ale tutaj doświadczył czegoś innego. Statkiem szarpało i rzucało, ale bez tego uspokajającego odgłosu wody na dachu. Ten wir był niewłaściwy. Jak załamanie bez łez, kiedy człowiek kulił się w kącie i zmuszał się do zapanowania nad uczu-

ciami, ale jakimś cudem – mimo bólu przepełniającego go aż do granic wytrzymałości – nie mógł się zmusić do ich wyrażenia.

Wskaźniki na tablicy oszalały. Zapał wskazał dwa czujniki temperatury – jeden wskazujący temperaturę kadłuba, a drugi, mniejszy, wewnątrz statku. Oba się wznosiły.

– Musimy się pospieszyć – stwierdziła Rebeke.

– Żałuję, że nic nie widzimy. – Nomad pochylił się, kiedy statkiem wstrząsnął wir. – Moglibyśmy omijać strumienie ognia.

– Przyrządy są lepsze. Wbijam nas prosto do korytarza Popielnego Króla, na linię, którą zawsze podąża Jedność. Zabiorę nas na odpowiednią długość, a później możemy wykorzystać poszukiwacza, żeby rozejrzeć się po terenie, aż coś znajdziemy. Mam nadzieję, że uda nam się zrobić to wszystko, zanim się ugotujemy.

Nomad pokiwał głową. Z trudem znosił nagły smród spalonego kamienia i siarki. Razem z Zapałem i resztą ekipy mógł jednak tylko stać i przyglądać się z niepokojem wskaźnikom, gdy Rebeke kierowała ich coraz dalej w głąb przerażającej burzy ogniowej.

– Do samego piekła – szepnął.

– Piekło to las – mruknął w odpowiedzi Zapał. – Pełen spokojnych drzew i niespokojnych zmarłych.

Nim Rebeke dotarła do właściwego miejsca, w pomieszczeniu zrobiło się tak gorąco, że nawet Nomad czuł się niekomfortowo. Pozostali musieli się męczyć. Mimo to żadne z nich się nie poskarżyło. Rebeke opadła nisko i za pomocą radaru obserwowała okolice, by uchronić ich przed zderzeniem.

Przynajmniej w tym przypadku mogła uniknąć najbardziej spękanych fragmentów ziemi – widzieli je na ekranie radaru. To mogło ich ochronić przed najgorszymi emisjami gazu. A jeśli były toksyczne? Nomad, przesadnie ostrożny, przestał oddychać – ale pozostali nie mieli takiego luksusu.

„Tam”, powiedział Pomocnik. „Urządzenia poszukiwacza właśnie piknęły”.

– Wracaj – powiedział Nomad, ufając Pomocnikowi. Choć korzystał z uszu Nomada, robił to lepiej. – Rebeke? Zawróć. Coś usłyszałem.

Spojrzała na niego i skinęła głową, twarz miała zlaną potem. Nomad spojrzał na wskaźniki temperatury. Wszystkie daleko na czerwonym polu. Na burze. Pewnie wycofywała się najdalej, jak mogła, w chłodne powietrze cienia. Duszące gorąco sprawiło, że zapomniała o misji.

Mimo to skręciła z powrotem.

Kiedy unosili się nad pewnym określonym punktem, od strony tablicy dobiegło bardzo słabe piknięcie – niemal niesłyszalne ponad odgłosami burzy na zewnątrz i skrzypieniem kadłuba.

– Na cienie – odezwał się Zapał. – Jak ty to zrobiłeś?

Nomad zignorował go i podbiegł do drzwi.

– Wychodzę. Trzymajcie się blisko. – Zacisnął zęby, po czym otworzył drzwi, wyslizgnął się na zewnątrz i zatrzasnął je za sobą.

Nagły blask płonącego nieba go oślepił. Na szczęście w najbliższej okolicy nie było ognistych wirów, ale jego skóra – mimo mechanizmów ochronnych ciała – natychmiast zaczęła się palić. I to bolało. Potępienie!

Z Pomocnikiem jako łopata w rękę Nomad zeskoczył z pokładu w stronę ziemi. Uderzył w nią mocno i osunął się na kolana na coś, co przypominało łąkową ziemię – ale jego oczy widziały jedynie coś niewyraźnie brązowego, kiedy gorąco je wysuszyło. Spojrzał w górę i uderzył go podmuch płonącego wiatru. Udało mu się mrugnąć i statek zniknął.

Co się stało ze statkiem? Wylądował? Odleciał? Został porwany przez burzę? Nie mógł ocenić, bo w tej właśnie chwili zapanowała ciemność – jego oczy się poddały.

„Na burze, Nomadzie. To gorąco z ogromną prędkością zużywa twoją siłę. Błyskawicznie tracimy Napełnienie. Już poniżej pięciu procent zdolności do Przeskoku”.

Nomad chrząknął i zaczął kopać, walcząc z bólem – co stało się łatwiejsze, kiedy odczucie ustąpiło. To był zły znak. Świadczył o tym, że poparzenie na jego skórze dotarło już do nerwów. Jego ciało sięgało do zapasów Napełnienia, by utrzymać się przy życiu – ale w obliczu straszliwych uszkodzeń skupiało się na zachowaniu kluczowych układów i zrezygnowało z mniej niezbędnych rzeczy w rodzaju zakończeń nerwowych i wzroku.

„Myślę, mówi cicho bohater, że to był naprawdę zły pomysł”.

Mimo to ziemia wydawała się chłodniejsza od powietrza. Nomad zrezygnował z poszukiwania słonecznych serc i uznał, że musi po prostu zejść na dół i ochronić samego siebie. Miał wrażenie, że skóra mu się łuszczy, a włosy znów spłonęły.

Zszedł najniżej, jak mu się udało, a później zmienił Pomocnika w dużą tarczę, którą ustawił między sobą a słońcem. Trudno to było ocenić bez nerwów, ale miał nadzieję, że jego ciało przestało ulegać uszkodzeniu. Miał nadzieję, że już nie jest dłużej palony na śmierć. Jak długo jego kluczowe narządy i mózg mogły działać dalej...

„Poniżej trzech procent zdolności do Przeskoku”.

Nomad posłał Pomocnikowi wrażenie spokoju, sugestię, by dał spokój. Nie potrzebował raportów. Albo przeżyje, albo nie.

Wiatr stał się silniejszy i poczuł, że w jego tarczę uderzają z góry ziemia i gleba. W głowie miał węgę, jego myśli się rozplywały. Niekończące się znużenie brakiem snu, uciekaniem tuż przed problemami – które podążało za nim, nieustannie polowało i wyczuwało zapach krwi. Wyczerpanie groziło, że zepchnie go do pozbawionej myśli pustki, która – w jego obecnym stanie – mogła oznaczać jego koniec.

Walczyl z nią, zmuszając się do analizowania otaczającego go gruntu. Skupił się na myśleniu, by nie odpłynąć. Jak zawsze, ten wątpliwy mózg – umysł, który zmuszał go do ciągłego zadawania pytań, ta przeklęta część jego osoby, która doprowadziła go do zostania uczniem Hoida – zastanawiał się.

Ziemia rzeczywiście wysysała ciepło. Był tego pewien, bo w ostatnich drgnieniach nerwów poczuł, że... coś próbuje odciągnąć jego Napełnienie w głębiny planety. Jego nie mogło zabrać, ale próbowało.

Rdzeń tej planety karmił się Napełnieniem tak samo jak on. Czy to była podpowiedź, jak to wszystko działało? Pomagała wyjaśnić, jakim cudem istniała ciemna strona planety. Typy pogody, które zgodnie z jego oczekiwaniami powinny pochłonać wszystko, zostawały uciszone i złagodzone przez to gwałtowne chłodzenie, które tworzyło barierę między ciemną stroną a światłem... może?

Ale dlaczego promienie słońca były tak gorące, a jednak udało mu się wyjść na nie na pokładzie Promienia?

Czy... czy Nomad był tym, za kogo go uważali?

Na burze? Czy on... jakoś...

Nie. Nie był mitycznym bohaterem. Zawiódł tych ludzi, uparcie realizując plan wejścia w wir. Wszystkie znaki były obecne. Wahanie Pomocnika, przesadne ustępstwo pozostałych wobec jego pomysłów. Zrobił coś, co uważali za niemożliwe, kiedy przeleciał nad górami. Ale wtedy poświęcił czas, by zgromadzić fakty, wiedzę, dane. Przetestował ich silniki, przeprowadził misję zwiadowczą, wykorzystał wiedzę inżynierów.

Tamten plan powstał w pośpiechu, ale został dwukrotnie sprawdzony i opierał się na solidnej podstawie naukowej. Tym razem wybrał kierunek, wyrzucił z siebie pomysł i zaczął biec.

To od jakiegoś czasu było jego problemem. Był człowiekiem, który uciekał. Teraz, uwięziony w skale, pozbawiony sposobów, by uciec przed sobą samym, stawiał temu czoło. Zawiódł. W tym przypadku doświadczenie mu nie posłużyło.

Od mądrych dowódców wojskowych nauczył się, że w czasach napięcia ktoś podejmujący jakąkolwiek decyzję był często lepszy niż po prostu czekanie. Ale ta lekcja miała jedno zastrzeżenie. Choć wydawała się trafna, przywódcy, którzy ją wypowiadali, byli tymi, którzy przeżyli dość długo, by przekazać ją dalej. Byli tymi, którzy w chwili kryzysu nie podjęli tak po prostu decyzji. Oni podjęli właściwe decyzje.

Ich rada była dobra, zakładając, że było się osobą, która w trudnych sytuacjach mądrze oceniała okoliczności. On tak robił – czasami. Tym razem skoczył za szybko. I doprowadził do zniszczenia Promieniowców.

Próbował poczuć wstyd z tego powodu. Naprawdę. Tymczasem czuł się... odrętwiały. Jakby... jakby wiedział, że to nadchodzi, i częściowo już dawno pogodził się, że jego porażki w końcu go dogonią.

Zaczął czuć ból ramion i nóg. Miał tak mało Napełnienia, że uzdrawianie zajęło dłużej niż zwykle. Na szczęście z jego szczególnymi talentami tego rodzaju obrażenia łatwo mu było przetrwać. Koszmarne oparzenia nie wpływały bezpośrednio na jego kluczowe narządy czy szkielet. Ciało wiedziało, co robić, a jego wypaczona dusza – mimo że nienawidził tej części, która nie pozwalała mu się bronić – karmiła się Napełnieniem, by go uleczyć, kawałek po kawałku.

Jego mistrz, do którego Odprysk Świtu należał znacznie dłużej, nie mógł umrzeć. Nomad nie osiągnął takiego poziomu. Ale tego dnia, mimo przeszywającego bólu, jego ciało uzdrawiało poparzenia. A kiedy ból się cofnął – i Nomad zamrugał w ciemności odzyskanymi oczami – uświadomił sobie, że słyszał deszcz.

Honorze Wszchemocny. Słyszał deszcz.

– Pom? – wykrztusił. – Czas?

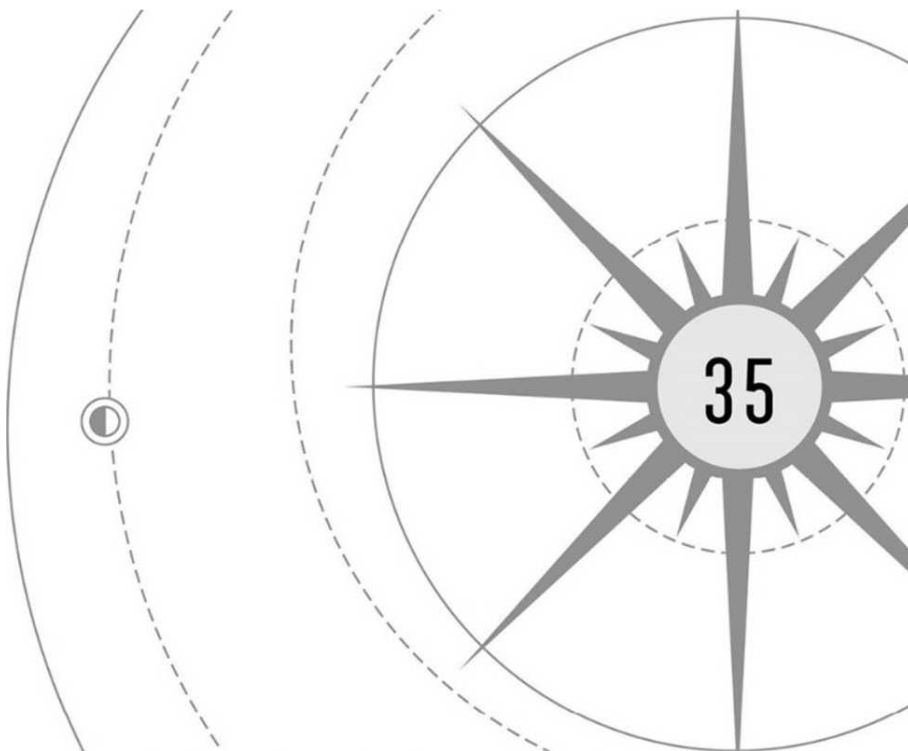
„Byłeś zagrzebany przez jakieś piętnaście minut. To niecałe półtorej godziny do chwili, kiedy Promień upadnie. Nomadzie... właściwie nie masz już Napełnienia. Może uda mi się wykorzystać resztki do przeobrażenia, ale nie masz już uzdrawiania ani wzmocnień.

Tak, ale znów znalazł się w cieniu. Planeta się obróciła. A siły Popielnego Króla wkrótce przybędą po słoneczne serca. Będą miały ze sobą statki, które będzie mógł ukrąść. Znajdą źródła energii, a on będzie mógł je zabrać.

Wciąż mógł ocalić Promień. Zakładając, że dotrze do nich przed wschodem słońca.

Wyścig jeszcze się nie skończył. Jeszcze nie przestał biec.

Nomad poruszył się, napał z dołu na tarczę i wyrwał się z ziemi – uzdrowiony, nagi, zdeterminowany.



Jego pierwszym celem było znalezienie kryjówki. Zapewnił ją znajdujący się w pobliżu skalny łuk, od czasu do czasu oświetlany błyskawicami. Miejsce, w którym mógł się ukryć i słuchać szeptów deszczu. Nie mógł poświęcić dużo czasu. Dotarli tu w ciągu czterdziestu pięciu minut, lecąc względnie powolnym statkiem Elegii. Musiał być szybki, by wrócić.

Niestety mógł jedynie czekać.

Było to nieznośne. Przeciwnieństwo jego osobistych potrzeb. Nawet kiedy się cofał, przynajmniej się poruszał. Teraz jednak nie miał nic innego do roboty, więc spróbował pozwolić, by deszcz go uspokoił. Otoczył. Inni mogli go nienawidzić lub nawet się go bać. Ale pod jego zasłoną poczuł, jak wracają mu siły.

Trwało to zaledwie dwie minuty. Pojawiły się światła, niosąc nadzieję. Zespół poszukiwaczy, który chronił bogactwa Popielnego Króla. Co najmniej tuzin statków. Przeleciały nad okolicą i w końcu zatrzymały się w miejscu, z którego się wykopał. Wydawało się, że nie rozpoznał, czym tak naprawdę był jego grób, i ustawili maszynę, która zaczęła rozkopywać ziemię.

Tak wolno. Za wolno. Przyglądał się z bólem.

Z ziemi sączyło się czerwone światło, które ukazało mu niespodziewany widok. Wielu obecnych, przyglądających się procesowi, było Zwęglonymi. Właściwie, czy tam, w błocie, nie wylądował statek samego Popielnego Króla? Z zaskoczeniem ujrzał tyrana idącego przez okolicę, bez parasola, w stronę wykopu.

Nomad wątpił, by król zwykle uczestniczył w tego rodzaju misjach. Wydawał się ostrożny – właściwie, kiedy jego ludzie wykopali kilka słonecznych serc, Popielny Król obserwował niebo, rozglądając się z wyczekiwaniem.

„Ale dlaczego on tu jest? – pyta rycerz. Dlaczego wyszedł na deszcz?”.

– Wie, że spróbuje coś zrobić – szepnął Nomad. – Spodziewa się walki.

„Skąd? Skąd to wie?”.

Cóż, może „wie” nie było właściwym słowem. Ale Popielny Król wyraźnie spodziewał się najgorszego. W tym przypadku oznaczało to dopilnowanie, by Nomad – niewiadoma z innego świata – nie przyszedł po te słoneczne serca.

Obecność tak wielu żołnierzy – i samego króla – zmieniły plany Nomada. Nie mógł walczyć – wciąż nie wiedział, jak przebić czyrak na duszy. Może nigdy mu się to nie uda. Był za bardzo osobą z zewnątrz, by miejscowa magia na niego podziałała.

Dlatego potrzebował sposobu na zdobycie tych słonecznych serc, który nie wymagał walki. W jego głowie pojawił się możliwy plan, kiedy w pobliżu wylądował statek. Jego silnik wypalił ziemię i wyrzucił chmurę syczącej pary, która sprawiła, że okolicę wypełnił zapach wyschniętego błota. Był to powolny pojazd z dużymi drzwiami na tyłach, kojarzącymi się ze skarbce. Jeden z robotników otworzył je i pobiegł w stronę wykopu, z którego wydobyto czwarte i piąte słoneczne serce. Nomad nie mógł ich złapać, ale gdyby poczekał, aż zostaną mu oddane?

Skradał się wśród ciemności w stronę skarbcza. Wewnątrz znajdowało się kilka dużych szafek przyśrubowanych do ściany. Znalazł miejsce z tyłu, gdzie mógł się ukryć między nimi.

„Więc... jakie są szanse, że ten plan jest głupi?”.

– Dość duże – przyznał Nomad, ale czy w tym przypadku mógł sobie pozwolić na planowanie i przygotowania? Czasami trzeba było po prostu improwizować, zdecydować się i mieć nadzieję.

Pobieżnie przejrzał zawartość szuflad – puste. Skulił się z tyłu, gdzie znalazł stary worek, który udało mu się przerobić na prostą wersję upinanej spódnicy z Iri. Częściowo ubrany stworzył z Pomocnika całkiem niezłe naśladownictwo przodu i wierzchu jednej z długich szafek – rekwizyt, jak udawana fasada budynku w filmach kręconych w Srebrnoświecie.

Trzymając go przed sobą, tworzył iluzję, że go tu nie ma. Każdy, kto posłałby spojrzenie w stronę tyłu, zauważyłby jedynie wyjątkowo długą szafkę. Miał nadzieję, że dodatkowy rząd szuflad nie będzie wyglądał zbyt podejrzanie w ciemności.

„W porządku, przyznaje rycerz, podoba mi się ten plan. Może się nawet udać”.

Nomad nic nie mówił, czekał – znowu – i słuchał stukotu deszczu o dach. Liczył sekundy. Zobaczył przez wąskie szczeliny w fałszywym froncie szafki, kiedy do środka weszli robotnicy niosący świecące słoneczne serca.

– Nie rozumiem, dlaczego on tu jest i ciągle patrzy nam przez ramię – syknął jeden z robotników. – I jeszcze ci Zwęgleni. Myśli, że nagle zaczniemy go okradać?

– Lepiej nie zadawać pytań – odparł jego towarzysz. – Lepiej, żeby nie miał powodu zainteresować się tobą. Promień zniknął, więc wkrótce skończą mu się jeńcy.

Światła zniknęły jedno po drugim, kiedy wkładano je do szuflad. Na burze. Lepiej, żeby nie próbowali otworzyć jednej z jego szuflad. Napęlnią najpierw te z przodu, prawda?

To właśnie zrobili. Schowali słoneczne serca, a później wycofali się – ich głosy nagle ucichły, kiedy pomieszczeniem wstrząsnął głośny huk. Nomad wyszedł ze swojej kryjówki i odesłał

Pomocnika. Ten łoskot to były zamykające się drzwi skarbcza. Podbiegł do szuflad i choć każda z nich była zamknięta na klucz, łom szybko rozwiązał ten problem.

Słoneczne serca leżały w środku. Po jednym w szufladzie. Zabrał wszystkie, które udało mu się znaleźć – w sumie pięć. To powinno wystarczyć Promieniowi, prawda? Z ulgą wrzucił je do innego worka i podszedł do drzwi skarbcza.

Które były zamknięte na zamek. Wpatrzył się w nie i poczuł głupio.

„Uch, nie sądzę, by łom tu pomógł, Nomadzie”.

– Możemy potrzebować czegoś ostrzejszego. – Nomad wyciągnął rękę w bok.

„Ja... wątpię, by mi się to udało”.

– Wcześniej to zrobiłeś. Kiedy byliśmy pod miastem. Rozciąłeś blokadę.

„Ty to zrobiłeś, Nomadzie. To nie moją duszę pokrywa zgorzel, nie moje przysięgi zostały złamane. To ty nie możesz zrobić nikomu krzywdy. To ty nie możesz stworzyć broni, która służy tylko do zabijania”.

To nie służyłoby tylko do zabijania. Musiał jedynie przeciąć metal tych drzwi. Próbował powrócić do stanu umysłu z czasu, kiedy przeciął tamte blokady. Z pewnością ta chwila była równie pilna.

Ale był zmęczony. I niepewny siebie. Poza tym czuł, że narodził się na jego duszy staje się coraz silniejsza. Napieranie na nią było równie jałowe, jak próba rozbicia drzwi skarbcza gołymi pięściami. Szarpał się przez kilka minut, po czym się pochylił, zacisnął powieki i oparł czoło o drzwi.

Co on robił? Gdyby udało mu się uciec ze skarbcza z tymi słonecznymi sercami, co wtedy? Naprawdę sądził, że uda mu się ukraść statek bez walki? A nawet jeśli, czy potrafiłby samodzielnie odnaleźć drogę powrotną do Promienia? Wcześniej latał jedynie statkami miasta, które miały odpowiednie urządzenia potwierdzające tożsamość. Gdyby ukraść statek Jedności, byłby równie ślepy, jak oni.

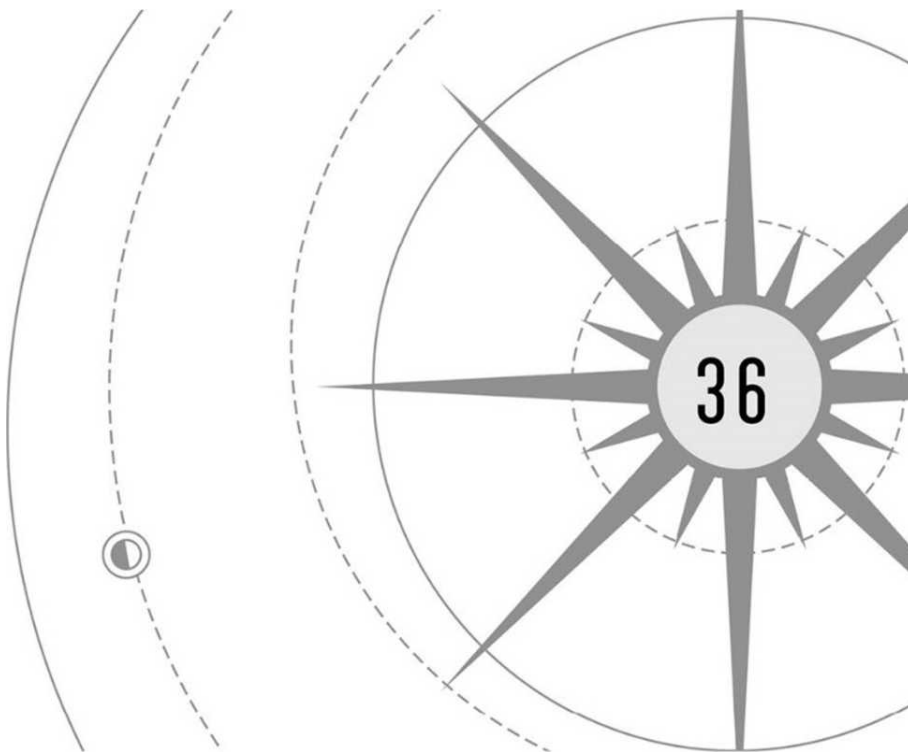
On... już nie wiedział. Utknął. Nie tylko w ucieczce. On... od jakiegoś czasu stał w miejscu. W zastoj. Cały czas skupiał się na uciekaniu, ale nigdy na ważniejszych kwestiach. Tych w jego wnętrzu.

Zamarł. Jego dusza. Jego tożsamość. Dalsza ucieczka nie mogła tego naprawić. Niezależnie od tego, co sam sobie mówił.

Trzask.

Drzwi skarbcza? Przez chwilę myślał, że może to jego introspekcja jakoś na to wpłynęła. Później, z nagłym przerażeniem uświadomił sobie, że ktoś otwierał je z zewnątrz. Cofnął się i próbował odtworzyć kamuflaż, ale było już za późno. Drzwi się otworzyły.

Ukazując Zapała, który stał samotnie wśród błota.



Zapał?

Zapał!

Niski mężczyzna był ubłocony po uda, ale najwyraźniej przeżył burzę w jednym kawałku. Schował zestaw wytrychów, obejrzał się, wzdrygnął, słysząc jakiś dźwięk, i zaczął się wspinać do skarbca.

„To Zapał, mówi rycerz z niesłabnącym entuzjazmem. Na burze, chyba nigdy nie byłem tak szczęśliwy na widok włamywacza”.

– Zapał! – powiedział Nomad, a wtedy mężczyzna zatrzymał się gwałtownie, zmrużył oczy... i westchnął z ulgą.

– Słoneczny? Błogosławiony człowieku. Przeżyłeś?

– Owszem. – Zrobił krok do przodu z workiem słonecznych serc. – Wygląda na to, że obaj mieliśmy ten sam plan.

Zapał zajrzał do worka, a później podniósł wzrok na Nomada i uśmiechnął się szeroko.

– Ja... nie wierzę. – Uniósł zabloconą dłoń do głowy. – Myślałem, że to ja ratuję miasto. Miałeś wszystko pod kontrolą, nawet kiedy cię porzuciliśmy.

– Wątpię, byście mieli inną możliwość.

– To prawda, ale... – Zamarł, kiedy usłyszał głosy na zewnątrz. Skinął w bok. – Może pogadamy później? Została nam godzina na uratowanie Promienia, a to będzie na styk, bo lot powrotny trwa co najmniej czterdzieści pięć minut, zależnie od wiatru.

Nomad skinął głową i zeskoczył na błoto. W pobliżu trwała kłótnia, kilku urzędników Popielnego Króla coraz bardziej się denerwowało. Najwyraźniej jeden z nich sądził, że zostawiono tu dwunastu ludzi jako ofiarę dla słońca, a drugi myślał, że było ich tylko jedenaścioro.

Nomad wyszedł za Zapalem i skręcił w prawo, w mrok.

– Udało ci się ukraść jeden z ich statków zwiadowczych? – szepnął.

– Nie, brakowało mi środków. Przejąłem kierowanie po tym, jak Rebeke straciła przytomność z udaru ciepłego. Ledwie udało mi się zabrać nas z powrotem do cienia, zanim się spaliliśmy. Reszta ekipy jest wyłączona z działania, albo są nieprzytomni, albo rzygają po całej kabinie. Kiedy wrócimy, na twoim miejscu wstrzymałbym oddech.

– Byłem jedynym całym i zdrowym, choć wydaje się, że Rebeke odzyskuje przytomność szybciej niż inni – mówił dalej Zapal. – Mimo wszystko... cóż, uznałem, że to jedyna szansa. Sam musiałem zdobyć słoneczne serca. Z nowymi źródłami energii może udałoby nam się szybciej polecieć z powrotem. Taką w każdym razie mam nadzieję.

– Dlatego wylądowałem i rozglądałem się za światłami w ciemności. Podążyłem za nimi, lecąc bez świateł, a później wysłizgnałem się i modliłem do Adonalsium, by udało mi się samemu. – Pokręcił głową, ruch ten był ledwie widoczny w blasku błyskawic. – A ty tam byłeś. Już w skarbcu. Wątpiłem w ciebie, Słoneczny. Przepraszam.

– Nie, Zapale. Ja...

„Nomadzie. Ktoś idzie za nami”.

Zatrzymał się i odwrócił.

W ciemności za nimi płonęła para oczu, rozświetlająca uśmiechniętą twarz mężczyzny idącego miarowym krokiem.

– Uciekaj, Zapale – polecił Nomad.

Mężczyzna sapnął i wypełnił polecenie. Nomad został na miejscu i spojrzął w te oczy.

– Straż! – krzyknął Popielny Król. – Zwęgleni! Oni są tutaj! Chodźcie i zatrzymajcie ich!

Okrzykowi towarzyszył grzmot. Ale mężczyzna nie wyglądał na zbyt niepokojonego, mimo podniesionego głosu. Zrobił krok do przodu, w stronę Nomada, i odezwał się spokojniejszym tonem.

– Wiedziałem, że przyjdiesz. Możesz nazwać to... wiarą. Prawdziwego zabójcy nie da się pokonać tak łatwo. Nie zginąłbyś ze skomleniem w mieście uwięzionym na zboczach. Twoim przeznaczeniem jest zginąć w bitwie, człowieku spoza świata. W bitwie ze mną.

Nomad zrobił krok do przodu, jakby chciał stawić czoło Popielnemu Królowi w tej właśnie chwili. I naprawdę żałował, że nie może tego zrobić. Wcisnąłby te płonące oczy do błotnistej wody, aż by zgasły.

Tymczasem próbował skłonić mężczyznę do mówienia, odkryć jego słabość – coś, co Nomad mógłby wykorzystać przeciwko niemu. Po obu stronach minęli go Zwęgleni goniący za biednym Zapalem. Nomad skupiał uwagę na ich panu.

– Lubisz być silny – powiedział Nomad. – Lubisz mieć władzę nad innymi.

– Sensem życia jest posiadanie władzy nad innymi. Bogactwo? Dzięki niemu inni wykonują pracę, na którą ty nie masz ochoty. Siła? Zdolność odpowiedzenia silniejszym ciosem na cios, który ktoś chciałby ci zadać. Religia? – Uśmiechnął się szerzej. – Czy mężowie z twojego świata naprawdę stają się bogami?

– Masz obsesję na moim punkcie. – Nomad zrobił krok do przodu. – Musisz wiedzieć, czy jesteś silniejszy ode mnie. Dlaczego? Już zabiłeś człowieka spoza świata... – Nomad zmrużył oczy. – Nie, skłamałeś, prawda? Kiedy znalazłeś tego człowieka spoza świata, był już trupem. I od tego czasu zastanawiasz się, czy był silniejszy od ciebie?

– Oczywiście, że to ja jestem silniejszy. – Popielny Król rozłożył ręce. – Żyję. Nie skłamałem. Znalazłem twojego krewniaka, chorego, nie martwego, ale jestem silniejszy. W końcu to on obrócił się w popiół. Mam słoneczne serce, które to udowadnia.

Słoneczne serce.

Potępienie. Nomad naprawdę był idiotą.

Zbliżył się na tyle do Popielnego Króla, że mężczyzna wyciągnął miecz z pochwy u pasa i uśmiechnął się na myśl o pojedynku.

Tymczasem Nomad ruszył biegiem.

Minął mężczyznę, który wykrzyknął i ruszył w pościg – ale Nomad był szybszy. Pędził wśród błota i błyskawic, deszcz uderzał o jego twarz, a wiatr szarpał zaimprovizowaną spódnicę owiniętą wokół pasa. Pobiegł prosto w stronę statku Popielnego Króla, później podskoczył i złapał metalową krawędź pokładu. Podciągnął się i pobiegł w stronę kajuty z trofeami.

– Staw mi czoło! – krzyknął z tyłu Popielny Król. – Daję ci ten zaszczyt!

Nomad zignorował go, rozbił szkło gabloty i zdjął z półki małe słoneczne serce. Było wielkości kamyka i emanowało bardzo słabym blaskiem.

Kiedy pierwszy raz rozmawiał z Popielnym Królem w tej kajucie, pokazano mu książkę należąca do osoby, której dusza spoczywała teraz w jego dłoni. Osoby z ojczyzny Nomada.

Ta dusza... łączyła go z nią więź. Czy to wystarczy? Wyszpeł słowa modlitwy po alethyjsku:

– Odważna duszo poza progiem śmierci, przyjmij w siebie moje ciepło, bym mógł pobłogosławić tych, którzy wciąż żyją. Proszę.

Poczuł nagły chłód w dłoni. Ciepło wysysane z jego wnętrza.

„To działa?” – spytał Pomocnik. „Na burze, to działa”.

Nomad odwrócił się i zobaczył w wejściu Popielnego Króla. Pomyślał o uderzeniu mężczyzny pięścią i jego ciało zaczęło tężeć. Słoneczne serce być może działało, na co miał nadzieję, ale nie był jeszcze gotów. Dlatego Nomad posłał królowi szeroki uśmiech, po czym wskoczył z powrotem do kabiny pilota i wypadł przez przednią szybę – niedawno wymienioną po jego poprzedniej ucieczce. Na szczęście spartaczyli robotę.

– Dobrze! – krzyknął do niego Popielny Król. – Tchórz, co? Jeśli moi Zwęgleni cię zabiją, to wciąż udowodni to, co musi zostać udowodnione. Słyszysz mnie, człowieku spoza świata?

Nomad zeskoczył z pokładu i ruszył przez błoto w stronę, z której przybył. Błyskawice wśród ciemności ukazały mu niepokojący widok – statek Elegii wciąż w błocie. Zapal jeszcze nie wystartował, a Zwęgleni, całe dziesiątki, pełzali po nim.

Podobnie jak większość statków, które tu widział, ten również miał kształt kojarzący się z dawną łodzią – z kabiną z tyłu i szerokim pokładem z przodu. Całość otaczały relingi, a Zwęgleni wspinali się po burtach, na pokład, atakowali bulwiastą konstrukcję z tyłu.

Nomad przybył i potężnym susem wciągnął się na pokład dziobowy. Spojrzał w stronę kabiny i zobaczył, że osłona wisi z boku, nadtopiona i wypaczona. Przez szybę dostrzegł Zapal

i Rebeke, którzy rozpaczliwie próbowali powstrzymać grupę Zwęglonych przed otwarciem tylnych drzwi.

Na pokładzie znajomy Zwęglony – ten z pasmami na twarzy, jakby ktoś przesunął pogrzebaczem po jego policzkach – odwrócił się od tłuczenia przedniej szyby pałąk. Zobaczył Nomada i uśmiechnął się szeroko. Zrobił krok do przodu, może spodziewając się kolejnej łatwej walki.

Nomad z wysiłkiem zacisnął pięść wokół niewielkiego słonecznego serca człowieka spoza świata – i czuł, jak wysysa z niego ciepło. Szarpało skorupę otaczającą jego serce. Udręka dawała mu pewne korzyści i nie chciałby całkiem się jej pozbyć. Ale zdrapać odrobinę z samego wierzchu i...

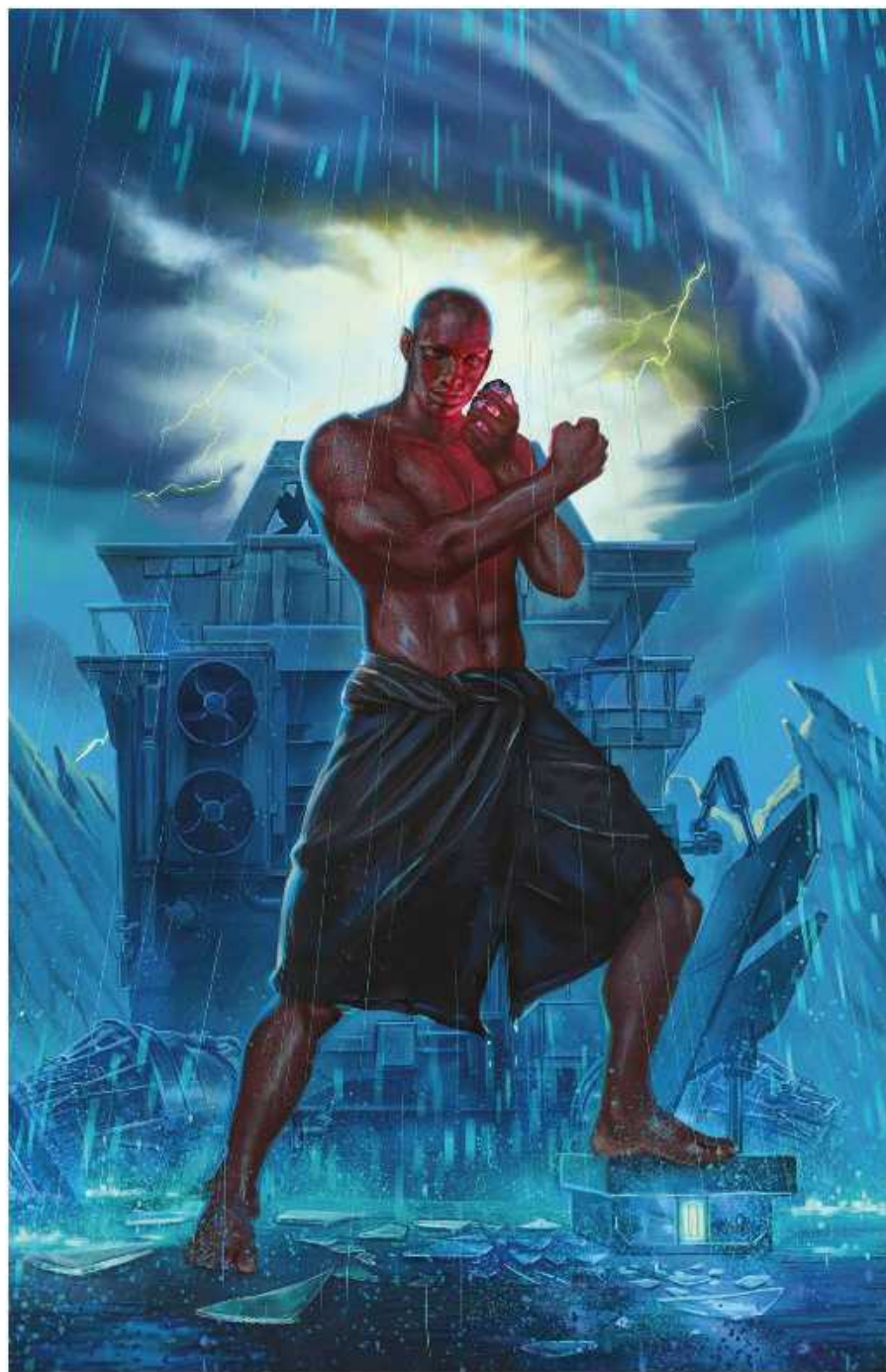
Zwęglony rzucił się na niego.

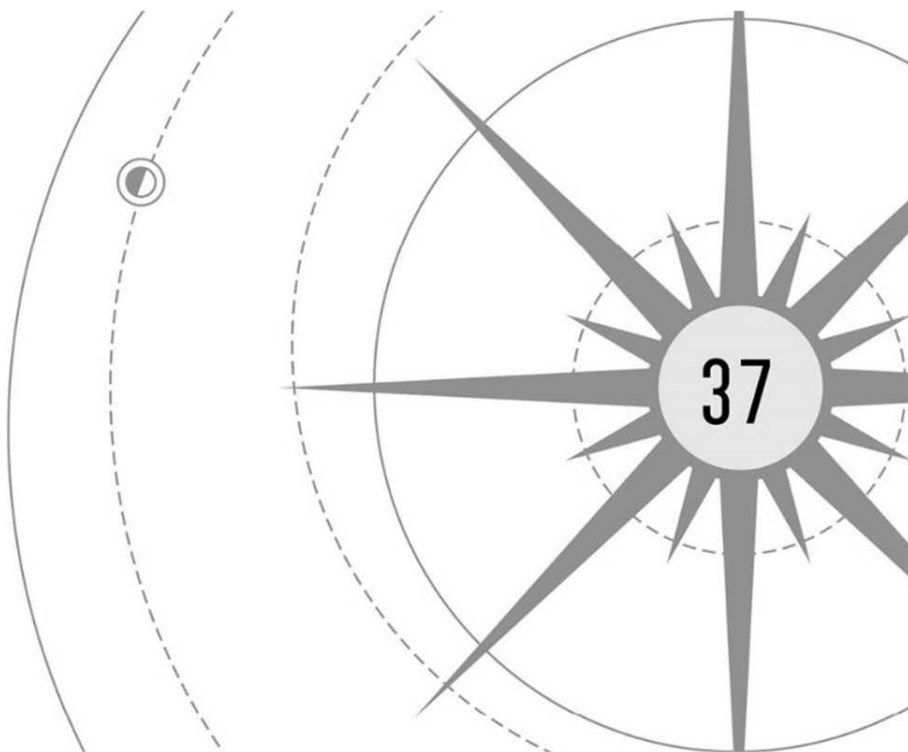
A Nomad – przebiwszy się przez odrętwienie, które próbowało go powstrzymać – wbił pięść w brzuch stwora. Zwęglony sapnął, kiedy Nomad rzucił nim z powrotem o przednią szybę.

Niemal jak jeden mąż, Zwęgleni, którzy się wspinali lub próbowali dostać do środka, odwrócili się do niego, ich błada skóra ociekała deszczówką, a popielne serca płonęły.

Kiedy Nomad uniósł tę wspaniałą pięść, niebo przecięła błyskawica. Trefniś doceniłby teatralność tej chwili. Nomad tylko się uśmiechnął.

- Na burze, tak – szepnął. – W końcu.





Zwęgleni wspinający się na pokład zawyli i zaczęli krzyczeć co – bardzo pięknie – odciągnęło uwagę tych już na statku. Zostawili drzwi do kokpitu, których bronili Zapal i Rebeke, i wybiegli, by dołączyć do towarzyszy na pokładzie – bo właśnie odkryli bardziej angażującą walkę.

Nomad próbował stworzyć włócznię, ale poczuł opór – jego dusza wciąż była oczyszczana i nadal pozostały resztki zgorzeli. Dlatego wyciągnął ręce do przodu i stworzył prosty kij bo – kawał srebrzystego metalu długi na sześć stóp. Z jakiegoś powodu rezygnacja z grotu włóczni sprawiła, że zadziało – uśmiechnął się, bo przypomniał sobie podobną historię opowiedzianą mu przez przyjaciółkę z dawnych lat.

Utworzył w drzewcu otwór odpowiednich rozmiarów, po czym wsunął do środka słoneczne serce człowieka spoza świata, by mógł cały czas go dotykać, trzymając broń. Kiedy to zrobił, Pomocnik westchnął – co było bardzo zabawne przy jego monotonnym głosie.

„Czuję, że moc tego słonecznego serca rośnie, mówi rycerz. Ja... być może uda mi się zaczerpnąć Napełnienia, które do niego wprowadzasz. Dlaczego? Nie mogę użyć mocy zgorzeli twojej duszy”.

– Może dlatego, że jest przefiltrowana i oczyszczona. – Uniósł kij. – To nie pora, by się nad tym zastanawiać.

„To da ci kilkaset JEO. Wykorzystaj je mądrze”.

Będzie musiał. Otoczyło go około dwadzieścioro Zwęglonych, którzy wspięli się po burcie statku lub wydostali się z kabiny. Nawet ten, którego uderzył wcześniej, podniósł się, a jego

popielne serce zapłonęło.

Dwadzieścioro na jednego. Niekorzystny układ sił, nawet dla kogoś takiego jak on. Mimo to rzucił się na pierwszą grupę, zdeterminowany stworzyć wokół siebie jak największą wolną przestrzeń. Największym niebezpieczeństwem było to, że zostanie obalony na ziemię, zduszony, przytłoczony. Liczył, że go nie docenią. Tak czy inaczej, jeśli miał zwyciężyć w walce z tak dużą liczbą przeciwników, jego największą szansą było uderzać szybko, uderzać raz za razem i wytrącić wroga z równowagi.

Na szczęście przez te wszystkie lata doskonale nauczył się pozostawać w ruchu.

Rzucił się na Zwęglonych i odepchnął kilkoro z nich. Emanujące blaskiem popielne serca rozświetlały pokład jak dogasające ognisko w nocy – od czasu do czasu niknące, gdy niebo nad nimi przecinała biała błyskawica. Troje zamachnęło się pałkami, ale Nomad zwinnie uniknął ciosów, jego mięśnie – i dusza – pragnęły tego na równi z nim. Uderzył jedną końcem kija pod kolanem, aż poleciała po mokrym pokładzie – po czym odepchnął kolejnego, zrobił krok do tyłu i zamachnął się kijem z siłą człowieka, którego od zbyt długiego czasu powstrzymywano.

Błyskawica przecięła niebo, kiedy uderzył trzeciego Zwęglonego pod brodą z wystarczającą siłą, by wyrzucić go w powietrze. Kiedy jego dolna szczęka zetknęła się z górną, z ust wypadły mu zęby.

Nomad obrócił się w stronę kolejnej grupki, krople deszczu odbijały się od jego ramion, kiedy zawirował – upuścił kij i odesłał go, jednocześnie łapiąc słoneczne serce – i stworzył tarczę, która powstrzymała trzy kolejne ataki. Napał naprzód – odrzucając ich do tyłu – po czym upuścił tarczę, znów utworzył kij i zamachnął się w stronę kobiety, którą wcześniej przewrócił.

Uderzył ją z siłą grzmotu, aż spadła z pokładu, rozchlapując wodę.

Kolejny cios rzucił jednego ze Zwęglonych na pokład, a jego czaszka uderzyła z trzaskiem o stal.

Następny atak za jednym zamachem podciął troje, obalając ich na ziemię.

Kolejny złamał rękę, zmuszając Zwęgloną do rzucenia broni i zawycia z bólu, kiedy Nomad szybkim kopniakiem popchnął ją na stertę jej towarzyszy.

Był deszczem, nagle wyzwolonym z chmury i wyrzuconym w niebo. Był błyskawicą, tak niecierpliwie pragnącą się poruszać, że przecinała pustą przestrzeń, rozdzielając się gorączkowo. Był gromem, który uderzał, kiedy nikt się go nie spodziewał, i zniekształcał powietrze swoimi rytмами. Był burzą. Spadającą na obce ziemie, ale wciąż taką samą jak wcześniej.

Odrzucał Zwęglonych na boki jak lalki. Miażdżył kości, spychał ich z pokładu w błoto, wyrzucał na deszcz. Na tym świecie byli elitarnymi wojownikami – ale to była planeta, gdzie ludzie nie szkolili się do walki, i nie widziała nigdy wcześniej nikogo takiego jak on.

„Kabina, Nomadzie”, powiedział Pomocnik – który jak zawsze uważał na niego, nawet kiedy Nomad wykorzystywał jego zewłok jako broń. Jedno ze Zwęglonych, bardziej przebiegłe od pozostałych, wślizgnęło się do kokpitu, kiedy Zapał i Rebeke patrzyli, jak Nomad walczy.

Kiedy istota podniosła się za nimi – a żar w jej piersi zalał pomieszczenie krwawym blaskiem – Nomad zatrzymał się na zewnątrz. A później wydał stanowczy rozkaz.

Włócnia!

Migoczący grot zdobiony wzorami z jego ojczyzny powstał z mgły na końcu laski w chwili, kiedy przebił nią przednią szybę i wraził włócznie prosto w popielne serce Zwęglonego.

Popielne serce popękało. Światło zgasło. Oczy istoty spaliły się i wypuściły kłęby czarnego dymu, kiedy ciało poleciało do tyłu.

Zwęgleni walczący na pokładzie zamarli. To dało Nomadowi dość czasu, by zobaczyć, jak oszołomieni Rebeke i Zapał gapią się na niego. Z opóźnieniem odwrócili się w stronę martwego Zwęglonego za plecami, po czym znów spojrzeli na niego z jeszcze większym podziwem, o ile było to możliwe.

„Nomadzie, igrasz z niskim poziomem Napełnienia”, powiedział Pomocnik. „Nie miałeś czasu w pełni odzyskać wzmocnionej siły i wytrzymałości. Nie pokonasz tych wszystkich istot”.

Niestety kryła się w tym prawda. Zwęgleni, teraz ostrożniejsi, zaczęli się podnosić. Zbierali się i uzdrawiać. Nie byli może wyszkoleni, ale za to bardzo Napełnieni, a on leciał na oparach. W czasie następnego ataku nie będą go już tak bardzo lekceważyć.

Nomad sięgnął i zabrał włócznie z powrotem, a później uniośł ręce – jedną z włócznią – w stronę Zapała, w geście, który uważał za uniwersalny symbol oznaczający „co to ma być, do diabła?”. Następnie machnął ręką w górę, by wskazać, że powinni wystartować.

Zapał skulił się, skinął głową i podszedł do tablicy sterowniczej. Nomad odwrócił się w stronę Zwęglonych, niepewnie tłoczących się na dziobie niewielkiego pokładu. Ich ostrożność podpowiadała mu, że wciąż czuli strach. Panowanie Popielnego Króla nie było absolutne.

„Czuję się winny, zauważa rycerz, że musimy traktować ich w taki sposób. Oni też są ofiarami”.

Była to prawda, ale taka, z którą Nomad pogodził się już dawno. Człowiek nie zawsze miał szansę walczyć z właściwymi ludźmi. W rzeczy samej, często trzeba było walczyć z niewłaściwymi – przynajmniej do czasu, aż udało się powstrzymać mężczyzn i kobiety, którzy wydawali rozkazy.

Może tego dnia istniało inne rozwiązanie. Przyjął postawę, z włócznią w gotowości. Później, do rytmu gromu i wśród oklasków błyskawic, zaczął wirować i przekreślać się, poruszając włócznią w serii imponujących manewrów ćwiczebnych.

Nazywali to kata z rozpadlin. Pierwsze, które widział w życiu i z własnego doświadczenia wiedział, jak imponujące wrażenie robiło. Z każdym obrotem włóczni robił krok do przodu, jego stopy uderzały o pokład z dudnieniem jak bęben – stanowczo i pewnie mimo śliskiej powierzchni. Włócznie obracała się tak szybko, że odbijała pobliskie popielne serca niemal jak zwierciadło. Odpychała deszcz i była przedłużeniem jego ciała – przeskakująca, wirująca, później w ułamku sekundy robiąca wypad. Jak zamrożona błyskawica.

A później znów ruch, cały czas naprzód, krok po nieuniknionym kroku. Naprzód w stronę obserwujących Zwęglonych, którzy – nieświadomie zaniepokojeni – cofali się. Kulili się przy relingu na dziobie, a za nimi Nomad dostrzegł parę świecących oczu w ciemności. Popielny Król unosił się w pobliżu na swoim własnym statku i obserwował. Z podziwem. Może nawet strachem.

Tak... Nomad widział, że to prawda, bo przerażenie Popielnego Króla malowało się na załęczonych twarzach Zwęglonych, z którymi był związany. Mężczyzna zaczynał sobie uświadamiać, jak wielkie miał szczęście, że Nomad nie zgodził się z nim pojedynkować. Uświadamiał sobie dokładnie, jak bardzo byłby martwy, gdyby walka przyszła do niego.

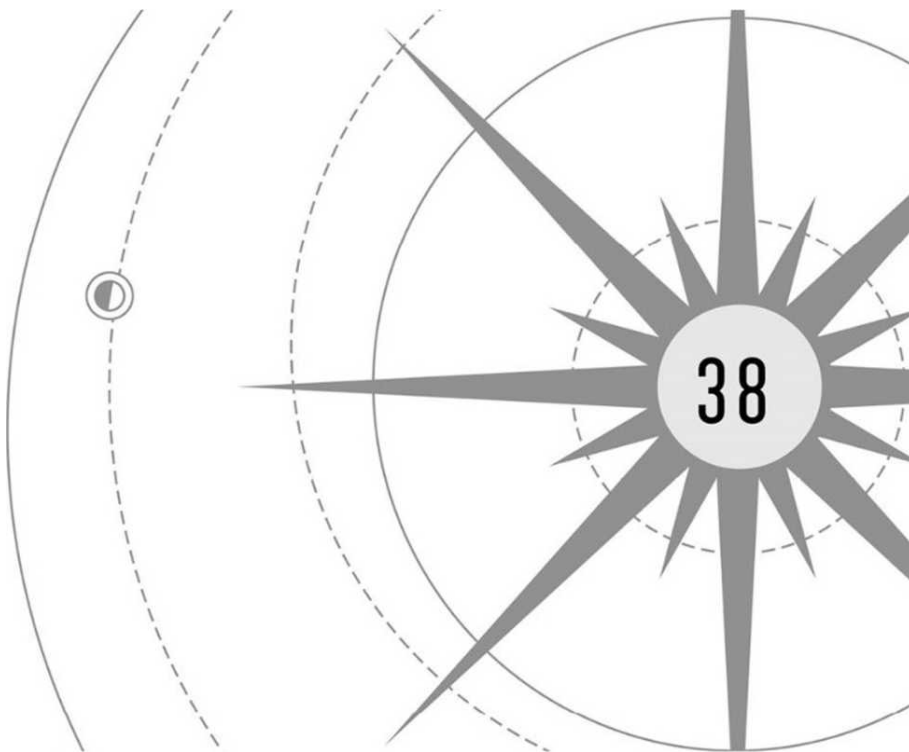
Nomad doszedł do ostatniego obrotu i kroku, rozstawił nogi i wyciągnął przed siebie włócznię tak, że prawie dotknęła najbliższego Zwęglonego. Później cofnął się, wyprostował, odesłał włócznię i złapał jedną ręką malutkie słoneczne serce człowieka spoza świata. Zaplótł na piersi ręce skrzyżowane w nadgarstkach i cicho wyszeptał:

– Most czwarty.

Nie mogli znać wagi, jaką te słowa miały dla niego. Ale cały pokaz – z martwym Zwęglonym za jego plecami w kabinie i statkiem, który w końcu startował – wystarczył. Pozostali przy życiu Zwęgleni pospiesznie opuścili pokład, uciekając przed nim, i spadli w błoto poniżej.

Podejrzewał, że nie złamałoby się, gdyby nie było przy nich Popielnego Króla, który obserwował i uświadomił sobie z przerażeniem, z czym prawie się zetknął.

A może Nomad jedynie przypisywał mu emocje. Mężczyzna był teraz zbyt daleko, by dostrzec wyraz jego twarzy. Tak czy inaczej, kiedy uciekali w mrok ze słonecznymi sercami, nikt ich nie ścigał.



Nazywali ją Elegią.

Uwięziona Zwęglona rozważała to imię, kiedy statek leciał z powrotem w stronę Promienia. Obserwowała pokaz zabójcy na pokładzie, choć widok miała częściowo zasłonięty. Musiała się przechylić i spojrzeć przez otwarte drzwi między pomieszczeniami, obok dwojga ludzi przy sterach, przez przednią szybę, w ciemność.

Patrzyła, jak on walczy, i pragnęła.

To. Tego chciała.

Nie mogła znów być Elegią. Podobało jej się imię – ta część jej, która znała słowa, rozumiała jego znaczenie. Pieśń dla zmarłych. A ona umarła. Pasowało.

Elegia. Będzie Elegią. Nie tą samą Elegią, ale różni ludzie mogli nosić to samo imię.

Zabójca wszedł przez drzwi i zamknął je za sobą. Był przemoczony i nagi od pasa w górę. Czuli, że powinien mieć tam świecące popielne serce. To było niewłaściwe, że go nie miał. Nikt nie walczył tak jak on bez popielnego serca.

A jednak on to robił. I to o wiele lepiej niż Zwęgleni.

Chciała tego.

Powiedział jej, że powinna żyć dla czegoś. Właśnie zobaczyła, że miał rację. Reszta Zwęglonych walczyła jak dzieci, jak brutale bez wykształcenia. On walczył z wdziękiem samego wiatru, całkowicie opanowany, przekuwał swoją złość i rozgorączkowanie w gładkie poruszenia.

Broń była o wiele bardziej niebezpieczna, kiedy miała ostry czubek. Kiedy można było przekierować całą swoją siłę w ten jeden punkt. A jej złość, jej pragnienie, by walczyć i poruszać się i robić i działać i zabijać i napierać i miotać się... Wszystko to byłoby o wiele bardziej niebezpieczne, gdyby mogła to przekierować w jeden punkt.

Dlatego zwyciężył. Zwęgleni byli pałkami, a on włócznią.

Kobieta wyszła z kabiny. Ta, którą nazywali Rebeke. Siostra Elegii. Podeszła do zabójcy i cofnęła się. Złożyła dłonie w rękawiczkach i stała.

- To było niewiarygodne - szepnęła Rebeke. - Było również straszliwe. Takie straszliwe.

- Sztuka i rzeźnictwo włóczni. Wiem. Zapale, powinienes dać im znać, że jesteśmy w drodze!

- Już to robię - odrzyknął. - Musieliśmy uciec spomiędzy statków Popielnego Króla. Oni mieli zagłuszacz.

Rebeke ruszyła zająć się pozostałą czwórka, która od gorąca straciła przytomność, i dopiero wracali do siebie. Byli słabsi niż Elegia. Dlatego się nimi nie przejmowała.

Po chwili z kokpitu dobiegł głos. Elegia odchyliła głowę do tyłu - jakby nie wypełniała jej stała energia, która próbowała zmusić ją do poruszania się - i słuchała. Musiała nauczyć się słuchać. Musiała nauczyć się to kontrolować.

Tylko wtedy mogła walczyć tak jak on.

- Zapale? - zabrzmiał kobiecy głos przez radio. Jedna z tych starych przywódczyń. - Och, chwała Adonalsium. Macie je?

- Pięć słonecznych serc. Leżą w worku obok mnie, Pewności. Jesteśmy w drodze.

- Jak długo? - W głosie starej kobiety brzmiał strach.

Elegia nie rozumiała strachu aż do tej pory, kiedy poczuła go razem z innymi Zwęglonymi. Bo okłamała zabójcę. Choć już nie słyszała głosu, wciąż czuła Popielnego Króla. Jego emocje, które - w tej właśnie chwili - obejmowały również strach.

- Proszę o chwilę czasu, kiedy obliczam nasz kurs - odparł Zapał. - Jak... jak się czujecie?

- Słońce wciąż naciera, a nasze szanse, by przed nim uciec, się kurczą. Jest korytarz ciemności, szczyt góry dotyka cienia. Niestety szybko znika. Dwa z naszych statków nie nadają się do naprawy. Przeprowadziliśmy wszystkich na pozostałe osiem, ale dla niektórych brakuje miejsca w środku, więc siedzą na pokładach. Czekają.

- Nim dotrzemy, podzielimy słoneczne serca na części. Przygotujcie wszystkich do wyruszenia. Będziemy tam za... niecałe pół godziny. Miejmy nadzieję.

- Obyś przegonił słońce, Zapale - szepnęła stara kobieta.

Rebeke wzięła nóż, by podzielić słoneczne serca, a zabójca podszedł do niej.

- Czy możesz zostawić jedno z nich dla mnie? - spytał.

Wpatrzyła się w niego, a później w ukradzione słoneczne serca, wyraźnie obliczając w duchu, czego potrzebował Promień. Spojrzała w oczy zabójcy, skinęła głową i podała mu pełne słoneczne serce. Odszedł i uniósł je do twarzy. Później światło zgasło, a jego oczy na chwilę zablęskły.

On miał wewnątrz popielne serce. Po prostu nie było go widać.

- Patrzyłam, jak walczysz - szepnęła Elegia, kiedy usiadł w pobliżu.

Spojrzał na nią.

- Chcę tego. Chcę robić to, co ty robisz. Chcę móc zabijać tak, jak ty zabijałeś.

Zastanowił się, zanim się odezwał.

– Miałem nadzieję, że spędzenie czasu z siostrą, z tymi ludźmi, sprawi, że zaczniesz pragnąć tego, co mają oni. Nie tego, co robię ja. Stara Elegia...

– Nie jestem nią – przerwała mu. – Nie mogę być nią. Chcę się nauczyć walczyć tak jak ty. Powiedziałeś, że muszę się skupić na czymś, świadomie. Wybrałam.

– Potrzebujesz kontroli, by walczyć tak jak ja.

– Już się tego domyśliłam. Wiem o tym. Ale jak? Jak się nauczyłeś?

– Powoli. – Oparł się o ścianę i zamknął oczy. – Krok po kroku, Elegio.

– Nie rozumiem.

– Kiedy pierwszy raz dostałem włócznię do ręki, nie wiedziałem, jak ją trzymać. Nie umiałem nawet stać. Za każdym razem, kiedy ćwiczyłem walkę, musiałem skupiać wszystkie myśli, by stać we właściwy sposób. Im dłużej to robiłem, tym bardziej naturalna stawała się ta postawa. To jak... ja nie tylko się tego nauczyłem, ja to zinternalizowałem. Dzięki temu mój świadomy umysł był wolny, by myśleć o czymś innym. Ponieważ moje ciało stało teraz właściwie samo z siebie, mogłem zacząć się zastanawiać nad tym, jak trzymam włócznię.

Później ten chwyt stał się naturalny, więc mogłem się skupić na precyzyjnym dźganiu. Mogłem się nauczyć, jak przesuwać chwyt, jak zmieniać ustawienie ciała, by zwrócić się ku wrogowi. Każda z tych rzeczy powoli stawała się instynktowna. Przez świadomą praktykę... by nauczyć się tej określonej rzeczy. I za każdym razem, kiedy ją zinternalizowałem, mój umysł był wolny, by spróbować czegoś innego. Jeśli jednak mam być szczery, miałem ogromną przewagę nad większością ludzi na tej ścieżce.

– Miałeś nauczycieli? – spytała.

– Nie, mogłem przeżyć błędy. – Otworzył oczy, wyglądał przy tym na wyczerpanego. – Zostałem Napelniony, tak jak ty. Wymagało to ode mnie złożenia kilku przysięg i związania się z istotą z czystego Napelnienia. Jak ten kamień w twoim wnętrzu, ale z gorszym poczuciem humoru.

Wydawało jej się, że coś usłyszała, jak to jej się czasem zdarzało w jego obecności. Inny głos, który, jak jej się wydawało, powiedział... żart?

– Moje Napelnienie pozwoliło mi uleczyć rany, których nie powinienem przeżyć i uczyć się na błędach w sposób, który jest wyjątkowo trudny dla żołnierza. Zwykle człowiek po prostu umiera i cała nauka wyparowuje jak deszczówka w słońcu.

– Ale ja mogłem się uczyć, rosnąć, aż... – Rozłożył ręce. – Aż stałem się tym, kogo zobaczyłaś. Mężczyzną, który często ma bałagan w życiu, ale jego instynkty bojowe hartowały się przez dziesięciolecia.

– Chcę tego – szepnęła.

– To powinno wystarczyć. – Wyciągnął rękę... jakby chciał ją uwolnić z ostatniego łańcucha.

Natychmiast poczuła narastającą niecierpliwość. Gorąco z popielnego serca rozplywające się w jej ciele. Pragnienie walki dodające jej energii.

– Nie – zmusiła się, by powiedzieć, co sprawiło, że się zawahała.

– Dlaczego?

– Jeśli mnie uwolnisz, zaatakuję ciebie. Zaatakuję was wszystkich. Czuję to. – Przerwała, bo czuła... Czuła. Czuła coś innego niż gorąco. – Ale to postępek, prawda? Że ci o tym powiedziałam?

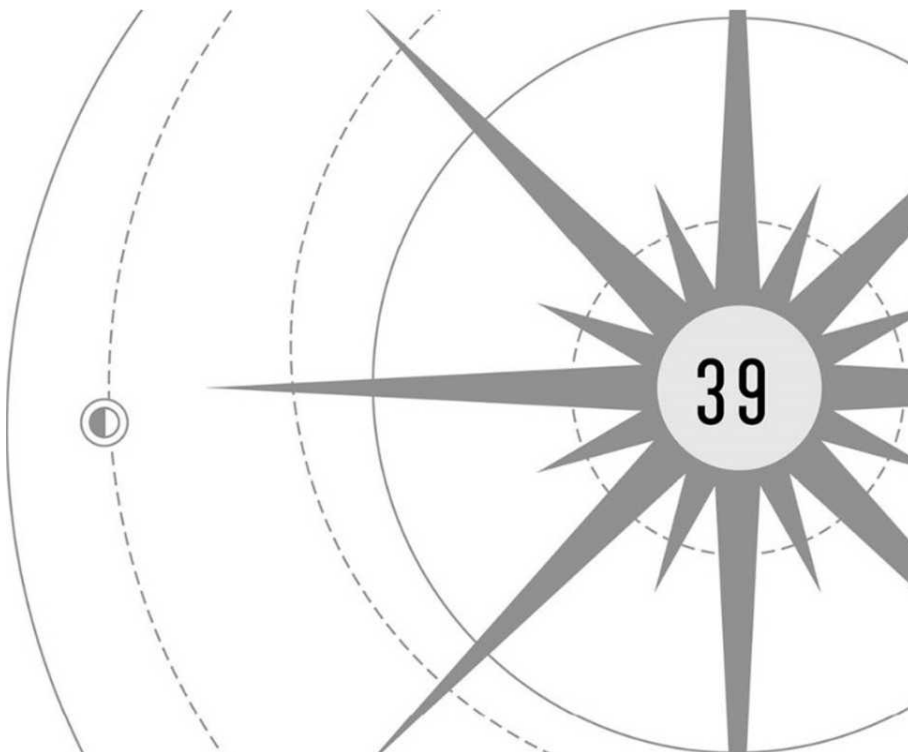
- Tak to zinterpretuję. - Pokiwał głową i odsunął się od jej kajdan. - Dzięki za ostrzeżenie. Ale będziesz się musiała nauczyć nad tym panować. Jeśli nie, to nigdy nie nauczysz się nic więcej.

- Mogę walczyć - powiedziała. - Nawet z tym gorącem.

- Sama walka nie wystarczy, Elegio. Pozostali Zwęgli, oni mogliby spędzić stulecia na arenie, a właściwie niczego by się nie nauczyli. Musisz podjąć decyzję, że będziesz ćwiczyć. Podjąć decyzję, że będziesz się uczyć. - Spojrzał jej w oczy. - Podjąć decyzję, że będziesz to kontrolować.

Powoli pokiwała głową, usiadła wygodniej i się zamyśliła. Aż dotarli w pobliże miejsca, gdzie rozbily się statki.

I gdzie robiło się niebezpiecznie jasno.



Ośmioro ludzi wyszło na spotkanie *Ścigającego świt*, po jednym na każdy z pozostałych statków Promienia. Ruszyli biegiem, gdy tylko rzucono im kawałek słonecznego serca.

Nomad stał na pokładzie i patrzył w górę, a pot spływał mu po plecach. Wydawało się, że szczyty gór nad nimi stoją w płomieniach. Właściwie najpewniej rzeczywiście stały w płomieniach. Promienie słońca po drugiej stronie tych szczytów topiły kamień.

Cofnął się, kiedy zobaczył coś wystrzelującego w powietrze po drugiej stronie, widocznego nawet z tej odległości. Strumień magmy, sięgający wysoko ponad atmosferę. Jak plama na słońcu.

Na burze. Wydawało mu się, że zna podstawy geologii, choć po opuszczeniu ojczystego świata czekał go intensywny kurs tektoniki. Ale nie miał pojęcia, co mogło sprawić, że góry wznosiły się po każdym zachodzie słońca, po tym, jak wcześniej całkiem się stopiły.

Rebeke podbiegła do statku i skinęła mu głową, po czym weszła do kokpitu. Musiała się przebić między ludźmi, których tam wcisnęli po tym, jak porzucili dwa kolejne statki.

Powrót Rebeke oznaczał, że konwój był gotów. Wystartowała *Ścigającym świt*, wyglądając przez przednią szybę, w której wciąż był otwór po włócznie.

Nomad został na pokładzie, nie chciał tłoczyć się we wnętrzu. Poza tym tu czuł chłodny dotyk wiatru na skórze głowy. Włosy odrosną mu dopiero, kiedy będzie miał większy zapas Napelnienia. Przynajmniej dostał spodnie, pasek i koszulę z guzikami. Nie zapiął jej pod szyją.

Oparł ręce na relingu i wychylił się, obserwując start ośmiu pozostałych statków – dwa zniszczone porzucili u podnóża góry. Razem lecieli z pełną prędkością. Odwrócił się i spojrzął w stronę drugiego horyzontu. Wydawało mu się, że widzi przed sobą ciemność cienia – ciemną stronę planety – ale nie był pewien.

Był to bardzo szczególny wyścig. Mogli się poruszać szybciej niż wschodzące słońce, ale nie próbowali jedynie go przegonić. Teraz znajdowali się w plamie ciemności w kształcie góry. Jak cień drzewa w słoneczne przedpołudnie, z początku sięgający daleko – ale kurczący się, w miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej.

Czy uda im się przelecieć wzdłuż tego cienia i uciec w noc? Czy też dotrą do krawędzi i ujrzą ognistą szczelinę między sobą a bezpieczeństwem? Coraz szerszą, zmuszającą ich do wycofania się, aż zostaną zniszczeni, gdy znikną resztki cienia?

Będzie blisko. Dostrzegał to w sposobie, w jaki konwój zmuszał silniki do skrajnego wysiłku, mimo niedawnych prowizorycznych napraw. Nie było czasu, by rozczulać się nad maszynierią. Jeśli coś się zepsuje, zginą. I tak mogą zginąć. Dlatego napierali, spalali dusze swoich bliskich zmarłych, szaleńczo pędząc w stronę bezpieczeństwa.

Widział to z pierwszego statku. Jednostka Elegii, choć była niekształtnym poszukiwaczem, nadal leciała szybciej niż duże transportowce z tyłu. Rebeke zwolniła, żeby zostać z pozostałymi – ale później przyspieszyła, najpewniej została zbesztana za zwleknięcie. Współczucie oświadczenia nalegała, by wszystkie statki leciały z maksymalną prędkością i nie zwalniały, jeśli inne miałyby problemy.

Teraz musieli się modlić, uciekać i nie wahać. Współczucie w tym kontekście oznaczało przetrwanie ich rodaków.

„Ten ostatni, mówi rycerz, jest sporo wolniejszy od pozostałych...”

Nomad ledwie dostrzegł, co Pomocnik miał na myśli. Daleko na końcu ostatni statek walczył. To nie był ten z Chórem, on znajdował się w pobliżu środka. To był masywny statek z wodą, teraz pełen ludzi – pewna ich liczba tłoczyła się na pokładzie.

Nomad spojrzął na grań, która świeciła jak korona. Później czubki szczytów zaczęły się topić, magma spływała po ich tylnej stronie.

„Nomadzie, czuję coś”, powiedział pomocnik. „Czujesz to? Co to?”

– Nie wiem, co...

Urwał, kiedy zobaczył to w powietrzu obok siebie. Niewielkie pęknięcie, przesunięcie – w taki sposób, w jaki pęknięte lustro odbijało niespójny obraz. Unosiło się obok jego głowy, było wielkości paznokcia. I było w nim coś znajomego.

– To jeden z moich fragmentów – szepnął. – Część mojego pancerza. Powiedziałaś, że są martwe!

„Myślałem, że odeszły, zostały pochłonięte”.

Dlaczego teraz wrócił? Co się wydarzyło?

Czy to dlatego, że znów walczył?

Czy ze względu na powód, dla którego znowu walczył?

Odwrócił się w stronę szeregu statków. Ostatni odstawał coraz bardziej.

– Pom – spytał. – Ile mamy?

„W przybliżeniu sześć procent zdolności Przeskoku. Tuż ponad progami twojej siły”.

– Ale wystarczająco – szepnął. – Może wystarczająco?

„Do czego?”

Nomad pobiegł do przodu i skoczył. Poszybował nad bezbarwnym błotnistym krajobrazem, a powietrze go szarpało – jakby chciało go objąć – aż uderzył o pokład kolejnego statku w szeregu. Przebiegł przez niego, a ludzie po bokach krzyczeli.

Przed nim światło zaczęło się przebijać wokół szczytów, jak fala powodziowa przez walącą się tamę. Znow skoczył, znow w ramiona wiatru, i wylądował na dachu statku Chóru.

Biegł. Biegł w stronę słońca, szybował, ładował, skakał wzdłuż szeregu statków, aż dotarł do przedostatniego – i spojrzał na znacznie większą szczelinę między nim a ostatnim. Ludzie na pokładzie cofnęli się i patrzyli na niego z podziwem, kiedy odetchnął, a później pobiegł ze wszystkich sił i wzniósł się w niebo.

Wisiał tam, wpatrując się w nadchodzący świt, aż uderzył w ostatni pokład i się przetoczył. Podniósł się z zaciśniętymi zębami i pobiegł na koniec statku, mijając przerażonych ludzi. Kiedy dotarł na miejsce, przywołał Pomocnika jako tarczę.

– Większa, Pom – warknął.

„Jak duża?”

– Większa! Zużyj wszystko!

Słońce w końcu weszło ponad granią. A Pomocnik spała! Napełnienie Nomada, rosnąc.

Wokół nich wybuchło światło, jego siła uderzała o tarczę, odpychając go do tyłu – ale Pomocnik, wykorzystując moc tamtego słonecznego serca, stał się naprawdę duży. Wielki jak budynek, wystarczająco, by osłonić cały statek.

Ogień rozwścieczonego słońca spływał po tarczy. Podpalał powietrze po bokach, jakby Nomad stał z tarczą ochraniającą go nie przed zwykłym światłem – ale przed płomiennym oddechem jakiejś mitycznej bestii. Tarcza wytrzymała, a Nomad podtrzymywał ją, sapiąc pod naporem słonecznej furii. Spocony przycisnął do niej ramię i obejrzał się na ludzi, którzy stali z szeroko otwartymi oczyma. Zaskoczeni, że przeżyli swój pierwszy świt.

Chwilę później statek wleciał w cienie i gorąco zniknęło. Nomad odesłał tarczę i osunął się na reling, zaskoczony nagłą falą wyczerpania. Czuł się odrętwiały, czuł się zmarznięty, czuł się...

Normalny.

Na burze. Takie to było uczucie, nie mieć ani kropli Napełnienia. Minęło bardzo dużo czasu.

„Nie wierzę, że to się udało, szepce rycerz z entuzjazmem”.

Nomad pokręcił głową. Nie podnosił się z pokładu, bo czuł się słaby. Nieświadomy otoczenia. Zmęczony. Przytłaczał go ciężar lat.

„Poczułem coś z tego światła”, powiedział Pomocnik. „Coś bardzo niezwykłego. Wyczułeś jego siłę? Światło nie powinno tak napierać, Nomadzie”.

– Było wciągane w ziemię – szepnął Nomad. – Jak... prąd elektryczny. Jak błyskawica, tworząca prąd między chmurą a ziemią... ale tym razem, między promieniami słońca a jądrem planety.

Na burze. O to chodziło. Dlatego wysoko w górach mógł stać na pokładzie i nie spłonąć. Bo nie znajdował się między słońcem a planetą. To dlatego słoneczne serca tak bardzo się ładowały w procesie tworzenia. To dlatego ziemia się topiła.

Wszystko między słońcem a rdzeniem... działało jak włókna w żarówce. Przegrzane przez transfer energii.

Coś przebudziło go z odrętwienia. Czy to były...

Wiwaty?

Powoli wstał z pokładu, wyprostował się i spojrział wzdłuż kolumny statków. Wiwaty dobiegały z tych z przodu – radowali się, że udało im się dotrzeć do cienia.

Promieniowcy na ostatnim statku nie wykrzykiwali. Wpatrywali się w Nomada, drżący, przytłoczeni. Wiedzieli. Choć tylko przez chwilę znajdowali się na słońcu, to wystarczyłoby, żeby ich statek wyparował. Bycie tak blisko śmierci wstrząsało ludźmi.

Z przodu grupy stał ktoś znajomy. Nie uświadamiał sobie, że na tym statku była Kontemplacja. Klęczała, przytulając małą dziewczynkę, i patrzyła na Nomada.

Przygotował się na dalsze pochlebstwa. Ona jednak tylko pochyliła głowę, przygarnęła dziewczynkę do piersi i szepnęła:

– Dziękuję.

Nomad pokiwał głową i osunął się obok relingu – ledwie przytomny – kiedy lecieli. W końcu wyładowali w bezpiecznej odległości po ciemnej stronie, w spektakularnym blasku pierścieni. Statki spoczęły na ziemi w kręgu. Tam, wśród roślin wzrastających z niesamowitą prędkością, pomodlili się.

Został na statku, kiedy wszyscy wyszli i ukłękli. Nigdy wcześniej nie widział, by wszyscy klęczeli razem. Pozwolili Pewności prowadzić modlitwę, ale wydawało się, że każdy wypowiada cicho swoją wersję. Dla rodaków Nomada religia, monarchia i pewne aspekty biurokracji nierozwalnie wiązały się ze sobą. Sam był względnie religijny i nadal akceptował wizję Boga Poza.

Ale nigdy nie widział niczego, co przypominało tę modlitwę, tak surową, tak pełną łez, tak prawdziwą. Podniósł się i nie mógł nie patrzeć, nie mógł nie czuć energii.

Ludzie zaczęli się podnosić, a Większe Dobro stanęły w środku kręgu, który utworzyli. Przywołały go gestem.

Może powinien odejść, ale cyniczna część jego osoby... cóż, chyba została uspijona przez znużenie wynikające z całkowitego braku Napełnienia. Zszedł niepewnym krokiem ze statku i ruszył przez falującą, rosnącą trawę, by stanąć przed Większym Dobrem.

Każda z trzech kobiet zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła do niego rękę. Złapały go za dłonie.

– To się nie uda – powiedział im. – Ofiarowanie mi waszego ciepła.

– Wcześniej nie – szepnęła Współczucie, która jak zawsze siedziała. – Ale wtedy nie byłes jedynym z nas.

– Rebeke powiedziała mi, że wolisz nie być nazywany Słonecznym – odezwała się Kontemplacja.

Pokiwał głową. Czuł się dziwnie niepewny, kiedy wszyscy go obserwowali.

– Wołałbym być raczej znany z powodu tego, co zrobiłem, nie jakiegos prorocstwa.

– Posługujesz się imieniem Nomad. Dlaczego? – spytała Pewność, ściskając jego dłoń.

– To imię, na które zasługuję. I w moim ojczystym języku brzmi trochę jak imię, które mi nadano.

– To znaczy?

- Sigzil - szepnął. Z jakiegoś powodu wypowiedzenie go po tak długim czasie sprawiło, że lzy stanęły mu w oczach.

- Nomad - powiedziała Współczucie. - Wędrowiec bez domu. To imię już do ciebie nie pasuje, Sigzelu, bo masz miejsce. Tutaj, z nami. - Wypowiedziała imię trochę inaczej, zgodnie z ich miejscowym akcentem.

- Czy przyjmiesz imię od nas? - spytała Kontemplacja. - Takie, na które zasługujesz i na które zapracowałeś?

Pokiwał głową w odrętwieniu.

- Nadajemy ci imię Zellion - powiedziała Kontemplacja. - Na cześć pierwszej Gwiazdy Przewodnej, który poprowadził nas do tej krainy i do życia. Jak ty poprowadziłeś nas.

- Zellion - szepnął.

- Oznacza Tego, Który Znajduje - wyjaśniła Współczucie. - Choć nie znam oryginalnego języka.

- To z Yolenu - szepnął. - Gdzie urodził się mój mistrz.

- Zellionie - powiedziała Pewność. - Jesteś teraz jednym z nas. Przed czymkolwiek uciekasz, cokolwiek pozostawiłeś za sobą, cokolwiek zrobiłeś... nic z tego nie ma znaczenia. Tu jesteś jednym z Promienia, z planety Kantyk. Witamy cię. Akceptujemy cię.

Próbował się sprzeciwić. Powiedzieć coś o tym, że nie da się uczynić kogoś jednym ze swoich za pomocą słów. Nie da się wymazać tego, co ktoś zrobił, ciepłymi uczuciami.

Prawda?

„Słowa mają moc, szepce rycerz, jak długo mają znaczenie. Jak długo mają Intencję”.

- Ja... - szepnął. - Akceptuję.

Przez ich dotyk zalała go fala ciepła. Sapnął i otworzył szerzej oczy. Trzy stare kobiety uśmiechnęły się, kiedy osunął się na kolana, czując, że coś w nim się rozpala. Odeszły, puszcza-
jąc jego rękę. Ale wtedy podchodzili do niego kolejni ludzie, nawet dzieci. Jedno po drugim doty-
kali go odkrytymi dłońmi. Ręka na ręce. Muśnięcie boku twarzy. Kilka uścisków.

Każde z nich oddawało ciepło, aż poczuł, że wypełnia go płomień. Aż klęczał i zastanawiał się, dlaczego nie świeci jak słońce. Cofnęli się i pozwolili, by w nim płonęło.

„To niezbyt wiele, jeśli policzyć w JEO”, powiedział Pomocnik. „W sumie mniej niż procent... ale każdy z nich oddał z siebie zadziwiająco dużo”.

Wydawało mu się, że to o wiele więcej. Może chodziło o to, że nie miał Napelnienia, a później je odzyskał. Może o coś innego, coś wyjątkowego w sposobie, w jaki został tym obdarowany. W kontraście do wcześniejszego odrętwienia czuł się teraz bardziej żywy niż lat.

Większe Dobro znów do niego podeszło.

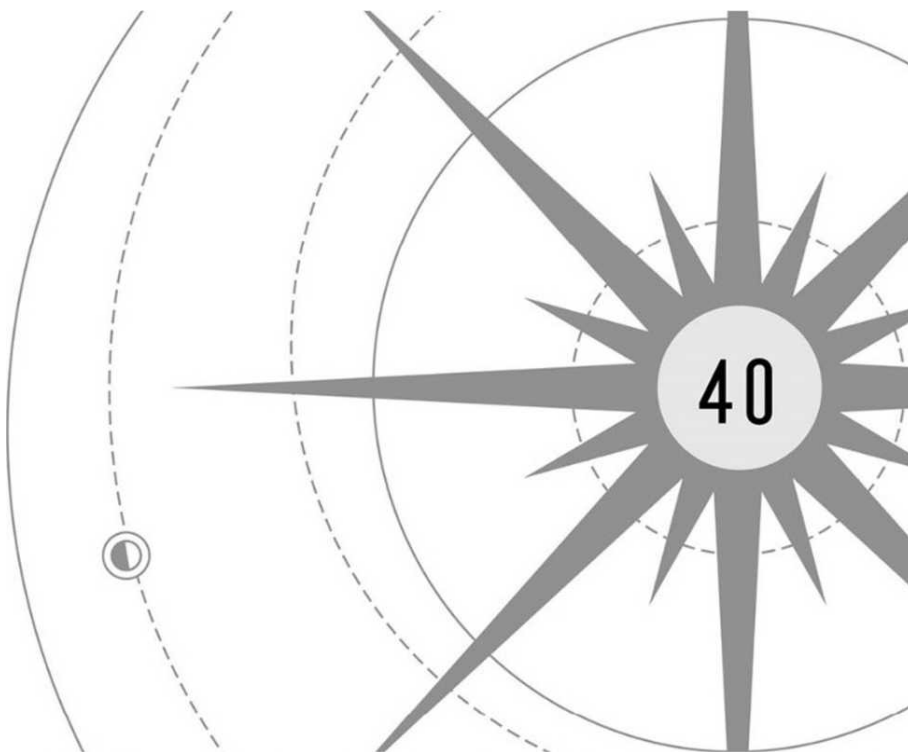
- Zellionie - powiedziała Kontemplacja - to nasze podziękowania dla ciebie. Ale... mamy coś do zrobienia. Ostatnie zadanie. Musimy znaleźć drogę do Schronienia.

- Masz plan? - spytała Pewność. - By nas tam doprowadzić?

- Tak - odparł chrapliwie. - Ale... czy możecie mi dać chwilę albo dwie, żebym to przetrawił, proszę?

- Oczywiście - powiedziała Współczucie. - Dależ nam wszystkim każdą chwilę, którą mamy, od teraz aż do momentu, kiedy zostaniemy oddani słońcu. Proszę, weź trochę dla siebie.





Nie chciał wracać do swojego pokoju, bo była w nim Elegia. Chciał być sam. Dlatego odszedł od grupy statków i spojrzał w niebo. Widział pierścienie na innych planetach, ale nigdy tak jaskrawe, kolorowe i jasne.

Ale jak tak wiele rzeczy w życiu, był to kompromis. Jaskrawe pierścienie. Straszliwe słońce. Ramię w ramię, groza i piękno. Podobnie jak wewnątrz osoby takiej jak on. Gdyby nie przeszedł przez straszliwe doświadczenia, które pozostawiły na nim blizny, nie mógłby walczyć, by uratować Rebeke i Zapala.

Ale gdyby nie przeszedł przez tę grozę, nie byłby też uszkodzony.

Wspiął się na wzniesienie. Ziemia pod jego stopami była gąbczasta, a kiedy stał na wzgórzu, rośliny wyrastały wokół jego stóp i łaskotały go w łydki. Jego buty – nie miały grubej podeszwy i wysokiej cholewy, jak lubił, ale Promieniowcy nie mieli innych – były zbyt nowe, nieznoszone. Nie widziały jeszcze grozy, więc nie były elastyczne.

Ale kiedy zaczną je nosić, jednocześnie zaczną się zużywać. Czy dusza również mogła być zużyta? W młodości powiedziałyby, że to niemożliwe. Dusze nie były jak kawałki tkaniny albo skóry, ludzie byli zbyt cenni, by stali się „zużyci”. Ale oto był. Przyjął ciepło i miłość, które dali mu ci ludzie, a jednocześnie prowadził ich w stronę kłamstwa.

„To, co zrobili, było piękne”, powiedział Pomocnik. „Jakimś sposobem masz pełen Związek z tym miejscem. Jesteś teraz człowiekiem o dwóch ojczystych światach”.

- A ten również musimy opuścić - powiedział chrapliwie. - Musimy nadal uciekać. Jak zawsze.

„Tak, to prawda. Ale może najpierw trochę się tym nacieszymy?”.

Zellion syknął cicho, jego frustracja popsuła tę chwilę. Czym miał się cieszyć? Wiedzą, że ci ludzie są skazani na zagładę? Że ocalili ich nie po to, by doprowadzić ich do ocalenia, ale by oni mogli pomóc mu znaleźć bezpieczne miejsce?

Obok niego rosnęło drzewo - wysoki, chudy pęd, wypuszczający liście, które drżały jak nogi dziecka robiącego pierwsze kroki. Przyglądał mu się, a później odwrócił wzrok - i stanął twarzą w twarz z Rebeke, która wspinała się na niskie wzgórze. Podała mu nowy płaszcz, z takiej samej brązowej skóry, co wcześniej.

Pomocnik z pewnością zauważył jej nadejście, ale nic nie powiedział. Zdrajca. A kiedy dołączyła do niego - z bładą twarzą oświetloną blaskiem pierścieni i tym płaszczem - uświadomił sobie, że wcześniej jej tu nie było. Kiedy wszyscy dawali mu ciepło. Poszła do Chóru, żeby wytworzyć ten płaszcz dla niego. Przyjął go z wahaniem, zaniepokojony wyrazem jej oczu.

Zsunęła rękawiczkę i wyciągnęła rękę.

- Nie miałam okazji, żeby ci podziękować.

Kiedy sięgnęła do niego, złapał ją za odkryty materiałem nadgarstek. Powstrzymał ją przed dotknięciem jego twarzy.

- Dlaczego? - spytała. - Innym pozwoliłeś.

- Myślę, że ty chcesz dać mi więcej niż oni.

Przez chwilę, krótką jak mignięcie życiosprena, napotkała jego spojrzenie, a później odwróciła wzrok i się zarumieniła.

- A czemu nie? - spytała. - Czemu nie możemy znaleźć odrobiny pocieszenia w ciągu kilku godzin, które nam pozostały, zanim znów będziemy musieli wylecieć? To mogą być nasze ostatnie godziny.

- Nie żałuję ci pocieszenia, Rebeke. Zaslugujesz na nie. Ale nie ze mną. Jestem dla ciebie za stary.

- Stary? Jestem dorosła. Czym jest jakieś dziesięć lat różnicy, jeśli wziąć pod uwagę to, co przeszliśmy?

- Jakies dziesięć lat? - Uśmiechnął się i skinął brodą w stronę pierścienia statków. - Widzisz te stare kobiety, które prowadzą wasz lud? Jestem starszy od nich.

Odwróciła się do niego i patrzyła z otwartymi ustami.

W odpowiedzi skinął głową.

- Cóż... - stwierdziła w końcu. - Mnie to nie obchodzi.

- A mnie owszem - powiedział łagodnie. - A nawet gdyby tak nie było, Rebeke, wkrótce odejdę. Niezależnie od tego, co się stanie, muszę odejść, porzucić was wszystkich. Nie mogę zostać. Zanim się sprzeciwisz i powiesz, że to też cię nie obchodzi, mylisz się. Lata życia nie dały mi mądrości, ale dały wiedzę. I wiem, naprawdę wiem, jaki ból sprawia, kiedy odchodzę. Jeśli popełniłem błąd. Jeśli pozwoliłem na przywiązanie.

Spojrzała w bok, gdzie oparł dłoń na rosnącej gałęzi drzewka - a malutkie wijące się pędy otoczyły jego palce. Choć próbował delikatnie cofnąć rękę, w końcu i tak je zerwał.

- Mogłbyś zostać - szepnęła. - Moglibyśmy walczyć z tym, co cię goni, cokolwiek to jest.

- Nie wiesz, o czym mówisz. - Uśmiechnął się łagodnie. - Nie masz pojęcia.

- Myśleliśmy, że przelecenie nad górą jest niemożliwe, a oto jesteśmy. Moglibyśmy wspiąć się również na twoją górę, Zellionie.

Zellion. Podobają mu się brzmienie tego słowa. Może tak działał jego wzmocniony Związek z ich ziemią i tymi ludźmi. Cóż za dziwna rzecz, Duchowy Związek. Nie umiał tak naprawdę ocenić, jak to na niego zadziało. Niektóre zastosowania Napelnienia dawało się łatwo zmierzyć, inne były... cóż, równie tajemnicze, jak ludzka dusza.

- Przykro mi - powiedział do Rebeke. - Ale nie. Nie mogę być osobą, której szukasz.

Gwałtownie odwróciła głowę i znów włożyła rękawiczkę. Nie odbiegła zawstydzona czy zażenowana, co sprawiło, że poczuł się odrobinę lepiej. Ale nie patrzyła mu również w oczy, kiedy stała na szczycie wzgórza i patrzyła na pierścienie.

- Już nie chcę nauczyć się zabijać tak jak ty - odezwała się w końcu łagodnym głosem. - Nie chcę być tak straszliwa. - Znów się zarumieniła. - Nie żebyś ty był... To znaczy...

- Nic się nie stało. To jest straszliwe.

- I piękne.

- Kiedyś w to wierzyłem. Ale...

Przechyliła głowę i spojrzała na niego.

- Był czas, kiedy stałem dumnie wyprostowany, nawet kiedy walczyłem. Czas, zanim pochłonęła mnie moja Udręka. - Dostrzegł jej niepewne spojrzenie i poczuł, że musi coś jej dać. Wyjaśnienie, by złagodzić odmowę. - Byłem rycerzem należącym do zakonu, który bardzo starannie dobierał członków. A tak naprawdę dwóch różnych zakonów, w dwóch różnych okresach. W pierwszym byłem jednym z przywódców i złożyłem przysięgi, które miały zmienić to, co robiłem, z czegoś strasznego w coś, jeśli nie pięknego, to honorowego. Ale wtedy...

Jak wyjaśnić dalszy ciąg? Część, którą sam nie do końca rozumiał.

- Dostałem pod opiekę niezmiernie niebezpieczny przedmiot. Zdolny zabijać bogów. Pustoszyć planety. Dźwigałem ten ciężar, stworzyłem nowe więzi, ale broń pochłonęła ważne części mnie. Rozszarpała duszę jednego z moich najbliższych przyjaciół. Ukradła mi pancerz. Zostałem skorupą tego, kim kiedyś byłem. Nie tylko ze względu na to, co zrobiła mi broń, ale z powodu rzeczy, które sam zrobiłem.

Założył ręce za plecami i wspominał, jakie to było uczucie, nosić ten mundur, ten pancerz, te przysięgi.

- Kiedy wszystko się dokonało, musiałem zadać sobie pytanie, czy honor jest oszustwem. Podstępem wykorzystywanym, by skłaniać ludzi do zabijania siebie nawzajem... by mogli udawać, że to ma cel. Czy ta koncepcja, sama idea honorowego żołnierza, nie była najgorszym złem, które kiedykolwiek nękało cosmere.

- A to, co zrobiłeś, by nas ochronić? - spytała łagodnie. - Czy to było nękanie? Najgorsze zło?

Na burze, nie chciał podejmować tej decyzji. Rozstrzygać między złem a honorem. Po prostu chciał uciekać. Dlaczego takie pytania zawsze się pojawiały, jeśli za długo został w jednym miejscu?

Jak wiele usprawiedliwień miał dla odejścia? I czy kiedykolwiek udałoby mu się sięgnąć w głąb siebie i odnaleźć prawdziwy powód, dlaczego to robił? Nie powierzchowne, łatwe wyja-

śnienie? Ale sedno tego, co czyniło właśnie jego zdolnym do odwrócenia się plecami do wszystkich, których kochał?

Rebeke czekała na odpowiedź na swoje pytanie. Patrzyła na niego błyszczącymi oczami pełnymi zainteresowania.

- Nie. Ochronienie twoich rodaków poprzez walkę ze Zwęglonymi nie było złe, Rebeke. Ale wątpię, bym kiedykolwiek znów nazwał to pięknym. - Pokręcił głową. - Ty też byś tak nie powiedziała. Nie, gdybyś mogła zajrzeć w moje wnętrze i zobaczyć, jak dobrze się bawiłem w czasie tej walki.

Wyraźnie pobladła.

- Nadal chcę znaleźć sposób, by pomóc moim rodakom. - Odwróciła wzrok. - Jeśli nie przez walkę, to przez przywództwo. Ale pewnie będę miała czas się nad tym zastanawiać, kiedy znajdziemy Schronienie.

Skrzywił się. Na burzę, dała mu okazję, prawda? Nawet jeśli o tym nie wiedziała. Nie mógł tak po prostu przejść obok tego i udawać, że nic się nie stało.

- Rebeke. - Zmusił się, by wypowiedzieć jej imię. - Muszę to powtórzyć. Ta kryjówka, której szukacie. Ona...

- Przestań. - Obróciła się gwałtownie w jego stronę. - Nie mów tego.

- Powinnaś wiedzieć, co to naprawdę jest. Miejsce stworzone przez obcych, by mogli się w nim schronić...

- Wcześniej powiedziałeś nam, że jest szansa. Czy to wciąż prawda? Czy jest jakakolwiek nadzieja, że istnieje miejsce, w którym możemy być bezpieczni?

Na burze, nie był pewien, czy potrafił dalej kłamać. Klucz wskazywał, że niemal na pewno była to scadriańska placówka badawcza. Miejsce, które mieściło niedużą grupkę uczonych badających to, w jaki sposób działało słońce Kentyku.

Z pewnością obserwowali tych ludzi z chłodnym dystansem badaczy patrzących na obiekt badań. Był w tej sytuacji. Widział takie nastawienie. Nie wszyscy naukowcy je wykazywali, ale ci tutaj byli starannie dobraną grupą. Co potwierdzał fakt, że nie spróbowali pomóc, mimo że widzieli, jak straszliwe jest życie tych ludzi.

- Nic nie mów - powiedziała. - Widzę to w twoich oczach.

- Ale...

- Mamy opowieść o starożytnym mężu, który chciał poznać swój los. W ten sposób na zawsze utracił nadzieję. Bowiem znał już odpowiedź.

- To... częsty mit. Znam tuzin różnych wersji z tuzina różnych planet.

- Nie będę tym mężem. Zachowam nadzieję.

- To zachowuj nadzieję na coś realnego. Jeśli Schronienie nie okaże się realne, musicie znaleźć inną drogę do bezpieczeństwa. Tę, którą wyobraziła sobie twoja siostra, Rebeke. Obalenie Popielnego Króla.

- I do czego nas to doprowadziło?

- Staliście się promieniem. Takim, który zobaczą inni. Nadchodzi taki czas, kiedy każdy tyran słabnie lub się odsłania. Jeśli jego poddani dostaną szansę, sami go obalą.

- Jesteś pewny?

- Zdecydowanie.

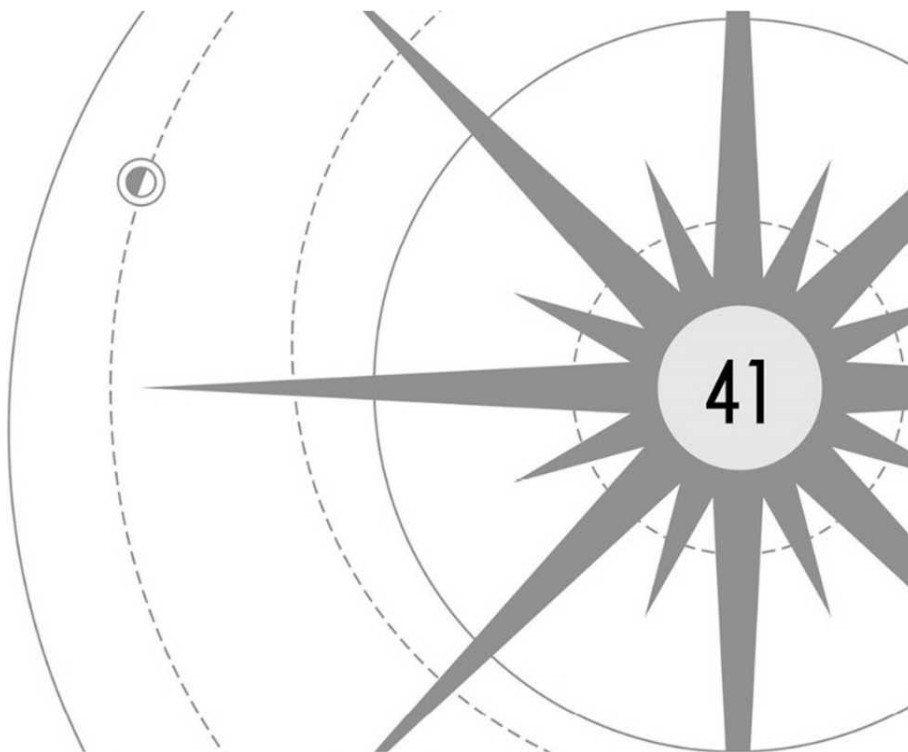
Zastanawiała się przez chwilę, ale pokręciła głową.

– Elegia mogłaby przekonać mieszkańców Jedności, by obalili Popielnego Króla, ale my nie mamy już tej Elegii. I dłużej tu nie przeżyjemy. Porzuciliśmy sprzęt rolniczy. Mamy jednego poszukiwacza. Nie mamy żywności, przestrzeni życiowej, zapasów. Naszą jedyną prawdziwą nadzieją jest Schronienie. Tego pragnie Większe Dobro i tego pragną nasi ludzie. Zachowaj więc swoje troski dla siebie. I zostaw nam nadzieję.

Odetchnął głęboko i pokiwał głową.

– W porządku – powiedziała. – To co robimy teraz? Jak znajdziemy wejście i jak przebijemy się przez siły Popielnego Króla, by do niego dotrzeć? On wie, że przeżyliśmy. Zgromadzi wszystko, co ma, by nas powstrzymać.

– Cóż, macie szczęście, że jest wśród was zabójca. Bo czas pokazać Popielnemu Królowi, jak wygląda prawdziwa bitwa.



Rebeke miała rację. Popielny Król zgromadził wszystkie swoje siły. Ustawił je w szeregu, dziesiątki statków z setkami Zwęglonych, unoszące się w powietrzu tuż za osłoną chmur cienia. Czekające dokładnie w miejscu, gdzie dzień wcześniej Promieniowcy próbowali zlokalizować Schronienie.

Oceniając po wyglądzie tych sił, Popielny Król sądził, że jest gotów na wszystko. Tym przyjemniej było patrzeć, jak statki Zelliona wyłaniają się z deszczu i otwierają ogień z wielkich, zamontowanych na pokładach karabinów.

Wystrzelwane z armat kule światła średnicy ludzkiej nogi przecinały ciemne niebo, rozrywając siły Popielnego Króla jak arcyburza gałązki. Płonące statki spadały na ziemię, a Zwęgleni wyli, gdy podmuchy zrzuciły ich z wybuchających pokładów.

Początkowy ostrzał – i wywołany nim szok – był tym, na co liczył Zellion. Leciął na pierwszym statku, należącym do Elegii, który miał jedną armatę przyspawaną do dachu. Cztery z ich pozostałych jednostek miały broń palną, a pozostałe cztery służyły wyłącznie jako transportowce i tłoczyło się na nich tyle ludzi, ile tylko udało się wcisnąć.

Zaimprovizowany ostrzał przebił się przez szeregi wroga, wyrwijąc dużą lukę w siłach Popielnego Króla – które się rozproszyły. W tej chwili siły Zelliona wydawały się niezwyciężone. Spojrzał w bok, gdzie Rebeke pilotowała *Ścigającego świt*. W jej oczach dostrzegł uczucie, które kiedyś znał. To wrażenie straszliwego podziwu, grozy i mdłości, kiedy trzeba było skonfrontować się z własną zdolnością do niszczenia.

To był ten moment, kiedy wszystko do niej dotarło – pośród ryku i ciszy ostrzału armatniego. Patrzył, jak ludzie spadają, rozszarpani tym, co zrobili. Taka chwila zmieniała człowieka.

Na burze, miał nadzieję, że wróg zareaguje podobnym otępieniem. W czasie walki nauczył się jednego – nigdy nie należy lekceważyć czystej paniki, jaką może wywołać wśród niewyszkolonych żołnierzy skoordynowany atak. Wiele zwycięstw odniesiono dzięki jednemu genialnemu natarciu.

Jego statki przeleciały przez sam środek wrogich sił. I leciały dalej. Bo był pewien, że Schronienie, jeśli istniało, nie znajdowało się w tym rejonie.

– Na cienie! – Z radia dobiegł głos Zapła. – To był piękny widok.

– Pozwolę sobie udzielić ostrzeżenia – odezwała się Powaga Boska. – Te wystrzały przeraźliwie szybko opróżniły nasze słoneczne serca. Niewiele nam zostało po naszym locie tutaj i tym, co oddaliśmy Zellionowi. Uważajcie, jak dużo strzelacie.

Po tym jak Zellion zużył całe Napełnienie, by osłonić ostatni statek, Większe Dobro z radością zaproponowało mu jeszcze więcej z każdego pozostałego słonecznego serca. Dość, by osiągnął nieco ponad pięć procent zdolności Skoku, tuż powyżej minimalnego progu, by uzyskać pełne zdolności do walki. Na burze, ledwie pamiętał, jakie to uczucie, mieć pięćdziesiąt do sześćdziesięciu procent zdolności i nie musieć się martwić, że się wyczerpie. Ile czasu minęło? Choć brakowało mu tego, był jeszcze bardziej wdzięczny za te pięć procent, w obliczu poświęcenia Promienia.

– Jak bardzo wierzysz w swój plan, Zellionie? – spytała Pewność. – Moglibyśmy zniżyć lot w tym chaosie i wykorzystać poszukiwacza, by znaleźć wejście.

– Nie ma go tutaj. – Zellion pochylił się nad radiem. – Obiecuję ci, Pewności. Ruszamy naprzód. Emanując pewnością siebie, którą tak dobrze znasz, z pełną prędkością.

Zrobili to, ignorując okolice, które przeszukali poprzedniego dnia. I mimo przekonania, którym emanował, zdradzały go nerwy. To był hazard.

Zellion zakładał się – stawiając na to życie wszystkich – że właściwa lokalizacja była blisko. Że Popielnemu Królowi udało się utrzymać prawdziwą lokalizację w tajemnicy, ale nie do końca. Jak magik, który skupiał uwagę wszystkich na jednej ręce, a w drugiej ukrywał podstawioną talię.

Wiedzieli, że miasto Popielnego Króla zawsze leciało w linii prostej i od czasu do czasu zatrzymywało się, by uprawiać rośliny. Gdzieś na tej ścieżce próbował otworzyć drzwi do Schronienia. Ale Zellion stawiał na to, że, aby uniemożliwić innym odnalezienie go, dopilnował, by rozeszły się fałszywe pogłoski na temat jego prawdziwej lokalizacji.

Co więcej, stawiał na to, że Popielny Król będzie się martwił. Że będzie obserwował, by zobaczyć, co zrobi Zellion. Że w głębi duszy będzie czuł przerażenie, że jego tajemnica nie jest bezpieczna. Że...

„To się dzieje. Spójrz w prawo, dziewięćdziesiąt stopni”.

– Tam! – krzyknął Zellion.

Wskazał eskadrę, która wcześniej znajdowała się z boku – był w niej również statek Popielnego Króla – a teraz zaczęła się oddalać. Dziesięć jednostek, najpewniej najszybszych we flocie wroga, poleciało przed siebie.

Zaprowadzą wszystkich prosto do wejścia.

„Uświadamiasz sobie, że to niesamowite, w jaki sposób czasem zgadujesz, co zrobią ludzie”.

– Skąd? – spytała Rebeke. – Skąd wiedziałeś?

– W głębi duszy... – pochylił się – ...Popielny Król jest niepewny siebie. Martwi się, że nie jest tak silny, jak udaje. Martwi się, że wszystko zostanie mu odebrane: jego tron, jego władza, jego tajemnice. Wykorzystujemy te obawy. Mówimy „Wiemy, co robimy. Wiemy, gdzie naprawdę są drzewi”. W końcu, gdyby tak nie było, czy zdecydowalibyśmy się na natarcie wszystkimi siłami? Dlaczego mielibyśmy lecieć z taką pewnością siebie prosto w stronę jego tajnej lokalizacji?

– Ale my wcale tego nie robimy. Nie wiemy, gdzie ona jest.

– On tego nie wie. Wydaje mu się, że poznaliśmy jego tajemnicę. Dlatego teraz musi ją ochronić. Nie uświadamia sobie... nie może sobie tego uświadomić, bo jego brak pewności siebie jest zbyt potężny, a jego intelekt zbyt słaby... że tak naprawdę prowadzi nas prosto do swojej tajemnicy.

– Zakładając, że przeżyjemy tak długo – powiedział Zapał przez radio. – Niektóre z tamtych statków zaczynają się organizować. Lecą w naszą stronę.

Potępienie. Wrogie jednostki rzeczywiście zaczynały gromadzić się z powrotem. Najpewniej zaczęli sobie uświadamiać, jak powoli musiały się poruszać statki Promienia, by chronić te przeciążone transportowce. A może zobaczyli, że karabiny są przyspawane i nie mają wieżyczek.

Mimo zaskakujących efektów wizualnych i dźwiękowych siły Zelliona były tak naprawdę bardzo kruche.

– Rebeke, będziesz musiała robić dokładnie to, co ci powiem – powiedział.

– Ale ja nie umiem tym celować!

– Nie skupiaj się na strzelaniu. Skupiaj się na dostarczeniu mnie tam, gdzie muszę się znaleźć.

Zellion chwycił stalową włócznię, stworzoną dla niego przez Chór, po czym przeszedł z kabiny do kajuty na tyłach. Zatrzymał się obok Elegii, wciąż przykutej za jedną rękę do ściany.

– Jesteś potrzebna. – Sięgnął do kajdana na jej nadgarstku.

– Nie jestem gotowa! Nie panuję nad tym.

– Kolejna lekcja. Nigdy nie masz szans być gotowa. Musisz i tak przeć naprzód. Tego nauczył mnie Kaladin. – Zdjął jej kajdany.

Natychmiast poderwała się na równe nogi i ruszyła agresywnie w jego stronę. Spojrzał jej w oczy i czekał na cios. Który... choć zmieniający się wyraz jej twarzy świadczył o wewnętrznej bitwie... nie nadszedł.

Coś huknęło na zewnątrz – to jeden ze Zwęglonych skoczył na ich pokład. Zellion nie miał większej nadziei, że tym razem odstraszą ich proste kata. Popielny Król został przyparty do muru. Jego siły będą walczyć.

Elegia odwróciła się w stronę dźwięku i zawarczała cicho.

– Trzymaj się blisko mnie i nie trać panowania nad sobą – polecił Zellion. – Pamiętaj, nie jesteśmy tu, by zabijać. Jesteśmy tu, by przeżyć.

– Ja chcę po prostu walczyć.

– Walcz z celem. Nigdy nie zapominaj dlaczego.

Uniósł pustą dłoń, a wtedy pojawiła się w niej błyszcząca włócznia. Za pomocą malutkiego słonecznego serca oczyszczał duszę z patyny, ale łatwość, z jaką stworzył broń, wciąż była satysfakcjonująca.

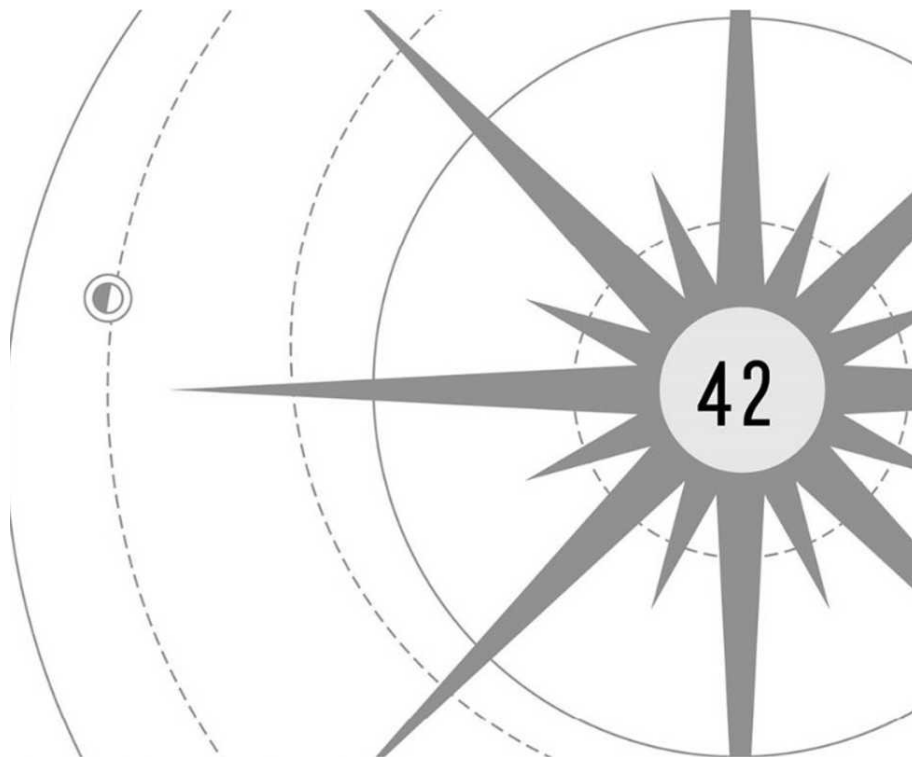
- Zatrószysz się o nią. - Zellion podał Elegii Włócznię Odprysku.

- Dlaczego dajesz ją mnie? - Pełnym szacunku gestem przyjęła włócznię.

- Bo tobie brakuje wykszolenia, ale ja wciąż potrzebuję wsparcia. Będziesz z nią o wiele skuteczniejsza niż z pustymi rękami, a fakt, że ona może przeciąć zasadniczo wszystko, zrekompensuje twój brak umiejętności zadawania precyzyjnych ciosów. Ale bądź ostrożna, nie dźgaj statku i postaraj się nie trafić mnie. Rany zadane tego rodzaju bronią burzowo trudno się uzdrawia.

Skinął Elegii, która odpowiedziała skinieniem, a spojrzenie miała przejęte. Razem wypadli na pokład.





Zellion powstrzymał włócznią Zwęglonego, który zamachnął się maczetą w stronę jego głowy. Naparł i podciął go – ale nim zadał śmiertelny cios, Zwęglonego dopadła Elegia, która zaczęła dźgać go włócznią. Broń nie przecinała ciała, lecz duszę – a kiedy wbiła się w mózg Zwęglonego, jego oczy spłonęły i skurczyły się jak węgielki, a popielne serce zgasło.

Kiedy umarł, nie zatrzymała się, lecz przebiła się przez niego do pokładu. Zellion złapał ją za rękę, by ją zatrzymać.

„Może powinniśmy być trochę bardziej... ograniczeni z jej bronią, co? Spróbuję pamiętać, by ją stępić, jeśli posunie się za daleko”.

Zellion znów spojrzał Elegii w oczy.

– Bądź ostrożna.

Pokiwała głową, ale oczy miała szeroko otwarte i była stanowczo zbyt podekscytowana. Przy najmniej miała mnóstwo entuzjazmu.

Tylko jeden Zwęglony dotarł na ich statek. Przyleciał na latającym motocyklu, który – niestety – został z tyłu, kiedy z niego zeskoczył. Zniknął teraz za nimi.

Ścigający świt, najbardziej zwrotna ze wszystkich jednostek Promienia, leciał w pewnym oddaleniu od głównej formacji – na którą składały się cztery kanonierki otaczające cztery zatłoczone statki pasażerskie.

To była niewiarygodnie odsłonięta pozycja, co większość pilotów Popielnego Króla wyraźnie sobie uświadamiała. Choć ich przywódca i większość jego elity odlecieli na najszybszych stat-

kach, reszta kręciła się wokół Promieniowców. Na szczęście nie zaatakowali od razu transportowców, wybrali bardziej oczywistą próbę wyeliminowania kanonierek.

Ludzie często najpierw atakowali obrońców, jakby istniała jakaś hierarcha, której należało przestrzegać. Nie zamierzał się skarżyć. Rebeke, zgodnie z jego poleceniami skierowała *Ścigającego świt* w stronę kanonierki Zapała – na jej pokładzie znajdowało się pięcioro Zwęglonych. Kiedy się zbliżyli, Zellion skoczył. Uderzył w pokład z włócznią w rękę, przyciągając uwagę Zwęglonych, zanim zdążyli rzucić się na ludzi w kabinie. Zgodnie z sugestią Zelliona na kanonierkach nie było cywili. Tylko pilot i drugi pilot.

To oznaczało, że dziesiątki ludzi na pokładach transportowców było narażonych na ostrzał i odłamki. Starał się o tym nie myśleć, kiedy Elegia wylądowała obok niego i zwarła się ze Zwęglonymi na pokładzie kanonierki Zapała. Tworzyli dobry zespół – bo Zellion skutecznie przyciągał uwagę błyszczącą włócznią i taktycznymi ciosami. Zwęgleni skupiali się na nim, co pozwalało Elegii wbijać w nich pożyczoną broń.

W ciągu kilku sekund czworo Zwęglonych nie żyło, a ostatni zeskoczył z pokładu w stronę innej kanonierki. Zellion skinął na Elegię, która uśmiechała się szeroko, i podążyli za nim – szubując w powietrzu. Kiedy wylądowali na drugiej kanonierce, napotkali kolejną grupę Zwęglonych.

Ci jednak rozproszyli się, zamiast walczyć. Zeskoczyli ze statku na przelatujące w pobliżu wrogie jednostki.

To było niewłaściwe. Bardzo niewłaściwe. Z własnego doświadczenia z Elegią wiedział, że Zwęgleni woleli walczyć, niezależnie od okoliczności. Uciekali jedynie, jeśli dostali bezpośredni rozkaz, egzekwowany z całą siłą. Spojrzał w bok i zobaczył na pokładzie niewielkie popielne serca – może zamocowane magnesami – świecące pomiędzy przewodów i obudowy.

Odruchowo złapał Elegię i rzucił nią w stronę *Ścigającego świt*, który zawracał w ich kierunku. Sekundę później sam skoczył, a po chwili statek za ich plecami – łącznie z biednymi ludźmi w kabinie – wybuchł w chmurze czerwonego ognia i płonącego metalu.

Elegia wylądowała na *Ścigającym świt*, potknęła się i spojrzała na wrak, który wbił się w błotnisty krajobraz poniżej – po czym znów wybuchł, a fala uderzeniowa wstrząsnęła ich statkiem.

– Oszustwo – syknęła, a jej popielne serce pulsowało białoczerwonym gniewem. – To oszustwo.

– Nie ma żadnych zasad. To my sprowadziliśmy armaty.

Ale czuł się jak głupiec. Wiedział, że używali materiałów wybuchowych. Promieniowcy wykorzystali je skutecznie w czasie pierwszego ataku, by ocalić przyjacioł. Powinien być na to przygotowany. Manewr miał sens, bo bomby zadziałałyby nawet, gdyby Zellion okazał się zbyt przerażający lub potężny dla Zwęglonych. Nie musieli walczyć. Wystarczyło, że byli samobieżnymi mechanizmami dostarczającymi.

– Wracaj na statek Zapała! – krzyknął Zellion i wskazał ręką. – Broń go! Nie pozwól, żeby ktoś ze Zwęglonych zostało dość długo, by umieścić więcej bomb. Jeśli to zrobią, wyrzuc je za burtę.

Skinęła głową, a on machnął na Rebeke, by skierowała ich w tamtą stronę. Elegia przeskoczyła na pokład, a Zellion wskazał naprzód – gdzie Zwęgleni zeskakiwali z wrogiego statku na pokład trzeciej z czterech kanonierek.

Rebeke podleciała bliżej, a on zeskoczył i wykorzystał impet, by poniósł go w stronę statku. Jedna ze Zwęglonych przycisnęła coś do swojego popielnego serca, żeby to naładować – jedną z bomb. Wydawało się, że muszą zostać zainicjowane, a te kilka chwil pozwoliło mu przebić się przez pozostałych i dźgnąć ją w szyję.

Jego broń nie była jednak napełniona. Zwykła włócznia. Co zaskakujące, kobieta przeżyła ten cios, co zmusiło go do uderzenia jej w rękę i kopnięcia bomby za burtę. Wybuch zakolysał statkiem, kiedy on walczył z trojgiem innych Zwęglonych. Ta, którą dźgnął, przynajmniej miała problem z walką. Ledwie trzymała się na nogach.

Kiedy to zauważył, skupił się na stopach i nogach Zwęglonych. Udało mu się trafić kilka razy, a później złapał za reling i zakreślił ręką. Pilotka, której właściwie nie znał, domyśliła się i zrobiła beczkę – a wtedy grupa rannych Zwęglonych poleciała z wrzaskiem na błoto poniżej, a Zellion się utrzymał.

Spojrzał w stronę Elegii – skutecznie broniła się na pokładzie kanonierki Zapala. Pom był wyjątkowo skuteczny przeciwko wrogom przyzwyczajonym, że mogą rzucić się do natarcia i zdominować pole walki, nie przejmując się obrażeniami. Broń, która przecinała metal i oddzielała dusze, była doskonałym sposobem karania przesadnie agresywnych.

Elegia dobiła Zwęglonego, który próbował ją podciąć, i kopniakiem zrzuciła dwie bomby – nie wybuchły i bezgłośnie zatoneły w błocie.

Niestety, w ten sposób chronili tylko dwie kanonierki. Jedna została zniszczona. Elegia znajdowała się na pokładzie kolejnej. On był na trzeciej. A czwarta...

Poczuł falę uderzeniową pobliskiego wybuchu. Odwrócił się i zobaczył, że ostatnia kanonierka – pilotowana przez Jeffreya Jeffreya – z trudem utrzymuje się w powietrzu. Miała zięjący otwór w jednym boku, gdzie – bo tak działały popielne serca tego świata – stał cały czas dymią. Kołysanie statku świadczyło, że był już stracony – szczególnie kiedy dostrzegł troje Zwęglonych mocujących bomby do różnych miejsc na pokładzie.

Dwie kanonierki zniszczone. I...

Nie. Jeszcze nie zniszczone. Ten statek był skazany na zagładę. Ale na pokładzie wciąż znajdowali się ludzie.

Tym razem nie potrzebował sugestii Pomocnika. Nie myślał dłużej – podbiegł do krawędzi statku i skoczył. Powietrze zaświstało mu w uszach, a po chwili ciężko uderzył w pokład czwartej kanonierki, bo zbliżała się za szybko. Przetaczając się, wypuścił włócznię z rąk, kiedy zaś statek się zakolysał, poleciał na bok.

Z głośnym krzykiem przywołał Pomocnika jako hak i wbił go w pokład, przytrzymując się. Miał nadzieję, że Elegia przeżyje krótką chwilę bez broni.

Wiatr ryczał wokół niego, a statek się kołysał, ale Zellion wstał i – ignorując Zwęglonych, którzy ładowali bomby – pobiegł w stronę kabiny. W środku widział tylko Jeffreya Jeffreya, który rozpaczliwie próbował zapanować nad statkiem.

Zellion przywołał Pomocnika jako pełnowymiarowe Ostrze Odprysku, wzrostu przeciętnej męczyzny, i za jego pomocą ściał górę kabiny, jakby otwierał puszkę. Nie widział drugiego pilota – może wypadł na zewnątrz. Zellion podciągnął się do krawędzi, sięgnął do środka i złapał zaskoczonego Jeffreya Jeffreya za pászcz. Pomocnik rozciął pas męczyzny, a później Zellion chwycił go obiema rękami i wydobyl na zewnątrz.

Na jego oczach Zwęgleni zeskoczyli ze statku i wylądowali w błocie, bo inne jednostki były zbyt daleko. Zellion spojrział z ukosa na migające bomby, po czym znów przywołał Pomocnika. Jako tarczę. Nad jedną z bomb.

Skoczył na nią, kiedy bomba wybuchła.

On i Jeffrey Jeffrey zostali wyrzuceni w powietrze. Zellion dostrzegł w chaosie mignięcie koloru i metalu i zamachnął się. Kiedy wszystko się uspokoiło, zawisł w powietrzu, ściskając jedną ręką zestaw haków, które stworzył z Pomocnika i wbił w kadłub *Ścigającego świt*. Trzymał Jeffreyja Jeffreyja za ramię i kołysali się razem na wysokości dwudziestu, może trzydziestu stóp.

„Wygląda na to, że ma kilka złamanych żeber. Uraz kręgosłupa szyjnego spowodowany szarpnięciem. Paskudne sińce, które tylko czekają, żeby pojawić się wzdłuż jego prawego boku, może wstrząs mózgu”.

Ale żył. Zellion podciągnął go do góry i rzucił na pokład *Ścigającego świt*. Sam podążył za nim i zatoczył się na pokład. Na pobliskim statku Elegia samotnie stawiała czoło kilkorgu Zwęglonym. Krzyknął do niej i nadał Pomocnikowi kształt metalowej kuli, którą łatwo było rzucić. Posał ją w jej stronę, a ona ją złapała. W jej dłoni Pomocnik przyjął kształt maczety.

Zellion odwrócił się do Jeffreyja Jeffreyja, który leżał oszołomiony na pokładzie. Brodacz z drżeniem podniósł wzrok.

- Dlaczego... - zaczął. - Dlaczego światło załamuje się wokół ciebie?

Zellion spojrział w bok. W powietrzu wokół niego wisiały kolejne fragmenty, tworząc huk. Trzy inne świeciły na jego ramionach, pozostałość innego rodzaju sprena. Wszystkie były odbiciem światła w powietrzu, przez co wydawało się, że się załamuje. Może... dziesięć? Niemal jak za starych czasów. Pozostałości dwóch zakonów i przysięg, które pozostawił za sobą.

Nomad uśmiechnął się i gestem wskazał Jeffreyowi Jeffreyowi kabinę *Ścigającego świt*. Mężczyzna pokuśtykał do środka. Zellion przygotował się na kolejną walkę i uniośł ręce zdecydowany walczyć wręcz.

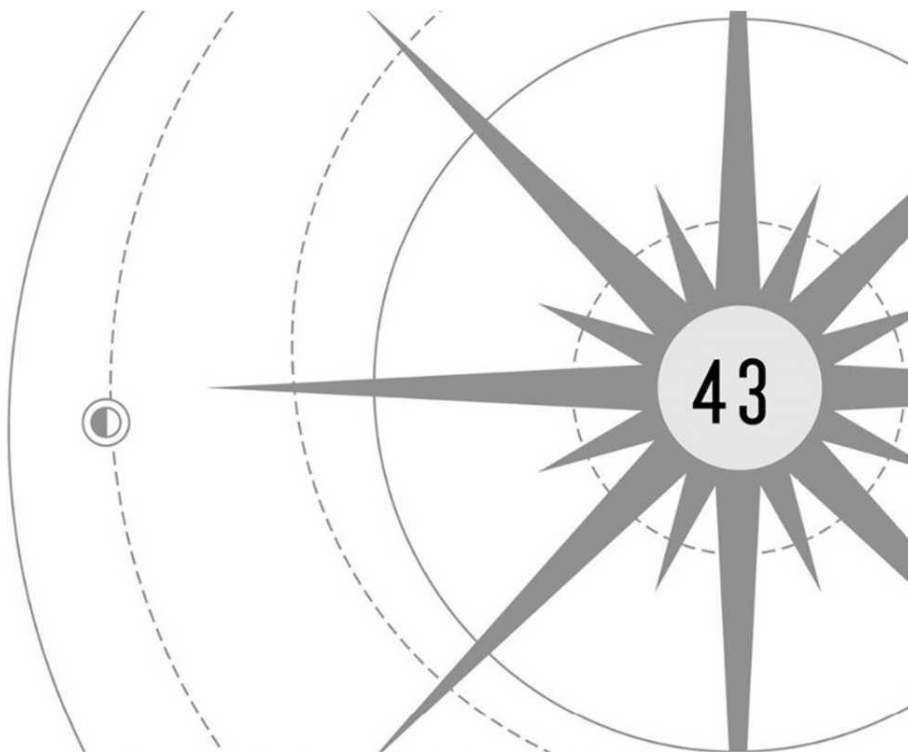
Ale wrogie siły z jakiegoś powodu pozostawały w tyle.

„Tam, mówi rycerz. Popatrz, wierny giermku. Przed nami wylądowały statki”.

Orszak Popielnego Króla. Okrażali punkt na ziemi i mieli na pokładach strzelców wyborowych z bronią wymierzoną w niebo. Zellion skinął na Rebeke, która oderwała się od reszty statków i poleciała w dół, by przeprowadzić szybki rekonesans. Wystrzały oderwały kilka fragmentów relingu i wgniotły kadłub, ale nie przebiły grubszego pancerza statku Elegii.

Rebeke przyjrzała się temu miejscu i spojrziała mu w oczy przez szybę. Raz skinęła głową. Wykrywacze statku zidentyfikowały duże źródło energii poniżej – jak miał nadzieję, Popielny Król zaprowadził ich prosto do Schronienia.

Pora zobaczyć, co było w środku.



Elegia poczuła, że bitwa, w obecnej postaci, się skończyła. Wrogie statki się wycofywały, a *Ścigający świt* zakończył przelot nad ziemią i potwierdził, że znajdują się we właściwym miejscu. Teraz wydawało się, że doszło do impasu między Promieniowcami w powietrzu a siłami Popielnego Króla poniżej.

Czuła... strach. Nie oślepiający, nagły, ogłupiający strach wywoływany przez ręce zaciśnięte na szyi. Lecz ukradkową, złośliwą, wszechobecną obawę, że sprawy wymykają się spod kontroli.

To nie było jej uczucie, lecz Popielnego Króla. Jej własne emocje płonęły. Ogień, który zachęcał ją, by znalazła kolejnego wroga, nie przestawała wymachiwać wspaniałą maczetą, która zabijała bez ranienia. Nie przestawała się ruszać, nie przestawała atakować. Nie. Przestawała.

Ale nie było już nikogo do zabicia, więc powstrzymała się – z wysiłkiem – od wejścia do kabiny swojego statku i szukania konfliktu z osobą, która go pilotowała. Za to, kiedy *Ścigający świt* podleciał bliżej, przeskoczyła między dwoma statkami i chwyciła za reling.

Po chwili wcisnęła się do kabiny, gdzie kobieta Rebeke stała za sterami. Elegia ścisnęła magiczną broń. Ale nie musiała jej używać. Mężczyzna, zabójca, wyjaśnił. Mogła wybrać chwilę. Mogła uczynić je jeszcze słodszy przez oczekiwanie.

Rebeke odwróciła się – i uśmiechnęła do niej. Wydawało się, że to szczery uśmiech. Cieszyła się na widok Elegii. Oczywiście wcześniej też zachowywała się w taki sposób – ale po tym, jak nappełnił ją dodający energii dreszczyk zabijania i wiedziała, że w głębi duszy rozważa zaatakowanie Rebeke... zachęcający uśmiech był tak dziwnym widokiem.

Ona chce, żebym z nią tu była, pomyślała Elegia. Co z nią nie w porządku?

To było rozbijające. Intrygujące. Nawet... inspirujące?

- Elegio. - Rebeke przechyliła głowę. - Dobrze się czujesz?

- Ja... czuję się inaczej.

- Przypominasz sobie. - Rebeke złapała ją za rękę. - Tak się stanie. Wkrótce wszystko sobie przypomnisz.

- Czy ty nie powinnaś pilotować?

- Racja! - Rebeke odwróciła się do fotela. Zrobiła coś z radiem, a wtedy dobiegł z niego głos zabójcy, który przebywał na jednej z kanonierek.

- W porządku - powiedział. - Wszyscy macie być gotowi do wylądowania w miejscu, które dla nas zrobiliśmy.

- Są tu okopani - odparła Pewność. - Jak zamierzasz zrobić dla nas miejsce? Jeśli wylądujemy, zestrzelą nas.

- Wy, ludzie... - Głos zabójcy brzmiał... gderliwie? To nie wydawało się stosownym określeniem dla kogoś tak gwałtownego, więc może nie rozumiała uczuć tak dobrze, jak jej się wydawało. - Całe życie spędzacie w locie. Jak możecie być tak nieświadomi przewagi w powietrzu? Pewnie, jeśli nigdy nie walczyliście i rzadko pozostajecie w jednym miejscu... Cóż, patrzcie.

Elegia pochyliła się i patrzyła przez szybę, jak jedna z kanonierek wyleciała z szyku. Obróciła się, a później przechyliła w taki sposób, że jej wielkie karabiny skierowały się pod kątem w stronę ziemi. Następnie przeleciała obok stanowiska Popielnego Króla, strzelając.

Jak się okazało, przebywanie na ziemi - a wobec tego bez ruchu - kiedy ktoś inny miał statek z taką siłą ognia, było ekscytujące. Tym rodzajem ekscytacji, którego większość nie lubiła. Tym, który wiązał się z wybuchającymi statkami i krzyczącymi ludźmi zeskakującymi na boki. Zabójca cały czas znajdował się poza zasięgiem i strzelał z wykorzystaniem ciężenia - i choć on mógł lecieć z pełną prędkością, oni po prostu tam siedzieli.

W ciągu kilku chwil siły Popielnego Króla zostały rozproszone. Elegia pokiwała głową. To był efektywny sposób zabijania, ale jak dla niej zbyt odległy i za mało angażujący. Może sprawiłoby jej przyjemność znalezienie się wśród tych, do których strzelano. Na dole było tak wiele energii i niepokoju.

Chwilczkę. Nie. Mogłaby zginać. Powinna chcieć tego uniknąć. W końcu, kto dopilnuje, by Rebeke się uśmiechała, jeśli Elegia umrze?

Dylemat.

- To z pewnością było imponujące - powiedziała Pewność przez radio. - Ale pozwolę sobie wygłosić pewne ostrzeżenie: jeśli tam wylądujemy, czy oni nie będą mieli „przewagi w powietrzu” nad nami?

- Aha - powiedział zabójca. - Dlatego sugeruję, żebyśmy się pospieszyli. Wszyscy lądują i są gotowi pobiec do schronienia. Na to czekaliśmy. Czas otworzyć te drzwi.

Podczas gdy wszyscy inni wypełniali jego polecenie, Rebeke zanurkowała i - wykorzystując ekran na statku, który podpowiedział jej, gdzie szukać - uruchomiła koparki na *Ścigającym świt*. Elegia ją przy tym zostawiła, wyszła na pokład i zeskoczyła z wysokości około dwudziestu stóp na miękką ziemię.

Nim inni wylądowali i zebrali się razem, Rebeke coś odkryła. Duży metaliczny dysk wpriony w ziemię, zaledwie około dwóch stóp pod popielistym magmowym gruntem. Rebeke wylądowała i dołączyła do grupki zebranej wokół dysku.

Zabójca zatrzymał się na skraju, a wtedy podszedł do niego Zapał i podał mu mniejszy dysk, o którym wszyscy mówili, że jest jakimś kluczem. Zabójca wziął go, przyjrzał mu się, po czym oddał go Zapałowi, zeskokczył kilka stóp w dół i wylądował na srebrzystej powierzchni.

Następnie pochylił się i odezwał donośnym głosem:

– Zgodnie z Ustawą o Uchodźcach i Zaginionych Ekspatriantach Kodeksu Postępowania Międzyplanetarnego Srebrnoświatła oficjalnie ubiegam się o azyl w tym obiekcie. Proszę o odpowiedź.

Cisza. Dlaczego nie użył klucza? Elegia rozumiała słowa, ale kontekst jej umykał. Podniosła wzrok na niebo, gdzie zbierały się siły Popielnego Króla – i wyglądały jeszcze bardziej imponująco.

Nagle z metalu w pobliżu zabójcy wystrzelił okrągły pręt, wysoki na około czterech stóp. Dobięął z niego głos, mówiący w ich języku, ale z silnym akcentem.

– Zaczekaj. Jesteś z Rosharu?

– Owszem – odparł zabójca. – Ubiegam się o azyl zgodnie...

– Dobrze, dobrze. W porządku. Możesz negocjować.

– Ci tutaj będą potrzebowali ochrony w czasie naszej dyskusji. – Wskazał pozostałych.

Cisza. Elegia wpatrywała się w niebo, próbując poczuć strach, który przepelniał innych, na co bez wątpienia wskazywały ich sylwetki. Było jej trudno, bo Popielny Król już się nie bał. Myślał, że ich ma.

I wtedy z ziemi wystrzelił promień energii, który trafił prosto w dziób jednostki Popielnego Króla. Statki cofnęły się w panice. Od kiedy ziemia strzelała? To była celowa wiadomość – nie zbliżajcie się.

– Dobrze – powiedział akcentowany głos ze słupa. – Możesz zabrać trzy osoby, Rosharaninie. Pamiętaj, wysłuchamy cię jedynie dlatego, że ciekawi nas, jak się tu znalazłeś.

Obok słupa wznosiła się kolejna kolumna, o wiele większa, i z przodu otworzyły się drzwi. Jakies... urządzenie transportowe? Które miało ich zabrać do Schronienia?

– Zakładam, że powinienem zabrać Większe Dobro? – Odwrócił się w stronę zgromadzonych mieszkańców.

– Zamiast mnie weź Rebeke – powiedziała Współczucie ze swojego krzesła, które jej wnukowie postawili dla niej na ziemi. – Nie powinniśmy posyłać wszystkich trzech. Na wszelki wypadek. Jak nas nauczyłeś.

Zabójca i Rebeke popatrzyli po sobie, a on skinął głową, po czym po chwili wahania spojrzął na Elegię.

– Znowu tego potrzebuję.

Racja. Wciąż miała miecz. Ścisnęła go, ale zmusiła się, by wyciągnąć go w stronę zabójcy. Broń zniknęła z jej palców, zmieniając się w świetlistą mgiełkę, zanim zdążyła ją oddać.

Zabójca podszedł bliżej i odezwał się cicho.

– Po tym wszystkim możesz być jedynym, co mają ci ludzie.

– Nie rozumiem.

- Jeśli kolejny etap się nie powiedzie, spróbuj ich ochronić. Tylko o to mogę cię prosić.

- Nie powiedzie się? - Przechyliła głowę. - Dlaczego miałby się nie powieść?

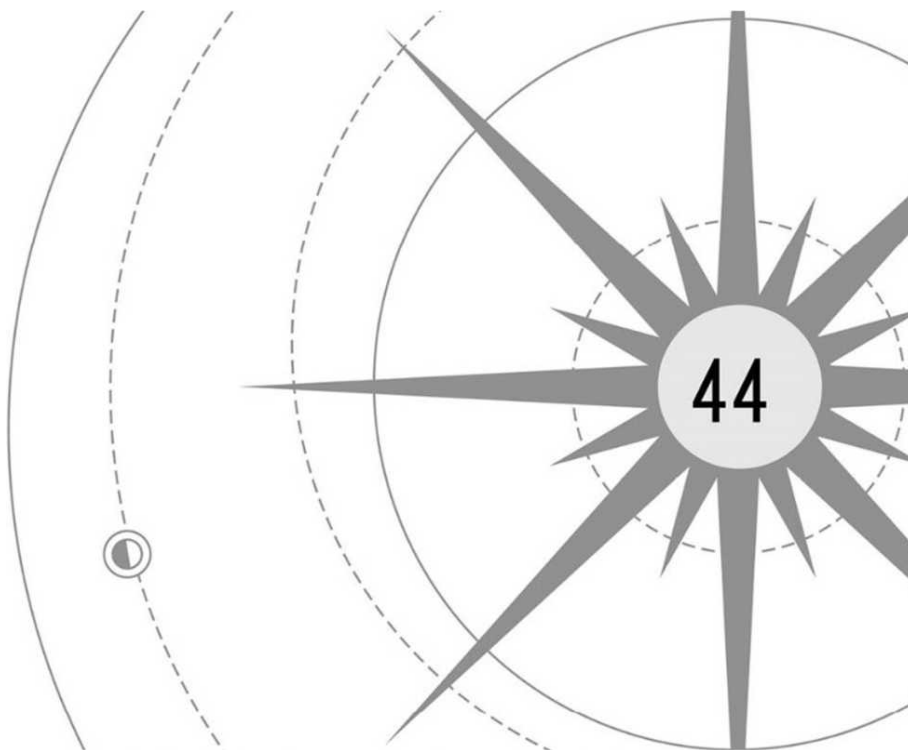
Odpowiedział ponurym spojrzeniem. A to umiała doskonale zinterpretować. Nadchodziła bitwa. Dla niego.

- Zamierzasz walczyć z ludźmi w Schronieniu? - szepnęła.

- Nie fizycznie. Niestety. Bo gdyby tak było, jestem przekonany, że wygrałbym.

Pozostawiwszy ją z tym zagadkowym stwierdzeniem, wszedł do metalowej rury w towarzystwie Pewności, Kontemplacji i Rebeke.

Po chwili rura opadła, zabierając ich do bezpiecznego miejsca.



Drzwi się otworzyły i Zellion zobaczył dokładnie to, czego się obawiał. Duże pomieszczenie w kształcie kapsuły, ze stacjami roboczymi i monitorami na ścianach. Poniżej znajdowały się jeszcze dwa poziomy, jeden do spędzania czasu wolnego, drugi do spania. Całość spokojnie mieściła dwa tuziny załogi – ale nie była ogromnym azylem.

Obok Zelliona trzy mieszkanki Promienia rozglądały się po otoczeniu szeroko otwartym oczyma, oszołomione, może pełne podziwu. Należały do społeczności zaawansowanej technologicznie, owszem, ale najwyraźniej nigdy wcześniej nie widziały niczego podobnego.

Rzeczywiście, to był statek kosmiczny. Przeznaczony do prowadzenia badań. Zakopany pod ziemią tej planety dla ukrycia i ochrony, kiedy naukowcy zajmowali się pomiarami. Być może mogliby przyjąć około stu trzydziestu uciekinierów. Tyle że zajęliby to miejsce od ściany do ściany, obciążyli systemy podtrzymywania życia.

Ale... może istniał inny sposób.

Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, wyszło mu naprzeciwko. Nosili nieduże metalowe ozdoby po bokach twarzy, trójkątne, pokryte czerwoną emalią. To byli Wskazujący Czas, jedna z licznych scadriańskich frakcji politycznych. Teoretycznie w obecnych konfliktach zajmowali pozycję neutralną. Grupa naukowców, próbująca „zrozumieć różne tajemnice cosmere”. W rzeczywistości, co oczywiste, absolutnie tacy nie byli, w tajemnicy wspierali wojsko, próbując opracować technologie, które pomogłyby Scadrialowi wygrać coraz bardziej niebezpieczny wyścig zbrojeń pochłaniający większość rozwiniętych planet.

- Rosharaninie – odezwał się mężczyzna w swoim własnym języku. – Czy moglibyśmy rozmawiać w cywilizowanym języku? Mówisz po malwiańsku?

Zellion pokręcił głową, udając że nie rozumie, i licząc, że nie posługują się żadnym z jego ojczystych języków. Przynajmniej mógł całkiem uczciwie upierać się, że nie mówi po azirsku, bo był zmuszony nadpisać tę umiejętność, żeby korzystać z miejscowego języka.

- Dobrze. – Mężczyzna przeszedł na miejscowy język. Był śniady i wysoki jak na kogoś ze Scadrialu, przerastał Zelliona około cala. – Rosharaninie, wypowiedziałeś przysięgi?

- Nie – skłamał Zellion. – Jestem wolnym człowiekiem. Nie biorę udziału w konfliktach. Chcę się nie wychylać i zostać przy życiu.

- Umiesz walczyć?

- Mam Ostrze.

Scadrianie popatrzyli po sobie.

- Jak dostałeś się na tę planetę? – spytała kobieta.

- Przybyłem przez Cieniomorze.

- Tu nie ma prostopadłości.

- Zostałem wyrzucony przez tymczasową – skłamał. – Kierowałem się w tę stronę, ale nie zamierzałem się zatrzymywać. A teraz utknąłem. To było coś bardzo dziwnego. Nie wiem, czy umiałbym to wyjaśnić.

- Na tej planecie dzieją się dziwne rzeczy.

Kobieta łożyła ręce na piersiach. Podobnie jak mężczyzna, miała na sobie nowoczesne ubranie. Czarne džinsy, fartuch laboratoryjny, jedna z tych fikuśnych koszul, w których lubowały się ich siły kosmiczne.

- Wkrótce odejdziemy – dodał mężczyzna. – Ostatnimi czasy podróżowanie jest niebezpieczne. Przydałby nam się ktoś, kto umie walczyć. Zakładam, że bywałeś najemnikiem, skoro masz Ostrze?

Zellion pokiwał głową.

- Doskonale. – Mężczyzna klasnął w dłoń. – Zatrudniamy cię.

- Zatrudniamy? – Pewność siebie w końcu otrząsnęła się z oszołomienia. – Ale...

- Nie interesuje mnie zatrudnienie – powiedział Zellion. – Już pracuję dla tych ludzi. Chciałbym wynegocjować dla nich waszą pomoc.

- Proszę, mieszkańcy Schronienia. – Rebeke osunęła się na kolana. – Proszę. Pozwólcie nam dołączyć do was. Jesteśmy dobrymi robotnikami, z silnymi duszami. Odrzuciliśmy straszliwe zwyczaje Popielnego Króla i tak wiele przezwyciężyliśmy, by do was dotrzeć. Proszę.

- Wy? Dołączyć do nas? – W głosie kobiety brzmiało rozbawienie. – I tak ledwo się mieścimy. Za kogo wy nas uważacie? Za organizację charytatywną?

- Posłuchajcie. – Zellion podszedł do nich. – Obserwujecie, co dzieje się na górze?

- Już mamy paru miejscowych do wykorzystania do badań – stwierdził mężczyzna. – Jeszcze jedno albo dwoje może by nam się przydało, ale to tyle. Tak naprawdę potrzebujemy tych słonecznych serc, ale już mamy dostawcę.

- Dostawcę? – spytał Zellion. – Jak wy... – Nagle do niego dotarło. – Popielny Król. Gość ze świecącymi oczami. Spotyka się z wami?

– Od czasu do czasu dostarcza nam to, czego potrzebujemy – odpowiedziała kobieta. – A my dajemy mu okrucy wiedzy i techniki. Ci ludzie nie mają większego pojęcia, jak wykorzystywać swoje wrodzone Napełnienie.

Na burze. Popielny Król nie próbował dostać się do tego miejsca – osiągnął to, pewnie przed laty. Najpewniej w ten sposób nauczył się tworzyć Zwęglonych i dostał bransolety, za pomocą których ich kontrolował. Nie chronił tego miejsca, bo w tajemnicy chciał do niego uciec – wykorzystywał je jako tajne źródło swojej władzy.

– Posłuchajcie, ten mężczyzna jest tyranem – powiedział Zellion.

– I co z tego? – spytała kobieta.

– Czym są dla nas ich problemy? – dodał mężczyzna. – Jesteś najemnikiem, Rosharaninie. Wiesz, że wokół są dziesiątki tych planetek ze swoimi zacofanymi monarchiami i głupimi zwyczajami. Co, chciałbyś, żebyśmy przyjmowali każdego, kto miał zły dzień?

– Ja...

Przeciwstawne argumenty były oczywiste. Ale odkrył, że nie potrafi ich wypowiedzieć, bo od początku wiedział, co tu się wydarzy. Zaplanował to. W głębi pomieszczenia na stole stał świecący słoń. Dor, tak to nazywali. Rodzaj czystego Napełnienia, które mógł wykorzystać, by uruchomić kolejny Przeskok, uciec z tego świata na kolejną planetę. Tak, jak miał nadzieję. Po to tu przybył.

Czego jeszcze się spodziewał?

Doprowadził Promieniowców do drzwi, a później przez nie. To obiecał. A oni wiedzieli. Wielokrotnie ich ostrzegał.

Kiedy jemu zabrakło słów, inni spróbowali.

– Proszę, czy możemy negocjować? – odezwała się Pewność. – Czy możemy odnieść się, jeśli nie do waszego poczucia sprawiedliwości, to do pragnienia zysków? Co możemy wam oddać za swoje bezpieczeństwo?

Tamta dwójka patrzyła na nią z rozbawieniem. Gdyby Scadrianie chcieli czegoś od tych ludzi, wzięliby to – najpewniej wykorzystywali Popielnego Króla jako pośrednika głównie dla wygody.

– Niczego nie potrzebujemy – powiedział mężczyzna do trzech kobiet z Promienia. – Możecie odejść i kontynuować swoje sprzeczki. Nie interesuje nas ingerencja.

– Moglibyście zniszczyć statek Popielnego Króla. – Zellion poczuł, że musi spróbować. – Wkrótce wzejdzie słońce. Moglibyście przyjąć tych ludzi jedynie do czasu, aż znów zajdzie. Wy... moglibyście zrobić cokolwiek?

– Możesz zostać i przyjąć naszą propozycję, Rosharaninie. – Kobieta traciła zainteresowanie. – Wysłuchaliśmy twojej prośby. Zgodnie z prawem międzyplanetarnym to jedyne, do czego jesteśmy zobowiązani. Miejscowi muszą sami rozwiązywać swoje problemy.

Mężczyzna pokiwał głową i z surową miną wskazał winde. Nie wyglądali na uzbrojonych, ale Zellion wiedział z doświadczenia, że takie grupy bynajmniej nie były słabe, nawet naukowcy. Choć wcześniej powiedział, że wolałby walkę fizyczną, wątpił, by udałoby mu się pokonać całą grupę. Gdyby w ogóle mu się chciało. Bo teraz... wcale tego nie czuł.

– Miałeś rację, Zellionie. – Rebeke wciąż klęczała. – Próbowałeś nas ostrzec. Tu nie ma schronienia.

- Ja... - Spojrzał na nie, spodziewając się, że zobaczy złość i przerażenie z powodu tego, że je zdradził.

Ich zrezygnowane miny bolały jeszcze bardziej.

- Próbowałeś. - Kontemplacja skinęła mu głową. - Zrobiłeś wszystko, o co cię poprosiliśmy, z naddatkiem. Zellionie, nie musisz mieć tak smutnej miny. W tę stronę kierowaliśmy się od wielu obrotów.

- To było piękne marzenie. - Pewność wzięła Rebeke za ramię i podciągnęła ją. - To nie jest wcale ażyl, prawda? Oni są ludźmi spoza świata, jak ty?

- Tak - odparł Zellion. - Przepraszam. Przybyli tu, by badać wasze słońce. Statek nie jest aż tak duży.

- Statek - odezwała się Rebeke. - To... statek.

Pokiwał głową.

Wydawało się, że takie wyjaśnienie im wystarczyło. Wiedziały, usłyszały. Wycofały się do windy. Chciał pójść z nimi, ale zawahał się przed wejściem.

- Co sądzisz, Pom? - szepnął.

„Myśle, mówi rycerz, że dostaliśmy w tej wymianie dokładnie to, na co zasłużyliśmy”.

Mądre słowa. Spojrzał w oczy Kontemplacji i wiedział, że nie pójdzie z nimi. Jaki sens miało wyjście na górę, żeby umrzeć? Musiał uciekać. To właśnie robił.

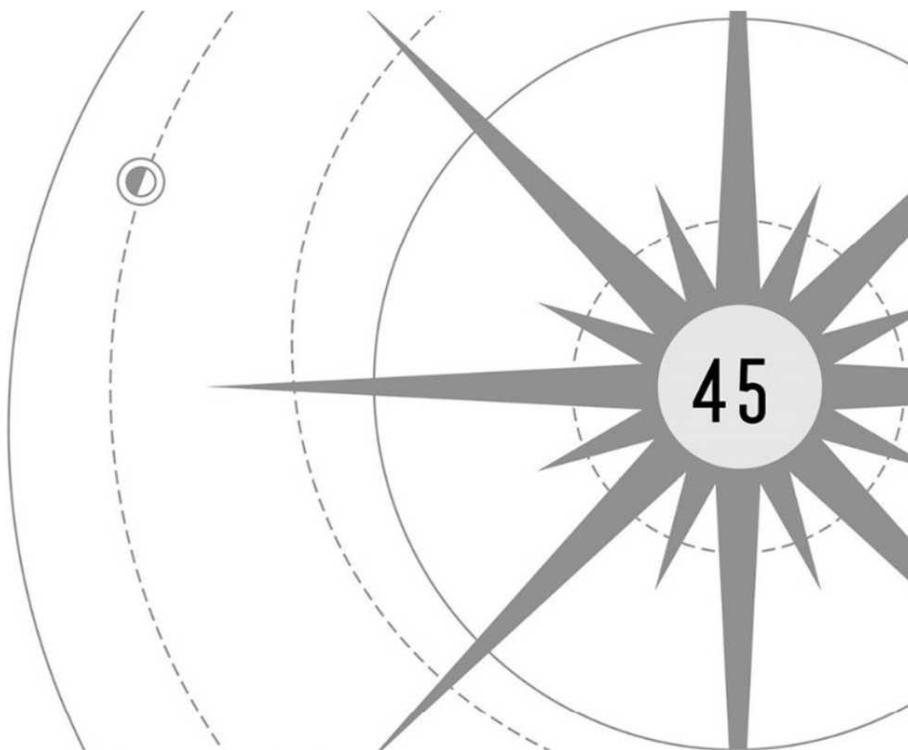
Dlatego lepiej było się nie angażować. Częściowo przygotowywał się do tej chwili przez cały czas, próbował zachować dystans między nimi. Realista przejął kontrolę i upierał się, że pora to zakończyć.

- Zostań - powiedziała do niego Kontemplacja w boleśnie łagodny, czuły sposób. - Zostań ze swoimi rodakami.

Drzwi się zamknęły i winda zaniósła ich na powierzchnię. Na monitorze Zellion obserwował, jak siły Popielnego Króla zbliżają się ostrożnie i tym razem nie powstrzymał ich żaden wybuch z ziemi.

Promieniowcy nie mieli energii ani zapasów, byli wyczerpani i pokonani. Skończyło się.

Zellion... Nomad... westchnął, usiadł przy ścianie, zamknął oczy i - choć raz - pozwolił sobie odpoczywać.



Siedzenie było za łatwe. A to sprawiało, że było trudne.

Głowa odchylona do tyłu. Zamknięte oczy. Spokojny oddech. Dzięki temu Nomad słyszał ciche dźwięki, wszechobecne – jednak często niesłyszalne – odgłosy życia. Palce stukające w ekrany dotykowe. Głęboki, melodyjny głos Przebudzonej Stalomyśli statku, która składała raport. Ludzie śmiejący się cicho – efekt żartu wypowiedzianego za cicho, by go usłyszał.

Ale nie było ruchu. Nie było dokąd uciekać ani gdzie się znaleźć. W takich chwilach, kiedy nie rozwiązywał problemów ani nie miotał się gorączkowo od katastrofy do drugiej, Nomad aż za łatwo słyszał własne myśli.

– Jestem tchórzem, Pom? – spytał.

„Dlatego, że przeżyłeś traumę? Nie jestem największym specjalistą od ludzi, ale wątpię, by to był odpowiedni sposób patrzenia na to, co ci się przytrafiło”.

– Mimo wszystko – szepnął.

Wyczuwał ten słój czystego Napełnienia na pobliskim biurku. Usiadł w tym miejscu, mając go prawie w zasięgu ręki – ale wiedział, że początkowo będzie obserwowany. Miał nadzieję, że jego przygarbiona sylwetka, zmęczone rysy twarzy, brak energii ich uspokoją.

Nie mógł go jeszcze ukraść. Jeszcze nie.

– Raport, sir – odezwał się ktoś w połowie pomieszczenia. – Tamten statek na orbicie wcześniej? Nocna Brygada.

Inny głos, przeklinający cicho.

- Dlaczego oni tu są?

- Nie mam pojęcia. Powinniśmy... spytać?

- Nie, nie ujawniaj naszej obecności. Miejmy nadzieję, że chodzi im o coś niezwiązanego z nami.

Nomad czekał w napięciu, zastanawiając się, czy dodadzą dwa do dwóch. Nasłuchiwał charakterystycznych odgłosów ludzi odwracających się w jego stronę, kogoś dostrzegającego związek. Tajemniczy rosharański najemnik. Nocna Brygada na orbicie.

Nic. Nomad nie był zaskoczony – Nocna Brygada wołała, by ludzie nie wiedzieli, dlaczego jest ważny. Odprysk Świtu był bronią zbyt cenną, by ją sprzedać. Jeśli ktoś o niej wiedział, to albo sam jej poszukiwał – albo uciekał jak najdalej.

„Kiedy zamierzasz sięgnąć po to źródło mocy? – pyta bohater”.

- Jeszcze nie. Wkrótce.

- Ej! – Głos z innej części pomieszczenia. – Rosharanin miał rację, to rzeczywiście jest interesujące. Powinniśmy byli obserwować.

Otworzył oczy. Pracownik popijający herbatę włączył jeden z dużych ekranów na ścianie, ukazując widok z góry na krajobraz na zewnątrz. Mieli działający system satelitarny? A może drony?

Obraz ukazywał w zbliżeniu statki Promienia lecące w stronę cienia z pełną mocą. Która nie była zbyt wielka. Dwie kanonierki zniszczone, dwie ostatnie próbowały – niezgrabnie – walczyć w powietrzu.

- Czy to są działa pokładowe? – spytała jakaś kobieta. – Kiedy je odkryli? Myślałam, że zachowujemy tę technologię na później.

Nomad wstał jak w transie. Może... może oni...

Jedna kanonierka została zniszczona. Kolejny pilot – może Zapał – zginął. A pozostali... nawet z tej odległej perspektywy widział Zwęglonych zeskakujących ze zbliżających się wrogich statków na transportowce. Nie usłyszał ultimatum, ale nie był zaskoczony, kiedy ocalałe statki wyładowały.

Kapitulacja. Mieszkańcy Promienia w końcu się poddali.

To był wyrok śmierci. Ale jaki wybór mieli?

Potknął się o biurko i uświadomił sobie, że nieświadomie ruszył naprzód, zaciskając pięści. Czy tym naprawdę był? Człowiekiem, który uciekł? Czy do tego go wyszkolono? Czy tym chciał być?

Nic nie mógł na to poradzić. Wyszeptał słowa, stare słowa przysięg.

Nic się nie wydarzyło.

Wrócił pod ścianę, usiadł pod nią, a później skulił się, przyciśnięty policzkiem do podłogi. Wyczerpany.

„Zaczekaj”, powiedział Pomocnik. „Zaczekaj. Myślałem, że to zadziało. Myślałem... że gdybyś chciał to odzyskać...”.

- Chciałeś objawienia w blasku. – Nomad zacisnął powieki.

„No tak. Dlaczego...”.

- Konsekwencje – szepnął. – Odrzuciłem swoje przysięgi. Podjąłem decyzję. A to... to są tego konsekwencje.

„Ale dlaczego? Nigdy nie powiedziałeś mi, dlaczego je odrzuciłeś po opuszczeniu Rosharu. Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. Porzuciłeś wszystko, czym się kierowałeś. Dlaczego to zrobiłeś?”

Czy nadszedł czas? Czas na najgłębszą, najtrudniejszą prawdę – odpowiedź, której wypowiedzenie było jak uderzenie zębami w bruk?

– Nie wiem – powiedział.

„Kłamiesz”.

– Nie tym razem – szepnął Nomad. – Ja nie wiem, Pomocniku. Po prostu... to zrobiłem. Nie umiem wyjaśnić swojego nastawienia. Nie umiem go usprawiedliwić. Wyparłem się swoich przysiąg. Taką decyzję podjąłem. Ale nie mam powodu.

„Musisz go mieć. Wszystko ma swój powód”.

I dlatego właśnie nigdy nie próbował wyjaśnić. Mimo swego pozornego człowieczeństwa Pomocnik był istotą z Napełnienia. Nieśmiertelną. Zmieniającą się bardzo powoli.

Nomad skulił się jeszcze bardziej, zwinął w kłębek na zimnej stali, kiedy inni w pomieszczeniu dyskutowali o tym, jak Popielny Król pochwycił zbuntowane miasto. Słyszał ich uwagi, że to musiało być niepokojące uczucie, kiedy opadło na nich całe miasto. Przybyła Jedność.

„Nomadzie... Sigzilu. Nie rozumiem”.

– Ludzie są... czasem niekonsekwentni – szepnął Nomad. – Robimy to, co podpowiadają nam uczucia. Nie umiemy tego wyjaśnić. Patrząc z perspektywy czasu na wybór, którego dokonałem, i wydaje mi się to całkowicie niepodobne do mnie. Ale zrobiłem to, to ja podjąłem decyzję. Pod wpływem chwili. Nieważne, czy było to tym, co chciałem zrobić, czy też, patrząc logicznie, co powinienem był zrobić. Konsekwencje pozostają. To... tym właśnie jestem.

Nie mógł wrócić. Musiał ruszyć naprzód. Nie zatrzymywał się. Był tak dobry w zachowywaniu dystansu, poruszaniu się, w... uciekaniu.

Dlaczego więc znajdował się w dokładnie tym samym miejscu?

Unióśł dłoń do głowy i wbił palce w skórę. Jak to możliwe, że uciekał ze wszystkich sił i nigdy donikąd nie dotarł? To podróż powinna być ważna, czyż nie?

W takim razie dlaczego czuł się tak żałośnie?

Częściowo chciał wypaść z tego miejsca i wyruszyć na poszukiwanie Promieniowców, ale co by to dało? Nie mógł stworzyć dla nich domu, bezpiecznego miejsca. A gdyby został pochwycony przez Nocną Brygadę, mogłoby to oznaczać śmierć milionów.

Nie znał odpowiedzi. Nie znał swojego celu. Może dlatego był tak zagubiony. Trudno być kimś innym, jeśli się nie wie, dokąd się zmierza.

To nie było objawienie w blasku. Raczej pośród łez.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Z wysiłkiem otrząsnął się z nienawiści do samego siebie i podniósł wzrok, by zorientować się, dlaczego tak się stało. Scadrianie odwrócili się i w większości obserwowali scenę z Promieniowcami, gdzie Zwęgleni wycofywali się w stronę Jedności – masywnego miasta unoszącego się w pobliżu. Z początku poczuł iskrę nadziei – ale jak węgielek z ogniska wypuszczony w zimną, głodną noc, ta nadzieja od razu zginęła.

Zwęgleni zabrali słoneczne serca ze statków Promienia. Zostawiali ludzi samych w rosnącej trawie. Za bardzo oświetlonej. Słońce, które nigdy nie odpoczywało, prawie już wzeszło.

Popielnny Król zamierzał zostawić mieszkańców całego miasta jako ofiarę. Około stu trzydziestu pięciu dusz.

Na większą skalę brutalność tego czynu była minimalna – Nomad przed chwilą myślał o śmierci milionów, upadku planet. Jednak w tym wydarzeniu kryło się straszliwe osobiste okrucieństwo. Nawet Scadrianie to dostrzegli, i wszyscy wpatrywali się w milczeniu w ekran. Sylwetki Promieniowców, którzy z żalem i przerażeniem osunęli się na kolana. Absolutne porzucenie przez Jedność, która odlatywała, pozostawiając ich za sobą, głucha na ich błagania.

Popielnny Król z pewnością dobrze przyswoił sobie lekcje tyranii. Jasne, ludzie zwykle nie potrzebowali specjalnego szkolenia. Zbyt wielu z nich samodzielnie doszło do tego, jak zachowywać się koszmarnie. Znał to z własnego doświadczenia.

Wkrótce ekran przyciągnął uwagę wszystkich w pomieszczeniu poza najbardziej skupionymi pracownikami. Okazja. Świecząca Bateria Napęlnienia znajdowała się w zasięgu Nomada. Wstał, ale nikt nie spojrział w jego stronę.

Mógł ją wziąć i błyskawicznie zniknąć.

Nie zrobił tego.

On... nie mógł.

„Czy... my cokolwiek zrobimy? – pyta rycerz swojego wiernego giermka”.

– Tak. Będziemy patrzyli i pamiętali.

Słowa przyciągnęły uwagę pobliskiej uczoney – kobiety z kucykiem, która była zbyt zainteresowana pracą z parą słonecznych serc, by ekran odwrócił jej uwagę. Ale jego najwyraźniej uznała za dość interesującego.

– Do kogo mówisz? – Kobieta zmrużyła oczy. – Chyba wspomniałeś, że nie wiażą cię przysięgi. Masz sprena?

Potępienie. Zrobił się nieostrożny. Ci ludzie dostrzegali oznaki, których nie musiał ukrywać przed Promieniowcami.

– Stare przyzwyczajenie. Nic takiego. Co tu robisz? Przenosisz Napęlnienie między dwoma różnymi słonecznymi sercami?

– Tak! – Znów usiadła, emanując odwieczną radością naukowczyni, która z zadowoleniem stwierdziła, że kogoś rzeczywiście interesuje jej praca. – Wcześniej naładowaliśmy je na nowo. Badamy, ile uda nam się wcisnąć do jednego słonecznego serca.

Naładowali na nowo.

– Ładujecie słoneczne serca na nowo? – spytał odrętwiała.

– Oczywiście. Wykorzystując promienie tego słońca.

– Tamci ludzie próbowali. Mówili mi. Zostawienie wyczerpanego słonecznego serca nie działa... – Wyprostował się. – Chwileczkę. To ma coś wspólnego z tym dziwnym prądem tego świata, prawda? Tym, że jądro tej planety przyciąga Napęlnienie i gorąco ze słońca? Wsysa je, jakby tworzyło prąd elektryczny?

– Tak! – Kobieta przyjrzała mu się uważniej. – Skąd wiesz? Minęły miesiące, zanim do tego doszliśmy.

– Słoneczne serca normalnie nie ładują się na nowo... Ale ziemia się topi. Ludzie stają w płomieniach. Wszystko, co zostaje uwięzione między słońcem a rdzeniem jest jak... jak zakłócenie między dwoma przeciwnymi biegunami elektrycznymi.

Spojrzał w górę na światła na suficie. Nowoczesne, ale przypominające te sprzed lat.

– Żarówka – szepnął. – Myślałem o tym wcześniej. Świeci, kiedy przez włókno przechodzi prąd... ale nie dlatego, że włókno jest dobrym przewodnikiem. Wręcz przeciwnie. Włókno stawia opór i traci energię jako światło i ciepło. Wypromieniowuje ją. To sprawia, że żarówka działa. Normalne słoneczne serca... Napęlenie po prostu przez nie przepływa, prawda? Dlatego nic się nie dzieje, jeśli zostawi się zużyte. Ale w ogóle powstają dlatego, że dusza stawia opór, co rozjarza Napęlenie. Jak światło żarówki. W ten sposób pochłania całą tę moc i pozostawia za sobą słoneczne serce.

Kobieta oparła ręce na blacie.

– Tak. Przechwytywałeś nasze rozmowy? Stąd to wszystko wiesz?

Zignorował jej pytanie.

– Jak to robicie? Jak ładujecie je na nowo? Zaczekaj. Coś w nich umieszczacie, coś, co zostaje wypalone przez promienie słońca? Co chwilowo blokuje obwód... albo zapewnia opór?

– Trochę ciepła z miejscowych działa. – Przyjrzała mu się. – Mamy paru jeńców. Przygotowują słoneczne serca odrobiną własnego ciepła, a później zostawiamy je na zewnątrz. To działa. Jeśli wykorzystana się trochę szczególnego Napęlenia, powstaje skażone popielne serce, które pozwala stworzyć Zwęglonych.

Na burze, to miało sens. Była to prosta odpowiedź na kwestię ponownego ładowania słonecznych serc, ale wymagała albo przypadku, albo głębokiego zrozumienia Napęlenia. Nic dziwnego, że mieszkańcy Kantyku nigdy jej nie odkryli.

– Jesteś arkanistą? – Kobieta zmarszczyła czoło jeszcze bardziej.

– Nic tak wielkiego. – Wpatrzył się w jej emanujące potężnym blaskiem słoneczne serce, naładowane znacznie bardziej niż zwykle. – Wiesz, że to rozwiązuje większość ich problemów, prawda?

– Tworzenie Zwęglonych?

– Nie, ta pierwsza część! Gdyby ludzie na powierzchni wiedzieli, mogliby ładować swoje źródła energii bez końca. Żadnych ofiar więcej. Wystarczy uszczknąć odrobinę ciepła, by przygotować wyczerpane słoneczne serca, później je zakopać, a po powrocie znów będą świeciły!

Badaczka wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak.

– Na burze! – Nomad uniósł dłoń do czoła. – Dlaczego im nie powiedzieliście?

– Dlaczego mielibyśmy zdradzić tak użyteczną tajemnicę?

Musiał coś zrobić. Musiał im powiedzieć.

Powietrze rozpadło się wokół niego – fragmenty starożytnej zbroi znów próbowały przesiąknąć się do rzeczywistości. Niektóre z jego pierwszej przysięgi, inne z drugiej. Tak czy inaczej, to był naprawdę najgorszy moment, by to zrobić.

– Jednak złożyłeś przysięgi... – powiedziała kobieta, dostrzegając odpryski. – Arkanista... Rosharanin... Ciemna skóra... – Otworzyła szerzej oczy.

Potępienie.

Nomad rzucił się w stronę Baterii Napęlenia, ale ona zabrała ją ze stołu, cofnęła się, uniosła rękę i nacisnęła metalowe urządzenie na rękawiczce. Nomad złapał słoneczne serce, nad którym pracowała, to, które doładowywali.

Całe szczęście nie miał na sobie żadnego metalu, więc...

Został odrzucony gwałtownie do tyłu, Odepchnięty przez coś na brzuchu. Metalowa kłamra pasa. Racja.

Uderzył w ścianę.

- Mamy problem! - krzyknęła badaczka do pozostałych. - Czytałam o tym mężczyźnie! To dlatego Nocna Brygada tu jest! Na rdzę, nagroda za jego głowę wystarczyłaby, żeby kupić niewielką planetę.

Inni Scadrianie odwrócili się od żalostnego widoku Promieniowców - którzy zebrali się razem pośród pozbawionych energii statków, czekając na nieuchronny wschód słońca. Nomad zerwał pasek, zanim mógł zostać znów użyty przeciw niemu, po czym przywołał Pomocnika w najbardziej efekciarskiej formie - ogromnego, długiego na sześć i pół stopy Ostrza, pofalowanego, z ozdobami przy rękojeści.

Większość ludzi nigdy nie widziała Ostrza Odprysku na własne oczy, ale znali opowieści. Nawet taka grupa - która mogłaby pokonać go techniką - zamarała na jego widok.

- Odchodzę - powiedział ostro. - Wy macie wybór. Możecie stanąć mi na drodze. Albo możecie wciąż oddychać.

- Odchodzisz? - spytał jeden z ich przywódców. - Do wschodu słońca zostało niecałe pięć minut, idioto.

„Pięć minut od nas?” - powiedział Pomocnik. „Promieniowcy mają jakieś piętnaście, zanim do nich dotrze, bo przelecieli niewielką odległość, zanim zmuszono ich do lądowania. Coś możemy z tym zrobić”.

Nomad wycofał się do windy, w jednej ręce trzymał ogromny miecz, a w drugiej słoneczne serce.

- Uruchomcie ją - powiedział do nich.

Nikt się nie poruszył.

- Uruchomcie ją - powtórzył. - Albo wyrąbuję sobie drogę na zewnątrz.

- Naruszysz spójność kadłuba! - wykrzyknęła jedna z kobiet. - Zabije nas...

- To mnie do tego nie zmuszajcie!

Na burze. Co on wyprawiał?

Nie miał wyjaśnienia. Ludzie już tacy czasem byli.

Drzwi windy się otworzyły. Wszedł do środka, odsyłając Pomocnika - bo w tym kształcie był trochę za duży, by się nim wygodnie posługiwać. Winda jednak zadziałała, a Scadrianie nie próbowali żadnych sztuczek. Wypłuła go w okolicy, która gwałtownie się zmieniła w ciągu tych kilku minut, a z błota wyrastał cały las patykowatych drzewek.

Nomad - Zellion - spojrział przez nie w stronę wschodzącego słońca. Na burze. Powiedzieli, że niecałe pięć minut, ale wątpił, by to potrwało tak długo. Odwrócił się i zaczął biec.

To właśnie robił. Wcześniej to zawsze wystarczyło. Tym razem okrążył całą planetę, ale znalazł się w miejscu, w którym zaczął.

Wschodzące słońce. Czuł je na plecach. Drzewa wokół zaczynały więdnąć. Usychać.

„Nie przegonisz go”, powiedział Pomocnik. Czy... w jego głosie zabrzmiały delikatne niuanse? Minęły lata, od kiedy Zellion to słyszał. „Nawet ty nie przegonisz tego światła”.

Próbował, przyciskając serce klejnotu do piersi.

„Zellionie, musisz polecieć, żeby do nich dotrzeć”.

– Nie mogę! – krzyknął. – Ja... nie mogę, Pom. Próbowałem.

Promienie słońca stawały się coraz bardziej przytłaczające. Drzewa ciemniały i dymiły.

Zellion biegł.

„Jesteś lepszym człowiekiem, niż udajesz”, powiedział Pomocnik. „Wciąż. Mimo że zostałeś tak zniszczony”.

– Jestem głupcem. Bezdusznym głupcem.

„Obaj wiemy, że to nieprawda. Bo sprytnym posunięciem, bezdusznym posunięciem, byłoby zaatakowanie Promienia w chwili, w której do niego dotarłeś. Ukradzenie ich słonecznych serc, unieruchomienie statków. Nie zrobiłeś tego”.

Owszem. Bo, cokolwiek mówił, wciąż był człowiekiem, nie potworem.

„Zellionie. Przyjacielu. Jesteś wart ocalenia”.

Nie przerywając biegu, się rozpląkał.

„Kiedy do nich dotrzesz, upewnij się, że poznają tajemnicę. Upewnij się, że ich ocalisz, Zellionie”.

– Ale...

„Posłuchaj mnie. Po prostu mnie wysłuchaj. Mogę zapewnić ci chwilowy przyływ mocy, jak rozmawialiśmy”.

– Nie! Wykorzystam moc z tego słonecznego serca.

„A ona pozwoli ci znów polecieć?”.

Nie. Bo to nie mocy mu brakowało, lecz czegoś innego.

„Mogę uczynić cię tym, kim byłeś kiedyś. Na chwilę. Jestem pozostałością siły złożonych przysięg, jestem prawdą, którą kiedyś znałeś. Weź ją ponownie, na moment, i posybij”.

Poczuł wypełniające go ciepło. To był inny rodzaj Napelnienia... zacerpnięty z resztek duszy Pomocnika.

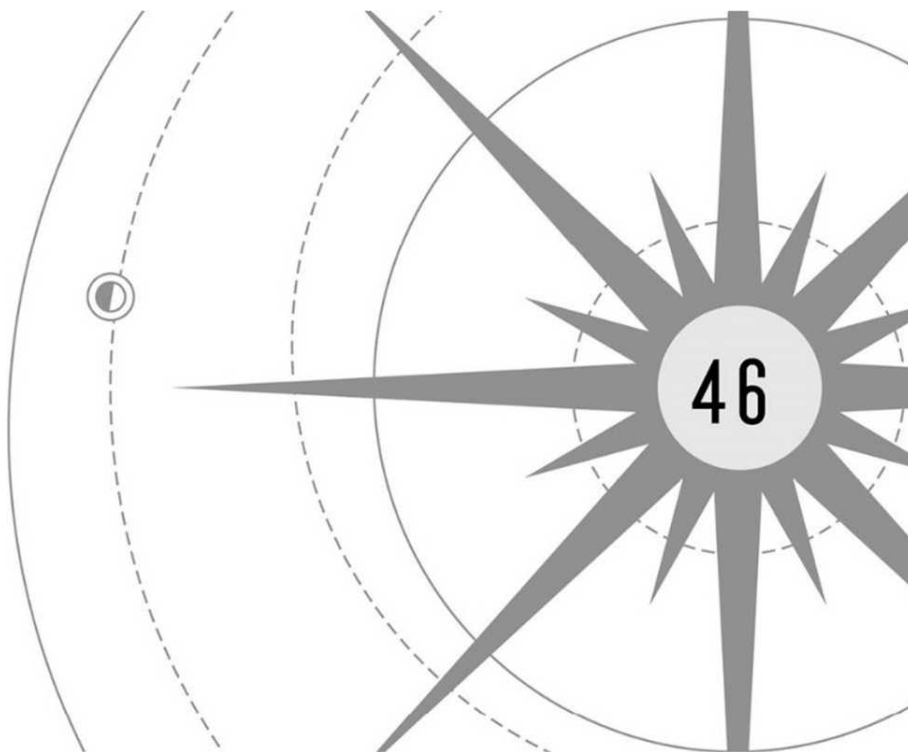
„Wypalę tylko siebie”, powiedział Pomocnik. „Swoją osobowość. To powinno pozostawić ci do wykorzystania moje ciało, broń. Taki jest mój cel, ale nie twój”.

– Nie możesz tego zrobić, Pom. Proszę.

„To nie twoja decyzja. Jestem świadom konsekwencji. Rozumiem, że ty złamałeś swoje przysięgi. Ale chodzi o coś innego, Zellionie. Coś, czego nigdy nie rozumiałeś. Ja również przysięgałem, że będę lepszy niż wcześniej. Stałem się Świetlistym Rycerzem. Wypowiedziałem słowa. A cokolwiek ty zrobiłeś, ja nigdy nie złamałem swoich przysięg. Ochroń tych ludzi, Zellionie. Zaniósłem cię najdalej, jak mogłem. Resztę drogi będziesz musiał odnaleźć samodzielnie”.

Wypełniła go niesamowita, znajoma moc. Kiedy słońce w końcu wzniosło się nad horyzont – i resztki lasu stanęły w ogniu – wokół Zelliona powstał pancierz.

A jego oczy zapłonęły.



Elegia szła za Popielnym Królem, kiedy zbliżył się do skraju Jedności, lecącej władczo nad ziemią, i spoglądał z góry na pokonanych mieszkańców Promienia.

Kilku mężczyzn w białych płaszczach zaciągnęło też Rebeke. Była jedyną osobą z Promienia, poza Elegią, którą zabrali Zwęgleni. Elegia początkowo nie była pewna, dlaczego wybrał właśnie Rebeke, by ją ocalić. Teraz jednak wyczuwała jego emocje i rozumiała. Wręcz przepełniała go satysfakcją. Dreszcz tak wielkiej władzy nad tak wieloma ludźmi.

Jego popielne serce płonęło jasno pod koszulą i uśmiechał się z nieskrępowaną wesołością na widok przerażenia na twarzy Rebeke. Osunęła się na kolana z boku latającego miasta i patrzyła z góry na skulone pozostałości Promienia, zgromadzone na ziemi. Mniej niż sto trzydzieści pięć dusz, otaczających ruiny ich niegdyś dumnego, zbuntowanego miasta.

Tak, o to chodziło. Cieszył się, że ma tego rodzaju świadomą władzę nad rodem Elegii i jego ostatnią żyjącą potomkinią.

Na horyzoncie wschodziło słońce. Światło przesunęło się po ziemi jako ściana ognia.

Elegia stała z szóstką Zwęglonych. Nie za dobrze jeszcze rozumiała ludzi, więc nie mogła mieć pewności, ale wydawało jej się, że może oszukała Popielnego Króla. Kiedy Promieniowcy postanowili się poddać, udała, że ich też atakuje – na oczach innych Zwęglonych, którzy przybyli, by zabezpieczyć okolicę. Dostarczyli ją do Popielnego Króla, który dotknął palcami jej popielnego serca i wypowiedział kilka słów.

To nic nie zmieniło, ale udało, że tak jest. Uspokoila się, bo wciąż czuła, czego od niej chciał, nawet jeśli nie musiała tego robić. Czuła jego zadowolenie z jej natychmiastowego posłuszeństwa i teraz stała cicho – jakby całkowicie nad nią panował.

Nie przeszukali jej. Bo po co?

Nie wiedzieli więc o odłamku słonecznego serca, który dał jej Zellion. Jak się okazało, nie potrzebowała go dla siebie.

Rebeke uklękła na skraju miasta i trzęsa się. Elegia wciąż uważała jej słabość za ciekawą. Zanim została przemieniona w Zwęgloną, czy ona sama była podobnie krucha? Choć nie powiedziała tego głośno, cieszyła się z tego, co jej zrobiono. Z siły, którą teraz miała.

– Proszę. – Rebeke odwróciła zalaną łzami twarz do Popielnego Króla. – Nie ma potrzeby tego robić. Mogą ci dobrze posłużyć, wielki królu.

– Posłużą mi. – Wprost ociekał samozadowoleniem. – Twoi ludzie będą płomieniami, które poniosą moje statki, by zdobyły i zjednoczyły nawet najdalsze korytarze. Kiedy inne miasta poznają cenę buntu... kiedy moi ludzie poniosą wieści o całym mieście oddanym słońcu... wszyscy skulą się i ukorzą przede mną. – Pokiwał głową, mówiąc jakby do siebie. – Tak zjednoczę świat.

Rebeke się skuliła. A później coś zmieniło się w jej postawie. Popielny Król nie patrzył, ale Elegia to dostrzegła. Widziała, jak młoda kobieta zaciska pięści, a jej broda się unosi. Zamierzała go zaatakować, czyż nie? Elegia pokiwała głową z aprobatą. Choć czyn nic by nie dał, był również odważny. Lepszy sposób, by umrzeć.

Jednakże zamiast zaatakować, Rebeke się odezwała.

– Skąd wiedziałeś? – spytała.

Elegia wyczuła niepewność Popielnego Króla.

– Wiedziałem?

– Wiedziałeś, że to ja przez ten cały czas prowadziłam Promień? – Następnie wskazała z góry resztę swoich ludzi. Trzy stare kobiety klęczały pośrodku grupy, zatopione w modlitwie przed nadchodzącym słońcem. – Skąd wiedziałeś, że te trzy to marionetki, które mają odwrócić twoją uwagę? Po tym, jak zabrałeś Elegię, wiedzieliśmy, że musimy ukryć, kim jestem. Widać jednak, że przejrzałeś ten podstęp.

– No cóż – odezwał się Popielny Król. – To było oczywiste.

Kłamstwo? Po co kłamał?

Nie chce, żeby uważano go za ignoranta, uświadomiła sobie Elegia. Interesujące. Ale dlatego Rebeke kłamała? Co zamierzała osiągnąć? Teraz było bardziej prawdopodobne, że ją zabije, nie mniej.

Rebeke wstała i odwróciła się, by spojrzeć mu w oczy.

– Pokażaleś, co potrafisz, Popielny Królu. Masz mnie i wiesz, kim jestem. Ukorzyłam się przed tobą. Zabierz pozostałych, a ja rozkażę im, by służyli tobie.

Zawahał się i przechylił głowę.

– Co jest lepsze? – spytała Rebeke. – To, że świat się dowie, że potrafisz zabić miasto? Proszę cię. Każdy mógłby zabrać słoneczne serca z powolnych statków bez wojowników. Ale gdyby świat dowiedział się, że nawet twoja największa krytyczka, przywódczyni, która próbowała cię

obalić, w końcu uświadomiła sobie, że jej moc jest niczym w porównaniu z tobą... Gdyby wiedzieli, że nawet ona zgodziła się być ci posłuszna, to już nikt nigdy by się nie zbuntował.

Co to był za postępek? Rebeke nie była przywódczynią, była słaba i miękka. Prawda? Jednak Popielny Król wierzył w kłamstwa Rebeke. Elegia to czuła.

I... i Elegia odkryła, że sama odrobinę w nie wierzy.

– Nie – powiedział Popielny Król.

– To mnie zabij! – Rebeke zrobiła krok do przodu. – Sprowadź tu pozostałych i zmusz, by patrzyli, jak mnie zabijasz! Pomyśl o władzy, którą poczujesz, trzymając moją szyję w swoich rękach, miażdżąc moje życie na oczach moich rodaków. Czy to nie jest ostateczny pokaz siły? Po co ich zabijając, skoro możesz sprawić, by cierpieli?

Elegia westchnęła i od razu miała nadzieję, że się nie zdradziła. Nic nie mogła na to jednak poradzić, kiedy patrzyła, jak Rebeke – niska, zupełnie pozbawiona siły fizycznej, z twarzą zalaną łzami – stawia czoło Popielnemu Królowi i go oszukuje. Tak, Elegia czuła, jak bardzo kusiła go myśl o zabiciu jej na oczach Promieniowców.

Rebeke, w tej chwili najbezpieczniejsza z nich wszystkich, próbowała oddać życie za innych. Nie mogła walczyć z Popielnym Królem, ale jakimś sposobem prawie go pokonała. Gdyby uratował innych i zabił Rebeke...

Na cienie. Elegia się myliła.

To nie była słabość. Ta świadomość sprawiła, że Elegię przepełnił dziwny spokój. Coś, co stłumiło jej pragnienie, by rozrywać i poruszać i zabijać i walczyć.

To była siła. Rebeke była silniejsza od Elegii.

Chwila trwała, a promienie słońca przesuwwały się naprzód – powoli, ale nieubłaganie po ziemi – a Rebeke się nie złamała. Nie obejrzała się. Poświęciła się gambitowi.

Aż w końcu Popielny Król się uśmiechnął.

– Prawie mnie przekonałaś. Ale widzę ból w twoich oczach. Tak bardzo cierpisz na myśl, że oni zginą. Nie przekonasz mnie. Gdybym to zrobił, oddałbym ci władzę nad sobą.

Wtedy się na niego rzuciła, uniosła ręce do jego oczu – ale jedno ze Zwęglonych złapało ją, zanim zrobiła choćby krok. Rebeke szarpała się, krzyczała, wrzeszczała. Jej plan się nie powiódł. Wylewała się z niej frustracja.

Mimo to był to mężny czyn. Żołnierz na przegranym polu bitwy wykorzystujący jedyną broń, którą miał do dyspozycji – swoje życie.

– Nie powinnaś była mi mówić, że jesteś ich przywódczynią – powiedział Popielny Król. – Zamierzałem zatrzymać cię jako trofeum. Teraz, skoro wiem, że przewodziłaś buntownikom... cóż, sądzę, że będziesz cię doskonale Zwęglona. Najpierw możesz patrzeć, jak umierają. – Podszedł bliżej do Rebeke, która szarpała się w uścisku Zwęglonego. – To jest prawdziwa władza. Władza nad życiem i śmiercią. To...

Przerwał. Zmrużył oczy, spoglądając w stronę nadchodzącego świtu.

Elegia podążyła za jego spojrzeniem i nawet Zwęgleni – jak zawsze wyczuwający jego emocje – odwrócili się. Rebeke również dała się pochwyć chwili, odwróciła się i wpatrzyła w horyzont. Co on zobaczył?

Promienie słońca zbliżały się do Promieniowców – a w miarę jak się przesuwwały, podpałyły rośliny i nawet niebo – fala zniszczenia, ognia i światła. Poruszająca się powoli w porównaniu ze

statkami, ale szybciej, niż biegł człowiek. Promieniowcy i tak powinni spróbować. Tymczasem kulili się razem, nie chcąc pozostawić najsłabszych i dzieci – chcieli umrzeć jako jedność, nie jako pole uciekających jednostek.

W tej chwili Elegia dostrzegła siłę również w tym.

Razem wpatrywali się w zbliżające się płomienie. Pomarańczowo-czerwone niebo, jaskrawa śmierć.

Ogień zafalował. Ściana światła zadrgała i się zmieniła.

I wtedy ze światła wypadła postać, wysoko na niebie, ciągnąca za sobą ogień i dym, emanująca blaskiem jak kuty metal. Żyjąca iskra. Jakimś cudem on przeżył piekło. W rzeczy samej, wydawało się, że ogień na niebie układa się za jego plecami w jakiś symbol, którego Elegia nie знаła. W przybliżeniu trójkątny, skierowany wierzchołkiem w dół, ze skrzydłami po bokach.

- To on - szepnęła Rebeke.





Kiedy Zellion wyłonił się ze świtu, odkrył, że jest cały i niepoparzony. Pancierz, którego zadaniem było zapewnianie stałej temperatury i podtrzymywanie życia chronionej osoby, wytrzymał nawet straszliwe gorąco promieni słońca.

To dało mu nadzieję, kiedy skierował się w stronę gromadki skulonych ludzi, którzy znajdowali się niebezpiecznie blisko nadchodzącego świtu. Poszybował i częściowo radował się tą chwilą z dawnego życia, kiedy był człowiekiem, który zasługiwał na niebo.

Ale ciężar tego dnia go przytłaczał, niezależnie od tego, jak wysoko się wzniosł.

– Pom – szepnął. – Udało się.

Nie było odpowiedzi. Jego towarzysz przez te wszystkie lata, ten, który zaczął tę podróż razem z nim, umarł. Odszedł na dobre. Zellion miał jedynie trupa Poma – w postaci narzędzia i broni. Na burze, jakże go to przytłaczało.

Porażka Zelliona była teraz przypieczonej. Jednak przez chwilę był kimś innym. Kimś, kto zrobiłby wszystko, co mógł, by uszanować rozkaz umierającego przyjaciela.

Obronić tych ludzi.

Wylądował w fontannie gleby, uderzając z siłą niedużego meteorytu, i poczuł, że moc, którą dostał od Poma, wyczerpała się. Jak został ostrzeżony, pozostała tylko odrobina. Ledwie dość, by pomieścić osobowość Poma. Marzenia, ideały i honor. Wypalone w jednej chwili. Zellion przywołał ciało Poma jako tarczę i to wciąż działało, jak miał nadzieję.

Przebiegł przez środek tłumu oszołomionych ludzi i odesłał hełm – wystawiając twarz na chłodne powietrze. Mimo to wiedział – choć jego pancierz był względnie delikatny w porównaniu z niektórymi – że wyglądał jak masywny potwór. Rozstępowali się przed nim, kiedy przeszedł na ich skraj.

– Czy Powaga Boska wciąż tu jest?! – krzyknął, stając na krawędzi grupy. Pot spływał mu po szyi, kiedy wpatrywał się w promienie słońca. Było burzowo blisko... znowu.

– Zellionie? – spytała Powaga Boska, wychodząc z tłumu. – To prawda? Ty...

– Odetnij kawałek tego. – Rzucił jej słoneczne serce, które odebrał Scadianom. – Zainstaluj go na *Ścigającym świt*, a resztę oddaj mnie. Szybko.

– Zellionie? – Kontemplacja precyzyjnie się do przodu, jej farbowane czarne włosy opadały na ramiona. – Czy to słoneczne serce? Możemy polecieć w bezpieczne miejsce!

Pokręcił głową.

– Masz pomysł, jak wcisnąć tych wszystkich ludzi na statki w ciągu najbliższej minuty czy dwóch? A nawet jeśli, to co wtedy? Popielny Król znów je zatrzyma. Jesteście zbyt odsłonięci.

– To co? – spytała ostro. – Powiedz nam, jaki masz plan, jeśli nie masz nic przeciwko!

Powaga Boska rzuciła mu resztę słonecznego serca, po czym poszła zainstalować odłamek zgodnie z jego prośbą. Zellion umieścił słoneczne serce w zagłębieniu, które stworzył z tyłu tarczy.

Proszę, niech to zadziała, pomyślał. Proszę, niech to wystarczy. Proszę.

Moc wypełniła tarczę. Zellion postawił ją na ziemi i wydał rozkaz. Zaczęła się powiększać, rozrastać w kopułę. Tym razem nie była przezroczysta, bo to miałyby się z celem. Duży kawałek metalu, z zewnątrz odbijający światło. Kiedy osłonił się nim w wirze, był chroniony przed więk-

szością gorąca. W tej postaci trup Pomocnika powinien zapewniać podobną ochronę, co jego pancierz.

- Co... - Kontemplacja podeszła bliżej, podczas gdy kopuła rosła coraz bardziej. - Zawsze mogłeś to zrobić?

- Nie. - Postukał w słoneczne serce zatopione w metalu. - Potrzebuje Napełnienia na dużą skalę. To turbodoładowane słoneczne serce, naładowane na nowo przez ludzi w Schronieniu.

Wpatrzyła się w nie, a później w niego.

- Można ładować je na nowo? - szepnęła. - Jak?

- Jest bardzo mało czasu. Znasz inwokację, która zabiera ciepło i przenosi je do słonecznego serca?

- Odważny na progu śmierci, weź moje ciepło w swoje słoneczne serce, bym mogła pobłogosławić tych, którzy wciąż żyją. To modlitwa.

- Tak. Napełnijcie słoneczne serce odrobiną waszego ciepła jako ziarno krystalizacji, a później zostawcie je na słońcu. Zareaguje jak ludzka dusza i zostanie wypalone w rozbłysku mocy... a to naładuje słoneczne serce.

- To znaczy... To zmienia wszystko.

- Zabierz to do wszystkich, Kontemplajo. Powiedz im prawdę i zmień świat.

- Takie proste... - szepnęła. - Jak to możliwe, że nigdy tego nie dostrzegliśmy?

- Wiele z największych postępów technologicznych w swojej istocie jest prostych.

Tarcza zaczęła rosnąć, by osłonić grunt, zmuszając wszystkich, by na niej stanęli, dla ochrony przed magmą z dołu. Na burze, miał nadzieję, że wybuchy nie będą na tyle gwałtowne, by nimi rzucić i zrobić im krzywdę. Na to niewiele mógł teraz poradzić. Kopuła była niemal kompletna, poza otworem na drugim końcu. Wyjdzie przez niego i go zapieczętuje.

- Przeżyjemy to - szepnęła Kontemplacja. - Dziękuję. Wiedziałam, że wrócisz.

- To dziwne, bo ja nie wiedziałem.

- Adonalsium wiedział. Modliłam się do niego, by tak się stało.

Skrzywił się, a Kontemplacja przyjrzała mu się uważnie. Ich twarze były widoczne w świetle pobliskiego słonecznego serca. Jego pancierz też emanował blaskiem, choć nie w typowych odcieniach niebieskiego. Miast tego świecił jak węgielki - możliwe, że promienie słońca go uszkodziły, bo płonęły na nim nieduże czerwono-pomarańczowe plamki - a kiedy się poruszał, ciągnął za sobą dym.

- Zauważyłam wyraz twojej twarzy, kiedy wspominamy o Adonalsium.

- Kontemplajo, nie chcę się sprzeciwiać, ale Adonalsium? On...

- On nie żyje? Tak, wiemy. Myślisz, że nie mamy pojęcia o tej historii? O Strzaskaniu? Odpryskach?

- Ja... tak. Tak zakładałem. Bo wciąż mówicie o nim i... no wiesz, modlicie się.

- Wierzmy, że to wszystko jest częścią jakiegoś planu. Nie chodzi o to, by wszystko działo się tak, jak my tego chcemy... ale o zaufanie, że dzieje się to tak, jak ktoś tego chce.

- Uważam to za nieco naiwne.

- A jednak oto jesteś - powiedziała stara kobieta. - Ratujesz nas.

- To z powodu Pomocnika. Mojej tarczy tutaj, który oddał pozostałości swojego życia, bym dotarł do was na czas.

- A czym był Pomocnik?
- Moim sprenem... kwantem energii, Napelnienia, który ożył.
- A skąd się wzięła ta istota?

Z... Odprysku Adonalsium. Na burze.

Cóż, częściowo wciąż wierzył w Yaezira i cesarza, mimo wszystkiego, co się wydarzyło. Powtarzał sobie, że nigdy nie postrzegał ich jako nieomylnych, i to właśnie sprawiało, że nie był ślepy fanatykiem, w przeciwieństwie do wielu religijnych ludzi, których spotkał. Ale z drugiej strony to mogła być racjonalizacja.

Skinął Kontemplacji, kiedy podłoga kopuły dotarła do miejsca w pobliżu jego wyjścia.

- Zabrali Rebeke – powiedziała Kontemplacja. – I Elegię.
- Zobaczę, co da się zrobić.
- Dziękuję. Wiem, że nie chcesz tytułu, który próbowałam ci nadać. Ale dziś przyszedłeś do nas, kiedy najbardziej tego potrzebowaliśmy. Z własnej woli. Dziękuję, Zellionie. Słoneczny Mężu.

- Czas znów ruszyć naprzód. – Wyprostował się. – Naucz wszystkich, jak na nowo ładować słoneczne serca. Upewnij się, że wieści się rozejdą.

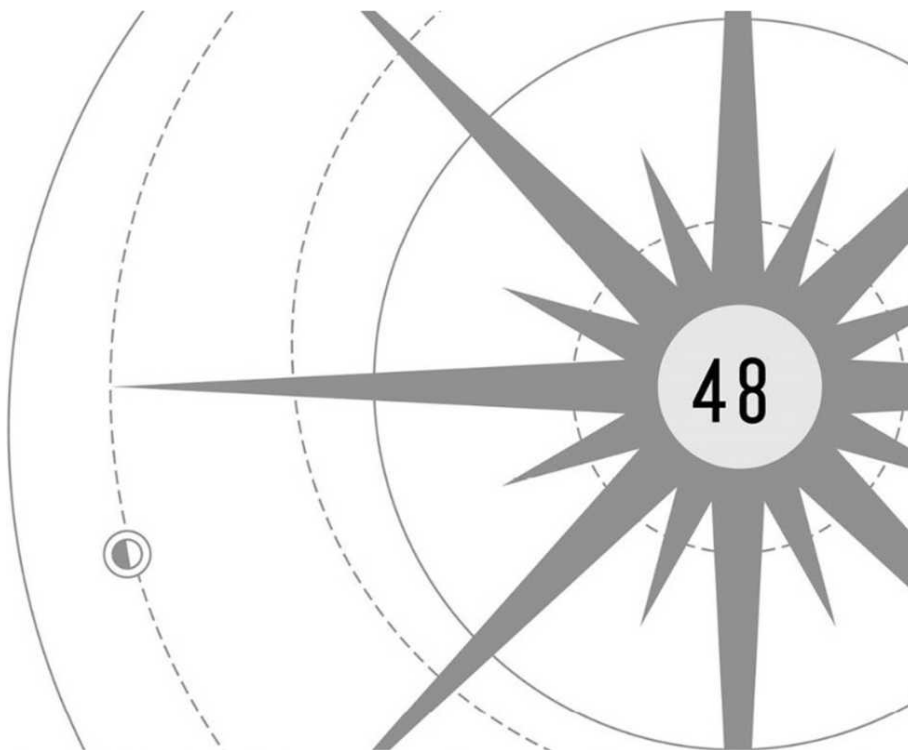
- Zrobimy to. Chyba że Popielny Król nas powstrzyma.

- Nie martw się – powiedział Zellion. – Zajmę się nim.

Ruszył biegiem w stronę statku, kiedy Powaga Boska przeleciała nad nim. Po kilku chwilach odleciał – pozostawiając za sobą zamkniętą kopułę, z nadzieją, że zapewni podtrzymywanie życia – i skierował się w stronę Jedności.

Promienie słońca otoczyły kopułę, co było spełnieniem ostatniego życzenia Pomocnika, który dosłownie stał się murem osłaniającym Promieniowców przed zniszczeniem. Zellion nie mógł zrobić dla nich nic więcej, nie bezpośrednio, ale wciąż go potrzebowali. Nie po to, by ich wybawił, ale by zrobił coś, co było mu znacznie bliższe.

Zabijał.



Elegia pomagała, kiedy Zwęgleni ciągnęli broń na miejsce. Duży karabin, zabrany z jednego ze statków Promieniowców, by inżynierowie Popielnego Króla mogli go przebadać. Tymczasem umieścili wielką broń na skraju latającego miasta i kilkoro inżynierów kręciło się wokół niego, by podłączyć doń słoneczne serce.

Popielny Król warknął na nich z irytacją, kiedy podszedł do broni i odebrał urządzenie kontrolujące od pobliskiego urzędnika. Inżynierowie byli zaniepokojeni odrzutem i umieścili grubą warstwę wyściółki za bronią – którą zamocowano przy ścianie. Dzięki ich słowom Elegia zaczęła mieć nadzieję, że Popielny Król zostanie wyrzucony za burtę, kiedy karabin się zachwieje. Może zostanie pod nim zmiażdżony, co byłoby zabawne.

Niestety, broń strzelała bez problemów – i posłała kulę świecącej energii w stronę odległej kopuły. Pocisk odbił się od niej, ale udowodnił, że system działa. Popielny Król kazał im przesunąć broń, by celowała w stronę zbliżającego się statku Zelliona.

Elegia poczuła falę ekscytacji. Miała nadzieję na coś takiego.

Posłała szeroki uśmiech Rebeke, którą przytrzymał pobliski Zwęglony. Rebeke wyglądała na wstrząśniętą. Czy ona również uwierzyła w udawanie Elegii? To podekscytowało ją jeszcze bardziej.

Następny etap będzie jeszcze lepszą zabawą. Zanim Popielny Król zdołał wystrzelić w Zelliona, Elegia zaatakowała.

Nie jego, innych Zwęglonych.

Zaczęła od tego, który przytrzymał Rebeke. Wysunęła odłamek słonecznego serca zza pasa, skoczyła i przycisnęła go do popielnego serca pobliskiego Zwęglonego, a później wypowiedziała inkantację Zelliona. Zwęglony natychmiast puścił Rebeke, a blask jego popielnego serca pojaśniał. Zatoczył się do tyłu i sapał, jego więź z Popielnym Królem została zerwana.

Elegia odciągnęła Rebeke, kiedy ten Zwęglony – który nagle mógł robić, cokolwiek zechciał – wybrał kolejnego Zwęglonego w szeregu i natychmiast zaatakował. Elegia uśmiechnęła się szerzej i uwolniła kolejną Zwęgloną, po czym odskoczyła, kiedy kobieta wpadła w szal i zaczęła młócić dookoła swoją pałką.

Elegia zdążyła uwolnić jeszcze jednego, zanim Popielny Król zorientował się, co robi.

– Ohydna zdrada! – wykrzyknął, odpychając na bok uwolnionego Zwęglonego, który próbował go zaatakować. – Co to ma być? Jak to...

Następnie znów skupił się na statku Zelliona. Przeklinając, wystrzelił – ale wahał się wystarczająco długo. Pociski omijały *Ścigającego świt*, który leciał ze stałą prędkością w stronę Jedności. Zdziwiona, pomyślała, co ten stateczek przetrwał.

– Zabić ją! – krzyknął, wskazując Elegię.

Troje pozostałych Zwęglonych rzuciło się na nią, ale ta trójka, którą uwolnił, wywołała chaos, atakując urzędników i zebranych mieszkańców. Popielny Król musiał wycofać dwoje Zwęglonych, którzy atakowali Elegię, by chronić samego siebie.

Inni przybiegli na miejsce i wkrótce walczyła chwalebnie przeciwko czwórce przeciwników. W chaosie straciła z oczu Rebeke i broniąc się, została zepchnięta w stronę skraju miasta.

Radziła sobie... nieźle. Pozostali mieli w sobie zjadłość, którą rozumiała, ale ona nauczyła się myśleć i dobrze jej to posłużyło. Wycofała się strategicznie, dzięki czemu między nią a pozostałymi znalazł się duży karabin. Kiedy oni omijali go niezgrabnie, wskoczyła nań, przeszła po nim i zeskoczyła, dzięki czemu mogła przez chwilę walczyć tylko z jednym Zwęglonym.

Złamała pałką jego nogę i sięgnęła po fragment popielnego serca, kiedy zza jej pleców dobiegł głos.

– Możesz myśleć samodzielnie? – spytał Popielny Król. – Pamiętasz? Boli cię, jeśli słyszysz to? Rebeke krzyknęła.

Elegia odwróciła się i zobaczyła Rebeke w jego uścisku – jego odkrytą dłoń na jej szyi, wysysającą jej ciepło. Co dziwne, ten widok zabolał Elegię – i wzbudził jej złość. Rebeke była... kimś, kogo należało chronić. Elegia zawyła, ale wtedy została zaatakowana od tyłu przez jedno z pozostałych Zwęglonych, a jej odłamek słonecznego serca wyslizgnął się z jej palców i poleciał po pokładzie.

– Tak, to cię boli, prawda? – powiedział Popielny Król. – Interesujące. Cóż, może zaboli cię jeszcze bardziej, kiedy się dowiesz, co zamierzam z nią zrobić. Uczynię z niej jedną z was, odbiorę jej umysł i duszę, i zastąpię je oddaniem mnie i tylko mnie. Kiedy spotkasz ją następnym razem, spróbuje cię zabić. Czy to boli, Elegio?

Elegia zawyła z frustracji, tracąc panowanie nad sobą, i rzuciła się na Zwęglonego, który ją przycisnął. Później pojawił się kolejny i uderzył ją pałką w głowę. Wytrzymała ból, skupiając uwagę na Rebeke – którą Popielny Król wypuścił i pchnął w ramiona urzędnika. Rebeke osunęła się, bo utraciła większość ciepła.

Kolejny urzędnik szepnął coś z naciskiem do Popielnego Króla, który spojrział na zbliżającego się Zelliona.

– Musimy wrócić do starego planu poradzenia sobie z nim – stwierdził Popielny Król. – Wciąż jest gotowe?

– Tak, panie.

– Dobrze. Wiara, idź do centrum dowodzenia i zablokuj miasto. Żaden statek nie może odlecieć... nie chcę, żeby on mi się wymknął. Reszta za mną.

Elegia zrzuciła Zwęglonego, który ją przytrzymał, po czym złapała palkę, kiedy kolejny próbował uderzyć ją w głowę. Nawet kopnęła w nogę trzeciego, który przybył na pomoc. Ale zobaczyła przynajmniej tuzin innych biegnących ulicą w ich stronę, przywołanych wołą swojego pana.

Odszedł energicznym krokiem, w otoczeniu urzędników z bieli, ciągnących osłabioną Rebeke.

Zostawili Elegię na śmierć. Ale nie wiedzieli. Umiała teraz planować. Zaczęła się przejmować. Nie zamierzała walczyć aż do śmierci. Dlatego wyrwała się z uścisku tych, którzy ją atakowali.

I uciekła.

Biegła ze wszystkich sił – ciała i woli. Z dala od Zwęglonych. Za jej plecami zawyli z frustracji. Choć częściowo pragnęła się z nimi zewrzeć, walczyć i szarpać i uderzać i zabijać, uciekła. Dalej wzdłuż skraju miasta, aż udało jej się podskoczyć i złapać za krawędź dachu jednego z mniejszych budynków. Jakaś przestraszona kobieta zamknęła okno, kiedy Elegia dotarła na dach, po czym odwróciła się i przeskoczyła nad ulicą na następny statek.

Poniżej Zwęgleni gramolili się, próbując do niej dotrzeć. Ale ponieważ nie współpracowali, utrudniali sobie zadanie. Elegia wróciła tam, skąd przybyła, przeskakując z dachu na dach, aż znalazła się w miejscu, z którego wyruszyła. Tam zeskokczyła i podniosła z ziemi odłamek słonecznego serca. A później przebiegła przez dwie ulice, by dotrzeć do miejsca, na które zwróciła uwagę wcześniej – otwarty fragment stalowego pokładu, bez żadnych budynków w pobliżu.

Zwęgleni zbliżający się ze wszystkich stron przyparli ją do krawędzi. Wycofała się na sam skraj i warczała cicho, piorunując ich wzrokiem. A później miasto zatrzęsło się, kiedy coś uderzyło w nie od spodu. Po chwili z boku wyskoczyła postać – okryta tłącym się pancerzem, ciągnąca za sobą dym. Wylądował przed nią, spod jego metalowych stóp poleciały iskry. A później wyprostował się, jeszcze bardziej imponujący w zbroi niż bez niej.

– Wszystko w porządku? – spytał. Jego głos jakimś cudem wydobywał się z pancerza.

Spojrzął na nią i szczelina z przodu zapłonęła głębokim czerwono-pomarańczowym blaskiem, w kolorze rozpalonego węgla – albo słonecznego serca. Zbroja robiła wrażenie jednocześnie archaicznej i nowoczesnej. Była gładka, bez szczelin w miejscach złączenia. Jednocześnie jednak kojarzyła się z innymi czasami, kiedy żołnierze wyruszyli na wojnę tak osłonięci.

– Tak. – Dyszała ciężko. – Planowałam. Widziałam, jak lecis w stronę tego miejsca. Planowałam, Zellionie.

– Dobrze.

– Zabrali Rebeke w tamtą stronę. – Wskazała za zgromadzonych Zwęglonych, którzy wycofali się, kiedy pojawił się mężczyzna.

- Był z nimi Popielny Król?
- Tak.
- To w takim razie ja też tam idę.
- Masz swoją broń?
- Nie. W tej chwili utrzymuje mieszkańców Promienia przy życiu... a przywołanie jej oznaczałoby dla nich natychmiastową śmierć.
- To oboje nie jesteście uzbrojeni.
- Tak bym nie powiedział – stwierdził, kiedy Zwęgloni zaczęli się zbliżać. – Zakładam, że żadne z was nie widziało wcześniej Panczerza Odprysku w działaniu. Cofnij się i ciesz tym, co nadejdzie. Ja zrobię nam przejście.

Ruszył naprzód przy akompaniamencie brzęku panczerza o pokład, wyszedł na spotkanie pierwszemu Zwęglonemu i zadał mu potężny cios pięścią. Zwęglony – przyzwyczajony do znośzenia uderzeń – nawet nie próbował się uchylić. Cios zatem osiągnął cel i wyrzucił Zwęglonego jak lalkę ponad pobliskim statkami.

Obrócił się i złapał kolejną, rzucając nią w stronę kilku innych. Poruszał się jak niszczycielska maszyna, wykorzystując Zwęglonych jako broń przeciwko ich towarzyszom. W niewiarygodnej sekwencji zniszczenia rzucał nimi, deptał ich, łamał ich.

Jednakże w przeciwieństwie do wcześniejszych okazji, Popielnego Króla tu nie było, więc nie mógł zostać zastraszony. Dlatego ciągle nadchodzili. Elegia patrzyła z podziwem, ale po chwili dostrzegła pęknięcia pojawiające się w panczerzu Zelliona. Był straszliwą mocą, silną jak maszyna, ale nie mógł powstrzymać ich wszystkich. Od czasu do czasu trafiali go pałkami albo maczetami – a te ciosy pozostawiały pęknięcia w zbroi, jakby była ze szkła.

Otrząsnąwszy się z oszołomienia, Elegia podbiegła i zaczęła oczyszczać popielne serca Zwęglonych, jednego po drugim. Uwolnieni, próbowali ją zabić. Ale odskakiwała, pozostawiając ich, by atakowali innych Zwęglonych, co jeszcze pogłębiło chaos.

Pod wpływem kolejnego ciosu część tego dziwnego panczerza rozpadła się w wybuchu światła, rozrzucając dookoła iskry i kawałki płonącego metalu. Był to jeden z naramienników, ale Zellion wciąż walczył, łamał kości i rozrzucał Zwęglonych, aż – w końcu – na ulicy zapanował spokój. Nie cisza – nie, rozlegało się zbyt wiele jęków i krzyków sfrustrowanych, rannych Zwęglonych. Ale dopływ atakujących został wyczerpany, jak karabin, w którym skończyła się energia.

Zellion osunął się do przodu i słyszała, jak oddycha pod hełmem. A później jego panczerz zaczął się rozpadać, rozwiewać jak dym, aż po chwili był całkiem odsłonięty. Mężczyzna wstał z trudem i podniósł porzuconą maczetę.

- Możesz sprowadzić go z powrotem? – Elegia podeszła do niego po pokładzie śliskim od krwi.

- Nie wiem. Na pewno nie wkrótce. Ja... nie jestem pewien, jak wygląda związek między mną a moim panczerzem. Ale dobrze się czułem, mając go znowu na sobie. – Rozejrzał się, oceniając zniszczenia, do jakich doprowadził. – Biedacy. Zabrani i zmuszeni do tego.

- Cieszyli się tym – obiecała. – Dałeś im walkę, jakiej nigdy nie znali. Poza tym niektórzy uciekli. – Wskazała tych, których uwolniła i którzy ruszyli bocznymi uliczkami, szukając walki ze zwykłymi mieszkańcami miasta.

Może... nie powinna się cieszyć z tego powodu. Tak, jego zmarszczone czoło świadczyło o tym, że być może... to nie było nic dobrego.

- Musimy znaleźć Popielnego Króla - powiedział.

- Wiem, dokąd zabiorą Rebeke. On chce ją zmienić w Zwęglonego. Ja narodziłam się w tym właśnie miejsku.

Zellion pokiwał głową i podążył za nią przez miasto, w którym zapanowała cisza, kiedy ludzie się ukrywali. W pobliżu centrum Jedności znajdował się ich Relikwiarz, w którym trzymano Chór. A obok niego Sala Spalenia, gdzie Popielny Król tworzył swoich Zwęglonych.

Razem wpadli na otwartą przestrzeń otaczającą te dwa budynki. I zobaczyli Popielnego Króla. Stał po prawej, w połowie szerokiej ulicy, z rękami na biodrach. Czekał.

- Zajmę się nim - powiedział Zellion, unosząc maczetę. - Ty idź ratować siostrę.

- Chcę walczyć - warknęła.

- Wiem. Ale czy to właśnie musisz zrobić?

- To coś innego?

- Tak. - Skinął na Popielnego Króla, który przywołał go machnięciem ręki. - On coś planuje. Pułapkę. Przechytrzysz go?

- Nie - przyznała. - Ale mogę się przebić przez jego pułapkę, cokolwiek to jest! Mogę go zabić.

- Możesz, Elegio? - Spojrzał jej w oczy. - A powinnaś? - Położył dłoń na jej ramieniu. - W tej chwili musisz zrezygnować z tej walki i ocalić siostrę. Tego potrzebują twoi rodacy. To droga, którą musisz podążać.

Nie czuła jego słów. Ale... i tak w nie uwierzyła. Pokiwała głową.

- Idź - powiedział. - Kiedy uratujesz Rebeke, przekaż jej coś ode mnie. Istnieje sposób ładowania słonecznych serc na nowo. Jeśli wprowadzicie trochę ciepła do pustego i zostawicie je na słońcu, kiedy wrócicie, będzie odnowione. Czasy ofiar się skończyły. Promieniowcy wiedzą, ale chcą, żeby jak najwięcej ludzi usłyszało. Zaslужują na tę prawdę.

- Zrobię to.

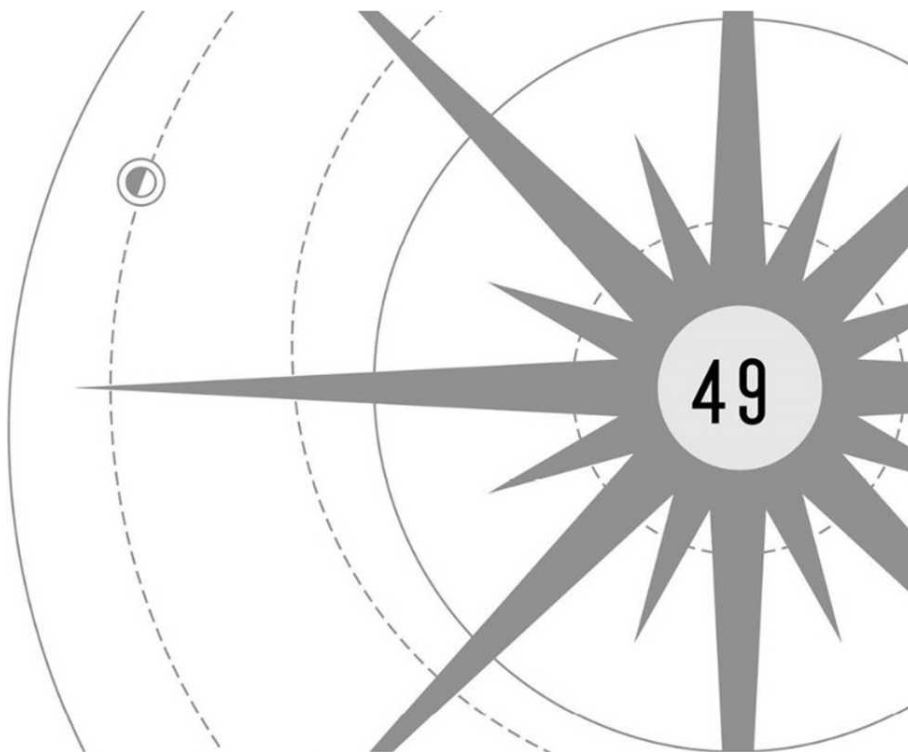
- Ach, Elegio? Dziękuję.

- Za co?

- Że byłaś kimś godnym, by walczyć u jego boku. - Odwrócił się w stronę Popielnego Króla. - Sądzę, że to pomogło mi przypomnieć sobie, którą drogą powinienem podążać.

Z tymi słowami rozdzielili się, każde w stronę swojego przeznaczenia.





Jak myślisz, Pom? – powiedział Zellion, idąc spokojnie w stronę Popielnego Króla. – Widzisz snajperów?

Żadnej odpowiedzi. Potępienie. Kiedy sobie przypomniał, znowu bolało.

Zatrzymał się w odległości krzyku od Popielnego Króla. Bez pancerza czuł się dziwnie odsłonięty. Odzyskał go na tak krótki czas i już na nim polegał?

– Jestem tu, by dać ci tę walkę, którą mi zaproponowałeś! – zawołał do mężczyzny. – Wciąż jej chcesz?

– W rzeczy samej! – odrzyknął Popielny Król. – Walka wręcz. Ty i ja. Żadnego wtrącania się innych. Czy to nie jest tradycja twojego ludu? Walka honorowa, jeden na jednego?

Zasadniczo był to alethyjski zwyczaj, nie azirski. Jego rodacy woleli rozwiązywać konflikty długimi procesami sądowymi i kwiecistymi przemowami. Ale to rozróżnienie nie miało znaczenia, bo wątpił, by Popielny Król zamierzał walczyć uczciwie – niezależnie od tego, co mówił.

Dlatego Zellion był przygotowany na snajperów nawet pod nieobecność Pomocnika, który by ich zauważył. Uskoczył w stronę ściany budynku, kiedy za jego plecami w ziemię uderzyły pociski. Ale nie były Napelnione. Przerzucili się na zwykłe śrutówki? Dlaczego?

Zbliżył się do ściany, którą zamierzał wykorzystać jako osłonę, ale przez pobliskie drzwi i okna wypadło kilkunastu oficerów w białych płaszczach. Zaczęli do niego strzelać śruciną, która bolała, ale nie przebijała skóry. Był poobijany i osłabiony, kiedy otoczyli go Zwęgleni

wymachujący pałkami. Zellion szarpał się, napierał, walczył – aż jeden z nich zacisnął coś na jego nadgarstku.

Żyły zalał mu łód. Jego ciepło zostało wyssane. Zachwiał się, ale nie upadł – bo bransoleta po chwili się wyłączyła. Nie chcieli pozbawić go przytomności, jedynie osłabić. Zamocowali coś innego na jego nodze. Zwęgleni się wycofali, a oficerowie zniknęli.

Zellion zatoczył się, z trudem trzymał się na nogach. I wtedy w mieście rozległ się głos.

– Mieszkańcy Jedności! – Głos Popielnego Króla. Nagrany wcześniej? – Słyszeliście o tym człowieku spoza świata, tym, którego niektórzy zwą Słonecznym Mężem. Jest tutaj. Daję wam szansę, byście go zobaczyli. Zobaczyli jego upadek.

Popielny Król podszedł wolno do Zelliona. Okolicę otaczały kamery monitoringu, śledzące każdy ruch Popielnego Króla, filmujące, kiedy dramatycznie rozpiął bransoletę na nadgarstku Zelliona i unosił ją, pokazując wszystkim, że uwolnił wroga. Odrzucił bransoletę na bok, a później kopnął leżącą na ziemi maczetę Zelliona.

– A teraz... – Popielny Król unosił pięści – ...ten pojedynek honorowy. Ty i ja. Zacniemy?

Zellion otrząsnął się, próbując odzyskać siły. Może to rzeczywiście będzie uczciwe. Unosił ręce, ale odkrył, że poruszają się powoli. Właściwie całe jego ciało wydawało się ciężkie, jakby przywiązano do niego odważniki. Ledwie udało mu się unieść pięści.

– Co ty mi zrobiłeś? – warknął.

– Prezent od przyjaciół z ukrytego statku. Zamrażające bransolety są niezłe, ale zwykle pozbawiają moich poddanych przytomności, a czasami chcę, żeby byli świadomi. Jedynie... w odrobinę niekorzystnej sytuacji.

– Odrobinę? – Zellion warknął i zmienił postawę, choć nawet to wymagało wysiłku. – To jedno z tych scadriańskich urządzeń obciążających, prawda? To, co założyłeś mi na kostkę?

Wiedział, jak ludzie noszą je na planetach z niskim ciężeniem, żeby poruszać się bardziej naturalnie. Tu jednak zostało maksymalnie podkreślone – przez co jego ciało myślało, że znajduje się w miejscu, gdzie grawitacja jest trzy do czterech razy większa od standardowej.

Popielny Król uśmiechnął się i uderzył Zelliona pięścią w twarz. Próbował unieść ręce, by się osłonić, ale był zbyt powolny, a później przyjął cios prosto w brzuch. Zatoczył się do tyłu.

– Tchórz – warknął Zellion.

– W zwycięstwie nie ma tchórzostwa. – Popielny Król zrobił krok do przodu.

Zellionowi udało się trafić mężczyznę w twarz i rozciąć mu wargę. Która od razu się uzdrowiła. Na burze, jak bardzo był Napełniony?

Zellion znów zaatakował, ale zbyt powoli, zbyt niemrawo. Popielny Król uderzył go w twarz, obalając go na ziemię. Zellion dostał kopniaka w brzuch i ledwie udało mu się odtoczyć przed następnym.

Podniósł się, niezgrabnie, z wysiłkiem.

– To jest władza – szepnęła Popielny Król i podszedł bliżej, zdejmując rękawice, by odsłonić nagię pięści. W zwykłej walce to był zły pomysł, bo groził większym uszkodzeniem własnych rąk niż wroga, ale Napełnienie Popielnego Króla uzdrowiłoby te powierzchowne rany. – To znaczy być silnym.

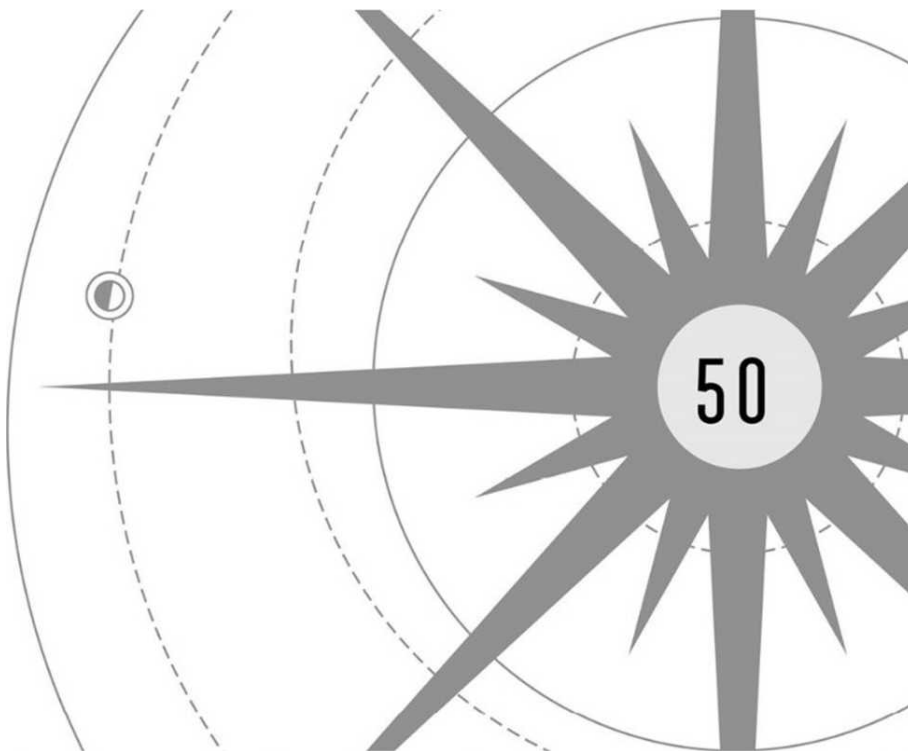
– W takim razie dlaczego ukrywasz przed swoimi poddanymi, co robisz? – syknął Zellion. – Chcesz móc mnie pokonać, ale nie chcesz, żeby wiedzieli jak? To nie siła. To oszustwo.

- Skazany zawsze dostrzega niesprawiedliwość w świecie wokół niego. - Popielny Król znów go uderzył.

Potępienie. To zabołało. Krew popłynęła z nosa Zelliona, kiedy się zatoczył. Nie miał już Pomocnika, by obliczał jego Napętnienie, ale czuł, że słabnie, drży. Jego wytrzymałość się wyczerpywała, siła zaczynała zawodzić.

- W rzeczywistości ja jedynie wykorzystuję swoje przewagi, tak jak ty wykorzystujesz swoje. - Popielny Król uderzył ze śmiechem Zelliona w brzuch. - Dalej. Zróbmy z tego pokaz, Słoneczny. Ludzie będą chcieli zobaczyć, jak umierasz z klasą!

Nacierał nieubłaganie, zmuszając Zelliona do cofania się. Po raz kolejny prosto w stronę wschodzącego słońca.



Elegia pamiętała to miejsce. Niczym nieozdobione metalowe stopnie prowadzące na niższy poziom statku będącego sercem Jedności. Pamiętała odgłos swoich kroków na tym metalu – odbijał się echem jak odgłosy odległego działania jakiejś straszliwej maszyny.

Tym... tym właśnie się stała. Maszyną. Rzeczą, nie osobą. Pozbawioną wyboru, osobowości i duszy. Wszystko rzekomo zostało wypalone, pozostawiając Popielnemu Królowi doskonałą zabójczynię.

Ale pamiętała. Stare wspomnienia. Nie tylko to, jak wyprowadzano ją z tego miejsca jako nowo narodzoną Zwęgloną. Ale wcześniej. Jedynie... te dźwięki. Kroki. Pamiętała, jak schodziła w dół. Przerazona. I pamiętała... światło.

Na końcu schodów natrafiła na drzwi, niedomknięte przez ludzi, którzy weszli pospiesznie, ciągnąc za sobą Rebeke. Jak oni się czuli? Wiedząc, że jakiś potwór spoza świata w dziwnym pancerzu atakował ich miasto – Zwęgleni wariowali – a jednak dostali rozkaz stracenia jeńca.

Elegia otworzyła drzwi do końca i światło było takie, jak pamiętała. Setki słonecznych serc w zagłębieniach w ścianach. Rezerwa miasta. Mauzoleum. Pełne dusz zabranych przez słońce. I z jednym strażnikiem Zwęglonym.

Mężczyzna warknął i rzucił się na nią w chwili, kiedy weszła. Elegia zablokowała cios pałki przedramieniem i spojrzała mu w oczy. Choć raz nie czuła się rozgorączkowana. Czuła się udręczona. Pamiętała te światła, bycie wleczoną tym korytarzem, ze świadomością, że wszystko,

czym była – wszyscy, których kochała, wszystko, co osiągnęła – zostanie wkrótce z niej wypalone. Jak zaraza, którą miała wytluc nadchodząca gorączka.

Odrzuciła Zwęglonego w bok, aż zatrzęsła się ściana i zagrzecotały słoneczne serca. Spróbował się podnieść, ale powaliła go szybkim ciosem pięścią w gardło, aż zachłysnął się własną krwią. Drugi Zwęglony wpadł przez drzwi, ale ona ponownie czuła spokój, kiedy zrobiła krok w bok, złapała go za ramię i wykorzystwała jego własny impet, by uderzyć nim o ścianę.

Osunął się.

Pamiętała. Ale tylko ból i przerażenie. Nie pamiętała, co kochała, o czym wiedziała, w co wierzyła. Pamiętała jedynie świadomość, że to utraci. Wydawało się to gorszym okrucieństwem, pozostać z paniką i cierpieniem, ale nie pierwotnymi fragmentami jej osoby, które wzbudziły takie uczucia. Ruszyła dalej korytarzem, którego ściany wyłożono duszami.

Przeszła nad ciałem pierwszego Zwęglonego i wpadła do pomieszczenia, w którym tworzono nowych Zwęglonych. Przy ścianie czekał szereg przerażonych ludzi. Nowi poddani do przeobrażenia w Zwęglonych, może do walki z tymi, których uwolniła. Przygotowywało ich tylko troje urzędników, którzy w pośpiechu pracowali nieuważnie. Na przykład przypięli i unieruchomili Rebeke, nie rozebrawszy jej wcześniej.

To znaczyło, że kiedy włączyli maszynę i włócznia zakończona płonącym popielnym sercem opadła, by dotknąć piersi Rebeki, jej koszula się zapaliła. Elegia pamiętała krzyk, kiedy to samo stało się z nią.

Rebeke spojrzała w bok, w stronę Elegii, oczyma wybaluszonymi z przerażenia – i wtedy ich blask zaczął gasnąć.

Nie.

Nie, nie to.

Nie ona.

Elegia znów krzyknęła, echo krzyku z przeszłości, i obie chwile stały się jedną. Skoczyła przez pomieszczenie, chwyciła maszynę i wyrwała włócznię. Szarpnęła więzy Rebeke, uwalniając ją, i ściągnęła młodszą kobietę ze stołu.

Ale popielne serce się zagnieździło. Skóra Rebeke nabrała szarego odcienia, ciemniejąc pod wpływem płomieni – które się rozjarzyły.

Nie, nie, nie, nie!

Elegia zaczęła obmacywać pas. Gdzie wsunęła ten odłamek słonecznego serca? Rebeke drżała, jej spojrzenie się rozmyło, z jej warg dobyło się wycie.

Elegia to czuła. Ten straszliwy ogień w jej wnętrzu. Pochłaniająca wszystko chwila rozciągała się jak podgrzany metal, gdy miłości znikwały, nadzieje wyparowywały, wspomnienia obracały się w popiół...

Elegia wykrzyknęła coś gardłowego – nieufornowane słowo – przyciągnęła siostrę do siebie i poczuła ciepło Rebeke blisko pustki w piersi. Gdzie zniszczono jej tożsamość. Ściskając Rebeke, wyszeptwała słowa:

– Odważna na progu śmierci, oddaj mojemu popielnemu sercu swoje ciepło, byś mogła pamiętać i pobłogosławić tych, którzy wciąż żyją.

Ich popielne serca nie mogły się zetknąć, bo to należące do Elegii tak bardzo zagłębiło się w jej wnętrzu. I tak coś poczuła, gwałtowne ciepło przechodzące do niej od Rebeke. Poprzez ich

skórę, z jednego naczynia do drugiego.

To ciepło wypaliło ostatnie wspomnienia Elegii – głównie bólu, ale też tego pomieszczenia, tego echa kroków na metalu. Zginęły ostatnie pozostałości jej starej tożsamości. Ale kiedy się cofnęła, odkryła, że popielne serce przestało się zagłębiać w piersi Rebeke.

Miał tego osadziło się w niej jak klejnot w biżuterii – pozostawiając wokół siebie szarą skórę, która sięgała aż do szyi. Jednak jej piersi pozostały całe, a tors nie zapadł się ani nie wypalił.

Rebeke zamrugnęła, odetchnęła i skupiła wzrok na Elegii.

– E... Elegia?

– Tak. – Elegia z zaskoczeniem poczuła łyżę na policzkach. Co to było za uczucie? Niemal równie wszechogarniające jak pragnienie zabijania.

– Powstrzymałaś to. Nadal jestem sobą. Pamiętam... Elegio! Uratowałaś mnie. Obejmujesz mnie, patrzysz na mnie jak... Pamiętasz mnie, prawda?

– Tak – skłamała Elegia. Bo to była właściwa rzecz do powiedzenia, właściwa dla niej. – Ja... nie pamiętam, ale czuję. Pewne rzeczy. Z przeszłości.

– Reszta też może wrócić!

Nie wróci. Elegia była tego pewna. Właśnie oddała te resztki, które pozostały. Ale udało jej się powstrzymać Rebeke przed zniknięciem. To wystarczyło. Pomogła siostrze usiąść, a później spojrzęła na urzędników, którzy przycisnęli się do ścian. Jeden sięgał po pistolet na błacie. Elegia spojrzęła mu w oczy i pokręciła głową.

Cofnął się, unosząc rękę. Ale na korytarzu byli jeszcze dwaj Zwęgleni. Zmiażdżyła gardło jednego z nich, ale drugi był nadal niebezpieczny. Kiedy wyjrzała, obaj stali na korytarzu na zewnątrz i wpatrywali się w przestrzeń. Jakby oszołomieni.

– Elegio – odezwała się Rebeke. – Czuję ich. Zwęglonych. Dlaczego ich czuję?

– Popielne serca nas łączą, przez Popielnego Króla. W twoim przypadku proces nie został dokończony, ale może uzyskałaś część tej więzi. Słyszysz jego myśli?

– Nie. Ale, Elegio, jak Popielny Król kontroluje pozostałych?

– Przez swoje popielne serce. Takie... – Elegia odwróciła się w stronę Rebeke i popielnego serca zatopionego w jej skórze. – Takie, które nie pochłonęło go tak, jak nasze zrobiły to z nami.

– Uklękła przejęta. – Możesz ich kontrolować?

Rebeke zmarszczyła czoło.

– Ja... próbuję.

Zwęgleni w korytarzu spojrzeli w jej stronę i przechyliili głowy. Ale się nie poruszyli.

– Próbuję sprawić, by ci dwaj weszli do pomieszczenia i usiedli – wyjaśniła Rebeke. – Ale coś mnie blokuje.

– Popielny Król.

Rebeke pokiwała głową.

– Jest silniejszy ode mnie, Elegio. Ale... myślę, że inni Zwęgleni będą mnie ignorować... a przynajmniej mnie nie zaatakują. Co powinniśmy zrobić?

– Ja umiem tylko niszczyć. Trudne decyzje musisz podejmować ty.

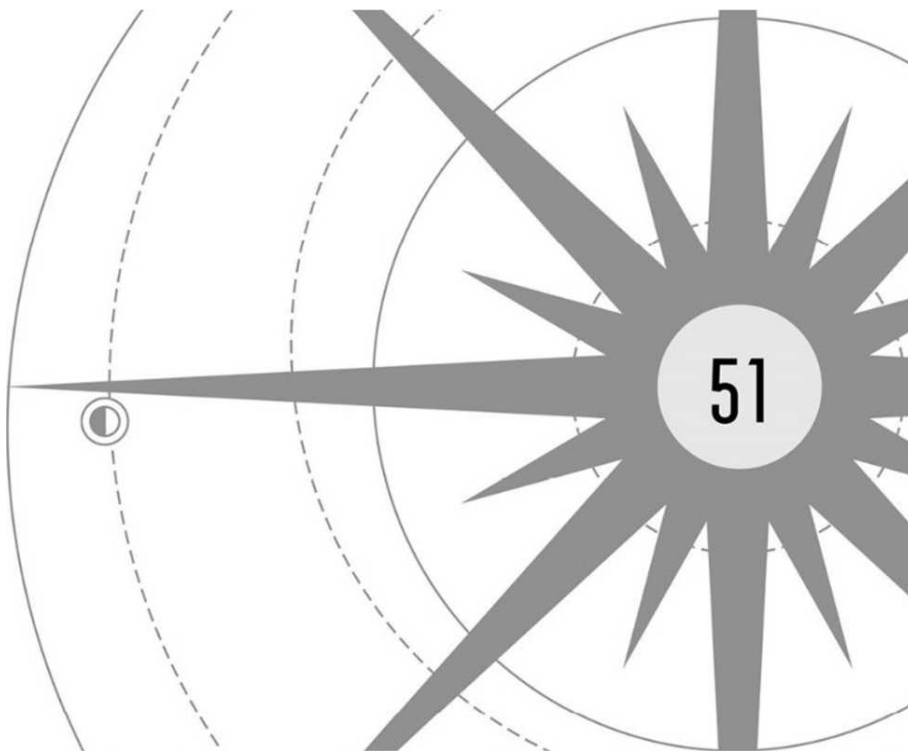
Na te słowa Rebeke się skrzywiła, wyglądała na przytłoczoną.

– Rebeke – powiedziała Elegia. – Zellion walczy z Popielnym Królem. Zanim się rozdzieliliśmy, polecił mi, żebym coś ci przekazała. Powiedział... że istnieje sposób na naładowanie słó-

necznych serc na nowo, więc ludzie nie będą musieli umierać, żeby stworzyć nowe. Promieniowcy o tym wiedzą. Powiedział, że im więcej ludzi się dowie, tym lepiej.

Rebeke jeszcze bardziej zmarszczyła czoło. A później odetchnęła głęboko i z pomocą Elegii się podniosła.

- Musimy dostać się do centrum dowodzenia Jedności.



Zellion przetoczył się po pokładzie Jedności, twarz miał zakrwawioną, żebra obolałe. Popielny Król dręczył go i bił całą drogę aż do punktu, z którego zaczął – po śladach rzezi w miejscu, gdzie zabił wielu Zwęglonych, aż do krawędzi miasta.

Zmusił się, by znów się podnieść. Ale, na burze, nie udało mu się zadać drugiego ciosu. Nie mógł się bronić. Jak miał pokonać tego mężczyźnę, skoro nie mógł się...

Nie mógł się bronić?

Uderzył go absurd całej sytuacji i zaczął się śmiać – choć sprawiło to, że jego pierś przeszył ból. Popielny Król zatrzymał się i zmarszczył czoło.

– Nie zwracaj na mnie uwagi. – Zellion z wysiłkiem podniósł rękę, by otrzeć oczy... ale nie udało mu się i pozwolił, by opadła bezwładnie u boku. – Właśnie coś sobie uświadomiłem. Przez ten cały czas szkoliłem się, żeby cię pokonać.

– Tak wygląda „pokonanie mnie”? – spytał Popielny Król, obejmując ich gestem.

Zellion wzruszył ramionami. Jego Udręka, to głupie przekleństwo... Nie mogło przygotowywać go do tego, prawda?

Odrzucił tę myśl jako absurdalną. Udręka nie była żywa, nie planowała. To czysty przypadek, że znalazł się w tym miejscu po tym, jak był zmuszony wielokrotnie stawiać czoło wrogom, choć nie mógł walczyć.

Na burze. Musiał wydostać się z tej planety albo wszystko zacznie wyglądać jako część jakiegoś niejasnego, boskiego planu. Skinął Popielnemu Królowi, który znów podszedł, by uderzyć

go pięścią. Tym razem Zellion nie spróbował zablokować ciosu ani się przed nim uchylić. Z chrząknięciem przyjął uderzenie, a później złapał Popielnego Króla za ubranie.

- Zapasy. - Mężczyzna próbował oderwać palce Zelliona. - Sztuka tchórza.

- Znam kilku ludzi, którzy poczuliby się tym poważnie urażeni.

Zellion ścisnął mocniej. Jego ciało było bardzo obciążone, ale siła palców pozostała niezmienną, więc udało mu się nie puścić ubrania tyrana, kiedy mężczyzna zawirował, próbując się uwolnić. W końcu Popielny Król przycisnął odsoniętą dłoń do twarzy Zelliona i coś wymamrotał.

Ciepło zaczęło płynąć od Zelliona do Popielnego Króla, który - choć celowo przeprowadził ten manewr - robił wrażenie wstrząśniętego.

- Chwileczkę. Dlaczego to teraz działa?

- Bo z jakiegoś powodu ludzie wciąż we mnie wierzą - powiedział Zellion. - Dziękuję, że nas odwróciłeś.

Popielny Król spojrział mu w oczy, a wtedy Zellion napał na niego i pozwolił, by jego ciężar przewrócił ich obu do tyłu. Nad niczym nie panował. Po prostu spadł, wykorzystując zasadniczo ten sam manewr, co z Elegią na arenie w czasie ich pierwszego zwania.

Teraz zadziało równie dobrze jak wtedy. Popielny Król mógł się szarpać, ile chciał, ale zmienił Zelliona w balast, cztery razy cięższy od zwykłego człowieka. Czegoś takiego nie dało się po prostu odepchnąć na bok. Impet sprawił, że zlecieli ze statku.

Krótki upadek, a później uderzyli w miękką ziemię.

Zellion zobaczył ból. Mignął mu przez pole widzenia, pełen jaskrawych, krzykliwych kolorów, kiedy na jego połamane ciało spadł kolejny straszliwy cios. Na szczęście Popielny Król złagodził jego upadek.

- Idiota - powiedział mężczyzna, odpychając Zelliona. - Jak myślisz, co osiągnąłeś? Ubłociłeś mnie?

Zellion nie miał tchu, by odpowiedzieć. Miast tego - choć był to ogromny wysiłek - wstał. I uniósł pięści.

- Wiesz co, spodziewałem się lepszego pokazu - powiedział Popielny Król. Znów uderzył Zelliona, posyłając go w błoto.

A on z wysiłkiem wstał.

- Powinieneś być lepszym wojownikiem. - Popielny Król podciął go i kopnął w popękane żebra.

Zellion sapnął i - powoli - wstał.

- To niemal boleśnie rozczarowujące. - Popielny Król zaatakował.

Zellion przyjął cios.

I wstał.

I miał nadzieję, że to wystarczy.

Większość miast i miasteczek na Kantyku miała centrum dowodzenia - z którego można było sterować całą wspólnotą, kiedy statki zostały połączone - ale nie wszystkie miały ograniczenia

jak Jedność. Rebeke wyjaśniła to Elegii – na Jedności ludzie nie byli wolni. Nie mogli odłączyć swoich statków bez pozwolenia.

Wejścia na mostek pilnowało pięcioro Zwęglonych... którzy po prostu pozwolili Elegii i Rebece przejść. Elegia czuła, że pozostawienie ich za plecami było niewłaściwe, i prawie ich zaatakowała, dla zasady, ale się powstrzymała. Wewnątrz pomieszczenia dowodzenia znalazły grupę mężczyzn i kobiet w białych płaszczach, zgromadzonych przed szeregiem monitorów ukazujących obrazy z kamer. Obserwowali walkę Zelliona i Popielnego Króla. Ci dwaj spadli na trawę i błoto, a kamera śledziła ich walkę w zbliżeniu.

Kiedy Elegia i Rebeke weszły, kilkoro sięgnęło po broń. Elegia ruszyła do ataku, ale Rebeke złapała ją za rękę.

– Nie możemy walczyć z nimi wszystkimi.

Elegia absolutnie mogła walczyć z nimi wszystkimi. Po prostu najpewniej by nie wygrała.

– Jesteś z Promienia – powiedział jeden z oficerów. – Jesteś siostrą... – Skupił wzrok na Elegii i pobladł. – Jej.

– Przeprowadziłam ją do was – stwierdziła Rebeke. – Żeby przemówiła i was przekonała.

Chwileczkę.

Co takiego?

– Rebeke. – Elegia wzięła młodszą kobietę za ramię i zaczęła szeptać. – Nie mogę tego zrobić.

– Mówiłaś, że sobie przypominasz – powiedziała Rebeke i uśmiechnęła się w sposób, który pewnie uważała za zachęcający. – Sięgnij głęboko. Wciąż tam jesteś, Elegio.

Na cienie.

– Nie. Nie, Rebeke. Naprawdę nie.

– To...

– Ty musisz to zrobić. Powiedz to, czego ja nie potrafię.

Rebeke odwróciła się do pozostałych, którzy przyglądali im się niepewnie – ale wciąż z bronią w gotowości.

– Nie zrobimy wam krzywdy. Nie zamierzamy was zaatakować. Chcę tylko, żebyście posłuchali. – Rebeke skinęła w stronę monitora, w który wpatrywali się wcześniej. – Człowiek spoza świata zrzucił ich na dół, poza miasto?

Przez chwilę panowała cisza, po czym jedna kobieta – siedząca przy panelu kontrolnym – pokiwała głową.

– Próbuje wam pokazać, że Popielny Król jest słaby.

Rebeke zawahała się i przechyliła głowę. Bo Zellion nie pokazywał się od najlepszej strony w tej walce. Ciągłe padał na ziemię. Co się stało z jego umiejętnościami?

– Popielny Król oszukuje, prawda? – spytała Rebeke.

Znów zapanowała cisza. Elegia prawie miała ochotę pójść drogą „walczyć z nimi wszystkimi i najpewniej zginąć”. Ta cisza była irytująca.

– Tak – przyznał w końcu inny operator. – Zwykle robi coś takiego. W ten sposób sprawia wrażenie niepowstrzymanego.

– Czasami walczy przeciwko Zwęglonym – powiedział inny. – Ale oni zawsze wcześniej zostają osłabieni.

– Myśli, że nikt nie wie – dodała kolejna. – Ale wszyscy wiemy. To przecież oczywiste.

- To wasza szansa. - Rebeke zrobiła krok do przodu. Następnie znów się cofnęła i uniosła ręce, kiedy mocniej ścisnęli broń. - Popatrzcie! Znalazł się poza statkiem, a nadchodzi wschód słońca. My musimy tylko odlecieć. Porzucić go.

- Jego Zwęgleni nas zabiją! - powiedział jeden z operatorów.

- Ci Zwęgleni, którzy nie powstrzymali nas przed wejściem tutaj? - spytała Rebeke. - Świat się zmienia. Wszystko się zmienia. Posłuchajcie. Nauczyliśmy się ładować słoneczne serca na nowo.

- Co? - Jeden z mężczyzn opuścił pistolet. - Kłamiesz.

- Nie. Koniec z ofiarami. Koniec z loteriami. Koniec z paleniem naszych rodziców. - Łzy płynęły po jej policzkach, kiedy znów zrobiła krok do przodu, tym razem nie przejmując się reakcją. - Zostawiłam matkę na słońcu. Patrzyłam, jak moja siostra zostaje porwana, a brat ginie od strzału samego Popielnego Króla. Nie poświęciliśmy dosyć?

- On jest za silny! - sprzeciwiła się jedna z kobiet.

Rebeke machnęła w stronę monitora, gdzie Popielny Król musiał raz za razem obalać Zelliona.

- Czy on wygląda na silnego?

Cisza. Tym razem jednak Elegia odkryła, że się zastanawia. Patrzyła, jak Zellion znów się podnosi. Myliła się w kwestii siły Rebeke. Czy tym razem też się myliła?

Tak.

Bo jeśli Popielny Król nie mógł złamać mężczyzny, którego osłabił i pobił do krwi, to jaką siłę mógł udawać?

Musiała się tak wiele nauczyć.

- Wiem, jak to jest czuć bezradność. Wiem, że ją czuliście, patrząc na to, co zrobiono z tym miastem, z ludźmi, których kochacie. Ukorzyliście się przed nim, bo nie mieliście innego wyjścia. Ale dziś macie wybór. Odlecieć. Zostawcie go.

Rebeke przerwała, po czym odsłoniła pozostałości koszuli, ukazując popielne serce - i spaloną skórę wokół niego.

Zapadła cisza.

- Ja jestem Słoneczna - powiedziała Rebeke. - Panuj teraz nad Zwęglonymi i przybyłam, by dać wam wolność. Proponuję to, ale nie żądam. Nie zmuszę was, bo świat się zmienia. Dziś dokonujemy wyborów. Proszę.

Broń została opuszczona.

Ludzie popatrzyli po sobie.

W końcu kobieta, która odezwała się jako pierwsza, wstała.

- Na cienie, zrobię to. - Stała przy tablicy sterowniczej z przodu pomieszczenia i nikt jej nie zatrzymał.

I tak oto Jedność porzuciła swojego króla. Pozostawiła go w błocie. A wyraz jego twarzy, sfilomowany, kiedy patrzył, jak to się dzieje, był bardzo satysfakcjonujący.

Ludzie w pomieszczeniu usiedli i wyglądali na wstrząśniętych tym, co zrobili - albo pozwolili zrobić. Ale pozostał jeden problem. Elegia wzięła Rebeke za ramię, odprowadziła ją na bok i odezwała się cicho:

- Co z Zellionem?

- Na cienie. - Rebeke odwróciła się do zebranych. - Musimy wysłać statek, żeby uratować człowieka spoza świata.

- Wysłać statek? - powtórzyło jedno z nich. - Słoneczna, miasto zostało zablokowane na rozkaz Popielnego Króla, a my nie możemy go cofnąć. Przez godzinę żaden statek nie odleci, niezależnie od okoliczności.

- Popielny Król jest paranoikiem - dodał inny. - Tylko on może go odblokować przed upływem czasu.

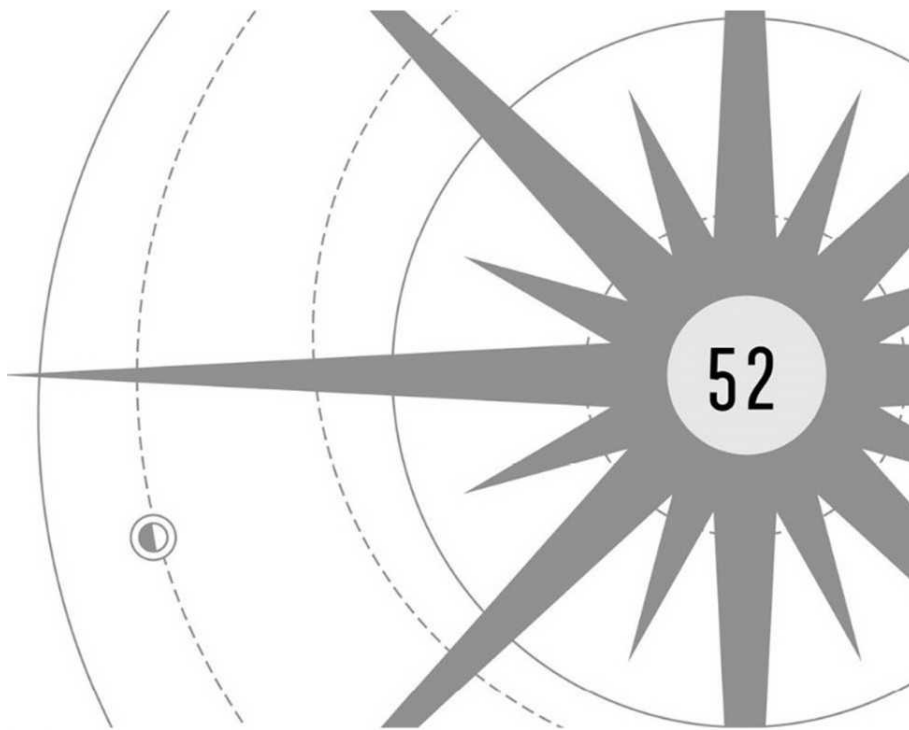
Rebeke się odwróciła.

- Musimy dostać się do statku, którym przyleciał Zellion... - Urwała, kiedy zobaczyła go w tle na monitorze. *Ścigający świt* palił się.

Dobrze im posłużył, przetrwał w wielkim wirze. Ale już nigdy nie poleci. Zwłaszcza że słońce zbliżało się nieubłaganie. Niebezpiecznie blisko dwóch walczących mężczyzn - teraz zaledwie plamek, bo miasto odlatywało z pełną prędkością.

- Żegnaj, zabójco - powiedziała Elegia, przytulając płaczącą Rebeke. - I ja również dziękuję, że mogłam walczyć razem z tobą. Nie tylko u twojego boku.





Popielny Król przez chwilę biegł za miastem, ale nawet ze swoim Napełnieniem nie mógł go dogonić. Ani prześcignąć słońca. Zellion wiedział. Próbował.

Uśmiechnął się, kiedy mężczyzna odwrócił się do niego i popatrzył oszalałym wzrokiem. Blask na horyzoncie odbijał się na jego twarzy.

- Ty... - Popielny Król podszedł do niego - ...przywołasz znów ten pancerz i mi go oddasz.

- Nie mogę - powiedział wyczerpany Zellion.

Popielny Król zawarczał, podszedł bliżej i złapał Zelliona za głowę.

- To cię zabiję.

- Sam zginiesz.

- Nie. Czytałem tę książkę. Wiem o twoim narzędziu, twojej broni. Ostrzu Odprysku? Wiem, że jeśli umrzesz, pojawi się u twojego boku. I będzie można ją wziąć. - Pokazał palcem. - Zostałeś tarczą wokół tych ludzi. Co się stanie, kiedy cię zabiję? Zniknie, prawda?

Zellion zacisnął zęby.

Tak. Gdyby umarł, jego broń pojawiłaby się u jego boku. Niezwiązana.

- Wezmę ją i ochronię siebie. - Popielny Król zaczął wysysać ciepło Zelliona.

Zelliona przeszły dogłębne zimno, jak szron rozrastający się na jego kościach. Sapnął.

- A później, kiedy miasto powróci, zobaczą, kim naprawdę jestem. Nieśmiertelny.

Takie lodowate zimno, że jego serce zadrżało.

- Obedrę ze skóry tych, którzy mnie zdradzili - szepnął Popielny Król. - Już nikt nigdy mi się nie przeciwstawi. Nie, kiedy będę się posługiwał tym pięknym mieczem człowieka spoza świa-

tów. Zjednoczę wszystkich. Jedno wspaniałe miasto rządzone przez jednego człowieka.

Zellion czuł narastający chłód, wszystko zmieniało się w lód.

A jednak...

Nie złożył przysięgi, by chronić tych ludzi.

Ale obiecał Pomocnikowi. W tej chwili ta obietnica była znacznie silniejsza. Zellion sięgnął w głąb siebie i odnalazł iskrę, która – dawno temu – skłoniła go, by wznosił się w niebo.

To nie było odkupienie, ale mogło być upamiętnieniem. Pomocnik kazał mu żyć dalej. A on to zrobi, niech to burza.

Złapał Popielnego Króla za nadgarstki i szepnął:

– Odważny na progu śmierci, oddaj mi swoje ciepło, by mogło pobłogosławić tych, którzy wciąż na nie zasługują.

– Modlitwa za zmarłych? – spytał mężczyzna ze śmiechem.

– Nie – odparł Zellion. – Za umierających.

Spojrzał mężczyźnie w oczy.

I wyciągnął z niego ciepło.

Popielny Król sapnął i próbował się wyrwać. W pobliżu pojawiły się promienie słońca i Zellion słyszał zbliżające się płomienie. Rośliny wokół nich więdły i zaczynały brązowieć.

– Przestań! – powiedział Popielny Król.

Gorąco zalewało Zelliona, kiedy jako dziecko Kantyku – ale Udręczony dziwną zdolnością karmienia się Napełnieniem – błyskawicznie czerpał moc tego mężczyzny. Popielny Król gromadził ją od tak dawna, odbierał ciepło innym nie bojąc się kary, że nagromadziła się w jego wnętrzu. Sprawiała, że jego oczy świeciły. Obciążyla jego duszę przekonaniem, że skoro mógł sobie wziąć, cokolwiek zechciał, był wielki.

– PRZESTAŃ! – krzyknął mężczyzna i wybałuszył oczy.

– Wiesz, jaki jest problem z władzą tyrana? Zawsze znajdzie się ktoś silniejszy.

Popielny Król szarpał się gorączkowo, ale jego wewnętrzny blask zgasł. Jego oczy stały się normalne, po prostu orzechowe. Popielne serce w jego piersi przygasło, a Zellion odkrył, że energia wręcz go przepelnia.

Bardzo żałował, że nie może usłyszeć, jak Pomocnik po raz ostatni informuje go o progu Napełnienia. Ale nie potrzebował tego. Osiągnął sto procent zdolności do Przeskoku, a najpewniej ją przekroczył.

– Ciesz się swoim pierwszym wschodem słońca – szepnął Zellion. – Będzie najpiękniejszym, jaki zobaczysz w życiu.

Zalało ich światło i ogień, i Zwęglony był król stanął w płomieniach, jego skóra skurczyła się i obróciła w popiół, a oczy zasyczały i pękały.

W tej właśnie chwili Zellion uruchomił Udrękę, wykorzystując ogromny zapas mocy, który przygotował dla niego Popielny Król. Przeskoczył z dala od planety, do cosmere.

I kontynuował swoją podróż.



Elegia zeskoczyła ze statku i pobiegła po ciemnej, błotnistej ziemi. Rebeke podążyła za nią z większą rezerwą, kierując niedużym latającym podestem. Jeden obrót, a już zachowywała się z godnością, można by wręcz powiedzieć, że urodziła się, by być przywódczynią.

Znalazły zagłębienie, o którym donieśli zwiadowcy. Duży otwór w ziemi, z kilkoma stopami mułu na dnie. A wewnątrz znajdowali się mieszkańcy Promienia, machający rękami z ekscytacją. Niektórzy brodzili w mazi, a dzieci umieszczono na dachach pozbawionych energii statków.

Przeżyli. Całe pół obrotu w słońcu i przeżyli. Elegia stała i uśmiechała się, ćwicząc normalne emocje – po czym wskoczyła na opadający podest Rebeke. Ubłociła siostrę, ale kogo to obchodziło? Błoto było zawsze i wszędzie.

Promieniowcy odsunęli się od silnika pod podestem, który wylądował. Znad gotującego się blocka wzniosła się chmura śmierdzącej pary. Kilka innych statków opuściło liny, po których mogli wspinać się silniejsi, ale podest był dla starszych.

Wkrótce pomogli wejść trzem kobietom. Większe Dobro, choć ubłoczone i wyczerpane, przetrwały próbę. Patrzyły na Rebeke, która znalazła sobie sukienkę z dużym dekoltem, ukazującym jej popielne serce i poblížnioną skórę.

Współczucie zrozumiała pierwsza.

– Słoneczna... Niewiasta?

– Po prostu Słoneczna – powiedziała cicho Rebeke.

– Popielny Król? – spytała Pewność.

– Martwy. Mamy nadzieję odzyskać jego słoneczne serce i za jego pomocą przez jakiś czas napędzać Jedność. To się wydaje stosowne.

– Musicie się czegoś dowiedzieć. – Kontemplacja uśmiechnęła się blade, kiedy podest uniósł się, by zabrać ich na Jedność, gdzie mogły odzyskać siły. – Istnieje sposób ponownego napełnienia słonecznych serc.

Rebeke pokiwała głową.

– On nam powiedział. Zanim... odszedł.

Trzy kobiety popatrzyły na nią. Słowo zawisło. Nie miały pewności. Mogły nigdy się tego nie dowiedzieć. Czy jakimś cudem przeżył, czy zabrało go słońce?

Ale serce Elegii – które uczyła, jak czuć radość – chciało wierzyć. Kopuła przetrwała cały dzień, chroniąc Promieniowców, po czym zniknęła, pozostawiając jedynie jamę pełną błota. Miała przeczucie, że kiedy odzyskają słoneczne serce Popielnego Króla – ostatnie, które będą musieli kiedykolwiek stworzyć – będzie samotne w glebie.

– Mamy dużo pracy – powiedziała cicho Rebeke, kiedy wznosili się w niebo. – Już odezwali się do nas ludzie z innych korytarzy, jedna grupa nawet wysłała delegację. Ale musimy dotrzeć do nich wszystkich i powiedzieć im, co odkryliśmy. Oddajemy tę informację za darmo, jak ją dostaliśmy. Kończymy z ofiarami.

– Jak sobie życzysz, Słoneczna – zgodziła się Kontemplacja.

– Nie – odpowiedziała Rebeke z uśmiechem. – Nie jak sobie życzę. Wy nami rządzą.

– Ale... – Pewność wskazała popielne serce w piersi Rebeke.

– To pozwala mi kontrolować Zwęglonych. Ale próbujemy powoli ich przebudzić, uczyć ich. I nie pozwolę, by tworzone kolejnych. Wykorzystamy ich do ochrony, jeśli tak zdecydują. Ale nie będę kolejną tyranką. Będę... symbolem, Pewności. Promieniem. Nic więcej. – Uśmiechnęła się i spojrzała na Elegię. – Jak nauczyła nas moja siostra.

Elegia wciąż miała nadzieję, że od czasu do czasu będzie mogła walczyć. Ale jeśli nie... cóż, musiała po prostu znaleźć sobie nowe uczucia i rzeczy do robienia, które będą sprawiały jej przyjemność.

A kiedy wznosili się w niebo, odkryła, że wcale nie zapowiadało się to nudno – tylko wydawało się przygoda.

Sierzant sztabowy Prawda-Czeka zakończył rozmowę z ludźmi z latającego miasta. Pochylił się, kiedy szedł przekonany, że jego wojskowa dyscyplina wzbudziłaby strach tych ludzi. Nie chciał, by go zapamiętali. I tak był w niepewnej sytuacji, bo udawał że pochodzi z miasta w innym „korytarzu” i przybył, by uzyskać wyjaśnienia.

Wślizgnął się na pokład statku, który ukradli z pierwszego odwiedzonego miasta. W środku inni członkowie Nocnej Brygady obserwowali drzwi z bronią w ręku. Rozluźnili się, kiedy skinął im głową, a później wszedł do kabiny.

Czekała tam Admirał. Mieli admirała, choć byli armią. Taki mieli zwyczaj. Wysoka, czarno-włosa, krótko ostrzyżona, w pełnym mundurze, stała odwrócona do niego plecami, z rękami ułożonymi sztywno wzdłuż boków. Admirał... nie była osobą, która odpoczywała. Nie pamiętał, by kiedykolwiek wszedł do środka w czasie misji i zobaczył ją w pozycji siedzącej.

- Raportuj – poleciała cicho i oparła dłoń na Łańcuchu Ciągłości, srebrnej, przypominającej bicz broni, która zwinięta wisiała u jej pasa.

- Był tutaj – powiedział Prawda-Czeka. – Mówią o tym otwarcie. Podobno zginął jakiś dzień temu, czasu miejscowego. Walcząc z królem tego miejsca.

- Zginął? – Admirał nie odwróciła się do niego.

- Podobno. Mamy wydobyć z nich informacje w, no, bardziej bolesny sposób?

- Myślisz, że mają coś użytecznego do powiedzenia?

- Szczerze, sir? Nie.

Pokiwała z namysłem głową.

- Odkryłem za to coś zabawnego – powiedział. – Scadriański statek, zakopany tutaj. Prowadzą „badania”. Mieli go i nie zgłosili go do nas... ani nawet nie wysłali uprzejmego powitania. Niegrzeczne, nie sądzi pani?

Odwróciła się do niego, jej oczy błyszczały, a kąciki ust wyginały się w uśmiechu.

- Bardzo niegrzeczne.

- Może powinniśmy ich odwiedzić i zobaczyć, co wiedzą oni. – Wzruszył ramionami. – Poza tym. Ci ludzie tutaj to nasi krewniacy. Spopienienie ich tylko dlatego, że znaleźli się w niewłaściwym miejscu, wydaje się nie w porządku.

- Znalezienie się w niewłaściwym miejscu to główny powód, dlaczego ludzie zostają spopienieni, Prawdo.

Znów wzruszył ramionami.

- Zajmiemy się Scadrianami – powiedziała Admirał. – Będą mieli nagrania. A one z pewnością okażą się bardziej godne zaufania niż relacje ustne bandy zacofanych wieśniaków. Mam przecucie, że on znów jest o krok przed nami. Jak on to robi?

- Pewnie po prostu naprawdę się boi.

Nie odpowiedziała. Ale kiedy wyszedł, z kątów pomieszczenia dołączyły do niego dwa cienie – z płonącymi czerwonymi oczami, w mundurach, które nosiły w chwili śmierci. Admirał nie musiała wydawać im komend głosowych, a ich poruszenie wyraźnie sugerowało, że chciała zostać sama. Bez towarzystwa, nawet martwego.

Nie lubiła słuchać, że ich zdobycz znowu się wymknęła. Prawda wyszedł pospiesznie do głównego pomieszczenia.

Lepiej, żeby w takiej chwili została sama.

Zellion siedział na plaży, słuchał wody przetaczającej się po piasku i czuł się... dziwnie na słońcu. Zwyczajnym, ale mimo wszystko. Ciągłe miał wrażenie, że powinien się ukrywać.

Miał dobre wycucie czasu, ale takie siedzenie i czekanie go stresowało. Oznaczał upływ czasu kolejnymi uderzeniami serca i znakami na piasku. Aż był względnie pewien, że Kantyki Promieniowców ponownie okryła ciemność.

Gdyby czekał zbyt długo, udusiliby się. Dlatego musiał zgadywać i przywołać broń w chwili, kiedy uznał, że to bezpieczne. Pojawiła się w jego dłoni jako miecz, a on wykorzystał ją – w końcu – żeby przeciąć tę głupią zwiększającą ciężar opaskę na nodze.

Przeciągnął się, czując, że opuścił go tysiącfuntowy ciężar. A jednak zastąpił go inny – taki na duszy.

– Dobrze wyliczyłem czas? – spytał. – Spaliłem ich żywcem czy uwolniłem? Zostali zmiażdżeni przez ziemię, która zebrała się nad nimi? Czy Elegia uratowała Rebeke?

Cisza. Pomocnik był martwy. Gorzej niż martwy, w całości wypalony – w Krainie Umysłu nic nie pozostało. Ten miecz był teraz trupem, całkowicie oddzielonym od duszy, która go kiedyś zamieszkiwała.

Żaden głos nie przerwał jego rozmyślań jako zastępnik jego sumienia. Był całkiem sam.

Najpewniej nigdy się nie dowie, co się stało z Rebeke i Elegią, Większym Dobrem i wszystkimi innymi Promieniowcami. Bo nie mógł sobie pozwolić na spojrzenie wstecz, nie odważył się ściągnąć sił, które go goniły w pobliże ludzi, na których mu zależało. Gdyby kiedykolwiek tam wrócił, wiedzieliby, że to miejsce coś dla niego znaczy. Każdy, z kim choćby raz rozmawiał, stałby się celem.

Musiał mieć nadzieję, że ponieważ przebywał tam krótko, nikt się nie zorientuje, jak bardzo zaczęło mu zależeć na tej planecie i jej mieszkańcach.

W pewnej odległości dostrzegł kolejną łądź. Często tędy przepływały, choć w okolicy nie widział innych łądów. Jedyne ten atol, na którym się pojawił – a który w czasie ostatniego przyływu znajdował się kilka cali pod wodą. Nie było na nim nawet jednego drzewa.

Stęknął cicho, podniósł się i nadał Pomowi kształt zwierciadlanej tarczy. Wykorzystał ją, by pochwytać promienie słońca. W ciągu kilku minut statek skierował się w jego stronę. Okazało się, że jego załogę stanowią Sho Del. Nie wiedział, że istnieją jakieś ich enklawy poza Yolenem.

Stateczek przypłynął, a on wyszedł mu na spotkanie, brodząc w płytkiej wodzie. Nadszedł czas, by znów zacząć uciekać.

KONIEC



POSTSCRIPTUM

To jedyna z książek z Kickstartera, którą napisałem, wiedząc, co się z nią stanie.

Pozwólcie, że wyjaśnię. *Warkocz* była kaprysem, prezentem dla mojej żony. To doświadczenie sprawiło mi taką przyjemność, że chciałem je powtórzyć, a z powodu Covidu-19 miałem więcej czasu. Zacząłem bawić się innymi opowieściami – i tak skończyłem z *Oszczędnym czarodziejem*. Napisałem go, w pewnym sensie, dla siebie. Sposób, by udowodnić, że mogę wykorzystać energię, którą zgromadziłem w czasie pisania *Warkocza*. Sposób, by zrobić coś nowego i dla mnie nietypowego.

Yumi była kolejnym prezentem dla żony. Historia w *Warkoczu* opierała się na jej sugestii, ale w przypadku *Yumi* tak naprawdę chciałem napisać opowieść dla niej – coś, co miało jej się spodobać. A kiedy skończyłem, miałem trzy książki i w mojej głowie pojawiła się wizja „Roku Sandersona”. Uznałem, że cztery książki, jedna na kwartał, byłyby najlepszym sposobem, by to zrealizować. Czuję, że to właściwe. Chciałem mieć jeszcze jedną książkę.

I chciałem napisać książkę dla Was.

Inne tajne projekty były eksperymentami narracyjnymi. Albo nie należały do uniwersum Cosmere, albo miały z nim tylko luźny związek. Uwielbiam je wszystkie i jestem z nich absolutnie dumny. Nie chciałbym zasugerować, że jest inaczej. Ale wiedziałem, że jeśli mam zrealizować Rok Sandersona, chcę mieć jedną książkę bliższą „głównemu” Cosmere, związaną z postacią, która miała odgrywać kluczową rolę w przyszłych wydarzeniach, i poszerzyć wiedzę o uniwersum, nie tylko na pobocznych planetach, ale w znaczący sposób.

I dlatego ta książka jest prezentem dla Was. Tak, jak *Warkocz* i *Yumi* są prezentami dla Emily, tę stworzyłem dla wszystkich, którzy wędrowali razem ze mną przez te wszystkie lata. To wciąż eksperyment – w tym przypadku chciałem napisać epicką fantazy z wartką akcją. Chciałem również pobawić się gatunkami, których nie wykorzystywałem wcześniej. (Podobnie, jak w przypadku innych tajnych projektów). W tym opierałem się na starych westernach i ich unowocze-

śnionych wersjach, jak *Mad Max* – opowieściach o wędrowcu, który angażuje się w lokalny problem, a później musi ruszyć w dalszą drogę po tym, jak pomógł miejscowym.

Historia Sigzila już od jakiegoś czasu rozwijała się w moim umyśle. Moja piąta (nieopublikowana) powieść nosi tytuł *Szóste wcielenie Pandory*. (To być może mój najgorszy tytuł, wiem. Nigdy nie udało mi się znaleźć dla niej odpowiedniej nazwy). Opowiada o nieśmiertelnym wojowniku imieniem Zellion, który żył zbyt długo i stracił związek z otaczającym go światem, bo stracił związek z ludźmi. Przez lata w wielu grach online logowałem się jako Zellion – głównie dlatego, że nie jest to imię, którym ludzie często się posługują.

Dodatkowo, pierwsza historia z Cosmere, którą kiedykolwiek napisałem, opowiadała o Hoidzie udającym się na nową planetę, badającym tamtejszą magię i oceniającym, czy mieszkańcy będą dobrymi kandydatami do udziału w trwającym konflikcie o naturze, której wyjaśnienie byłoby zbyt wielkim spoilerem. Nie ukończyłem tej historii, którą pisałem w latach dziewięćdziesiątych, ale pomysł pozostał – ktoś, kto skacze między światami, zostaje uwięziony i musi nauczyć się magii, żeby uciec.

Połączyłem oba pomysły z Sigiem w czasie pisania *Archiwum Burzowego Światła*. W głowie rozwinąłem jego historię – uczeń Hoida, który na krótki czas dostał Odprysk Świtu, a teraz musi żyć z niespodziewanym rodzajem nieśmiertelności. Nie byłem usatysfakcjonowany wizją Hoida jako tego, który przenosi się do nowych światów i rozgryza ich magię, bo to do niego nie pasowało. Potrzebowałem czegoś dynamicznego, z pościgiem w tle, co kolidowałoby z rzeczami zaplanowanymi dla Hoida. (Przez jakiś czas to Shai miała skakać między światami, choć bez połączenia z Odpryskiem Świtu, które zarezerwowałem dla Sigzila).

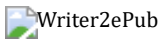
Tak czy inaczej, to pewnie więcej informacji, niż potrzebujecie! Najważniejsze, że pod koniec 2021 roku uświadomiłem sobie, że w końcu mam okazję napisać historię Zelliona. Wybrałem ją jako ostatni tajny projekt, jako podziękowanie dla Was wszystkich, ale również sposób na rozwinięcie postaci, o której zamierzałem napisać już od jakiegoś czasu. To również książka, która sporo dla mnie znaczy, bo to moja pięćdziesiąta powieść. Co uważam za bardzo fajne, bo wiąże się z moją piątą powieścią, napisaną przed laty. Nie mogę obiecać, że napiszę więcej o samym Sigu, ale on odgrywa ważną rolę w przyszłości Cosmere, więc powróci. Mam szczerą nadzieję, że spodobały Wam się moje eksperymenty stylistyczne i z rodzajami narracji.

To jedna z moich ostatnich szans, by porozmawiać z Wami o cudownym wydarzeniu, jakim był Kickstarter, więc dajcie mi jeszcze chwilę, bym wyjaśnił Wam, dlaczego zadedykowałem tę książkę Wam, fanom.

Głęboko wierzę, że książki nie żyją, jeśli nie są czytane. Choć sądzę, że pisałbym nawet, gdyby nikt nie czytał – taki jestem – rozkwitam, bo wiem, że Wy wszyscy dajecie życie opowieściom. W tym sensie historie to szczególnie rodzaj sztuki, szczególnie te zapisane. Każdy z Was wyobraża sobie tę książkę i jej bohaterów odrobinę inaczej – każdy z Was przykłada do niej swoją osobistą pieczęć i czyni ją swoją. Uważam, że opowieść staje się ukończona dopiero, kiedy marzenie w mojej głowie staje się rzeczywistością (choćby na krótko) w Waszych.

I dlatego ta książka jest Wasza, podobnie jak wszystkie inne, kiedy je przeczytacie. Ogromnie dziękuję za ożywienie mojej twórczości i Cosmere.

Brandon Sanderson



[Created with Writer2ePub](#)

by Luca Calcinai